



STEPHEN  
KING

WOREK KOŚCI

 PUBSCIO.pl

**STEPHEN KING**

**Worek Kości**

Przełożył

Arkadiusz Nakoniecznik

Warszawa 1998

Tytuł oryginału:

Bag of Bones

## Od Autora

W powieści tej sporo mówi się o obowiązującym w stanie Maine prawie, które reguluje kwestię sprawowania opieki nad dziećmi. O pomoc w wyjaśnieniu tych zagadnień zwróciłem się do mego przyjaciela i znakomitego prawnika Warrena Silvera. Warren prowadził mnie powoli, krok po kroku, a przy okazji wspomniał mimochodem o starym dziwacznym wynalazku zwanym stenomaską, który natychmiast wykorzystalem do własnych potrzeb. Jeśli mimo wszystko w tekście znalazły się jakieś błędy formalne, wina spoczywa wyłącznie po mojej stronie. Warren zapytał mnie również - raczej nieśmiało - czy mógłbym wprowadzić do książki postać „dobrego” prawnika; mogę powiedzieć tylko tyle, że uczyniłem wszystko co w mojej mocy.

Dziękuję mojemu synowi Owenowi za pomoc techniczną, jakiej udzielił mi w Woodstock w stanie Nowy Jork, oraz memu przyjacielowi Ridleyowi Pearsonowi za pomoc techniczną, jakiej udzielił mi w Ketchum w stanie Idaho. Dziękuję Pam Dorman za życzliwą i uważną lekturę pierwszej wersji książki. Dziękuję Chuckowi Verrillovi za wykonanie gigantycznej pracy redaktorskiej - wielkie dzięki, Chuck. Dziękuję Susan Moldow, Nan Graham, Jackowi Romanos i Carolyn Reidy z wydawnictwa Scribner za troskę i dokarmianie. Dziękuję także Tabby, która znowu była przy mnie, kiedy zrobiło się ciężko. Kocham cię, najdroższa.

S.K.

Dla Naomi. Jak zawsze.

Tak, Bartleby, pozostań w ukryciu, pomyślałem; już nie będę cię prześladował; jesteś równie nieszkodliwy i milczący

jak te stare krzesła; krótko mówiąc, nigdy nie czuję się tak  
swojsko jak wtedy, kiedy wiem, że tu jesteś.

Herman Melville, „Bartleby”

Śniło mi się tej nocy, że znowu jestem w Manderley (...)  
Gdy tak stałam w milczeniu, bez ruchu, mogłabym przysiąc,  
że dom nie jest pustą skorupą, lecz żyje dawnym życiem.

Daphne du Maurier, „Rebecca”

w przekładzie Eleonory Romanowicz-Podoskiej

Mars to raj.

Ray Bradbury

## Rozdział 1

Pewnego upalnego sierpniowego dnia 1994 roku moja żona Johanna odebrała telefon z apteki Rite Aid. Została poinformowana, że jej lekarstwo na zatoki jest już gotowe. Zdało się, że teraz takie rzeczy kupuje się od ręki. Zauważyłem, że mimo upływu czasu fundamentalne zasady pozostają niewzruszone, poważnym zmianom ulegają natomiast te drobniejsze.

Ponieważ uporałem się już z przewidzianą na ten dzień porcją pisania, zaproponowałem, że ja udam się po lek. Podziękowała mi, wyjaśniając, że sama się tym zajmie, ponieważ i tak zamierzała pojechać do supermarketu po rybę na kolację. Posłała mi całusa i wyszła z domu. Ponownie zobaczyłem ją dopiero na ekranie telewizora. Tutaj, w Derry, w ten właśnie sposób identyfikuje się zmarłych; nikt nie prowadzi cię podziemnym korytarzem wyłożonym zielonymi kafełkami i oświetlonym blaskiem jarzeniówek, nikt nie wysuwa z ogromnej chłodziarki metalowych noszy, na których spoczywa nagie ciało. Zamiast tego wchodzisz do pokoju z napisem na drzwiach OBCYM WSTĘP WZBRONIONY, patrzysz na ekran i mówisz „tak” albo „nie”. Ta sama zasada - ogólnie rzecz biorąc, wszystko bez zmian, a jednak zupełnie inaczej.

Apteka znajduje się niespełna półtora kilometra od naszego domu, w niedużym centrum handlowym, które tworzą oprócz niej: wypożyczalnia kaset wideo, antykwariat o nazwie „Książka dla wszystkich” (podobno najlepsze interesy robią na popularnych wydaniach moich starych książek), sklep ze sprzętem radiowo-telewizyjnym oraz zakład fotograficzny. Centrum usytuowano na Wzgórzu Pierwszej Mili, w pobliżu skrzyżowania Witcham i Jackson Street. To ruch-

liwe miejsce, w którym często dochodzi do wypadków, ale Johanna zawsze była ostrożnym kierowcą; jeżeli nie ukryła przede mną jakiegoś mandatu za przekroczenie prędkości (ja nie przyznałem się chyba do dwóch, jeśli chcecie wiedzieć), to przez całe trzydzieści sześć lat swego życia ani razu nie weszła w kolizję z prawem, a cóż dopiero mówić o wypadku drogowym.

Zaparkowała przed wypożyczalnią, weszła do apteki i załatwiła, co miała do załatwienia z Joe Wyzerem, który wówczas był tam aptekarzem. (Jakiś czas potem przeniósł się do innego punktu tej samej sieci, tyle że w Bangor). Rachunek za realizację recepty wyniósł dwanaście dolarów i osiemnaście centów. Johanna kupiła coś jeszcze za czterdzieści dziewięć centów - na paragonie określono to jako „art. różne”. Kiedy wreszcie mogłem przejrzeć zawartość jej torebki (powinienem raczej powiedzieć: kiedy wreszcie się na to zdobyłem), wśród jednorazowych chusteczek, napęczonych opakowań bezcukrowej gumy do żucia oraz niezliczonych przyborów do makijażu znalazłem zawiniętą w sreberko czekoladową myszkę. Jeśli taka myszka nie zasługuje na określenie „art. różne”, to nie wiem, co można by w ten sposób określić. Była to ostatnia rzecz, jaką moja żona kupiła na tym świecie: czekoladowa myszka nadziewana marmoladą. Siedząc przy kuchennym stole, na który wysypałem zawartość torebki, zdjąłem z niej sreberko i zjadłem ją; czułem się tak, jakbym przyjmował komunię. Kiedy po myszce został mi tylko czekoladowy smak w ustach i przełyku, wybuchnąłem płaczem. Siedziałem i płakałem prawie pół godziny.

Jeszcze przed odejściem od kasy Johanna zmieniła zwykłe okulary na przeciwsłoneczne. W chwili, kiedy wyszła spod markizy ocieniającej drzwi i szybę wystawową apteki (zdaje się, że popuszczam wodze fantazji i wkraczam na obszar

zarezerwowany dla pisarzy, ale możecie mi wierzyć, zapuszczam się tam najwyżej na pół kroku), rozległ się charakterystyczny jędzowaty pisk opon, zwiastujący zazwyczaj wypadek albo towarzyszący sytuacji, w której o mało do niego nie doszło.

Tym razem doszło do wypadku, jednego z tych, które co najmniej raz na tydzień zdarzały się na tym idiotycznym skrzyżowaniu w kształcie litery X. Z parkingu przed centrum handlowym wyjeżdżała toyota, rocznik 1989. Siedząca za kierownicą Esther Easterling, wdowa z Barrett's Orchards, chciała skręcić w lewo, w Jackson Street. Na miejscu pasażera siedziała jej przyjaciółka Irenę Deorsey, także z Barrett's Orchards. Pani Deorsey zamierzała wypożyczyć kasetę wideo, ale nie znalazła w wypożyczalni niczego, co przypadłoby jej do gustu. „Nic tylko ta przemoc i przemoc”, powiedziała do swojej przyjaciółki Esther, która przyznała jej rację. Esther Easterling liczyła sobie siedemdziesiąt trzy lata, Irenę Deorsey zaś siedemdziesiąt jeden. Ich mężowie zmarli na raka płuc spowodowanego długoletnim paleniem papierosów.

Niemożliwe, żeby Esther nie zauważyła pomarańczowej wywrotki zbliżającej się od szczytu wzniesienia; na przekór temu, co powiedziała policji, dziennikarzom oraz co sam od niej usłyszałem jakieś dwa miesiące później, podejrzewam, że najprawdopodobniej po prostu zapomniała spojrzeć w lewo. Nigdy jej tego nie wypomniałem. Jak mawiała moja matka (nawiasem mówiąc, też „papierosowa wdowa”; pełno ich dookoła): „Starzy ludzie zazwyczaj cierpią co najmniej na dwie przypadłości: artretyzm i głupotę. Nie można ich winić za żadną z nich”.

Ciężarówkę prowadził William Fraker z Old Cape. W dniu, kiedy zginęła moja żona, Fraker miał trzydzieści



osiem lat. Siedział za kierownicą bez koszuli, z papierosem w ustach i marzył o zimnym prysznicu oraz zimnym piwie, niekoniecznie w tej kolejności. Razem z trzema kolegami przez cały dzień łątał dziury w nawierzchni Harris Avenue w pobliżu lotniska, a więc wykonywał ciężką pracę przy ciężkiej pogodzie, i był prawie pewien, że stracił co najmniej dwa kilogramy z powodu odwodnienia organizmu. Wracał „na pusto” do bazy; gdyby jego wywrotka wiozła asfalt i była o kilkaset kilogramów cięższa, Irenę i Esther przypuszczalnie dołączyłyby do swoich mężów w zaświatach.

Bili Fraker nie zaprzeczał, że jechał odrobinę za szybko - jakieś sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, mimo znaku ograniczającego prędkość do pięćdziesięciu. Chciał jak najszybciej odstawić wóz do bazy, wsiąść do swojego F-150 i włączyć klimatyzację. Poza tym, hamulce ciężarówki, choć wciąż na tyle sprawne, żeby nie wzbudzić zastrzeżeń kontroli technicznej, najlepsze lata miały już za sobą. Jak tylko Fraker zobaczył wyjeżdżającą z parkingu toyotę, wdepnął w pedał hamulca i nacisnął klakson, ale było już za późno. Usłyszał pisk opon - swojego wozu i samochodu Esther, ponieważ ta również, tyle że nieco za późno, dostrzegła niebezpieczeństwo - a potem na ułamek sekundy zobaczył jej twarz.

- To było najgorsze - wyznał, kiedy siedzieliśmy przy piwie na werandzie jego domu. Działo się to w październiku i choć na twarzach czuliśmy ciepło słonecznych promieni, obaj mieliśmy na sobie swetry. Chyba wie pan, jak wysoko siedzi się w takiej wywrotce?

Skinąłem głową.

- No więc, ona patrzyła na mnie w górę, a słońce świeciło jej prosto w twarz. Widziałem, że jest cholernie stara. Pomyślałem sobie: „Cholera, jeśli się nie zatrzymam, rozsypie się jak filiżanka”. Ale starzy ludzie są twardsi, niż nam się

zdaje. Zresztą, niech pan sam popatrzy: one dwie żyją, a pańska żona...

Umilkł w pół zdania, a jego twarz oblała się szkarłatnym rumieńcem. Wyglądał jak chłopiec, który podczas przerwy padł ofiarą drwin koleżanek, ponieważ rozpiął mu się rozporek. Efekt był komiczny, ale gdybym się wtedy uśmiechnął, biedaczysko zmieszałby się jeszcze bardziej.

- Przepraszam, panie Noonan. Tak jakoś mi się powiodziało...

- Nic nie szkodzi - odparłem. - Najgorsze mam już za sobą.

Oczywiście była to nieprawda, ale dzięki temu rozmowa mogła toczyć się dalej.

- Moja wywrotka uderzyła w jej wóz po stronie kierowcy. Usłyszałem potworny huk, zgrzyt i brzęk tłuczonego szkła. Tak mocno rzuciło mną na kierownicę, że przez ponad tydzień nie mogłem głębiej odetchnąć i miałem wielki siniak o, tutaj. - Zakreślił półkole na piersi tuż pod obojczykiem. - Rąbnąłem też głową w szybę, aż pękła, ale został mi tylko mały guz, żadnego krwawienia ani nawet bólu głowy. Moja żona twierdzi, że od urodzenia mam grubą czaszkę. Widziałem, jak kobieta za kierownicą toyoty, pani Easterling, wpada na środkową konsolę, a potem wreszcie się zatrzymaliśmy na środku ulicy i wysiadłem, żeby sprawdzić, co z nimi. Powiadam panu, byłem prawie pewien, że obie nie żyją.

Żadna nie zginęła, żadna nawet nie straciła przytomności. Pani Easterling doznała złamania trzech żeber i zwichnięcia stawu biodrowego, zaś dla pani Deorsey wypadek skończył się bolesnym uderzeniem głową w boczną szybę. I to wszystko. „Po opatrzeniu została zwolniona do domu”, jak zwykle w takich sytuacjach piszą w lokalnym dzienniku.

Moja żona, posiadaczka sprawności Siostra Miłosierdzia,

widziała wszystko sprzed wejścia do apteki, gdzie zamarła bez ruchu z torebką przewieszoną przez ramię i reklamówką z lekarstwem w ręce. Podobnie jak Bili Fraker, była niemal pewna, że pasażerowie toyoty są albo martwi, albo poważnie ranni. Odgłos zderzenia przetoczył się donośnym, głębokim grzmotem przez gorące popołudnie, niczym ciężka kula sunąca po torze w kręgielni. Brzęk tłuczonego szkła otaczał go jak postrzępiona koronka. Oba pojazdy znieruchomiały na środku Jackson Street; ogromna, pomarańczowa wywrotka górowała nad niebieskim japończykiem niczym groźny ojciec nad przerażonym dzieckiem.

Zaraz potem Johanna popędziła przez parking w kierunku miejsca zdarzenia. Razem z nią uczynili" to niemal wszyscy, którzy byli w pobliżu. Jedna z tych osób, Jill Dunbarry, w chwili kiedy nastąpiła kolizja, oglądała wystawę sklepu ze sprzętem radiowo-telewizyjnym. Wydawało jej się, że zapamiętała Johannę - w każdym razie, utkwiły jej w pamięci granatowe dzinsy - ale nie była tego stuprocentowo pewna. Pani Easterling krzyczała już wtedy, że jest ranna, że obie są ranne, wołając o pomoc dla siebie i przyjaciółki.

W połowie parkingu, blisko pojemników na śmieci, moja żona potknęła się i upadła. Torebka została na ramieniu, ale reklamówka wysunęła się z dłoni, spadła na asfalt, plastikowa buteleczka z tabletkami roztrzaskała się na kawałki. Wszystkie pastylki zostały jednak w torbie, tak że mógłbym je wykorzystać, oczywiście gdyby nie to, że nigdy nie miałem problemów z zatokami.

Nikt nie spostrzegł kobiety leżącej na asfalcie przy pojemnikach na śmieci. Uwaga wszystkich była skoncentrowana na szepionych pojazdach, krzyczących starszych paniach, rozlewającej się coraz szerzej kałuży wody i płynu z uszkodzonej chłodnicy ciężarówki. („To gaz!", wrzeszczał

pracownik salonu fotograficznego. „Uważajcie, żeby nie wybuchł!”). Możliwe, że ktoś z niedoszłych ratowników przeskoczył nad nią, myśląc, że zemdląca. Jeśli wziąć pod uwagę, że tego dnia temperatura w cieniu dochodziła do trzydziestu pięciu stopni, takie podejrzenie było całkiem uzasadnione.

Wkrótce wokół miejsca wypadku zgromadziło się ponad dwadzieścia osób, które wybiegły z centrum handlowego oraz ponad czterdzieści ze Strawford Park, gdzie trwał mecz baseballowy. Przypuszczam, że powiedziano wszystko, co zazwyczaj mówi się w takich sytuacjach, prawdopodobnie nawet po parę razy. Bili Fraker, który usiłował uwolnić pasażerki ze zmiądzzonej toyoty, powtarzał zapewne: „Nic im nie jest? Nic im nie jest?” Ktoś (może nawet kilka osób) klepał go uspokajająco po ramieniu. Starał się odprowadzić na bok. „Niech pan lepiej usiądzie”, znaleźliby w swoich egzemplarzach scenariusza, a tuż obok: „Nie wygląda pan najlepiej”. Ktoś powinien powtarzać: „Nie ruszajcie się!” (to, rzecz jasna, do Esther Easterling i/lub Irenę Deorsey), ktoś inny mówił: „Spokojnie, zaraz wam pomożemy”. Do mężczyzny (albo kobiety) najsilniej wierzącego (wierzącej) w zbawczą siłę Pozytywnego Myślenia należałaby następująca kwestia: „Wszystko w porządku! Nic się nie stało!” Najwięcej głosów z pewnością powtarzało: „Wezwijcie pogotowie! Niech ktoś wezwie pogotowie!”

W ogólnym rozgardiaszu ktoś sięga przez dziurę po szybie w drzwiach kierowcy i klepie Esther po starczej, roztrzęsionej ręce. Tłumek rozstępuje się przed Joe Wyzerem; w takich chwilach każda osoba w białym fartuchu zyskuje na aurytecie. W oddali rozbrzmiewa zawodzenie syreny ambulansu, wznosi się coraz wyżej jak rozgrzane drżące powietrze nad krematorium, grecki chór zaś mówi to, co powinien powiedzieć w takiej sytuacji: „Dzięki Bogu” i „No, już są”,

i „Słyszę karetkę!”, i „Nareszcie!”

Przez cały czas, niezauważona przez nikogo, moja żona leżała na parkingu z torebką na ramieniu (w torebce, wśród innych rzeczy, była też czekoladowa myszka) i reklamówką z lekarstwem kilka centymetrów od wyciągniętej ręki. Spostrzegł ją dopiero Joe Wyzer, biegnący z powrotem do apteki po kompres, który zamierzał położyć na czole Irenę Deorsey. Zobaczył Johannę, leżącą twarzą do dołu na asfalcie, i rozpoznał po rudych włosach, białej bluzce i granatowych spodniach. Bądź co bądź, obsługiwał ją zaledwie kwadrans wcześniej.

- Pani Noonan? - Natychmiast zapomniał o kompresie dla oszołomionej, ale poza tym całej i zdrowej Irenę Deorsey, podszedł do Johannę, pochylił się nad nią. - Pani Noonan, wszystko w porządku? - zapytał, choć już wtedy doskonale wiedział (tak mi się wydaje, ale może się mylę), że stało się coś niedobrego.

Odwrócił ją na wznak. Musiał użyć obu rąk, a i tak mocno się natrudził w potwornym upale lejącym się z nieba i promieniującym z asfaltu. Mam wrażenie, że nieboszczycy przybierają na wadze, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Stają się zwyczajnie ciężsi niż za życia, a zarazem więcej dla nas znaczą.

Miała poparzoną twarz. Podczas identyfikacji nawet na ekranie monitora bez trudu dostrzegłem poparzone miejsca na czole i podbródki. Otworzyłem już usta, żeby zapytać, skąd się wzięły, ale wtedy zrozumiałem i szybko je zamknąłem, bo gdybym zapytał, przypuszczalnie natychmiast bym zwymiotował. Środek sierpnia, upał, rozgrzany asfalt... Przecież to oczywiste, drogi Watsonie. Ślady na czole i podbródki niewiele różniły się od tych, które widać na steku po zdjęciu go z rusztu. Przez kilka minut, które przeleżała na asfalcie, moja żona nie tylko umierała; ona się również sma-

żyła.

Wyzer wstał, zobaczył karetkę, pobiegł w jej stronę, roze-  
pchnął tłum i złapał za rękę jednego z sanitariuszy.

- Tam leży kobieta - powiedział, wskazując kierunek.

- Człowieku, my tu mamy dwie kobiety, a do tego jeszcze  
mężczyznę!

Sanitariusz usiłował uwolnić ramię z uchwytu, ale Wyzer  
trzymał mocno.

- Oni mogą poczekać. W gruncie rzeczy nic im nie jest.  
Z tamtą jest znacznie gorzej.

„Tamtą” już prawie na pewno nie żyła i nie ulega dla  
mnie wątpliwości, że Joe Wyzer doskonale o tym wiedział,  
jednak trzeba mu przyznać, że zrobił wszystko co w jego mo-  
cy. Miał też chyba sporą umiejętność przekonywania, skoro  
pomimo jęków Esther Easterling i niezyczyliwych pomruków  
greckiego chóru zdołał odciągnąć obu sanitariuszy od scze-  
pionych samochodów i zaprowadzić ich na parking.

Jak tylko dotarli do mojej żony, jeden z nich potwierdził  
przypuszczenia Wyzera.

- Cholera! - zaklął drugi. - Co jej się stało?

- Przypuszczalnie to serce - powiedział pierwszy. - Prze-  
straszyła się i bach, po wszystkim. Nie ona pierwsza.

Jednak to wcale nie było serce. Sekcja zwłok wykazała  
obecność tętniaka mózgu, z którym Johanna żyła prawdo-  
podobnie co najmniej od pięciu lat. Kiedy pobiegła przez  
parking w kierunku miejsca wypadku, osłabione naczynko  
krwionośne w korze mózgu pękło jak samochodowa opona  
i powstał krwotok, który doprowadził do śmierci. Anatomico-  
patolog powiedział mi, że choć śmierć przypuszczalnie nie  
była natychmiastowa, to jednak nadeszła na tyle szybko, że  
moja żona nie cierpiała. Tak jakby w jej mózgu wybuchła  
ogromna czarna Nowa; wszystkie odczucia i myśli zgasły, za-

nim głowa zetknęła się z asfaltem.

Sekcja wykazała coś jeszcze, o czym powiedziano mi chyba przez niedopatrzenie, ponieważ, przynajmniej z ich punktu widzenia, nie musiałem o tym wiedzieć. W chwili śmierci na parkingu przed centrum handlowym Jo była w szóstym tygodniu ciąży.

Dni przed pogrzebem oraz sam pogrzeb pamiętam jak przez sen; jedyne wyraźne wspomnienie to chwila, kiedy zjadłem czekoladową myszkę Jo, a potem wybuchnąłem płaczem, najprawdopodobniej dlatego, że uświadomiłem sobie, iż już za chwilę czekoladowy smak zniknie bezpowrotnie. Kilka dni po pogrzebie miałem kolejny atak płaczu. Zaraz wam o tym opowiem.

Ucieszyłem się z przyjazdu rodziny Jo, a najbardziej z przyjazdu jej najstarszego brata Franka. To właśnie Frank Arlen, krępy pięćdziesięciolatek o rumianych policzkach i zaskakująco bujnych, aż nienaturalnie siwych włosach, zawzięcie targował się z przedsiębiorcą pogrzebowym, ustalając szczegóły ceremonii.

- Trudno mi uwierzyć, że miałeś do tego głowę - powiedziałem później, kiedy siedzieliśmy przy piwie w pubie U Jacka.  
- Chciał cię naciągnąć, Mikey. Nienawidzę takich gości.

Wyciągnął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i otarł policzki. Nie załamał się - nikt z rodziny się nie załamał, a przynajmniej ja tego nie widziałem - ale przez cały dzień łzy ciekły mu z oczu. Wyglądało to tak, jakby cierpiał na przewlekłe zapalenie spojówek.

Spośród sześciorga rodzeństwa Jo była najmłodsza i do tego jedyną dziewczyną. Bracia traktowali ją jak ukochaną maskotkę. Gdybym w jakikolwiek sposób przyczynił się do jej śmierci, pewnie rozdarliby mnie na strzępy gołymi rękami, ale ponieważ nie miałem z tym nic wspólnego, otoczyli

mnie ochronną tarczą. Było to bardzo miłe. Nawet wspomniałem. Z pewnością dałbym sobie jakoś radę bez nich, ale nie mam pojęcia jak. Nie zapominajcie, że miałem wtedy trzydzieści sześć lat. Człowiek w tym wieku nie jest psychicznie przygotowany na to, że będzie musiał uczestniczyć w pogrzebie swojej młodszej o dwa lata żony. W ogóle nie myśleliśmy o śmierci.

- Jak złapią gościa, który zwędził ci radio z samochodu, oskarżają go o złodziejstwo i wsadzają do pudła. - Arlenowie w latach sześćdziesiątych przenieśli się z Massachusetts, ale Frank wciąż mówił z wyraźnym akcentem z tamtych stron. - Jeśli jednak ten sam gość za cztery i pół tysiąca dolarów wiska zrozpaczonemu mężowi trumnę wartą trzy tysiące, nazywają to robieniem interesów i zapraszają go na najbliższe spotkanie Klubu Rotariańskiego. Chciwy sukinsyn. Wepchnąłem mu tę jego chciwość do gardła, co nie?

- Rzeczywiście.

- Wszystko w porządku, Mikey?

- Tak.

- Na pewno?

- Skąd mam wiedzieć, do kurwy nędzy? - zapytałem tak głośno, że ściągnąłem na nas spojrzenia siedzących w pobliżu osób.

To dziwne, ale moja odpowiedź w pełni go usatysfakcjonowała. Skinął głową, pociągnął łyk piwa, po czym zapytał:

- Co będziesz teraz robił?

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie to samo, co do tej pory.

Skierował na mnie spojrzenie zaczerwienionych, opuchniętych oczu.

- Na pewno nie, Mikey. To akurat na pewno ci się nie uda.



- Dlaczego? Skąd wiesz?

- Widzę to po twojej twarzy - powiedział i zamówił następną kolejkę.

Tak więc Arlenowie, dowodzeni przez Franka, kierowali przygotowaniem do pogrzebu Johanny. Mnie, jako jedy-nemu pisarzowi w rodzinie, przypadło zadanie napisania nekrologu. Mój brat, który przyjechał z Wirginii z naszą matką i ciotką, zajął się kompletowaniem listy gości. Matka (w wieku sześćdziesięciu sześciu lat dotknięta prawie całkowitą demencją, chociaż lekarze uparcie nie chcieli tego nazwać Alzheimerem) mieszkała w Memphis z siostrą, młodszą o dwa lata i tylko odrobinę bardziej samodzielna. Miały kroić tort i podawać ciastka podczas przyjęcia po ceremonii.

Całą resztą - poczynając od ustalenia terminu uroczystości pogrzebowej, po szczegóły techniczne - zajęli się Arlenowie. Frank i Wiktor, najmłodszy brat, wygłosili krótkie mowy, ojciec Jo zmówił modlitwę za duszę córki, na samym końcu zaś Pete Breedlove - chłopak, który latem strzygł trawnik przed naszym domem, jesienią zaś zamiatał podwórze - wycisnął wszystkim łzy z oczu, śpiewając „Błogosławione uspokojenie”; według Franka, był to ulubiony kościelny hymn Jo. Nie mam pojęcia, w jaki sposób dotarł do Pete'a ani jak skłonił go do występu.

Jakoś przez to wszystko przeszliśmy: przez wtorkowe popołudnie i wieczór w kaplicy (chyba nigdy nie zrozumiałem, co skłania ludzi do gapienia się w zamkniętą trumnę i wdychania słodkawego, ciężkiego zapachu zbyt dużej ilości kwiatów zgromadzonej w zbyt małym pomieszczeniu), przez nabożeństwo żałobne w środę rano, przez pogrzeb na cmentarzu Fairlawn. Zapamiętałem głównie swoje myśli: o tym, jak jest gorąco; o tym, jak bardzo chciałbym teraz porozmawiać z Jo; o tym, że powinienem był kupić nowe buty. Gdy-

by Jo zobaczyła te, w których przyszedłem na pogrzeb, do śmierci ciosałaby mi kołki na głowie.

Później przeprowadziłem poważną rozmowę z moim bratem Sidem. Powiedziałem mu, że musimy coś począć z matką i ciotką Francine, zanim obie całkowicie pogrążą się w Strefie Mroku. Są za młode, żeby przyjęto je do domu starców; jakie Sid widzi wyjście z sytuacji?

Zaproponował coś, choć nie pamiętam, co to było, ale wiem, że się na to zgodziłem. Nieco później Sid, mama i ciotka odjechali wypożyczonym samochodem do Bostonu, gdzie mieli przenocować, a nazajutrz z samego rana wsiąść do pociągu. Mój brat nie ma nic przeciwko temu, żeby opiekować się dwiema staruszkami, lecz za nic w świecie nie wsiądzie do samolotu, nawet jeśli to ja płacę za bilet. Twierdzi, że tam, w górze, nie ma pasów postojowych, na których można zatrzymać się w razie awarii silnika.

Większość Arlenów wyjechała następnego dnia. Znowu było gorąco; słońce świeciło bezlitośnie na niebie zawleczonym białawą mgiełką, upał lał się z góry jak roztopiony ołów. Obejmowali się przed naszym domem - teraz już tylko moim domem - wymieniali pożegnania w tym swoim gulgończącym akcencie z Massachusetts, a potem niemal jednocześnie zajęły trzy taksówki.

Frank został jeszcze jeden dzień. Za domem narwaliśmy naręcze kwiatów - nie takich okropnie cuchnących ze szklarni, których zaduch zawsze kojarzy mi się ze śmiercią i muzyką organową, ale prawdziwych, takich, jakie najbardziej lubiła Jo - wsadziliśmy je w puste puszki po kawie, zawieźliśmy na cmentarz i postawiliśmy na świeżym grobie. Potem siedzieliśmy przez jakiś czas bez słowa w lepkim upale.

- Zawsze ją kochałem - odezwał się wreszcie Frank zmionym, cichym głosem. - Kiedy byliśmy mali, wszyscy się

nią opiekowaliśmy. Nikt jej nigdy nie skrzywdził. Jak tylko ktoś spróbował, zaraz dostawał po nosie.

— Opowiadała mi o tym.

- Podobało ci się?

- Jasne.

- Będzie mi jej cholernie brakowało.

- Mnie też - powiedziałem. - Mnie też.

- To był chłopiec czy dziewczynka?

- Nie wiem - odparłem, ale to oczywiście była nieprawda. Nikt mi tego nie powiedział, lecz ja wiedziałem, że to była dziewczynka. Czuję to w sercu. Nazywała się Kia.

Frank, od sześciu lat rozwiedziony i żyjący samotnie, zatrzymał się u mnie.

- Martwię się o ciebie, Mikey - powiedział, kiedy wracaliśmy do domu. - Nie masz przy sobie nikogo, kto mógłby cię podtrzymać na duchu, rodzina daleko...

- Nic mi nie będzie.

Skinął głową.

- Zgadza się. Tak zawsze mówimy.

- My?

- Mężczyźni. „Nic mi nie będzie”. A potem, kiedy się okazuje, że jest dokładnie odwrotnie, stajemy na uszach, żeby nikt się o tym nie dowiedział. - Spojrzał na mnie wciąż załzawionymi oczami, z chusteczką w dużej opalanej ręce. - Gdyby coś było nie tak i gdybyś nie miał ochoty zadzwonić do brata, pozwól, że ja ci go zastąpię. Bardziej ze względu na Jo niż na ciebie.

- W porządku.

Doceniałem jego propozycję i byłem mu za nią wdzięczny, choć jednocześnie doskonale zdawałem sobie sprawę, że nigdy z niej nie skorzystam. Nie należę do ludzi, którzy dzwonią do innych z prośbą o pomoc. Wcale nie dlatego, że

mnie tak wychowano - a przynajmniej wydaje mi się, że nie dlatego. Po prostu taki jestem, i już. Johanna powiedziała kiedyś, że gdybym zaczął tonąć w jeziorze Dark Score, nad którym stoi nasz letni domek, prędzej utopiłbym się dwadzieścia metrów od brzegu, niż zaczął wzywać pomocy. Nie mam też problemów z okazywaniem ani odbieraniem uczuć: ko-

cham i jestem kochany, odczuwam ból jak wszyscy, potrzebuję fizycznego kontaktu z ludźmi. Jeśli jednak ktoś mnie zapyta, czy wszystko w porządku, nie potrafię odpowiedzieć: Nie. Nie potrafię poprosić o pomoc.

Kilka godzin później Frank odjechał na południe stanu. Kiedy otworzył drzwi samochodu, stwierdziłem z miłym zaskoczeniem, że podczas jazdy słucha jednej z moich książek nagranych na kasety. Objął mnie mocno, a potem, zupełnie niespodziewanie, mocno i głośno pocałował w usta.

- Zadzwoń, gdybyś chciał pogadać, a gdybyś miał ochotę pomieszkać trochę z ludźmi, nawet nie dzwoń, tylko od razu przyjeżdżaj.

Skinąłem głową.

- I uważaj.

Zaskoczył mnie. Połączone działanie upału i rozpacz sprawiło, że od kilku dni żyłem jak we śnie, ale to akurat mnie zdziwiło.

- Na co mam uważać? - zapytałem.

- Nie wiem - odparł. - Naprawdę nie wiem, Mikey.

Wsiadł do samochodu - Frank był tak wielki, a samochód tak mały, że wyglądało to tak, jakby włożył wóz jak ubranie - zatrzasnął drzwi i odjechał. Słońce właśnie zachodziło. Wiecie, jak wygląda zachodzące słońce po upalnym sierpniowym dniu? Jest pomarańczowe i odrobinę spłaszczone, jakby z góry naciskała na nie czyjaś niewidzialna ręka; wydaje się, że lada chwila pęknie niczym obzarty komar i za-

chlapie horyzont. Tamtego wieczoru słońce było właśnie takie. Ze wschodu, tam gdzie gęstniała już ciemność, dobiegał odległy łoskot grzmotu, ale noc nie niosła deszczu, tylko mrok, ciężki i duszny jak koc. Mimo to usiadłem przed komputerem i pracowałem przez jakąś godzinę. Pamiętam, że szło mi całkiem nieźle; nawet gdyby tak nie było, przy pisaniu czas mija dużo szybciej.

Drugi atak płaczu dopadł mnie trzy albo cztery dni po pogrzebie. Nadal miałem wrażenie, że żyję we śnie; chodziłem, rozmawiałem, odbierałem telefony, pracowałem nad nową książką, która w chwili śmierci Jo była gotowa mniej więcej w osiemdziesięciu procentach, ale wciąż towarzyszyły mi poczucie wyobcowania i przekonanie, że wszystko dzieje się z dala ode mnie, a ja jestem tylko biernym obserwatorem.

Zadzwoiła Denise Breedlove, matka Pete'a, i zapytała, czy zgodziłbym się, żeby w przyszłym tygodniu przeprowadziła generalne sprzątanie w wielkim, zbudowanym w stylu wiktoriańskim domu, w którym obecnie sam mieszkam. Kosztowałoby mnie to, powiedziała, dziewięćdziesiąt dolarów. Taką rzecz powinno się zrobić. Zawsze po czyjejś śmierci trzeba wysprzątać dom od piwnic po strych, nawet jeśli śmierć nastąpiła poza domem.

Odparłem, że chętnie skorzystam z propozycji, ale pod dwoma warunkami: zapłacę nie dziewięćdziesiąt, lecz sto dwadzieścia dolarów i sprzątanie potrwa sześć godzin. Po sześciu godzinach skończą, bez względu na to, ile im jeszcze zostanie do roboty.

- Panie Noonan, to o wiele za dużo - powiedziała.

- Może tak, a może nie. Ja płacę właśnie tyle. Więc jak, zgadza się pani?

Usłyszałem, że tak, oczywiście.

Jak zapewne łatwo się domyślić, dzień przed sprzątniem

dokonałem szczegółowej inspekcji domu. Nie chciałem, żeby kobiety (w tym dwie zupełnie obce) znalazły coś, co mogłoby wprawić w zakłopotanie albo mnie, albo je - na przykład majtki Johanny wepchnięte pod poduszkę na kanapie („Michael, czy zauważyłeś, jak często robimy to na kanapie?"), puste puszkę po piwie na werandzie, brudną miskę sedesową albo coś w tym rodzaju. Nie szukałem niczego konkretnego, a poza tym, wciąż widziałem wszystko jakby przez mgłę. Najwięcej myślałem wtedy o zakończeniu najnowszej powieści (psychopatyczny zabójca zwabił bohaterkę do drapacza chmur i zamierzał wypchnąć ją z okna na ostatnim piętrze) oraz o ciąży Jo. Czy wiedziała? Czy podejrzewała? A jeśli tak, to dlaczego nic mi nie powiedziała?

Właśnie się nad tym zastanawiałem, kiedy uklęknałem przy łóżku, zajrzałem pod nie i na podłodze po stronie Jo zobaczyłem otwartą książkę w miękkiej oprawie. Umarła całkiem niedawno, lecz niewiele domowych krain jest tak zakurzonych jak Podłóżkowe Królestwo. Cienka warstwa szarego pyłu na okładce skojarzyła mi się z widokiem twarzy i rąk Johanny leżącej w trumnie. Jo w Podziemnym Królestwie. Czy w trumnie był kurz? Jasne, że nie, ale...

Pospiesznie odepchnąłem od siebie tę myśl. Wycofała się posłusznie, lecz potem przez cały dzień krążyła w pobliżu, niczym polarny niedźwiedź<sup>^</sup>Dostojewskiego.

Johanna i ja skończyliśmy anglistykę na Uniwersytecie Maine i jak wielu innych zakochaliśmy się w brzmieniu Szekspira oraz cynizmie Edwarda Arlingtona Robinsona. Jednak pisarzem, który najbardziej nas zbliżył, był nie żaden ulubieniec nauczycieli i wykładowców, lecz W. Somerset Maugham, postarzały, wędrujący po świecie powieściopisarz i dramaturg o gadziej twarzy (na fotografiach nieodmiennie przesłoniętej chmurą papierosowego dymu) i sercu roman-

tyka. Dlatego wcale mnie nie zdziwiło, że książką, którą Jo czytała na krótko przed śmiercią na parkingu centrum handlowego, był „Księżyc i sześciopensówka”. Zapewne czytała ją już po raz n-ty, choć nie mogłem sobie przypomnieć, że bym widział ją z tym egzemplarzem w ręce. Ja sam czytałem ją dwukrotnie jako nastolatek, za każdym razem silnie identyfikując się z postacią Charlesa Stricklanda.

Jako zakładka posłużyła Jo karta z jakiejś dawno zdekompletowanej talii. Otworzywszy książkę, przypomniałem sobie coś, co usłyszałem od niej w pierwszych dniach naszej znajomości; podczas wykładów z XX-wiecznej literatury brytyjskiej, zdaje się, że około roku 1980. Johanna Arlen była zapaloną studentką drugiego roku, ja natomiast kończyłem już uczelnię i zapisałem się na wykłady z Brytyjczyków głównie dlatego, że miałem sporo wolnego czasu. „Za sto lat wszyscy będą się dziwić, dlaczego w połowie dwudziestego wieku krytycy zachwycali się Lawrence'em, natomiast nie dostrzegali Maughama”. Jej wypowiedź wywołała burzę śmiechu (wszyscy wiedzieli, że „Zakochane kobiety” są jedną z najwspanialszych książek, jakie kiedykolwiek zostały napisane), ale ja nie przyłączyłem się do ogólnej wesołości, ponieważ od razu się zakochałem.

Zakładka tkwiła między stronami 102 i 103; Dirk Stroeve właśnie dowiedział się, że jego żona porzuciła go dla Stricklanda, który był Maughamowską wersją Paula Gaugaina... chociaż jeśli o mnie chodzi, to Strickland zawsze przypominał mi amerykańskiego poetę Wallace'a Stevensa. Narrator usiłuje podtrzymać Stroeve'a na duchu. „Mój drogi przyjacielu, rozchmurz się. Ona na pewno wróci...”

- Łatwo ci mówić - mruknąłem do pokoju, który należał już tylko do mnie.

Odwrociłem stronę i trafiłem na ten ustęp: „Obrażliwy

spokój Stricklanda wyprowadził Stroeve'a z równowagi.

Ogarnęła go ślepa furia; nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, rzucił się na Stricklanda. Ten, zaskoczony, zachwiał się, ale nawet po chorobie był bardzo silny, więc po chwili Stroeve znalazł się na podłodze, nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło. - Ty mały żałosny człowieczku - powiedział Strickland".

Przyszło mi do głowy, że Jo już nigdy nie odwróci strony i nie usłyszy, jak Strickland nazywa nieszczęsnego Stroeve'a małym żałosnym człowieczkiem. W przeraźliwie jasnym rozblasku, którego nigdy nie zapomnę (jak, mógłbym go zapomnieć? przecież to jedna z najgorszych chwil w moim życiu), uświadomiłem sobie, że to nie błąd, który da się naprawić, ani nie sen, z którego się obudzę. Johanna umarła.

Rozpacz odebrała mi siły. Gdyby nie to, że tuż obok miałem łóżko, z pewnością runąłbym jak długi na podłogę. To prawda, że łzy płyną nam z oczu - tak jesteśmy skonstruowani - ale tamtego wieczoru szlochałem wszystkimi porami ciała, każdym zadrapaniem i skaleczeniem. Siedziałem po jej stronie łóżka z zakurzoną egzemplarzem „Księżycy i sześciopensówki” w ręce i płakałem. Stało się tak w równym stopniu za sprawą bólu i zaskoczenia; chociaż widziałem ciało na ekranie monitora o wysokiej rozdzielczości, chociaż uczestniczyłem w pogrzebie, chociaż wysłuchałem Pete'a Breedlove'a śpiewającego „Błogosławione uspokojenie” wysokim, pięknym głosem, chociaż jeszcze rozbrzmiewały mi w uszach słowa o tym, że z prochu powstałem i w proch się obrócę, właściwie nie wierzyłem, że wszystko to dzieje się naprawdę. Zakurzona tania książka dokonała tego, co nie udało się trumnie za trzy i pół tysiąca dolarów: uświadomiła mi, że moja żona nie żyje.

„Ty mały żałosny człowieczku, powiedział Strickland”.

Leżałem na wznak na naszym łóżku, zasłoniłem twarz rę-



kami i szlochałem. Płakałem tak długo, że w końcu zasnąłem, jak często przytrafia się dzieciom, kiedy są bardzo nie-szczęśliwe, i miałem okropny sen. Śniło mi się, że się obudziłem, zobaczyłem „Księżyc i sześciopensówkę” leżący obok mnie na kołdrze i postanowiłem schować książkę pod łóżko, gdzie ją znalazłem. Wiecie, jak to jest ze snami: obowiązuje w nich ta sama logika co na obrazach Dalego, gdzie zegary wiszą na gałęziach drzew jak przygotowane do trzepania dywany. W moim śnie przyświecała mi myśl, że książka będzie czymś w rodzaju pomnika Johanny.

Włożyłem zakładkę z powrotem między strony 102 i 103 - zaledwie jeden mały ruch palcem od „Ty mały żaloszny człowieczku, powiedział Strickland”, teraz i na zawsze - i schyliłem się, żeby odłożyć książkę na miejsce.

Pod łóżkiem, wśród kłębków kurzu, leżała Jo. Ze sprężyny zwisała pajęczyna i delikatnie muskała jej policzek. Rude włosy zmatowiały, twarz była niemal biała, oczy natomiast ciemne, czujne i płonące. Jak tylko przemówiła, zorientowałem się, że śmierć pomieszała jej zmysły.

- Dawaj! - syknęła. - To moja ścierka do kurzu!

Zanim zdążyłem zareagować, wyrwała mi książkę z ręki. Nasze palce zetknęły się na ułamek sekundy, lecz wystarczyło to w zupełności, abym poczuł, że są zimne jak gałązki drzew po mroźnej nocy. Otworzyła książkę w zaznaczonym miejscu; zakładka wypadła, Jo zaś położyła sobie Somerseta Maughama na twarzy. Całun ze słów. Zaraz potem skrzyżowała ręce na piersi i znieruchomiała, ja natomiast uświadomiłem sobie, że ma na sobie niebieską sukienkę, w której ją pochowałem. Wróciła do mnie. Nie wiem jak, ale wróciła. Wyszła z grobu i ukryła się pod naszym małżeńskim łóżkiem.

Obudziłem się raptownie, ze zdławionym krzykiem, i niewiele brakowało, a spadłbym z łóżka. Nie spałem długo; policz-

ki wciąż miałem mokre od łez, a na powiekach czułem charakterystyczny ciężar, który gromadzi się tam po długim płaczu. Sen był tak realistyczny i tak utkwiał mi w pamięci, że musiałem przetoczyć się na bok, zwiesić głowę i zerknąć pod łóżko. Przez chwilę byłem niemal pewien, że zobaczę ją tam z otwartą książką na twarzy i że wyciągnie ku mnie lodowatą rękę...

Rzecz jasna, niczego tam nie było. Sny są tylko snami. Nie miałem najmniejszego zamiaru odkładać książki tam, skąd ją wyciągnąłem, ponieważ znalazłaby ją tam Denise Breedlove albo któraś z jej przyjaciółek i wrzuciłaby do pudła z napisem NA WYPRZEDAŻ.

Przerażający sen zaczął już powoli blednąć, ale coś z niego chyba jednak pozostało, ponieważ tę noc spędziłem na kanapie w gabinecie. Dobrze zrobiłem, gdyż nic już mi się nie przyśniło. To przynajmniej pamiętam: pustkę głębokiego snu.

## Rozdział 2

Przez dziesięć lat małżeństwa nigdy nie doświadczyłem niemocy twórczej, ani nie ogarnęła mnie ona bezpośrednio po śmierci Johanny. Ponieważ nie wiedziałem, czego się spodziewać, zorientowałem się, że coś jest nie w porządku, dopiero wtedy, kiedy stan był już dość zaawansowany. Głęboko w sercu żywiłem chyba przekonanie, iż podobne dolegliwości dotyczą wyłącznie postaci omawianych, analizowanych i niekiedy poddawanych miazdzącej krytyce na łamach „New York Review of Books”.

Moja pisarska kariera i małżeństwo trwały niemal dokładnie tyle samo. Pierwszą wersję pierwszej powieści ukończyłem krótko po naszych oficjalnych zaręczynach (wsunąłem na jej palec pierścioneł z opalem za sto dziesięć dolarów, czyli za trochę więcej, niż mogłem sobie wtedy pozwolić, ale za to jaka była zachwycona!), natomiast pierwsza wersja najnowszej książki, „Upadek”, była gotowa mniej więcej miesiąc po śmierci Jo; powieść o psychopatycznym mordercy z bzikiem na punkcie wielkich wysokości. Jeszcze nie ukazała się drukiem, ale nie wątpię, że kiedy to nastąpi, dorówna popularnością poprzednim. Przynajmniej mam taką nadzieję, ponieważ, jak sądzę, będzie to moja ostatnia książka. Teraz już wiem, co znaczy niemoc twórcza. Aż za dobrze.

Kiedy z pewnymi oporami wręczyłem Jo maszynopis „We dwoje”, przeczytała go jeszcze tego samego wieczoru, skulona na swoim ulubionym fotelu, tylko w majteczkach i bawelnianej koszulce z czarnym niedźwiedziem, wlewając w siebie kolejne szklanki mrożonej herbaty. Wyszedłem do garażu (wspólnie z jeszcze jedną parą wynajmowaliśmy wówczas

dom w Bangor na nie do końca sprecyzowanych warunkach finansowych, i wcale nie byliśmy jeszcze małżeństwem, choć zdążyłem już wręczyć Jo pierścionek z opalem) i objąłem się tam bez sensu, czując się trochę jak zabawna postać z gazetowego komiksu - wiecie, jeden z tych gości w poczekalni. Jeśli dobrze pamiętam, wziąłem się do montowania z gotowych elementów budki dla ptaków, ale choć zadanie było dziecinnie proste, dokumentnie wszystko spieprzyłem, a na dodatek mało nie uciąłem sobie wskazującego palca lewej ręki. Mniej więcej co dwadzieścia minut wracałem do domu i zaglądałem do pokoju; Jo ani razu nie spojrzała na mnie, chyba nawet nie zauważyła mojej obecności. Uznałem to za dobry znak.

Wyszła do mnie, kiedy siedziałem na schodkach przed tylnym wejściem, piłem piwo i gapilem się w gwiazdy. Położyła mi rękę na karku.

- I co? - zapytałem.

- Dobrze - powiedziała. - Może wszedłbyś do środka i zajął się mną?

Zanim zdążyłem otworzyć usta, nylonowe majteczki spłynęły mi na kolana lekko niczym szept.

Później, kiedy leżeliśmy obok siebie, objadając się pomarańczami (po jakimś czasie wyrosliśmy z tego zgubnego nałogu), zapytałem:

- Na tyle dobre, że nadaje się do wydania?

- Cóż, niedużo wiem o prawach rządzących wspaniałym światem wydawców, ale całe życie czytam dla przyjemności. Może nie wiesz, ale moją pierwszą miłością był Tomcio Paluch...

- Rzeczywiście, nie wiedziałem.

Pochyliła się nade mną, kusząco musnęła ciepłą pierśią moje ramię i wsunęła mi do ust cząstkę pomarańczy.

- Twoją książkę przeczytałam z zapartym tchem. Jestem

prawie pewna, że będę żoną powieściopisarza, a nie reportera lokalnej gazety.

Powiem wam szczerze, że aż dostałem gęziej skórki, kiedy to usłyszałem. Rzeczywiście, nic nie wiedziała o wspaniałym świecie wydawców, ale uwierzyła we mnie... i miała rację, jak się wkrótce okazało. Za pośrednictwem mojego dawnego nauczyciela z warsztatów literackich (nie pozostawił na książce suchej nitki, ponieważ należał do pokolenia, które nie wierzy, że istnieje coś takiego jak „wartości komercyjne”) znalazłem agenta, ten zaś sprzedał „We dwoje” wydawnictwu Random House - pierwszemu, które ją dostało.

Jo nie pomyliła się również w ocenie moich szans jako dziennikarza. Zanim przyszedł pierwszy czek z Random House (dwadzieścia siedem tysięcy dolarów, i to po odjęciu prowizji agenta), zarabiałem jakąś stówę tygodniowo, relacjonując przebieg wystaw kwiatów, wyścigów zdezelowanych samochodów i przyjęć dobroczynnych. Choć przepracowałem w redakcji zaledwie cztery miesiące - za mało, by otrzymać pierwszą podwyżkę - koledzy zgotowali mi przyjęcie pożegnalne. Jeśli mnie pamięć nie myli, odbyło się w pubie U Jacka. Na ścianie zawieszono transparent z napisem: POWODZENIA MIKE! PISZ DALEJ. Johanna powiedziała później, że gdyby zazdrość działała jak kwas, po przyjęciu zostałyby ze mnie tylko sprzączka od paska i garść zębów.

Jeszcze później, już w łóżku, po ostatniej pomarańczy i ostatnim papierosie, zapytałem:

- Chyba nikt nie pomyli jej z „Portretem Doriana Graya”?

Oczywiście miałem na myśli swoją książkę. Jo wiedziała, jak bardzo przejąłem się miażdżącą oceną powieści dokonaną przez mojego byłego nauczyciela.

- Chyba nie zamierzasz odgrywać roli sfrustrowanego

artysty?- spytała, podniósłszy się na łokciu. - Bo jeśli tak, to lepiej uprzedź mnie od razu, żebym już jutro mogła zacząć przygotowania do rozwodu.

Rozbawiła mnie, ale jednocześnie zrobiło mi się trochę przykro.

- Czytałaś zapowiedzi wydawnicze Random House? - Doskonale wiedziałem, że czytała. - Reklamują mnie jako V.C. Andrews z kutasem.

Złapała za wspomniany obiekt.

- Bo go masz, więc wszystko się zgadza. Naprawdę tak bardzo obchodzi cię, jak cię nazywają? Kiedy byłam w trzeciej klasie, Patty Banning mówiła o mnie „tłusty hamburger”, choć wcale nie byłam gruba.

- Wszystko zależy od punktu widzenia.

- Guzik prawda. - Wzmocniła uścisk, tak że prawie zabolalo, choć jednocześnie zrobiło mi się bardzo przyjemnie. W tamtych czasach mój mały przyjaciel nie był szczególnie wybredny; chodziło mu tylko o to, żeby ktoś stale poświęcał mu uwagę. - Najważniejsze jest szczęście. Czy jesteś szczęśliwy, kiedy piszesz?

- Jasne.

Doskonale o tym wiedziała.

- A może dręczą cię wtedy wyrzuty sumienia?

- Kiedy piszę, nie marzę o niczym innym na świecie... no, może z wyjątkiem tego.

Przetoczyłem się na nią.

- Ojejku! - zapiszczała głosikiem pensjonarki, który zawsze stawiał mnie na uszaCh. - Zdaje się, że między nami jest jakiś penis!

Kochając się z nią, uświadomiłem sobie dwie wspaniałe rzeczy: po pierwsze, że naprawdę spodobało jej się „We dwoje” (do licha, domyśliłem się tego od razu, widząc, jak siedzi

skulona w fotelu i poprawia niesforny kosmyk włosów opadający na czoło), i po drugie, że nie muszę się wstydzić tego, co napisałem - przynajmniej przed nią. I jeszcze jedno: liczył się tylko nasz wspólny punkt widzenia, jej i mój, dający niepowtarzalny stereoskopowy obraz, taki, jaki można uzyskać wyłącznie w małżeństwie.

Dzięki Bogu, uwielbiała Maughama.

Byłem V.C. Andrews z kutasem przez dziesięć lat - czternaście, jeśli doliczyć okres po śmierci Johanny. Przez pięć lat wydawałem książki w Random House, potem mój agent wynegocjował atrakcyjny kontrakt z Putnamem, więc zmieniłem wydawcę.

Z pewnością często widywaliście moje nazwisko na listach bestsellerów, pod warunkiem, że wasza gazeta publikuje, powiedzmy, piętnaście czołowych pozycji, a nie ogranicza się do dziesięciu. Nie stałem się drugim Clancym, Ludlumem ani Grishamem, ale sprzedałem sporo książek w twardej oprawie (w przeciwieństwie do V.C. Andrews, która, jak powiedział mój agent, była fenomenem paperbacków), a raz dotarłem nawet do piątego miejsca na liście „New York Timesa”. To była moja druga powieść, „Człowiek w czerwonej koszuli”. Co ciekawe, jedną z książek okupujących wówczas cztery pierwsze miejsca była „Stalowa maszyna” Thada Beaumonta (wydał ją pod pseudonimem George Stark). Beaumontowie mieli letni domek w Castle Rock, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na południe od naszego. Thad już nie żyje. Popęłił samobójstwo. Nie wiem, czy miało to jakiś związek z niemocą twórczą.

Nie zdołałem wdrzeć się do zaklętego kręgu superbestsellerów, ale wcale tego nie żałowałem. Zanim skończyłem trzydzieści jeden lat, mieliśmy już dwa domy: utrzymany w stylu wiktoriańskim w Derry i duży, zbudowany z bali, let-

ni dom nad jeziorem. Oba szybko spłaciliśmy, podczas gdy większość par w naszym wieku i z naszym stażem małżeńskim uważa się za szczęśliwców, jeśli zdołają przekonać bank, żeby udzielił im kredytu pod zastaw hipoteczny. Byliśmy zdrowi, dochowywaliśmy sobie wierności, potrafiliśmy cieszyć się życiem. Może nie byłem Thomasem Wolfem (ani nawet Tomem), ale za to mogłem robić to, co lubię, a na dodatek dostawałem za to pieniądze. Powiadam wam, nie ma większej frajdy na świecie.

Moja sytuacja mocno przypominała tę, w jakiej w latach czterdziestych znalazła się tak zwana „literatura wagonowa”: byłem ignorowany przez krytyków, przywiązany do schematu (Uroczą, Niezależną Młodą Kobieta Spotyka Fascynującego Nieznajomego), dobrze opłacany i w sumie akceptowany w ten sam sposób, w jaki są akceptowane domy publiczne w Newadzie: opinia społeczna przyznaje z lekkim zawstydzeniem, że musi istnieć możliwość zaspokajania podstawowych instynktów bez konieczności wchodzenia w konflikt z prawem, w związku z czym musi też być ktoś, kto robi Te Rzeczy. Robiłem Te Rzeczy z zapałem (a nierzadko, kiedy akcja zapętlila się w trudny do rozsoplania węzeł, przy entuzjastycznym współdziale Jo) i tak jakoś w okolicy powtórnego wyboru Reagana na urząd prezydenta dowiedzieliśmy się od naszej księgowej, że jesteśmy milionerami. Oczywiście nie byliśmy aż tak bogaci, żeby kupić prywatny odrzutowiec (Grisham) ani nawet udziały w zawodowej drużynie baseballowej (Clancy), ale według standardów obowiązujących w Derry, w stanie Maine, wspięliśmy się na zawrotne wyżyny zamożności. Kochaliśmy się tysiące razy, oglądaliśmy mnóstwo filmów, czytaliśmy stosy książek (Jo zazwyczaj upychała je pod łóżkiem), najważniejsze zaś było chyba to, iż nie mieliśmy pojęcia, jak niewiele czasu nam pozostało.



Zastanawiałem się wielokrotnie, czy przyczyną mojej niemocy twórczej nie stało się złamanie uświęconego wieloletnią tradycją rytuału. Za dnia kwituję takie myśli wzruszeniem ramion, jednak nocą znacznie trudniej się ich pozbyć. Nocą myśli mają nieprzyjemny zwyczaj zrywania się ze smyczy, jeśli zaś przez większą część dorosłego życia zajmowałeś się pisaniem wymyślonych historii, smycz okazuje się znacznie mniej wytrzymała, niż przypuszczałeś. Shaw (a może to był Oscar Wilde) powiedział, że pisarz to człowiek, który nauczył swoje myśli nieposłuszeństwa.

Czy naprawdę przesadzam, podejrzewając, iż zakłócenie rytuału mogło mieć jakiś związek z moim niespodziewanym (przynajmniej dla mnie) zamilknięciem? Dla kogoś, kto zarabia na życie fantazjowaniem, granica między tym, co jest, a tym, co tylko być może, bywa niekiedy bardzo niewyraźna. Niektórzy malarze stają za sztalugami tylko wtedy, kiedy mają na głowie ukochany kapelusz, a baseballiści nie zmieniają skarpetek, które mieli na sobie, kiedy oddawali najlepsze rzuty.

Początki mojego osobistego rytuału sięgają drugiej książki - jedynej, której napisanie kosztowało mnie trochę nerwów. Chyba zanadto przejąłem się opinią, że jedno trafienie może być przypadkowe. Pamiętam wykładowcę literatury amerykańskiej, który twierdził, że jedynym współczesnym pisarzem amerykańskim, któremu udało się uniknąć „syndromu drugiej książki”, był Harper Lee;

Przerwałem pisanie tuż przed końcem „Człowieka w czerwonej koszuli”. Od wiktoriańskiego domu przy Benton Street w Derry dzieliły nas jeszcze dwa lata, ale kupiliśmy już dom nad jeziorem Dark Score (oczywiście nie był wtedy tak umeblowany jak teraz i nie zdążyliśmy jeszcze dobudować pracowni Jo, ale i tak prezentował się całkiem nieźle). Tam właśnie pracowałem nad książką.

Wstałem od maszyny - korzystałem jeszcze z elektrycznej maszyny do pisania - i poszedłem do kuchni. Była połowa września, większość letników wróciła już do miast, znad wody dobiegało wołanie nurów. Słońce powoli zachodziło, jezioro wyglądało jak tafla zamrożonego ognia. Jest to jedno z moich najwyraźniejszych wspomnień, tak świeże i plastyczne, że niekiedy wydaje mi się, iż mogę wejść w nie i przeżyć wszystko jeszcze raz. Ciekawe, czy zmieniłbym cokolwiek, a jeżeli tak, to co by to było?

Nieco wcześniej wsadziłem do lodówki butelkę tatteringera i dwa wysokie kieliszki. Wyjąłem wszystko, postawiłem na metalowej tacy służącej zazwyczaj do transportu dzbanków z mrożoną herbatą oraz innych napojów chłodzących, i zaniósłem ją do salonu.

Johanna siedziała w swoim starym fotelu, pogrążona w lekturze (tym razem był to nie Maugham, lecz William Denbrough, jeden z jej ulubionych współczesnych autorów).

- Oho - rzuciła, podniósłszy wzrok, i zamknęła książkę.  
- Szampan! Cóż to za okazja?  
Zupełnie jakby nie wiedziała.  
- Skończyłem. Ma livre est toutfinis.

- Cóż - powiedziała z uśmiechem, biorąc do ręki kieliszek - w takim razie, chyba wszystko w porządku, no nie?

Teraz wiem, że najważniejszą częścią rytuału, jego magicznym jądrem i sensem istnienia, było właśnie tych kilka słów. Prawie zawsze piliśmy szampana, później Jo prawie zawsze szła ze mną do gabinetu, żeby... no, wiecie... ale tylko prawie. Te słowa padały zawsze, bez wyjątku.

Kiedyś, na około pięć lat przed śmiercią mojej żony, skończyłem kolejną powieść akurat wtedy, kiedy Jo była z przyjaciółką na wakacjach w Irlandii. Napilem się szampana, samodzielnie wstukałem ostatnią linijkę (używałem

wtedy Macintosha, który miał miliard przeróżnych funkcji, podczas gdy ja korzystałem tylko z jednej) i wszystko było w porządku, zaraz potem jednak zadzwoniłem do hotelu, w którym mieszkała z Carlą, powiedziałem jej, że skończyłem książkę, po czym wysłuchałem słów, na które czekałem: „W takim razie, chyba wszystko w porządku, no nie?” Rozbrzmiały po drugiej stronie Atlantyku jak modlitwa, odbiły się od jakiegoś satelity, a następnie trafiły do mojego ucha.

Jak już wspomniałem, wszystko zaczęło się przy drugiej książce. Opróżniliśmy kieliszki, napełniłem je ponownie, po czym zabrałem Jo do gabinetu, gdzie w zielonym selectricu wciąż tkwiła kartka papieru. Na jeziorze ostatni nur obwieścił początek nocy; ten głos zawsze będzie mi się kojarzył z poskrzypywaniem jakiejś zardzewiałej metalowej części, poruszanej delikatnie przez wiatr.

- Przecież powiedziałeś, że już skończyłeś?

- Została jeszcze ostatnia linijka. Książkę zadedykowałem tobie, więc chciałbym, żebyś to ty ją napisała.

Nie roześmiała się, nie protestowała ani się nie rozczuliła, tylko spojrzała na mnie, jakby chciała się upewnić, czy mówię poważnie. Skinąłem głową, a ona bez słowa usiadła w fotelu. Parę godzin wcześniej brała kąpiel w jeziorze, więc miała włosy zebrane z tyłu głowy i spięte białą gumką. Były jeszcze wilgotne i chyba o jakieś dwa odcienie ciemniejsze niż zazwyczaj. Dotknąłem ich; mógłbym przysiąc, że dotykam mokrego jedwabiu.

- Nowy akapit? - zapytała z powagą, niczym stenotypistka szykująca się do pisania listu pod dyktando samego szefa.

- Nie, ten sam. - A potem powiedziałem zdanie, które rozbrzmiewało mi w głowie od chwili, kiedy wyszedłem do kuchni po szampana: - Zrzucił jej łańcuch na szyję, po czym

zeszli po schodach do samochodu^

Wystukała je i spojrzała na mnie pytająco.

- To wszystko - oznajmiłem. - Ktoś powiedział, że powieść kończy się wtedy, kiedy pisarz nie wie, co będzie dalej. Właśnie dotarłem do tego miejsca. Teraz możesz napisać „Koniec”.

Jo opuściła dwie linie i moją ulubioną czcionką wydrukowała pośrodku wiersza słowo KONIEC.

- Co to za łańcuch, który zakłada jej na szyję? - zapytała.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć, musisz przeczytać całą książkę.

Ponieważ siedziała przy biurku, a ja stałem tuż za nią, nie miała najmniejszego kłopotu z przytuleniem twarzy właśnie tam, gdzie ją przytuliła. Kiedy się odezwała, jej usta poruszały się tuż przy moim najczulszym miejscu. Dzieliły nas tylko bawełniane szorty, nic więcej.

- Hnamy hpohoby, heby hmuhyecz czę do móhenia!

- Nie wątpię - odparłem drżącym głosem. - Ani trochę.

Ostateczne pożegnanie z rytuałem nastąpiło w dniu, kiedy skończyłem „Upadek”. Nie znalazłem w nim ani śladu dawnej magicznej mocy, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Wróciłem do niego wyłącznie z szacunku i miłości, nie dlatego, żebym wierzył w przesady. Można chyba powiedzieć, że był to prawdziwy pogrzeb Johanny, miesiąc po tym, jak jej ciało spoczęło w ziemi.

Działo się to w ostatniej dekadzie września, ale temperatura utrzymywała się na wyjątkowo wysokim poziomie. Nie pamiętam równie upalnego schyłku lata. Przez cały końcowy okres pracy nad książką myślałem o tym, jak bardzo brakuje mi Jo, ale pisałem w takim samym tempie co zawsze. I jeszcze jedno: mimo dokuczliwych upałów -zazwyczaj siadałem

do komputera tylko w szortach - nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbym pojechać do domu nad jeziorem, zupełnie jakby wszystkie wspomnienia stamtąd znikły z mego umysłu. Powodem było przypuszczalnie to, że prawda wreszcie zaczęła torować sobie drogę do mojej świadomości. Tym razem Jo nie wyjechała do Irlandii.

Mój gabinet nad jeziorem jest nieduży, ale roztacza się z niego wspaniały widok, natomiast mój pokój w Derry jest długi, wąski, zavalony książkami i pozbawiony okien. Tego wieczoru działały wszystkie trzy wentylatory pod sufitem, leniwie międląc gęste powietrze. Wszedłem w szortach, gumowych kłapkach, z blaszaną tacą w rękach, na której stała butelka szampana i dwa schłodzone kieliszki. W drugim końcu przypominającego tramwaj pokoju, pod niskim ukośnym stropem, w który wiele razy uderzałem głową (Jo zawsze twierdziła, że ustawiłem biurko w najmniej nadającym się do tego miejscu), jarzył się obsypany słowami ekran Macintosha.

Podejrzywałem, że wywołam kolejny atak rozpacz, może nawet najgorszy z dotychczasowych, ale brnąłem dalej. Czy zauważyliście, jak często zaskakujemy samych siebie? Tego wieczoru obyło się bez szlochania i zawodzenia - być może dlatego, że już zabrakło mi łez - pozostało natomiast przejmujące wrażenie ogromnej, bolesnej straty.

Nalałem szampana do kieliszka, poczekałem, aż opadnie piana, po czym wziąłem go do ręki.

- Skończyłem, Jo - powiedziałem do wirujących leniwie wentylatorów. - W takim razie, chyba wszystko w porządku, no nie?

Nie otrzymałem odpowiedzi. Mając na uwadze to, co wydarzyło się później, powtórzę raz jeszcze: nie otrzymałem odpowiedzi. Światło nie zgasło, ekran nie zamigotał, wentylatory jakby nigdy nie kontynuowały elegancką, choć mało efek-

tywną działalność. Nie poczułem także, choć później zdarzało mi się to wielokrotnie, że nie jestem sam w pokoju. Wypowiedziałem jej słowa, co zawsze jest nieco ryzykowne w stosunkach ze zmarłymi, lecz nie odwiedził mnie nikt z tamtego wielkiego, niewidzialnego świata. Jestem tego zupełnie pewien.

Wypiłem szampana, odstawiłem kieliszek na tacę, napełniłem drugi, podszedłem z nim do komputera i usiadłem tam, gdzie siedziała by Johanna, gdyby nie kaprys ukochanego, miłującego Boga. Żadnych łez, tylko szczypanie w oczach.

Na ekranie widniał następujący tekst:

Chyba nawet nie było najgorzej. Przeszła po trawniku do samochodu i roześmiała się głośno, ujrzawszy pod wycieraczką kawałek papieru. Cam Delancey, który nie uznawał odmownych odpowiedzi, zapraszał ją na czwartkowe przyjęcie połączone z degustacją wina. Zamierzała podrzeć liścik, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i wepchnęła go do kieszeni spodni.

- W tym samym akapicie - wymamrotałem, po czym wystukałem zdanie, które rozbrzmiewało mi w głowie od chwili, kiedy wyszedłem do kuchni po szampana:

Przecież czekał na nią cały świat, który należało poznać i zbać. Dlaczego nie miałyby przystąpić do dzieła właśnie podczas czwartkowego przyjęcia u Cama?

Cofnąłem ręce znad klawiatury i zagapiłem się w migający kursor. Wciąż piekły mnie oczy, ale powtarzam: moich nóg nie owionął lodowaty podmuch, nie poczułem na karku dotknięcia zimnych palców. Wcisnąłem RETURN, stuknąłem w CENTER, napisałem KONIEC, po czym wzniosłem toast kieliszkiem Jo.

- Za ciebie, kochanie - powiedziałem. - Szkoda, że cię tu nie ma. Cholernie za tobą tęsknię.

Głos zadrżał mi trochę, ale się nie załamał. Dopilem szampana, wgrałem ostatnie zdanie na twardy dysk, a na-

stępnie przekopiowałem całość na dyskietki. Od tamtej pory, czyli od czterech lat, nie napisałem ani słowa, jeśli nie liczyć krótkich notatek, list zakupów i podpisywania czeków.

## Rozdział 3

Mój wydawca o niczym nie wiedział, podobnie jak mój agent Harold Oblowski. Nie wiedział również Frank Arlen, choć parę razy kusiło mnie, żeby mu powiedzieć. „Pozwól, że ja zastąpię ci brata. Bardziej ze względu na Jo niż na ciebie”. Tymi słowami pożegnał mnie w dniu, kiedy wrócił do swojej drukarni i samotnego życia w miasteczku Sanford położonym w południowej części stanu Maine. Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że kiedykolwiek skorzystam z jego propozycji, i nie zrobiłem tego - a przynajmniej nie w sposób, jaki bez wątpienia miał na myśli - ale dzwoniłem do niego co kilka tygodni. Wiecie, takie męskie rozmowy: „Co słychać, Nie najgorzej, tylko zimno jak w dupie u Eskimosa, Tutaj to samo, Słuchaj no, skoczyłbyś do Bostonu, gdyby udało mi się kupić bilety na mecz Niedźwiadków, Chętnie, ale może kiedy indziej, bo mam mnóstwo roboty, Jasne, wiem, jak to jest, No to trzymaj się, Mikę, I ty też, Frank”. Męskie rozmowy.

Chyba pytał mnie parę razy, czy piszę nową książkę, a ja odpowiedziałem, że...

Cholera, to kurewskie kłamstwo, ale tak się do niego przyzwyczaiłem, że sam prawie zacząłem w nie wierzyć! Jasne, że pytał, a ja wtedy mówiłem, że tak, piszę nową książkę, i nawet podawałem mu tytuł i mówiłem, że jest cholernie dobra. Kusiło mnie, potwornie kusiło, żeby powiedzieć: „Jak tylko napiszę dwa albo trzy zdania, coś zaczyna się ze mną dziać. Pocę się, serce wali mi jak młotem, tracę oddech, oczy wychodzą mi z orbit. Czuję się jak gość cierpiący na klaustrofobię, którego wsadzili do tonącego okrętu podwodnego, albo uwięziony w spadającej windzie. Tak właśnie ze mną jest. Dzięki, że



pytasz, Frank" - ale nigdy tego nie zrobiłem. Nie potrafię poprosić o pomoc. Chyba wam już o tym mówiłem.

Z mojego, całkowicie subiektywnego punktu widzenia, spośród wszystkich osób zajmujących się działalnością artystyczną najlepiej mają popularni pisarze, a nawet ci średnio popularni. Zgadza się: ludzie kupują więcej płyt niż książek, częściej chodzą do kina, a przede wszystkim więcej oglądają telewizję, ale za to kariera pisarza może trwać znacznie dłużej niż jakiegokolwiek innego twórcy - być może dlatego, że czytelnicy są nieco inteligentniejsi od odbiorców sztuki obrazkowej i mają nieznacznie lepszą pamięć. Kto wie, co się dzieje z Davidem Soulem od „Starsky'ego i Hutch'a" albo białym rapperem Vanilla Ice? Tymczasem w roku 1994 w każdej księgarni można było kupić książki Hermana Wouka, Jamesa Michenera i Normana Mailera; to coś takiego, jakby w okolicy pojawiły się żywe dinozaury.

Arthur Hailley pisał nową powieść (takie krążyły wtedy plotki, które zresztą okazały się stuprocentowo prawdziwe), Thomas Harris robił sobie siedmioletnie przerwy między kolejnymi Lecterami, a mimo to wciąż produkował bestsellery, J.D. Salinger zaś, choć od dwudziestu lat nie dawał znaku życia, wciąż stanowił temat gorących dyskusji podczas seminariów poświęconych literaturze współczesnej oraz w ogródkach kawiarni literackich. Czytelników cechuje niespotykana nigdzie indziej lojalność; tym chyba należy tłumaczyć fakt, że książki pisarzy, którzy od dawna nie mają o czym pisać, wciąż trafiają na listy bestsellerów. Sprawiają to magiczne słowa na okładce: AUTOR czegoś tam, KOLEJNA POWIEŚĆ AUTORA... i tu tytuł przeboju sprzed lat.

Czego oczekuje w zamian wydawca, szczególnie od pisarza, którego książka sprzedaje się w półmilionowym nakładzie w twardej oprawie, a nakład wydania masowego prze-

kracza milion egzemplarzy? Doprawdy niewiele - tylko tego, żeby autor pisał jedną książkę -rocznie. Zdaniem magnatów z Nowego Jorku, takie jest optimum. Trzysta osiemdziesiąt zszytych lub sklejonnych stron co dwanaście miesięcy, początek, środek i koniec, dalszy ciąg losów jakiegoś Kinseya Millhona albo Kay Scarpetty. Czytelnicy lubią śledzić losy tych samych bohaterów. Sięgając po kolejną książkę, czują się tak, jakby wracali na łono rodziny.

Jeśli piszesz mniej niż jedną książkę rocznie, narażasz się wydawcy (który przecież sporo w ciebie zainwestował i teraz obawia się, że gównem z tego będzie), osobie zarządzającej twoimi finansami (która ma kłopoty z utrzymaniem twojej wypłacalności) oraz agentowi (któremu brakuje pieniędzy na psychoanalitka). Oprócz tego, jeśli zwlekasz zbyt długo, pojawia się nacisk ze strony czytelników. Nie ma na to rady. Oczywiście działa to również w drugą stronę; jeżeli piszesz zbyt dużo, zawsze znajdą się tacy, którzy powiedzą: „Wiecie co? Mam już dosyć tego faceta. Wydaje mi się, że wciąż czytam tę samą książkę”.

Mówię wam to wszystko, żebyście tym bardziej docenili, jaką sztuką było ukrywanie przez cztery lata faktu, że korzystam z komputera wyłącznie jako z najdroższej na świecie planszy do gry w scrabble. Niemoc twórcza? Jaka niemoc twórcza? Co to takiego, do cholery? Jak można choćby pomyśleć o czymś takim, skoro z regularnością godną szwajcarskiego zegarka co wrzesień pojawia się w księgarniach nowa powieść Michaela Noonana, w sam raz na długie jesienne wieczory, a tak przy okazji: nie zapomnijcie, -że już za pasem święta i że warto zrobić prezent rodzinie i przyjaciołom, a skoro o prezentach mowa, to najnowszego Noonana można dostać w supermarkecie z rewelacyjnym trzydziestoprocentowym rabatem.

Wyjaśnienie jest bardzo proste i z pewnością nie jestem jedynym amerykańskim twórcą literatury popularnej, który uciekł się do tego podstępu. Plotka głosi, że na przykład Danielle Steel już od paru dziesięcioleci korzysta ze Sposobu Noonana. Otóż, choć od roku 1984 wydawałem jedną książkę rocznie, to w okresie od osiemdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego czwartego pisałem w ciągu roku półtorę powieści.

Nie przypominam sobie, żebym rozmawiał o tym z Jo, a ponieważ nigdy nie pytała, zakładałem, że wie, co robię - pracowicie gromadzę orzeszki, niczym wiewiórka w październiku. Nie sądzę jednak, abym czynił to z myślą o ewentualnym ataku niemocy twórczej - raczej szykowałem się na długie wakacje albo chciałem zabezpieczyć się (i Johannę) na wypadek choroby lub śmierci. Swoją śmierć jakoś potrafiłem sobie wyobrazić, nigdy natomiast nie przyszło mi do głowy, że Jo może umrzeć pierwsza.

W marcu lub kwietniu 1995, po długotrwałych zmaganiach z co najmniej dwoma znakomitymi pomysłami (najgorsze jest chyba to, że choć nie możesz pisać, pomysły wciąż przychodzą ci do głowy), musiałem uznać wymowę faktów: wpadłem w najgorsze tarapaty, w jakich może znaleźć się pisarz - no, może nie licząc choroby Alzheimera albo udaru mózgu. W bankowym sejfie miałem wówczas pięć kartonowych pudeł z maszynopisami, oznaczonych po prostu I, II, III, IV i V. Pod koniec kwietnia zadzwonił lekko zaniepokojony agent; zazwyczaj już w styczniu dostarczałem gotowy tekst, a tu tymczasem zbliżało się lato, a ja wciąż nie dawałem znaku życia. Trzeba będzie bardzo przyspieszyć produkcję, jeśli tegoroczny Mike Noonan ma ukazać się o czasie, czyli przed świąteczną gorączką zakupów. Czy wszystko w porządku?

Nadarzyła się wówczas pierwsza okazja, żeby powiedzieć,

jak naprawdę mają się sprawy, ale Harold Oblowski, urzędujący w gabinecie przy Park Avenue 225 w Nowym Jorku, nie należał do ludzi, którym można mówić takie rzeczy. Był sprawnym agentem, mistrzem licytacji („Jeśli nie złożycie oferty do piątej po południu, będzie po sprawie”), jednocześnie lubiany i nienawidzony w kręgach wydawców (niekiedy przez te same osoby), lecz dość nerwowo reagował na niedobre wiadomości z cuchnących smarami i potem otchłani, gdzie powstawały dobra, którymi handlował. Prawie na pewno wpadłby w panikę i wsiadł do najbliższego samolotu odlatującego do Derry, aby osobiście reanimować moją zemdloną żonę i za wszelką cenę wyrwać mnie z uśpienia. Jednocześnie w myślach obrzucałby wyzwiskami Jo, która śmiała umrzeć właśnie wtedy, kiedy dałoby się ze mnie najwięcej wycisnąć. Nie, z pewnością nie potrzebowałem tutaj Harolda Oblowskiego z jego fularowym krawatem i natrętną troskliwością. Wolałem, żeby został na swoim miejscu, to znaczy w gabinecie na trzydziestym ósmym piętrze, z którego roztaczała się zapierająca dech w piersiach panorama wielkiego miasta.

Powiedziałem mu więc: co za zbieg okoliczności, dzwonił dokładnie w chwili, kiedy napisałem ostatecznie zdanie, a niech mnie, wysłał ci to zaraz pocztą kurierską, dostaniesz najpóźniej jutro po południu, i co ty na to? Harold zapewnił mnie z powagą, że nie ma w tym żadnego zbiegu okoliczności, ponieważ już dawno stwierdził, że z jego pisarzami łączy go telepatyczna więź, po czym pogratulował mi i odłożył słuchawkę. Dwie godziny później posłaniec doręczył zamówiony przez niego bukiet, równie obfity i jedwabisty jak jego krawaty.

Wstawiłem kwiaty do wazonu w jadalni - po śmierci Jo prawie tam nie zaglądałem - po czym udałem się do banku.

Wspólnie z zastępcą dyrektora otworzyłem sejf, kilka minut później zaś maszerowałem do siedziby firmy kurierskiej z oznaczonym rzymską jedynką kartonowym pudłem pod pachą. „Tajemniczy wielbiciel” (czyli po prostu I), ukazał się w listopadzie, akurat przed szczytem świątecznych zakupów. Zadedykowałem tę książkę mojej ukochanej zmarłej żonie, choć wtedy, kiedy powieść powstawała, Jo żyła i czuła się znakomicie. Książka dotarła do jedenastego miejsca na liście bestsellerów „New York Timesa” i wszyscy byli zadowoleni. Nawet ja. Przecież wszystko zmierza ku lepszemu, czyż nie tak? Przecież nikt nigdy nie zapadł na chroniczną niemoc twórczą, prawda? (No, może z wyjątkiem Harpera Lee). Wystarczy się odprężyć, jak poradziła chórzystka pewnemu arcybiskupowi. Odprężyć się i dziękować Bogu za to, że byłem pracowitą wiewiórką.

Optymizm wciąż mnie nie opuszczał, kiedy rok później jechałem do firmy kurierskiej z pudłem oznaczonym numerem II; było to „Niepokojące zachowanie”, jedna z ulubionych powieści Jo. W marcu 1997, przebijając się przez zamieć śnieżną z pudłem numer III, byłem już nieco bardziej sceptycznie nastawiony do świata, chociaż na pytania w rodzaju: „Napisałeś ostatnio coś ciekawego?” odpowiadałem niezmiennie, że tak, oczywiście, piszę mnóstwo ciekawych rzeczy, wylatują ze mnie jak łajno z krowiej dupy.

Jak tylko Harold przeczytał III i oznajmił, że uważa ją za moją najlepszą powieść - bestseller, a do tego poważna! - nieśmiało zasugerowałem, że chętnie zrobiłbym sobie rok odpoczynku. Natychmiast zadał mi pytanie, którego najbardziej nie lubię: Czy wszystko w porządku? Jasne, odpowiedziałem, w całkowitym. Po prostu chciałbym zrobić sobie małą przerwę, i tyle.

Następną minutę wypełniło słynne milczenie Harolda

Oblowskiego, oznaczające, że co prawda Harold uważa cię za potwornego kretyna, ale jednocześnie lubi cię tak bardzo, iż postanowił zadać sobie trud i zastanowić się, jak by przekazać ci tę prawdę w najmniej bolesny sposób. Sztuczka jest znakomita, ale ja już dawno ją przejrzałem. Prawdę mówiąc, uczyniła to Jo. „On tylko udaje, że ci współczuje. W rzeczywistości niczym się nie różni od tych glin z dawnych »czarnych« filmów: pozwala ci mówić, aż wreszcie zaczynasz plątać się w zeznaniach i przyznajesz się do wszystkiego”.

Tym razem ja również zachowałem milczenie. Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki i odchyliłem się do tyłu razem z fotelem. Mój wzrok spoczął na oprawionej fotografii nad komputerem; przedstawiała nasz letni dom nad jeziorem Dark Score, który nazywaliśmy Sara Laughs. Nie byłem tam od wieków i dopiero teraz świadomie zadałem sobie pytanie, dlaczego. Może dlatego, że było to ulubione miejsce Johnny’ego?

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Harolda - ostrożny, spokojny głos człowieka zdrowego na umyśle, usiłującego wyprowadzić szaleńca ze stanu chwilowej (oby!) niepoczytalności:

- Mike, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Przynajmniej teraz, w tej fazie rozwoju twojej kariery.

- To nie jest żaden rozwój - odparłem. - W 1991 wspiąłem się na szczyt. Od tamtej pory liczba sprzedawanych egzemplarzy prawie się nie zmieniła.

- Pisarze, którzy osiągną ten poziom, mają do wyboru tylko dwie drogi: albo utrzymać się na nim, albo spaść.

Więc wole spaść, miałem na końcu języka... ale nie powiedziałem tego. Nie chciałem, żeby Harold domyślił się, jakie są prawdziwe rozmiary kryzysu ani po jak niepewnym

gruncie stąpam. Nie chciałem, żeby wiedział, że dostaję palpacji - tak, autentycznej palpacji serca! - za każdym razem, kiedy uruchomię w komputerze edytor tekstu i choć przez chwilę popatrzę na migający kursor. Poza tym, istnieje jeszcze coś takiego jak Złota Zasada Pisarstwa: Nigdy nie rób dzisiaj tego, co możesz odłożyć do jutra. Zasada ta dotyczy również omawiania poprawek redakcyjnych oraz filozoficznych dyskusji z agentami.

- W porządku - mruknąłem. - Rozumiem. Wiadomość dotarła do adresata.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

- Czy z tej książki wynika, że coś może być nie w porządku?

- Nie, skądże znowu. To twoja najlepsza powieść. Świetnie się ją czyta, ale oprócz tego jest tam... prawdziwa głębia. Tak właśnie wyglądałby romantyczny thriller, gdyby napisał go Saul Bellow. Chodzi mi tylko o to, że... Chyba nie masz żadnych problemów z następną książką? Wiem, że wciąż cholernie tęsknisz za Jo, zresztą jak my wszyscy, więc pomyślałem sobie...

- Nie - przerwałem mu pośpiesznie. - Żadnych problemów, Haroldzie.

Znowu długie, przeciągające się milczenie. Wytrzymałem je.

- Grisham mógł sobie pozwolić na rok przerwy - odezwał się wreszcie Harold. - Clancy też. Kiedy Thomas Harris milknie na kilka lat, wzmaga się zainteresowanie jego osobą. Dla ciebie, Mike, życie jest dużo trudniejsze niż dla tych na samym szczycie. Na każde miejsce od ósmego do piętnastego na liście bestsellerów czyha co najmniej pięciu chętnych: Sandford, Kellerman, Koontz, Garwood, Saul, chłopaki od nowelizacji „Star Trek” ... Doskonale wiesz, o kim mówię, bo przez parę miesięcy w roku to twoi najbliżsi są-

siedzi. Niektórzy idą w górę, tak jak Patricia Cornwell ze swoimi dwiema najnowszymi książkami, niektórzy spadają, inni, tacy jak ty, utrzymują stały poziom. Jeśli Tom Clancy zamilknie na pięć lat, a potem wróci z nową powieścią, której głównym bohaterem będzie Jack Ryan, ludzie rzucą się do księgarń. To pewnik. Jeśli ty zamilkiesz na pięć lat, twoja następna książka może się sprzedać tak jak poprzednie, ale nie musi. Osobiście radzę ci...

- ...kuć żelazo, póki gorące.

- Wyjąłeś mi to z ust.

Pogadaliśmy jeszcze trochę, po czym pożegnaliśmy się. Odchyliłem się jeszcze bardziej do tyłu, tak że lada chwila mogłem runąć z fotelem na podłogę, i zapatrzyłem się w zdjęcie naszej letniej siedziby. Sara Laughs - trochę jak w tytule tej starej ballady „Hall and Oates”. Istotnie, Jo kochała ten dom bardziej niż ja, ale tylko trochę, więc co powstrzymało mnie przed tym, żeby tam pojechać? Bili Dean, który doglądał domu pod naszą nieobecność, każdej wiosny zdejmował solidne drewniane okiennice, zakładał je z powrotem jesienią, czyścił rynny, konserwował pompę i generator, a pod koniec maja kotwiczył jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu pływającą platformę, z której wspaniale skakało się do wody.

Latem 1996 Bili oczyścił komin, mimo że od ponad dwóch lat nikt nie palił w kominku. Płaciłem mu co kwartał, tak jak zwyczajowo płaci się takim osobom w tej części świata. Bili Dean, stary Jankes ze starej jankeskiej rodziny, realizował moje czeki i ani razu nie zapytał, dlaczego prawie przestałem się tam pojawiać. Od śmierci Jo byłem w naszym letnim domu cztery, najwyżej pięć razy, i nie spędziłem ani jednej nocy. To dobrze, że Bili o nic nie pytał, bo nie wiem, co bym odpowiedział. O domu nad jeziorem przypomniałem



sobie dopiero podczas rozmowy z Haroldem.

Właśnie, Harold... Oderwałem wzrok od fotografii, spojrziałem na telefon i wyobraziłem sobie, jak mówię: W porządku, nie sprzeda się, i co z tego? Myślisz, że świat się skończy? Przecież nie mam rodziny, którą muszę utrzymywać. Żona nie żyje, umarła na parkingu przed centrum handlowym, a dziecko razem z nią. Nie pożądam też sławy - oczywiście jeśli przyjmujemy, że autorzy okupujący dalsze miejsca na liście „New York Timesa” są choć trochę sławni - i nie marzę o tym, żeby Oprah polecała moje książki w swoich programach. Może więc łaskawie powiesz mi, dlaczego miałbym się przejmować?

Jednak akurat na to pytanie znałem odpowiedź. Brzmiała ona: ponieważ oznaczałoby to porażkę. Straciłem żonę, a gdybym jeszcze stracił pracę, stałbym się nikomu niepotrzebnym samotnym człowiekiem, który mieszka w wielkim, spleconym domu i którego jedynym zajęciem jest rozwiązywanie krzyżówek przy obiedzie.

Mówiąc najkrócej, jak się da (z punktu widzenia pisarza to straszliwy grzech skracać długą historię), brnąłem dalej. Zapomniałem o letnim domu (a raczej zapomniała o tym ta część mnie, która nie chciała tam wracać) i spędziłem w Der-ry kolejne upalne, spocone lato. Próbowałem trochę pisać, ale nigdy nie udało mi się pokonać psychicznej blokady. Pewnego razu, kiedy postanowiłem za wszelką cenę zmusić się do napisania choćby jednego albo dwóch zdań - wszystko jedno jakich, byle coś wreszcie wyszło z mojej głowy - chwyciły mnie torsje. Wymiotowałem do kosza na śmieci tak długo, że wydawało mi się, że umrę, a potem dosłownie odczołgałem się od biurka i komputera. Kiedy dotarłem w drugi koniec pokoju, zrobiło mi się lepiej. Mogłem nawet spojrzeć na ekran monitora, ale nie było mowy o tym, żebym się

do niego zbliżył. Parę godzin później podkradłem się z zamkniętymi oczami i wyłączyłem komputer.

Tego lata coraz częściej myślałem o Dennisonie Carville'u, wykładowcy na warsztatach literackich, który niechętnie pochwalił „We dwoje”, po czym bezlitośnie zmieszał ją z błotem. Otóż Carville powiedział kiedyś coś, czego nigdy nie zapomnę; był to podobno cytat z Thomasa Hardy'ego, powieściopisarza i poety tworzącego w epoce wiktoriańskiej. Może Hardy rzeczywiście to powiedział, choć nie udało mi się znaleźć potwierdzenia w żadnym dostępnym mi źródle, w tym również w jego biografii, którą przeczytałem między opublikowaniem maszynopisów III i IV. Podejrzewam jednak, że Carville sam wymyślił tę sentencję, po czym przypisał ją Hardy'emu, by nabrała ciężaru gatunkowego. Ze wstydem muszę przyznać, iż ja też parę razy uciekłem się do tego podstępu.

Tak czy inaczej, coraz częściej wracałem myślami do tego cytatu, walcząc z paniką ogarniającą moje ciało i straszliwą, odrażającą pustką w głowie. To jedno zdanie stanowiło podsumowanie mojej rozpaczki oraz coraz silniejszego przekonania, że już nigdy nie będę mógł pisać. (Co za tragedia: V.C. Andrews z penisem pokonany przez niemoc twórczą!). To jedno zdanie przekonało mnie ostatecznie o bezcelowości moich wysiłków, nawet gdyby - co było zupełnie nierealne - miały zakończyć się choćby częściowym sukcesem.

Według starego, humorzastego Toma Hardy'ego (albo według starego, humorzastego Dennisona Carville'a), każdy początkujący pisarz powinien uświadomić sobie, że nigdy nie osiągnie wytyczonego celu, że jego wysiłki zawsze będą pracą Syzyfa. „Nawet w porównaniu z najpospolitszą ludzką istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi, najwspanialej przedstawiony bohater powieści będzie zaledwie workiem kości”. Doskonale rozumiałem, co miał na myśli, ponieważ

tak właśnie czułem się w te niekończące się, wypełnione fałszem dni: jak worek kości.

„Śniło mi się tej nocy, że znowu jestem w Manderley”.

Jeśli w literaturze anglojęzycznej istnieje piękniejsze i bardziej nastrojowe pierwsze zdanie powieści, to ja nigdy go nie znalazłem. Jesienią 1997 i zimą 1998 miałem powody, żeby o nim myśleć. Rzecz jasna moje myśli nie dotyczyły Manderley, tylko Sary Laughs, zwanej niekiedy przez Jo „kryjówką”. To chyba dobra nazwa dla domu zbudowanego w głębi lasów zachodniego Maine, daleko poza miastem, na obszarze oznaczonym na mapach stanowych symbolem TR-90.

Nasz letni dom często pojawiał się w moich snach. Ostatni z nich był prawdziwym koszmarem, wszystkie wcześniejsze natomiast charakteryzowała surrealistyczna prostota. Budziłem się z nich i natychmiast włączałem nocną lampkę, żeby odzyskać kontakt z rzeczywistością, po czym wyłączałem światło i zasypiałem ponownie. Z pewnością znacie objawy zbliżającej się burzy, wiecie, jak wszystko zamiera, jak barwy nabierają niezwyklej intensywności? Moje zimowe sny o Sarze Laughs były właśnie takie. Zostawiały po sobie zawrót głowy. Znowu śniłem o Manderley, myślałem niekiedy, a czasem długo leżałem przy włączonym świetle, wsłuchiwałem się w zawodzenie wiatru, wpatrywałem się w wypełnione mrokiem zakamarki pokoju i wyobrażałem sobie, że Rebeka de Winter wcale nie utonęła w oceanie, tylko w jeziorze Dark Score, że kiedy opadała na dno z tajemniczymi czarnymi oczami wypełnionymi wodą, towarzyszyło jej obojętne wołanie nurów. Zdarzało się, że wstawałem, żeby napić się wody, albo po prostu wyłączałem światło, odwracałem się na bok i ponownie zasypiałem.

Za dnia nigdy nie myślałem o domu nad jeziorem; dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, że chyba coś jest

nie w porządku, jeśli sen i jawa tak bardzo różnią się od siebie. Świadczy to o tym, że coś w sobie tłumimy.

Wydaje mi się, iż sny zaczęły mnie nawiedzać po rozmowie telefonicznej, jaką w październiku 1997 odbyłem z Haroldem Oblowskim. Harold zadzwonił niby tylko po to, żeby poinformować mnie o terminie wydania maszynopisu III i jeszcze raz pogratulować książki, która „nie tylko wciąga po uszy, ale w dodatku zmusza do myślenia”, ja jednak od razu się domyśliłem, że, jak zwykle, ma coś jeszcze w zana-drzu. Nie pomyliłem się. Dzień wcześniej, podczas lunchu z moim wydawcą Debrą Weinstock, rozmawiał o jesieni roku 1998.

- Będzie spory tłok. - Miał na myśli zapowiedzi wydawnicze na jesień. - I czeka nas parę niespodzianek. Koontz pisze pierwszą książkę dla Bantama...

- Wydawało mi się, że jego książki ukazują się w styczniu?

- To prawda, ale tym razem ma być inaczej. Bantam zapowiada najnowszego Koontza nie na styczeń, tylko już na listopad. Będzie też nowy Harold Robbins...

- Wielkie rzeczy.

- Może nie uwierzysz, ale Robbins wciąż ma wiernych czytelników. Jak sam wielokrotnie wspominałeś, kariera pisarza może trwać wiele lat.

- Aha.

Przełożyłem słuchawkę do drugiej ręki, odchyliłem się do tyłu w fotelu i całkiem przypadkowo zerknąłem na fotografię Sary Laughs. Oczywiście wówczas»nie miałem o tym pojęcia, ale jeszcze tej nocy miałem odwiedzić we śnie nasz dom nad jeziorem. Na razie wiedziałem tylko jedno: że marzę o tym, by Harold Oblowski wreszcie przeszedł do sedna sprawy.

- Wyczuwam zniecierpliwienie, chłopcze - powiedział

Harold. - Czyżbym przeszkodził ci w pracy? Pisałeś coś?

W wolnym przekładzie znaczyło to mniej więcej tyle: Michael, przyjacielu, czy właśnie przykucnąłeś w gnieździe i wyciskałeś z siebie kolejne wielkie, złote jajo?

- Przed chwilą skończyłem - odparłem. - Wybierałem się na lunch.

- Postaram się streszczać, ale proszę, wysłuchaj mnie uważnie. Jest jeszcze pięciu pisarzy, którzy niespodziewanie zapowiedzieli na jesień premiery swoich nowych książek: Ken Follet... Podobno to będzie jego najlepsza powieść od czasu „Igły”... Belva Plain... John Jakes...

- Wszyscy piszą zupełnie co innego niż ja - wpadłem mu w słowo, choć doskonale zdawałem sobie sprawę, że Harold dobrze o tym wie. Chodziło mu o to, że na liście bestsellerów „New York Timesa” jest tylko piętnaście miejsc.

- W takim razie, co powiesz na wiadomość, że Jean Auel wydaje kolejny tom sagi o życiu seksualnym ludzi w epoce lodowcowej?

Wyprostowałem się, jakby ktoś ukłuł mnie szpilką.

- Jean Auel? Naprawdę?

- No, może nie na sto procent, ale szansę są spore. A teraz uważaj, bo na koniec zachowałem prawdziwą bombę: Mary Higgins Clark. Chyba nie powiesz, że uprawiacie całkowicie odmienne rodzaje literatury?

Zgoda, nie powiedziałbym tego. Muszę przyznać, że ta wiadomość mocno mną poruszyła - to znaczy o tyle, o ile w tamtym okresie mogła mnie poruszyć jakakolwiek wiadomość dotycząca list bestsellerów. Gdybym usłyszał ową nowinę sześć albo siedem lat wcześniej, kiedy wydawało mi się, że mam o co walczyć, przypuszczalnie szlag by mnie trafił; Mary Higgins Clark i ja uprawialiśmy dokładnie ten sam rodzaj literatury, skierowanej do tego samego kręgu odbior-

ców, ale, przynajmniej do tej pory, nasze książki nie trafiły jednocześnie na rynek - naturalnie dla mnie było to nieporównanie ważniejsze niż dla niej. Gdybyśmy stanęli w szranki, przejechałaby po mnie jak czołg. Świętej pamięci Jim Croce zauważył kiedyś bardzo słusznie, że nie należy przywdziewać stroju Supermana, pluć pod wiatr, ściągać maski z twarzy Samotnego Jeźdźca ani stawać oko w oko z Mary Higgins Clark. Przynajmniej wtedy, jeśli nazywasz się Michael Noonan.

- Jak to możliwe? - zapytałem.

Nie wydaje mi się, żeby mój głos brzmiał jakoś szczególnie złowieszczo, ale Harold zaczął mówić bardzo szybko i niepewnie, jak ktoś, kto obawia się, że lada chwila zostanie zwolniony albo, co gorsza, ścięty za dostarczenie niedobrych wieści.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Widocznie w tym roku wpadł jej do głowy jeszcze jeden pomysł na dobrą książkę, i tyle. Słyszałem, że czasem zdarza się coś takiego.

Kiedyś mnie też się coś takiego zdarzało (nie zapominajcie, że do śmierci Johanny pisywałem półtorej książki rocznie), więc tylko zapytałem Harolda, czego w związku z tym ode mnie oczekuje. W mojej opinii był to najprostszy sposób, żeby zmusić go do szybkiego zakończenia rozmowy. Odpowiedź wcale mnie nie zaskoczyła: otóż nie tylko on i Debra, ale wszyscy moi przyjaciele z Putnama, pragnęliby dostać ode mnie maszynopis, który mogliby wydać w formie książkowej u schyłku lata 1998 roku, wyprzedzając o kilka miesięcy zarówno Mary Higgins Clark, jak i resztę konkurencji. Nieco później, gdzieś około listopada, putnamowscy spece od marketingu ponowiliby uderzenie reklamowe z myślą o okresie świątecznych zakupów.

- Tak mówią? - mruknąłem.

Jak zdecydowana większość pisarzy (pod tym względem ci najpopularniejsi niczym nie różnią się od tych stawiających pierwsze kroki, co dowodzi, że u podstaw tej zbiorowej paranoi tkwi całkiem spore ziarno prawdy) nie wierzą w obietnice wydawców.

- Tym razem chyba możesz im uwierzyć. Nie zapominaj, że zbliża się pora podpisania kolejnej umowy.

Nerwowość ustąpiła bez śladu. Słowa „pora podpisania kolejnej umowy” zabrzmiały w ustach Harolda tak, jak w ustach alkoholików brzmi zdanie: „No, czas strzelić sobie jednego głębszego”.

- Więc miałbym dostarczyć im nową powieść w listopadzie? Za miesiąc?

Miałem nadzieję, że nasączyłem swój głos wystarczającą dawką niedowierzania - zupełnie jakby maszynopis „Dwóch spokojnych kobiet, w tym jednej martwej” nie spoczywał od sześciu lat w bankowym sejfie, w kartonowym pudle oznaczonym rzymską cyfrą IV.

- Ależ skąd! Miałbyś czas aż do piętnastego stycznia, albo nawet trochę dłużej - odparł wspaniałomyślnie Harold. Już wiedziałem, kto zapłacił za lunch: naturalnie Debra Weinstock. Kto wie, może nawet zaprosiła go do Czterech Pór Roku? Johanna nigdy nie mówiła o tej knajpie inaczej niż „Frankie Yalli i Cztery Pory Roku”. - Oczywiście to oznacza konieczność maksymalnego skrócenia cyklu produkcyjnego, ale są gotowi podjąć ryzyko. Pytanie brzmi: czy ty zdołasz skrócić swój cykl produkcyjny?

- Myślę, że tak, ale to będzie ich sporo kosztować. Powiedz im, że potraktuję tę sprawę tak samo jak ekspresowe pranie bielizny.

- I bardzo słusznie, Mike - oświadczył Harold. - Bardzo słusznie.

Zabrzmiało to tak, jakby przez cały czas się masturbował, ale dopiero teraz zaczął się zbliżać do szczęśliwego finału.

- Jak myślisz, ile...

- Wydaje mi się, że powinniśmy zażądać zwiększenia za-liczki o dwieście tysięcy dolarów. Tyle raczej przełkną; gdybyśmy chcieli więcej, zaczęłyby się gadki o tym, że zmiana terminu wydania książki leży również, a może nawet przede wszystkim, w twoim interesie, i tak dalej... Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę dodatkowy wysiłek z twojej strony...

- ...agonalne skurcze kreacyjnego umysłu... paroksyzm twórczej męki...

- Właśnie... Krótko mówiąc, dwieście tysięcy powinno być w sam raz.

Powiedział to z namysłem, jakby wciąż się zastanawiał, czy powinien zadowolić się piętnastoma procentami, czy pójść na całość i zgarnąć osiemnaście. Ja z kolei rozmyślałem, ile kobiet zdecydowałyby się na przyspieszenie porodu o miesiąc, gdyby ktoś obiecał im za to dwieście tysięcy bak-sów. Niektóre pytania powinny chyba pozostać bez odpowiedzi. W moim przypadku, na czym miała polegać różnica? Przecież książka już została napisana, do cholery!

- W takim razie, zorientuj się, czy pójdą na te warunki - powiedziałem.

Tej samej nocy przyśniło mi się, że wróciłem do naszego domu nad jeziorem.

W moim śnie (tak samo jak we wszystkich snach tej jesieni i zimy) idę drogą wiodącą do chaty. Droga jest pętlą trzykilometrowej długości, uczepioną oboma końcami szosy numer 68. Na wypadek, gdybyście musieli wezwać straż pożarną, przy każdym wjeździe stoi tabliczka z numerem (42, jeśli to ma jakieś znaczenie<sup>^</sup>, ale droga nie ma nazwy. My też jej nie nazwaliśmy. Jest bardzo wąska; w gruncie rzeczy to



tylko dwie koleiny, między którymi rośnie tymotka i perz. Jadąc samochodem słyszycie cichutki szept, z którym wybujała źdźbła przesuwają się po podwoziu.

W moim śnie nie jadę samochodem. W moim śnie, tak jak we wszystkich snach, idę na piechotę.

Po obu stronach drogi tłoczą się drzewa, ciemniejące niebo wygląda jak wąska szczelina. Wkrótce pokażą się pierwsze gwiazdy. Słońce już zaszło, ćwierkają świerszcze, na jeziorze krzyczą nury. W gęstwinie coś szeleści - przypuszczalnie wiewiórki ziemne albo nadrzewne.

Docieram do gruntowego podjazdu na łagodnym zboczu wzgórza schodzącym do jeziora widocznego po lewej stronie. To nasz podjazd; świadczy o tym nieduża drewniana tabliczka z napisem SARA LAUGHS. Zatrzymuję się. W dole stoi chata z bali, z mnóstwem przybudówek i tarasem.

W sumie czternaście pokoi. Po cholere aż tyle? Dom powinien być wielki i niezgrabny, ale nie jest. Sara wygląda jak dystyngowana wdowa albo wiekowa dama, która, mimo dręczącego ją artretyzmu i niesprawnych kolan, dziarsko kroczy ku setnym urodzinom.

Środkowa część jest najstarsza, gdzieś z początku wieku, pozostałe zaś dobudowywano w latach trzydziestych, czterdziestych i sześćdziesiątych. Kiedyś była to chata myśliwska, przez krótki okres w latach sześćdziesiątych służyła za schronienie komunie hipisów, jednak dom należał zawsze do Darrena Hingermana, a po jego śmierci w roku 1971 do jego żony, Marie. Jedyna widoczna zmiana poczyniona za naszej kadencji to nieduża antena satelitarna na szczycie dachu - pomysł Johanny, którym już nie zdążyła się nacieszyć.

Za domem jezioro lśni w gasnącym blasku minionego dnia. Podjazd pokrywa gruby dywan brązowych sosnowych igieł oraz mnóstwo fragmentów połamanych gałęzi. Krzewy

po obu stronach zdziczały i połączyły się niczym kochankowie, którym udało się dotknąć mimo dzielącej ich odległości. Gdyby wjechać tu samochodem, gałązki krzewów szorowałyby nieprzyjemnie po karoserij. Najbliższe ziemi bale tworzące ściany głównej części domu porasta mech, przez szczeliny w podłodze niewielkiej werandy usytuowanej od strony podjazdu przebiły się trzy słoneczniki o twarzach jak reflektory. Wyczuwam atmosferę może nie zaniedbania, ale na pewno zapomnienia.

Gwałtowne drżenie, jakim reaguję na ledwo wyczuwalny podmuch zimnego wiatru, uświadamia mi, że jestem mokry od potu. Czuję woń sosen - lekko kwaśną, a zarazem orzeźwiająca- oraz znacznie słabszy, lecz jednocześnie groźny zapach jeziora. Dark Score to jedno z najczystszych i najgłębszych jezior w stanie Maine. Marie Hingerman powiedziała nam, że kiedyś było znacznie większe, ale w latach trzydziestych kompania elektryczna, działając w porozumieniu z celulozownikami i walcownikami metalu w okolicach Rumford, uzyskała zgodę władz stanowych na przegrodzenie tamą rzeki Gessy. Marie pokazała nam także urocze fotografie wystrojonych dam i dżentelmenów w indiańskich łódkach; zdjęcia pochodziły z okresu pierwszej wojny światowej, jedna z młodych kobiet zaś zamarła na zawsze w bezruchu z wiosłem w rękach nad krawędzią epoki jazzu, była jej matką.

A ten człowiek, który udaje, że zamierza się na nią wiosłem, to mój ojciec.

Nury krzyczą żałośnie. Na mroczniejącym niebie chyba widzę Wenus... Tak, to na pewno ona. Gwiazdeczko jasna, gwiazdka na niebie, czy spełnisz prośbę, którą mam do ciebie? W tych snach wszystkie moje prośby dotyczą Johanny.

Wypowiedziawszy bez słów prośbę, postanawiam wejść na podjazd. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Przecież to

mój dom, prawda? Dokąd miałbym pójść, jak nie do mojego domu, szczególnie teraz, kiedy się ściemnia, a tajemnicze szelsty w lesie zdają się nie tylko przybliżać, ale również stają się coraz bardziej celowe? Właśnie, dokąd? W domu także jest ciemno. Trochę strach wejść zupełnie samemu do pustego domu (A jeśli Sara ma mi za złe, że tak długo była osamotniona? Jeśli ma o to do mnie pretensję?), lecz nie mam wyboru. Jeżeli nie będzie prądu, zapalę jedną z lamp naftowych, które trzymamy w kuchennym kredensie.

Nie mogę wprowadzić w czyn swojego postanowienia. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, zupełnie jakby moje ciało wiedziało o tym domu coś, o czym mózg nie ma najmniejszego pojęcia. Zrywa się kolejny podmuch wiatru, dostaję gęziej skórki i dopiero teraz zastanawiam się, dlaczego jestem cały spocony. Czyżbym biegł? A jeśli tak, to dokąd? I skąd?

Mokre włosy leżą na moim czole jak paskudny zimny kompres. Podnoszę rękę, żeby odgarnąć je na bok, i dostrzegam płytkie, ale całkiem świeże rozcięcie na wierzchu ręki, tuż za kostkami. Czasem rana pojawia się na prawej ręce, czasem na lewej. Jeśli to sen to bardzo szczegółowy, myślę. Za każdym razem nawiedza mnie ta sama myśl: Jeśli to sen, to bardzo szczegółowy. Pisarz musi zwracać uwagę na takie szczegóły, ale być może w snach wszyscy jesteśmy pisarzami, poetami albo malarzami? Któż może to wiedzieć?

Patrzę na ciemną sylwetkę domu i uświadamiam sobie, że w gruncie rzeczy wcale nie chcę tam wchodzić. Jestem człowiekiem, który nauczył swój umysł nieposłuszeństwa, w związku z czym potrafię sobie wyobrazić mnóstwo czyhających tam na mnie niebezpieczeństw. Zarażony wściekłą szopą w kuchni. Nietoperze w sypialni -jeśli je zaniepokoję, otoczą mnie popiskującym rojowiskiem łopoczących zakurzonych skrzydeł. Może nawet któraś ze słynnych Istot z Innego Wszechświata

Williama Denbrough, ukryta pod podłogą werandy i obserwująca mnie lśnącymi, zaropiałymi oczami.

- No dobrze, ale przecież nie mogę tu zostać - mówię głośno, lecz moje nogi nie chcą się poruszyć i wygląda na to, że jednak zostanę tutaj, na początku podjazdu, czy tego chcę, czy nie.

Szelesty w lesie za moimi plecami nie brzmią już jak poruszenia małych zwierząt (większość z nich powinna już zresztą wrócić na noc do swych kryjówek), lecz jak zbliżające się kroki. Chcę odwrócić się, by sprawdzić, kto idzie, ale tego również nie jestem w stanie zrobić...

...i zazwyczaj właśnie wtedy budziłem się ze snu. Natychmiast odwracałem się na bok, jakbym chciał potwierdzić swój powrót do rzeczywistości udowadniając, że moje ciało znowu wykonuje polecenia mózgu. Niekiedy (szczerze mówiąc, prawie zawsze) przemykała mi przez głowę myśl: Manderley. Znowu śniło mi się Manderley. Oczywiście było w tym coś upiornego (w każdym powracającym uporczywie śnie jest coś upiornego, ponieważ świadczy on o tym, że moja podświadomość podąża na własną rękę w nieznanym mi kierunku), ale rozminąłbym się z prawdą, gdybym twierdził, że jakaś część mnie nie znajdowała upodobania w dusznym letnim spokoju, w który zawsze spowijał mnie ów sen. Ta sama część nie miała nic przeciwko smutkowi i niedobrym przeczuciom, ogarniającym mnie po przebudzeniu. Sen dostarczał mi poczucia egzotycznej obcości, którego brakowało mi w życiu na jawie, odkąd uległy zerwaniu więzy łączące mnie z moją wyobraźnią.

Naprawdę wystraszyłem się tylko jeden jedyny raz (choć muszę przyznać, iż nie wierzę na sto procent tym wspomnieniom, skoro tak długo zdawały się w ogóle nie istnieć), kiedy budząc się usłyszałem słowa, które wypowiedziałem głośno

i wyraźnie do pustej sypialni:

- Coś jest za mną, nie pozwól, żeby mnie dopadło, coś w lesie, proszę, powstrzymaj to!

Przeraziły mnie nie tyle same słowa, co ton, jakim je wypowiedziałem. Mój zmieniony nie do poznania głos był głosem człowieka, którego tylko jeden niewielki krok oddziela od dzikiej, bezrozumnej paniki.

Dwa dni przed Bożym Narodzeniem 1997 po raz kolejny pojechałem do banku, gdzie zastępca dyrektora po raz kolejny zaprowadził mnie do sejfu w oświetlonych jarzeniówkami podziemiach. Kiedy schodziliśmy po schodach, zapewnił mnie po raz kolejny, że jego żona jest wielką miłośniczką moich książek, że przeczytała je wszystkie i że nie może doczekać się na kolejne. Po raz kolejny odpowiedziałem, że czekam z niecierpliwością, kiedy i on dołączy do grona moich wielbicieli; jak zwykle, zarechotał pod nosem. Tę niemal rytualną wymianę zdań nazywałem w myślach Komunią Bankiera.

Pan Quinlan włożył klucz do zamka A, przekręcił, po czym oddalił się dyskretnie jak alfons, który doprowadził klienta do prostytutki. Przekręciłem klucz w zamku B i wysunąłem szufladę. Sprawiała wrażenie zaskakująco przepastnej; dwa pudła z maszynopisami tuliły się do siebie w najdalszym kącie jak opuszczone szczenięta, które dowiedziały się skądś, że ich rodzeństwo zostało uśpione. Trudno mi było uwierzyć, iż to ja zapisałem kartki wypełniające oba pudła.

Poczułem, że powoli ogarnia mnie panika, bardzo podobna do tej, która nawiedzała mnie przy każdej próbie napisania czegoś nowego, więc pospiesznie wyjąłem pudło opatrzone rzymską cyfrą IV i zatrasnąłem szufladę. Została w niej już tylko V. Został w niej już tylko „Upadek”.

- Skończyłem, panie Quinlan! -zawołałem.

Wydawało mi się, że mój głos drży i brzmi fałszywie, ale pan Quinlan nie dał po sobie niczego poznać; albo tego nie usłyszał, albo po prostu dał pokaz zawodowej dyskrecji. Z pewnością nie byłem jedynym klientem, dla którego wizyta w tej instytucji stanowiła silny^strząs emocjonalny.

- Na pewno przeczytam którąś z pańskich książek - powiedział, odruchowo zerknąwszy na pudło w moich rękach. (Mógłbym przychodzić po maszynopisy z jakąś dużą teczką albo torbą, ale za każdym razem zbyt późno wpadałem na ten pomysł). - To będzie jedno z moich noworocznych postanowień.

- Bardzo się cieszę, panie Quinlan.

- Proszę mi mówić Mark.

To także powtarzał za każdym razem.

Przed wysłaniem maszynopisu pocztą kurierską włożyłem do pudła dwa listy. Oba napisałem na komputerze; mój organizm pozwalał mi z niego korzystać dopóty, dopóki nie wychodziłem poza system operacyjny. Każda próba uruchomienia Worda 6 kończyła się wiadomymi konsekwencjami. Nie podjąłem próby napisania powieści w formie plików tekstowych, bałem się bowiem, iż w ten sposób całkowicie pozabawię się możliwości choćby podejścia do komputera, nie wspominając o graniu z nim w scrabble i układaniu krzyżówek, kilkakrotnie natomiast usiłowałem pisać odręcznie, za każdym razem bez powodzenia. Cóż, wiedziałem przynajmniej tyle, że nie zapadłem na „komputerowstręt”.

Jeden list był skierowany do Harolda, drugi do Debry Weinstock, oba zaś prawie nie różniły się treścią: oto nowa książka „Obietnica Heleny”, mam nadzieję, że spodoba. Warn się co najmniej tak samo jak mnie, przepraszam za ewentualne niedociągnięcia, ale sami rozumiecie, pisałem ją w dużym pośpiechu, Wesolych Świąt, pogodnego indyka,

kupy prezentów pod choinką.

Przestałem prawie godzinę w kolejce przestępujących z nogi na nogę, zestresowanych zapominalskich (najbardziej lubię w świątach tę pogodną beztroskę), z „Obietnicą Heleny” pod lewą pachą i „Szkolą wdzięku” Nelsona DeMille w prawej ręce. Po około pięćdziesięciu stronach dotarłem do okienka, wręczyłem IV zagonionej panience; na moje życzenia Wesołych Świąt wzdrygnęła się tylko i nic nie odpowiedziała.

## Rozdział 4

Otwierając drzwi, usłyszałem dzwonek telefonu. Frank Arlen zapraszał mnie do siebie na święta, a raczej nie do siebie, tylko do nich, ponieważ zapowiedzieli się wszyscy bracia z rodzinami.

Otworzyłem usta, żeby grzecznie odmówić - ani trochę nie uśmiechała mi się perspektywa zwariowanej irlandzkiej Gwiazdki z mnóstwem whisky, sentymentalnych wspomnień o Jo i co najmniej dwudziestką zasmarkanych berbeci kłębiących się na dywanie - lecz ku swemu zdumieniu usłyszałem, że przyjmuję zaproszenie.

Frank był co najmniej równie zaskoczony jak ja, ale i szczerze uradowany.

- Wspaniale! - wykrzyknął. - Kiedy możesz przyjechać?

Stałem w holu, woda ze śniegowców spływała na terakotową podłogę, i patrzyłem na salon za łukowato sklepionym przejściem, w którym po śmierci Jo ani razu nie stanęła choinka. Nagle wydał mi się upiornie pusty i stanowczo za duży, jak urządzone ze smakiem wrotkarnia po godzinach otwarcia.

- Właśnie wróciłem z miasta - powiedziałem. - Może wrzucę do torby parę rzeczy, wrócę do samochodu i ruszę, zanim się wychłodzi?

- Świetny pomysł - odparł Frank bez wahania. - Urządzimy sobie kawalerskie przyjęcie, zanim zaczną się zjeżdżać córki i synowie Wschodniego Malden. Jak tylko odłożę słuchawkę, natychmiast przyrządzam ci drinka.

- W takim razie, zaraz ruszam.

Były to bez wątpienia moje najprzyjemniejsze święta od śmierci Johanny, a raczej jedyne naprawdę przyjemne. Przez



cztery dni traktowano mnie jak honorowego Arlena; piłem za dużo, zbyt często wspominałem Johannę, ale przez cały czas nie miałem wątpliwości, że byłaby ze mnie zadowolona. Opluło mnie dwoje dzieci, w nocy pies wpakował mi się do łóżka, a w pierwszy poświąteczny wieczór zaczęła się do mnie przystawiać szwagierka Nicky'ego Arlena, kiedy zdybała mnie samego w kuchni, zajętego przygotowywaniem kanapki z indykiem. Pocałowałem ją, ponieważ tego oczekiwała, chwilę potem zaś wszędobylska (albo raczej figlarna) ręka chwyciła mnie za miejsce, którego od ponad trzech lat dotykałem tylko ja sam. Przeżyłem coś w rodzaju szoku, ale nie twierdzę, że był nieprzyjemny.

Chociaż sprawy nie posunęły się dalej - bo nie mogły, w domu pełnym Arlenów, z Susy Donahue dopiero czekającą na rozwód (podobnie jak ja, w te święta była gościem honorowym) - postanowiłem jednak, że pora wracać, jeśli nie chcę znaleźć się w samochodzie pędzącym z ogromną prędkością wąską uliczką, na której końcu prawie na pewno czeka betonowa ściana. Wyjechałem dwudziestego siódmego grudnia, bardzo zadowolony z pobytu, i serdecznie uściskałem Franka przy samochodzie. Przez cztery dni w ogóle nie myślałem o tym, że w bankowym sejfie został już tylko jeden maszynopis, a przez cztery noce spałem twardo aż do ósmej rano, budząc się niekiedy z obolałą głową i kacem, ale nigdy z myślą: „Manderley. Znowu śniło mi się Manderley”.

Zjawiłem się w Derry odświeżony i wypoczęty. Sny o Sarze Laughs nie wracały, nie wrócił też nastrój przygnębienia, w którym (uświadomiłem to sobie dopiero z perspektywy kilku dni) znajdowałem się dwudziestego trzeciego po powrocie z firmy kurierskiej, kiedy zadzwonił telefon.

Świt pierwszego dnia roku 1998 był mroźny, krystalicznie czysty i piękny. Wstałem, wziąłem prysznic, zaparzyłem ka-

wę i z filiżanką w ręce stanąłem przy oknie sypialni. Nagle zrozumiałem jasno i wyraźnie - wydawało mi się to równie oczywiste jak fakt, że góra znajduje się nad moją głową, a dół pod moimi stopami - że znowu mogę pisać. Zaczął się nowy rok, coś się zmieniło, więc jeśli tylko chcę, znowu mogę pisać. Głaz, który mnie przygniatał, odtoczył się na bok.

Przeszedłem do gabinetu, usiadłem przy biurku, włączyłem komputer. Moje serce pracowało normalnie, czoło ani kark nie pokryły się potem, ręce były ciepłe. Wszedłem do głównego menu - tego, które pojawia się na ekranie po kliknięciu w jabłuszko -po czym uruchomiłem starego przyjaciela, Worda 6. Jak tylko zobaczyłem znajome logo, przestałem oddychać. Czuję się tak, jakby wokół mojej klatki piersiowej zacisnęły się żelazne obręcze. .

Dławiąc się, starając się złapać powietrze szeroko otwartymi ustami i szarpiąc zakrzywionymi jak szpony palcami za górną część koszulki, odepchnąłem się gwałtownie od biurka. Kółka fotela zaczepiły o nieduży dywan -jeden z nabytków Jo poczynionych w ostatnim roku jej życia - a ja runąłem do tyłu, rąbnąłem potylicą w podłogę i ujrzałem gejzer jaskrawych gwiazd. Tego noworocznego poranka miałem sporo szczęścia, że nie straciłem przytomności, i jeszcze więcej, że przewróciłem się razem z fotelem. Gdyby tak się nie stało, gdybym tylko odjechał od biurka, ale wciąż miał ekran w polu widzenia, niechybnie skonałbym z braku powietrza.

Kiedy wreszcie dźwignąłem się na nogi i ostrożnie dotknąłem tyłu głowy, spodziewając się, że za Chwilę ujrzę rękę zbroszoną krwią (nic nie krwawi tak obficie jak rana głowy), przynajmniej mogłem oddychać. Co prawda wydawało mi się, że moja tchawica ma średnicę najcieńszej słomki i z każdym wciągnięciem powietrza wydawałem przeraźliwy świszczący odgłos, ale oddychałem. Zataczając się dotarłem do

łazienki i zwymiotowałem do umywalki z taką siłą, że zachlapałem lustro. Później, kiedy poczułem się lepiej, znalazłem zaschnięte grudki wymiocin nawet na sufitowej lampie.

Zaraz potem zrobiło mi się słabo, przypuszczalnie z powodu niedotlenienia oraz gwałtownych torsji. Kolana ugięły się pode mną i uderzyłem czołem w krawędź umywalki. Tył głowy co prawda nie krwawił (za to już koło południa wyrósł tam dorodny guz; obmacując go ostrożnie, mógłbym przyśiąć, że dorównuje wielkością guzom, które wyrastają na głowach bohaterom filmów rysunkowych), za to czoło, owszem. Wykwitł na nim również ogromny siniak. Wszystkim, którzy pytali o jego pochodzenie, wyjaśniałem, że w nocy idąc po ciemku do łazienki wpadłem na krawędź uchylonych drzwi, co za kretyn ze mnie, następnym razem włączę światło.

Kiedy wróciła mi pełna świadomość (jeżeli coś takiego w ogóle istnieje), leżałem skulony na podłodze. Wstałem, obmyłem ranę na czole, usiadłem na brzegu wanny, oparłem głowę na kolanach i czekałem tak długo, aż wreszcie poczułem się wystarczająco pewnie, by wyjść z łazienki. Oczekiwanie trwało co najmniej kwadrans. W tym czasie doszedłem do wniosku, że moja kariera dobiegła końca.

Oczywiście mógłbym uzyskać odroczenie wyroku, odkładając wydanie „Upadku” o rok... albo dwa... albo pięć... albo nawet dziesięć lat. Naturalnie Harold ryczałby, a Debra jęczała, ale co mogliby zrobić? Nasłać na mnie policję wydawniczą? Zagrozić, że doniosą na mnie klubowemu odpowiedzialnikowi gestapo? Tak naprawdę mogli tylko zażądać zwrotu zaliczki, której połowę już zresztą otrzymałem, i to wszystko. Jednak w rzeczywistości egzekucja już się dokonała. Jeśli nie zdarzy się cud, moje istnienie jako pisarza dobiegło końca. Za rok po raz ostatni zjawię się w banku, po czym ogłoszę, że przechodzę na emeryturę. Co prawda mam do-

piero czterdzieści lat, ale co z tego? Gliniarze i zawodowi żołnierze też mogą przechodzić w tym wieku na emeryturę. Nikt nie musi znać prawdziwych powodów mojej decyzji.

I co potem? - zadałem sobie pytanie. Co poczniesz z następnymi czterdziestoma latami, Miko? Przez czterdzieści lat można rozegrać mnóstwo partii scrabble, rozwiązać masę krzyżówek, wypić morze whisky, ale czy to wystarczy? Co jeszcze zamierzasz robić?

Nie chciałem wtedy o tym myśleć. Następne czterdzieści lat muszą same zatroszczyć się o siebie. Zależało mi tylko na tym, żeby jakoś dociągnąć do końca pierwszego dnia 1998 roku.

Jak tylko nabrałem pewności, że panuję nad swoim ciałem, wróciłem do gabinetu, ze wzrokiem wbitym w podłogę doczłapałem do komputera, po omacku odszukałem właściwy przycisk i wyłączyłem urządzenie. Co prawda w ten sposób można uszkodzić program, ale w tych okolicznościach niewiele mnie to obchodziło.

Tej nocy znowu przyśniło mi się, że idę o zmierzchu drogą numer 4, wiodącą do Sary Laughs. Znowu wyszeptalem życzenie do pierwszej gwiazdy, która pojawiła się na niebie przy wtórze żalostnego wołania nurów, znowu wyczułem czując obecność w lesie za moimi plecami. Wszystko wskazywało na to, że krótka świąteczna przerwa dobiegła końca.

Zima była śnieżna i mroźna, a w lutym wybuchła epidemia grypy, która poczyniła straszliwe spustoszenia wśród bardziej zaawansowanej wiekiem części mieszkańców Derry. Zabierała ich jak huragan, który łamie stare drzewa po mroźnej nocy. Mnie zupełnie zignorowała; zdaje się, że nawet nie miałem kataru.

W marcu poleciałem do Providence, by wystartować w organizowanych przez Willa Wenga Krzyżówkowych Mi-

strzostwach Nowej Anglii. Zająłem czwarte miejsce, odebrałem czek na pięćdziesiąt dolarów, oprawiłem go i powiesiłem w salonie. Dawniej moje Świadczenia Triumfów (określenie Jo; wygląda na to, że wszystkie zgrabne określenia są autorstwa Jo) trafiały na ściany gabinetu, ale w marcu 1998 już prawie tam nie zaglądałem. Jeśli przyszła mi ochota zagrać z komputerem w scrabble albo rozwiązać turniejową krzyżówkę, uruchamiałem laptopa w kuchni.

Pamiętam, jak któregoś dnia usiadłem przy kuchennym stole i włączyłem PowerBooka z zamiarem uruchomienia programu z krzyżówkami, kiedy, niespodziewanie dla samego siebie, przesunąłem kursor dwie albo trzy linie w dół, na mojego starego przyjaciela Worda 6.

Zamiast spodziewanej frustracji albo bezsilnej wściekłości (od chwili ukończenia „Upadku” często padałem ofiarą tych uczuć), ogarnęły mnie smutek i tęsknota. Patrząc na ikonę edytora tekstu doświadczałem wrażenia, że widzę jedno ze zdjęć Jo, które nosiłem w portfelu. Kiedy je oglądałem, byłem gotów sprzedać duszę diabłu, żeby tylko odzyskać Jo-hannę, tego marcowego dnia zaś pomyślałem, że dokonałbym identycznej transakcji, by odzyskać możliwość pisania. Spróbuj więc, wyszeptaj czyjś głos. Może coś się zmieniło?

Nic się nie zmieniło i doskonale o tym wiedziałem, więc zamiast uruchomić Worda 6, przenieśliem go do śmietnika w prawym dolnym rogu ekranu. Żegnaj, stary druhu. Następnie wziąłem się do rozwiązywania krzyżówek.

Tej zimy często dzwoniła Debra Weinstock, zazwyczaj z dobrymi wiadomościami. „Obietnica Heleny” została wybrana jedną z dwóch Książek Miesiąca na sierpień; drugą był prawniczy thriller Steve'a Martiniego, którego powieści również często zajmowały miejsca od ósmego do piętnastego na liście „New York Timesa”. Mój brytyjski wydawca zakochał

się w „Obietnicy Heleny” i stwierdził, że to moje „przełomowe dzieło”. (W Wielkiej Brytanii moje książki nigdy nie sprzedawały się najlepiej). Debra zapytała również o kolejną powieść, co jest najszczerzą formą pochlebstwa. Powiedziałem jej, że będzie zatytułowana „Upadek”, Debra zaś zapytała o jej treść.

- Znasz na to odpowiedź - odparłem.

Roześmiała się.

- „Sama musisz przeczytać tę książkę, Josephino”, zgadza się?

- Tak jest. Wymawiasz to z nienagannym akcentem.

- Cóż, ćwiczenie czyni mistrza.

W tym samym okresie udzieliłem dwóch telefonicznych wywiadów: dziennikarzowi „Newsweeka” piszącego artykuł o „Nowej Amerykańskiej Powieści Gotyckiej” (czymkolwiek to jest, naturalnie oprócz chwytliwego hasła, które pozwoli sprzedać parę egzemplarzy pisma więcej), oraz publicyście „Publisher's Weekly”. Ten drugi wywiad miał się ukazać tuż przed wydaniem „Obietnicy Heleny”. Zgodziłem się ich udzielić, ponieważ zadanie wyglądało na stosunkowo proste: rozmawiasz sobie przez telefon, jednocześnie przeglądając pocztę. Debra nie posiadała się z radości, gdyż zazwyczaj jak ognia unikałem tego rodzaju obowiązków. Nienawidzę i zawsze nienawidziłem publicznych wystąpień, szczególnie w popołudniowych programach telewizyjnych z udziałem publiczności, gdzie nikt nie czytał moich książek, a pierwsze pytanie nieodmiennie brzmiało: „Skąd bierze pan takie zwarowane pomysły?” Najogólniej rzecz ujmując, uczestnictwo w akcji promocyjnej przypomina wizytę w barze, gdzie podają sushi, z zastrzeżeniem, że nie jestem konsumentem, tylko głównym daniem. Tym przyjemniej było mi zgodzić się teraz na propozycję Debry, dając jej coś, czym mogła pochwalić

się przed swoimi szefami. „Owszem, wciąż wykręca się, jak może, ale jakoś zdołałam go przekonać”.

Przez cały czas śniłem o Sarze Laughs - może nie codziennie, ale na pewno co drugą albo trzecią noc, chociaż za dnia nigdy o niej nie myślałem. Rozwiązywałem krzyżówki, kupiłem sobie gitarę akustyczną i podjąłem naukę gry (choć doskonale zdawałem sobie sprawę, iż nigdy nie zostanę zaproszony do udziału w tournée u boku Paty Loveless albo Alana Jacksona), studiowałem nadęte nekrologi w miejscowej gazecie w poszukiwaniu znajomych nazwisk. Krótko mówiąc, bardziej wegetowałem, niż żyłem.

Z tego stanu wyrwał mnie telefon od Harolda Oblowskiego, który zadzwonił do mnie jakieś trzy dni po mojej rozmowie z Debrą. Na zewnątrz szalała zamieć; wściekle uderzenie śnieżycy, wichru i zamarzającego deszczu okazało się ostatnim podrygiem konającej zimy. Późnym wieczorem w całym Derry miało zgasnąć światło, ale o piątej po południu, kiedy zatelefonował Harold, zabawa dopiero się zaczynała.

- Przed chwilą zakończyłem interesującą rozmowę z twoim wydawcą- oznajmił Harold bez żadnych wstępów. - Bardzo ważną i optymistyczną rozmowę.

- Naprawdę?

- Naprawdę. W Putnamie wszyscy sądzą, że twoja najnowsza książka znacznie umocni twoją pozycję na rynku. Powieść jest znakomita. Helen Nearing jest wspaniałą główną bohaterką, a Skate to wręcz modelowy czarny charakter. Milczałem.

- Bez żadnego nalegania z mojej strony Debra zaproponowała nam podpisanie umowy na trzy książki. To najlepsza z dotychczasowych propozycji. Niewiele myśląc, wymieniłem kwotę dziewięciu milionów dolarów, czyli po trzy miliony zaliczki za każdą książkę. Byłem prawie pewien, że mnie

wyśmiej, ale przecież każdy agent wie, że negocjacje należy zaczynać od jak najwyższej kwoty. Nawiasem mówiąc, podejrzewam, że wśród moich przodków znajdzie się paru oficerów rzymskich legionów.

Raczej paru etiopskich handlarzy dywanami, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno. Czułem się tak, jakbym siedział na fotelu u dentysty, który przesadził z dawką środka znieczulającego i połał nim nie tylko bolący ząb, ale także język, usta i dziąsła. Gdybym spróbował się odezwać, przypuszczalnie wybelkotałbym coś niezrozumiałego, a na dodatek zapryskał się śliną. Po głosie Harolda bez trudu poznałem, że aż promienieje z zadowolenia. Niewiele brakowało, żeby zaczął mrużyć jak kocur. „Upadek” będzie ostatnią powieścią sprzedaną Putnamowi na dotychczasowych zasadach, potem zaś, jak to ujął, „czekają nas trzy obfite zbiory z sadu z książkami”, trzy powieści, dzięki którym miał szansę zbić całkiem przyzwoitą fortunę. Nieźle. Jedyny problem polegał na tym, że ta intratna propozycja została przedstawiona człowiekowi, który dopiero co wyrzucił z pamięci komputera edytor tekstu, pisarzowi, który rzygał i dusił się na sam widok włączonego komputera.

- Wyobraź sobie, że wcale mnie nie wyśmiała, tylko powiedziała: „Cóż, dziewięć to całkiem sporo, ale przynajmniej będziemy mogli dyskutować o konkretach”. To niesamowite, przyjacielu! Niesamowite. Oczywiście nie podejmowałem żadnych zobowiązań, bo najpierw chciałem przedyskutować to z tobą, ale jestem gotów dać głowę, że zgodzą się na siedem i pół, a jeśli ich trochę przycisnę, to nawet...

-Nie.

Odebrało mu mowę. Cisza trwała wystarczająco długo, bym się zorientował, że ściskam słuchawkę tak mocno, że aż boli mnie ręka. Z trudem rozluźniłem uchwyt.



- Mikę, wysłuchaj mnie, zanim...

- Nie chcę cię słuchać. Nie chcę rozmawiać o nowej umowie. - Niewiele brakowało, a dodałbym: „Ani teraz, ani nigdy”. - Nie pora na to.

- Wybacz, że się z tobą nie zgodzę, ale nigdy nie będzie lepszej pory! Zastanów się, na litość boską! Mówimy o prawdę dużych pieniądzech. Jeżeli chcesz czekać aż do ukazania się „Obietnicy Heleny”, nie masz żadnej gwarancji, że...

- Wiem o tym i nie chcę żadnych gwarancji. Nie chcę żadnych ofert, nie chcę słyszeć o żadnych umowach!

- Nie musisz krzyczeć, Mikę. Doskonale cię słyszę. Czy krzyczałem? Chyba tak.

- Nie jesteś zadowolony ze współpracy z Putnamem? Debra będzie wstrząśnięta, kiedy się o tym dowie. Jestem pewien, że zrobi wszystko co w jej mocy, żeby spełnić twoje żądania.

Czy ty z nią sypiasz, Haroldzie? - przemknęło mi przez głowę i niemal natychmiast wydało mi się to oczywiste: pękaty, pięćdziesięcioparoletni, łysiejący Harold Oblowski z jasnowłosą, arystokratyczną, starannie wykształconą panią wydawcą. Czy z nią sypiasz, czy dyskutujecie o mojej przyszłości w hotelowym łóżku? Czy staracie się oszacować, ile jeszcze złotych jajek uda wam się wycisnąć ze zmęczonej starej kury, zanim wreszcie skręcicie jej kark i przerobicie na pasztet? Czy tym właśnie się zajmujecie?

- Wybacz, Haroldzie, ale nie mogę i nie chcę teraz o tym rozmawiać.

- Co się stało? Dlaczego jesteś taki przygnębiony? Byłem pewien, że się ucieszysz, co tam, że zaczniesz skakać z radości!

- Nic się nie stało i nie jestem przygnębiony. Po prostu nie uważam, żeby to była właściwa chwila na rozmowę o na-

stępnej umowie. Nie zamierzam wyjaśniać ci, dlaczego, bo nie jesteś psychiatrą ani księdzem, tylko agentem literackim. Musisz mi wybaczyć, Haroldzie. Mam teraz inne sprawy na głowie.

- Może więc pogadamy w przyszłym ty...

-Nie.

Odłożyłem słuchawkę. Chyba po raz pierwszy w moim dorosłym życiu zakończyłem w ten sposób rozmowę z kimś, kto nie chciał sprzedać mi czegoś przez telefon.

Rzecz jasna, nie miałem żadnych innych spraw na głowie. Przeszedłem do salonu, nalałem sobie odrobinę whisky, usiadłem przed telewizorem i przesiedziałem tam cztery bite godziny, gapiąc się przed siebie szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Na zewnątrz burza śnieżna przybierała na sile. Wszystko wskazywało na to, że nazajutrz w całym Derry będzie mnóstwo połamanych drzew, a świat upodobni się do lodowej rzeźby.

Kwadrans po dziewiątej nastąpiła trzydziestosekundowa przerwa w dopływie energii elektrycznej, a chwilę potem ciemności zapadły na dobre. Uznałem to za sugestię, żeby przerwać rozważania nad bezużyteczną propozycją Harolda i nad tym, jak Jo uśmiełaby się na myśl o dziewięciu milionach dolarów. Wstałem, wyłączyłem telewizor, żeby nie zaczął jazgotać o drugiej w nocy (niepotrzebnie się trudziłem, ponieważ Derry było pozbawione energii elektrycznej prawie przez dwa dni), i poszedłem na piętro. Zrzuciłem ubranie na podłogę, po czym wlałem pod kołdrę i zasnąłem w ciągu pięciu minut. Nie mam pojęcia, jak długo potem nawiedził mnie koszmary sen.

Był to ostatni sen z tego, co teraz nazywam „serią Manderley”, prawdziwa kulminacja cyklu. „Wszystko, co usłyszeliście do tej pory, opowiedziałem wam po to, żeby teraz

opowiedzieć to, co usłyszycie za chwilę", jak mawiają konferansjerzy. Był to chyba najgorszy ze wszystkich snów, tym gorszy, że kiedy się wreszcie obudziłem, ujrzałem przytłaczającą ciemność.

Zaczął się jak wszystkie. Idę drogą, wsłuchuję się w cykanie świerszczy i krzyki nurów, patrzę w ciemniejszą szczylinę nieba. Docieram do podjazdu i widzę, że coś tam się zmieniło: ktoś nalepił małą naklejkę na tabliczkę z napisem SARA LAUGHS. Podchodzę bliżej; to naklejka stacji radiowej. WBLM 102.9 ROCK AND ROLL Z PORTLAND.

Podnoszę wzrok i widzę Wenus. Jak zwykle, przedstawiam jej swoje życzenie. Czując wilgotny, lekko niepokojący zapach jeziora, proszę ją o Johannę.

Coś porusza się w lesie. Szeleszczą zeschnięte liście, trzaska gałąź. To chyba coś dużego.

Lepiej stąd idź, odzywa się głos w mojej głowie. Coś przy mierza się do ciebie. Ma umowę na trzy książki, najniebezpieczniejszą, jaka istnieje.

Nie mogę się ruszyć. Za każdym razem nie mogę się ruszyć. Mogę tylko stać i patrzeć biernie na niemoc dolnych kończyn.

Ale to tylko słowa, ponieważ jestem w stanie się poruszyć. Tym razem mogę się poruszyć! Ogarnia mnie uniesienie. Dokonałem znaczącego przełomu. To wszystko zmienia, myślę we śnie. To wszystko zmienia!

Idę podjazdem coraz głębiej w czysty, ale kwaskowaty zapach sosen. Przechodzę nad niektórymi gałęziami, inne odrzucam kopnięciami na bok. Podnoszę rękę, by odgarnąć z czoła mokre włosy, i dostrzegam niewielkie zadrapanie. Zatrzymuję się, przyglądam mu się ze zdziwieniem.

Nie ma na to czasu, odzywa się głos we śnie. Idź. Musisz

napisać książkę.

Nie mogę pisać, odpowiadam. To skończone. Zaczęłam drugie czterdzieści lat.

Nieprawda, mówi głos. Jest groźny i nieustępliwy. Nie cierpiałeś na niemoc twórczą, tylko na niemoc kończyn dolnych. To już minęło, jak widzisz. Ruszaj.

Boję się.

Czego?

No... A jeśli tam jest pani Danvers?

Głos nie odpowiada. Doskonale wie, że wcale nie boję się gospodyni Rebeki de Winter; to tylko postać ze starej książki, zaledwie worek kości. Ruszam dalej. Wygląda na to, że nie mam wyboru. Przerazenie narasta z każdym krokiem, aż wreszcie, mniej więcej w połowie drogi do mrocznego, rozległego domu z bali, strach ogarnia mnie jak gorączka. Coś jest tam nie w porządku, coś jest nie tak, jak powinno.

Ucieknę, przemyka mi przez głowę. Ucieknę drogą, którą przyszedłem, ucieknę jak oszust, ucieknę aż do Derry, jeśli będzie trzeba, i nigdy tu nie wrócę.

Tyle że w gęstniejącej ciemności za plecami słyszę wilgotny oddech i delikatne kroki. Stworzenie z lasu przeistoczyło się w stworzenie z podjazdu. Jest tuż za mną. Jeśli się odwrócę, jego widok uderzy mnie jak obuchem i pozbawi zdrowych zmysłów. To na pewno coś z czerwonymi ślepiami, przyczajone i głodne.

Dom jest moją jedyną szansą.

Idę dalej. Gałęzie stłoczonych krzewów chwytają mnie za ubranie jak ręce. W blasku księżyca (dotychczas nigdy się nie pojawił, ale też mój sen nigdy nie trwał tak długo) szeleszczące liście wyglądają jak maleńkie, złośliwie wykrzywione twarzyczki ze zmrużonymi oczami i uśmiechniętymi ustami.

Patrzę w czarne okna i wiem, że kiedy tam wejść, nie będzie światła, bo burza zerwała linię energetyczną, że będę pstrykał włącznikiem raz, drugi, trzeci, aż wreszcie coś chwyci mnie za nadgarstek i wciągnie jak kochanka w głąb mroku.

Pokonałem już trzy czwarte odległości. Widzę schody prowadzące do jeziora i platformę na wodzie, czarny kwadrat na ścieżce księżycowego światła. Bili Dean wyciągnął ją na jezioro. Widzę również jakiś podłużny kształt na podjeździe przy samej werandzie. Nigdy tego tam nie było. Co to może być?

Chyba chcę krzyżeć. Chyba chcę się odwrócić i uciec, ryzykując spotkanie z istotą przyczajoną za moimi plecami, ale zanim zdolam cokolwiek uczynić, otwierają się tylne drzwi domu i w gęstniejącą ciemność wypada przerażająca postać. Ma w sobie coś z człowieka, ale nim nie jest. Jest skulona, prawie biała, z podniesionymi workowatymi ramionami. Nie ma twarzy, a mimo to krzyczy gardłowym głosem przypominającym głos nura. Rozpoznaję Johannę. Uciekła z trumny, lecz nie zdołała uwolnić się od całunu.

Jak szokująco szybka jest ta postać! Nie sunie majestycznie, jak wedle powszechnego mniemania powinny czynić duchy, tylko w zaskakującym tempie wybiega na podjazd. Czekala w domu przez wszystkie sny, podczas których stałem jak sparaliżowany, by teraz, kiedy zerwałem niewidzialne pęta, wreszcie mnie dopaść. Oczywiście zacznę krzyżeć, jak tylko poczuję odór jej wzdętego, rozkładającego się ciała i ujrzę czarne szeroko otwarte oczy wpatrzone we mnie spod białego całunu. Zacznę krzyżeć, jak tylko poczuję, że opuszczają mnie zmysły. Zacznę krzyżeć... ale oprócz nurów tu nie ma nikogo, kto by mnie usłyszał. Wróciłem do Manderley, lecz tym razem zostanę tu na zawsze.

Kiedy biała, wrzeszcząca postać wyciągnęła do mnie rękę,

obudziłem się na podłodze sypialni. Krzychałem schrypniętym głosem i uderzałem głową w coś twardego. Ile czasu minęło, zanim uświadomiłem sobie, że już nie śpię i że nie jestem w Sarze Laughs? Ile czasu minęło, zanim się domyśliłem, że we śnie wypadłem z łóżka, po czym przewędrowałem na czworakach przez cały pokój, dotarłem w kąt i od dłuższego czasu waliłem głową w ścianę, niczym pensjonariusz zakładu dla psychicznie chorych.

Nie mam pojęcia i nie miałem go wtedy, ponieważ nie było prądu, więc nie działał elektryczny zegar przy łóżku. Wiem tylko, że początkowo nie chciałem opuścić mego kąta, gdyż czułem się w nim bezpiecznie, oraz że pozostawałem w mocy snu długo po tym, jak się obudziłem - najprawdopodobniej dlatego, że nie mogłem włączyć światła i wyzwolić się spod jego uroku. Bałem się, że jak tylko wypełnę z kąta, biały stwór wybiegnie z martwym krzykiem z łazienki i dokończy to, co zaczął. Wiem także, iż drżałem, jak w febrze oraz że byłem mokry i zziębnięty od pasa w dół, ponieważ oddałem mocz.

Mokry i przerażony, trzęsłem się wtulony w kąt sypialni, gapiłem się w ciemność i zastanawiałem się, czy istnieją sensne koszmary, które potrafią wpędzić człowieka w szaleństwo. Owej marcowej nocy niewiele brakowało, żebym przekonał się o tym na własnej skórze.

Wreszcie poczułem się na tyle pewnie, by zaryzykować powrót do łóżka. Mniej więcej w połowie drogi ściągnąłem przemoczone spodnie od pizamy i w trakcie tej czynności straciłem orientację. Przez kolejnych pięć surrealistycznych minut (a może tylko dwie?) czołgałem się zdesperowany po podłodze własnej sypialni, wpadałem na sprzęty, przewracałem meble, jęczałem boleśnie, kiedy moja wyciągnięta na oślep ręka trafiała na jakiś przedmiot, za każdym razem wy-

dawało mi się bowiem, że dotykam białej zjawy. Wszystko było nowe i obce. Całkowicie zdezorientowany, pozbawiony pokrzepiającego wsparcia zielonych cyferek zegara, równie dobrze mógłbym pełzać po podłodze meczetu w Addis Abebie.

Rozpacзлиwa wędrówka dobiegła końca, kiedy rąbnąłem barkiem w łóżko. Wstałem, zdarłem poszewkę z poduszki, wytarłem krocze i uda, po czym wpełzłem do łóżka, przykryłem się kocami i trzęsąc się jak galareta, słuchałem łomotania marznącego deszczu w parapet.

Tej nocy nie było już mi dane zaznać snu, wspomnienie zaś tego, z którego się obudziłem, wcale nie zbladło, choć tak właśnie zazwyczaj dzieje się ze snami. Leżałem na boku, dreszcze powoli ustępowały, i myślałem o trumnie na podjeździe. Była w tym nawet jakaś szaleńcza logika: Jo kochała Sarę, więc jeśli miałyby gdziekolwiek pojawiać się jako upiór, to właśnie tam. Ale dlaczego chciała zrobić mi krzywdę? Czy miała powód, żeby mnie zaatakować? Nawet jeżeli tak, to ja go nie znałem.

Czas powoli mijał, aż wreszcie nadeszła chwila, kiedy nieprzenikniona do tej pory ciemność zaczęła powoli nasiąkać szarym świtem. Sylwetki mebli majaczyły w niej jak nieruchomi strażnicy we mgle. Poczulem się trochę lepiej. Wyraźnie lepiej. Postanowiłem, że rozpalę ogień w kuchennym piecu na drewno, zaparzę sobie mocną kawę i zacznę zapominać o tym, co się stało.

Usiadłem w łóżku, opuściłem stopy na podłogę, podniosłem rękę, by odgarnąć z czoła mokre włosy. Zamarłem z dłonią przed oczami. To musiało się zdarzyć, gdy czołgałem się po pograżonym w ciemności pokoju. Zraniłem się, ale nie poczułem bólu. Na wierzchu ręki, tuż za kłykciami, znajdowało się płytkie, zaschnięte rozcięcie.

## Rozdział 5

Kiedyś, kiedy miałem szesnaście lat, dokładnie nad moją głową samolot przebił barierę dźwięku. Spacerowałem wtedy po lesie i rozmyślałem o książce, którą kiedyś napiszę, albo może zastanawiałem się, kiedy Doreen Fournier wreszcie zmięknie i pozwoli, żebym ściągnął jej majteczki w samochodzie zaparkowanym na końcu Cushman Road.

Tak czy inaczej, byłem myślami bardzo daleko, więc potworny łoskot spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba. Runąłem jak długi na ziemię pokrytą grubą warstwą liści i zasłoniłem głowę rękami, pewien, że oto nadszedł kres mego życia (a ja wciąż jestem prawiczkiem!)- Podczas czterdziestu lat życia tylko ten jeden jedyny raz doświadczyłem przerażenia porównywalnego z tym, jakie niosły ze sobą sny z „serii Manderley”,

Leżałem płasko na ziemi i czekałem na ostateczny cios, ale po mniej więcej trzydziestu sekundach, kiedy cios nie padł, domyśliłem się, iż to zapewne jakiś niecierpliwy kowboj z bazy Air Force w Brunswick nie zczekał, aż znajdzie się nad oceanem, tylko już tutaj przekroczył barierę dźwięku. Do licha, kto by mógł przypuszczać, że będzie aż tak głośno?

Powoli dźwignąłem się na nogi. Moje serce uderzało coraz wolniej, a ja uświadomiłem sobie, że nie tylko mnie przeraził niespodziewany hałas, Po raz pierwszy za mojej pamięci, w lesie za naszym domem w Proufs Neck panowała niezmacona cisza. Stałem w zakurzonej plamie słonecznego światła i słuchałem wstrzymując oddech. Nigdy nie słyszałem takiej ciszy. Nawet w zimowe styczniowe dni las zazwyczaj rozbrzmiewa licznymi głosami.



Pierwsza odezwała się zięba, parę sekund później zawtórowała jej sójka, po kolejnych kilku sekundach wrona dorzuciła swoje trzy grosze, zaraz potem dzięcioł wznowił poszukiwania larw. Na lewo ode mnie przez gęste poszycie przemknęła ziemna wiewiórka. Najdalej minutę po przelocie samolotu las wrócił do swego, zwykłego stanu, więc nie pozostało mi nic innego, jak uczynić to samo. Nigdy jednak nie zapomniałem ani niespodziewanego grzmotu, ani śmiertelnej ciszy, która po nim zapadła.

Po przebudzeniu z sennego koszmaru często myślałem o tym czerwcowym dniu. Nawet jeśli coś się zmienia, najpierw zapada chwila ciszy, podczas której staramy się przekonać, że nic się nie stało i że niebezpieczeństwo - o ile w ogóle było jakieś niebezpieczeństwo - minęło.

Życie w Derry zamarło na ponad pół tygodnia. Wichura i oblodzenie poczyniły znaczne szkody, a nagły, ponaddwudziestostopniowy spadek temperatury poważnie utrudnił odśnieżanie. Na domiar złego nastroje po takiej marcowej zamieci są zawsze minorowe; co prawda nawiedzają nas co roku (jeżeli mamy wyjątkowego pecha, to dwie albo trzy zdarzają się jeszcze w kwietniu), tak się jednak jakoś dziwnie dzieje, że nikt nigdy się ich nie spodziewa, w związku z czym za każdym razem traktujemy je jako osobistą zniewagę.

Jakoś pod koniec tygodnia wreszcie nastąpiła zmiana pogody. Natychmiast skorzystałem z okazji i wybrałem się na kawę z ciastkiem do niedużej restauracji kilkadziesiąt kroków od apteki, w której Johanna zrobiła ostatnie w życiu zakupy. Popijałem aromatyczny trunek, żułem ciastko i rozwiązywałem krzyżówkę w gazecie, kiedy nagle ktoś zapytał:

- Mogę się dosiąść, panie Noonan? Tłoczno tu dzisiaj.

Podniosłem wzrok i ujrzałem starego mężczyznę; którego na pewno znałem, ale akurat w tej chwili nie mogłem sobie

skojarzyć.

-Ralph Roberts - powiedział. - Razem z żoną pracuję ochotniczo w stacji Czerwonego Krzyża.

- Tak, oczywiście.

Mniej więcej co sześć tygodni oddaję tam krew. Ralph Roberts był jedną z wiekowych osób, które po pobraniu roznoszą sok i ciasteczka, i powtarzają, żeby nie wstawać gwałtownie z fotela i nie wykonywać żadnych nagłych ruchów.

- Zapraszam, panie Roberts.

Zajmując miejsce, zerknął na gazetę leżącą na stoliku w plamie słonecznego światła.

- Nie sądzi pan, że rozwiązywanie krzyżówki w „Derry News” przypomina grę w baseball bez miotacza? Roześmiałem się i skinąłem głową.

- Ma pan rację. Robię to z tego samego powodu, dla którego ludzie wspinają się na Mount Everest: bo jest. Tyle że nikt, kto rozwiązywał krzyżówkę, jeszcze nie runął w przepaść.

- Proszę mówić mi Ralph.

- Mikę.

- Świetnie. - Uśmiechnął się, odsłaniając krzywe i pożółkłe, ale za to prawdziwe zęby. - Lubię przechodzić z ludźmi na „ty”. Czuję się wtedy trochę tak, jakbym zdejmował krawat. Nieźle nam powiało, co?

- Rzeczywiście. Na szczęście zaczęło się ocieplać. Słupek rtęci w termometrze wykonał jeden z energicznych marcowych podskoków, podnosząc się w ciągu dwunastu godzin z trzech stopni do dziesięciu. Najważniejsze jednak, że wyrzało słońce. To właśnie jego blask wywabił mnie z domu.

- Lada dzień zawita do nas wiosna. Niekiedy trochę się spóźnia, ale jakoś zawsze trafia do domu. - Pociągnął łyk kawy, po czym odstawił filiżankę. - Coś ostatnio nie widuję

cię u nas na stacji.

- Uzupełniam zapasy. - Oczywiście było to kłamstwo.

Powinienem być zgłosić się już dwa albo trzy tygodnie temu, ale, pomimo kartki na lodówce, zupełnie wyleciało mi to z głowy. - Przyjdę w przyszłym tygodniu.

- Wspominam o tym tylko dlatego, że masz grupę A, a tej nigdy za wiele.

- Już możesz zarezerwować mi leżankę.

- Zrobię to. A poza tym, wszystko w porządku? Pytam, bo wyglądasz na zmęczonego. Jeśli to przez bezsenność, serdecznie ci współczuję. Wiem, co to znaczy. Możesz mi wierzyć.

Istotnie, wyglądał na kogoś cierpiącego na bezsenność - zazwyczaj można to poznać po oczach - ale przecież był już dobrze po siedemdziesiątce, a chyba mało jest ludzi, którzy w zaawansowanym wieku wyglądają zdrowo i kwitnąco. Pokręć się po świecie trochę dłużej, to życie dorobi ci worki pod oczami i zapadnięte policzki. Zostań na tym świecie jeszcze dłużej, to będziesz wyglądał jak zawodowy bokser po ciężkiej piętnastorundowej walce.

Otworzyłem już usta, żeby udzielić tej samej odpowiedzi co zawsze, kiedy ktoś pytał mnie o samopoczucie, ale zastanowiłem się, dlaczego wciąż muszę nosić na twarzy maskę i kogo właściwie staram się oszukać. Co się stanie, jeśli powiem starcowi, który przynosi mi ciastka zaraz po tym, jak siostra Czerwonego Krzyża wyjmie igłę z mojego przedramienia, że nie czuję się najlepiej? Trzęsienie ziemi? Powódź? Pieprzenie.

- Nie - odparłem. - Ostatnio nie miewam się zbyt dobrze.

- Grypa? Choruje mnóstwo ludzi.

- Nie. Grypa mnie ominęła, nie mam też kłopotów ze

snem. - To akurat była prawda; sen o Sarze Laughs nie powrócił ani w słabszej, ani w mocniejszej wersji. - Po prostu dręczy mnie chandra, i tyle.

- Powinieneś pojechać na wakacje. - Wypił kolejny łyk, po czym spojrzał na mnie, zmarszczył brwi i odstawił filiżankę. - Coś nie tak?

Skądże znowu, pomyślałem. Po prostu jesteś pierwszym ptakiem, który odezwał się po długiej ciszy, i tyle.

- Nie, nic się nie stało - powiedziałem, po czym dodałem, głównie dlatego, że chciałem się przekonać, jak to słowo zabrzmiało w moich ustach: - Wakacje...

- Jasne. - Ralph Roberts uśmiechnął się promiennie. - Wszyscy to robią.

Wszyscy to robią. Miał rację: na wakacje jeździli nawet ci, którzy nie bardzo mogli sobie na to pozwolić. Kiedy byli zmęczeni. Kiedy wpadli po szyję w gówno. Kiedy świat stawiał im zbyt duże wymagania.

Ja, oczywiście, mogłem sobie pozwolić na wakacje i mogłem wziąć wolne w pracy (jakiej pracy? cha, cha!), a jednak dopiero staruszek roznoszący sok i ciasteczka w stacji krwiodawstwa uświadomił mi coś, co powinno być oczywiste dla kogoś tak wykształconego jak ja: że nie miałem wakacji od chwili, kiedy razem z Jo poleciliśmy na Bermudy, ponad pół roku przed jej śmiercią. Mój kierat już się nie obracał, ja jednak uparcie przy nim tkwiłem.

Dopiero latem tego roku, kiedy zobaczyłem w gazecie nekrolog Ralpha Roberta (został potrącony przez samochód), zrozumiałem, jak wiele mu zawdzięczam. Jego rada była warta znacznie więcej niż wszystkie szklanki soku pomarańczowego, jakie przyniósł mi po pobraniu krwi, chociaż nie sądzę, żeby staruszek zdawał sobie z tego sprawę.

Po wyjściu z restauracji nie poszedłem do domu, lecz

z gazetą pod pachą wędrowałem bez celu po mieście. Chodziłem tak długo, aż wreszcie, mimo dość wysokiej temperatury, zrobiło mi się zimno. Myślałem o wszystkim, chociaż nie myślałem o niczym. Było to szczególne myślenie, takie, które zazwyczaj poprzedzało początek pracy nad nową książką, i chociaż nawiedziło mnie po raz pierwszy od wielu lat, wydawało mi się, że nie opuściło mnie ani na chwilę.

Wrażenie jest takie, jakby przed wasz dom zajechała ogromna ciężarówka i jacyś ludzie zaczęli wносить różne rzeczy do piwnicy. Nie potrafię go lepiej określić. Nie widać, co to za rzeczy, ponieważ wszystkie są starannie owinięte, ale wy i tak doskonale wiecie, co to jest. Meble, komplet mebli, dzięki któremu urządzicie swój dom dokładnie tak, jak sobie wymarzyliście.

Zaraz po odjeździe ciężarówki schodzicie do piwnicy i wędrujecie po niej, tak jak ja wędrowałem w starych śniegowcach po Derry tego późnego przedpołudnia<sup>^</sup> dotykacie różnych przedmiotów i zastanawiacie się: czy to sofa? A to komoda? Bez znaczenia. Wszystko jest na miejscu, ludzie z firmy przewozowej niczego nie zapomnieli, nie przeszkadza wam nawet, że będziecie musieli samodzielnie wtaszczyć to na górę, boleśnie nadwierzając stare mięśnie. Najważniejsze, że transport dotarł w całości.

Tym razem ciężarówka przywiozła rzeczy, których potrzebowałem na drugie czterdzieści lat życia. Byłem tego niemal pewien. Tragarze przyszli pod drzwi piwnicy, zapukali uprzejmie, poczekali kilka miesięcy, a kiedy wciąż nikt nie odpowiadał, użyli tarana. Hej, kolego, mamy nadzieję, że nie przestraszyłeś się hałasu, a tak w ogóle, to przepraszamy za drzwi!

Drzwi mało mnie obchodziły, w przeciwieństwie do mebli. Czy aby wszystkie cało dojechały? Czy coś się potłukło

albo uległo uszkodzeniu? Wydawało mi się, że nie. Wydawało mi się, że muszę tylko wstawić sprzęty na górę, ustawić tam, gdzie należy i pozdejmować pokrowce.

W drodze powrotnej do domu mijałem „The Shade” małe urocze kino, w którym wyświetlano stare filmy. Pomimo (a może dzięki?) rewolucji wideo właściciel nie narzekał na brak publiczności. W tym miesiącu wyświetlano klasyczne filmy SF z lat pięćdziesiątych, kwiecień natomiast miał być poświęcony Humphreyowi Bogartowi. Dłuższą chwilę stałem pod markizą i gapiłem się na wywieszone za szybą plakaty, po czym wróciłem do domu, wybrałem na chybił-trafił w książce telefonicznej numer jakiegoś biura podróży i powiedziałem człowiekowi, który odebrał telefon, że chciałbym polecieć na Key Largo. Chyba Key West, odparł, a ja na to, że nie, Key Largo, jak w filmie z Humphreym Bogartem i Lauren Bacall. Na trzy tygodnie. Natychmiast przyszła refleksja: jestem bogaty, samotny, bez obowiązków. Dlaczego tylko na trzy tygodnie? Na sześć, powiedziałem. Proszę zarezerwować mi jakiś domek albo coś w tym rodzaju. Usłyszałem, że to będzie sporo kosztowało. Nic nie szkodzi, odpowiedziałem. Kiedy wrócę do Derry, będzie już wiosna. Tymczasem czekało mnie rozpakowywanie mebli.

Przez pierwsze cztery tygodnie byłem oczarowany Key Largo, przez ostatnie dwa zaś mało nie zanudziłem się na śmierć. Nie uciekłem jednak, ponieważ nuda to dobra rzecz. Osoby o wysokiej odporności na nudę są w stanie wiele przemyśleć. Zjadłem około miliarda krewetek, wypłem około tysiąca margarit i przeczytałem dwadzieścia trzy powieści Johna »D. MacDonalda. Dwukrotnie się opaliłem, dwukrotnie zlazła mi skóra, trzecia opalenizna pozostała. Kupiłem czapkę z długim daszkiem i napisem PAPUZIA GŁOWA wyhaftowaną jaskrawozieloną nicią. Tyle razy spacerowa-

łem po tej samej plaży, aż wreszcie byłem ze wszystkimi po imieniu, oprócz tego zaś rozpakowywałem meble. Sporo z nich wcale mi się nie podobało, lecz nie ulegało wątpliwości, że wszystkie pasują do domu.

Rozmyślałem o Johannie i naszym życiu. Rozmyślałem o moim komentarzu do „We dwoje”, że nikt nie pomyli tej książki z „Look Homeward, Angel”, oraz o jej odpowiedzi: „Panie Noonan, chyba nie zamierza pan odgrywać przede mną roli sfrustrowanego artysty?” Przez cały okres pobytu na Key Largo te słowa rozbrzmiewały w mojej głowie: sfrustrowany artysta, pieprzony sfrustrowany artysta, cholerny pieprzony sfrustrowany artysta.

Myślałem również o moich snach, a szczególnie o ostatnim. Nie miałem z tym najmniejszych problemów, wspomnienie o nim bowiem ani trochę nie blakło. Finałowy sen o Sarze Laughs oraz jedyny w moim życiu erotyczny sen z wilgotno-lepkim zakończeniem (masturbuję się nad nagą dziewczyną leżącą w hamaku i jedzącą śliwkę) trwają w mojej pamięci niezmiennie, ze wszystkimi szczegółami, jakby przyśniły mi się zaledwie przed chwilą. Z całej reszty pozostały tylko niewyraźne fragmenty albo zupełnie nic.

W snach o Sarze Laughs aż roiło się od szczegółów (nury, świerszcze, pierwsza gwiazda, moje życzenie, i tak dalej), uważałem jednak, iż większość z nich pełniła jedynie funkcję ozdobników, mogłem więc nie zawracać sobie nimi głowy. W związku z tym do rozważenia zostały mi trzy główne elementy, trzy duże meble do rozpakowania.

Siedząc na plaży i obserwując słońce, które przeciskało się ku wodzie między moimi zapiaszczonymi palcami, doszedłem do wniosku, że nie trzeba być psychiatrą, aby dostrzec wzajemne powiązania tych trzech elementów. Nie należę do wielkich zwolenników Zygmunta Freuda - moim zdaniem,

jest on doskonałym przykładem inteligentnego, obdarzonego wyobraźnią człowieka ze skłonnościami do niepotrzebnego poszukiwania skomplikowanych wyjaśnień - uważam jednak, iż miał całkowitą rację, twierdząc, że nasze sny często przemawiają do nas za pomocą symboli.

W snach o Sarze trzema głównymi motywami były: las za moimi plecami, dom przede mną oraz ja, Michael Noonan, znieruchomiały między nimi. Robi się ciemno, w lesie czai się niebezpieczeństwo. Dom również wygląda groźnie, przypuszczalnie dlatego, że tak długo stał zupełnie pusty, dla mnie jednak nie ulega wątpliwości, iż muszę tam dotrzeć. Straszny czy nie, ale tylko on może dać schronienie. Niestety, nie mogę ruszyć się z miejsca. Jestem sparaliżowany od pasa w dół.

W finałowym śnie wreszcie udaje mi się ruszyć w jego kierunku, okazuje się jednak, że nie znajduję w nim schronienia. Wręcz przeciwnie: czai się tam znacznie większe niebezpieczeństwo, niż mógłbym przypuszczać w... no, w najdzikszych snach. Moja zmarła żona, spowita w całun, wybiega z krzykiem i rzuca się na mnie. Nawet pięć tygodni później i niemal pięć tysięcy kilometrów od Derry, na wspomnienie o śmigającej białej postaci z workowatymi ramionami moim ciałem wstrząsa dreszcz i ukradkiem oglądam się za siebie.

Czy to jednak na pewno była Johanna? Przecież nie mam żadnego dowodu. Postać była cała spowita całunem. Owszem, trumna stojąca na podjeździe niczym nie różniła się od tej, w której została pochowana, ale to może być fałszywy trop, celowo podsunięty dla zmylenia śladów.

Paraliż mięśni, paraliż twórczy.

Nie mogę pisać, powiedziałem głosowi we śnie, ale on twierdzi, że mogę, że paraliż twórczy minął, a ja mu wierzę, ponieważ ustąpił również paraliż dolnych kończyn. Znowu



jestem w stanie poruszać nogami, idę podjazdem, zbliżam się do schronienia, ale nadal się boję. Jeszcze zanim biały stwór wypadnie z krzykiem z tylnych drzwi, drzę z przerażenia.

Tłumaczę głosowi, że boję się pani Danvers, lecz dzieje się tak tylko dlatego, że we śnie Sara Laughs pomyliła mi się z Manderley. Naprawdę boję się...

- Boję się pisać - powiedziałem głośno. - Boję się nawet spróbować.

Działo się to wieczorem na dzień przed moim powrotem do Maine, i byłem już niezbyt trzeźwy. Pod koniec wakacji sporo piłem wieczorami, ponieważ dzięki temu czas mijał odrobinę szybciej.

- To nie paraliż mnie przeraża, tylko możliwość uwolnienia się od niego. Jestem załatwiony, panie i panowie. Załatwiony na dobre.

Załatwiony czy nie, w końcu dotarłem do sedna sprawy. Bałem się powrotu do pracy twórczej, bałem się, że mógłbym się jakoś pozbierać i żyć dalej bez Jo. Mimo to, w najgłębszych pokładach umysłu, zdawałem sobie sprawę, że muszę tak postąpić. To właśnie były owe groźne odgłosy w lesie za moimi plecami. Wiara wiele znaczy. Niekiedy zbyt wiele, szczególnie jeśli ktoś ma wyobraźnię. Kiedy człowiek obdarzony wyobraźnią wpada w tarapaty psychiczne, linia podziału między tym, co rzeczywiste, a tym, co wyimaginowane, bywa niekiedy trudno dostrzegalna.

Groźne leśne stworzenia, proszę pana. Jedno z nich właśnie trzymałem w ręku. Podniosłem szklankę i spojrzałem przez nią na zachodzące słońce. Ostatnio dużo piłem - tutaj, na Key Largo, to było chyba w porządku; do licha, ludzie powinni dużo pić na wakacjach, takie jest prawo! - ale podobnie działo się już w domu, przed wyjazdem. Łatwo stracić kontrolę nad takim piciem. Przez takie picie łatwo wpaść

w tarapaty.

Tajemnicze szelesty w lesie i potencjalnie bezpieczne miejsce strzeżone przez odrażającego upiora, który nie był moją żoną, tylko jej wspomnieniem. To nawet miało sens, ponieważ Sara Laughs była dla Jo ukochanym miejscem na ziemi. Ta myśl doprowadziła mnie do następnej, która sprawiła, że usiadłem gwałtownie na leżaku. Właśnie tam, w naszym letnim domu, narodziła się tradycja: szampan<sup>^</sup> ostatnie zdanie, a przede wszystkim najważniejsze błogosławieństwo: „W takim razie, chyba wszystko-w porządku, no nie?” Błogosławieństwo, którego mogła udzielić tylko moja zmarła żona.

— Muszę tam wrócić - powiedziałem i moje ciało natychmiast pokryło się gęsią skórką—”<sup>^</sup>

Tak Sny o Manderley nie wystarczą. Musiałem tam wrócić, ale nie wolno mi było żywić nadziei, że w ten sposób uwolnię się od problemów. Gdybym żywił taką nadzieję, niczym nie różniłbym się od kaleki, który pełźnie po schodach sanktuarium w Fatimie, licząc na to, że kiedy dotrze na szczyt, odrzuci kule i o własnych siłach stanie na nogi. Również sam akt przenosin z Derry nad Dark Score niczego nie zmieni. Co prawda istnieje takie pojęcie jak „lekarstwo geograficzne”, jednak wartość lecznicza tej terapii jest taka sama jak okładanie zimnymi kompresami w przypadku raka albo okadzanie wonnym dymem w przypadku AIDS. Mój stary przyjaciel powiedział kiedyś, że jeśli na pokład samolotu w Portland w stanie Maine, wejdzie kretyn, to po wylądowaniu w Portland w stanie Oregon na pewno nie wysiądzie ani odrobinę mądrzejszy.

A jeżeli jednak sny w równym stopniu co przerwanej kariery dotyczyły mego życia? Jeżeli cierpiałem na tak zwany „nierozwiązywalny problem” i właśnie nad jeziorem Dark Score powinienem uczynić wszystko co w mojej mocy, żeby

go jednak rozwiązać? Dlaczego nie miałbym tam pojechać?

Pytanie zabrzmiało w moich uszach równie głupio jak stwierdzenie Ralpa Robertsa, że potrzebuję wakacji. Oczywiście, że potrzebowałem wakacji, skoro zaś teraz, po ich zakończeniu, czułem potrzebę odwiedzenia Sary Laughs, dlaczego miałbym tego nie uczynić? Przez pierwszą noc albo dwie będzie zapewne trochę strasznie, ale kiedy minie kac po ostatnim śnie, moja obecność w tym miejscu być może pomoże mi szybciej przezwyciężyć jego skutki.

Poza tym (akurat tę myśl zepchnąłem w najdalszy zakątek świadomości), może jednak coś się zmieni, jeśli chodzi o moje pisanie. Było to bardzo mało prawdopodobne, ale przecież nie niemożliwe. Chyba że nastąpi jakiś cud... Czyż nie tak właśnie pomyślałem w Nowy Rok, siedząc na krawędzi wanny z mokrym ręcznikiem przyciśniętym do czoła? Otóż to: chyba że nastąpi cud. Niekiedy lodowate kompresy i okadzanie wonnym dymem odnoszą skutek. Niekiedy ślepcy odzyskują wzrok po silnym uderzeniu w głowę, niekiedy paralitycy odrzucają kule po dotarciu na szczyt schodów przed kościołem.

W bankowym sejfie spoczywał jeszcze jeden ukończony maszynopis, co oznaczało, że został mi jeszcze rok wolności. Postanowiłem spędzić go w domu nad jeziorem. Doprowadzenie do końca wszystkich spraw w Derry zajmie mi trochę czasu, podobnie jak Billowi Deanowi doprowadzenie Sary do stanu używalności i przygotowanie jej na przyjęcie całorocznego lokatora, ale najdalej czwartego lipca muszę być gotów do przeprowadzki. Uznałem, że powinienem trzymać się owego terminu; to nie tylko święto narodowe, lecz także, a może nawet przede wszystkim, koniec najobfitszego wysypu owadów w zachodnim Maine.

Zanim spakowałem bagaże (Wszystkie książki Johna D.

MacDonalda zostawiłem następnemu lokatorowi), zgoliłem tygodniowy zarost z tak opalonej twarzy, że nie poznałem jej w lusterku, i wróciłem do Maine, utwierdziłem się w przekonaniu o słuszności podjętej decyzji. Udam się w miejsce, które moja podświadomość wybrała na kryjówkę przed gęstniejącą ciemnością. Udam się tam pomimo sporego ryzyka.

Oczywiście nie oczekuję, że Sara Laughs okaże się moim Lourdes<sup>^</sup> ale pozwolę sobie na odrobinę nadziei, a kiedy ujrzę pierwszą gwiazdę błyszczącą na niebie nad jeziorem, wyszeptzę jej swoje życzenie.

Tylko dwie rzeczy nie pasowały do przeprowadzonej przeze mnie analizy snów o Sarze, a ponieważ nie potrafiłem ich wyjaśnić, postanowiłem je zignorować. Niestety, bez powodzenia. W głębi duszy wciąż chyba byłem jeszcze pisarzem, a pisarz to człowiek<sup>^</sup> który nauczył swój umysł nieposłuszeństwa.

Po pierwsze: W jaki sposób mój umysł zdołał wyidealizować wcześniejsze sny z „Serii Manderley”? Uczynił to tak doskonale<sup>^</sup> że dopiero ostatni koszmar wstrząsnął mną wystarczająco silnie, by zmusić do zastanowienia. Jak to możliwe, żebym tyle razy śnił ten sam sen i nie poświęcił mu większej uwagi? A może powinienem zapytać: dlaczego się tak stało? Pamiętałem doskonale, jak podczas telefonicznej rozmowy z Haroldem odchyliłem się do tyłu razem z fotelem, gapiłem się na fotografię domu i myślałem... No, właśnie. Nic nie myślałem. Równie dobrze mogło to być zdjęcie jakiejś dziewczyny w kostiumie kąpielowym albo dzieciaka łożącego kijanki w gliniance. Odwiedzałem to miejsce w snach trzy, cztery albo nawet pięć razy w tygodniu, a mimo to widok fotografii nie wywarł na mnie żadnego wrażenia. Idealizacja, represja, czy obie te rzeczy na raz?

Po drugie: Skaleczenie na rękę. Występowało we wszyst-

kich snach, by wreszcie pojawić się naprawdę. Takich rzeczy nie znajdzie się w naukowych rozprawach doktora Freuda. To fenomen rodem prosto z Gorącej Linii Towarzystwa Parapsychologicznego.

Zwykły przypadek, nic więcej, pomyślałem, kiedy samolot rozpoczął podchodzenie do lądowania. Siedziałem w fotelu A-2 (lubię siedzieć w przedniej części maszyny, bo gdyby nastąpiła katastrofa, dotarłbym jako jeden z pierwszych na miejsce zdarzenia) i podziwiałem przesuwające się w dole sosnowe lasy. Śnieg miał się pojawić dopiero za rok. Nie doczekał mojego powrotu z wakacji. Najzwyklejszy przypadek. Ile razy zdarzyło ci się skaleczyć w rękę? Ręce są zawsze z przodu, poruszają się, gestykulują, wręcz prowokują nieszczęście.

Brzmiało to rozsądnie, lecz nie uspokoiło mnie do końca. Może dlatego, że nie było do końca prawdą? A może doznałem króciutkiego nadzwyczajnego objawienia, zajrzałem na chwilę do mego osobistego archiwum X? Nawet jeśli tak, to co z tego?

Przestałem o tym myśleć, kiedy koła samolotu zetknęły się z pasem startowym Międzynarodowego Portu Lotniczego w Bangor.

Któregoś popołudnia wkrótce po powrocie do domu tak długo grzebałem w szafach, aż wreszcie odnalazłem pudełko po butach ze starymi fotografiami Jo. Posortowałem je, po czym dokładnie przejrzałem te z nad jeziora Dark Score. Było ich zaskakująco dużo, ale ponieważ większość wykonała Johanna (miała prawdziwego bzika na punkcie fotografowania), znalazłem ją zaledwie na kilku. Jedno z nich doskonale pamiętałem; zrobiłem je w 1990 albo 1991.

Niekiedy nawet mało utalentowanemu fotografowi wyjdzie dobre zdjęcie (jeśli tysiąc małych przez tysiąc lat będzie uderzać w klawisze tysiąca maszyn do pisania, i tak dalej),

to zaś było naprawdę dobre. Jo stała na platformie, za jej plecami zachodziło złocistoczerwone słońce. Przed chwilą wyszła z wody w dwuczęściowym kostiumie, szarym w czerwone paski. Uchwyciłem ją, kiedy, roześmiana, odgarniała włosy z czoła i skroni. Pod cienkim materiałem biustonosza wyraźnie odznaczały się sterczące sutki. Wyglądała jak aktorka na plakacie reklamującym jakiś lekko erotyzujący film klasy B, na przykład o potworach z jeziora albo seryjnym zabójcy atakującym mieszkanki żeńskiego akademika.

Ogarnęło mnie niespodziewane, szaleńcze pożądanie. Zapragnąłem zawlec ją na piętro taką, jaka była na tym zdjęciu, z kosmykami mokrych włosów przyklejonymi do policzków i w mokrym, oblepiającym ciało kostiumie kąpielowym. Zapragnąłem ssać jej sutki przez materiał, poczuć na wargach jego fakturę oraz ich twardość. Zapragnąłem wyssać wilgoć jak mleko, po czym zedrzeć majteczki i wziąć ją tak gwałtownie, żebyśmy oboje eksplodowali.

Lekko drżącą ręką odłożyłem fotografię na bok, razem z kilkoma innymi, które także mi się spodobały (choć ta akurat spodobała mi się w szczególny, niepowtarzalny sposób). Miałem ogromny wzwód, jeden z tych, kiedy wydaje ci się że masz członek z kamienia. Dopóki nie minie, jesteś do niczego.

W sytuacji, kiedy w pobliżu nie ma kobiety, która zechciałaby pomóc ci uporać się z tym problemem, najlepszym rozwiązaniem jest oczywiście masturbacja, tym razem jednak myśl o niej nawet nie przyszła mi do głowy. Owszem, onanizowałem się od czasu do czasu, ale nie tego dnia. Skończyło się na tym, że wędrowałem bez celu po pięttrze, zaciskając i prostując palce, z czymś, co wyglądało jak róg nosorożca wepchnięty w spodnie.

Czytałem, że gniew towarzyszy niekiedy rozpaczy, ja jed-

nak po śmierci Johanny nigdy nie byłem na nią rozgniewany - aż do dnia, kiedy znalazłem to zdjęcie. Jak już mnie dopadło, to na dobre. Pętałem się bez celu po domu ze sterzącym kutasem i zgrzytałem zębami z wściekłości. Durna dziwka, co jej strzeliło do łba, żeby w najgorętszy dzień roku ganiać po rozgrzanym asfaltowym parkingu? Głupia, samolubna suka! Zostawiła mnie samego. Nawet nie mogę już pracować.

Usiadłem na schodach, żeby zastanowić się, co powinienem zrobić. Na pewno przydałby mi się drink, a zaraz potem drugi, na poprawkę. Dopiero kiedy wstałem, uświadomiłem sobie, że to jednak nie jest najlepszy pomysł.

Poszedłem do gabinetu, włączyłem komputer i rozwiązałem krzyżówkę. Wieczorem, przed położeniem się do łóżka, przyszło mi do głowy, że warto by jeszcze raz zerknąć na zdjęcie Jo w bikini, szybko jednak doszedłem do wniosku, iż jest to równie głupi pomysł jak ten, żeby pogłębić depresję za pomocą alkoholu. Za to najpe^no przyśni mi się ten sen, pomyślałem, gasząc światło. Napewno do mnie wróci.

Nie wrócił. Wyglądało na to, że seria snów o Sarze Laughs dobiegła końca.

Trwające tydzień rozmyślenia nie zmieniły mego postanowienia o powrocie do domu nad jeziorem; prawdę powiedziawszy, im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej podobał mi się ów pomysł. W związku z tym, w pewne majowe sobotnie popołudnie, kiedy wydawało się oczywiste, że każdy szanujący się nadzorca w stanie Maine będzie siedział w domu i oglądał mecz Red Sox, zadzwoniłem do Billa Deana i powiedziałem mu, że czwartego lipca zamierzam przyjechać nad jezioro Dark Score, oraz, jeśli wszystko ułoży się zgodnie z moimi oczekiwaniami, prawdopodobnie spędzę tam również jesień i zime.

- To świetnie - odparł takim tonem, jakby naprawdę się ucieszył. - Znakomicie. Bardzo nam tu Ciebie brakuje, Mike. Mnóstwo ludzi chciało złożyć ci wyrazy współczucia z powodu śmierci twojej żony.

Czy tylko mi się zdawało, czy w jego głosie zabrzmiała delikatna nuta wyrzutu? Nie ulegało wątpliwości, że Jo i ja byliśmy osobami dość znanymi w okolicy; w znaczący sposób wspomagaliśmy trzy niewielkie biblioteki w rejonie Motton-Kachwakamak-Castle View, Jo zaś stanęła na czele fundacji, która (z powodzeniem) gromadziła pieniądze na zakup autobusu-księgarni. Należała również do kółka krawieckiego i uczestniczyła w wielu przedsięwzięciach: odwiedzała chorych, organizowała akcję honorowego krwiodawstwa, rozdawała znaczki i ulotki podczas kampanii przeciwko dyskryminacji płciowej. Nie czyniła tego ostentacyjnie, lecz pokornie, z opuszczoną głową (niekiedy pozwalało jej to ukryć chytry uśmieszek, ponieważ moja żona była obdarzona istic Bierce'owskim poczuciem humoru). Boże, pomyślałem. Sta<sup>ry</sup> Bili chyba ma prawo czynić mi wyrzuty.

- Brakuje im jej - powiedziałem.

- Ano.

- Mnie też jej brakuje. Chyba dlatego trzymałem się z dala od tych stron. Wiesz, spędziliśmy tam sporo szczęśliwych chwil.

- Jasne. Cholernie się cieszę, że "wreszcie przyjedziesz. Zraz biorę się do roboty. Wszystko jest w porządku - mógłbyś wprowadzić się choćby dzisiaj, gdybyś chciał- ale kiedy dom stoi tak długo pusty, robi się w nim trochę... nieświeżo.

- Wiem.

- Każę Brendzie Meserve wysprzątać chałupę od strychu po piwnice. Kiedyś robiła to co roku.

- Czy aby nie jest już trochę za stara na taką robotę?



Osoba, o której mowa, liczyła sobie około sześćdziesięciu pięciu lat, była przysadzista, miła i uwielbiała świntuszyć. Najbardziej upodobała sobie dowcipy o komiwojażerze, który każdą noc spędzał jak królik, przeskakując z nory do nory. W niczym nie przypominała pani Danvers,

- Ktoś taki jak Brenda Meserve nigdy nie jest za stary, żeby dyrygować innymi. W cięższych pracach wyręczają dziewczyny. Będzie cię to kosztowało jakieś trzysta dolarów. Zgadzasz się?

- Jasne.

- Oprócz tego trzeba sprawdzić wodę w studni i kibel, choć jestem pewien, że wszystko jest jak należy. W szopie narzędzia zadomowiły się szerszenie; wykurzę je, zanim wyschnie drewno. Aha, trzeba też na nowo pokryć dach nad główną częścią domu. Powinienem był powiedzieć ci o tym w zeszłym roku> ale nie pojawiałeś się, więc dałem sobie spokój. Chcesz, żebym się tym zajął?

— Dobra. Do dziesięciu tysięcy masz wolną rękę, jeśli koszty będą wyższe, skontaktuj się ze mną.

- Gdybyśmy mieli nie zmieścić się w dziesięciu tysiącach, pocałuję w podogonie pierwszego spotkanego wieprzka.

— Wystarczy, jeśli dopilnujesz, żeby wszystko było gotowe do mojego przyjazdu.

- Nie ma sprawy. Pewnie chcesz zamknąć się w swojej samotni, i tak dalej, ale uprzedzam cię, że to ci się od razu nie uda. Będą przyjeżdżać ludzie, żeby ci powiedzieć, jak bardzo im było przykro, kiedy się dowiedzieli, i tak dalej, i tak dalej. Większość z nich przywiezie kruche ciastka.

Roześmiał się, ale dość niepewnie, jakby bał się, że popęlnia nietakt.

- Lubię kruche ciastka, a jeżeli będę miał już dosyć, to zgłoszę się do Kenny'ego Austera. Wciąż jeszcze ma tego

swojego ogromnego wilczura?

- O, tak! Ten to dopiero lubi zjeść! - Musiałem zaczekać, aż minie mu atak śmiechu:- Kenny nazwał go Borówka, li-cho wie dlaczego. Guzdrawaty jak cholera!

Przypuszczałem, że ma na myśli psa, nie jego pana. Kenny Auster, szczupły mężczyzna wzrostu niewiele ponad półtora metra, stanowił całkowite przeciwieństwo guzdrawatości; w stanie Maine słowo to oznacza mniej więcej tyle co niezgrabność, ociężałość i otyłość. Nagle uświadomiłem sobie, że brakuje mi tych ludzi, że brakuje mi Billa, Brendy, Kenny'ego Austera i wszystkich, którzy przez cały rok mieszkali nad jeziorem; Brakowało mi nawet wilczura o imieniu Borówka, który bez przerwy węszył<sup>^</sup> usiłując złapać górny wiatr, a przy pysku zawsze wisały mu strużki śliny.

- Muszę tam jeszcze wpaść, żeby upszątnąć zimowe wiatrołomy - ciągnął Bili z lekkim zażenowaniem. - W tym roku nie jest najgorzej, bo nawet nie wiało tak strasznie, ale tu i tam leży jeszcze sporo gałęzi, których nie zdążyłem posprzątać. To, że nikt nie przyjeżdża, to jeszcze nie usprawiedliwienie. Bądź co bądź, przez cały czas biorę od ciebie pieniądze.

W tym bijącym się w piersi starym pierniku było coś wzruszająco zabawnego. Jestem pewien, że Jo pokładałaby się ze śmiechu.

- Interesuje mnie tylko to, żeby wszystko było gotowe na czwartego lipca.

- Będzie, Mike. Możesz być pewien. Poczujesz się tu jak u pana Boga za piecem. Będziesz pisał książkę? Jak za dawnych lat? Te najnowsze też są całkiem niezłe, a od ostatniej moja stara w ogóle nie mogła się oderwać, ale...

- Jeszcze nie wiem - odparłem zgodnie z prawdą. Nie spodziewanie przyszedł mi do głowy pewien pomysł: - Bili, czy mogę prosić cię o przysługę, jeszcze zanim uprzątujesz

podjazd i wpuścisz do domu Brendę Meserve?

- Jasne.

Powiedziałem mu, czego od niego chcę.

Cztery dni później otrzymałem niewielką przesyłkę opatrzoną lakonicznym adresem zwrotnym: Dean, TR-90, Dark Score. Otworzyłem ją, po czym wysypałem na stół około dwudziestu zdjęć wykonanych aparatem jednorazowego użytku.

Bili obfotografował dom ze wszystkich stron. Na większości zdjęć bez trudu dało się zauważyć oznaki może nie zaniedbania, bo przecież dom był „zadbywany”, jak mawiał Bili, ale opuszczenia. Nie obejrzałem wszystkich, ponieważ już na czterech z wierzchu było to, na czym mi zależało. Ułożyłem je w szeregu na kuchennym stole, w promieniach słońca. Bili wykonał je z początku podjazdu. Na fotografiach było widać mech, który porósł już nie tylko ściany środkowej części domu, ale także skrzydła północnego i południowego, połamane gałęzie oraz gruby dywan sosnowych igieł na podjeździe. Z pewnością miał wielką ochotę, żeby najpierw posprzątać, ale oparł się pokusie. Zrobił dokładnie to, o co go prosiłem.

Krzewy po obu stronach podjazdu rozrosły się znacznie od czasu, kiedy Jo i ja po raz ostatni wpadliśmy tam na dłużej. Może nie zdziczały zupełnie, ale najdłuższe gałęzie istotnie wyciągały się ku sobie niczym ręce rozłączonych kochanków.

Jednak moją uwagę natychmiast przykuła weranda z tyłu domu. Pozostałe podobieństwa między fotografiami a moimi snami mogły być przypadkowe (albo stanowić owoc pracy bardzo konkretnej i praktycznej wyobraźni pisarza), jak jednak wytłumaczyć fakt, że ze szczelin w podłodze wyrastały dorodne słoneczniki? Było to co najmniej równie zagadko-

we jak płytka rana na mojej ręce.

Na odwrocie jednego ze zdjęć znalazłem zdanie skreślone niewyraźnym pismem Billa: W tym roku wyjątkowo wcześnie się pojawiły!

Ponownie spojrzałem na fotografię. Trzy wielkie słoneczniki o kwiatach jak reflektory, sterczące ze szczelin w podłodze werandy. Nie dwa, nie cztery, tylko właśnie trzy. Tak samo jak w moim śnie.

## Rozdział 6

Trzeciego lipca 1998 wrzuciłem dwie walizki i PowerBooka do małego bagażnika mego chevroleta, włączyłem wsteczny bieg, ruszyłem, zahamowałem, wyłączyłem silnik i wróciłem do domu. Sprawiał wrażenie opuszczonego i trochę zagubionego, jak wierna kochanka, która nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego została porzucona przez partnera. Co prawda nie przykryłem mebli pokrowcami ani nie wyłączyłem prądu, niemniej jednak dom pod numerem 14 przy Benton Street był martwy. Echo towarzyszyło moim krokom nawet w najbardziej zagraconych pomieszczeniach, pokoje wypełniało zbyt intensywne, zakurzone światło.

W gabinecie uklękłem przed biurkiem, na którym stał zakapturzony niczym kat komputer, i otworzyłem szufladę. Wewnątrz znajdowały się cztery ryzy papieru. Wziąłem jedną, wetknąłem sobie pod pachę, wstałem, zastanowiłem się, odwróciłem się ponownie. Prowokacyjne zdjęcie Jo było schowane w środkowej szufladzie biurka. Wyjąłem je stamtąd, po czym rozdarłem opakowanie i wsunąłem fotografię do połowy między białe kartki, jak zakładkę. Gdybym jednak zaczął ponownie pisać, i gdyby praca posuwała się naprzód, powinienem spotkać Johannę około strony dwieście pięćdziesiątej.

Następnie wyszedłem z domu, zamknąłem drzwi na klucz, wsiadłem do samochodu i odjechałem. Już tam nie wróciłem.

Wielokrotnie kusiło mnie, żeby pojechać nad jezioro i skontrolować postęp prac, które okazały się nieco bardziej rozległe, niż wynikało ze wstępnych szacunków Billa Deana. Nie uczyniłem tego jednak, przede wszystkim za sprawą nie

do końca wyartykułowanego, ale bardzo silnego przeczucia, które podszeptowało mi, że tak nie należy czynić. Kiedy wreszcie wrócę do Sary, to po to, żeby rozpakować się i zostać.

Bili wynajął Kenny'ego Austera do prac dekarских, natomiast Timmy Larribee, kuzyn Kenny'ego, otrzymał zadanie „wypucowania starej kobyły”, co oznacza czynność bardzo podobną do szorowania kotłów, której niekiedy są poddawane domy z bali. Bili sprowadził również hydraulika oraz uzyskał moją zgodę na wymianę najbardziej zużytych fragmentów instalacji wodno-kanalizacyjnej.

Bardzo utyskiwał przez telefon na koszty, a ja cierpliwie go słuchałem. Jeżeli Jankes w n-tym pokoleniu chce się poskarżyć, że coś kosztuje więcej, niż powinno, należy mu po prostu na to pozwolić. Tacy ludzie uważają wydawanie pieniędzy za sprzeczne z podstawowymi zasadami moralności - coś w rodzaju śmiałych pieszczot w publicznym miejscu albo prowadzenie samochodu w samych slipach. Jeśli o mnie chodzi, to nie miałem nic przeciwko dodatkowym wydatkom. Żyję dość skromnie, bynajmniej nie dlatego, że tak nakazuje mi sumienie, ale z powodu tego, że moja wyobraźnia, stosunkowo nieźle radząca sobie w innych dziedzinach, nie potrafi podsunąć mi żadnego pomysłu na trwonienie pieniędzy. Największe szaleństwo, jakie jestem w stanie sobie wyobrazić, to trzydniowy pobyt w Bostonie połączony z wizytami na stadionie Red Sox, największym sklepie płytowym w mieście oraz księgarni Wordswortha w Cambridge. Takie ekstrawagancje nie powodują znaczącego uszczuplenia odsetek, nie wspominając już o kapitale. Miałem dobrego księgowego z Watendlle i w dniu, kiedy zamknąłem drzwi domu w Derry, wsiadłem do wozu i odjechałem na zachód, byłem wart trochę ponad pięć milionów dolarów. Może niewiele w po-

równaniu z Billem Gatesem, ale bardzo dużo w tej okolicy. Mogłem sobie pozwolić na to, żeby nie przejmować się kosztami remontu domu.

Była to dla mnie dziwna późna wiosna i dziwne wczesne lato. Zajmowałem się głównie czekaniem, telefonicznymi rozmowami z Billem Deanem, kiedy dzwonił, by opowiedzieć o najświeższych kłopotach, oraz ćwiczeniami w niemyśleniu. Udzieliłem także wywiadu „Publisher's Weekly”. Na pytanie, czy miałem jakiegokolwiek problemy z powrotem do pracy twórczej „po bolesnej stracie, jaka pana dotknęła”, bez wahania odpowiedziałem: nie. Była to święta prawda. Bądź co bądź, moje problemy zaczęły się dopiero wtedy, kiedy skończyłem „Upadek”. Wcześniej wszystko szło jak po maśle.

W połowie czerwca umówiłem się na lunch z Frankiem Arlenem w Starlite Cafe w Lewiston, czyli dokładnie w połowie drogi między naszymi miastami. Przy deserze (obaj zamówiliśmy specjalność zakładu - czyli ciasteczka truskawkowe) Frank zapytał, czy się z kimś spotykam. Wybałuszyłem na niego oczy.

- Co się tak gapisz? - burknął. Na jego twarzy malowało się jedno z dziewięciuset nienazwanych uczuć, oscylujące między rozbawieniem i irytacją. - Przecież nie pytam, czy zdradzasz Jo. Ona umarła już prawie cztery lata temu.

- Nie - odparłem. - Z nikim się nie spotykam.

Przyglądał mi się w milczeniu. Przez kilka sekund patrzyłem mu prosto w oczy, po czym opuściłem wzrok i zająłem się zbieraniem bitej śmietany z ciastka. Było jeszcze ciepłe, śmietana szybko się rozpuszczała. Nie wiadomo dlaczego przyszła mi do głowy stara głupia piosenka o ciastku, które ktoś zostawił na dworze w padającym deszczu.

- A spotykałeś się?

- To nie twój interes, Frank.

- Na litość boską, daj spokój! Na wakacjach? A może...  
Zmusiłem się, żeby oderwać wzrok od ciastka i ponownie spojrzeć mu w twarz.

- Nie - powiedziałem. - Wtedy też nie.

Umilkł ponownie. Myślałem, że da mi spokój i zmieni temat - wierście mi, nie miałbym nic przeciwko temu - on jednak zapytał wprost, czy od śmierci Johanny choć raz byłem z kobietą w łóżku. Mogłem skłamać. Musiałoby mu to wystarczyć, nawet gdyby mi nie uwierzył do końca, ja jednak powiedziałem prawdę... i to z pewną perwersyjną przyjemnością:

-Nie.

- Ani razu?

- Ani razu.

- Może chociaż zajrzałeś do salonu masażu? Wiesz, żeby...

-Nie.

Stukał łyżeczką w brzeg talerzyka, na którym leżało nienapoczęte ciastko, i przyglądał mi się z taką miną, jakbym był przedstawicielem nieznanego nauce, zdumiewającego gatunku chrząszczy. Nie podobało mi się to, ale chyba go rozumiałem.

Dwukrotnie mało brakowało, żebym „nawiązał romans”, jak to się czasem określa, lecz wcale nie zdarzyło się to na Key Largo, chociaż przedfilowało tam przede mną co najmniej dwa tysiące pięknych młodych kobiet przyodzianych jedynie w kilka mikroskopijnych skrawków materiału oraz mnóstwo obietnic. Za pierwszym razem była to rudowłosa kelnerka Kelli z restauracji, w której często jadałem lunch. Po pewnym czasie zaczęliśmy wymieniać żarciki, potem zaś również trochę zbyt długie i zbyt skupione spojrzenia. Za-



cząłem zwracać uwagę na poruszenia jej bioder opiętych cienkim materiałem fartuszka, a ona natychmiast to zauważyła.

Druga okazja nadarzyła się w Nu You, fitness klubie, do którego uczęszczałem. Wysoka kobieta w różowym kostiumie i czarnych trykotowych spodenkach kolarskich. Bardzo apetyczna. Spodobał mi się dobór lektur, które przynosiła, żeby umilić sobie długie podróże donikąd na rowerku treningowym: nie „Vogue”, nie „Mademoiselle” ani nawet nie „Cosmopolitan”, tylko powieści Johna Irvinga i Ellen Gilchrist. Lubię ludzi, którzy czytają współczesną literaturę, i to nie tylko dlatego, że kiedyś sam ją tworzyłem. Czyelnicy książek również zazwyczaj zaczynają rozmowę od pogody, ale niemal nigdy nie kończą jej na tym temacie.

Różowo-czarna blondynka nazywała się Adria Bundy. Najpierw dyskutowaliśmy o literaturze, pedałując coraz dalej donikąd na sąsiadujących rowerkach, potem zaś, raz albo dwa razy w tygodniu, asekurowałem ją podczas ćwiczeń na siłowni, a konkretnie podczas wyciskania leżąc. W tym ćwiczeniu jest coś niezwykle intymnego - być może ma to związek z pozycją ćwiczącego (szczególnie jeśli jest nim kobieta), ale nie tylko. Przede wszystkim chodzi chyba o związek między podnoszącym a asekurowującym. Choć prawie nigdy nie dochodzi do skrajnych sytuacji, życie i zdrowie ćwiczącego zależą w znacznej mierze od osoby asekurowującej. Jakoś tak zimą 1996, kiedy stałem nad nią, gotów w każdej chwili do interwencji, pojawiły się owe charakterystyczne, zbyt długie i zbyt intensywne spojrzenia.

Mam wrażenie, że Kelli miała około trzydziestu lat, Adria zaś odrobinę mniej. Kelli była rozwódką, Adria - panną. W obu przypadkach droga była wolna, w obu też prawie na pewno mógłbym liczyć na przychylność drugiej strony.

Nie wiadomo, co wydarzyłoby się później, ale z pewnością miałem szansę na jazdę próbną. Ja tymczasem najpierw zmieniłem restaurację, potem zaś fitness club. Parę miesięcy później spotkałem Adrię Bundy na ulicy; powiedziałem „cześć”, ona zaś zmierzyła mnie na pół zdziwionym, a na pół obrażonym spojrzeniem.

W sensie czysto fizycznym pożądałem obu (chyba nawet przyśniło mi się kiedyś, że jestem z obiema w łóżku), lecz tak naprawdę nie pragnąłem żadnej. Częściową odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosiła moja niezdolność pisania - piękne dzięki, mam wystarczająco spieprzone życie, żeby szukać kolejnych komplikacji - częściową zaś podejrzanie, że zerkająca zalotnie kobieta widzi nie tyle mnie i moje niewątpliwe zalety, co raczej moje konto bankowe.

Jednak przede wszystkim chodziło o to, że Jo zajmowała tak wiele miejsca w mojej głowie i sercu, iż nie zdołałby się tam wcisnąć nikt inny. Moja rozpacz działała jak cholesterol; jeśli uważacie to za śmieszne albo niepoważne, macie szczęście, ponieważ nigdy nie doświadczyliście czegoś takiego.

- A co z przyjaciółmi? - zapytał Frank, po czym wreszcie zabrał się za ciastko. - Masz chyba jakichś przyjaciół, prawda?

- Jasne - odparłem. - Całe mnóstwo.

Było to kłamstwo, chociaż naprawdę miałem mnóstwo krzyżówek do rozwiązywania, książek do czytania oraz kaset z filmami. Nauczyłem się na pamięć ostrzeżenia FBI o karach grożących za nielegalne kopiowanie i rozpowszechnianie materiałów audiowizualnych. Jeśli jednak chodziło o prawdziwych, żywych ludzi, to przed opuszczeniem Derry zadzwoniłem tylko do dwóch, lekarza i dentysty, większość listów zaś, które wysłałem w czerwcu, zawierała zawiadomienie o zmianie adresu i była skierowana do pism takich jak „Harper's” i „Na-

tional Geographic".

- Frank, zacznasz traktować mnie jak kwoka swoje kurczę.

- Bo tak się czuję, kiedy z tobą jestem. Wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek. Nabrałeś ciała, i w ogóle...

- Aż za bardzo.

- Bzdura. Kiedy przyjechałeś do nas na święta, wyglądałeś jak strach na wróble. Teraz jest dużo lepiej. Chyba się nawet opaliłeś.

- Często spaceruję.

- Tak, naprawdę nieźle wyglądasz... tylko te oczy. Czasem w twoich oczach pojawia się coś takiego, że od razu zaczynam się niepokoić. Jo chyba byłaby zadowolona, że ktoś się o ciebie niepokoi.

- Co to takiego? - zapytałem.

- Mam ci powiedzieć prawdę? Czasem wyglądasz jak ktoś, kto bardzo się stara, ale za nic nie może się od czegoś uwolnić.

Wyjechałem z Derry o wpół do czwartej, zjadłem obiad w drobiowej restauracji w Mexico, po czym, w blasku zsuwającego się coraz niżej słońca, pojechałem drogą wijącą się po wzgórzach zachodniego Maine. Całkiem nieświadomie zaplanowałem z dużą dokładnością godziny wyjazdu i przyjazdu, a kiedy minąłem Motton i wjechałem na obszar oznaczony na mapie jako TR-90, poczułem ciężkie uderzenia serca. Pomimo włączonej klimatyzacji twarz i ręce miałem mokre od potu. Wydawało mi się, że wszystkie stacje nadają tę samą, brzmiącą jak krzyk, muzykę, więc wyłączyłem radio.

Bałem się i miałem ku temu powody, nawet jeśli pominąłbym zastanawiające przenikanie się moich snów ze światem rzeczywistym - uczyniłem to zresztą bez żadnego problemu, uznając skaleczenie na ręce oraz słoneczniki wyrastające

spod werandy albo za zbieg okoliczności, albo igraszkę podświadomości. Moje sny nie były zwyczajnymi snami, a moja decyzja o powrocie nad jezioro po tak długim czasie nie była zwyczajną decyzją. Nie czułem się jak człowiek końca tysiąclecia odbywający duchową krucjatę po to, by wreszcie stanąć twarzą w twarz z dręczącymi go koszmarami (ja czuję się dobrze, ty czujesz się dobrze, stańmy więc w kółeczku i zwalmy konia przy dyskretnej muzyce Williama Ackermana). Bardziej przypominałem jakiegoś szalonego proroka ze Starego Testamentu, który postanowił zamieszkać na pustyni, żywić się szarańczą i pić rosę, ponieważ Bóg wezwał go tam we śnie.

Miałem poważne problemy, moje życie ogarnął chaos, przy czym niemożność pisania stanowiła zaledwie drobną cząstkę tych kłopotów. Co prawda nie gwałciłem dzieci ani nie biegałem po Times Square w białej szacie, demaskując przez megafon ogólnoświatowe spiski, niemniej jednak wpadłem w tarapaty. Utraciłem swoje miejsce i za nic nie mogłem go odnaleźć. Nic dziwnego - życie to w końcu nie książka. W ów ciepły lipcowy wieczór zastosowałem wobec siebie terapię szokową. Na moją korzyść przemawia fakt, że doskonale zdawałem sobie z tego sprawę.

Nad Dark Score jedzie się w następujący sposób: dwadzieścia pięć kilometrów drogą międzystanową numer 95 z Derry do Newport, sto sześćdziesiąt kilometrów szosą numer 2 z Newport do Bethel (z postojem w Mexico, które kiedyś cuchnęło jak przedsionek piekiel, aż wreszcie tutejsze zakłady papiernicze splajtowały podczas drugiej kadencji Reagana), dwadzieścia dwa kilometry szosą numer 5 z Bethel do Waterford, następnie szosą numer 68 przez Castle View i Motton (najbardziej okazałym budynkiem w tej miejscowości jest przebudowana stodoła, w której sprzedaje się magnetowidy,

piwo oraz używaną broń palną), po czym mijają się dwa znaki: na pierwszym widnieje napis TR-90, na drugim zaś następująca rada: W RAZIE NIEBEZPIECZEŃSTWA WEZWIJ STRAŻ LEŚNĄ. TEL. 1-800-555-GAME LUB 72. Na tym drugim ktoś dopisał farbą w aerozolu: PIEPRZONE ORŁY.

Osiem kilometrów dalej w prawo odchodzi wąska dróżka, oznaczona jedynie małą tabliczką z liczbą 42. Nad cyframi, niczym umlauty, ziejają otwory po pociskach kalibru 22.

Skręciłem w tę drogę dokładnie o tej porze, o której się spodziewałem. Zegar na środkowej konsoli chevroleta wskazywał 7.16 wieczorem.

Czułem się tak, jakbym wracał do domu.

Jeśli wierzyć licznikowi, przejechałem trzysta metrów, wsłuchując się w szelest trawy szorującej po podwoziu samochodu oraz uderzenia gałęzi zawadzających o dach i boki nadwozia. Jak tylko zahamowałem i wyłączyłem silnik, wysiadłem z wozu, przeszedłem do tyłu, położyłem się na brzuchu i zacząłem wyrwać trawę, która stykała się z rozgrzanym układem wydechowym chevroleta. Lato było suche, więc należało mieć się na baczności. Przyjechałem właśnie o tej porze po to, żeby odtworzyć swoje sny, w nadziei odnalezienia jakiejś wskazówki lub choćby pomysłu, co czynić dalej. Z pewnością nie zależało mi na podpaleniu lasu.

Wstałem i rozejrzałem się dokoła. Świerszcze cykały tak samo jak w moich snach, drzewa tłoczyły się po obu stronach wąskiej drogi, w górze widać było wąski pasek ciemniejszego nieba.

Pomaszerowałem prawą koleiną. Kiedyś mieliśmy sąsiada, starego Larsa Washburna, teraz jednak na podjeździe przed jego domem rosły jałowce, wjazdu zaś bronił zardzewiały łańcuch. Do drzewa po lewej stronie przybito tabliczkę z napisem WSTĘP WZBRONIONY, na tym po prawej zaś

wisiał kawałek blachy ze słowami AGENCJA HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI DOCKERY i miejscowym numerem telefonu. Musiałem mocno wyteńczyć wzrok, żeby odczytać napisy w gęstniejącym mroku.

Ruszyłem dalej, wyraźnie słysząc bicie serca oraz brzęczenie komarów. Co prawda szczyt sezonu na komary już minął, ja jednak mocno się pocilem, a one uwielbiają zapach potu. Przypuszczalnie kojarzy im się z zapachem krwi.

Jak bardzo się bałem, zbliżając się do Sary Laughs? Nie pamiętam. O strachu, podobnie jak o bólu, zapominamy, jak tylko minie. Pamiętam natomiast uczucia, które towarzyszyły mi wcześniej, gdy szedłem tą drogą, szczególnie kiedy byłem sam. Otóż doznawałem przemożnego wrażenia kruchości otaczającego mnie świata. Ja naprawdę uważam, że postrzegana przez nas rzeczywistość jest cienka i delikatna jak najlepsza porcelana, oraz że wypełniamy nasze życie hałasem, światłem i ruchem głównie po to, byśmy mogli sami przed sobą zakamuflować tę kruchość, ale w miejscach takich jak droga numer 42 przekonujemy się, iż ktoś pozabierał sieci maskujące, oślepiające reflektory i ogłuszające głośniki. Zostaje tylko cykanie świerszczy i widok czerniejących zielonych liści, gałęzie splecione w kształty do złudzenia przypominające twarze, bicie serca w piersi, tętno krwi za gałkami ocznymi, widok nieba nasączonego granatową krwią konającego dnia.

Wraz z zapadającym mrokiem narasta przekonanie, że pod wierzchnią warstwą kryje się tajemnica, mroczna i zarazem radosna. Czujesz ją w każdym oddechu, widzisz w każdym cieniu, spodziewasz się trafić na nią z każdym krokiem. Na pewno tu jest; prześlizgujesz się po niej ze wstrzymanym tchem jak łyżwiarz zawracający szerokim łukiem na lodowej tafli.

Przystanąłem na chwilę jakieś osiemset metrów na południe od samochodu i mniej więcej tyle samo na północ od podjazdu. W tym miejscu droga raptownie skręca, a po prawej stronie rozciąga się pole, które dość stromo schodzi aż do samego jeziora. Miejscowi nazywają je Łąką Tidwellów. To właśnie tutaj rozbili się kiedyś obozem Sara - Sara Tidwell - i jej przedziwna hałastra. Tak przynajmniej twierdzi Marie Hingerman; Bili Dean, którego o to zapytałem, odparł, że tak właśnie było, ale nie przejawiał ochoty do rozwijania tematu, co wówczas trochę mnie zdziwiło.

Stałem tam jakiś czas, wpatrzony w północny kraniec jeziora Dark Score. Woda była szklista, doskonale gładka i nieruchoma, nasycona cukierkowymi barwami zachodzącego słońca. Wszyscy motorowodniacy siedzieli już zapewne w nadbrzeżnym barze, jedli ogromne obiady i popijali ogromne drinki. Później paru z nich, zdrowo podpitych, wsiądzie do łodzi i zaczną szaleć nocą po jeziorze. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ich usłyszę, natychmiast jednak przyszła refleksja, że zanim oni rozpoczną swoje nocne popisy, ja przypuszczalnie już dawno będę w Derry - przerażony tym, co mnie spotkało, lub rozczarowany, ponieważ niczego nie znalazłem.

- „Ty mały żałosny człowieczku, powiedział Strickland”.

Nie miałem pojęcia, że wymówię te słowa, aż do chwili, kiedy je usłyszałem; nie wiedziałem, dlaczego wybrałem właśnie te, a nie inne. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, ponieważ przypomniałem sobie sen z Jo pod łóżkiem. Zabiłem komara, który przysiadł mi na uchu, po czym ruszyłem dalej.

Koniec końców okazało się, że zaplanowałem swoje przybycie ze zbyt dużą dokładnością i że wrażenie, iż wkraczam oto do jednego z moich snów, jest aż nazbyt uderzające. Nawet balony uwiązane do tabliczki SARA LAUGHS (błękit-

ny i biały, z czarnymi literami tworzącymi napis WITAJ MIKE!, kołyszące się na mrocznym tle liściastej gęstwiny) pogłębiały nieodparte wrażenie deja vu, bo przecież nie ma dwóch zupełnie identycznych snów, prawda? Twory ludzkich rąk i twory ludzkich umysłów nie mogą być identyczne, nawet wówczas, gdy usiłują się do siebie upodobnić, ponieważ zmieniają się z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę.

Podszedłem do tabliczki, urzeczony poczuciem deja vu i tajemnicą miejsca (te rzeczy były ze sobą silnie powiązane, lecz nigdy nie popełniłem błędu i nie uznałem ich za jedno i to samo). Przyjrzałem się z bliska desce, chłonąc jej szorstką autentyczność, po czym wyciągnąłem rękę i przesunąłem palcami po literach, niczym ślepiec odczytujący napis wykonany pismem Braille'a: S... A... R... A... Dalej:

L...A... U... G...H...S...

Z podjazdu znikły brązowe igły i połamane gałęzie, ale Dark Score lśniło różowym odblaskiem tak samo jak w moich snach, takie samo też było potężne cielsko domu. Bili przezornie zostawił włączoną lampę nad tylnym wejściem; słoneczniki, które wyrosły pod podłogą werandy, już dawno zostały ścięte, poza tym jednak nic się nie zmieniło.

Spojrzałem w górę, na szczelinę nieba nad ścieżką. Nic. Czekałem... czekałem... aż wreszcie się pojawiła, akurat tam, gdzie spoglądałem. Jeszcze przed chwilą było tam tylko ciemniejące niebo (od krawędzi szczeliny zaczął napływać atramentowy granat), a potem jasnym, stałym światłem zapłonęła Wenus. Ludzie często opowiadają, że obserwują zapalające się gwiazdy, i zapewne niektórzy naprawdę to robią, ja jednak tylko ten jeden raz w życiu naprawdę zobaczyłem gwiazdę w chwili, kiedy pojawiła się na niebie. Oczywiście wypowiedziałem życzenie, lecz teraz wszystko działa się naprawdę, więc moja prośba nie dotyczyła Jo.



- Pomóż mi - powiedziałem, wpatrując się w gwiazdę.

Powiedziałbym więcej, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie miałem pojęcia, jakiej pomocy potrzebuję.

Już wystarczy, zabrzmiał w mojej głowie zaniepokojony głos. Dość tego. Wracaj po samochód.

Tyle że plan był zupełnie inny. Zgodnie z planem powinienem pójść w kierunku domu, tak jak uczyniłem w ostatnim, koszmarnym śnie. Zgodnie z planem powinienem udowodnić samemu sobie, że w mrocznym wnętrzu starego domu z bali nie czai się żaden przerażający, obleczony w całun upiór. Mój plan w znacznej mierze opierał się na mądrości New Age, według której strach znika, gdy śmiało stawić mu czoło. Kiedy jednak stałem na podjeździe, wpatrzony w maleńkie światelko nad tylnym wejściem, przyszła mi do głowy inna mądrość, już nie tak optymistyczna, według której słowo STRACH to akronim oznaczający Szalenie Trudno Racjonalnie Analizować Czyjąś Histerię. Chyba nikogo nie zdziwi, jeśli powiem, że w mojej sytuacji właśnie ta mądrość wydawała mi się znacznie bardziej na miejscu.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że trzymam w ręce jeden z balonów. Widocznie odwiązałem go bezwiednie, kiedy zastanawiałem się nad swoją sytuacją. Spokojnie kołysał się na końcu sznurka; zrobiło się już tak ciemno, że miałbym spore trudności z odczytaniem napisu.

A może to i tak nie ma znaczenia, bo i tak nie będę w stanie się poruszyć? Może znowu opanował mnie paraliż twórczy objawiający się niedowładem dolnych kończyn i będę stał tu jak posąg, aż wreszcie zjawi się ktoś, kto mnie stąd odciągnie?

Jednak tym razem wszystko działało się naprawdę i w świecie rzeczywistym, a w świecie rzeczywistym paraliż twórczy

nie przenosi się na ciało. Wyprostowałem zaciśnięte palce; sznurek wysunął mi się z dłoni, ja zaś przeszedłem pod szybującym powoli w górę balonem i ruszyłem w kierunku domu. Stopniowo zagłębiałem się w czysty, lekko kwaskowy zapach sosen, a w pewnej chwili dałem ogromnego kroka nad gałęzią, którą zapamiętałem ze snu, chociaż tutaj już jej nie było.

Serce wciąż łomotało mi w piersi, pot zraszał obficie moją skórę, przyciągając komary. Podniosłem rękę, by odgarnąć włosy z czoła, lecz nagle zamarłem w bezruchu, z rozczapierzonymi palcami tuż przed twarzą. Podniosłem drugą rękę i przyjrzałem się obu uważnie. Żadna nie była skaleczona, na żadnej nie pozostał nawet najmniejszy ślad po zadrapaniu, którego dorobiłem się pełzając w ciemności po podłodze sypialni.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Wszystko w porządku.

„Ty mały, żalony człowieczku, powiedział Strickland”, odparł jakiś głos. Nie należał do mnie ani do Jo. To był ten sam niezmierny głos, który rozbrzmiewał w moim koszmarnym śnie, ten sam, który pchał mnie naprzód, mimo że pragnąłem się zatrzymać.

Ruszyłem ponownie naprzód. Przebyłem już ponad połowę drogi. Dotarłem do miejsca, w którym - we śnie - powiedziałem głosowi, że boję się pani Danvers.

- Boję się pani Danvers - rzuciłem w gęstniejący mrok. - Co będzie, jeśli w domu czeka na mnie stara zła gospodyni?

Nur krzyknął na jeziorze, ale głos nie odpowiedział. Nie musiał. To była rzeczywistość, a w rzeczywistości nie było żadnej pani Danvers, tylko worek kości w starej książce.

Głos doskonale o tym wiedział.

Szedłem dalej. Minąłem wielką sosnę, na którą Jo kiedyś wpakowała się jeepem, usiłując wyjechać tyłem na drogę. Jak

ona wtedy klęła! Jak marynarz. Zdołałem zachować powagę aż do „niedojebanego iglastego wyskrobka”, po czym nie wytrzymałem, oparłem się plecami o bok samochodu, zasłoni-

łem twarz rękami i ryczałem ze śmiechu, podczas gdy wokół mnie gęsto uderzały pioruny jej gniewu.

Bez trudu dostrzegłem ślad na pniu, jasną plamę niespełna metr nad ziemią, pozornie zawieszoną w nasączonym ciemnością powietrzu. Właśnie tutaj niepokój towarzyszący finałowemu koszmarowi przeistoczył się w coś znacznie gorszego. Jeszcze zanim upiorna biała postać wybiegła z domu, przeczuwałem, że coś jest nie tak, że coś jest nie w porządku. Właśnie tutaj, przy starej sośnie, zapragnąłem uciec jak zło-  
czyńca.

Teraz nic takiego nie nastąpiło. Owszem, bałem się, ale daleko mi było do przerażenia - choćby dlatego, że nic się za mną nie skradało, nie słyszałem wilgotnego oddechu za plecami. Najgorsze, co można spotkać w tych lasach, to zirytowany łoś albo - ale trzeba mieć naprawdę dużego pecha - podenerwowany niedźwiedź.

We śnie towarzyszył mi księżyc w trzeciej kwadrze; tym razem nie pojawił się na niebie i nie było na to żadnej szansy, ponieważ rano wyczytałem w prognozie pogody, że właśnie zaczął się nów.

Nawet najsilniejsze wrażenie déjà vu opiera się na kruchych podstawach; w moim przypadku wystarczyła ta jedna niezgodność, by urok prysł. Przeświadczenie, że przeżywam wydarzenia z koszmarnego snu, ulotniło się tak prędko, iż zacząłem się zastanawiać, po co mi to było, co chciałem udowodnić albo osiągnąć. Teraz będę musiał wracać po ciemku do samochodu.

Wcale nie po ciemku; przecież mogę wziąć latarkę z domu.

Jedna powinna być w pralni, druga na półce w piwnicy, więc...

Po drugiej stronie jeziora rozległa się seria trzaskających wybuchów; ostatni był tak głośny, że wzgórza odpowiedziały mu echem. Zamarłem w bezruchu i gwałtownie nabrałem powietrza. Jeszcze chwilę temu zapewne rzuciłbym się na oślep do panicznej ucieczki, teraz jednak skończyło się na zwykłym zaskoczeniu. Nazajutrz był czwarty lipca, więc dzieciaki, jak to jest w ich zwyczaju, zaczęły obchody nieco wcześniej, oczywiście od fajerwerków.

Ponownie ruszyłem naprzód. Krzewy nadal wyciągały ku mnie ręce, lecz ponieważ zostały niedawno przycięte, muśnięcia ich liściastych dłoni nie wywoływały niepokoju. Nie musiałem się również martwić ewentualną awarią zasilania, ponieważ byłem już tak blisko tylnej werandy, że wyraźnie widziałem ćmy uwijające się wokół lampy, którą Bili Dean zostawił włączoną z myślą o mnie. Nawet gdyby nastąpiła przerwa w dostawie energii (a nie było to takie mało prawdopodobne, ponieważ w zachodniej części stanu większość linii przesyłowych biegnie nad ziemią), naprawiony generator natychmiast podjąłby pracę. -

Chociaż uczucie, że przeżywam na nowo swój koszmar, znikło bez śladu, wciąż nie mogłem się nadziwić, ile szczegółów wygląda identycznie jak w moich snach. Wzdłuż ścieżki wiodącej ku wąskiej plaży stały w dwóch rzędach donice; przypuszczalnie Brenda Meserve znalazła je w piwnicy i uznała za stosowne wystawić na zewnątrz. Co prawda nic jeszcze w nich nie rosło, podejrzewałem jednak, iż najpóźniej pod koniec sierpnia pojawią się pierwsze kielki. Chociaż nie świecił księżyc, na wodzie, jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, bez trudu dostrzegłem czarny prostokątny kształt: platforma pływacka.

Nic natomiast nie stało na ziemi przed wejściem na we-

randę. Mimo to poczułem, że moje serce znowu uderza w przyspieszonym rytmie i gdyby akurat wtedy po drugiej stronie jeziora ponownie strzeliły fajerwerki, prawie na pewno wrzasnąłbym co sił w płucach.

„Ty mały, żaloszny człowieczku, powiedział Strickland”.

„Daj mi to. To moja ścierka do kurzu”.

A jeśli śmierć wpełza nas w obłąd? A jeśli nie umieramy do końca, lecz tracimy zmysły? Co wtedy?

W moim koszmarze właśnie teraz z hukiem otwierały się tylne drzwi domu i z pogrążonego w ciemności wnętrza wybiegła przerażająca biała postać. Zrobiłem jeszcze jeden krok... po czym znieruchomiałem. Jedynymi dźwiękami, które docierały do moich uszu, był świst, z jakim wciągałem powietrze do płuc, oraz suchy charczący odgłos, z jakim je wypychałem. Wrażenie deja vu nie wróciło, choć przez sekundę albo dwie byłem gotów przysiąc, że upiór zjawi się również tutaj, w prawdziwym świecie. Czekałem ze spoconymi, zacisniętymi rękami. Wstrzymałem oddech.

Delikatny chlupot fal.

Ledwo wyczuwalny podmuch głaszczący moją twarz i poruszający gałęziami krzewów.

Krzyk nura na jeziorze.

Ćmy uderzające w klosz lampy.

I to wszystko. Żaden spowity w całun potwór nie otworzył z hukiem drzwi, za sięgającymi podłogi oknami po obu stronach tylnego wejścia nic się nie poruszyło. Na drzwiach wisiała kartka, przypuszczalnie od Billa. To wystarczyło. Wypuściłem głośno powietrze z płuc, po czym szybkim krokiem pokonałem ostatnie metry dzielące mnie od domu.

Kartka rzeczywiście była od Billa. Dowiedziałem się z niej, że Brenda zrobiła dla mnie zakupy, że rachunek z supermarketu leży na stole w kuchni i że spiżarnia jest dobrze

zaopatrzona w niepsującą się żywność. Psującej się też jest trochę: mleko, masło, śmietanka i hamburgery, czyli podstawowe składniki kawalerskiej diety.

Wpadnę w przyszły poniedziałek - napisał Bili. - Chciałem powitać Cię osobiście, ale moja kochana żona doszła do wniosku, że teraz nasza kolej na składanie świątecznych wizyt, więc wyjeżdżamy do Wirginii (cholernie tam gorąco!) do jej siostry. Gdybyś potrzebował czegoś albo miał jakieś kłopoty...

Poniżej zaczynała się długa lista numerów telefonicznych: jego szwagierki w Wirginii, Kenny'ego Austera w mieście, które miejscowi nazywają po prostu „TR”, hydraulika, elektryka, Brendy Meserve, a nawet człowieka z Harrison, który instalował nam antenę satelitarną. Bili niczego nie pozostawił przypadkowi. Zajrzałem na drugą stronę, prawie pewien, że znajdę tam przypisek zaczynający się od słów: A gdyby przed naszym powrotem z Wirginii wybuchła wojna atomowa... Coś poruszyło się za moimi plecami.

Odwrociłem się raptownie, wypuszczając kartkę z ręki. Spłynęła na drewnianą podłogę werandy niczym znacznie większa, bielsza kuzynka ciem tłukących o klosz lampy nad moją głową. Byłem przekonany, że ujrzę spowitą w całun zjawę, obłąkanego upiora w rozkładającej się cielesnej powłoce mojej żony. Oddaj moją ścierkę do kurzu, oddaj ją natychmiast, jak śmiesz tu przychodzić i zakłócać mój spokój, jak śmiesz wracać do Manderley, a skoro już tu jesteś, to jak zamierzasz odejść? Sam staniesz się tajemnicą, mały żaloszny człowieczku. Sam staniesz się tajemnicą.

Nic. Tylko nieco silniejszy podmuch wiatru, który poruszył krzewami... Skoro tak, to czemu nie poczułem go na mojej spoconej skórze?

- To na pewno tylko wiatr ? powiedziałem głośno. -

Tam nic nie ma, do cholery!

Kiedy jesteś sam, dźwięk twojego głosu może podtrzymać cię na duchu albo przerazić. Tym razem podtrzymał mnie na duchu. Schyliłem się, podniosłem kartkę od Billa, wepchnąłem ją do kieszeni, po czym wyjąłem klucze. Dość długo stałem w blasku samotnej żarówki, wypełnionym roztańczonymi cieniami owadów, szukając właściwego klucza, aż wreszcie go znalazłem. Wyglądał na od dawna nieużywany. Przesunąwszy palcem po ząbkowanej krawędzi, po raz kolejny zadałem sobie pytanie, dlaczego nie przyjeżdżałem tu tak długo. Gdyby Jo żyła...

Nagle uświadomiłem sobie, że śmierć Johanny nie ma tu nic do rzeczy. Owszem, łatwo było myśleć w ten sposób, a podczas sześciotygodniowego pobytu na Key Largo zdążyłem się przyzwycząić, że moje myśli biegną tym właśnie torem, jednak teraz, stojąc w cieniu tańczących ciem niczym pod dziwaczną dyskotekową kulą oklejoną niezliczonymi kwadracikami ciemności i słuchając wołania nurów na jeziorze, zdałem sobie sprawę, że choć Johanna umarła w sierpniu, to zdarzyło się to nie tutaj, lecz w Derry. W mieście panował wówczas straszliwy upał; skąd więc się tam wzięła? Dlaczego nie siedzieliśmy wtedy w cieniu na werandzie od strony jeziora, popijając mrożoną herbatę, obserwując uwijające się po wodzie motorówki i komentując wyczyny narciarzy wodnych? Skąd się wzięła na tym przeklętym parkingu przed centrum handlowym, skoro zazwyczaj o tej porze roku byliśmy zupełnie gdzie indziej?

Nie miałem pojęcia. Nawet jeśli istniał jakiś powód (a przecież musiał istnieć), to ja go nie znałem.

Włożyłem klucz do zamka i przekręciłem. Wejdę do środka, włączę parę świateł, złapię latarkę i wrócę po samochód. Jeśli to zrobię, na drodze przez całą noc nie pojawi się żaden inny pojazd, gdybym jednak tak nie uczynił, najdalej za pół

godziny nadjedzie jakiś pijany gość, wrąbie mi się w bagażnik, po czym zażąda odszkodowania w wysokości miliarda dolarów.

Dom został niedawno przewietrzony, w związku z czym zamiast stęchlizny i kurzu poczułem przyjemny sosnowy zapach. Wyciągnąłem rękę w kierunku wyłącznika... i w tej samej chwili w głębi domu rozległ się dziecięcy szloch. Zastygłem w bezruchu. Moje ciało pokryło się gęsią skórką. Co prawda nie wpadłem w panikę, ale straciłem zdolność racjonalnego myślenia. Z całą pewnością słyszałem płacz dziecka, nie miałem jednak pojęcia, skąd dochodził.

Zaraz potem zaczął się oddalać- nie cichł, tylko się oddalał, jakby ktoś wziął rozplakane dziecko na ręce i ruszył długim korytarzem... tyle że w naszym domu nie było takiego korytarza. Nawet ten, który biegnie przez środek budowli, łącząc część centralną z dwoma skrzydłami, trudno uznać za długi.

Coraz dalej... Coraz dalej...

Stałem nieruchomo w ciemności ze zjeżonymi włosami i ręką na wyłączniku. Coś we mnie krzyczało, żeby natychmiast się odwrócić i uciekać, dokąd mnie nogi poniosą, ale równocześnie inny, racjonalny głos, nawoływał do zachowania spokoju.

Nacisnąłem klawisz wyłącznika. Daj spokój, to nic nie da, wróciłeś do swojego snu, powtarzał ten pierwszy, spanikowany głos. Mylił się. W holu zapłonęło jasne podsufitowe światło; po lewej stronie na półkach stała gromadzona przez Jo kolekcja ceramiki, po lewej biblioteczka. Nie widziałem tego od ponad czterech lat, ale wydawało mi się, że wszystko wygląda jak dawniej. Na środkowej półce biblioteczki dostrzegłem trzy wczesne powieści Elmore Leonard, które postawiłem tam na wypadek złej pogody. Będąc na wakacjach,



trzeba być przygotowanym również na słotę. Bez dobrej książki nawet dwa dni spędzone w lesie mogą doprowadzić cię do szału.

Z głębi domu dobiegł ni to szept, ni westchnienie -jakby szelest liści porwanych ostatnim, gasnącym podmuchem wiatru - po czym zapadła cisza, w której słyszałem jedynie tykanie kuchennego zegara - efektu jednego z nielicznych wypadów Jo w krainę złego smaku: twarz kota Feliksa z wielkimi oczami, które obracają się w takt ruchów wahadła. Wydaje mi się, że takie zegary występują we wszystkich tanich horrorach klasy B.

- Kto tam jest? - zawołałem.

Postąpiłem krok w kierunku wypełnionej półmrokiem kuchni, i znowu zamarłem w bezruchu. Za kuchnią był salon, w którym panowała całkowita ciemność. Czarna otchłań. Szlochanie mogło dochodzić właśnie stamtąd... albo z dowolnego innego miejsca, nie wyłączając mojej wyobraźni.

- Czy ktoś tu jest? - zapytałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi, lecz mimo to nie wydawało mi się, żebym padł ofiarą urojenia. Gdyby tak było, oznaczałoby to, że wpadłem w poważniejsze tarapaty, niż przypuszczałem. Mogłoby się wówczas okazać, iż paraliż twórczy i okresowy niedowład kończyn dolnych są najbliższymi spośród problemów, którymi powinienem się martwić.

W bibliotece, na lewo od książek Elmore Leonard, stała potężna latarka na osiem baterijek R8; jeśli ktoś zaświeci ci taką w oczy, ślepniesz na dobrych parę minut. Chwyciłem ją, lecz dopiero wtedy, kiedy prawie wysunęła mi się z palców, uświadomiłem sobie, że mam ręce mokre od zimnego potu i że dygocę ze strachu. Z trudem uchroniłem ją przed upadkiem, prawie pewien, iż lada chwila ponownie usłyszę tajemnicze zawodzenie albo że z ciemnego salonu wypadnie

zjawia w całunie, z uniesionymi ramionami, niczym wskrzeszony polityk, który postanowił wystąpić na jeszcze jednym wiecu. Głosujcie na Partię Zmartwychwstania, bracia, a zostaniecie zbawieni.

Włączyłem latarkę, jak tylko nabrałem pewności, że nie wypadnie mi z dłoni. Snop jasnego światła rozorał ciemność wypełniającą salon, padł prosto na spreparowany łeb łosia nad kominkiem i zalśnił w szklanych oczach. Powoli przesuwałem latarkę: stare wyplatane krzesła, stara kanapa, stary sfatygowany stolik, pod którego nogę zawsze trzeba było podkładać złożoną kartkę albo podkładkę do piwa... i żadnych duchów. Mimo to uznałem, że to zabawa zupełnie nie w moim guście. Ogarnęła mnie ochota, żeby - cytując nieśmiertelnego Cole'a Portera - odwołać zabawę. Gdybym natychmiast wrócił do samochodu i pojechał prosto na wschód, około północy dotarłbym do Derry i spędziłbym tę noc w swoim łóżku.

Zgasilem światło w holu. Stałem nieruchomo u wierzchołka stożka jasności wrzynającego się w ciemność, wsłuchany w tykanie kretyńskiego ściennego zegara oraz znajomy hurgot lodówki. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że podświadomie oczekiwałem, iż już nigdy nie usłyszę tych odgłosów. Jeśli zaś chodzi o płacz...

Czy to naprawdę był płacz?

Tak. Albo coś bardzo podobnego, co skojarzyło mi się ze szlochem; Nie mogłem się nadziwić, że ja, człowiek, który nauczył swój umysł nieposłuszeństwa, wykazał się całkowitym brakiem wyobraźni i mimo wszystko zdecydował się tu przyjechać. Stojąc w ciemności rozjaśnionej jedynie snopem światła latarki sączącym się z zewnątrz, słabym poblaskiem lampy na tylnej werandzie, pojąłem, że linia podziału między tym, co rzeczywiste, a tym, co nierealne, przestała istnieć.

Wyszedłem z domu, starannie zamknąłem za sobą drzwi,

a następnie, kołysząc latarką jak wahadłem, ruszyłem w górę podjazdu. Snop światła przesuwiał się w lewo i prawo jak ogon skretyniałego kota Feliksa na ścianie z kuchni. Uświadomiłem sobie, że będę musiał wymyślić jakąś historyjkę na użytek Billa Deana. Przecież nie mogłem mu powiedzieć:

„Wiesz, Bili, usłyszałem płacz dziecka i tak się przestraszyłem, że od razu wziąłem nogi za pas i wróciłem do Derry.

Przy najbliższej okazji prześlę ci latarkę. Bądź tak miły i postaw ją z powrotem w biblioteczkę obok książek Elmore Leonard, dobrze?" Nie mogłem tego uczynić również dlatego, że sprawa szybko by się rozeszła i ludzie zaczęliby mówić:

„Nic dziwnego, napisał zbyt wiele książek. Taka robotka rozmiękcza człowiekowi mózg. Teraz boi się własnego cienia. Cóż, ryzyko zawodowe".

Nawet gdybym miał nie pojawić się tu już nigdy w życiu, nie chciałem, żeby ludzie w TR wyrobili sobie o mnie taką opinię i żeby traktowali mnie z mieszaniną pogardy i współczucia. „Patrzcie, co dzieje się z takimi, co za dużo myślą". I tak zbyt wiele osób podobnie sądzi o ludziach, którzy zarabiają na życie dzięki wyobraźni oraz przeżywaniu snów na jawie.

Powiem Billowi, że zachorowałem. W pewnym sensie była to prawda. Albo... Nie, lepiej powiem mu, że ktoś zachorował, na przykład przyjaciel... albo jeszcze lepiej przyjaciółka. „Sam rozumiesz, Bili: pewna osoba - kobieta, jeśli wiesz, co mam na myśli - nagle zachorowała, więc musiałem..."

W chwili, kiedy snop światła z latarki padł na przód mojego samochodu, stanąłem jak wryty. Przeszedłem ponad półtora kilometra, nie zawracając sobie głowy nocnymi odgłosami lasu, również tymi, które brzmiały naprawdę złowieszczo. Nie odwróciłem się ani razu, żeby sprawdzić, czy podąża za mną zjawa w całunie albo eteryczne zapłakane dziecko. Bez reszty pogrążyłem się w tworzeniu, a następnie

szlifowaniu zmyślonej historyjki, dokładnie tak samo, jak kiedyś robiłem to na papierze. Pochłonęło mnie to tak bardzo, że zapomniałem o strachu. Serce biło mi w normalnym rytmie, pot prawie zupełnie wysechł, komary przestały brzęczeć mi koło uszu. Kiedy tak stałem, nagle przyszła mi do głowy pewna myśl - zupełnie jakby mój umysł cierpliwie czekał, aż opadną ze mnie emocje, i dopiero teraz zdecydował się przypomnieć mi o czymś bardzo istotnym.

Rury. Dałem Billowi zgodę na wymianę instalacji wodno-kanalizacyjnej. Hydraulik całkiem niedawno skończył robotę.

- Powietrze - powiedziałem, przesuwając snop światła po chromowanej osłonie chłodnicy mojego chevroleta. - Słyszałem powietrze w rurach.

Byłem ciekaw, czy głębsze pokłady mego umysłu wysuną oskarżenie, że to tylko głupie racjonalizujące kłamstwo. Nie uczyniły tego, ponieważ (jak przypuszczam) uznały rzecz za prawdopodobną. Zapowietrzona rury wydają niekiedy dźwięki przypominające ludzkie głosy, szczekanie psa albo płacz dziecka. Co prawda hydraulik powinien odpowiedzieć instalację, ale przecież mógł tego zaniedbać. Problem polegał teraz na tym, czy za chwilę wskoczę do samochodu, wyjadę tyłem na szosę i pognam na złamanie karku do Derry, wyłącznie dlatego, że przez dziesięć albo nawet tylko pięć sekund słyszałem trudny do zidentyfikowania dźwięk, będąc przy tym w stanie znacznego podniecenia i napięcia nerwowego.

Po namyśle podjąłem decyzję, że tego nie uczynię. Być może wystarczyłby zaledwie jeden dodatkowy bodziec, by zmusić mnie do panicznej ucieczki, ale odgłosy, które usłyszałem w holu, okazały się niewystarczające, szczególnie w sytuacji, kiedy gra toczyła się o tak wysoką stawkę.

Odkąd pamiętam, słyszałem i nadal słyszę różne głosy. Nie mam pojęcia, czy to przypadłość typowa dla wszystkich

pisarzy, ponieważ żadnego o to nie pytałem. Nie czułem potrzeby, ponieważ wiem, że te wszystkie głosy są po prostu różnymi wersjami mojego „ja”. Niekiedy jednak brzmią jak bardzo realistyczne wersje innych ludzi, tak jak głos, który właśnie wtedy zabrzmiał w mojej głowie: zaintrygowany, łagodnie rozbawiony, aprobujący głos Jo.

Będziesz walczył, Mike?

- Tak! - powiedziałem głośno do lśniącej w blasku latarki osłony chłodnicy mego samochodu. - Będę.

No cóż, w takim razie, chyba wszystko w porządku?

Tak jest. Tak właśnie było. Wsiadłem do wozu, uruchomiłem silnik, łagodnie dodałem gazu, a kiedy dotarłem do Sary Laughs, skręciłem na podjazd.

Kiedy po raz drugi wszedłem do domu, nie powitał mnie ani płacz, ani śmiech, ani jęki. Z latarką w ręce obszedłem wszystkie pomieszczenia na parcieże, włączając wszystkie światła. Jeśli na jeziorze pływały jeszcze jakieś motorówki, stara Sara prezentowała się ich załogom niczym jakieś Spielbergowskie UFO.

Myślę, że życie domów płynie trochę odmiennym, wolniejszym nurtem czasu niż życie ich właścicieli. W domu, szczególnie starym, przeszłość jest zawsze na wyciągnięcie ręki. W moim życiu Johanna umarła przed ponad czterema laty, dla Sary natomiast upłynęło znacznie mniej czasu. Dopiero kiedy znalazłem się w środku, pozapalałem wszystkie światła i odstawiłem latarkę na półkę, uświadomiłem sobie, jak bardzo bałem się powrotu, jak bardzo się lękałem, że widok miejsc i przedmiotów tak mocno związanych z Johanną spowoduje ponowny atak rozpaczliwego żalu. Na przykład położona grzbietem do góry książka na stoliku przy końcu kanapy, gdzie Jo siadywała w nocnej koszuli, podczas lektury pochłaniając kilogramy śliwek; ogromne kartonowe pudło

po jej ulubionych płatkach kukurydzianych na półce w spiżarni; jej stary czerwony szlafrok na haczyku na drzwiach łazienki w południowym skrzydle, wciąż zwanym przez Billa Deana „nowym”, chociaż zostało zbudowane na długo przed tym, jak po raz pierwszy ujrzelśmy Sarę Laughs.

Brenda Meserve dobrze się spisała. Miłosiernie usunęła większość bolesnych dla mnie znaków i sygnałów, ale przecież nie była w stanie usunąć wszystkich. Pełne wydanie w twardej oprawie powieści Petera Wimseya wciąż zajmowało honorowe miejsce w biblioteczkę w salonie. Z bliżej nieznanym mi powodem Jo nadała łośiowi wiszącemu nad kominkiem imię Bunter, pewnego dnia zaś powiesiła mu na włochatym karku małeńki dzwoneczek. Dzwoneczek wciąż wisiał tam na czerwonej aksamitce. Całkiem możliwe, iż pani Meserve długo się zastanawiała, co z nim uczynić, nie wiedząc, że kiedy kochaliśmy się z Jo na kanapie w salonie (zdarzało nam się to nawet dość często), nazywaliśmy tę czynność „szturchaniem Bunterowego dzwonka”. Brenda Meserve zrobiła, co mogła, lecz każde dobre małżeństwo stanowi białą plamę na mapie społeczeństwa. To, czego inni nie wiedzą, czyni nas jeszcze bliższymi.

Przechodziłem z pomieszczenia do pomieszczenia, dotykałem, oglądałem, postrzegałem na nowo. Wszędzie widziałem Jo. Wreszcie opadłem na stare wyplatane krzesło przed telewizorem; poduszka jak zwykle wydała nieprzystojny odgłos, a w moich uszach natychmiast zabrzmiały słowa Jo: „No wiesz, Michael! Mógłbyś przynajmniej przeprosić!”

Ukryłem twarz w dłoniach i wybuchnąłem płaczem. Był to chyba ostatni atak rozpacz, co wcale nie uczyniło go łatwiejszym do zniesienia. Płakałem tak długo, aż wreszcie poczułem, że coś we mnie pięknie, jeżeli natychmiast nie przestanie. Kiedy udało mi się opanować, twarz miałem mokrą od

łez, dręczyła mnie potworna czkawka i byłem straszliwie zmęczony. Bolały mnie wszystkie mięśnie; częściowo zapewne dlatego, że tego dnia sporo chodziłem, przede wszystkim jednak z powodu nieuświadomianego napięcia związanego z decyzją o przyjeździe, a zwłaszcza o pozostaniu i podjęciu walki. Zagadkowy szloch, który powitał mnie zaraz po wejściu do domu, co prawda teraz wydawał się odległy i mało rzeczywisty, lecz z pewnością nie przyczynił się do poprawy mojej fizycznej i psychicznej kondycji.

Umyłem twarz w zlewozmywaku, wytarłem do sucha, oczyściłem zatkany nos, po czym zaniósłem bagaże do pokoju gościnnego w północnym skrzydle. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym wybrać główną sypialnię, w której spałem z Jo.

Brenda Meserve przewidziała moją decyzję, na toaletce bowiem stał wazon ze świeżymi kwiatami, obok zaś leżała kartka z napisem: WITAMY Z POWROTEM, PANIE NOONAN. Gdybym nie był tak bardzo wyczerpany emocjonalnie, widok tych kilku słów skreślonych staromodnym charakterem pisma z pewnością wywołałby kolejny atak płaczu. Zanurzyłem twarz w kwiatkach i wciągnąłem powietrze; pachniały jak słońce. Zaraz potem ściągnąłem ubranie, rzuciłem je na podłogę, odgarnąłem narzutę, wślizgnąłem się do czystościutkiej pościeli i położyłem głowę na poduszce.

Leżałem przy włączonej nocnej lampce, wpatrywałem się w cienie na suficie i prawie nie mogłem uwierzyć, że jestem tutaj, w tym miejscu, w tym łóżku. Co prawda nie powitała mnie zjawa w całunie, podejrzewałem jednak, iż może odwiedzić mnie we śnie.

Zazwyczaj czuję, kiedy zasypiam, tym razem jednak zapadłem w sen nie zdając sobie z tego sprawy. Obudziłem się nazajutrz; za oknem świeciło słońce, a lampka przy łóżku

wciąż była włączona. Nie zapamiętałem żadnych snów, wydawało mi się jednak, że w środku nocy obudził mnie na krótko odległy, ledwo słyszalny dźwięk dzwonka.



## Rozdział 7

Dziewczynka - jeszcze berbec - maszerowała środkiem szosy numer 68, ubrana w czerwony kostiumik kąpielowy, żółte plastikowe klapki oraz baseballową czapkę z emblematem Bangor Blue Ox odwróconą daszkiem do tyłu. Właśnie minąłem sklep spożywczy Nad Jeziorem i warsztat Dickiego Brooksa. Tego dnia wyjątkowo przestrzegałem ograniczenia prędkości, wynoszącego w tym miejscu pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. I dzięki Bogu, bo gdyby było inaczej, mógłbym ją zabić, zamiast (być może) ocalić jej życie.

Był to mój pierwszy dzień w TR. Wstałem późno, po czym spędziłem resztę przedpołudnia, wędrując po lesie wzdłuż brzegu jeziora i sprawdzając, co się zmieniło, a co zostało takie jak dawniej. Odniosłem wrażenie, że poziom wody obniżył się nieco oraz że na jeziorze jest trochę mniej motorówek, niż należałoby się spodziewać w świąteczny letni dzień, ale poza tym czułem się tak, jakbym w ogóle stąd nie wyjeżdżał. Byłbym gotów przysiąc, że rozgniatam wciąż te same owady.

Około jedenastej żołądek przypomniiał mi, że nie jadłem śniadania. Uznałem, że warto odbyć wyprawę do Wiejskiego Zajazdu. Co prawda restauracja w porcie była znacznie bardziej elegancka, ale tam znajdowałbym się pod ciągłym ostrzałem ciekawskich spojrzeń. W Zajeździe mi to nie groziło, naturalnie pod warunkiem, że jeszcze działał. Nawet jeśli Buddy Jellison istotnie był nieokrzesanym kutasem, to jednak przyrządzał najlepsze hamburgery w zachodnim Maine. Właśnie tego potrzebowałem: ogromnego, ociekającego tłuszczem, wiejskiego hamburgera.

A tu tymczasem niespodzianka w postaci dziewczynki

maszerującej po ciągłej białej linii. Wyglądała tak, jakby kroczyła na czele niewidzialnej parady.

Ponieważ jechałem zaledwie pięćdziesiątką, miałem mnóstwo czasu na reakcję, ale na tej drodze latem panował spory ruch, a prawie nikt nie przestrzegał ograniczenia prędkości. W okręgu było wszystkiego niewiele ponad dziesięć radiowozów; wszystkie raczej omijały TR, chyba że otrzymały wezwanie.

Zahamowałem, zjechałem na pobocze, wrzuciłem luz i wyskoczyłem z samochodu, zanim zaczęły opadać kłęby kurzu. Powietrze było ciężkie, chmury wisiały na niebie tak nisko, że można by ich dotknąć. Dziewczynka - maleńka blondyneczka z zadartym noskiem i podrapanymi kolanami - stała na białej linii jak na naprężonej linie i obserwowała mnie ufnie jak nowo narodzone kozłę.

- Cześć - powiedziała. - Idę na plażę. Mamusia mnie nie zabrała, więc jestem okropnie wściekła.

Tupnęła maleńką nóżką, jakby chciała mi udowodnić, że wie, o czym mówi. Tak na oko mogła mieć jakieś trzy latka, choć trzeba było przyznać, że jest nad wiek rozgarnięta i wygadana.

- To świetny pomysł, żeby czwartego lipca spędzić na plaży, ale...

- Czwartego lipca są też fajewejki!

- ...jeśli zamierzasz iść tam środkiem drogi, to w najlepszym razie wylądujesz w szpitalu.

Uznałem, że wystarczy tych pogaduszek na środku szosy. Zza zakrętu, od którego dzieliło nas najwyżej pięćdziesiąt metrów, w każdej chwili mógł wypaść samochód pędzący nawet sto na godzinę. Ledwo to pomyślałem, do moich uszu dotarł szybko narastający odgłos silnika pracującego na wysokich obrotach.

Wziąłem dziewczynkę na ręce i przeniosłem na pobocze,

w pobliże mego samochodu, który stał z włączonym silnikiem. Chociaż nie przestraszyła się i ani trochę nie protestowała, to jednak poczułem się trochę nieswojo. W każdej chwili mógł mnie zobaczyć każdy, kto wystawiłby głowę z warsztatu Dickiego. To skrzywienie charakterystyczne dla mojego pokolenia: dotykając cudzych dzieci boimy się, że ktoś dostrzeże w tym coś niestosownego... albo raczej, gdzieś w najgłębszych pokładach naszej podświadomości drzemie przekonanie, iż naprawdę jest to nie w porządku. Mimo to przeniosłem dziecko na pobocze. A co mi tam. Nie obchodziło mnie, czy wszystkie organizacje broniące moralności z zachodniego Maine dobiorą mi się do tyłka.

- Weźmiesz mnie na plażę? -<sup>^</sup>zapytała dziewczynka z radosnym uśmiechem. Przemknęło mi przez głowę, że ma spore szanse zajść w ciążę, zanim skończy dwanaście lat, szczególnie jeśli zawsze będzie nosiła czapeczki baseballowe z takim niewymuszonym wdziękiem. - A masz kostium?

- Obawiam się, że zostawiłem go w domu. To okropne, nieprawdaż? Kochanie, gdzie zgubiłaś mamusię?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie zza zakrętu wypadł samochód, który słyszałem już od jakiegoś czasu. Był to jeep scout, ochlapany błotem prawie po dach. Silnik wył jak wściekły, z bocznego okna sterczała głowa kobiety. Mamusia chyba zbyt się wystraszyła, żeby usiąść; prowadziła w jakimś idiotycznym półprzysiadzie, w związku z czym, gdyby akurat w tej chwili z naprzeciwka nadjechał inny pojazd, moja przyjaciółka w czerwonym kostiumie kąpielowym najprawdopodobniej zostałaby sierotką.

Tył jeepa zarzucił, głowa znikła we wnętrzu samochodu, po czym rozległo się wściekłe zgrzytanie biegów i silnik zawył jeszcze głośniejszym, jakby kierująca zamierzała rozpędzić tę kupę złomu od zera do setki w dziewięć sekund. Gdyby zamie-

nić przerażenie na dodatkowe konie mechaniczne, przypuszczalnie by jej się to udało.

- To Mattie - poinformowała mnie dziewczynka. - Jestem na nią okropnie zła. Uciekłam, żeby zrobić sobie święto na plaży. Jeśli będzie mnie bić, pójdę do niani.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale na wszelki wypadek zacząłem jak szalony wymachiwać wolną ręką.

- Hej! - wrzasnąłem. - Halo, proszę pani! Mam ją! Jeep przemknął obok mnie z wciąż narastającym rykiem silnika. Z rury wydechowej tryskały kłęby siwego dymu, skrzynia biegów znowu potwornie zazgrzytała, jakby chciała powiedzieć: „Posłuchaj, Mattie: udało ci się wrzucić dwójkę. Wystarczy, czy będziesz próbować dalej? Uprzedzam cię z góry, że może cię spotkać przykre rozczarowanie”.

Mogłem zrobić tylko jedno: wyjść na drogę, stanąć twarzą do oddalającego się żwawo jeepa (zostawił za sobą potworny smród spalin) i podnieść dziecko wysoko nad głowę w nadziei, że Mattie zauważy nas we wstecznym lusterku. Nie czułem się już jak podstępny pedofil, tylko jak okrutna postać z disneyowskiego filmu rysunkowego, oferująca najbardziej prosiaczka z całego miotu temu, kto da najwięcej. Metoda okazała się skuteczna; światła stopu zapłonęły jaskrawą czerwienią, przeraźliwie zapiszczały hamulce - rzecz jasna, tuż przed wejściem do sklepu. Jeśli w środku byli klienci, nagły hałas musiał ich zaniepokoić i skłonić do wyjścia na zewnątrz. Byłem pewien, że najbardziej spodoba im się chwila, kiedy mamusia wyskoczy z samochodu i rzuci się na mnie z krzykiem: „Oddaj mi dziecko!” Nie ma to jak wrócić po długiej przerwie i od razu pokazać się z najlepszej strony.

Zabłyły światła cofania i jeep ruszył do tyłu z prędkością co najmniej czterdziestu kilometrów na godzinę. Do wy-

cia silnika dołączył skowyt przerażonej skrzyni biegów: Nie, błagam, nie rób tego, to mnie zabija!!! Tył samochodu kolebał się na boki jak ogon rozradowanego psiaka. Wpatrywałem się w niego jak zahipnotyzowany: jeep przeskakiwał z lewej strony szosy na prawą, zawadzał o pobocza, wielokrotnie przecinał ciągłą linię, a przez sekundę lub dwie - naturalnie przypadkowo -jechał po niej jak po sznurku.

- Mattie szybko jeździ - zauważyła moja nowa znajoma rzeczowym tonem, po czym objęła mnie prawą rączką za szyję, jakbyśmy byli najlepszymi kumplami.

Jej słowa podziałały na mnie jak zimny prysznic. Istotnie, Mattie szybko jeździ. Nawet za szybko. Wszystko wskazywało na to, iż lada chwila wrąbie się w tył mojego chevroleta, przy okazji zamieniając nas dwoje w pastę do zębów.

Wciąż nie odrywając wzroku od tyłu jeepa, zacząłem się powoli wycofywać.

- Zwolnij! Mattie, zwolnij!

Czerwonemu kostiumikowi ogromnie się to spodobało.

- Zwolnij! Ty stara Mattie, zwolnij zwolnij! - wykrzykiwała, zaśmiewając się do rozpuku.

Ponownie zazgrzytały hamulce, jeep wykonał gwałtowny skok (Mattie oczywiście nie uznała za stosowne skorzystać ze sprzęgła), po czym znieruchomiał w takiej odległości od mojego chevroleta, że wątpię, czy w szczelinę między zde-rzakami dałoby się wepchnąć papieros. Znowu zaśmierdziało spalinami. Dziewczynka rozkasłała się, po czym z odrazą zmarszczyła nosek i zaczęła wachlować się ręką.

Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się gwałtownie i z wnętrza samochodu, niczym cyrkowy akrobata z armaty ustawionej na arenie (o ile potraficie sobie wyobrazić cyrkowego akrobatę w starych szortach w wielobarwne wzory i jedwabnej powyciąganej bluzie), wystrzeliła Mattie Devore.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to starsza siostra mojej nowej znajomej, że to niemożliwe, by Mattie i mamusia były tą samą osobą. Co prawda zdawałem sobie sprawę, że dzieci niekiedy zwracają się do rodziców po imieniu, ale blondynka o bladej twarzy, która wyskoczyła z samochodu, wyglądała nie więcej niż na czternaście lat. Szybko doszedłem do wniosku, iż taki a nie inny sposób jazdy wynikał chyba nie z lęku o dziecko, ani nie ze strachu w ogóle, lecz najzwyczajniej z braku umiejętności.

Niemal jednocześnie wyciągnąłem jeszcze jeden wniosek. Stary, zabłocony jeep, wzorzyste szorty, tandetna bluza z supermarketu, długie żółte włosy pospinane z tyłu recepturkami, a przede wszystkim brak właściwej opieki nad trzyletnim dzieckiem - wszystko wskazywało na to, że mam do czynienia z przyczepowym proletariatem. Wiem, takie określenie nie brzmi najpiękniej, ale akurat ja mogę używać go z czystym sumieniem. Moi irlandzcy przodkowie też należeli do przyczepowego proletariatu, i to w czasach, kiedy nie było komfortowych przyczep samochodowych, tylko zaprzężone w konie wozy na drewnianych kołach.

- Śmierdziuch! - parsknęła dziewczuszka, wciąż zawzięcie wymachując rączką. - Jepeuś cuchnie!

Czy jepeuś ma kostiumik kąpielowy? - przemknęło mi przez głowę, a chwilę później Mattie dosłownie wyrwała mi z rąk moją nową znajomą. Po bliższym przyjrzeniu się, wrażenie, że mam do czynienia ze starszą siostrą panienki w czerwonym kostiumie kąpielowym, prysło. Co prawda Mattie miała osiągnąć wiek średni dopiero za dwie albo trzy dekady, nie miała już jednak ani dwunastu, ani nawet czternastu lat, tylko dwadzieścia albo osiemnaście. W chwili, kiedy wyrwała mi dziecko, dostrzegłem na jej palcu obrączkę, a także oczy otoczone sinofioletowymi obwódkami. Jej przerażenie

było przerażeniem matki.

Spodziewałem się, że złoł berbeciowi skórę, ponieważ młode matki z przyczep kempingowych zazwyczaj właśnie w ten sposób reagują na sytuacje stresowe. Gdyby się do tego zabrała, przeszkodziłbym jej, nawet jeśli miałaby skierować swój gniew przeciwko mnie. Nie kierowały mną żadne szlachetne pobudki; chciałem po prostu doprowadzić do tego, żeby irytująca szarpanina, której oczywiście towarzyszyłyby krzyk i płacz, odbyła się w miejscu, gdzie nie musiałbym jej oglądać. To był mój pierwszy dzień w nowym, choć jednocześnie doskonale znanym miejscu; wcale mi się nie uśmiechało, żeby jego ozdobą był widok rozhisteryzowanego koczmołucha katującego dziecko.

Jednak zamiast zdzielić ją na odlew w twarz i wrzasnąć: „Co ty wyrabiasz, przeklęty bachorze?!”, Mattie najpierw przytuliła dziewczynkę (która oddała uścisk z pełną ufnością i bez śladu strachu), a następnie obsypała jej buzię pocałunkami.

- Dlaczego to zrobiłaś? - wyszlochała. - Co ci przyszło do główki? Mało nie umarłam ze strachu, kiedy zobaczyłam, że cię nie ma!

Rozpłakała się, przypuszczalnie zarówno ze zmęczenia, jak i zdenerwowania. Dziewczynka przez chwilę przyglądała jej się z wyrazem tak niebotycznego zdumienia na twarzy, że w innych okolicznościach byłoby to wręcz komiczne, po czym buzia wykrzywiła się w bolesnym grymasie i łzy popłynęły również z oczu mojej niedawnej podopiecznej. Przyglądałem im się, jak łkają, tuląc się do siebie, i robiło mi się coraz bardziej głupio z powodu moich niewczesnych podejrzeń.

Przejeżdżający samochód zwolnił tak bardzo, że się niemal zatrzymał. W środku siedziała wiekowa para. Przypuszczalnie jechali do sklepu po jakieś świąteczne frykasy. Oczy mało

im nie wyszły z orbit. Przyspieszyli dopiero wtedy, kiedy wykonałem oburącz łatwy do odczytania gest: no, czego się gapiacie, to nie wasza sprawa, zabierajcie się stąd, ale już. Niestety, samochód miał numer rejestracyjny z tej okolicy, należało się więc spodziewać, iż już wkrótce wszyscy w promieniu dwudziestu pięciu kilometrów będą wiedzieć o tym, jak to mała Mattie i jej kruszynka (prawie na pewno poczęta na tylnym siedzeniu samochodu albo w jakimś łóżku, albo w przyczepie kempingowej kilka miesięcy przed ślubem rodziców) zalewały się łzami na poboczu szosy. Był z nimi jakiś obcy. To znaczy, niezupełnie obcy: Mikę Noonan, wiecie, ten pisarz z miasta.

- Chciałam tylko pójść na plażę i pop... pop... pop... ły... wać...

Rozbite na sylaby słowo „popływać” zabrzmiało dziwnie egzotycznie, kto wie, może właśnie tak określa się po wietnamsku „rozkosz”?

- Przecież obiecałam ci, że pójdziemy tam po południu. - Mattie jeszcze pociągała nosem, ale udało jej się prawie opanować. - Nigdy tego nie rób kochanie. Obiecaj, że już nigdy tego nie zrobisz. Mamusia bardzo się przestraszyła.

- Obiecuję - powiedziała dziewczynka. - Naprawdę obiecuję.

Wciąż szlochając, dziecko przytuliło się mocno do niewiele starszego dziecka. Baseballowa czapeczka spadła na ziemię. Podniosłem ją, czując się jak intruz, i wetknąłem Mattie w rękę. Odruchowo zacisnęła palce na ciemnogrnatowym daszku.

Ku swemu lekkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że jestem zadowolony z przebiegu wydarzeń, i chyba miałem rację. Co prawda przedstawiłem to zdarzenie jako raczej zabawne, jednak wówczas, kiedy to wszystko działo się naprawdę, byłem lekko przerażony. A gdyby z naprzeciwka nadjechała cięża-



rówka? A gdyby zza zakrętu wypadł pędzący zbyt szybko samochód?

Chwilę potem wypadł, tyle że niezbyt szybko; stara furgonetka, do jakiej nie wsiadłby żaden szanujący się turysta. Dwoje kolejnych mieszkańców najbliższej okolicy wybałuszyło na nas oczy.

- Proszę pani... Mattie... Chyba już sobie pójdę. Cieszę się, że z dziewczynką wszystko w porządku.

Jeszcze nie przebrzmiały moje słowa, a już ogarnęła mnie szaleńcza wesołość i z najwyższym trudem powstrzymałem się przed wybuchnięciem śmiechem. Wyobraziłem sobie, że wygłaszam tę kwestię przed Mattie (to imię też brzmiało tak, jakby należało do jakiejś postaci z „Bez przebaczenia”), z kciukami za pasem z rewolwerami i kapeluszem zsuniętym na tył głowy. Niewiele brakowało, żebym dodał: „Pani wygląda jak anioł. Czy to pani jest tą nową nauczycielką?”

Odwróciła się do mnie i stwierdziłem, że istotnie jest aniołem. Nawet z podkrążonymi oczami i brudnymi, skołtunionymi włosami była czysta jak anioł, a w dodatku radziła sobie całkiem nieźle jak na osóbkę, której jeszcze nie podano by drinka w barze. Przynajmniej nie potrząsała małą ani nie próbowała jej uderzyć.

- Boże, jak mam panu dziękować? Czy ona szła środkiem szosy?

Proszę zaprzeczyć, błagało jej spojrzenie. Proszę powiedzieć, że znalazł ją pan na poboczu.

- Prawdę mówiąc...

- Szłam po tej kresce - oznajmiła z dumą mała. - Jak w przedszkolu, kiedy gramy w klasy. Wszyscy grają w klasy. To nie jest niebezpieczne.

Popielatoszara twarz Mattie zbladła jeszcze bardziej. Zaniepokoił mnie jej wygląd, tym bardziej że przecież musiała

jeszcze wrócić do domu, i to z dzieckiem.

- Gdzie pani mieszka, pani...

- Devore. Nazywam się Mattie Devore. - Podrzuciła małą na biodrze, objęła ją ramieniem^podała mi rękę. Chociaż było ciepło, po południu zaś zanosilo się na prawdziwy upał - rzeczywiście, idealna pogoda na plażę -jej palce przypominały sople lodu. - Mieszkamy tutaj, niedaleko.

Wskazała w kierunku skrzyżowania, od którego nadjechała, ja zaś ze zdumieniem dopiero teraz dostrzegłem ogromną przyczepę stojącą w cieniu sosen jakieś sześćdziesiąt metrów od szosy, przy bocznej drodze. Jeśli mnie pamięć nie myliła, droga nazywała się Wasp Hill Road. Ta, panie doktorze, powoli wraca mi pamięć. Jestem kowbojem z Derry, objeżdżam pastwiska i specjalizuję się w ratowaniu małych dziewczynek.

Ucieszyłem się, że od miejsca, gdzie stały nasze samochody, niemal dotykając się tylnymi zderzakami, Mattie będzie miała do pokonania odległość niespełna pół kilometra.

W gruncie rzeczy, mogłem się tego domyślić; przecież osoba rozmiarów mojej nowej znajomej miałaby sporo problemów z pokonaniem większej odległości, i to nawet demonstrując tak ogromną determinację. O sile woli dziewczynki najlepiej świadczył zastraszony wygląd matki. Cieszyłem się, że jestem za stary, by w przyszłości zostać jej chłopakiem; wiele wskazywało na to, że ulubioną rozrywką piękności w czerwonym kostiumie kąpielowym będzie zmuszanie ich do skakania przez płonące obręcze.

Przynajmniej w szkole średniej, ponieważ dziewczęta wychodzące się z takiego środowiska bardzo rzadko trafiały na wyższe uczelnie. Skakaliby tylko dopóty, dopóki zza Wielkiego Zakrętu Życia wypadnie właściwy (a raczej niewłaściwy) chłopak, trzaśnie w nią, skaczącą jakby nigdy nic po środkowej ciągłej linii i nieświadomą, że to coś zupełnie innego niż

gra w klasy, po czym cały cykl zacznie się od początku.

Chryste przenajświętszy, Noonan, skończ z tym wreszcie! Ona ma dopiero trzy lata, a ty już wyobrażasz ją sobie z trójką bachorów, w tym dwoma z grzybicą stóp, a jednym niedorozwiniętym umysłowo!

- Naprawdę bardzo panu dziękuję - powtórzyła Mattie.

Nie ma sprawy, maleńka.

- Nie ma o czym mówić - powiedziałem głośno, po czym uszczypałem dziewczynkę w nosek. Choć po jej policzkach wciąż płynęły łzy, uśmiechnęła się do mnie. - To bardzo wygadana młoda osóbką.

- Wygadana i uparta.

Dopiero teraz Mattie potrząsnęła córeczką, ale uczyniła to bardzo ostrożnie, dziecko zaś nie tylko się nie przestraszyło, lecz wręcz przeciwnie, uśmiechnęło się jeszcze szerzej. Twarz matki również rozpromienił uśmiech. Przyjrząwszy jej się bliżej, stwierdziłem, że jest uderzająco piękna. Gdyby Mattie ubrać w strój tenisowy i zaprowadzić do klubu w Castle Rock (gdzie nie trafi nigdy w życiu, chyba że jako kelnerka albo sprzątaczką), przypominałaby młodą Grace Kelly.

Raptownie spoważniała i spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Panie Noonan, ja nie jestem złą matką.

Zaskoczyła mnie, ale tylko na chwilę. Bądź co bądź, znajdowała się we właściwym wieku, a chyba lepiej, żeby czytała moje książki, niż przesiadywała godzinami przed telewizorem i oglądała tasiemcowe seriale. W każdym razie, przynajmniej trochę lepiej.

- Nie mogliśmy ustalić, o której powinnyśmy pójść na plażę. Chciałam najpierw powiesić pranie i zjeść obiad, ale Kyra uparła się, żeby... - Przerwała gwałtownie. - Czy coś się stało?

- Ma na imię Kia? Czy...

Zanim zdołałem dokończyć, przydarzyło mi się coś zdumiewającego: nagle poczułem, że mam usta pełne wody, jak ktoś, kto pływa w morzu, da się zaskoczyć fali i łyknie spory haust wody. Tyle że ta woda nie była słona, tylko słodka i zimna, z delikatnym metalicznym posmakiem jak krew.

Odwrociłem się i splunąłem. Spodziewałem się, że z moich ust tryśnie obfity strumień wody, jaki niekiedy wydobywa się z ust reanimowanych niedoszłych topielców, tymczasem na zakurzone pobocze poleciała zaledwie mała biała kulka śliny. Zanim zetknęła się z ziemią, złudzenie przysło.

- Ten pan splunął - stwierdziła dziewczynka.

- Przepraszam. - Wciąż nie mogłem otrząsnąć się ze zdumienia. Co się ze mną dzieje, na litość boską? - To pewnie przez ten upał.

Mattie przyglądała mi się z niepokojem, jakbym był osiemdziesięcioletnim staruszkiem. Dla osoby w jej wieku czterdzieści lat to chyba tyle samo co osiemdziesiąt.

- Może wpadnie pan do nas, napije się wody...

- Nie, dziękuję. Już wszystko w porządku.

- Skoro tak... Proszę mi wierzyć, coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz w życiu. Wieszalałam pranie, mała oglądała kreskówkę w telewizji, a potem zabrakło mi szczypczyków i weszłam do środka... - Dziewczynka już się nie uśmiechała. Powoli zaczynało do niej docierać, co naprawdę zrobiła. Jej szeroko otwarte oczy w każdej chwili mogły napełnić się łzami. - ...a jej już nie było. W pierwszej chwili pomyślałam, że umrę ze strachu.

Usta dziecka zaczęły drżeć, z oczu pociekły łzy, rozległo się żalodne pochlipywanie. Mattie tak długo gładziła ją po włosach, aż wreszcie dziewczynka oparła główkę na jej piersi.

- Już w porządku, Ki. Tym razem nic się nie stało, ale

pamiętaj, że nie wolno ci wychodzić samej na drogę. To bardzo niebezpieczne. Małe stworzonka często giną na drodze, a ty jesteś małym stworzonkiem, najukochańszym na świecie.

Łzy popłynęły jeszcze obfitszym strumieniem. Sądząc po rozpaczliwym szlochaniu, mojej przyjaciółce wyparowały już z główki wszelkie myśli o przygodach.

- Niedobra Kia! - wychlipała matce w bluzę. - Bardzo niedobra!

- Wcale nie - odparła Mattie. - Tylko troszeczkę niemądra.

Jeśli jeszcze miałem jakiś wątpliwości co do tego, czy jest dobrą matką, właśnie wtedy zostały ostatecznie rozwiane. W gruncie rzeczy znikły znacznie wcześniej; bądź co bądź, dziecko było dobrze odżywione, zadbane i nieposiniaczone.

Na jednym poziomie świadomości przeprowadzałem te wszystkie obserwacje i rozważania, na innym natomiast usiłowałem wytłumaczyć przedziwne złudzenie, którego padłem ofiarą, oraz tajemniczy zbieg okoliczności, że dziecko, które ocaliłem przed niemal pewną śmiercią, nazywało się tak, jak miało się nazywać nasze, naturalnie gdyby okazało się dziewczynką.

- Kia... - wyszeptalem, a następnie delikatnie pogłaskałem ją po główce. Miała delikatne włoski, ciepłe od słońca. Mattie pokręciła głową.

- Nie Kia, tylko Kyra. Ona jeszcze nie potrafi tego wymówić. To greckie imię. Oznacza damę. - Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. - Znalazłam je w książce z imionami. Kiedy byłam w ciąży, pasjami oglądałam Oprah.

- Imię jest urocze - zapewniłem ją. - A ty wcale nie jesteś złą matką.

Niespodziewanie przypomniałem sobie historię, którą Frank Arlen opowiedział przy stole podczas świątecznego

obiadu. Jej bohaterem był Petie, najmłodszy brat, wszyscy biesiadnicy zaś pękali ze śmiechu. Nawet Petie, choć twierdził, że niczego nie pamięta, aż popłakał się z radości.

Wydarzyło się to w Wielkanoc, kiedy Petie miał około pięciu lat. Poprzedniego wieczoru państwo Arlen ukryli w różnych zakamarkach ponad sto ugotowanych na twardo jaj, w świąteczny poranek zaś dzieciaki wyruszyły na poszukiwania. Zabawa trwała w najlepsze aż do chwili, kiedy Johanna, licząca na podwórku swoje zdobycze, przypadkowo podniosła wzrok i wrzasnęła z przerażenia; pięcioletni Petie jakby nigdy nic maszerował na czworakach po dachu i zaglądał za kominy, zaledwie metr lub półtora od krawędzi, za którą otwierała się przepaść.

Cała rodzina zebrała się na podwórzu i z zapartym tchem obserwowała przebieg akcji ratowniczej prowadzonej przez pana Arlena. Pani Arlen odmawiała różaniec („robiła to w tempie, w jakim wiewiórki łupią orzechy”, opowiadał Frank, śmiejąc się jeszcze głośniej), a kiedy jej mąż zniknął w oknie sypialni z dzieckiem w ramionach, cichutko zemdląła. Petie wyjaśnił, że po skontrolowaniu kominów zamierzał szukać jajek w rynnach.

Chyba w każdej rodzinie funkcjonuje przynajmniej jedna taka opowieść. Cudowne ocalenia Petie'ów i Kyr tego świata stanowi dla ich rodziców - lecz nie dla filozofów - wystarczający argument przemawiający za istnieniem Boga.

- Tak się wystraszyłam! - westchnęła Mattie.

Znowu wyglądała na czternaście, najwyżej piętnaście lat.

- Na szczęście już po wszystkim, a Kyra już nigdy nie wyjdzie sama na drogę. Prawda, maleńka?

Energicznie pokiwała główką przyciśniętą do matczynego ramienia. Podejrzywałem, że zaśnie, zanim Mattie dowiedzie ją do domu.

- Nawet nie ma pan pojęcia, jakie to dla mnie niesamowite - ciągnęła Mattie. - Jeden z moich ulubionych pisarzy zjawia się nie wiadomo skąd i ratuje moje dziecko. Wiem, że ma pan tu dom, bo chyba wszyscy o tym wiedzą, ale ludzie mówili, że odkąd umarła pańska żona, przestał pan przyjeżdżać.

- Rzeczywiście, dawno mnie tu nie było - przyznałem. - Gdyby to ten dom był moją żoną, chyba można by nazwać tych parę lat okresem próbnym.

Uśmiechnęła się przelotnie, po czym znowu spoważniała.

- Mam do pana ogromną prośbę.

- Wal śmiało. >

- Proszę o tym nikomu nie mówić. To dla nas obu ciężki okres.

- Dlaczego?

Przygryzła wargę, przez chwilę zastanawiała się, czy odpowiedzieć na moje pytanie (gdybym miał trochę czasu na zastanowienie, z pewnością bym go nie zadał), po czym pokręciła głową.

- Po prostu proszę nie mówić, i już. Jeśli naprawdę uważa pan, że to był tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności...

-Tak uważam.

- ...to będę panu bardzo wdzięczna, jeśli z nikim nie będzie pan o tym rozmawiał. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo.

- Nie widzę problemu. Łatwo mogę ci to obiecać i jeszcze łatwiej będzie mi dotrzymać słowa. Jestem letnikiem, który od paru lat nie pojawiał się w okolicy, więc na dobrą sprawę nikogo tu nie znam. - Oczywiście był Bili Dean, ale przecież nie musiałem mu zdawać szczegółowej relacji z mego pobytu. Podejrzywałem jednak, że niewiele to da. Jeśli ta młoda dama przypuszczała, iż uda się zachować incydent w tajemnicy, to

grubo się myliła. - Boję się jednak, że moja dyskrecja nie przyda się na wiele. Już nas chyba zauważono. Spójrz ukradkiem na warsztat.

Zrobiła to, po czym westchnęła. Na asfaltowym placu, tam, gdzie niegdyś sterczały dystrybutory paliwa, stali dwaj wiekowi mężczyźni. Jeden z nich to był chyba sam Brooksie; wydawało mi się, że dostrzegam resztki mocno przerzedzonych rudych włosów, które (przynajmniej w moich oczach) upodobały go do starego klauna. Drugi, jeszcze starszy, opierał się na lasce ze złocistą gałką i przypominał nastroszonego sępa.

- Nic na to nie poradzę - wyszeptała, kręcąc głową. - Nikt na to nie poradzi. I tak mam szczęście, że dzisiaj jest święto, i że jest tylko tych dwóch.

- Wątpię, żeby widzieli zbyt wiele - pocieszyłem ją, pomijając milczeniem dwie sprawy: że widzieli nas również kierowcy i pasażerowie co najmniej kilku samochodów oraz że nawet jeśli dwaj starcy czegoś nie dostrzegli, z tym większym zapalem popuszczą wodze wyobraźni.

Kyra zachrapała cichutko. Mattie rzuciła na nią spojrzenie, które roztopiło mi serce, tyle było w nim bólu i miłości.

- Okropnie mi przykro, że poznaliśmy się w takich okolicznościach, bo naprawdę uwielbiam pańskie książki, a wyszłam na zupełną idiotkę. W księgarni w Castle Rock powiedzieli mi, że już niedługo ukaze się pańska nowa powieść... Skinąłem głową.

- „Obietnica Heleny”.

- Dobry tytuł - stwierdziła z uśmiechem.

- Sama książka jest jeszcze lepsza. No, ruszaj do domu, bo ta pannica za chwilę złamie ci rękę.

- Chyba ma pan rację.

Są ludzie obdarzeni nadzwyczajnym talentem zadawania



niezręcznych, krępujących pytań. Ja do nich należę. Kiedy stanęliśmy przy drzwiczkach jeepa, przyszło mi do głowy jedno z lepszych w mojej karierze - chociaż, z drugiej strony, nie powinienem chyba mieć do siebie zbyt wielkich pretensji. Bądź co bądź, widziałem obrączkę na jej palcu.

- Powiesz mężowi?

Uśmiech pozostał na jej twarzy, ale zbladł tak bardzo, że upodobił się do bolesnego grymasu. Gdyby można było wykasować wypowiedziane słowa, tak jak kasuje się linię albo zdanie na ekranie monitora, natychmiast bym to uczynił.

- Umarł. W sierpniu.

- Wybacz mi, proszę.

- Skąd miał pan wiedzieć? Większość dziewczyn w moim wieku jeszcze nie ma męża, a jeśli nawet mają, to w wojsku albo gdzieś tam.

Na fotelu pasażera zainstalowano różowy dziecięcy fotelik; przypuszczalnie pochodził z tego samego taniego supermarketu, co bluza Mattie. Dziewczyna usiłowała posadzić w nim Kyrę, ale miała z tym kłopoty, bo przecież wszyscy dobrze wiedzą, że śpiące dzieci zdają się znacznie przybierać na wadze. Kiedy pospieszyłem jej z pomocą, niechcący musnąłem ręką pierś dziewczyny. Ze względu na dziecko nie mogła się cofnąć, lecz nie uległo wątpliwości, że poczuła dotknięcie. Mój mąż nie żyje, nie da mu w zęby, więc pomyślał, że przynajmniej trochę sobie pomaca, a co ja mam mu powiedzieć? Przecież uratował moją córeczkę.

Mylisz się, Mattie. Może mam czterdzieści lat, czyli sto, ale nie miałem najmniejszego zamiaru cię podmacywać. Rzecz jasna, nie przeszło mi to przez gardło, i chyba dobrze, bo tylko pogorszyłbym sprawę. Poczułem, że się rumienię.

- Ile masz lat? - zapytałem, kiedy dziecko znalazło się w foteliku, a nas znowu dzieliła bezpieczna odległość.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. Wyczerpana czy nie, wzięła się w garść.

- Wystarczająco dużo, panie Noonan, żeby rozumieć, co się wokół mnie dzieje. - Wyciągnęła rękę. - Jeszcze raz bardzo panu dziękuję. Bóg zesłał pana w samą porę.

- Nieprawda. Bóg tylko szepnął mi, że powinienem zjeść hamburgera w Wiejskim Zajeździe. A może to nie był On, tylko jego Główny Przeciwnik... Czy Buddy wciąż króluje w swoim lokalu?

Uśmiechnęła się ponownie, a mnie od razu zrobiło się cieplej na sercu.

- Będzie obsługiwał jeszcze dzieciaki Kii, chyba że któregoś dnia wejdzie jakiś przyjezdny i poprosi na przykład o krewetki w cieście migdałowym.

- Biedny Buddy umrze wtedy ze zdziwienia.  
Mattie skinęła głową.

- Jak tylko przyślą mi tę nową książkę, podrzucę ci jeden egzemplarz.

Wciąż się uśmiechała, ale już znacznie ostrożniej.

- Nie musi pan tego robić, panie Noonan.

- Wiem, ale mimo to zrobię. Dostaję pięćdziesiąt egzemplarzy autorskich każdego tytułu. Coraz więcej, w miarę jak się starzeję.

Chyba usłyszała w moim głosie więcej, niż zamierzałem przekazać (niekiedy tak się dzieje), ponieważ skinęła głową.

- W porządku. Będzie mi bardzo miło.

Przyjrzałem się dziewczynce, śpiącej w niedbalej, charakterystycznej pozie: główka przechylona na ramię, rozwarte usteczka, na których zawisł bąbelek śliny. Zawsze najbardziej zdumiewała mnie dziecięca skóra, tak gładka i doskonała, jakby nie było w niej żadnych porów. Poprawiłem małej czapeczkę, żeby daszek osłaniał jej oczy przed słońcem.

- Kyra... - wyszeptałem.

- Czyli dama.

- Kia to afrykańskie imię - powiedziałem. - Oznacza początek lata.

Odwróciłem się, podszedłem, do chevroleta, otworzyłem drzwi po stronie kierowcy i nie odwracając się, pomachałem lewą ręką. Czulem na plecach zdziwione spojrzenie Mattie i bardzo, ale to bardzo chciało mi się płakać.

## Rozdział 8

Istotnie, Buddy Jellison wcale się nie zmienił - ten sam brudny strój kucharza i wymięty fartuch, te same rozczochrane siwe włosy wystające spod papierowej czapy poplamionej krwią albo sokiem truskawkowym, chyba nawet te same okruszki na wąsach. Równie dobrze mógł mieć pięćdziesiąt pięć lat, jak i siedemdziesiąt, co w przypadku mężczyzn takich jak on oznaczało po prostu, że był w średnim wieku. Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć, ważył pewnie ze sto trzydzieści kilogramów i stanowił taki sam okaz wdzięku, poczucia humoru i radości życia, jak cztery lata temu.

- Chcesz menu, czy znasz je na pamięć? - warknął na powitanie, jakbym ostatnio był tutaj poprzedniego wieczoru.

- Można tu jeszcze dostać wiejskiego hamburgera ekstra?

- A czy wrony jeszcze obsrywają ziemię pod drzewami?

Wyblakłe oczy mierzyły mnie obojętnym spojrzeniem.

Żadnych wyrazów współczucia, z czego akurat byłem bardzo zadowolony.

- Chyba tak - odparłem. - W takim razie, jeden hamburger wiejski ekstra ze wszystkimi dodatkami, a oprócz tego mrożoną czekoladę. Miło znowu cię widzieć.

Podąłem mu rękę. Przyjrzał jej się z zaskoczeniem, może nawet podejrzliwie, ale w końcu dotknął swoją. Jego ręka, w przeciwieństwie do stroju, była czysta. Nawet paznokcie były czyste. Buddy bąknął coś pod nosem, po czym odwrócił się do kobiety o niezdrowej ziemistej cerze, która siekała cebulę na blacie obok grilla.

- Audrey, jeden wiejski ekstra z zielskiem.

Zazwyczaj siadam przy barze, tym razem jednak zająłem

miejsce przy stoliku w pobliżu przeszklonej lodówki z napojami i czekałem, aż Buddy krzyknie, że moje zamówienie jest gotowe. Audrey przygotowuje potrawy, ale nie podaje ich gościom. Chciałem trochę pomyśleć, a lokal Buddy'ego to świetne miejsce na myślenie. Oprócz mnie siedziało tam dwóch albo trzech miejscowych, zjadając kanapki i popijając je napojami gazowanymi prosto z butelki. Właściciele letnich domów nad jeziorem musieliby przymierać głodem, żeby się tu zjawić, a nawet wtedy w ostatniej chwili z pewnością próbowaliby uciec i trzeba by wciągać ich siłą do środka. Podłogę pokrywało czerwone pomarszczone linoleum; podobnie jak strój Buddy'ego, sporo brakowało mu do czystości (letnicy z pewnością nie zwróciliby uwagi na czyste ręce właściciela), ciemna boazeria podejrzanie błyszczała, jakby od tłuszczu, wyżej zaś, na ścianach, roilo się od nalepek na zderzaki - w zamyśle Buddy'ego miały zapewne stanowić ozdobę lokalu.

JEŹDŹĘ BEZ KLAKSONU, ALE MAM ŚRODKOWY PALEC.

ZGUBIŁEM ŻONĘ I PSA. NAGRODA ZA ODPROWADZENIE PSA.

W NASZYM MIEŚCIE NIE MA NOTORYCZNEGO PIJAKA. PRACUJEMY NA ZMIANĘ.

Humor to prawie zawsze gniew z nałożonym makijażem, ale w małych miasteczkach warstwa makijażu bywa wyjątkowo cienka. Trzy podsufitowe wentylatory apatycznie męły łopatkami gorące powietrze, na lewo od lodówki zwisały dwa lepy na muchy, dość obficie upstrzone okazami miejscowej owadziej populacji. Niektóre dawały jeszcze znaki życia. Jeśli ten widok nie pozbawił cię apetytu, oznaczało to, że masz żołądek ze stali.

Rozmyślałem o zastanawiającej zbieżności imion, która

z pewnością była - musiała być! - wyłącznie dziełem przypadku. Rozmyślałem o ładnej młodej dziewczynie, która w wieku szesnastu albo siedemnastu lat została matką, by owdowieć niespełna trzy lata później. Rozmyślałem o przypadkowym muśnięciu jej piersi oraz o tym, jak społeczeństwo ocenia mężczyzn po czterdziestce, kiedy ci nagle odkrywają fascynujący świat młodych kobiet. Przede wszystkim jednak rozmyślałem o przedziwnym złudzeniu, jakiego doznałem w chwili, kiedy usłyszałem imię dziewczynki - jakby moje usta wypełniły się wezbranym strumieniem zimnej wody o metalicznym posmaku.

Buddy musiał wołać mnie dwa razy, żebym odebrał swojego hamburgera.

- Zostajesz na dłużej czy od razu znikasz? - zapytał, kiedy podszedłem do baru.

- A co, stęskniłeś się za mną?

- Nie, ale przynajmniej jesteś z naszego stanu, Wiesz, że w języku Indian Piscataqua „Massachusetts” znaczy „duppek”?

- Widzę, że poczucie humoru cię nie opuszcza.

- Szkolę się na Lettermanie. Wiesz, dlaczego Bóg dał memom skrzydła?

- Dlaczego?

Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Żeby mogły dolecieć na wysypisko, zanim dotrą tam Francuzi.

Zdjąłem z wieszaka gazetę, wziąłem słomkę do mrożonej czekolady, po czym podszedłem do automatu, wetknąłem sobie gazetę pod pachę i otworzyłem książkę telefoniczną. Choć znajdowały się w niej nazwiska wszystkich abonentów Castle County, była dość cienka. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby choć przywiązać ją na sznurku do telefonu, bo i po co?

Nie wyobrażam sobie, żeby komuś chciało się ukraść książkę telefoniczną Castle County.

Znalazłem ponad dwudziestu Devore, co specjalnie mnie nie zaskoczyło, ponieważ nazwisko to należy do tej samej kategorii co, powiedzmy, Pelkey, Bowie albo Toothaker - mnóstwo tego w okolicy. Takie zjawisko przypuszczalnie występuje w wielu miejscach; po prostu niektóre rodziny rozmnażają się bardziej intensywnie, za to podróżują mniej niż pozostałe.

Przy jednym z Devore'ów widniał adres „Wasp Hill Road”, ale imię nie brzmiało Mattie, Matilda ani Marta, tylko Lance. Książka została wydana w roku 1997, kiedy mąż Mattie przebywał jeszcze na tym świecie. Nazwisko wciąż nie dawało mi spokoju; Devore, Devore... Czy byli jacyś słynni Devore'owie?

Wróciłem do stolika, usiadłem, zjadłem hamburgera i wlałem w siebie płynne lody, starając się nie przyglądać temu, co przyczepiło się do lepu na muchy.

Czekając, aż blada, milcząca Audrey wyda mi resztę (w Wiejskiej Knajpie wciąż jeszcze można było stołować się przez tydzień za pięćdziesiąt dolarów - pod warunkiem, że miało się końskie zdrowie, rzecz jasna), zapoznałem się z treścią nalepki na kasie: TAK PRZESTRASZYŁEM SIĘ CYBERPRZESTRZENI, ŻE ZRESETOWAŁEM SIĘ W GACIE. Typowy przykład poczucia humoru Buddy'ego Jellisona. Jednocześnie uświadomiłem sobie, dlaczego nazwisko Devore wydało mi się dziwnie znajome.

Finansowo wiodło mi się całkiem nieźle - niektórzy mogliby mnie nawet uznać za bogacza - była jednak osoba mocno związana z tą okolicą, którą każdy musiał uznać za zaможną, większość stałych mieszkańców TR zaś jedynie z najwyższym trudem potrafiłaby wyobrazić sobie takie bo-

gactwo.

- Audrey, czy Max Devore jeszcze żyje?

Uśmiechnęła się lekko.

- Jasne, ale nie widzimy go tu zbyt często.

Jej odpowiedź dokonała tego, czego nie zdołały dokonać wszystkie nalepki Buddy'ego razem wzięte: parsknąłem śmiechem. Audrey, która nigdy nie tryskała zdrowiem i energią, teraz zaś wyglądała na kandydatkę do przeszczepu wątroby, również się roześmiała, co ściągnęło na nas miazdzące spojrzenie Buddy'ego, siedzącego przy drugim końcu baru i pogrążonego w lekturze ulotki informującej o wyścigu NASCAR, który miał się odbyć w Oxford Plains.

Wracałem tą samą drogą, którą jechałem w tę stronę. Wielki hamburger w upalny dzień to nie najlepszy pomysł; człowiek robi się po tym senny i ociężały. Marzyłem tylko o tym, żeby wrócić do domu (spędziłem w Sarze Laughs niespełna dobę, a już myślałem o niej jak o domu), rzucić się na łóżko w sypialni w północnym skrzydle i przespać parę godzin.

Mijając Wasp Hill Road, zdjąłem nogę z gazu. Pranie wisiało nieruchomo na sznurkach, na ziemi walały się porzucane zabawki, ale jeep znikł. Zapewne Mattie i Kyra przywdziały kostiumy kąpielowe i pojechały na ogólnie dostępną plażę nad jeziorem. Polubiłem je, nawet bardzo. Przypuszczalnie ich nieżyjący mąż i ojciec był jakimś krewnym Maksa Devore, chociaż, sądząc po starej przyczepie, rozpadającym się samochodzie oraz jakości ubrań, które miały na sobie, chyba niezbyt bliskim.

Zanim pod koniec lat osiemdziesiątych przeszedł na emeryturę i przeniósł się do Palm Springs, czy dokądś, Maxwell Devore odegrał jedną z czołowych ról w rewolucji komputerowej. Jego firma, Visions, stworzyła programy umożliwiające



ce błyskawiczne kopiowanie zawartości twardego dysku na dyskietki, programy graficzne, które wyznaczyły standardy obowiązujące w przemyśle, a także program pozwalający użytkownikom laptopów dosłownie malować palcem na ekranie, pod warunkiem, że ich komputer był wyposażony w przystawkę określoną przez Jo mianem „kursora łechtaczki”.

Obecnie był wart zapewne około sześciuset milionów dolarów, naturalnie z uwzględnieniem dziennych wahań kursów na giełdzie. W TR miał opinię nieprzystępnego i opryskliwego, lecz trudno się było temu dziwić. Cudze chwalicie, swego nie znacie. Rzecz jasna, był także ekscentrykiem. Posłuchajcie starych ludzi wspominających bogaczy z czasów ich młodości, a dowiecie się, że tamci krezusi wyżerali dziury w tapetach, współżyli z psami oraz pojawiali się w kościele tylko w poplamionej moczem bieliźnie. Nawet gdyby w przypadku starego Devore'a takie historie miały okazać się prawdziwe, i nawet gdyby był chodzącą reinkarnacją Scrooge'a skrzyżowaną z McDuckiem, wątpię, czy pozwoliliby, żeby jego bliska rodzina gnieździła się w starej przyczepie kempingowej przy Wasp Hill Road.

Skręciłem w drogę prowadzącą nad jezioro, po czym zatrzymałem samochód przed naszym podjazdem i przyjrzałem się wiszącej na drzewie drewnianej tabliczce z wypalonym napisem SARA LAUGHS. Natychmiast przypomniałem sobie ostatni sen z serii o Manderley; w tym śnie ktoś przykleił do tabliczki nalepkę stacji radiowej, jakby to była maszyna do przyjmowania opłat za przejazd autostradą.

Wysiadłem z wozu, podszedłem do drzewa i z bliska obejrzałem tabliczkę; ani śladu nalepki. Owszem, słoneczniki rzeczywiście wyrosły ze szczelin w podłodze werandy (w teczce miałem dowód w postaci zdjęcia), ale nalepki nie było. Świat-

nie, ale o czym to właściwie miało świadczyć? Weź się w garść, Noonan.

Ruszyłem z powrotem do samochodu - drzwi były otwarte, w głośnikach surfowali Beach Boys - rozmyśliłem się, zawróciłem i jeszcze raz podszedłem do tabliczki. W moim śnie nalepka znalazła się nad sylabą RA w słowie SARA i sięgała do U w słowie LAUGHS. Dotknąłem tego miejsca, a kiedy odsunąłem palce, odniosłem wrażenie, że trochę się lepią. Rzecz jasna, mógł to być tylko pokost. Albo moja wyobraźnia.

Podjechałem do domu, wyłączyłem silnik, zaciągnąłem ręczny hamulec (na stromych brzegach Dark Score oraz paru innych jezior w zachodnim Maine nigdy nie wolno o tym zapomnieć), po czym wysłuchałem do końca „Don't Worry, Baby”, którą uważałem za najlepszą piosenkę Beach Boys, bynajmniej nie pomimo słodkiutkich słów, lecz właśnie dzięki nim. Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię kocham, śpiewa Brian Wilson, nigdy nie przydarzyłoby ci się nic złego. Jakież wspaniałe byłby to świat...

Słuchając piosenki, wpatrywałem się w komórkę obok werandy. Trzymaliśmy tam śmieci, żeby uchronić się przed nocnymi wizytami szopów pracy. Nawet metalowe pojemniki z zatraskiwanymi pokrywami nie są w stanie obronić się przed ich ciekawością. Jeśli szopy są naprawdę głodne, potrafią jakoś odpiąć zatraski swoimi sprytnymi rączkami.

Chyba nie zamierzasz zrobić tego, o czym myślisz? - zadałem sobie pytanie. Chyba nie zamierzasz... A może?

Wyglądało na to, że jednak tak. Kiedy Beach Boys zaczęli „Rare Earth”, wysiadłem z samochodu, otworzyłem komórkę i wytaszczyłem na zewnątrz dwa plastikowe pojemniki na śmieci. Niejaki Stan Proulx - podobnie jak wielu innych, dorabiał sobie na lewo u Billa Deana - opróżniał je

dwa razy w tygodniu (a przynajmniej robił to jeszcze cztery lata temu), nie przypuszczałem jednak, żeby zdążył zjawić się między końcem generalnego sprzątanego a dzisiejszym świętem. Miałem rację. W każdym pojemniku znajdowały się dwa duże foliowe worki. Wyjąłem je, przez cały czas wyzywając się od głupców, po czym rozwiązałem żółte tasiemki.

Naprawdę nie sądzę, żeby moja obsesja była aż tak silna, bym mógł wywalić zawartość toreb na śmieci na podłogę werandy; oczywiście nigdy niczego nie wiadomo do końca, ale tym razem chyba miałem rację, ponieważ nie uczyniłem tego. Nie było zresztą takiej potrzeby. Pamiętajcie, że dom stał pusty przez ponad cztery lata, śmieci zaś nie biorą się z niczego. Zawartość toreb stanowiły wysuszone, zmumifikowane pozostałości dawnych czasów, uprzątnięte przez Brendę Merser i jej ekipę.

Doliczyłem się dziewięciu papierowych toreb z odkurzacza wypełnionych czterdziestoma ośmioma miesiącami kurzu i martwych much. W workach były także: sterty zużytych papierowych ręczników przesyconych intensywnymi, ale przyjemnymi zapachami środków do pielęgnacji mebli oraz płynów do mycia okien i płytek ceramicznych; resztki materaca i kraciastego płaszcza, zniszczonych przez mole (płaszcz pochodził z dawnych czasów i zupełnie nie było mi go żal; na pewno już bym go nie włożył); pudło wypełnione potłuczonym szkłem; jeszcze jedno, z różnymi (i zapewne przeterminowanymi) środkami chemicznymi; podarty i brudny kawałek wykładziny; poprzecierane ścierki do naczyń; stare rękawice, których używałem smażąc hamburgery i befsztyki na grillu.

Nalepkę znalazłem na dnie drugiego worka. Od chwili, kiedy poczułem na palcach resztki kleju, wiedziałem, że tam będzie, lecz mimo to musiałem przekonać się na własne oczy. Chyba na tej samej zasadzie niewierny Tomasz musiał wsu-

nąć rękę do rany w boku Chrystusa i zobaczyć krew na swoich palcach.

Położyłem znaleźisko na rozgrzanej słońcem podłodze werandy i starannie rozprostowałem. Nalepka miała poszarpane brzegi; przypuszczalnie Bili musiał zeszkrobywać ją nożem. Nie chciał, żeby pierwszą rzeczą, jaką pan Noonan ujrzy po powrocie do swego letniego domu nad jeziorem, była przyklejona przez jakiegoś szczeniaka nalepka. Nie, to nie byłoby w porządku. Nalepka trafiła do śmietnika, teraz zaś wyłoniła się stamtąd - kolejny fragmencik mego koszmaru. Przesunąłem po niej palcami. WBLM 102.9 ROCK AND ROLL Z PORTLAND.

Powtarzałem sobie, że nie mam się czego bać. Powtarzałem sobie, że to nic nie znaczy, podobnie jak cała reszta; Kiedy już prawie w to uwierzyłem, wepchnąłem ją z powrotem na dno worka, zawiązałem go starannie i wrzuciłem do pojemnika.

Wszedłem do domu z zamiarem spłukania pod prysznicem kurzu i brudu, jaki osiadł na mnie podczas grzebania w śmieciach, ale w jednej z otwartych walizek zobaczyłem kąpielówki i postanowiłem pójść się wykąpać. Kąpielówki (kupiłem je na Key Largo) były całe w wieloryby i chyba spodobałyby się mojej młodej przyjaciółce. Zerknąłem na zegarek; od chwili, kiedy przełknąłem ostatni kęs wiejskiego hamburgera ekstra ze wszystkimi dodatkami, minęło czterdzieści pięć minut. Powinno wystarczyć, tym bardziej że część tego czasu poświęciłem na energochłonne Śmietnikowe Łowy.

Założyłem kąpielówki, po czym ruszyłem w dół po schodkach prowadzących nad wodę. Klapki klapały, brzęczały nieliczne komary, jezioro migotało przede mną, spokojne i zachęcające, przykryte niskim sklepieniem nieba. Na północ i południe nad samym brzegiem biegła ogólnodostęp-

na ścieżka, przez miejscowych zwana Dróżką. Gdyby skrócić w nią w lewo, doszłoby się do przystani żeglarskiej, mijając po drodze klub, knajpę Buddy'ego Jellisona oraz kilkadziesiąt letnich domów, dyskretnie ukrytych wśród świerków i sosen. Ten, kto skręciłby w prawo, dotarłby do Castle Rock, tyle że dopiero za dwa dni.

Przez chwilę stałem na ścieżce, po czym rozpędziłem się i wskoczyłem do wody. Jeszcze w locie uświadomiłem sobie, że kiedy poprzednio wykonywałem taki skok, trzymałem za rękę moją żonę.

Zetknięcie z wodą niemal zakończyło się katastrofą. Była tak zimna, że od razu sobie przypomniałem, ile mam lat. Serce na sekundę zamarło mi w piersi, powierzchnia jeziora zamknęła się nad moją głową, ja zaś byłem niemal pewien, że już nie wypłynę żywy. Znajdą mnie przy brzegu unoszącego się twarzą w dół na falach, ofiarę zimnej wody i ociekającego tłuszczem wiejskiego hamburgera ekstra z dodatkami. Na moim nagrobku zostanie wyryty napis: „Mama zawsze mówiła, żeby nie wchodzić do wody wcześniej niż godzinę po posiłku”.

Zaraz potem dotknąłem stopami śliskich kamieni na dnie, serce ożyło, ja zaś wystrzeliłem w górę niczym koszykarz, który w ostatniej sekundzie meczu dostał piłkę pod koszem i postanowił zdobyć decydujące o zwycięstwie punkty imponującym hakiem. Wyprysnąłem na powierzchnię, nabrałem powietrza szeroko otwartymi ustami, oczywiście zakrztusiłem się, ponieważ wciągnąłem także sporo wody, a następnie, kaszląc głośno, zacząłem uderzać ręką w pierś, jakbym chciał zachęcić serce do nieprzerwywania podjętej na nowo pracy. Dalej, skarbie. Nie poddawaj się. Dasz sobie radę.

Kiedy wreszcie doszedłem do siebie, stałem po pas w je-

ziorze, w ustach zaś wciąż jeszcze czułem chłodną wodę o wyraźnym metalicznym posmaku. Identyczny smak wypełnił moje usta nie tak dawno temu na poboczu szosy numer 68, kiedy Mattie Devore powiedziała mi, jak się nazywa jej córka.

To tylko splot skojarzeń, nic więcej. Najpierw podobieństwo imion, potem moja zmarła żona, potem to Jezioro, którego...

- Którego wodę wielokrotnie kosztowałem-powiedziałem głośno, po czym, jakby dla podkreślenia wagi moich słów, nabrałem w rękę trochę czystej wody- przypuszczalnie najczystszej w całym stanie, jeśli wierzyć raportom - i wypilem ją. Nie doznałem żadnego objawienia, żadne światło nie rozbłysło w mojej głowie. Po prostu woda, nic więcej.

Dopłynąłem do platformy, wspiąłem się po trzech szczeblach drabinki i rozciągnąłem się jak długi na rozgrzanych deskach. Byłem szczęśliwy, że tu przyjechałem. Mimo wszystko. Od jutra zacznę jakoś układać sobie życie... a przynajmniej spróbuję je ułożyć. Na razie wystarczyło mi, że leżę z głową opartą na przedramieniu, coraz bardziej senny, pewien, że tego dnia nie spotka mnie już nic nadzwyczajnego. Jak się okazało, nie była to do końca prawda.

Pierwszego lata, spędzanego w TR, Jo i ja odkryliśmy, że z tarasu od strony jeziora możemy podziwiać pokaz ogni sztucznych w Castle Rock. Przypomniałem sobie o tym, kiedy zaczęło się ściemniać, po czym zdecydowałem, że tym razem, zamiast oglądać fajerwerki, obejrzę jakiś film na wideo. Ani trochę nie uśmiechało mi się ożywianie wspomnień o tych wszystkich czwartych lipca, które tu spędzaliśmy, pijąc piwo i nagradzając okrzykami najpiękniejsze eksplozje. i bez tego byłem wystarczająco samotny - w Derry nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo. Jednak niemal natych-

miast pojawiła się inna myśl: przecież przyjechałem tu właśnie po to, żeby wreszcie stanąć twarzą w twarz ze wspomnieniami i z miłością pochować je na dobre. Możliwość, że znowu zacznę pisać, chyba nigdy nie wydawała mi się równie mało prawdopodobna jak tego wieczoru.

W domu nie było piwa, znalazłem za to trochę napojów gazowanych, dostarczonych przypuszczalnie przez Brendę Meserve. Usiadłem na tarasie z puszką pepsi w ręku, z nadzieją, że to nie będzie bardzo bolało i że się nie popłaczę, choć w gruncie rzeczy doskonale wiedziałem, iż zostało mi jeszcze sporo łez i że prędzej czy później będę musiał je wylać.

Zaraz po pierwszym fajerwerku - jaskrawobłękitna kula ciągnąca za sobą głuchy łoskot wybuchu - zadzwonił telefon. Dźwięk dzwonka sprawił, że podskoczyłem w fotelu, mimo że chwilę wcześniej huk znad Castle Rock nie wywarł na mnie najmniejszego wrażenia. Natychmiast doszedłem do wniosku, że to na pewno Bili Dean telefonuje z Luizjany, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Na krótko przed śmiercią Jo kupiliśmy bezprzewodowy aparat, dzięki czemu mogliśmy podczas rozmowy wędrować po całym domu, co oboje bardzo lubiliśmy. Wszedłem do salonu, podniosłem słuchawkę, nacisnąłem przycisk, powiedziałem: „Halo, tu Mikę”, po czym wróciłem na taras. Po drugiej stronie jeziora, pod niskim sklepieniem chmur wiszących nad Castle Rock, rozkwitały zielone i złociste kwiaty. Każdy fajerwerk poprzedzał bezdźwięczny błysk, który później docierał do moich uszu w postaci głuchego, odległego grzmotu.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem lekko schrypnięty męski głos - głos niemłodego już człowieka, ale nie Billa Deana - zapytał:

- Czy to pan Noonan?

- Tak, słucham?

Nad drugim brzegiem jeziora rozwinął się złocisty wachlarz, zupełnie jak na transmitowanych przez telewizję uroczystościach z okazji rozdania jakichś nagród, gdzie aż roi się od pięknych kobiet w błyszczących sukniach.

- Devore.

- Proszę?

- Max Devore.

„Nie widzimy go tu zbyt często”, powiedziała Audrey. Wziąłem to za przejaw jankeskiego poczucia humoru, ale chyba mówiła poważnie. Proszę, proszę... Same cuda.

W porządku, ale co dalej? Jakoś brakowało mi pomysłu na zagajenie rozmowy. Mógłbym go zapytać, skąd ma mój zastrzeżony numer, ale po co? Człowiek wart pół miliarda dolarów (naturalnie jeśli rzeczywiście rozmawiałem z tym właściwym Maksem Devore) może zdobyć każdy zastrzeżony numer telefoniczny na świecie. Mamy swoje sposoby, mein Herr, jak mawiają w starych filmach.

Ostatecznie zdecydowałem się na jeszcze jedno „Tak, słucham”, tyle że nie w tonacji pytającej.

Ponownie zapadła cisza, Gdybym przerwał ją i zaczął zadawać pytania, mógłby dowolnie pokierować rozmową... o ile w ogóle można było mówić o jakiejś rozmowie. Sprytne, ale nie dałem się na to złapać, ponieważ miałem za sobą długoletnie doświadczenia z Haroldem Oblowskim, mistrzem wymownego milczenia. Siedziałem sztywno w fotelu z małym bezprzewodowym aparatem przyciśniętym do ucha i obserwowałem spektakl na niebie. Czerwienie przechodziły w błękity, zielenie w złocistości, niewidzialne damy paradowały wśród chmur w migoczących/kreacjach.

- Podobno spotkał pan dzisiaj moją synową- przemówił wreszcie zirytowanym tonem.



- To całkiem możliwe. Czy wolno mi spytać, w jakiej sprawie pan dzwoni, panie Devore?

- Podobno wydarzył się jakiś wypadek.

Białe światło, które rozbłysło na niebie, mogło pochodzić z eksplodującego statku kosmicznego. Grzmot zabrzmiał znacznie później. Odkryłem tajemnicę podróży w czasie, przemknęło mi przez głowę. To zjawisko akustyczne, nic więcej.

Z trudem zdołałem nieco rozluźnić palce zaciśnięte na słuchawce. Maxwell Devore. Pół miliarda dolarów. Nie w Palm Springs, jak należało się spodziewać, lecz gdzieś całkiem blisko, w TR, jeśli wierzyć charakterystycznemu przydźwiękowi na linii.

- Panie Devore, nie mam pojęcia, o czym pan mówi, ani dlaczego pan do mnie dzwoni.

- Martwię się o moją wnuczkę. - Max Devore był coraz bardziej zirytowany. Łatwo mogłem to usłyszeć w jego głosie; ten człowiek od dawna nie musiał zaprzętać sobie głowy ukrywaniem swoich uczuć. - Zdaje się, że moja synowa znowu okazała się mało rozważna. Zbyt często jej się to zdarza.

- A potem powtórzył: - Martwię się.

Na niebie wybuchło jednocześnie kilka kolorowych punktów, z których rozwinęły się bajeczne kwiaty, niczym na starym filmie przyrodniczym Disneya. Wyobraziłem sobie, jak widzowie w Castle Rock, siedzący po turecku na kocykach, zjadający lody i pijący piwo, zadzierają głowy i wszyscy razem wołają: Oooo! Po tym właśnie można poznać prawdziwe dzieło sztuki: kiedy wszyscy wołają Oooo!

Boisz się go, prawda? - zapytała Jo. Może i masz rację. Człowiek, który wie, że wolno mu wściekać się, kiedy chce i na kogo chce, może być bardzo niebezpieczny.

A zaraz potem głos Mattie: Panie Noonan, nie jestem nie-

odpowiedzialną matką. Coś takiego przydarzyło mi się po raz pierwszy w życiu.

Oczywiście w tych okolicznościach każda nieodpowiedzialna matka powiedziałaby coś w tym rodzaju... ale ja jej uwierzyłem. Poza tym, do cholery, przecież miałem zastrzeżony numer. Siedziałem sobie na tarasie, popijałem pepsi, oglądałem fajerwerki i nikomu nie przeszkadzałem, a ten palant...

- Panie Devore, naprawdę nie mam pojęcia, o czym...

- Proszę mi tego nie wciskać. Z całym szacunkiem, panie Noonan, proszę mi tego nie wciskać. Widziano was razem.

Chyba właśnie takim tonem przemawiał Joe McCarthy do tych wszystkich nieszczęsnych głupoli, których przerobił w swojej komisji na zawszonych komuchów.

Ostrożnie, Mikę, szepnęła Jo. Uważaj, co mówisz.

- Rzeczywiście, dziś rano rozmawiałem z kobietą i małą dziewczynką - powiedziałem. - Przypuszczam, że właśnie je ma pan na myśli?

- Nieprawda! - parsknął. - Najpierw zobaczył pan dziecko idące samotnie środkiem szosy, a potem szukającą je matkę. To była moja synowa w starym trupie, którym jeździ. Dziecko mogło zginąć. Panie Noonan, dlaczego broni pan tej kobiety? Czy coś panu obiecała? Zapewniam pana, że w tej chwili nie działa pan na korzyść jej dziecka.

Miałem ochotę powiedzieć: Owszem, obiecała zaprowadzić mnie do swojej przyczepy, zabrać w podróż dokoła świata, a potem przez jakiś czas mieć usta szeroko otwarte, pod warunkiem, że ja nie puszcę pary ze swoich. Czy to właśnie chciał pan usłyszeć?

Owszem, mówiła Jo. Przypuszczalnie to właśnie chce usłyszeć i najprawdopodobniej właśnie w to chce uwierzyć. Nie pozwól mu się sprowokować, Mikę, bo później możesz

żałować.

Dlaczego właściwie broniłem Mattie Devore? Nie miałem pojęcia. Nie wiedziałem również, w co się wplątuję. Wiedziałem tylko tyle, że sprawiała wrażenie wycieńczonej, a dziecko nie było ani posiniaczone, ani wystraszone, ani ponure.

- Mówi pan o tym starym jeepie?

- No, tak już lepiej. - Zadowolenie. Zainteresowanie. Takie obślinione. - Co...

- Wydawało mi się, że przyjechały razem. - Z trzpiotowatym zadowoleniem stwierdziłem, że nie opuściła mnie zdolność fantazjowania; czułem się trochę jak miotacz, któremu co prawda nic nie wychodzi na stadionie, ale który wciąż potrafi wykonać dobry rzut na bocznym boisku. - Dziewczynka miała chyba bukiet stokrotek. - Powoli, ostrożnie, jakbym zeznawał w sądzie. Harold byłby ze mnie dumny... Nie, skądże znowu. Harold dostałby zawału, gdyby dowiedział się o tej rozmowie. -Przypuszczalnie wydawało mi się, że zbierają leśne kwiaty. Niestety, nie jestem pewien szczegółów tego zdarzenia. Musi pan wiedzieć, panie Devore, że jestem pisarzem i prowadząc samochód często zamkam się w świecie własnych...

- Pan kłamie.

Gniew wydostał się na powierzchnię, gorący i pulsujący jak czyrak. Tak jak myślałem, nie trzeba było wielkiego wysiłku, żeby zedrzeć z tego człowieka wierzchnią warstewkę ogłady.

- Panie Devore... Przypuszczam, że jest pan tym Devore od komputerów?

- Słusznie pan przypuszcza.

Mimo gorącego temperamentu, im bardziej Jo kipiała w środku, tym spokojniejsza i bardziej wyniosła wydawała

się na zewnątrz. Słyszając swój głos, nie mogłem oprzeć się zdumieniu, jak dokładnie potrafię ją naśladować:

- Panie Devore, nie przywykłem do wieczornych telefonów od nieznanomych, ani nie mam zwyczaju kontynuowania rozmowy z kimś, kto zarzuca mi kłamstwo. Żegnam pana.

- Dlaczego pan się zatrzymał, skoro wydawało się panu, że wszystko jest w porządku?

- Nie było mnie tu jakiś czas, więc chciałem sprawdzić, czy Wiejska Knajpa jeszcze działa. Nie wiem, skąd wziął pan mój numer telefonu, ale za to wiem, gdzie może go pan sobie wsadzić. Dobranoc.

Przerwałem połączenie, wciskając kciukiem klawisz, po czym spojrzałem na telefon takim wzrokiem, jakbym po raz pierwszy w życiu widział owo urządzenie. Drżały mi ręce, serce waliło jak młotem, czułem pulsowanie krwi w skroniach, karku i piersi. Ciekawe, czy odważyłbym się potraktować starego Devore'a w taki sam sposób również wtedy, gdybym nie miał paru milionów na koncie?

To prawdziwa bitwa tytanów, kochanie, powiedziała Jo spokojnym tonem. A wszystko z powodu młodej dziewczyny mieszkającej w przyczepie. Nawet nie miała porządnego biustu.

Parsknąłem śmiechem. Bitwa tytanów? A gdzież tam. Przypomniałem sobie wypowiedź pewnego krezusa z przełomu wieków: „W dzisiejszych czasach człowiek zarobi milion dolarów i od razu wydaje mu się, że jest bogaty”. Mniej więcej to właśnie myślał o mnie Devore, a co ważniejsze, miał całkowitą rację.

Zachodni nieboskłon rozjaśnił się nieziemskim pulsującym światłem. Zaczynał się finał.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytałem na głos.

Nie uzyskałem odpowiedzi; tylko nur krzyknął na jeziorze, przypuszczalnie protestując przeciwko hałasom i migota-

niom na nocnym niebie.

Wszedłem do domu i odłożyłem aparat, podświadomie oczekując, że lada chwila zadzwoni ponownie i usłyszę teksty do znudzenia powielane w niezliczonych filmach: Jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę... I: Ostrzegam cię, przyjacielu...

Albo: Niech pan posłucha dobrej rady...

Telefon nie zadzwonił. Spłukałem resztką pepsi nieprzyjemną suchość w gardle, po czym postanowiłem pójść spać. W pewnym sensie byłem wdzięczny staremu bogaczowi. Przynajmniej obyło się bez łkania i szlochu na tarasie. Chwila kurczowego ściskania słuchawki, za to bez łez.

Przeszedłem do sypialni w północnym skrzydle, rozebrałem się, położyłem do łóżka. Myślałem o małej dziewczynce imieniem Kyra oraz o jej matce, która mogłaby być jej starszą siostrą. Nie ulegało wątpliwości, że Devore nie znosi Mattie, a jeśli ja pod względem finansowym byłem dla niego zerem, to kim była ona? I jak mogła się bronić, jeśli się na nią uwziął? Ta nieprzyjemna refleksja była moją ostatnią myślą przed zaśnięciem.

Trzy godziny później obudziłem się i poszedłem do łazienki, żeby uwolnić się od balastu przetworzonej pepsi, którą nieopatrznie wlałem w siebie wieczorem. Stojąc przed sedesem, ponownie usłyszałem zawodzenie. Jakieś dziecko płakało w ciemności, zagubione i przerażone... albo tylko udawało, że się boi.

- Nie rób tego. - Moje nagie ciało pokryło się gęsią skórą. - Proszę, nie zaczynaj znowu. Boję się.

Łkanie przycichło tak samo jak poprzednim razem, jakby jego źródło oddalało się ode mnie w tunelu. Wróciłem do łóżka, ułożyłem się na boku i zamknąłem oczy.

- To tylko sen - powiedziałem na głos. - Jeszcze jeden sen o Manderley.

Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to nieprawda, ale wiedziałem również, że znowu zasypiam, a w tej chwili to akurat wydawało mi się najważniejsze. Zapadając w sen, odniosłem wrażenie, że słyszę swój głos. Ona żyje, powiedziałem. Sara żyje.

Jednocześnie coś zrozumiałem<sup>^</sup>była moja. Odzyskałem ją. Wróciłem do domu.

## Rozdział 9

Około dziewiątej rano napełniłem plastikową butelkę sokiem grapefruitowym, po czym wyruszyłem na długi spacer Dróżką. Skierowałem się na południe. Mimo wczesnej pory było już gorąco... i cicho, tak cicho, jak tylko może być po świątecznym dniu. Na tę ciszę składają się w równych częściach kac i odprężenie. Na jeziorze zaczęło się dwóch albo trzech wędkarzy, za to nie było ani jednej motorówki, nigdzie też nie pluskały się rozkrzyczane dzieciaki. Minąłem kilka domów na wysokim brzegu, lecz choć o tej porze roku z pewnością wszystkie były zamieszkane, jedynymi oznakami życia, jakie dostrzegłem, były kostiumy kąpielowe suszące się na tarasie u Passendale'ów oraz sflaczały nadmuchiwany konik morski w różnych odcieniach wścieklej zieleni na szczątkowym pomoście Rimersów.

Czy jednak mały szary domek wciąż należał do Passendale'ów? Czy Rimersowie nadal przyjeżdżali do zabawnego budynku na planie koła, z ogromnym oknem wychodzącym na jezioro? Nie miałem pojęcia. Przez cztery lata mnóstwo może się zmienić.

Zastosowałem starą sztuczkę z czasów, kiedy jeszcze pisałem: po prostu szedłem przed siebie i nie myślałem o niczym konkretnym. Pomysły przychodzą do głowy niechętnie, są stworzeniami skrytymi i nieśmiałymi, prawie tak jak mali i najmniejsi mieszkańcy lasu, którzy nieruchomieli na mój widok, milkli, przypadali do ziemi, wtulali się w poszybie i czekali, aż sobie pójde, by zaraz potem wrócić do przerwanych zajęć. Jeśli puścisz się w pogoń za pomysłem, prawie na pewno ci ucieknie. Jeśli będziesz próbował go schwytać, wymknie się w ostatniej chwili, pozostawiając ci

w rękach tylko zewnętrzną powłokę - żalną karykaturę twoich pragnień.

Jeżeli jednak zachowasz obojętność, zdobycz sama wyjdzie z lasu, niekiedy nawet całą gromadą, niczym stadko młodych przepiórek, które zgromadzą się wokół ciebie i będą cichutko popiskiwać, kiwając łebkami. Są nieśmiałe, ale nie strachliwe, no bo czego właściwie miałyby się bać? Bądź co bądź, należą do ciebie.

Tak więc mijalem kolejne domy, które kiedyś odwiedzaliśmy z okazji rozmaitych przyjęć i spotkań towarzyskich, chłonałem ciszę jak gąbka, popijałem sok, ocierałem spoczone czoło i czekałem na pomysły.

Pierwsza zjawiała się dziwna refleksja: płaczące w ciemności dziecko wydawało mi się bardziej realne niż telefoniczna rozmowa z Maksym Devore podczas pokazu ogni sztucznych. Czy to możliwe, żeby u schyłku pierwszego pełnego dnia mego pobytu nad jeziorem zadzwonił do mnie obrzydliwie bogaty i nieznośny magnat komputerowy? Czy to możliwe, żeby nazwał mnie kłamcą? (Co prawda byłem nim, ponieważ opowiedziałem mu czystą nieprawdę, lecz w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia). Wiedziałem, że to zdarzyło się naprawdę, lecz jakoś znacznie łatwiej było mi uwierzyć w Ducha Jeziora Dark Score, zwanego niekiedy Zapłakany Dwidziusiem.

Kolejna myśl była następująca: powinienem zadzwonić do Mattie Devore i opowiedzieć o rozmowie z teściem. Niemal natychmiast doszedłem jednak do wniosku, że to nie najlepszy pomysł. Miałem już czterdzieści lat, więc byłem za stary nie tylko na to, żeby prawie zaraz po obfitym posiłku wskakiwać do lodowatej wody, ale i na to, by wierzyć w takie czarno-białe schematy jak Bezradna Sierotka kontra Paskudny Ojczym, a raczej, tak jak w tym przypadku,



Bezradna Wdowa kontra Bezwzględny Teść. Przyjechałem tu, żeby uporać się z własnymi problemami, i nie chciałem utrudniać sobie zadania, angażując się w niesmaczny konflikt. Co prawda Devore nadepnął mi na odcisk, i to mocno, lecz przypuszczalnie uczynił to odruchowo, z przyzwyczajenia. Są mężczyźni, którzy nie mogą się powstrzymać i rozpinają wszystkie biustonosze, jakie nawiną im się pod rękę. Czy powinienem od razu wyzwać go na ubitą ziemię? Oczywiście, że nie. Ocaliłem śliczną dziewczynkę, niechący pomacałem jej mamusię po niedużej, ale jędrnej piersi, dowiedziałem się, że Kyra znaczy po grecku „dama”. I wystarczy.

Zatrzymałem się i przerwałem rozmyślenia, ponieważ dotarłem aż do działki Warringtonów, na której stała obszerna budowla przypominająca stodołę, zwana przez miejscowych Klubem. Istotnie, było to coś w rodzaju klubu, ponieważ na terenie posiadłości znajdowało się małe, sześciodołkowe pole golfowe, stajnia, parkur, restauracja, bar oraz pokoje gościnne w głównym budynku i kilka małych domków kempingowych. Można było także zagrać w kręgle, pod warunkiem, że znaleźli się chętni do ich ustawiania. Dom został zbudowany tuż przed pierwszą wojną światową, co czyniło go nieznacznie młodszym od Sary Laughs.

Długi pomost prowadził do znacznie mniejszej budowli, zwanej Barem Zachodzącego Słońca. U schyłku dnia (a niektórzy również na jego początku) goście chętnie przychodzili tam na drinka. Zerknąwszy w tamtą stronę stwierdziłem, że nie jestem już sam. Obok drzwi domku na wodzie stała kobieta i bacznie mnie obserwowwała.

Przyznam, że się trochę przestraszyłem - najprawdopodobniej dlatego, że moje nerwy znajdowały się w nie najlepszym stanie, choć również w innych okolicznościach przy-

puszczalnie zareagowałbym tak samo, częściowo ze względu na jej niesamowity bezruch, częściowo na zdumiewającą szczupłość, a częściowo twarz. Widzieliście kiedyś grafikę Edwarda Muncha zatytułowaną „Krzyk”? No więc, jeśli potraficie wyobrazić sobie tamtą twarz z zamkniętymi ustami i czujnym spojrzeniem lekko przymkniętych oczu, będziecie mieli jakieś wyobrażenie o wyglądzie kobiety, która stała na końcu pomostu z ręką o długich smukłych palcach opartą na poręczy. W pierwszej chwili jednak skojarzyła mi się nie z grafiką Muncha, lecz z panią Danvers.

Mogła mieć około siedemdziesiątki, ubrana zaś była w czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy z rękawkami i nogawkami. Jej strój wyglądał dość uroczyście, jak odmiana nieśmiertelnej „małej czarnej”. Skóra kobiety była mlecznobiała – tylko na płaskim dekolcie i na ramionach roilo się od brązowych starczych plam. W twarzy, oprócz osadzonych głęboko oczu, najbardziej zwracały uwagę wystające kości policzkowe oraz wysokie, gładkie czoło. Siwe, rzadkie włosy częściowo zakrywały uszy, sięgając do mocno zarysowanej żuchwy. Boże, jaka ona chuda, pomyślałem. Po prostu worek...

Aż mną zatrzęsło, jakby ktoś wyszarpnął mi z wnętrzości drut kolczasty. Nie chciałem, żeby to zauważyła (co za wspaniały początek dnia: wystraszyć nieznajomego gościa do tego stopnia, żeby nie mógł zrobić kroku dalej, tylko stał i trząsł się jak galareta), więc pomachałem jej ręką, a nawet spróbowałem się uśmiechnąć. Halo, proszę pani! Halo, ty stary worku kości! Cholernie mnie przestraszyłaś, ale ostatnio jestem notorycznie przestraszona więc ci wybaczam. Co u ciebie, stara krowo? Byłem ciekaw, czy mój uśmiech wyda jej się rozpaczliwym grymasem, i właśnie wtedy nasunęło mi się skojarzenie z Munchem. Wcześniej była dla mnie panią D. Nie zareagowała.

Czując się trochę jak kretyn (W NASZEJ WSI NIE MA ETATOWEGO GŁUPKA. PRACUJEMY NA ZMIANĘ), wykonałem coś w rodzaju nieudolnego salutu, po czym odwróciłem się w stronę, z której przyszedłem, ale zaledwie po pięciu krokach musiałem się odwrócić. Czulem na sobie jej wzrok, jakby to była koścista ręka oparta o moje plecy między łopatkami.

Pomost był pusty. Zmrużyłem oczy, pewien, że po prostu weszła głębiej w cień domku, ale tam też jej nie było. Rozpłynęła się w powietrzu jak duch. Proszę państwa, zapraszamy na wakacje w naszej malowniczej Strefie Mroku.

Po prostu weszła do baru, powiedziała Jo. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Jasne - mruknąłem, po czym ruszyłem Drózką z powrotem do domu. - Pewnie. Przecież to oczywiste.

W rzeczywistości wcale nie wydawało mi się to takie oczywiste. Miała za mało czasu, a poza tym, nawet gdyby była na bosaka, z pewnością bym ją usłyszał, szczególnie w taki cichy poranek.

Może potrafi się skradać. Znowu Jo.

- Tak, oczywiście - wymamrotałem. Tego lata miałem jeszcze sporo gadać w samotności. - To całkiem możliwe. Po prostu potrafi się skradać, i tyle.

Jak pani Danvers.

Zatrzymałem się i ponownie odwróciłem, ale nie mogłem już dostrzec ani zabudowań na posiadłości Warringtona, ani Baru Zachodzącego Słońca. Szczerze mówiąc, wcale tego nie żałowałem.

Podczas marszu usiłowałem przeanalizować niezwykle zjawiska związane z moim powrotem do Sary Laughs, ale myśli błyskawicznie rozpierchły się po zaroślach niczym przerażone kuropatwy. Zamiast uganiać się za nimi, zado-

woliłem się sporządzeniem szczegółowej listy: powracające sny, słoneczniki, nalepka, płacz dziecka. Niezwykle, choć w trochę inny sposób, były również spotkanie z Mattie i Ky-rą oraz telefoniczna rozmowa z panem Kursorem.

A co z twoją teorią dotyczącą rur? - zapytał głos Harolda Oblowskiego.

Teoria nie została obalona, ale z pewnością należało jej się dokładnie przyjrzeć. Byłoby dobrze, pomyślałem (pierwszy autentyczny pomysł, jaki przyszedł mi do głowy podczas tego spaceru), gdyby ktoś jeszcze posłuchał tych dźwięków, na przykład Bili Dean albo hydraulik, który wymieniał rury. Nie powinienem jednak wiązać z tym zbyt dużych nadziei; w chwili, kiedy zajeżdżasz na stację obsługi, samochód zawsze zaczyna działać jak należy.

A co z faktem, że w dniu śmierci Johanny zamiast nad jeziorem byliśmy w Derry? Czy należało mu się miejsce na liście? Nie miałem pojęcia. Nie mogłem sobie przypomnieć wielu wydarzeń tamtego lata. Książka, którą wtedy pisałem, pochłaniała mnie niemal bez reszty. Świata poza nią nie widziałem.

Nie wiedzieć czemu pomyślałem o Sarze Tidwell i tekście którejś z jej piosenek, nagranej przez Jeffersona. Jedna ze zwrotek brzmiała następująco:

To tylko wiejska potańcówka, mała,  
To tylko galopy i skakania,  
Daj mi się zaraz wycalować cała,  
Największym skarbem jesteś mym.

Bardzo lubiłem tę piosenkę i zastanawiałem się często, jak zabrzmiałaby zaśpiewana kobiecym głosem, a nie przesiąkniętym whisky barytonem starego trubadura. Na przykład głosem Sary Tidwell. Założę się, że potrafiłaby nie tylko zatańczyć, ale i zaśpiewać.

Dotarłem z powrotem do domu. Rozejrzałem się dokoła, nikogo nie zauważyłem (choć gdzieś daleko warczała już pierwsza motorówka), rozebrałem się do kąpielówek i popłynąłem do platformy, ale nie wyszedłem na nią, tylko chwyciłem jej się jedną ręką i położyłem się na wodzie, delikatnie poruszając nogami. Było mi całkiem przyjemnie, ale przecież nie mogłem w taki sposób spędzić całego dnia.

Ostatecznie postanowiłem poświęcić go na porządkowanie mojego miejsca pracy na piętrze. Jak się z tym uporam, być może zajrzę do pracowni Jo... rzecz jasna, jeśli wystarczy mi odwagi.

Powoli skierowałem się do brzegu. Woda muskała moje ciało niczym chłodny jedwab. Czułem się jak wydra. W pewnej chwili, po pokonaniu Co najmniej dwóch trzecich odległości, uniosłem nad wodę mokrą twarz i ujrzałem przyglądającą mi się z Dróżki kobietę. Była równie chuda jak ta u Warringtonów... tyle że zielona. Stała bez ruchu, wskazując ręką na północ.

Zakrztusiłem się, wyplułem wodę, stanąłem na dnie i otarłem oczy. Zaraz potem parsknąłem śmiechem, choć wcale nie było mi wesoło. Kobieta wydawała się zielona, ponieważ wcale nie była kobietą, tylko kępą wysokiego sumaka rosnącą przy schodkach. Blisko szczytu liście utworzyły kształt zdumiewająco podobny do ludzkiej twarzy; w wietrzny dzień twarz mogła śmiać się, płakać albo wyrażać jakieś inne uczucia, teraz jednak była zupełnie nieruchoma. Parę kroków dalej rosła rachityczna sosna z konarem sterczącym na północ. To jego właśnie wziąłem za chude ramię i kościśta, wyciągniętą rękę.

Zapewne myślicie, że mój umysł dokonał nadinterpretacji niewyraźnego obrazu przekazanego przez zalewane wodą oczy i skojarzył majaczący kształt z kobietą, którą widzia-

łem pięć mil na południe od domu; być może macie rację, ale uważam, że w ten sposób można określić tylko skutek, nie zaś przyczynę. Miewam przywidzenia, i tyle. Zawsze tak było, ja zaś z biegiem lat jeszcze bardziej rozwinąłem w sobie tę zdolność. Kiedy napiszecie tyle wymyślonych historii co ja, byle cień na podłodze zacznie wam przypominać odcisk stopy. Rzecz jasna, ani trochę nie pomogło mi to ustalić, co takiego szczególnego jest w Sarze Laughs, a co tylko wydawało mi się szczególne, ze względu na niezwykłość mego umysłu.

Rozejrzałem się dokoła, stwierdziłem, że wciąż jestem zupełnie sam (nie miało to jednak trwać długo, ponieważ do odgłosów pracy silnika pierwszej motorówki dołączył warkot co najmniej dwóch kolejnych), ściągnąłem mokre kąpielówki, wyjąłem je, położyłem na szortach i koszulce, po czym, zupełnie nagi, wspiałem się po schodach, przyciskając do piersi złożone ubranie. Wyobraziłem sobie, że jestem Bunterem i niosę lordowi Peterowi śniadanie oraz poranną gazetę. Kiedy wreszcie dotarłem do domu, język zwisał mi do kolan, za to uśmiechałem się od ucha do ucha jak krety.

Mimo otwartych okien, na piętrze panował zaduch. Szybko ustaliłem jego przyczynę. Jo zajmowała mały pokój po lewej stronie (właściwie była to komórka, ale nie potrzebowała więcej, bo przecież miała też obszerną pracownię w północnym skrzydle), do mnie należało pomieszczenie po prawej. Po drugiej stronie korytarza znajdował się zakratowany ryj potężnego klimatyzatora, który zainstalowaliśmy rok po kupieniu domu. Spojrzawszy na niego, uświadomiłem sobie, że nie słyszę charakterystycznego pomruku. Do obudowy była przyczepiona kartka następującej treści: Panie Noonan, to nie działa. Po włączeniu dmucha gorącym powietrzem i rzezi, jakby w środku było mnóstwo tłuczonego szkła.

Proszę powiedzieć o tym Deanowi, jeśli zobaczy się pan z nim przede mną. B. Meserve.

Pstryknąłem wyłącznikiem (Jo twierdziła, że urządzenia mechaniczne z reguły działają znacznie lepiej, jeśli w ich pobliżu pojawi się ludzka istota wyposażona w penis), i stwierdziłem, że Brenda miała całkowitą rację. Cholerny gruchot skiepscił się na dobre, jak mawiają ludzie w TR. Wyglądało na to, że dopóki go ktoś nie naprawi, nie będę mógł nawet rozwiązywać tu krzyżówek.

Mimo to zajrzałem do mojego gabinetu, ciekaw nie tylko tego, co tam zobaczę, ale także swoich wrażeń. Żadnej reakcji. Biurko, przy którym napisałem „Człowieka w czerwonej koszuli”, udowadniając w ten sposób sobie, że pierwszy sukces nie był dziełem przypadku; oprawione zdjęcie Richarda Nixona z uniesionymi ramionami, pokazującego dwa znaki V, z podpisem: CZY KUPIŁBYŚ UŻYWANY SAMOCHÓD OD TEGO CZŁOWIEKA?; węzełkowy chodniczek, który Jo własnoręcznie wykonała dla mnie którejs zimy, zanim odkryła cudowny świat afgańskich dywanów i przestała paruć się takimi zajęciami.

Co prawda nie poczułem się jak w gabinecie zupełnie obcej osoby, jednak wszystkie sprzęty, a szczególnie zupełnie puste biurko, zdawały się krzyczeć, że tu właśnie znajdowało się miejsce pracy dawnego Mike'a Noonana. Czytałem kiedyś, iż życie mężczyzny kształtują dwie nadrzędne siły: praca i małżeństwo. Moje małżeństwo już się skończyło, praca znalazła się w stanie permanentnego zawieszenia, nic więc dziwnego, że miejsce, w którym spędziłem tyle radosnych poranków, tworząc coś z niczego, teraz nic dla mnie nie znaczyło. Zupełnie jakbym wszedł do pokoju pracownika, którego zwolniłem... albo który niespodziewanie umarł.

Zamierzałem już wyjść, ale przyszedł mi do głowy pewien

pomysł. Regał w kącie aż ugiął się pod ciężarem papierów; były tam wyciągi bankowe (w większości sprzed ośmiu, a nawet dziesięciu lat), listy (w większości takie, na które nie odpowiedziałem), kilka fragmentów obszerniejszych tekstów, ale nie znalazłem tam tego, czego szukałem, w związku z czym zająłem się przetrząsaniem zawartości szafy. Temperatura w jej wnętrzu z pewnością przekroczyła czterdzieści pięć stopni. W kartonowym pudle opatrzonym przez Brendę Meserve napisem RÓŻNE PRZEDMIOTY odszukałem prezent od Debry Weinstock, który wręczyła mi zaraz po tym, jak dostarczyłem Putnamowi pierwszą powieść. Był to dyktafon Sanyo, włączający się automatycznie na dźwięk głosu i przełączający się na PAUSE, kiedy przerywałeś dla zebrania myśli.

Nigdy jej nie zapytałem, czy przypadkiem zobaczyła go na wystawie i pomyślała: „Każdy szanujący się autor bestsellerów powinien mieć coś takiego”, czy może usiłowała dyskretnie dać mi jakąś radę, na przykład: „Rejestruj od razu wszystko, co ci przychodzi do głowy, bo potem może być za późno”. Nie wiedziałem tego wtedy i nie wiem teraz. Liczyło się jednak to, że miałem w ręku profesjonalny dyktafon, w samochodzie zaś walało się kilkanaście kaset. Postanowiłem, że wieczorem umieszczę jedną z nich w dyktafonie i ustawię go w pozycji GOTOWOŚĆ; jeśli odgłosy, które słyszałem już dwa razy, powtórzą się również tej nocy, zostaną utrwalone na kasecie, a ja później odtworzę ją Bilowi Deanowi i zapytam go, co to może być.

A jeśli usłyszę ów dźwięk, to szlochające dziecko, a dyktafon się nie włączy? Albo jeżeli nagra tylko ciszę wypełnioną szumem przesuwającej się taśmy?

- Cóż, wtedy też czegoś się dowiem - poinformowałem pustą, jasno oświetloną promieniami słońca pokój. Spocony jak świnia, stałem w drzwiach z dyktafonem pod pachą i ga-



piłem się na wysprzątane puste biurko. - A przynajmniej będę wiedział, co powinienem podejrzewać.

W porównaniu z kąciakiem Jo, mój był skrajnie zagracony. Johanna nigdy nie umeblowała go do końca, teraz zaś zostały tylko sufit, podłoga i cztery ściany. Znikło wszystko: dywan, fotografie, nawet biurko - zupełnie jakby ktoś bawił się w samodzielne budowanie domu, by w ostatniej chwili usunąć najważniejszy element: mieszkańców razem z otaczającymi ich sprzętami. Jo została wydrapana, wyskrobana, odkurzona i wyszczotkowana ze swego pokoiku. Na chwilę ogarnął mnie irracjonalny gniew i przypomniałem sobie słowa, które słyszałem od matki za każdym razem, kiedy z własnej inicjatywy zrobiłem coś, co jej się niezbyt podobało: „Nie uważasz, że trochę się zagalopowałeś?” Chętnie powiedziałbym to teraz Brendzie Meserve. Chyba trochę się zagalopowała.

Z drugiej strony, nie było mnie przecież tutaj, więc nie mogła zapytać mnie o zdanie, prawda? Osoby takie jak ona tylko w ostateczności są skłonne sięgnąć po telefon, jeśli wiedzą, że będą musiały przeprowadzić rozmowę zamiejscową. Taka już jest ich jankeska natura.

W chwili, kiedy się odwróciłem, twarz (i tylko twarz) owionął mi podmuch chłodnego powietrza. Wrażenie było niesamowite: jakby ktoś delikatnie przesunął zimnymi dłońmi po moim czole i policzkach. Jednocześnie usłyszałem westchnienie, albo raczej szept. Przemknął obok mnie, po czym ucichł.

Zerknąłem przez ramię, spodziewając się, że ujrzę falujące zasłony w oknie. Zasłony wisiały bez ruchu.

- Jo? - Usłyszawszy jej imię, zadrzałem tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a wypuściłbym dyktafon. - Czy to ty, Jo?

Nic. Ani lodowatego powiewu, ani niewidzialnych rąk

głaszczących mnie po twarzy, ani falowania zasłon, które rzeczywiście powinny poruszyć się przy najlżejszym przeciągu. Wszystko jak przedtem, z wyjątkiem stojącego w drzwiach pustego pokoju wysokiego spoconego mężczyzny z dyktafonem pod pachą, jednak właśnie wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że w domu jest ktoś oprócz mnie.

I co z tego, pomyślałem. Nawet jeśli to prawda, to co z tego? Przecież duchy nie są w stanie nikomu zrobić krzywdy. Tak mi się wtedy wydawało.

Po lunchu poszedłem do pracowni Jo i od razu przeszła mi złość na Brendę Meserve; wcale się nie zagalopowała. Wręcz przeciwnie, wykazała się taktem, na jaki mnie z pewnością nie byłoby stać w takich okolicznościach.

W pracowni znalazłem różne przedmioty z małego gabinetu Jo: kawałek afgańskiego dywanika, zielony supełkowy chodniczek, plakat z leśnymi kwiatami oraz mnóstwo innych, zupełnie jakby pani M. chciała w ten sposób przekazać mi następującą wiadomość: Co prawda nie potrafię ulżyć panu w cierpieniu ani sprawić, żebyból stał się mniej dokuczliwy, i nie mogę zapewnić, że dopiero co zabliznione rany nie otworzą się, kiedy przekroczy pan próg tego domu, ale przynajmniej mogę zgromadzić w jednym miejscu wszystkie przedmioty, które muszą wywołać bolesne wspomnienia, żeby nie potykał się pan o nie na każdym kroku. Tyle mogę dla pana zrobić.

W tym pomieszczeniu nie zastałem pustych ścian. Tutaj na ścianach było aż tłoczno od wytworów serca i palców mojej żony: robótki na drutach, batiki, szmaciane laleczki wychylające się z „lalkowych” kolaży, abstrakcyjne malowidła, fotografie kwiatów, a nawet, na półce z książkami, coś, co wyglądało jak niedokończony model Sary Laughs, wykonany z wykałaczek i patyków od lizaków.

W kącie stał nieduży warsztat tkacki oraz drewniana komoda z zawieszoną na gałce tabliczką RUPIECIE JO.

WSTĘP SUROWO WZBRONIONY! W sąsiednim rogu pokoju ujrzałem banjo, na którym przez pewien czas uczyła się grać, ale w końcu zrezygnowała, ponieważ bolały ją palce. W trzecim kącie stały wiosło i łyżworolki; buty miały pościerane czuby, a na końcach sznurowadeł dyndały fioletowe pompony.

Moją uwagę przykuł przedmiot spoczywający na starym zamykanym biurku na środku pokoju. Przez wiele wspaniałych wakacji, które tu razem spędzaliśmy, na tym biurku piętrzyły się stosy szpilek z niciami, poduszeczek na igły, wykrojów, motków wełny, książek o rewolucji hiszpańskiej i słynnych amerykańskich psach. Johanna często mnie irytowała, ponieważ obca jej była wszelka systematyczność działania, musiałem jednak przyznać, że przez bałagan, którym się otaczała, często przebijały się przebłyski geniuszu. Wygląd jej biurka zazwyczaj dokładnie odzwierciedlał stan jej duszy.

Tym razem było inaczej. Oczywiście mogłem sobie wyobrazić, że pani M. posprzątała biurko, po czym ustawiła na nim ten przedmiot, ale z całą pewnością nie mogłem w to uwierzyć. Po co miałyby robić coś takiego? Przecież to nie miało najmniejszego sensu.

Przedmiot był przykryty szarym plastikowym pokrowcem. Wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć, lecz w ostatniej chwili zahałem się, ponieważ przez głowę przemknęło mi (oddaj mi to, to moja ścierka do kurzu) wspomnienie dawnego snu, pozostawiając po sobie takie samo wrażenie jak ów nieuchwytny przeciąg. Zaraz potem znikło, a ja ściągnąłem pokrowiec. Spod przykrycia wyłoniła się moja niewidziana od wielu lat, elektryczna maszyna do pisania. Pochyliłem się nad nią, choć dobrze wiedziałem, co zobaczę: główicę

z courierem, moją ulubioną czcionką.

Skąd się tutaj wzięła, na litość boską?

Rzecz jasna od razu nasuwała się oczywista odpowiedź: Jo pisała coś na niej przed śmiercią. Niestety, drogi Watsonie, nie było to takie oczywiste. Akurat w tym miejscu maszyna do pisania nie miała prawa bytu. Johanna malowała (niezbyt dobrze), robiła zdjęcia (całkiem niezłe) i czasem nawet je sprzedawała, robiła na drutach, tkala, wyszywała, farbowała tkaniny, potrafiła zagrać kilka podstawowych akordów na gitarze. Rzecz jasna, umiała też pisać, zresztą jak większość absolwentów filologii angielskiej. Czy przejawiała jakąś oszałamiającą aktywność twórczą? Nie. Po kilku nieudanych próbach poetyckich na zawsze zrezygnowała z tego rodzaju działalności artystycznej.

Piszesz za nas oboje, Mikę, powiedziała kiedyś. To twoja domena. Ja postaram się skosztować całej reszty.

Biorąc pod uwagę, jak miały się jej próby poetyckie do efektów działalności na innych polach, z pewnością podjęła słuszną decyzję.

Tymczasem tu, na jej biurku, stała moja stara maszyna do pisania. Dlaczego?

- Listy - powiedziałem na głos. - Znalazła ją w piwnicy i przyniosła tutaj, żeby pisać na niej listy.

Ale to nie było podobne do Jo. Pokazywała mi większość swoich listów, często zmuszała do robienia dopisków, dręczyła bezustannym powtarzaniem porzekadła o szewcu, który chadza bez butów („a przyjaciele pisarza nie mieliby z nim żadnego kontaktu, gdyby nie wynalazek Aleksandra Grahama Bella”). Przez cały okres naszego małżeństwa nie widziałem ani jednego prywatnego listu mojej żony, który byłby napisany na maszynie. Jo potrafiła pisać na maszynie, pozwoli, ale za to bezbłędnie, wystukiwała sporo oficjalnych pism, lecz jej prywatne listy zawsze powstawały na moim

komputerze lub laptopie.

- Co zamierzałaś, Jo? - zapytałem, po czym przystąpiłem do przetrząsania szuflad biurka.

Również tam Brenda Meserve usiłowała zaprowadzić porządek, lecz musiała uznać wyższość bałaganiarskiej natury Jo. („Jeśli Bóg naprawdę będzie chciał, żeby coś trafiło w moje ręce, prędzej czy później sam mi to podsunie" - tak powinno brzmieć życiowe credo Johanny). Mimo pozornego ładunku (na przykład nici zostały poukładane według kolorów) bez trudu zdołałem dostrzec wyraźne ślady ręki Jo, co oczywiście napełniło moje serce mnóstwem bolesnych wspomnień. Nigdzie jednak nie znalazłem ani jednej strony zapisanej na moim starym IBM-ie. Ani jednej.

Zakończywszy poszukiwania, usiadłem w fotelu (jej fotelu) i zapatrzyłem się w nieduże oprawione zdjęcie stojące na biurku, znacznie mniejszą kopię tego z salonu. Wykonując tę odbitkę, Jo posłużyła się jakąś techniką postarzania obrazu, potem zaś ręcznie ją pokolorowała. Końcowy rezultat przypominał zabytkowy plakat z podobizną poszukiwanego przestępcy, wzbogacony o barwy przez Teda Turnera.

Wziąłem fotografię do ręki i z niedowierzaniem przesunąłem opuszką kciuka po szybce. Sara Tidwell, bluesowa śpiewaczka z połowy wieku, którą po raz ostatni widziano właśnie tutaj, w okolicy TR. Razem z rodziną i znajomymi mieszkała później w Castle Rock, jeszcze później w Lewiston, a potem po prostu znikła jak chmura nad horyzontem albo mgła w letni poranek.

Na zdjęciu lekko się uśmiecha, ale z tego uśmiechu trudno cokolwiek odczytać. Ma na pół przymknięte oczy. Przez ramię przerzuciła sobie strunę gitary - nosiła ją na strunie, nie na pasku. W tle widać czarnoskórego mężczyznę w wadiacko zsuniętym na ucho kapeluszu (trzeba przyznać, że

muzycy wiedzą, jak nosić kapelusze), stojącego przy kontrabasie.

Jo nadała skórze Sary barwę kawy ze śmietanką. Opierała się nie na innych, nielicznych fotografiach (większość z nich przedstawia Sarę z głową odchyloną do tyłu, zanoszącą się słynnym beztróskim śmiechem), lecz na relacjach mieszkańców miasteczka, których rodzice pamiętali tamte wspaniałe czasy i tamtych niezwykłych ludzi. Chyba najczęściej rozmawiała z Dickiem Brooksem, właścicielem warsztatu samochodowego. Ojciec Dickiego chełpił się tym, że kiedyś, podczas festynu, zwyciężył w zawodach strzeleckich, a nagrodę, czyli małego pluszowego misia, oddał Sarze Tidwell. Podobno odwdzięczyła mu się całusem.

Na tym zdjęciu nie śmieje się, tylko uśmiecha. Sara Tidwell, bardziej znana jako Sara Laughs. Nie wydała ani jednej płyty, ale mimo to jej piosenki przetrwały aż do naszych czasów. Jedna z nich, „Walk Me Baby”, jest zastanawiająco podobna do „Walk This Way” Aerosmith. Dziś Sara byłaby „afroamerykanką”, w roku 1975, kiedy Jo i ja kupiliśmy dom nad jeziorem Dark Score, byłaby po prostu „czarna”, natomiast w czasach, kiedy żyła, była „czarnuchem”, „brudasem”, a nawet „niedomytą świnią”. Sporo ludzi ani trochę nie krępowałoby się jej tak nazywać. Czy uwierzyłem, że na oczach połowy mieszkańców okręgu pocałowała ojca Dickiego Brooksa, który przecież był biały? Oczywiście, że nie. Chociaż, z drugiej strony, kto wie, co się wtedy naprawdę zdarzyło? To właśnie jest najwspanialsze w przeszłości.

- „To tylko wiejska potańcówka, mała” - zanuciłem, po czym odstawiłem zdjęcie na biurko. - „To tylko galopy i skakania”.

Wziąłem do ręki pokrowiec, ale zaraz go odłożyłem. Mój

wzrok znowu przykuła fotografia uśmiechniętej Sary, z gitarową struną na ramieniu. Jej twarz zawsze wydawała mi się dziwnie znajoma, lecz dopiero teraz uświadomiłem sobie, dlaczego. Otóż bardzo przypominała Roberta Johnsona, który żył mniej więcej wtedy co ona. Echa jego prymitywnych improwizacji pobrzmiwają we wszystkich utworach Led Zeppelin i Yardbirds. Legenda głosi, że na rozstajach oddał duszę Szatanowi w zamian za siedem lat intensywnego życia, picia i używania... i za nieśmiertelność zamkniętą w szafie grającej. Dostał wszystko, czego chciał. Robert Johnson, podobno otruty przez kobietę.

Późnym popołudniem pojechałem do sklepu i znalazłem w zamrażarce apetyczną flądrę. Uznałem, że znakomicie nada się na obiad. Kiedy z flądrą i butelką białego wina czekałem w kolejce do kasy, usłyszałem drżący starczy głos:

- Szybko nawiązujemy nowe znajomości, co?

Akcent był tak wyraźny, że zabrzmiało to prawie jak żart, ale nim nie było. Intonacja również była typowa dla mieszkańców Maine; chwilami odnoszę wrażenie, że wszyscy w wolnych chwilach trudnią się prowadzeniem aukcji.

Odwróciłem się i ujrzałem człowieka, który poprzedniego dnia razem z Dickiem Brooksem obserwował moje spotkanie z Kyrą, Mattie oraz ich dychawicznym jeepem. Dopiero teraz rozpoznałem laskę ze złocistą gałką; w latach pięćdziesiątych bostoński „Post” przekazał po jednej takiej lasce wszystkim okręgom w stanach Nowej Angli, władze okręgowe zaś wręczyły je najstarszym obywatelom. Od tej pory laski przechodzą z rąk do rąk, od piernika do piernika, najzabawniejsze zaś jest to, że „Post” już dawno wyciągnął nogi.

- Tak się jakoś składa - odparłem.

Bezskutecznie usiłowałem przypomnieć sobie jego nazwisko. Pamiętałem go z dawnych czasów, za życia Jo, przesia-

dującego godzinami w biurze u Dickiego i dyskutującego za-  
wzięcie o pogodzie albo polityce. Bywał tam codziennie. Nic,  
co działo się na szosie numer 68, nie mogło ujść jego uwagi.

- Słyszałem, że ta Mattie Devore potrafi być całkiem  
miła - powiedział, przymknąwszy cieką jak pergamin po-  
wiekę.

Widziałem już wiele sprośnych mrugnięć, jak dotąd jed-  
nak żadnego z nich nie posłał mi starzec podpierający się la-  
ską ze złocistą gałką. Poczulem wielką ochotę, żeby celnym  
ciosem utracić mu zakrzywiony nochal. Nawet wyobraziłem  
sobie odgłos, z jakim oddzieliłby się od twarzy: byłby to taki  
sam trzask, jaki wydaje sucha gałąź łamana na kolanie.

- Musisz mieć jeszcze niezły słuch, dziadku.

- A pewnie! - Jego usta, ciemne jak dwa skrawki wątro-  
by, rozchyliły się w uśmiechu. W pokrytych białawymi pla-  
mami dziąsłach tkwiło kilka zębów, nieco więcej w dolnej  
szczęce niż w górnej. - A to jej maleństwo... Istne słodkości!

- Aż chce się ją schrupać - potwierdziłem.

Zamrugał, chyba trochę zdziwiony, że z moich ust padło  
to staromodne stwierdzenie, ale zaraz po tym na jego twarz  
powrócił kwaśny uśmieszek.

- Wielka szkoda, że mamusia nie opiekuje się nią jak na-  
leży. Dzieciak robi, co mu się żywnie podoba.

Dopiero teraz (cóż, lepiej późno niż wcale) zorientowa-  
łem się, że naszej rozmowie przysłuchuje się co najmniej kil-  
ka osób.

- Nie odniosłem takiego wrażenia - odparłem nieco gło-  
śniej. - Wcale mi się tak nie wydaje.

Tylko się uśmiechnął, co miało oznaczać: Tak, tak. Od  
razu wiedziałem, że jesteście siebie warci.

Wyszedłem ze sklepu mocno zatroskany o Mattie De-  
vore. Zbyt wielu ludzi interesowały jej sprawy.



Zaraz po powrocie do domu poszedłem do kuchni, żeby wsadzić wino do lodówki; zanim "się schłodzi, zdążę rozpalić grill na tarasie. Zacisnąłem rękę na uchwycie... i znieruchomiałem. Drzwiczki zdobiło kilkanaście kolorowych magnesików w rozmaitych kształtach - warzywa, owoce, litery, cyfry - ale inaczej niż zawsze, nie były chaotycznie porozrzucane po całej płaszczyźnie, lecz tworzyły koło. Ktoś tu był. Ktoś tu był i...

I co? Poukładał magnesiki na drzwiczkach lodówki? Taki złodziej powinien jak najprędzej zgłosić się do psychiatry. Ostrożnie dotknąłem jednego palcem, po czym, wściekły na samego siebie, szybkim ruchem rozsunałem je we wszystkie strony. Kilka spadło na podłogę, ale nie schyliłem się, żeby je podnieść.

Wieczorem, przed pójściem do łóżka, ustawiłem dyktafon na stoliku pod Hunterem, włożyłem kasetę, wyzerowałem licznik, po czym udałem się do sypialni. Zasnąłem prawie natychmiast, by obudzić się osiem godzin później. Nic mi się nie śniło.

Jednym z powodów, dla których turyści przyjeżdżają do stanu Maine, są poranki takie jak ten w poniedziałek, szóstego lipca. Powietrze było tak czyste, że wzgórza po drugiej stronie jeziora wydawały się znacznie bliższe niż w istocie. Hen, daleko, można było nawet dostrzec Mount Washington, najwyższe wzniesienie Nowej Anglii.

Nastawiłem kawę, a następnie przeszedłem do salonu. W ten piękny rano wszystkie moje przywidzenia z minionych dni - szlochające dzieci, zielone kobiety, lodowate przeciągi, wędrujące magnesiki - były bez znaczenia. Mój nastrój uległ jednak całkowitej zmianie, kiedy zobaczyłem licznik dyktafonu. Poprzedniego wieczoru wskazywał 000, teraz zaś 012.

Cofnąłem taśmę, zawahałem się, wyzwalałem się w myślach od głupców, po czym wcisnąłem przycisk PLAY.

- Och, Mikę... - usłyszałem cichy, niemal żalony szept. Musiałem zatkać sobie usta ręką, żeby nie krzyknąć. Ten sam dźwięk usłyszałem w gabinecie Jo, kiedy owiał mnie zimny przeciąg, tyle że wtedy nie zdołałem nic zrozumieć. -Och, Mikę... - rozległ się ponownie. Ciche pyknięcie. Dyktafon wyłączył się na jakiś czas, ale potem włączył się raz jeszcze. - Och, Mikę... - wyszeptał ktoś po raz trzeci, w czasie, kiedy ja smacznie spałem w północnym skrzydle domu.

Dalej taśma była pusta/

## Rozdział 10

Około dziewiątej na podjeździe za moim chevroletem zaparkowała furgonetka - nowiutki i błyszczący dodge ram, zupełnie jakby przyjechał tu prosto z fabryki. Był tego samego koloru co poprzedni (lekko złamana biel), na drzwiczkach kierowcy zaś znajdował się znajomy napis: WILLIAM „BILL” DEAN - DROBNE NAPRAWY I PRACE STOLARSKIE oraz numer telefonu. Z filiżanką kawy w ręce wyszedłem na tylną werandę.

- Mike! - wykrzyknął Bili, gramoląc się zza kierownicy.

Jankesi nigdy nikogo nie obejmują (jest to truizm podobny do tych, że twardziele nie tańczą, a prawdziwi mężczyźni nie jadają ciastek), za to Bili potrząsnął moją ręką z taką siłą, że mało nie wypuściłem filiżanki, po czym serdecznie poklepał mnie po plecach. Uśmiechał się szeroko, dzięki czemu mogłem bez przeszkód podziwiać najbardziej sztuczną ze wszystkich sztucznych szczęk, jakie zdarzyło mi się widzieć (podobno zamawia się je z katalogu); przemknęło mi przez głowę, że starcowi, który zagadnął mnie poprzedniego dnia w sklepie, przydałoby się właśnie coś takiego. Wścibski pier-nik mógłby urozmaicić sobie dietę.

- Wspaniale znowu cię widzieć!

- Ja też się cieszę - odparłem z uśmiechem. Nie kłamałem; naprawdę było mi przyjemnie. To, co przeraża nas w ciemną burzliwą noc, za dnia wydaje się zaledwie interesujące. O ucieczce, ma się rozumieć, nawet nie pomyślałem. Spróbowałem uciec pierwszego wieczoru po przyjeździe i od razu usłyszałem szloch dziecka. Jedna lekcja w zupełności wystarczyła. - Świetnie wyglądasz, przyjacielu.

To także była prawda. Chociaż Billowi przybyły cztery

lata i nieco siwych włosów, i choć garbił się bardziej niż kiedyś, w gruncie rzeczy prawie się nie zmienił. Ile miał lat? Sześćdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt? Nie miało to najmniejszego znaczenia. Wyglądał równie zdrowo i dziarsko, jak w moich wspomnieniach.

- Ty też. - Uwolnił moją rękę. - Okropnie nam przykro z powodu Jo. Ludzie w miasteczku bardzo ją lubili. To był prawdziwy szok: taka młoda, i Wogóle... Moja żona prosiła, żebym koniecznie przekazał ci od niej wyrazy współczucia. Tamtego roku, kiedy miała zapalenie płuc, Jo utkała jej ciepły koc. Yvette nigdy jej tego nie zapomni.

- Dzięki. - Z trudem rozpoznałem swój głos. Chyba wybrałem dobre miejsce na ostateczne rozliczenie z Urzędem do spraw Uczuć i Wspomnień; tutaj, w TR, moja żona wciąż żyła. - I podziękuj ode mnie Yvette.

- Zrobię to. A jak z domem? Jest światło? Żadnych przecieków z rur? Masz ciepłą wodę?

- Tak, wszystko w porządku. Jest tylko jeden mały problem... Naprawdę nie wiem, jak ci o tym powiedzieć, ale... Podniósł rękę.

- Nie musisz nic mówić. Wiem wszystko.

- Naprawdę? - Nie mogłem uwierzyć, lecz mimo to poczułem ogromną ulgę. - To znaczy, co konkretnie?

- Głównie to, o czym opowiadali Royce Merrill i Dicky Brooks. Nie zapominaj, że byliśmy z mamuszką w Wirginii. Wróciliśmy wczoraj o ósmej wieczorem, ale w sklepie wszyscy o tym gadają.

Moje myśli były tak bardzo zaprzątnięte Sara Laughs, że przez chwilę nie miałem pojęcia, o czym Bili mówi. Czyżby ludzie plotkowali o dziwnych odgłosach w moim domu, o płaczu i szeptach? Dopiero kiedy usłyszałem nazwisko Merrill, odzyskałem przytomność umysłu. Royce Merrill to

był właśnie ten ciekawski piernik z obleśnym uśmiechem i laską ze złocistą gałką. Bili Dean nie mówił o upiornych hałasach, tylko o Mattie Devore.

- Napijmy się kawy - zaproponowałem. - Musisz mi dokładnie opowiedzieć, co się tutaj dzieje.

Kiedy już usiedliśmy na tarasie, ja z filiżanką napelnioną świeżą kawą, on z kubkiem herbaty („Ostatnio po kawie rusza mnie z obu końców”), poprosiłem go, żeby zaczął od przedstawienia takiej wersji wydarzeń na szosie numer 68, jaką przedstawili Royce Merrill i Dickie Brooks.

Okazało się, że nie jest tak źle, jak przypuszczałem. Obaj starszycy widzieli mnie z małą dziewczynką w ramionach, obaj widzieli mojego chevroleta zaparkowanego na poboczu z otwartymi na oścież drzwiami kierowcy, jakbym wyskoczył z wozu w wielkim pośpiechu, żaden jednak nie zauważył Kyry maszerującej sobie spokojnie środkiem jezdnii. W zamian za to Royce przysięgał, że Mattie wyściskała mnie serdecznie, po czym z rozmachem pocałowała w usta.

- A ja pewnie złapałem ją za tyłek i oddałem całusa z językiem? - warknąłem.

Bili uśmiechnął się promiennie.

- Royce nie ma aż takiej wyobraźni. Może dawniej, kiedy miał ze czterdzieści lat... Ale to było pół wieku temu.

- Nawet jej nie dotknąłem.

Była to prawda, przynajmniej do chwili, kiedy wsadzaliśmy dziecko do samochodu, ale owo muśnięcie było całkiem przypadkowe, niezależnie od tego, co na ten temat myślała młoda dama.

- Do licha, nie musisz mnie przekonywać, ale...

Powiedział „ale” w taki sam sposób, w jaki mówiła jej matka. Krótkie przecież słowo wydłużyło się do rozmiarów papierowego ogona wlokącego się za latawcem.

- Ale co?

- Powinieneś teraz trzymać się od niej z dala. Jest miła, prawie dziewczyna z naszego miasteczka, ale możesz mieć przez nią kłopoty. - Zastanowił się. - Nie, to nie w porządku. Właśnie ona ma kłopoty.

- Stary chce odebrać jej dziecko, prawda? Chce zabrać jej Kyrę?

Bili odstawił kubek na poręcz, uniósł krzaczaste brwi i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. Światło odbite od fal na jeziorze przesuwano się smugami po jego policzkach, nadając mu egzotyczny wygląd.

- Skąd wiesz?

- Domyśliłem się. Jej teść zadzwonił do mnie w sobotę wieczorem, podczas pokazu sztucznych ogni. Co prawda nie powiedział tego wprost, ale wątpię, czy Max Devore wracałby do TR-90 tylko po przyczepę kempingową i starego jeepa synowej. O co tu chodzi, Bili?

Przyglądał mi się bez słowa, z wyrazem twarzy kogoś, kto dowiedział się, że zapadłeś na bardzo poważną chorobę, i nie może się zdecydować, w jakiej formie przekazać ci nieprzyjemną wiadomość. Zawsze, kiedy ktoś tak na mnie patrzy, czuję się nieswojo, tym razem zaś mój nienajlepszy nastrój pogłębiało podejrzenie, że postawiłem Billa przed trudnym wyborem. Bądź co bądź, Devore pochodził z tych okolic, a ja nie. Jo i ja przyjechaliśmy z daleka. Rzecz jasna, mogło być jeszcze gorzej - na przykład gdybyśmy mieszkali w Massachusetts albo Nowym Jorku - ale Derry, chociaż w stanie Maine, też było daleko.

- Zrozum mnie, Bili. Nie zależy mi na tym, żebyś wywlekał na światło dzienne jakieś wstydlive sprawy, ale na pewno przydałaby mi się twoja...

- Trzymaj się od niego z daleka - powiedział ponurym

tonem. Już się nie uśmiechał. - To szaleniec.

Sądząc po wyrazie jego oczu, użył wyrazu „szaleniec” w najbardziej dosłownym znaczeniu.

- Dobrze, ale jaki? Taki szalony jak Charles Manson?

A może jak Hannibal Lecter?

- Powiedzmy, jak Howard Hughes. Czytałeś o nim?

Wiesz, do czego był zdolny, jeśli chciał coś osiągnąć? Nie miało znaczenia, czy chodzi o specjalny rodzaj hot doga, który można dostać tylko w Los Angeles, czy o konstruktora samolotów, którego postanowił wykraść Lockheedowi albo McDonell-Douglasowi. Musiał dostać wszystko, czego zapragnął, i nie spoczął, dopóki tego nie osiągnął. Devore jest taki sam. Od małego. Jeśli wierzyć opowieściom, które krążą po miasteczku, w dzieciństwie był nieprawdopodobnie upartym chłopcem.

Jedną z tych opowieści usłyszałem od własnego ojca.

Otóż któreś zimy mały Max Devore włamał się do szopy Scanta Larrabee, ponieważ zapragnął pojeździć na sankach, które Scant kupił na Gwiazdkę swojemu chłopakowi. Było to chyba w 1923. Przy okazji pokaleczył się kawałkami szkła ze stłuczonej szyby, ale nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Znalaziono go dopiero około północy, na pobliskim stoku. Gdyby nie mróz, przypuszczalnie wykrwawiłby się na śmierć. Ludzie opowiadają mnóstwo historii o Maksie Devore, a niektóre z nich przypuszczalnie są prawdziwe. Ta o sankach jest prawdziwa, ręczę za to głową. Mój ojciec nie kłamał. Gdyby kłamał, postępowałby wbrew nakazom swojej religii.

- Był baptystą?

- Nie. Jankesem.

- Rozumiem, że Devore jest teraz taki sam jak dawniej albo nawet jeszcze gorszy?

- Nie widziałem go, odkąd wrócił i zamieszkał u Warringtona, więc nie wiem na pewno, ale z tego, co słyszałem, wynika, że zmienił się na gorsze. Jest bogaty, szalony i na pewno nie przyjechał tu na wakacje. Chce mieć to dziecko, i tyle. Dla niego ta dziewczynka niczym nie różni się od sanek małego Larrabee. Uważaj, żebyś nie znalazł się na miejscu szyby, która je od niego oddziela.

Pociągnąłem łyk kawy i spojrzałem na jezioro. Żeby dać mi czas na przemyślenie sprawy, Bili zajął się starannym wycieraniem ptasiego gówna, które przywarło mu do podeszew, o deski tarasu. Przypuszczalnie było to wronie gówno, bo tylko one mają takie białe odchody.

Nie miałem wątpliwości: Mattie Devore ugrzęzła po uszy w bagnie. Nie byłem już takim cynikiem jak, powiedzmy, dwadzieścia lat wcześniej, jednak nie miałem złudzeń, że w starciu panny Nikt z panem Komputerem prawo stanie w obronie tej pierwszej... szczególnie jeśli pan Komputer uzna za stosowne sięgnąć po nieuczciwe sztuczki. Rzecz jasna, mogłem jej pomóc. Było mnie na to stać. Mogłem otoczyć ją ogrodzeniem pod napięciem. Ciekawe, jak usiłowałby się do niej dobrać gołymi rękami.

Jasne, a Devore po prostu huknęłaby z armaty i tyle widziałbym moje misterne ogrodzenie. Kto wie, może nawet sięgnęłaby po broń jądrową? Będąc chłopcem, ukradł wymarzone sanki i nie bacząc na krwawiące rany, zjeżdżał na nich do upadłego z najbliższej górki. A jako mężczyzna? Do czego byłby zdolny jako stary człowiek, który od ponad czterdziestu lat mógłby mieć wszystkie sanki na świecie?

- Opowiedz mi o Mattie, Bili.

Nie zajęło mu to dużo czasu. Wiejskie historie w zdecydowanej większości są stosunkowo proste, co naturalnie wcale nie oznacza, że mało interesujące.



Mattie Devore urodziła się jako Mattie Stanchfield, nie w TR-90, lecz w pobliskim Motton. Ojciec był drwalem, matka kosmetyczką, a więc stanowili materiał na doskonale prowincjonalne małżeństwo. Mieli sześcioro dzieci; kiedy pewnego dnia Dave Stanchfield nie zmieścił się na zakręcie w Lovell i jego załadowana dłużycami ciężarówka runęła do stawu Kewadin, wdowa, jak to się mówi, „przeszła na garnuszek opieki społecznej”. O żadnym ubezpieczeniu, rzecz jasna, nie było mowy.

Trąci wam to braćmi Grimm? I słusznie. Gdyby nie plastikowe zabawki porzucane na podwórzu, dwie stojące suszarki do włosów w salonie kosmetycznym w piwnicy oraz skorodowana toyota na podjeździe.; można by zacząć opowieść od następujących słów: Dawno, dawno temu żyła sobie uboga wdowa obarczona sześciorgiem dzieci...

W tej opowieści Mattie odgrywałaby rolę biednej, ale pięknej (mogłem to potwierdzić) księżniczki. A teraz uwaga, na scenę wkracza książę - czyli, w tym przypadku, niezgrabny jękający się rudzielec, Lance Devore, owoc spóźnionej namiętności Maksa Devore. W chwili spotkania on miał lat dwadzieścia jeden, ona siedemnaście, spotkali się zaś u Warringtona, gdzie Mattie pracowała latem jako kelnerka.

Lance Devore mieszkał po drugiej stronie jeziora, ale we wtorkowe wieczory u Warringtona odbywały się rozgrywki w softball (letnicy przeciwko miejscowym), w związku z czym Lance zazwyczaj wsiadał do łódki i przepływał przez jezioro. Dla takich jak on softball jest jedną z najważniejszych rzeczy na świecie; kiedy stoisz na boisku, przygotowany do odbicia piłeczki, nie ma znaczenia, czy jesteś niezgrabny ani czy się jękaś.

Po poznaniu Mattie stwierdzenie „zazwyczaj wsiadał do łódki i przepływał przez jezioro” stało się nieprawdziwe. Od

tej pory Lance czynił to przy każdej okazji. Z lekkim rozba-  
wieniem, ale i niepokojem, doszukałem się tu kolejnego na-  
wiązania do archetypu braci Grimm; nawet gdyby chłopak  
nie nazywał się Lance Devore, tylko, powiedzmy, Roscoe Ri-  
vera, historia tych dwojga nadal każdemu musiałaby koja-  
rzyć się z baśnią. Ona była piękną księżniczką, on szkarad-  
nym, ale bogatym księciem.

- Mieli tam z nim twardy orzech do zgryzienia - ciągnął  
Bili. - Za cholerę nie wiedzieli, w której drużynie go wysta-  
wić: miejscowej czy przyjezdnej. Jego akurat najmniej to ob-  
chodziło. Raz grał w jednej, raz w drugiej, a radził sobie cał-  
kiem nieźle. Powiadam ci, wyczyniał takie cuda, podskoki  
i piruety, że nie powstydziliby się ich sam Noriega.

— Chyba masz na myśli Nuryeva?

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno. Najważniejsze, że warto było na niego  
popatrzeć, a ludzie go lubili. Dla młodych ważniejsze od te-  
go, kim jesteś, jest to, jaki jesteś, a poza tym, większość z nich  
nie odróżniłaby Maksa Devore od dziury w płocie.

- Chyba że czytali pisma komputerowe - wtrąciłem.

- Nazwisko Devore powtarza się w nich częściej niż słowo  
„Bóg" w Biblii.

- Serio?

- Jasne. W pismach komputerowych słowo „Bóg"  
w ogóle nie występuje, bo zastąpiło je słowo „Gates". Chyba  
wiesz, co mam na myśli?

- Chyba tak. W każdym razie, minęło sześćdziesiąt pięć  
lat od czasu, kiedy Max Devore zatrzymał się na dłużej  
w TR, a prawie siedemdziesiąt pięć od chwili, kiedy podwę-  
dził Scooterowi Larribee sanki i, cały we krwi, jeździł na nich  
do późnej nocy. - Bili umilkł na chwilę, po czym dodał z mi-  
ną człowieka, który właśnie sobie coś przypomniał: - No

a po drodze były jeszcze te letnie pożary w 1930.

- Jakie pożary?

- To żadna tajemnica, ale opowiem ci innym razem, bo o jedenastej muszę być u Harrimanów. Zepsuł im się hydrofor. Chodzi o to, że Lance'a Devore wszyscy polubili i szanowali go, bo potrafił posłać piłkę nawet na sto metrów. Nikt nie miał mu za złe, że jego stary rzyga forszą. Zresztą latem nad jezioro przyjeżdża mnóstwo nadzianych gości; może żaden nie był tak bogaty jak Max Devore, ale w końcu bogactwo to względna sprawa, no nie?

Nie miał racji. Byłem wystarczająco zamożny, żeby zadować sobie z tego sprawę. Bogactwo jest jak skala Richtera: pozornie wszystko jest jasne i zrozumiałe, ale, po przekroczeniu pewnego punktu, wzrost następuje w trudnym do wyobrażenia, zawrotnym tempie. Hemingway miał świętą rację, choć podejrzewam, że sam do końca nie wierzył w swoją konkluzję: bogacze naprawdę różnią się od nas. Zamierzałem powiedzieć to Billowi, ale w ostatniej chwili zmieniłem zamiar. Musiał przecież jeszcze naprawić hydrofor Harrimanów.

Lance Devore i Mattie Stanchfield poznali się w błocie, przy baryłce piwa. Jak co wtorek, Mattie wiozła na ręcznym wózku beczułkę piwa, która zaraz po meczu miała zostać otwarta na boisku. Udało jej się bez przeszkód pokonać większą część trasy ze skrzydła budynku, w którym znajdowała się restauracja, ale przez prawie cały poprzedni tydzień padał deszcz, grunt był podmokły, i koła wózka w końcu ugrzęzły w błocie. Lance właśnie siedział na końcu ławki, czekając na wejście na boisko. Jak tylko zobaczył dziewczynę w białych szortach i błękitnej koszulce polo, mocującą się z obciążonym wózkiem, poderwał się z miejsca i pospieszył jej z pomocą. Trzy tygodnie później stanowili już nierozłączną parę; trzy

miesiące później Mattie zaszła w ciążę; pół roku później porabali się; trzy lata i jeden miesiąc później Lance Devore leżał w trumnie. Skończyły się wtorkowe mecze, skończyło się zimne piwo w pogodne letnie wieczory, skończyło się ojcostwo, skończyła się miłość do pięknej księżniczki.

Opowiadając o ich spotkaniu, Bili Dean nie wdawał się w szczegóły; bądź co bądź, czekał jeszcze na niego hydrofor Harrimanów. Powiedział tylko tyle:

- Spotkali się przy boisku. Wiozła piwo, wózek ugrzązł w błocie, a on pomógł jej go wyciągnąć;

Mattie nigdy nie wspomniała ani słowem o tym wydarzeniu, więc niewiele o nim wiem.

Nieprawda. Wiem bardzo dużo, choć może nie wszystkie szczegóły odpowiadają rzeczywistości. Podejrzewam, że pisarze, którzy zaprzestają działalności twórczej, stopniowo tracą wyobraźnię - jak każde nieużywane narzędzie, prędzej czy później musi zardzewieć - ale wówczas, w lipcowy poniedziałek 1998 roku, moja wyobraźnia działała jeszcze wystarczająco sprawnie, żebym mógł odtworzyć przebieg wydarzeń w lipcowy wtorek roku 1994.

Przede wszystkim, jest potwornie gorąco; najcieplejsze lato tego dziesięciolecia. Prezydent Clinton jest w poważnych opałach (niektórzy nawet twierdzą, że zrezygnuje z ubiegania się o drugą kadencję), prezydent Jelcyn podobno dogorywa na serce albo z powodu opilstwa, Red Sox radzą sobie w lidze lepiej, niż na to zasługują, w Derry w stanie Maine Johanna Arlen Noonan właśnie rozpoczyna drugi miesiąc ciąży i zarazem ostatni miesiąc życia. W zachodniej części okręgu Castle, w miejscowości, w której zatrzymał się kiedyś Winston Churchill i w której grała Sara Tidwell (choć nie w tym samym czasie, ma się rozumieć), Lance Devore poznaje Mattie Stanchfield.

Widzę Mattie w błękitnej koszulce polo z imieniem wyhaftowanym białą nicią nad lewą piersią. Biel szortów przyjemnie kontrastuje z opalenizną na nogach. Na głowie ma granatową czapkę z długim daszkiem i wyszytą literą W (jak Warrington). Obfite ciemnoblonde włosy są zebrane z tyłu głowy, przelewają się nad paskiem czapki i opadają na kołnierzyk. Widzę, jak dziewczyna mocuje się z wózkiem, jednak w taki sposób, żeby nie wstrząsnąć piwa w baryłce. Ma pochyloną głowę, więc daszek zasłania jej prawie całą twarz.

- P-p-pomogę p-p-pani - mówi Lance.

Mattie podnosi głowę, twarz wyłania się z cienia, chłopak widzi wielkie błękitne oczy, które potem odziedziczy jej córka. Wystarczy jedno ich spojrzenie i wojna jest zakończona, choć nie padł ani jeden strzał. Lance należy już tylko do niej, tak bardzo, jak jeszcze nigdy nikt do nikogo nie należał.

Reszta, jak mawiają w tej okolicy, to już były tylko zaloty.

Stary Devore miał troje dzieci, ale naprawdę przywiązany był tylko do Lance'a. („Córkę ma zupełnie porąbaną” - poinformował mnie Bili. „Podobno od dwudziestu lat siedzi w takim sanatorium, gdzie faszerują żarcie środkami uspokajającymi, ale i tak na wszelki wypadek obijają ściany gąbką”). Fakt, że chłopak nie przejawiał żadnego zainteresowania komputerami, w gruncie rzeczy ucieszył ojca. Max Devore miał jeszcze jednego syna, który mógł poprowadzić interes, choć pod innym względem zupełnie nie nadawał się na następcę tronu: mianowicie nie mógł zapewnić sukcesji.

- Pedał - wyjaśnił Bili. - Podobno w Kalifornii aż roi się od takich.

Pomyślałem sobie, że zapewne i w TR znalazłby się niejeden, ale nie uznałem za stosowne podzielić się z Billem swoją refleksją.

Lance Devore uczył się leśnictwa w Reed College w Oregonie; należał do ludzi, którzy uwielbiają zielone flanelowe portki, czerwone szelki i widok klucza żurawi o świcie. Krótko mówiąc, chciał zostać wykształconym drwalem. Podczas pierwszej przerwy wakacyjnej ojciec wezwał go do rodzinnej posiadłości w Palm Springs i wręczył pękata teczkę wypełnioną mapami, zdjęciami lotniczymi oraz aktami notarialnymi. Był to prawdziwy groch z kapustą, ale wątpię, żeby Lance'owi choć trochę to przeszkadzało, Wyobraźcie sobie kolekcjonera komiksów, który niespodziewanie wszedł w posiadanie skrzyni z nielicznymi zachowanymi egzemplarzami pierwszych wydań „Kaczora Donalda”, albo kinomana, który dostał roboczą kopię nigdy nierozpowszechnianego filmu, w którym główne role kreowali Humphrey Bogart i Marilyn Monroe. Jeżeli to się wam uda, z pewnością zrozumiecie, jak młody leśnik zareagował na wiadomość, że jego ojciec jest właścicielem znacznej części dziewiczych lasów porastających zachodnią część stanu Maine.

Max Devore opuścił TR w roku 1933, wkrótce po tajemniczych pożarach, o których wspomniał Bili, i od tej pory ani razu się tam nie pojawił. "Mimo to wciąż interesował się tą okolicą, czytywał lokalne gazety, a nawet prenumerował czasopisma takie jak „Downeast” oraz „The Maine Times”. Pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych zaczął wykupywać rozległe tereny wzdłuż granicy z New Hampshire. Podaż przewyższała wtedy popyt; w związku z recesją w przemyśle papierniczym wielkie koncerny przystąpiły do sprzedaży lasów, na pierwszy ogień zaś poszły tereny w Nowej Anglii. Ziemia, którą odebrano Indianom, a następnie, w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, bezlitośnie ogołocono, trafiła w ręce Maksa Devore. Całkiem możliwe, iż kupował ją tylko dlatego, że ktoś postanowił ją ta-

nie sprzedąć, a on mógł sobie pozwolić na zainwestowanie znacznych pieniędzy. Możliwe też, że kupował ją po to, by udowodnić sobie samemu, iż zatriumfował nad wspomnieniami z dzieciństwa.

Albo kupował ją z myślą o ukochanym najmłodszym synu. Naprawdę uważam, że nie można tego wykluczyć. Co prawda w latach 1981-1986, kiedy Devore dokonywał największych zakupów, Lance dopiero kończył podstawówkę i zaczynał naukę w szkole średniej, lecz kto wie, może troskliwy (chyba bardziej tu pasuje słowo „czujny”) ojciec już wówczas zorientował się, w jakim kierunku zmierzają zainteresowania syna? Max Devore na pewno miał dar przewidywania przyszłości; najlepiej świadczył o tym fakt, że w wieku osiemdziesięciu paru lat był wart ponad pół miliarda dolarów.

Poprosił Lance'a, żeby ten poświęcił wakacje na bliższe przyjrzenie się zakupom poczynionym w znacznej części ponad dziesięć lat temu. Zależało mu na tym, by chłopak uporządkował dokumenty, ale nie tylko: zadanie Lance'a polegało także, a może przede wszystkim, na wprowadzeniu elementu rozsądku w chaotyczną i nieznaną mu do tej pory działalność. Nie chodziło o doradzenie, co zrobić z nabytymi terenami - chociaż William Devore prawie na pewno wzięłby pod uwagę zdanie syna - lecz na nadaniu sensu samemu faktowi ich nabycia. Czy w związku z tym Lance zechciałby spędzić wakacje w zachodnim Maine, za dwa albo trzy tysiące dolarów miesięcznie?

Przypuszczalnie odpowiedź, jakiej udzielił ojcu, stanowiła łagodniejszą wersję Billowego: „A czy wrony obsrywają ziemię pod drzewami?”

Chłopak przyjechał na początku czerwca 1994 i zamieszkał w namiocie po drugiej stronie jeziora. Do college'u miał

wrócić pod koniec sierpnia; nie uczynił tego jednak, ponieważ wziął roczny urlop... potem przedłużył go o kolejny rok... a potem w nieskończoność. Ojciec nie był zachwycony. Chodziło mu przecież o to, żeby Lance spędził wakacje, wykonując potrzebną i pożyteczną, ale nie najważniejszą pracę, zgodną z jego zainteresowaniami, która mogła mu pomóc w dalszej nauce. Właśnie dalsza nauka, a szczególnie studia, w oczach Maksa Devore liczyły się znacznie bardziej niż wszystkie posiadłości w zachodniej części stanu Maine razem wzięte. Nie owijając w bawełnę, oświadczył swemu ukochanemu synowi, iż nie wierzy, że przyczyną, dla której Lance postanowił przedłużyć swój pobyt nad jeziorem Dark Score, jest miłość do przyrody. On, jego ojciec, „zważał tu jakąś spódniczkę”.

- Ale Max wahał w Kalifornii, a stamtąd do Maine szmat drogi - ciągnął Bili Dean, oparty plecami o bok swojego pick-upa. - Doszedł więc do wniosku, że warto mieć kogoś, kto porusza nosem tu, na miejscu.

- Co masz na myśli?

- Ludzi, Mikę. Gadają nawet za darmo, a niektórzy będą to robić jeszcze chętniej, jeśli poczują łatwy zarobek.

- Na przykład tacy jak Royce Merrill?

- Na przykład, ale nie tylko. Tutaj ciężko się żyje, a jeżeli coś się zmienia, to zazwyczaj na gorsze, więc sam rozumiesz, że kiedy ktoś taki jak Max Devore przyśle człowieka z portfelem wypchanym pięćdziesięcio- i studolarówkami...

- Kto „poruszał nosem” i rozdawał banknoty? Ktoś stąd? Prawnik?

Okazało się, że nie prawnik, lecz pośrednik w handlu nieruchomościami nazwiskiem Richard Osgood („śliski jegość”, wedle słów Billa), mieszkający i prowadzący interes w Motton. Dopiero później Osgood zatrudnił prawnika



z Castle Rock. Pierwsze zadanie „śliskiego jegomościa" polegało na tym, żeby ustalić, dlaczego późnym latem 1994 roku Lance Devore został w TR, a następnie położyć kres sprawie.

- Czym to się skończyło? - zapytałem.

Bili zerknął na zegarek, w niebo, wreszcie spojrzął mi w twarz i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czy naprawdę musisz zadawać takie głupie pytania? Przecież żaden z nas nie urodził się wczoraj.

- Skończyło się tym, że Lance Devore i Mattie Stanchfield pobrali się w kościele metodystów tutaj, przy szosie numer 68. Miasteczko aż huczało od plotek o tym, jakich cudów dokonywał Osgood, żeby nie dopuścić do małżeństwa (podobno nawet usiłował przekupić wielebnego Goocha, żeby ten nie udzielił młodemu ślubu, ale to byłaby głupota, bo przecież mogli pojechać gdzie indziej), ale nie będę ich powtarzał, bo nie wiem, ile w nich prawdy.

Bili wysunął przed siebie rękę i zaczął wyliczać, prostując sękaty palec:

- Wiem tyle: pobrali się w styczniu 1995. - Kciuk. - Ojciec pana młodego nie pojawił się w kościele. - Wskazujący. Razem z kciukiem utworzył pistolet. - Mattie urodziła dziecko dwa albo trzy tygodnie po czwartym lipca, z czego wynika, że to był wcześniak, ale oczywiście wszystko było o czasie, tylko ślub odbył się trochę za późno. Widziałem berbecia na własne oczy, kiedy miał około tygodnia i wyglądał dokładnie tak, jak powinno wyglądać tygodniowe dziecko. - Środkowy. - Nie wiem, czy stary kategorycznie odmówił im wszelkiej pomocy, ale wiem, że od początku mieszkali w tej obskurnej przyczepie, więc nie sądzę, żeby uskarżali się na nadmiar gotówki.

- Devore założył im pętle na szyje - powiedziałem. - To normalna reakcja u kogoś, kto nie przywykł do sprzeciwu,

choć z drugiej strony, jeśli kochał chłopaka aż tak bardzo, jak ci się wydaje, powinien trochę zmięknąć.

- Może tak, może nie.

Ponownie spojrzął na zegarek.

- Bili, jeśli naprawdę musisz jechać, jedź już. Jak na ciebie patrzę, robię się nerwowy.

Uśmiechnął się, odsłaniając swoje nieprawdopodobnie sztuczne zęby.

- A ja, jak mówię o tym starym bałwanie, robię się jeszcze nerwowszy. Mówi się tak czy nie?

Niecierpliwie machnąłem ręką. To przecież była lekcja historii, nie angielskiego. A może psychopatologii?

- A już zupełnie mi nieswojo, odkąd wiem, że wszedłeś mu w drogę. Dobra, kończę i znikam, ale przedtem usłyszysz jeszcze jedną krótką historyjkę, która powinna ci sporo wyjaśnić.

W lipcu zeszłego roku, niecały miesiąc przed śmiercią, Lance Devore pojawił się na poczcie w Lakeview z dużą kopertą. Zanim ją wysłał, pokazał zawartość Carli DeCinces. Opowiadała później, że był cały radośnie nastroszony, tak jak to czasem bywają ojcowie, kiedy ich dzieci są jeszcze małe.

Skinąłem głową na znak, że wiem, jak wygląda taki tatuś, choć trochę trudno było mi sobie wyobrazić w tej roli Lance Devore. Kiedy jednak już go sobie wyobraziłem, wydało mi się to nie tylko naturalne, ale i bardzo sympatyczne.

- W kopercie było zdjęcie zrobione u fotografa w Castle Rock, a na zdjęciu ta dziewczynka... Jak jej tam... Khyber?

- Kyra.

- Właśnie. Ale wymyślają te imiona! No więc, ta Kyra siedziała w wielkim skórzanym fotelu z okularami bez szkieł na nosku i przyglądała się lotniczemu zdjęciu TR-100 albo TR-110 z taką minką, jakby nigdy nie podejrzewała, że na

świecie może być tyle drzew. Koperta - ekspres, polecony  
- była zaadresowana do Maxwella Devore w Palm Springs,  
w Kalifornii.

Bili przypomniał sobie o swojej ręce i wyprostował palec serdeczny.

- Co pozwala przypuszczać, że stary zmiękł na tyle, że poprosił o zdjęcie wnuczki, albo że Lance postanowił go zmiękczyć.

Bili skinął głową z miną ojca, którego pociecha uporąła się z trudnym dodawaniem, po czym bardzo powoli wyprostował mały palec i pokazał mi otwartą dłoń w indiańskim pozdrowieniu.

- Trudno powiedzieć, jak było naprawdę. Lance kupił małą antenę satelitarną, prawie taką samą jak twoja. W dniu, kiedy ją instalował, wiało jak cholera, co chwila przechodziły burze, a do tego sypało gradem. Mimo to zrobił wszystko jak należy, ale pod wieczór przypomniał sobie, że zostawił na dachu przyczepy klucz francuski, więc zaraz wlaź na górę, bo bał się, że mu zardzewieje.

- I co, trafił go piorun? Boże, to straszne!

- Trafił, ale nie w niego, tylko w drzewo po drugiej stronie szosy, w pobliżu miejsca, gdzie łączy się z nią Wasp Hill Road. Drzewo zważyło się i leży tam do dzisiaj. W chwili, kiedy uderzył piorun, Lance schodził po drabinie z kluczem w ręce. Jeśli nie przeżyłeś czegoś takiego, nie masz pojęcia, jakie to wrażenie - czujesz się tak, jakby pijany kierowca wjechał na twój pas ruchu, po czym ominął cię na ułamek sekundy przed czołowym zderzeniem. Piorun postawi ci włosy na głowie i całym ciele, ba, postawi ci nawet fiuta, zagra ci na plombach, zostawi szum w głowie i smród w powietrzu. Lance spadł z drabiny. Nie wiem, czy zdążył coś pomyśleć przed upadkiem, ale jestem pewien, że poczuł się jak skazaniec na krześle elektrycznym.

- Skręcił kark?

- Tak jest. Huk od pioruna był tak wielki, że Mattie nie usłyszała: ani upadku, ani krzyku. Wyjrzała na zewnątrz dopiero parę minut później, kiedy zaczęło się gradobicie, i zobaczyła go na ziemi. Leżał na wznak, bez ruchu, i gapił się w grad szeroko otwartymi oczami. – Bil jeszcze raz spojrzął na zegarek, po czym otworzył drzwi samochodu. - Stary co prawda nie przyjechał na ślub, ale zjawił się na pogrzeb i już tu został. Traktuje dziewczynę jak powietrze...

- Ale chce zabrać jej dziecko - dokończyłem. Wiedziałem o tym już wcześniej, lecz mimo to poczułem nieprzyjemną pustkę w żołądku. „Niech pan o tym nikomu nie mówi” - poprosiła Mattie tamtego ranka czwartego lipca. „To ciężki okres dla małej i dla mnie”. - Jak daleko zaszedł?

- Myślę, że jest już na ostatniej prostej. Jeszcze w tym miesiącu w Sądzie Okręgowym odbędzie się rozprawa; sędzia może od razu oddać dziecko pod jego opiekę albo odroczyć wydanie wyroku do października, co w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia, bo werdykt na pewno nie będzie na korzyść matki. Nie ma mowy. Brzdąc pojedzie do Kalifornii, i basta.

Zrobiło mi się trochę zimno. Bili wgramolił się na fotel kierowcy.

- Trzymaj się od tego z daleka - poradził mi. - Jeśli dostaniesz wezwanie do sądu z tej racji, że widziałeś je obie, uśmiechaj się i mów jak najmniej.

- Devore stara się udowodnić, że Mattie nie jest w stanie zapewnić dziecku właściwej opieki?

-Zgadza się.

- Ale przecież ja widziałem tę małą! Jest zdrowa i pogodna! Uśmiechnął się ponownie, tym razem jednak nie był to wesoły uśmiech.

- Wierzę ci, ale nie o to chodzi. Powtarzam: trzymaj się od tego z daleka, chłopie. Musiałem cię ostrzec, bo teraz, kiedy zabrakło Jo, już tylko ja mogę się tobą opiekować. - Zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik, "sięgnął do dźwigni, ale nagle cofnął rękę, jakby coś sobie przypomniał. - Aha, gdybyś miał trochę czasu, poszukaj sów.

- Jakich sów?

- Plastikowych. Powinny gdzieś tu być; może w piwnicy, a może razem z innymi rupieciami w pracowni Jo. Przysłali je mniej więcej wtedy, kiedy umarła. Kenny Auster odebrał paczkę i przywiózł je tutaj.

- Po co Jo miałyby zamawiać plastikowe sowy?

- Żeby odstraszyć wrony, które srają wam na taras i werandę. Wrony boją się sów i trzymają się z daleka.

Parsknąłem śmiechem.

- To naprawdę działa?

- Tak, pod warunkiem, że będziesz je od czasu do czasu przestawiał, żeby wrony nie nabrały podejrzeń. To cholernie mądre ptaszyska. Radzę ci, poszukaj tych sów, a oszczędzisz sobie sprzątania.

- Zrobię to.

Plastikowe sowy pełniące funkcję straszaków na wrony - był to typowy przykład gromadzenia wiedzy przez Jo, która pod tym względem sama przypominała wronę, zbierając tylko te błyszczące okruchy, które przyciągnęły jej uwagę, potem zaś podejmowała czasem nie do końca przemyślane działanie, nie zawsze zadawszy sobie trud, żeby zasięgnąć mojej opinii. Znowu potwornie za nią zatęskniłem.

- To dobrze. Wpadnę jeszcze w tym tygodniu, jak tylko będę miał więcej czasu, i zrobimy sobie obchód terenu. Myślę, że będziesz zadowolony.

- Jestem tego pewien. Gdzie zatrzymał się Devore?

Krzaczaste brwi powędrowały w górę.

- U Warringtonów. Jesteście prawie sąsiadami. Myślałem, że wiesz.

Przypomniałem sobie siwowłosą kobietę w czarnym staromodnym kostiumie kąpielowym i skinąłem głową.

- Chyba widziałem jego żonę.

Billa tak to rozbawiło, że aż sięgnął do schowka po chusteczkę (przypominała wielobarwny tropik małego namiotu) i otarł oczy.

- Co w tym takiego śmiesznego? - zapytałem.

- Koścista starucha z siwymi włosami? Wygląda jak strach na wróble, który na chwilę wyszedł z jakiegoś przyjęcia?

Tym razem to ja się roześmiałem, rozbawiło mnie, że tak podobnie ją oceniliśmy.

- Ta sama.

- To nie żona. Żona nie żyje od dwudziestu lat. To ta, jak jej tam... osobista asystentka. Nazywa się Rogette Whitmore.

„G” w słowie „Rogette” wymówił jak „g”, nie jak „ż”.

- Co to za imię? Francuskie?

- Kalifornijskie - odparł i wzruszył ramionami z taką miną, jakby to wszystko wyjaśniało. - Niektórzy w miasteczku trochę jej się boją.

- Naprawdę?

- Aha. - Zawahał się, po czym dodał z uśmiechem, który przywołujemy na twarz za każdym razem, kiedy chcemy dać rozmówcy do zrozumienia, iż dobrze wiemy, że wygadujemy bzdury: - Brenda Meserve twierdzi, że to wiedźma.

- I mieszkają u Warringtonów już prawie od roku? Więc pewnie interesu pilnuje starszy syn Devore'a?

- Ta Whitmore przyjechała dopiero w zeszłym miesiącu.

Zostanie pewnie do czasu, kiedy rozstrzygnie się sprawa w sądzie, a potem wszyscy wrócą do Kalifornii prywatnym odrzutowcem Devore'a. Osgood dopilnuje sprzedaży Warringtona...

- Sprzedaży? Chcą go sprzedać?

- Myślałem, że o tym wiesz. - Bili włączył wsteczny bieg.

- Kiedy stary Hugh Emerson powiedział Devore'owi, że po Święcie Dziękczynienia zamyka budę, ten odparł, że nie ma zamiaru się stąd ruszać. Dobrze mu tam, gdzie jest, i zamierza tam zostać.

- Więc po prostu kupił posiadłość. - Przez ostatnie dwadzieścia minut byłem zaskoczony, rozbawiony i wściekły, ale dopiero teraz osłupiałem, - Kupił całą posiadłość, bo nie chciało mu się przenieść do hotelu albo do wynajętego domu...

- Otóż to. Dziewięć budynków, w tym główną chałupę i Bar Zachodzącego Słońca, dwanaście akrów lasu, małe pole golfowe, sto pięćdziesiąt metrów brzegu wzdłuż Dróżki, a do tego boisko do softballu i kręgielnię z dwoma torami. W sumie cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jego kumpel Osgood załatwił formalności, a Devore osobiście wypełnił czek. Ciekawe, jak pomieścił te wszystkie zera. No, to na razie, Miko.

Jego samochód już dawno zniknął z mojego podjazdu, a ja nadal stałem na werandzie, gapiąc się przed siebie z otwartymi ustami.

Plastikowe sowy.

Pomiędzy zerknięciami na zegarek Bili powiedział mi co najmniej kilkanaście interesujących rzeczy, ale ludzki umysł zachowuje się niekiedy jak nieprzewidywalna małpa, w związku z czym największe wrażenie wywarły na mnie nie rewelacje dotyczące Maksa Devore, jego syna i synowej, ani

nie niezwykle imię jego przerażającej sekretarki, lecz koncepcja, według której wrony powinny się bać plastikowych sów. Rozmyślałem o tym podczas inspekcji tego, co pozostało z ogródka Jo (pozostało niewiele, ponieważ nawet Brenda Meserve nie była cudotwórczynią), aż wreszcie doszedłem do wniosku, że koniecznie muszę na własne oczy zobaczyć egzemplarz plastikowej sowy. A może, rozmyślałem otwierając drzwi do piwnicy, postawię jedną na dachu chevroleta, żeby uchronić go przed dywanowymi bombardowaniami?

Z pograżonego w ciemności zejścia do piwnicy wiało wilgocią. Ostrożnie dałem krok naprzód, wyciągnąłem rękę do włącznika... i w tej samej chwili drzwi zatrzęsły się za mną z taką siłą, że aż krzyknąłem z zaskoczenia. Nie było przeciągu ani nawet silnego wiatru na zewnątrz, a jednak huknęły tak, że zadzwoniło mi w uszach.

Stałem bez ruchu z wyciągniętą ręką, wdychając powietrze przesycone ledwo uchwytną wonią pleśni, charakterystyczną dla od dawna nie wietrzonych piwnic. Na schodach było zimno - znacznie zimniej niż powinno i zimniej niż wtedy, kiedy tu wszedłem. Nagle znowu znalazłem się w Manderley - oznaczało to po prostu tyle, że nie byłem sam i że doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie bałem, ale jednocześnie ogarnęła mnie ogromna ciekawość. Coś tu było oprócz mnie. Coś było ze mną.

Opuściłem rękę. Minęło trochę czasu - nie mam pojęcia jak wiele. Serce łomotało mi w piersi, krew huczała w skroniach. Robiło mi się coraz zimniej.

- Jest tu ktoś?

Cisza. Wyraźnie słyszałem nieregularny odgłos kapiącej wody; to skraplała się para wodna na jakiejś rurze tam, w dole. Słyszałem również szmer mojego oddechu oraz daleko,



bardzo daleko, w zupełnie innym świecie, w którym świeciło słońce, przytłumione krakanie wrony. Całkiem możliwe, że właśnie obfajdała mi samochód/Te sowy są mi niezbędne, pomyślałem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak do tej pory sobie bez nich radziłem.

- Halo! Możesz się odezwać?

Cisza.

Zwilżyłem wargi. Chyba powinienem czuć się co najmniej głupio, stojąc w ciemności i wołając do duchów, ale tak nie było. Ani trochę. Wilgoć zastąpił lodowaty chłód, a ja wiedziałem, że mam towarzystwo.

- Więc może chociaż zastukasz? Skoro potrafisz zatrzasnąć drzwi, chyba uda ci się zastukać?

Z ciemności dobiegał tylko odgłos nieregularnego kapania z rur. Ponownie sięgnąłem do włącznika... i właśnie wtedy gdzieś całkiem blisko rozległ się przytłumiony łomot. Piwnica Sary Laughs jest wysoka, a górna część ścian została ocieplona dużymi styropianowymi płytami. Byłem pewien, że ktoś uderzył pięścią w jedną z nich.

Niby to nic - uderzenie pięścią w styropianową płytę - ale niewiele brakowało, żebym narobił w spodnie. Włosy stanęły mi dęba, oczodoły powiększyły się do niesłychanych rozmiarów, gałki oczne zapadły się do wnętrza czaszki, całe moje ciało pokryło się gęsią skórą. Coś było ze mną w piwnicy. Coś martwego. Nie mogłbym już włączyć światła, nawet gdybym chciał. Nie byłem w stanie poruszyć ramieniem.

Okazało się również, że nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Dopiero po kolejnej próbie zdołałem wychrypieć:

- Jesteś tu? Naprawdę tu jesteś?

Łup.

— Kim jesteś?

Wciąż mogłem z siebie wydobyć tylko zachrypnięty szept,

jakbym leżał na łożu śmierci i wydawał ostatnie instrukcje rodzinie. Tym razem odpowiedziała mi cisza.

Niespodziewanie przypomniałem sobie stary film z Tony Curtisem w roli Harry'ego Houdiniego. W filmie tym Houdini poszukiwał autentycznego medium, między innymi uczestnicząc w seansie spirytystycznym, podczas którego zmarli porozumiewali się z żywymi za pomocą...

- Zastukaj raz na „tak”, dwa razy na „nie” - powiedziałem. - Możesz to zrobić?

Łup.

Źródło dźwięku znajdowało się na schodach pode mną, ale w niezbyt dużej odległości. Pięć, sześć, najwyżej siedem stopni. Na pewno nie dosięgnąłbym tam ręką, nawet gdybym spróbował to zrobić, co nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić.

- Czy ty jesteś... - Głos odmówił mi posłuszeństwa. Struny głosowe nie chciały wpaść w drgania. Lodowate powietrze uciskało mi klatkę piersiową potwornym ciężarem. Zebrałem wszystkie siły i spróbowałem raz jeszcze: - Czy ty jesteś... Jo?

Łup. Miękkie uderzenie pięścią w styropian, chwila przerwy, a potem: Łup, łup.

Tak i nie.

Nie mam pojęcia, skąd przyszło mi do głowy następne pytanie.

- Czy są tu sowy?

Łup, łup.

- A wiesz, gdzie są?

Łup.

- Powinienem ich poszukać?

Łup! Bardzo mocno.

Poczułem na powiekach dotknięcie ciepłych palców i ma-

ło nie wrzasnąłem, ale w porę uświadomiłem sobie, że to tylko pot. Przesunąłem po czole lodowatymi rękami; ślizgały się jak po oleju. Mimo niskiej temperatury otoczenia byłem cały zlany potem.

- Czy ty jesteś Lance Devore?

Łup, łup. Bez wahania. Nie.

- Czy jestem tu bezpieczny? Czy nic mi nie grozi?

Łup. Przerwa. Od razu wiedziałem, że to tylko przerwa, że to jeszcze nie koniec odpowiedzi. Łup, łup. Tak, jestem tu bezpieczny. Nie, nie jestem.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie ulegało już wątpliwości, że nie jestem tu sam, ale przecież to niemożliwe, żebym rozmawiał z duchem, tak samo jak w tamtym starym filmie Harry Houdini nie rozmawiał z duchami. Padłem ofiarą jakiejś sztuczki Devore'a, może nawet wymyślonego przez niego programu komputerowego. Część mego umysłu wiedziała, że to nieprawda - temperatura na schodach spadła co

najmniej o dziesięć stopni, a ja trząsałem się z zimna jak galareta - część natomiast była pewna, że tak właśnie się stało.

Odzyskałem władzę w ramieniu. Podniosłem je, przesunąłem ręką po ścianie, znalazłem wyłącznik, położyłem na nim palce. Byłbym gotów przysiąc, że pot na mojej twarzy zaczął zamarzać. \_/

- Czy to ty płaczesz w nocy? - zapytałem.

Łup, łup. Zanim przebrzmiało drugie uderzenie, nacisnąłem wyłącznik. Zapłonęły odrutowane lampy w piwnicy oraz mocna, co najmniej studwudziestopięciowatowa żarówka nad schodami. Nikt nie zdążyłby się schować ani tym bardziej uciec... ale nie było tam nikogo, kto próbowałby to uczynić. Stwierdziłem natomiast ze zdziwieniem, że pani M., tak bardzo sumienna i pracowita, nie zamiotła schodów

w piwnicy. Schodząc po nich zostawiłem wyraźne ślady w grubej warstwie kurzu... ale były to jedyne ślady.

Za każdym oddechem z moich ust wydobywała się para. A więc nie padłem ofiarą złudzenia; w piwnicy rzeczywiście było zimno, nawet bardzo zimno, ale teraz temperatura szybko rosła. Jeszcze jeden oddech... Jeszcze jeden... I ani śladu pary.

Przesunąłem palcami po jednej ze styropianowych płyt. Była bardzo gładka. Nacisnąłem palcem i choć nie użyłem wielkiej siły, zrobiłem niewielkie wgłębienie. Gdyby ktoś naprawdę łomotał tu pięścią w ścianę, musiałby zostawić wyraźne ślady, a być może nawet pogruchotać którąś z płyt.

- Jesteś tu jeszcze?

Choć nie otrzymałem odpowiedzi, miałem wrażenie, że mój gość wciąż jest gdzieś blisko.

- Mam nadzieję, że nie uraziłem cię, włączając światło - dodałem. Dopiero teraz poczułem się trochę dziwnie, ponieważ uświadomiłem sobie, że stoję na piwnicznych schodach i przemawiam do pająków. - Po prostu chciałem cię zobaczyć.

Nie miałem pojęcia, czy tak było naprawdę.

Nagle - tak nagle, że niewiele brakowało, a straciłbym równowagę i spadł z pozostałych kilku stopni - odwróciłem się na pięcie, przekonany, że tuż za mną stoi zjawa w całunie i że to ona łomotała w ściany - nie jakiś kulturalny, przyjazny duch, lecz przerażający upiór, który wylazł z ziemi niczym cuchnący ząb ze spuchniętego dziąsła.

Niczego ani nikogo tam nie było.

Odwróciłem się ponownie, odetchnąłem głęboko kilka razy, po czym zszedłem na dół. Pod schodami spoczywał w pełni nadający się do użytku mały kajak z kompletem wiosel, w kącie stała kuchenka gazowa, którą zaraz po ku-

pieniu domu wymieniliśmy na elektryczną, oraz żeliwna wanna na nóżkach, którą Jo (mimo mojego sprzeciwu) zamierzała wykorzystać jako kwietnik. Znalazłem także kufer z obrusami z lat siedemdziesiątych, pudło z lekko zawilgocionymi kasetami magnetofonowymi z tego samego okresu (między innymi zespoły Delfonics, Funkadelic i .38 Special), kilka kartonów z naczyniami. Nawet tutaj zachowały się ślady życia, tyle że niezbyt interesującego. W przeciwieństwie do tego, które wyczuwałem w pracowni Jo, to życie nie zostało brutalnie przerwane, lecz zużyło się i zostało zrzucone jak wylinka, i to było w porządku. Taka była naturalna kolej rzeczy.

Na półce, wśród nielicznych pozostałości po krótkotrwałej fascynacji garncarstwem, do którego Jo zupełnie nie miała talentu, dostrzegłem album ze zdjęciami. Zaintrygowany, ale i pełen obaw, wziąłem go do ręki. Tym razem nie trafiłem na żadną minę; większość fotografii przedstawiała Sarę Laughs taką, jaką ją kupiliśmy. Moją uwagę zwróciły dwa zdjęcia: na jednym Jo prezentowała bufiaste pantalony (miała włosy uczesane z przedziałkiem pośrodku głowy i usta pomalowane białą szminką), na drugim natomiast Michael Noonan z kretyńskimi baczkami wydymał pierś w przeraźliwie kolorowej kwiecistej koszuli. Najchętniej udałbym, że nie znam tego gościa, ale to nie było takie łatwe.

W innym kącie natrafiłem na zepsuty młynek do kawy, grabie, które powinny mi się przydać, gdybym został tu do jesieni, szufłę do śniegu, która powinna przydać mi się jeszcze bardziej, gdyby zastała mnie tu zima, oraz kilka puszek z farbą. Ani śladu plastikowych sów. Mój łomoczący przyjaciel miał rację.

Wróciłem na górę (światło na schodach wyłączyłem dopiero wtedy, kiedy otworzyłem drzwi do kuchni). Trochę

mnie to rozbawiło, choć jednocześnie wydało mi się całkiem naturalne; w dzieciństwie nie widziałem nic nadzwyczajnego w tym, że staram się nie stąpać po szczelinach między płytami chodnikowymi. Poza tym, nawet jeśli zachowywałem się dziwnie, to co z tego? Mieszkałem w tym domu zaledwie od trzech dni, a już zdołałem sformułować Pierwszą Zasadę Ekscentryczności Noonana: kiedy jesteś sam, dziwne zachowanie przestaje być dziwne.

Marzyłem o prysznicu, bo cuchnąłem jak cap, najpierw jednak musiałem napić się czegoś zimnego. Złapałem za uchwyt przy drzwiach lodówki... i znieruchomiałem. Magnesy znowu tworzyły koło, lecz tym razem w jego środku znalazło się pięć kolorowych literek.

witaj

W domu był ktoś oprócz mnie. Teraz nie mogłem już mieć najmniejszych wątpliwości. Co prawda na moje pytanie, czy jestem tu bezpieczny, otrzymałem niejasną odpowiedź, ale to było bez znaczenia. Nawet gdybym stąd uciekł, nie miałbym dokąd pójść. Powrót do Derry nie wchodził w grę; musiałem stawić czoło temu, co tu się działo.

- Witaj - powiedziałem, po czym otworzyłem lodówkę i sięgnąłem po puszkę z napojem. - Witaj, kimkolwiek jesteś.

## Rozdział 11

Nazajutrz rano obudziłem się z przeświadczeniem, że nie jestem sam w sypialni. Usiadłem w łóżku, przetarłem oczy i na tle okna zobaczyłem ciemną, barczystą sylwetkę.

- Kim jesteś? - zapytałem, prawie pewien, że w odpowiedzi zacznie uderzać w ścianę, ale tajemnicza postać nie zareagowała.

Zebrałem siły, sięgnąłem ręką do wyłącznika nocnej lampki, pociągnąłem. Twarz miałem wykrzywioną w dzikim grymasie, a mięśnie brzucha tak napięte, że gdyby ktoś wtedy do mnie strzelił, pocisk chyba by zrykoszetował, nie czyniąc mi żadnej krzywdy.

- Kurwa mać! - wykrztusiłem. - Niech mnie szlag trafi!

Na wieszaku zaczepionym na pręcie do przesuwania zasłon wisiała moja stara zamszowa marynarka. Powiesiłem ją tam w niedzielę, rozpakowując bagaże, i na śmierć zapomniałem schować do szafy. Spróbowałem się roześmiać, lecz nic mi z tego nie wyszło. O trzeciej nad ranem takie rzeczy nie wydają się szczególnie zabawne.

Wyłączyłem światło, położyłem się na wznak i z kocem naciągniętym pod brodę czekałem, aż zabrzączy dzwonek Buntera albo rozlegnie się dziecięce szlochanie, i tak nasłuchując zasnąłem.

Jakieś siedem godzin później, kiedy szykowałem się do przetrząśnięcia magazynu przy pracowni Jo w poszukiwaniu plastikowych sów, na podjazd przed domem wtoczył się powoli kilkuletni ford i znieruchomiał z przednim zderzakiem zaledwie kilka centymetrów od przodu mojego chevroleta. Byłem już w połowie drogi między domem a pracownią, ale, rzecz jasna, zawróciłem. Żar lał się z nieba, powietrze stało

nieruchomo, więc miałem na sobie tylko dzinsy z poobcinnymi nogawkami i plastikowe klapki.

Zdaniem Jo, clevelandzki styl ubierania dzielił się na dwie podkategorie: oficjalną i codzienną. Gość, który odwiedził mnie w to upalne wtorkowe przedpołudnie, prezentował styl codzienny: luźna hawajska koszula w mały i ananasy, luźne jasnobrązowe spodnie, białe sportowe pantofle. Dodatkowo mogą być jeszcze białe skarpetki, ale najważniejsze są pantofle oraz, ma się rozumieć, przynajmniej jedna drobnostka ze złota. Również pod tym względem przybysz prezentował się bez zarzutu: na ręce miał złotego roleksa, na szyi zaś dość gruby łańcuszek. Tył koszuli wystawał ze spodni, lecz mimo to natychmiast dostrzegłem podejrzaną wybrzuszenie - albo broń, albo pager, ale na pager było to trochę za duże. Tknięty przecuciem, uważnie przyjrzałem się samochodowi: oczywiście, na desce rozdzielczej tkwił niedbale zasłonięty błękitny kogut ze spiralnie zwiniętym przewodem.

- Michael Noonan?

Jego twarz mogła się spodobać ściśle określonymu typowi kobiet - takich, które krzywią się, kiedy ktoś podniesie przy nich głos, które nie wzywają policji, kiedy w domu dzieje się im nie najlepiej, ponieważ w głębi duszy są przekonane, że tak właśnie powinno być, że podbite oczy, wywichnięte ręce i ślady po przypalaniu papierosem są czymś zupełnie naturalnym. Takie kobiety bardzo często mówią do swoich mężów lub kochanków „tatuśku”: „Podać ci piwo, tatuśku?” Albo: „Ciężko dziś było w robocie, tatuśku?”

- Tak, jestem Michael Noonan. Czym mogę panu służyć?

Tatusiek odwrócił się, schylił, pogrzebał w stercie papierów na fotelu pasażera. Głośnik radiostacji zachrypiał, po czym umilkł. Przybysz wyprostował się i wyciągnął do mnie



rękę z ciekłą teczką z żółtawego kartonu.

- To dla pana.

Nie zareagowałem, więc podszedł i usiłował wepchnąć mi teczkę w rękę; bezskutecznie, ponieważ podniosłem je na wysokość barków, jakbym się poddawał.

Przez jego irlandzką twarz nie przemknął nawet cień irytacji. Podobne twarze mieli Arlenowie, tyle że zamiast charakterystycznych dla nich otwartości, szczerości i życzliwego zainteresowania, na tej twarzy malował się wyraz zaprawionego gorczyczą rozbawienia, jakby jej posiadacz widział już wszystko, co najgorsze na tym świecie, a większą tego część nawet dwa razy. Jeden łuk brwiowy nosił ślady dawnego rozcięcia, policzki zaś miały charakterystyczny ogorzały wygląd, świadczący albo o doskonałym zdrowiu i długotrwałym przebywaniu na świeżym powietrzu, albo o głębokim zainteresowaniu ich właściciela wyrobami przemysłu spirytusowego. Mój gość wyglądał na człowieka, który bez oporów wrzuciłby cię do rynsztoka, a zaraz potem usiadł na tobie, żebyś za prędko stamtąd nie wyszedł. Będę grzeczna, tatuśku, tylko mnie nie bij. Naprawdę będę już grzeczna.

- Proszę nie utrudniać mi pracy. Obaj wiemy, że i tak będzie pan musiał to przyjąć, więc po co przedłużać sprawę?

- Chciałbym najpierw zobaczyć pańskie dokumenty.

Westchnął, przewrócił oczami, po czym sięgnął do kieszeni, wyjął stamtąd skórzany portfel, otworzył go i podsunął mi przed oczy. Ujrzałem odznakę policyjną i legitymację ze zdjęciem. Moim nowym znajomym był niejaki George Footman, zastępca szeryfa okręgu Castle. Ksywa „tatusiek”. Zdjęcie wyglądało tak, jakby trafiło tu prosto z kartoteki przestępców.

- W porządku?

- W porządku.

Wziąłem od niego teczkę, otworzyłem ją i zacząłem przeglądać znajdujący się tam dokument. Zostałem wezwany do stawienia się w charakterze świadka w biurze adwokata Elmera Durgina w Castle Rock, o dziesiątej rano dziesiątego lipca 1998, czyli w najbliższy piątek. Wspomniany Elmer Durgin był opiekunem ad litem nieletniej Kyry Elizabeth Devore i zamierzał przesłuchać mnie na okoliczność spraw związanych bezpośrednio z dobrem dziecka. Przesłuchanie to miał przeprowadzić z upoważnienia Sądu Okręgowego oraz osobiście sędziego Noble'a Rancourta, w obecności stenografistki. Jednocześnie zapewniał mnie, że zostałem wezwany wyłącznie jako świadek w sprawie i że żadna ze stron nie wystąpiła o moje powołanie.

Złożyłem dokument, po czym schowałem go do teczki.

- W porządku - powtórzyłem.

- Moim obowiązkiem jest poinformować pana, że gdyby nie...

- Wielkie dzięki, ale umówmy się, że już mi pan o tym przypomniał, dobrze?

Uprzejmie, ale stanowczo wskazałem mu jego samochód. Byłem zdegustowany i nawet lekko wzburzony. Jeszcze nigdy nie zeznawałem w sądzie i wcale mi tego nie brakowało.

Bez słowa odwrócił się, wsiadł do samochodu, ale zanim ruszył, wystawił na zewnątrz owłosione ramię i głowę. Złocisty rolex zamigotał w promieniach słońca.

- Dam panu pewną radę. - To jedno zdanie powiedziało mi o nim wszystko, co chciałem wiedzieć. - Niech pan nie włązi w drogę panu Devore. ^

- Bo rozdepcze pana jak mrówkę.

~ Że co?

- Pańska kwestia brzmi następująco: „Dam ci pewną radę: nie włącz w drogę panu Devore, bo rozdepcze cię jak

mrówkę".

Z naburmuszonego wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że istotnie zamierzał powiedzieć coś w podobnym stylu. Najwyraźniej oglądaliśmy te same filmy, w których Robert De Niro grał psychopatycznego mordercę. Szybko jednak się rozpogodził.

- Ano, tak. Przecież jest pan pisarzem.

- Podobno.

~ Może pan mówić takie rzeczy, bo jest pan pisarzem.

- To chyba wolny kraj, prawda?

- A teraz udaje pan cwaniaka.

- Od jak dawna pracuje pan dla Maksa Devore, szeryfie? I czy pańscy przełożeni wiedzą, że dorabia pan na boku?

- Jasne, że wiedzą. Nie ma problemu. Za to pan może mieć poważne problemy, panie pisarzu-spryciarzu.

Uznałem, że pora zakończyć tę niesmaczną scenę, zanim przystąpimy do przerzucania się wyzwiskami.

- Żegnam pana, szeryfie Footman.

Gapił się na mnie jeszcze trochę, jakby czekał, aż do głowy przyjdzie mu jakaś celna kwestia, ale nie przyszła, ponieważ prawda przedstawiała się w ten sposób, że najzwyczajniej w świecie potrzebował pomocy pisarza-spryciarza.

- Będę miał na pana oko w piątek - powiedział wreszcie.

- Czy to znaczy, że zamierza pan zaprosić mnie na lunch? Proszę się nie obawiać; nie mam dużych wymagań.

Policzki poczerwieniały mi jeszcze bardziej, dzięki czemu przez chwilę wyglądał tak, jakby już miał sześćdziesiąt lat i równie często jak do tej pory zaglądał do kieliszka. Tak gwałtownie wcisnął pedał gazu, że aż zaszurgotały opony. Zaczekałem, aż ford zniknie za drzewami, po czym wróciłem do domu. Przemknęło mi przez głowę, że chyba dodatkowe zarobki szeryfa Footmana są całkiem spore, skoro może so-

bie pozwolić na złoconego roleksa... chociaż to mogła być tylko podróbka.

Uspokój się, Michael, usłyszałem głos Jo. Już nikt nie wymachuje czerwoną płachtą, więc możesz się odprężyć i...

Nie chciałem się odprężyć, nie chciałem się uspokoić. Byłem wściekły. Ktoś zakłócił mi spokój.

Wsunąłem teczkę za krawędź szafki w holu, w której trzymaliśmy z Jo rozmaite dokumenty wymagające załatwienia, po czym uniosłem zaciśniętą pięść na wysokość oczu, przez parę sekund wpatrywałem się w obrączkę, a następnie z całej siły grzmotnąłem w ścianę tuż obok biblioteczki. Uderzenie było tak mocne, że na jednej z półek podskoczył cały rząd książek. Myślałem o powyciąganych szortach i byle jakiej bluzie Mattie Devore i o jej teściu wypisującym czek na cztery miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, myślałem też o słowach Billa Deana, że tak czy inaczej, mała będzie dorastać w Kalifornii.

Dysząc wściekłością, pętałem się bez celu po domu, aż wreszcie znalazłem się przed lodówką. Magnesiki wciąż tworzyły koło, zmienił się jednak napis w jego wnętrzu. Zamiast witaj

kolorowe literki ułożyły się teraz w:

ratuj ą

- Ratuj ą? - przeczytałem na głos ze zdziwieniem, i niemal natychmiast zrozumiałem wiadomość.

Kolorowe magnesiki w kształcie liter pochodziły z jednego zestawu, a i to zdekompletowanego, ponieważ nigdzie nie mogłem się doszukać „g” ani „x”. Jeśli moja lodówka miała pełnić funkcję stolika spirytystycznego, potrzebowałem ich znacznie więcej, szczególnie samogłosek. Tymczasem przesunąłem „j” nieco w prawo; teraz napis głosił:

rata ją

Rozgarnąłem literki, po czym kontynuowałem wędrówkę po domu. Co prawda wcześniej podjąłem decyzję, żeby nie mieszać się w konflikt między Maksem Devore a jego synową, lecz i tak zostałem w niego wplątany. Na moim podejździe zjawił się zastępca szeryfa w hawajskiej koszuli, skomplikował mi życie, które i tak już nie było proste, a na dodatek nawet trochę przestraszył. Przynajmniej bałem się czegoś znanego i zrozumiałego. Niespodziewanie dla samego siebie postanowiłem, że nie będę grzecznym chłopczykiem, który pilnuje swoich zabawek. Fakt, że nie potrafiłem już pisać książek, nie czynił mnie jeszcze martwym.

Ratuj ją.

W porządku, spróbuję.

- Tu Agencja Literacka Harolda Oblowskiego.

- Nola, czy pojedziesz ze mną do Belize? Potrzebuję cię, a ty potrzebujesz mnie. Będziemy kochać się o północy na plaży, w blasku księżyca, który nadaje piaskowi barwę kości słoniowej.

- Dzień dobry, panie Noonan. - Nole nie miała poczucia humoru, nie była też romantyczką, czyli mogła nie lękać się o swoją posadę w Agencji Oblowskiego. - Czy chce pan rozmawiać z Haroldem?

- Jeśli jest u siebie.

- Owszem. Proszę chwilę poczekać.

Jedną z zalet bycia autorem bestsellerów (nawet takim, którego książki mieszczą się tylko w zestawieniach obejmujących co najmniej piętnaście pozycji) jest to, że twój agent prawie zawsze ma dla ciebie czas, nawet jeśli akurat spędza urlop w Nantucket, oraz że nie czeka się długo na rozmowę.

- Mike! Co tam słyhać nad jeziorem? Myślałem o tobie przez cały weekend!

Skrzywiłem się w duchu. Opowiadaj to komu innemu.

- Ogólnie rzecz biorąc wszystko jest w porządku, Haroldzie, z jednym małym wyjątkiem. Muszę zasięgnąć porady prawnika.

Tym razem Harold oszczędził mi długiej, znaczącej paury. Bez trudu wyobraziłem sobie, jak gwałtownie prostuje się w fotelu.

- Co się stało? Masz kłopoty?

Zastukaj raz na „tak”, dwa razy na „nie”, przemknęło mi przez głowę i niewiele brakowało, a tak bym uczynił. Kiedy przeczytałem wspomnienia Christy'ego Browna, zastanawiałem się ze smutkiem, ale i zazdrością, czy stać by mnie było na to, żeby napisać książkę długopisem trzymanym palcami stopy; teraz nawiedziła mnie refleksja, jakie to musi być uczucie, kiedy ma się przed sobą całą wieczność, ale jedynym sposobem porozumiewania się z otoczeniem jest stukanie w ściany piwnicy - szczególnie jeśli mogą usłyszeć cię nie wszyscy i nie o każdej porze.

Czy to ty, Jo? Czy to byłaś ty? A jeśli tak, dlaczego nie odpowiedziałas po prostu „tak” albo „nie”.

- Mike, jesteś tam?

- Jestem. To niezupełnie moje kłopoty, więc nie musisz się niepokoić, chociaż tak się składa, że ja też mam pewien problem. Jest też pewna młoda kobieta, prawie moja sąsiadka, która ma ich znacznie więcej. Nasz prawnik nazywa się Goldacre, prawda?

- Tak. Jeśli chcesz...

- Ale zajmuje się głównie prawem autorskim. - Zastanawiałem się na głos, lecz kiedy przerwałem, Harold nie wtrącił ani słowa. - Mimo to zadzwoń do niego w moim imieniu, dobrze? Powiedz mu, że chciałbym skontaktować się ze specjalistą od opieki nad nieletnimi, praw rodzicielskich i rzeczy w tym rodzaju. Niech da mi namiary na najlepszego, który

jest akurat wolny i który mógłby w najbliższy piątek stawić się ze mną w sądzie, jeśli będzie trzeba.

- Czy chodzi o ustalenie ojcostwa? - zapytał Harold z szacunkiem, ale i obawą. Byłbym gotów iść o zakład, że w tej chwili w jego głowie tańczył Bili Cosby.

- Nie. O prawo do opieki nad dzieckiem.

Powiedziałbym mu, że szczegółów dowie się później od prawnika, ale Harold zasługiwał na lepsze traktowanie, a poza tym, i tak prędzej czy później chciałby usłyszeć moją wersję wydarzeń. W związku z tym przypomniałem sobie, że przecież i tak większą część dorosłego życia spędziłem na powtarzaniu różnych historii (nazywa się to „adiustacją tekstu”), i przedstawiłem mu relację z wypadków, które rozegrały się rankiem czwartego lipca oraz później. Rzecz jasna, ograniczyłem się do sprawy Devore’ów, nie wspominając ani słowem o głosach, płaczących dzieciach ani łomotach w ciemności. Harold przerwał mi tylko raz -jak tylko usłyszał, kim jest czarny charakter mojej opowieści.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że wpychasz palec między drzwi? - zapytał ponuro.

- W tej chwili to i tak już nie zależy ode mnie - odparłem, patrząc na żółtawą tęczkę. - Pomyślałem więc sobie, że spróbuję trochę powojować.

- Nie będziesz miał spokoju, którego każdy pisarz potrzebuje do pracy - stwierdził Harold mentorskim tonem. Ciekawe, jak by zareagował, gdybym powiedział mu, że nic nie szkodzi, ponieważ i tak od śmierci Jo nie napisałem żadnego sensownego zdania, więc może takie zamieszanie pomoże mi otrząsnąć się z uśpienia. Nie powiedziałem tego jednak. Naczelna zasada rodu Noonanów brzmi: nigdy nie pokazuj, że ci ciężko. Nad wejściem do rodzinnego grobowca powinien widnieć napis: DZIĘKUJĘ, U MNIE WSZYSTKO

W PORZĄDKU.

A potem przypomniałem sobie: ratuj ją.

- Ta młoda kobieta potrzebuje przyjaciela, a ja wiem, że Jo nie miałaby nic przeciwko temu, żebym jej pomógł. Jo nigdy nie lubiła, kiedy wielcy trатовali maluczkich.

- Tak sądzisz?

- Jestem tego pewien. "

- Dobra, zobaczę, co się da zrobić. Aha, Mikę... Czy chcesz, żebym też był przy tym przesłuchaniu?

- Nie. - Zabrzmiało to zbyt stanowczo i brutalnie, milczenie zaś, które zapadło potem, z pewnością musiało go zaboleć. - Posłuchaj, Haroldzie: człowiek, który opiekował się moim domem, powiedział mi, że rozstrzygająca rozprawa została wyznaczona na koniec miesiąca. Jeśli będę musiał albo chciał w niej uczestniczyć, i jeśli ty podtrzymasz swoje zainteresowanie, na pewno dam ci znać. Obaj wiemy, że przyda mi się twoje wsparcie moralne.

- Raczej amoralne - rzucił zgryźliwie, ale już wiedziałem, że się rozchmurzył.

Pożegnaliśmy się, po czym stanąłem przed lodówką i przyjrzałem się magnesikom. Z ulgą stwierdziłem, że nadal są porozrzucane bez ładu i składu. Nawet duchy muszą niekiedy odpoczywać.

Wziąłem telefon, wyszedłem na taras i opadłem na ten sam fotel, w którym siedziałem wieczorem czwartego lipca, kiedy zadzwonił Devore. Nawet teraz, po odwiedzinach „tatuśka”, trudno było mi uwierzyć, że tamta rozmowa odbyła się naprawdę. Devore nazwał mnie kłamcą, ja poradziłem mu, żeby wsadził sobie w dupę mój numer telefonu. Wyglądało na to, że będziemy wspaniałymi sąsiadami.

Przysunąłem się nieco bliżej do krawędzi tarasu, za którą zaczynało się piętnastometrowe urwisko. Rozglądałem się



w poszukiwaniu zielonej kobiety, którą zobaczyłem z wody, a która okazała się kępą krzaków, chociaż doskonale wiedziałem, że takie przywidzenia powstają tylko wtedy, kiedy patrzy się na jakąś rzecz ze ściśle, określonego miejsca. Wystarczy przesunąć się parę kroków w którąkolwiek stronę, i po złudzeniu. Tym razem jednak miałem do czynienia z wyjątkiem potwierdzającym regułę: ze zdziwieniem, a trochę także z niepokojem, stwierdziłem, że również stąd krzaki rosnące przy Dróżce do złudzenia przypominają kobiecą postać - chyba głównie za sprawą sterczącej gałęzi podobnej do kościstego, wyciągniętego ramienia... ale nie tylko. Byłbym gotów przysiąc, że dostrzegam zarys bioder i ramion, a kiedy wiatr poruszył liśćmi, zafalowały niczym poły szaty.

Dopiero teraz, przyglądając się kępie krzaków do złudzenia przypominającej kobietę w długiej sukni, zrozumiałem, dlaczego odrzuciłem biorącą się wyłącznie z dobrego serca ofertę Harolda, i to właściwie zanim zdążył ją do końca sformułować. Harold był głośny, Harold żył intensywnie aż do przesady, Harold mógłby spłoszyć to coś, co tu było. Nie miałem pojęcia, co to jest, bałem się - tak, potwornie się bałem, stojąc na pograżonych w mroku piwnicznych schodach i słuchając odgłosów uderzeń w ścianę, które rozlegały się zaledwie parę kroków ode mnie - ale zarazem po raz pierwszy od wielu lat czułem, że naprawdę żyję. Zetknąłem się z czymś, co całkowicie wykraczało poza moje dotychczasowe doświadczenia, i to coś mnie zafascynowało. Czy to była Jo? Raczej nie. Przemknęło mi przez głowę, że przecież pozbawiony skrupułów duch mógłby bez wahania podać się za nią, gdybym zapytał, kim jest... a ja przecież to uczyniłem.

Jednak kwestia tożsamości schodziła na dalszy plan w porównaniu z zagadnieniem, czy miałem do czynienia z jakimiś zjawiskami nadprzyrodzonymi. Żeby odpowiedzieć na

to pytanie (albo przynajmniej podjąć próbę udzielenia odpowiedzi), powinienem przedstawić komuś do oceny zebrane dowody, lecz Harold Oblowski nie był właściwym człowiekiem. Po pierwsze, wszyscy agenci literaccy w większym lub mniejszym stopniu są przekonani, że ich klienci mają nierówno pod sufitem. Po drugie, gdyby w grę wchodziło coś naprawdę niezwykłego, Harold najprawdopodobniej od razu zacząłby wydzwaniać do największych stacji telewizyjnych i ustalać terminy emisji materiałów filmowych w taki sposób, żeby zbiegły się z publikacją mojej kolejnej książki. Tak, Harold nie wchodził w grę, a więc pozostał jedynie Bili Dean. Nieszczerólnie uśmiechała mi się perspektywa wtajemniczenia go w moje problemy z duchami, lecz jakoś powinienem dać sobie z tym radę. Bili był pozbawiony uprzedzeń, nie lubił plotek i...

A co z Frankiem? - usłyszałem niespodziewanie głos Jo. Co z moim bratem? Zawsze świetnie się dogadywaliście. Jeśli to ja jestem w tym domu, jeśli to naprawdę ja, kto ma większe prawo o tym wiedzieć? Oprócz ciebie, ma się rozumieć.

Moja pierwsza reakcja była taka, że to wspaniały, znakomity, wyśmienity pomysł. Rzecz jasna, na te właśnie pomysły trzeba najbardziej uważać. Jeżeli nazajutrz w dalszym ciągu będą nam się wydawać takie wspaniałe, wtedy co innego.

Aż podskoczyłem, kiedy telefon zadzwonił mi w rękę. Nie wiadomo dlaczego byłem przekonany, że to Frank, co oczywiście stanowiłoby nieomylny znak, że powinienem mu natychmiast o wszystkim opowiedzieć. Okazało się jednak, że to niejaki John Storrow, prawnik - sądząc po głosie, skończył studia najdalej przed tygodniem, ale nawet jeśli tak właśnie było, to i tak nie miało to większego znaczenia, ponieważ

pracował w kancelarii adwokackiej Avery, McLain i Bernstein przy Park Avenue, co jest znakomitą rekomendacją nawet dla kogoś, kto zaledwie parę lat temu z zapalem uczestniczył w zebraniach klubu dyskusyjnego w szkole średniej. Poza tym, jeśli polecał go Henry Goldacre, to Storrow musiał być naprawdę dobry, a na dodatek specjalizował się w sprawach, gdzie gra toczyła się o przyznanie praw rodzicielskich lub prawa do opieki nad nieletnim.

- A teraz proszę mi powiedzieć, o co dokładnie chodzi  
- poprosił, kiedy przebrnęliśmy przez wstępne formalności.

Staralem się, jak mogłem, czując, jak z każdą chwilą poprawia mi się nastrój. To zdumiewające, jak kojąco działa rozmowa z prawnikiem od chwili, kiedy wiesz, że każda minuta słono cię kosztuje; oto minąłeś magiczny punkt, po którego przekroczeniu jakiś tam prawnik, jeden z wielu, staje się twoim prawnikiem. Twój prawnik promienieje ciepłem, twój prawnik współczuje, twój prawnik robi notatki w żółtym brulionie i kiwa głową wtedy, kiedy trzeba. Zadaje ci niemal wyłącznie takie pytania, na które jesteś w stanie odpowiedzieć, a jeśli na któreś z nich nie znasz odpowiedzi, on pomoże ci ją znaleźć. Twój prawnik jest zawsze po twojej stronie. Twoi wrogowie są także jego wrogami. Ty jesteś dla niego najważniejszy.

- No, no - mruknął John Storrow, kiedy skończyłem opowieść. - Niezła historia. Aż dziwne, że nie trafiła jeszcze do gazet.

- Wie pan, że nie przyszło mi to do głowy?

Istotnie, miał rację. Saga rodziny Devore nie nadawała się może do „New York Timesa” ani do bostońskiego „Globe”, chyba nawet nie do „Derry News”, ale za to znakomicie pasowałyby do wielkonakładowych tygodników takich jak

„The National Enquirer” albo „Inside View”: King Kong porzywa nie dziewczynę, tylko jej niewinne dziecię, i zabiera na szczyt Empire State Building. Natychmiast oddaj dziecko, brutalu! Może nie był to materiał na pierwszą stronę, lecz wyśmienicie nadawałby się jako wypełniacz numeru. Bez trudu wyobraziłem sobie nagłówek między zdjęciami posiadłości Warringtonów i rozpadającej się przyczepy Mattie: KRÓL KOMPUTERÓW PŁAWI SIĘ W LUKSUSIE I USIŁUJE ODEBRAĆ JEDYNE DZIECKO PIĘKNEJ DZIEWCZYNY. Nie, chyba za długi. Od dawna nie pisałem, więc teraz tym bardziej przydałby mi się dobry redaktor.

- Kto wie, może spróbujemy je nią zainteresować? - powiedział Storrows z lekkim rozbawieniem. Chyba mógłbym go polubić - przynajmniej w takim stanie, w jakim się wtedy znajdowałem. - Czy mogę wiedzieć, kogo mam reprezentować, panie Noonan? Pana czy tę młodą damę? Szczerze mówiąc, wołałbym to drugie.

- Młoda dama nawet nie wie, że się z panem skontaktowałem, a kiedy się dowie, wcale nie musi być tym zachwycona. Prawdę powiedziawszy, spodziewam się ostrej reprimendy.

- Dlaczego?

- Ponieważ młoda dama jest Jankeską, i to z Maine, a te są najgorsze. Przy Jankesach z Maine nawet Irlandczycy stanowią uosobienie zdrowego rozsądku.

- Możliwe, ale ona potrzebuje prawnika znacznie bardziej niż pan. To w nią jest wymierzone ostrze ataku. Moim zdaniem, powinien pan zadzwonić do niej i jej o tym powiedzieć.

Obiecałem, że tak zrobię. Przyznam, że niewiele mnie to kosztowało, tym bardziej iż od chwili, kiedy przyjąłem wezwanie od szeryfa Footmana, stało się dla mnie jasne, że już niedługo będę musiał się z nią skontaktować.

- W takim razie, kto będzie bronił interesów Michaela Noonana?

Storrows roześmiał się sucho.

- Znajdę panu jakiegoś miejscowego prawnika. Pójdzie z panem do sędziego, usiądzie sobie skromnie w kątku z teczką na kolanach, i będzie słuchał. Możliwe, że ja też będę wtedy w mieście, ale nie w gabinecie Durgina. Za to, kiedy dojdzie do rozprawy, na pewno mnie pan zobaczy.

- W porządku. W takim razie, proszę do mnie zadzwonić i podać mi nazwisko mojego nowego prawnika. To znaczy, mojego drugiego nowego prawnika.

- Oczywiście. A pan niech w tym czasie porozmawia z tą młodą osobą i spróbuje załatwić mi posadę.

- Postaram się.

- Jeśli będzie się pan z nią spotykał, proszę tak to zorganizować, żebyście cały czas byli na widoku. Nie wolno nam dostarczać przeciwnikowi argumentów. Mam nadzieję, że nie robił pan z nią żadnych świństw? Proszę mi wybaczyć, ale muszę o to spytać.

- Nie - odparłem. - Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni robiłem z kimś jakieś świństwa.

- Oczywiście współczuję panu, ale...

- Proszę mi mówić Mikę.

- Świetnie. Bardzo mi miło. A ja jestem John. No więc, ludzie i tak będą o was gadać. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jasne. Wszyscy wiedzą, że stać mnie na ciebie, ale będą zachodzić w głowę, jakim cudem ją stać na mnie. Młoda wdowa, wdowiec w średnim wieku... Seks jest najprostszym wytłumaczeniem.

- Widzę, że jesteś realistą.

- Nie wydaje mi się, ale na pewno potrafię odróżnić łopa-

tę od wazonu z kwiatami.

- Mam nadzieję, bo walka może być ostra. Mamy za przeciwnika cholernie bogatego człowieka.

Nie odniosłem jednak wrażenia, żeby był wystraszony. Wręcz przeciwnie; w jego głosie słyszałem niemal... pożądanie. Mała częśćka mnie była tak samo podekscytowana wtedy, kiedy zwróciłem uwagę na ułożenie magnesików na drzwiach lodówki.

- Wiem o tym.

- Jednak w sądzie, a szczególnie w takiej sprawie, ogromne bogactwo jeszcze niczego nie przesądza, szczególnie jeśli druga strona też nie należy do najuboższych. Wkraczamy w cudowny świat sporów o prawa rodzicielskie, gdzie wyroki zazwyczaj zapadają bardzo szybko. Poza tym, na naszą korzyść przemawia fakt, iż sędzia z pewnością zdaje sobie sprawę, że usiadł na beczce prochu.

- A co jest dla nas w tym wszystkim najlepsze? - zapytałem, mając przed oczami różowitką, gładką twarzyczkę Kyry oraz myśląc o bezgranicznej ufności, jaką darzyła matkę. Spodziewałem się usłyszeć coś o braku potwierdzenia zarzutów w faktach, ale się pomyliłem.

- Najlepsze? Naturalnie wiek Devore'a. Musi być starszy od Boga.

- Na podstawie tego, czego dowiedziałem się podczas minionego weekendu, zaryzykowałbym twierdzenie, że ma około osiemdziesięciu pięciu lat. Bóg jest jednak trochę starszy.

- Być może, ale dziewiąty krzyżyk to nie jest odpowiedni wiek dla tatusia. - Głos w słuchawce należał do człowieka rozpromienionego z zadowolenia. - Sam pomyśl, Michael: w chwili, kiedy dzieciak skończy szkołę średnią, temu przykowi stuknie setka. Poza tym, staruch chyba trochę przesadził.

Wiesz, kto to jest opiekun ad litem!

- Nie.

- Zazwyczaj zostaje nim prawnik, którego sąd wyznacza do reprezentowania praw dziecka. Sąd niekiedy prosi również o pomoc jakiegoś pośrednika, na przykład księdza, pracownika opieki społecznej albo nauczyciela, który kontaktuje się z obiema stronami. Dostaje za to pieniądze, ale bardzo skromne. Większość ludzi, którzy godzą się pełnić funkcję pośredników, robi to z pobudek altruistycznych.

Pośrednik wraca do opiekuna ad litem i przedstawia mu sprawozdanie. Jeśli w tej sprawie też będzie występował pośrednik, zastaniesz go w gabinecie Durgina, ale wątpię, żeby tak było. Wątpię też, żeby Devore pofatygował się osobiście. Tak czy inaczej, opiekun ad litem przedstawia raport pośrednika podczas rozprawy. Sędzia może zażądać, żeby pośrednik osobiście złożył zeznania, ale zazwyczaj do tego nie dochodzi. Wygląda to tak, jakby sąd nie dowierzał własnym przedstawicielom.

- Czy Devore przyśle swojego prawnika na wstępne przesłuchanie?

John parsknął śmiechem.

- Możliwe, że nawet kilku.

- Mówisz poważnie?

- Mike, ten gość ma osiemdziesiąt pięć lat. To za dużo, żeby rozbijać się w ferrari, żeby wędrować po Tybecie i żeby zabawiać się z dziwkami, chyba że to jakiś okaz żywotności. W związku z powyższym, -jak sądzisz, na co wydaje pieniądze?

- Na prawników... - wyszeptałem.

- Otóż to.

- A co dostanie Mattie Devore? Adwokata z urzędu, który zaczyna karierę w Castle Rock, bo nie stać go na wynaję-

cie biura w Portland albo Lewiston?

— Skądże znowu! - Odniosłem wrażenie, że mój nowy przyjaciel zamierza mnie zapytać, na jakim świecie żyję. Szczerze powiedziawszy, sam coraz częściej się nad tym zastanawiałem. - Przecież to sprawa z powództwa cywilnego, a sąd ma obowiązek zapewnić obrońcę tylko osobie oskarżonej o przestępstwo kryminalne.

- Chcesz powiedzieć, że Devore będzie miał tylu adwokatów co OJ. Simpson, a ona zostanie zupełnie sama?

- Wcale nie! Przecież będzie miała mnie, dzięki tobie, ma się rozumieć. Zupełnie jak w powieści Johna Grishama, prawda? Czyste złoto. No, ale tymczasem najbardziej interesuje mnie Durgin i ad litem. Jeżeli Devore nie oczekiwał problemów, a chyba nie oczekiwał, bo wątpię, żeby w tej części świata działał sprawnie zorganizowany Ruch Na Rzecz Obrony Mattie Devore...

- Raczej nie, chociaż nie zdążyłem się jeszcze rozejrzeć. Mój nowy prawnik z Park Avenue nie dosłyszał sarkazmu w moim głosie.

- W takim razie, mógł zaniedbać środków ostrożności. Na przykład zbyt często i zbyt blisko kontaktował się z opiekunem ad litem, albo coś w tym rodzaju. Jeśli zdołamy to udowodnić, wszystkie skarby Cesarstwa Chińskiego nie pomogą mu wygrać sprawy.

- Co rozumiesz przez zbyt bliskie kontakty?

- Na przykład to, że wszystkie długi firmy Durgin i Durgin cudownym sposobem zostały ostatnio uregulowane albo że zgłosił się nowy zamożny klient, oczywiście broń Boże nie powiązany z przemysłem komputerowym ani imperium Devore'a, bo stary nie jest aż taki głupi.

- Rzeczywiście, nie sprawił na mnie wrażenia idioty. Był raczej przerażający. Naprawdę myślisz, że mógłby uciec się



do przekupstwa?

- Oczywiście, choć odbyłoby się to w bardzo zakamuflo-  
wany sposób, Widziałeś damę z szalami? Tę, której posąg  
stoi przed większością budynków sądowych?

- Jasne.

- No więc, wyobraź sobie, że zakuto ją w kajdanki, usta  
i oczy zaklejono taśmą, zgwałcono i wytarzano w błocie. Po-  
doba ci się ten obraz? Mnie nie, ale tak właśnie wygląda spra-  
wiedliwość prawie we wszystkich sprawach o opiekę nad nie-  
letnimi, którą odbywają się w tym kraju, jeśli jedna ze stron  
jest bogata, a druga biedna. Równouprawnienie płci tylko  
pogorszyło sytuację, ponieważ większość matek jest uboga,  
a sądy przestały automatycznie oddawać im dzieci.

- A więc Mattie Devore czy chce, czy nie chce, musi sko-  
rzystać z twoich usług?

- Tak - odparł po prostu. - Zadzwoń do mnie jutro i po-  
wiedz, że jednak chce.

- Mam nadzieję, że tak będzie.

- Ja też. Zanim się pożegnamy, chciałbym omówić jesz-  
cze jedną sprawę.

-Jaką?

- Okłamałeś Devore'a przez telefon.

- Nieprawda!

- Nie chciałbym sprzeciwiać się ulubionemu pisarzowi  
mojej siostry, ale obawiam się, że nie mam wyjścia. Powie-  
działeś mu, że dziecko i matka były razem, że mała zbierała  
kwiatki, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Za-  
brakło tylko słonika Bambi i Kubusia Puchatka.

Siedziałem wyprostowany, z napiętymi wszystkimi mię-  
śniami, zupełnie jak świadek, którego kręactwa zaczęły wy-  
chodzić na jaw w krzyżowym ogniu pytań doświadczonego  
adwokata. Jednocześnie czułem coś w rodzaju żalu, że nie

doceniono mojej przebiegłości.

- Ejże, nic z tych rzeczy! Ani razu nie stwierdziłem, że tak właśnie było, tylko podkreślałem, że tylko mi się wydawało. Użyłem tego słowa co najmniej parę razy. Nie wiem ile dokładnie, ale...

- Jeśli nagrywał waszą rozmowę, już niedługo będziesz mógł się o tym przekonać.

- Naprawdę myślisz, że...

- Mike, Mike... Przecież to wielki biznesmen, który zdążył przywyknąć do tego, że osiąga każdy cel. Jeśli zdarza się inaczej, z pewnością dręczy go to tygodniami. A ty co myślisz?

Nie odpowiedziałem od razu, ponieważ przypomniałem sobie dziwny przydźwięk towarzyszący naszej rozmowie (jeśli można to tak nazwać), bardzo podobny do tego, jaki rozlegał się już wcześniej w naszym aparacie, ale czy aby nie był nieco wyraźniejszy niż zwykle? Czyżby Devore naprawdę miał włączony magnetofon? Zaraz potem pomyślałem o sankach Scootera Larrabee.

- Myślę, że możesz mieć rację - przyznałem niechętnie.

- A widzisz. Jak sądzisz, co sobie na twój temat pomyśli opiekun ad litem, jeżeli Devore odtworzy mu tę hipotetyczną taśmę?

- Że jestem ostrożny. Może nawet za bardzo. Jakbym próbował coś ukryć.

- Albo zmyślał, a ty jesteś w tym całkiem niezły, prawda? Bądź co bądź, zarabiasz w ten sposób na życie. Podczas przesłuchania prawnik Devore'a na pewno nie omieszka o tym wspomnieć. Jeśli zaraz potem przedstawi zeznania osobom, które widziały was zaraz po tym, jak zjawiała się Mattie, i jeśli potwierdzą, że młoda matka była zdenerwowana i przerażona, to jak ci się wydaje, na kogo wyjdiesz?

- Na kłamcę - stwierdziłem ponuro. - Niech to szlag trafi!

- Nie obawiaj się, Mike. Bądź dobrej myśli.

- Co mogę teraz zrobić?

- Zagwoździć im działa, zanim oddadzą pierwszą salwę.

Opowiedz Durginowi, prawnikowi Devore'a i Bogu Wszemogącemu, co się naprawdę zdarzyło. Niech to trafi do protokołu. Szczególny nacisk połącz na fakt, iż dziewczynka była przekonana, że nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo.

- Jeśli potem odtworzą taśmę, wyjdę na jeszcze większego kłamcę.

- Raczej nie. Przecież podczas rozmowy z Devore'em nie zeznawałeś pod przysięgą, prawda? Siedziałeś na swoim tarasie jak u pana Boga za piecem, a tu nagle dzwoni jakiś stary dziadyga i dobiera ci się do skóry. Chyba nie dawałeś mu swojego numeru?

- Jasne, że nie.

- Jak się domyślam, to numer zastrzeżony?

. - Tak jest.

- Chociaż przedstawił się jako Max Devore, mógł być kimkolwiek, prawda?

- Prawda.

- Nawet szachem Iranu.

- No, nie bardzo. Szach nie żyje.

- W porządku, skreślamy szacha. Ale mógł być wścibskim sąsiadem albo jakimś dowcipnikiem.

- Owszem.

- W związku z tym, rozmawiając z nim, brałeś pod uwagę taką ewentualność, ale teraz, przed sądem, mówisz prawdę, samą prawdę i tylko prawdę.

- Oczywiście.

Syndrom „mojego prawnika” podziałał na nowo ze

zdwojoną siłą.

- Prawda zawsze zwycięża, Mike - powiedział poważnym tonem, ale zaraz dodał: - No, może z wyjątkiem pewnych szczególnych sytuacji, ale tym razem nie mamy do czynienia z żadną z nich. Czy to jasne?

- Tak.

- Dobra. W takim razie to wszystko. Jutro około jedenastej przed południem czekam na sygnał od kogoś z was.

Mam nadzieję, że to będzie ona.

- Postaram się.

- Chyba wiesz, co robić, gdyby była bardzo uparta?

- Chyba tak. Dziękuję, John.

- Tak czy inaczej, niedługo znowu pogadamy - powiedział i odłożył słuchawkę.

Przez jakiś czas siedziałem bez ruchu, podniosłem telefon, opuściłem go i ponownie znieruchomiałem. Musiałem porozmawiać z Mattie, lecz jeszcze nie byłem do tego całkiem gotów. Postanowiłem pójść na spacer.

„Chyba wiesz, co robić, gdyby była bardzo uparta?”

Oczywiście. Przypomnieć jej, że nie stać jej na dumę, że nie stać jej na dochowanie wierności jankeskim zasadom i odrzucenie jałmużny Michaela Noonana, autora „We dwoje”, „Człowieka w czerwonej koszuli” oraz czekającej na wydanie „Obietnicy Heleny”. Przypomnieć jej, że musi wybrać między dumą a córeczką, bo i tego, i tego na pewno nie uda jej się zachować.

Wybieraj, Mattie.

Dotarłem prawie do końca ścieżki, aż do Łąki Tidwelów, skąd roztaczał się piękny widok na jezioro i Góry Białe. Woda drzemała pod przykryciem zamglonego nieba, szara, jeśli przechyliło się głowę-w jedną stronę, błękitna, jeśli w drugą. Wciąż otaczała mnie atmosfera tajemnicy. Atmos-

fera Manderley.

Jeśli wierzyć Marie Hingerman (oraz „Historii okręgu Castle i Castle Rock”, opasłemu dziełu opublikowanemu w roku 1977 dla uczczenia dwustulecia okręgu), na przełomie wieków osiedliło się tutaj nieco ponad czterdziestu czarnoskórych ludzi. Była to dość specyficzna zbieranina: w większości spokrewnieni, w większości utalentowani, w większości tworzący zespół muzyczny znany najpierw jako Czerwonocubi, a potem jako Sara Tidwell i Czerwonocubi. Łąkę i spory szmat ziemi bezpośrednio nad jeziorem kupili od człowieka nazwiskiem Douglas Day. Sonny Tidwell, który prowadził pertraktacje, twierdził, że zbierali na to pieniądze przez dziesięć lat (w zespole Sonny grał na gitarze).

Transakcja wywołała spore oburzenie w miasteczku - zwołano nawet zebranie w kościele, aby zaprotestować przeciwko „przybyciu tych odrażających czarnuchów, którzy nawet nie tworzą Rodziny, tylko jakąś paskudną Gromadę” - ale w końcu sytuacja jakoś się unormowała, co zresztą zdarza się częściej, niżby się mogło wydawać. Nędzna osada, której pojawienia się spodziewano na Day's Hill (taką nazwę nosiło to miejsce aż do roku 1900, kiedy Sonny Tidwell nabył ziemię dla swego klanu), nigdy nie powstała; zamiast niej wybudowano kilka schludnych białych domków otaczających półkolem znacznie większy budynek pełniący funkcję miejsca spotkań, sali do prób, a kiedyś, w przyszłości, być może także sali koncertowej.

Sara i Czerwonocubi (od czasu do czasu trafiała się tam również dziewczyna, ponieważ zespół nigdy nie miał stałego składu) przez ponad rok występowali w wielu miejscowościach w zachodniej części stanu Maine. Odwiedzili Farmington, Skowhegan, Bridgeton, Gates Falls, Castle Rock, Motton, Fryeburg oraz wiele innych - do dziś w sklepach ze

starociami można tam dostać ich plakaty. Zdobyli sobie sporą popularność zarówno w okolicy, jak i w samym TR, co wcale mnie nie zdziwiło. W naszym zakątku kraju dość specyficznie traktuje się znajomych i sąsiadów. Frost miał chyba rację, kiedy powiedział o nas, że lubimy kogoś tylko wtedy, jeśli oddziela nas od niego solidne ogrodzenie. Żyjemy z ludźmi w pokoju, ale nie staramy się tego czynić za wszelką cenę. „Płacą rachunki” - mówimy o sąsiadach. „Nigdy nie musiałem zastrzelić któregoś z ich psów” - powiadamy. „Trzymają się na uboczu” - stwierdzamy, jakby samotność była cnotą. A na koniec najważniejsza pozytywna cecha: „Nie proszą o wsparcie”.

Jakiś czas potem Sara Tidwell stała się Sara Laughs.

Ostatecznie jednak okazało się chyba, że TR-90 nie do końca spełnia ich oczekiwania, ponieważ po występie na wielkim festynie latem 1901 roku wynieśli się z miasteczka. Schludne białe domki długo stały puste, jeśli nie liczyć mieszkających tam od czasu do czasu włóczęgów, aż wreszcie zniszczył je pożar. Koniec opowieści.

Ale nie koniec muzyki. Muzyka przetrwała.

Podniosłem się z kamienia, na którym przysiadłem, rozprostowałem grzbiet i ramiona, po czym ruszyłem w drogę powrotną do domu, nucąc pod nosem jedną z jej piosenek.

## Rozdział 12

W drodze powrotnej do domu starałem się o niczym nie myśleć. Mój pierwszy wydawca mawiał, że pisarza nie powinno obchodzić co najmniej osiemdziesiąt pięć procent tego, co dzieje się w jego głowie; nie mam pojęcia, dlaczego ta zasada powinna dotyczyć wyłącznie pisarzy. Tak zwane „wyższe funkcje myślowe” są znacznie przereklamowane. W krytycznej sytuacji z reguły lepiej jest stanąć skromnie z boku i po prostu poczekać, aż chłopcy z piwnicy odwalą swoją robotę. Nie należą do żadnych związków, są potężnie umięśnieni i wytatuowani, specjalizują się w instynktownym działaniu i tylko w ostateczności kierują problemy na górę, do autentycznego przemyslenia.

Kiedy zadzwoniłem do Mattie Devore, przydarzyło mi się coś dziwnego, co jednak -jak mi się zdaje - nie miało nic wspólnego z duchami ani upiorami. Zamiast charakterystycznego szumu na linii, po włączeniu bezprzewodowego telefonu usłyszałem głuchą ciszę. Przemknęło mi przez głowę, że widocznie nie odłożyłem na widelki słuchawki w aparacie w północnej sypialni, zaraz jednak uświadomiłem sobie, iż cisza wcale nie jest tak całkowita, jak mi się wydawało. Gdzieś w tle, daleko, pogodnie i skrzekliwie niczym kaczka z kreskówki, jakiś gość z wyraźnym brooklyńskim akcentem śpiewał: „Nóżka w lewo, nóżka w prawo, poskacz, bracie, z nami żwawo...”

Otworzyłem usta, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, w słuchawce rozległ się niepewny kobiecy głos:

- Halo?

- Mattie?

W ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby zwracać się do

niej bardziej oficjalnie, na przykład „pani” albo „panno Devore”. Nie zdziwiło mnie też, że tak łatwo rozpoznałem ją zaledwie po jednym słowie, chociaż nasza pierwsza rozmowa nie trwała długo. Całkiem możliwe, iż to chłopcy z piwnicy skojarzyli dziecięcą piosenkę z Kyrą.

- To pan, panie Noonan? - wykrztusiła ze zdumieniem. - Ale... Przecież telefon nawet nie zadzwonił!

- Widocznie podniosłem słuchawkę w chwili, kiedy ty skończyłaś wybierać numer. Takie rzeczy czasem się zdarzają.

Ale jak często się zdarza, że akurat telefonuje osoba, do której sam chciałeś zadzwonić? - zapytałem siebie w duchu. Kto wie, może wcale nie tak rzadko? Telepatia czy zbieg okoliczności? Tak czy owak, wyglądało to niemal na czary. Spojrzałem w oczy Hunterowi wiszącemu na ścianie po przeciwnej stronie długiego, niskiego salonu, i pomyślałem: „Nic dziwnego. Bądź co bądź, to przecież magiczne miejsce”.

- Tak... Chyba tak - odparła bez przekonania. - Przede wszystkim przepraszam, że do pana dzwonię. Nie powinnam tego robić, bo wiem, że pański numer jest zastrzeżony, ale...

Och, nie przejmuj się, odpowiedziałem w duchu. Wygląda na to, że i tak wszyscy go znają. Kto wie, może nawet każę wydrukować go tłustym drukiem na żółtych kartkach książki telefonicznej?

- Znalazłam go w pańskiej karcie w bibliotece - wyjaśniła z zażenowaniem. - Tam właśnie pracuję.

Rozbrzmiewające w tle dźwięki skocznej piosenki ustąpiły miejsca innej, o farmerze, który mieszkał w górskiej dolinie.

- Nic nie szkodzi - zapewniłem ją. - Tym bardziej że sam zamierzałem do ciebie zadzwonić.

- Do mnie? Dlaczego?

- Panie przodem.

Roześmiała się nerwowo.



- Chciałam... To znaczy, Ki i ja chciałyśmy zaprosić pana na kolację. Powinnam była od razu to zrobić. Był pan dla nas bardzo dobry. Przyjdzie pan?

- Tak - odparłem bez wahania. - Z przyjemnością. Poza tym, i tak mamy sporo do omówienia.

Umilkła. W tle piszczała mysz dobierająca się do sera. Kiedy byłem mały, sądziłem, że to wszystko dzieje się naprawdę na Wielkiej Wesolej Farmie.

- Jesteś tam, i Mattie?

- Ten okropny staruch wciągnął w to pana, prawda? - zapytała głucho.

- Tak i nie. Można by chyba powiedzieć, że uczynił to ślepy los, zbieg okoliczności albo Bóg. Jedno jest pewne: tamtego ranka nie znalazłem się na drodze z powodu Maksa Devore, lecz dlatego, że ścigałem nieuchwytnego Wiejskiego Hamburgera.

Nie roześmiała się, ale przynajmniej trochę poweselała, co bardzo mnie ucieszyło. "Ludzie, którzy mówią takim głuchym, bezbarwnym tonem, zazwyczaj są mocno wystraszeni, a niekiedy wręcz przerażeni.

- Mimo to przykro mi, że pana w to wplątałam. Byłem ciekaw, czy po tym, jak skontaktuję ją z Johnem Storrowem, zaczniesz się zastanawiać, kto kogo wplątał w tę sprawę.

- Tak czy inaczej, z przyjemnością przyjmuję zaproszenie. Kiedy?

- Czy dziś wieczorem nie będzie za wcześnie?

- Skądże znowu.

- Świetnie. Ale to musi być dość wczesna kolacja, żeby mała nie zasnęła przy deserze. Pasuje panu o szóstej?

- Oczywiście.

- Ki będzie zachwycona. Rzadko ktoś do nas przycho-

dzi.

- Mam nadzieję, że zaprzestała już samotnych przechadzek?

Trochę za późno przyszło mi do głowy, że może się poczuć urażona, ale na szczęście roześmiała się.

- Mój Boże, tak! Całe to zamieszanie bardzo ją wystraszyło. Teraz melduje mi nawet, kiedy schodzi z huśtawki i idzie do piaskownicy. O panu też sporo mówi. „Ten duży pan, który mnie złapał”, tak pana nazywa. Chyba boi się, że będzie się pan na nią gniewał.

- Powiedz jej, że się nie gniewam... Albo nie: sam jej tam powiem. Mogę coś przywieźć?

- Butelkę wina?... - powiedziała takim tonem, jakby zastanawiała się na głos. - Chociaż, może to przesada. Będą tylko hamburgery z grilla i sałatka ziemniaczana.

- W takim razie, wybiorę jakieś nieprzesadne wino,

- Dziękuję panu. Już nie mogę się doczekać. Rzadko miewamy gości.

Niewiele brakowało, a odpowiedziałbym, że ja też nie mogę się doczekać, bo to moja pierwsza randka od czterech lat, ale w ostatniej chwili ugryzłem się w język.

- A ja dziękuję, że o mnie pomyślałaś.

Odłożywszy słuchawkę, przypomniałem sobie słowa Johna Storrowsa, który radził mi, żebym nigdy nie spotykał się z Mattie na osobności i nie dawał dodatkowej pożywki krążącym po miasteczku plotkom. Cóż, jej dom na kółkach nie był może miejscem publicznym w ścisłym rozumieniu tego określenia, ale grilla robi się zazwyczaj na zewnątrz, więc każdy przejeżdżający w pobliżu będzie miał okazję zauważyć, że jesteśmy ubrani i zachowujemy się przyzwoicie... chyba że dziewczyna, jako uprzejma gospodyni, zaprosi mnie później do środka, a ja, jako uprzejmy gość, przyjmę zapro-

szenie, by podziwiać wykonany własnoręcznie przez nią portret Elvisa na ścianie, kolekcję okładek płyt albo cokolwiek, czym ozdobiła wnętrze przyczepy, a także wyrazić głośno zachwyt na widok gromadki pluszowych misiów w pokoju Kyrri oraz jej ukochanej lalki. W życiu ciągle musimy dokonywać wyborów, kierując się osobistą listą priorytetów, i nie zawsze możemy liczyć na zrozumienie naszego prawnika.

- Dobrze sobie radzę, Bunter? - zapytał wypchanego łosia. - Jedno ryknięcie na „tak”, dwa na „nie”.

Byłem w połowie korytarza prowadzącego do północnego skrzydła, kiedy do moich uszu dotarł słaby, ale wyraźny dźwięk dzwonka zawieszzonego na szyi Buntera. Znieruchomiałem z przechyloną głową i koszulą w rękę, ale dzwonek nie odezwał się po raz drugi. Po jakiejś minucie ruszyłem dalej, wszedłem do łazienki i odkręciłem kurki przy prysznicu.

W Lakeview General mają spory wybór win na regałach w kącie - może nie tyle z myślą o miejscowej klienteli, co ze względu na przyjezdnych. Kupiłem butelkę wytrawnego czerwonego mondavi. Mattie z pewnością myślała o czymś znacznie tańszym, ale przecież mogłem zedrzeć nalepkę z ceną i liczyć na to, że gospodyni nie odkryje mojego drobnego oszustwa. Do kasy stała spora kolejka, złożona głównie z ludzi w wilgotnych koszulkach naciągniętych na kostiumy kąpielowe, z nogami oblepionymi piaskiem z ogólnodostępnej plaży. Stojąc w ogonku, gapiłem się bezmyślnie na drobne artykuły wystawione przy kasie; moją uwagę zwróciły nie duże celofanowe woreczki opatrzone napisem MAGNESIKI oraz rysunkiem przedstawiającym lodówkę z napisem ułożonym z kolorowych literek: ZARAZ WRACAM. Według zamieszczonej nieco niżej informacji, każdy zestaw składał się z dwóch kompletów spółgłosek „oraz dodatkowych samogłosek”. Zgarnąłem do koszyka dwa woreczki, a po chwi-

li namysłu dorzuciłem jeszcze trzeci. Dziecko w wieku Kyry powinno mieć z tego niezłą uciechę.

Jak tylko skręciłem na zarośnięty chwastami placyk przed wejściem do przyczepy, Kyra zeskoczyła z lichej huśtawki, co sił w nogach popędziła do matki i schowała się za nią. Kiedy wysiadłem z samochodu i podszedłem do małego grilla ustawionego przy schodkach z pustaków, dziecko, które tak śmiało rozmawiało ze mną w sobotę rano, ledwo odważyło się wystawić oko zza zasłony matczynej sukienki.

Wystarczyły jednak dwie godziny, by w zachowaniu dziewczynki zaszły ogromne zmiany. O zmierzchu Kyra siedziała mi na kolanach w saloniku, słuchając z przejęciem (i z coraz bardziej klejącymi się oczami), jak czytam nieśmiertelną opowieść o Kopciuszku. Co prawda kanapa, na której się rozsiadliśmy, miała ten szczególny brązowy kolor, który można spotkać wyłącznie w sklepach z przecenionymi meblami, a na dodatek była wyjątkowo niezgrabna, niemniej robiło mi się wstyd za każdym razem, kiedy przypomniałem sobie, jaki wystrój wewnątrz spodziewałem się ujrzeć. Na ścianie za naszymi plecami wisiała reprodukcja obrazu Edwarda Hoppera, natomiast po przeciwnej stronie, nad małym plastikowym stolikiem we wnęce kuchennej, znalazło się miejsce dla „Słoneczników” van Gogha. Ten obraz wydawał się tu jeszcze bardziej na miejscu niż Hopper; nie wiem dlaczego, ale takie właśnie odniosłem wrażenie.

- Przecież szklany trzewiczek pokaleczy jej nóżkę! - zauważyła Ki po głębokim namyśle.

- Nie ma mowy - odparłem. - Takie trzewiczki produkowano w królestwie Grimoire ze specjalnego szkła, gładkiego i nietłukącego. Trzeba było tylko pamiętać, żeby nie śpiewać wysokiego c.

- Ja też chcę takie!

- Przykro mi, ale nikt już nie wie, jak je się robi. Tajemnica ich produkcji nie dotrwała do naszych czasów, podobnie jak sekret wytwarzania stali damasceńskiej.

W przyczepie było gorąco, ja zaś odczuwałem to w dwójnasób, ponieważ mała siedziała oparta pleckami o moją klatkę piersiową, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Nie puszczałem, jak przyjemny może być tak bliski kontakt z małym dzieckiem. Na zewnątrz jej matka podśpiewywała półgłosem, sprząając naczynia z turystycznego stolika. Jej śpiew również wprowadził mnie w dobry nastrój.

- Dalej, dalej! - ponagliła mnie Kyra, wskazując palcem obrazek, na którym Kopciuszek szorował podłogę. Mała przestraszona dziewczynka, zerkająca lękliwie zza matczynej sukienki, znikła bez śladu, podobnie jak rozeźlony, zdecydowany na wszystko szkrab z sobotniego przedpołudnia. Pozostało senne dziecko, ładne, bystre i ufne. - Bo nie wytrzymam!

— Chcesz siusiu?

Spojrzała na mnie z lekką pogardą.

- Wcale nie. A poza tym, to jest od... daw... dawanie mocy. Jeśli się nie pośpieszysz, po prostu zasnę, i tyle.

- Nie można skracać magicznych opowieści.

- No to pośpiesz się tak, jak możesz.

- W porządku. - Odwróciłem stronę. Na kolejnym obrazku Kopciuszek machał na pożegnanie swoim parszywym siostrzom, które jechały na bal wystrojone jak cichodajki na dyskotekę.

- Jak tylko Kopciuszek odprowadził do drzwi Tammi Faye i Yannę...

- One tak się nazywały?

- Nie wiem. Wymyśliłem im te imiona. Mogą być?

- Jasne.

Wygodniej usadowiła się na moich kolanach i ponownie oparła główkę o pierś.

- A więc, jak tylko Kopciuszek odprowadził do drzwi Tammi Faye i Yannę, w kącie kuchni niespodziewanie pojawiła się kula jaskrawego światła, a chwilę potem z tej jasności wyszła piękna pani w srebrzystej szacie. Diamenty w jej włosach lśniły jak gwiazdy.

- To dobra wróżka - stwierdziła rzeczowo Kyra.

- Zgadza się.

Weszła Mattie z opróżnioną zaledwie do połowy butelką mondavi i okopconymi akcesoriami do grilla. Miała na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę oraz pantofle na niskim obcasie, tak białe, że aż wydawały się świecić w półmroku. Włosy zebrała z tyłu głowy. Może nie do końca była zjawiskową, jędrną dziewczyną z wiejskiej knajpy, ale z pewnością nikt nie mógłby odmówić jej urody. Spojrzała na Kyrę, na mnie, ułożyła ręce tak, jakby niosła dziecko, i uniosła pytająco brwi. Pokręciłem głową: nie, żadne z nas nie jest jeszcze gotowe.

Podjąłem na nowo opowieść, Mattie natomiast zabrała się do zmywania niezbyt licznych naczyń. Wciąż nuciała pod nosem. Zanim zdążyła się uporać z łopatką do mięsa, poczułem, jak mięśnie Kii wyraźnie się rozluźniają; dziewczynka zapadła w głęboki sen. Zamknąłem „Bajki i baśnie” i odłożyłem je na stolik do kawy, na którym leżały już dwie książki. Podniósłszy wzrok, napotkałem spojrzenie Mattie. Uniosłem rękę z palcami ułożonymi w kształt litery V.

- Mikę Noonan zwyciężył w ósmej rundzie przez techniczny nokaut.

Mattie wytarła ręce w ściereczkę do naczyń i przeszła do pokoju.

— Zaniosę ją do łóżka.

Wstałem z dzieckiem w ramionach.

- Ja to zrobię. Gdzie?

- Tam, po lewej stronie.

Wszedłem w wąski korytarzyk - na tyle wąski, że musiałem uważać, żeby nie zawadzić o ściany główką albo stopami dziewczynki - na którego końcu znajdowała się nieduża łazienka. Drzwi były otwarte, dzięki czemu mogłem się przekonać, że wszystko aż lśni i że panuje w niej nienaganny porządek. Zamknięte drzwi po prawej stronie prowadziły zapewne do sypialni, którą Mattie kiedyś dzieliła z Lance'em Devore, a w której teraz samotnie spędzała noce. Nawet jeśli ktoś jej od czasu do czasu towarzyszył, nigdzie nie dostrzegłem choćby najmniejszych śladów jego pobytu.

Ostrożnie przecisnąłem się przez drzwi po lewej stronie korytarzyka i znalazłem się w małym pokoiku, na którego umeblowanie składało się łóżeczko przykryte narzutą w róże, stolik z domkiem dla lalek, obrazek przedstawiający Szmaragdowe Miasto, tabliczka z napisem ułożonym z samoprzylepnych kolorowych liter: CASA KYRA, Właśnie stąd, z tego miejsca, gdzie wszystko było takie jak należy, chciał ją zabrać stary Devore. W tym pokoju mieszkała dziewczynka, która rosła i rozwijała się jak należy.

- Proszę położyć ją do łóżka, a potem wrócić do pokoju i nalać sobie wina - powiedziała Mattie. - Przyjdę, jak tylko przebiorę ją w piżamę. Wspominał pan, że chce o czymś porozmawiać.

Położyłem małą na narzucie, pochyliłem się jeszcze niżej, żeby pocałować ją w nos, zawahałem się, ale w końcu to zrobiłem. Kiedy się wyprostowałem, Mattie uśmiechnęła się do mnie, więc chyba nie popełniłem nietaktu.

Nalałem sobie trochę wina i przyjrzałem się książkom

leżącym na stoliku obok bajek Kyry. Lubię wiedzieć, co czytają ludzie. Lepiej można ich poznać tylko przeglądając zawartość domowych apteczek, ale w tak zwanym „dobrym towarzystwie” takie zachowanie raczej nie jest akceptowane.

Zestawienie tytułów było tak zdumiewające, że aż graniczyło z paranoją, Pierwsza książka, z zakładką mniej więcej w trzech czwartych objętości, była popularnym wydaniem „Milczącego świadka” Richarda Northa Pattersona. W duchu pochwaliłem wybór; moim zdaniem, DeMille i właśnie Patterson są chyba najlepszymi żyjącymi twórcami literatury popularnej. Druga, w twardej oprawie i znacznie większym formacie, okazała się „Opowiadaniem zebranym Hermana Melville'a”. Trudno sobie wyobrazić dwa odległe bieguny literatury. Nieco wyblakły fioletowy stempel na krawędzi bloku książki świadczył o tym, że tom jest własnością Biblioteki Publicznej w Four Lakes. Biblioteka mieściła się w uroczym budynku o ścianach z kamienia, mniej więcej osiem kilometrów na południe od jeziora Dark Score, tam gdzie szosa numer 68 przecina granicę między TR i Motton. Najprawdopodobniej tam właśnie pracowała Mattie. Otworzyłem zbiór w miejscu oznaczonym zakładką i stwierdziłem, że czytała „Bartleby”.

- Zupełnie tego nie rozumiem - odezwała się za moimi plecami tak niespodziewanie, że mało nie wypuściłem książek z ręki. - Podoba mi się, bo to dobre opowiadanie, ale nie mam najmniejszego pojęcia, o co w nim chodzi. W tamtej już się domyśliłam, kto zabił.

- Przyznam, że to trochę dziwny zestaw - powiedziałem, odkładając książki na stół.

- Pattersona czytam dla przyjemności. - Weszła do kuchni, spojrzała (z żalem, jak mi się wydawało) na wciąż jeszcze nie do końca opróżnioną butelkę, po czym otworzy-



ła lodówkę i wyjęła naczynie z napojem chłodzącym. Na drzwiach Kyra zdążyła już ułożyć trzy słowa z kolorowych liter: KI, MATTIE oraz HOHO (przypuszczalnie chodziło o Świętego Mikołaja). - To znaczy, obie czytam dla przyjemności, ale o „Bartleby” będziemy dyskutować w naszej grupie. Spotykamy się we środy w bibliotece. Zostało mi jeszcze jakieś dziesięć stron.

- Kółko czytelnicze? ""

- Aha. Pani Briggs założyła je, kiedy jeszcze nie było mnie na świecie. Jest kierowniczką biblioteki.

- Wiem, bo Lindy jest również szwagierką człowieka, który opiekuje się moim letnim domem.

Uśmiechnęła się.

- Jaki ten świat mały!

- Świat jest duży, tylko miasteczko małe.

Nalała sobie szklankę zimnego płynu, wspięła się na palce, jakby zamierzała usiąść na kuchennym blacie, ale zmieniła zdanie.

- Może posiedzimy sobie na zewnątrz? Dzięki temu każdy będzie mógł się przekonać na własne oczy, że jesteśmy ubrani i że niczego nie włożyliśmy na lewą stronę.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem, a ona odwzajemniła się pogodnym, ale lekko cynicznym uśmiechem, który wydawał się trochę nie na miejscu na jej twarzy.

- Mam dopiero dwadzieścia jeden lat, ale nie jestem głupia - powiedziała. - On mnie obserwuje. Wiem o tym, i pan chyba też. Może gdyby była inna pogoda, machnęłabym ręką i niechby się wypchał, ale na dworze jest chłodniej, a dym z grilla odstraszy owady. Zaskoczyłam pana? W takim razie, przepraszam.

- Wcale nie. - Trochę mnie jednak zaskoczyła. - Nie musisz przepraszać.

Z kieliszkami w rękach zeszliśmy po dość chwiejnych stopniach i usiedliśmy blisko siebie na ogrodowych krzesłkach. W gęstniejącym mroku dogasające na grillu węgle żarzyły się słabym różowawym blaskiem. Mattie przechyliła się do tyłu razem z krzesłem, na chwilę przycisnęła chłodną szklankę do czoła, po czym opróżniła ją prawie do dna. Kostki lodu zagrzechotały o zęby. W lesie za przyczepą i po drugiej stronie drogi ćwierkały świerszcze, nieco dalej, za szosą, jarzyły się fluorescencyjne lampy stacji benzynowej przy supermarkecie. Siedzisko mojego krzesła było mocno porozciągane, materiał przetarł się tu i ówdzie, musiałem też bardzo uważać, żeby nie przewrócić się w lewo i do tyłu, jednak czułem się wysmienicie i nie zamieniłbym tego rozchwianego krzesła na najwygodniejszy fotel na świecie. Wieczór był cudowny... przynajmniej do tej pory. Pozostał nam jeszcze John Storrow.

- To dobrze, że przyjechał pan akurat we wtorek - powiedziała. - Wtorkowe wieczory są dla mnie najcieńsze. Zawsze myślę o meczu u Warringtona. Chłopcy wracają z boiska, chowają sprzęt do szafki, piją piwo i palą papierosy. Tam właśnie poznałam męża... ale już na pewno panu o tym opowiedzieli.

Nie widziałem dokładnie twarzy Mattie, ale wyraźnie usłyszałem nutę gorczy w jej głosie i domyśliłem się, że na twarzy dziewczyny wciąż gości cyniczny uśmiech. Zupełnie do niej nie pasował, nie ulegało jednak wątpliwości, że ma do niego prawo. Powinna jednak uważać: gdyby pozwoliła mu się zbyt często pojawiać, mógłby rozgościć się na dobre.

- Owszem, znam wersję Billa, szwagra Lindy.

- Oho! A więc nasza historia trafiła już do sprzedaży detalicznej.

- Może ją pan kupić w sklepie albo w kafejce, albo

w warsztacie u tego starego gaduły... którego, nawiasem mówiąc, mój ojciec wybronił przed komornikiem. Teraz Dickie Brooks i jego kumple przy każdej okazji wychwalają Maksa Devore'a pod niebiosa. Mam nadzieję, że od pana Deana usłyszał pan wersję bliższą prawdy. Och, jestem tego pewna, bo w przeciwnym razie nie przyjąłby pan mojego zaproszenia.

Chętnie bym z tym skończył; jej gniew, chociaż z pewnością uzasadniony, był całkowicie bezproduktywny. Oczywiście ja łatwiej mogłem to dostrzec, bo przecież to nie mojego dziecka użyto jako chorągiewki uwiązanej pośrodku liny przeciąganej przez nieżywiące do siebie specjalnej sympatii drużyny.

- Wciąż grają w softball u Warringtona, mimo że posiadłość trafiła w ręce Devore'a?

- Aha. W każdy wtorek wieczorem przyjeżdża na boisko swoim inwalidzkim wózkiem elektrycznym i kibicuje. Od czasu, jak tu wrócił, robi mnóstwo rzeczy tylko po to, żeby przypodobać się miejscowej społeczności, ale softball chyba naprawdę go pasjonuje. Ta Whitmore nie odstępuje go ani na krok. Wiezie na taczce zapasową butlę z tlenem, a na wypadek, gdyby w ich okolicy zabłąkała się jakaś autowa piłka, ma też rękawicę. Podobno stary na początku sezonu przechwyił jedno podanie i dostał owację na stojąco od graczy i publiczności.

- Może w ten sposób stara się nawiązać bliższy kontakt z synem?

Mattie uśmiechnęła się cierpko.

- Wątpię, żeby w ogóle o nim myślał, a już na pewno nie wtedy, kiedy jest na boisku. U Warringtonów gra się ostro, z wślizgami i ze wszystkim. Max Devore przepada za tym i dlatego nie opuści żadnego wtorkowego meczu. Lubi widok krwi.

- Czy tak właśnie grał Lance?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Owszem, grał ostro, ale nie jak wariat. Przychodził tam po prostu dla przyjemności, zresztą jak wszyscy. My, kobiety... do licha, raczej dziewczyny, bo na przykład żona Barneya Therriault, Cindy, miała tylko szesnaście lat... No więc, stałyśmy obok pierwszej bazy, paliliśmy papierosy, odganiałyśmy muchy, biłyśmy brawo naszym chłopcom, kiedy zrobili coś dobrze, i śmiałyśmy się z nich, kiedy zrobili coś głupio. Piłyśmy piwo albo colę z tej samej puszki, ja zachwyciłam się bliźniakami Helen Geary, ona całowała Ki w bródkę, aż mała piszczała z zachwytu. Czasem po meczu wszyscy jechaliśmy do kafejki na pizzę - płacili przegrani, ale wszyscy znowu byliśmy kumplami. Siedzieliśmy jedząc, pijąc i zaśmiewając się do rozpuku, a chociaż chłopcy czasem trochę się na siebie boczyli, to nikt nie wszczynał awantur. Całą złość wyładowywali na boisku. Niech pan sobie wyobrazi, że teraz nikt z nich mnie nie odwiedza. Ani Helen Geary, moja najlepsza przyjaciółka, ani Richie Lattimore, który był najlepszym przyjacielem Lance'a. Potrafili godzinami dyskutować o skałach, ptakach i drzewach, które można zobaczyć na drugim brzegu jeziora. Przyjechali na pogrzeb, wpadli parę razy, a potem... Wie pan, jak to potem wyglądało? Kiedy byłam mała, wyschła nam studnia. Jeszcze przez jakiś czas po odkręceniu kurka woda sączyła się cieniutkim strumyczkiem, ale potem leciało już samo powietrze. Tylko powietrze, nic więcej. - Cynizm ulotnił się bez śladu, w jej głosie brzmi już tylko ból. - Widziałam się z Helen w święta i umówiłyśmy się, że spotkamy się na urodzinach bliźniaczek, ale nic z tego nie wyszło. Podejrzewam, że najzwyczajniej w świecie boi się do mnie zbliżyć.

- Ze względu na starego?

- To chyba oczywiste. Ale co tam, życie toczy się dalej. -  
Wyprostowała się, opróżniła szklankę i postawiła ją na sto-  
liku. - A co z tobą, Mike? Wróciłeś, żeby napisać książkę?  
Może wreszcie nadasz TR jakąś nazwę?

Kwestia nadania TR nazwy od wielu lat pojawiała się  
w rozmowach z ludźmi mieszkającymi w tej okolicy. Każdy,  
kto czynił na przyszłość większe plany, umieszczał ją na jed-  
nym z czołowych miejsc.

- Nie - odpowiedziałem ku swemu zaskoczeniu. - Już nie  
piszę książek.

Chyba podświadomie oczekiwałem, że z okrzykiem prze-  
rażenia zerwie się na równe nogi, albo coś w tym rodzaju.  
Wątpię, żeby wystawiało mi to najlepsze świadectwo.

- Wycofałeś się, czy straciłeś natchnienie? - zapytała zu-  
pełnie spokojnie, nawet bez cienia czegoś, co dałoby się okre-  
ślić jako przerażenie lub zdumienie.

- Można powiedzieć, że się wycofałem, ale nie całkiem  
dobrowolnie.

Rozmowa przybierała coraz zabawniejszy obrót. Przyje-  
chałem tu w gruncie rzeczy po to, żeby powiedzieć jej o Joh-  
nie Storrowie - a mówiąc wprost, wepchnąć jej go do gardła  
- tymczasem zaś dyskutowałem o swojej niemocy twórczej.  
Po raz pierwszy, odkąd się pojawiła.

- A więc natchnienie.

- Też tak myślałem, ale teraz nie jestem pewien. Wydaje  
mi się, że każdy pisarz ma do opowiedzenia pewną, z góry  
określoną, liczbę historii. Kiedy opowie ostatnią, nic mu nie  
zostaje.

- Wątpię — odparła. - Może teraz napiszesz o tym, że tu  
jesteś? Może między innymi właśnie dlatego wróciłeś?

- Może masz rację.

- Boisz się?

- Czasem. Przede wszystkim zastanawiam się, co począć z resztą życia. Niezbyt dobrze idzie mi konstruowanie modeli statków w butelkach, nie jestem też ogrodnikiem z zamiłowania, w przeciwieństwie do mojej żony, która uwielbiała grzebać w ziemi.

- Ja też się boję - powiedziała. - I to bardzo. Przez cały czas.

- Chodzi o to, że mógłby wygrać sprawę w sądzie? Matie, właśnie o tym chciałem...

- Sprawa w sądzie to nie wszystko - przerwała mi. - Boję się nawet tu być, tutaj, w TR. Zaczęło się mniej więcej na początku lata, kiedy już od dawna wiedziałam, że Devore stanie na głowie, żeby odebrać mi dziecko, i robi się coraz gorzej. Czuję się trochę tak jak wtedy, kiedy obserwuję burzowe chmury, które gromadzą się nad New Hampshire, a potem przesuwiają nad jezioro. Nie potrafię lepiej tego opisać, tyle że... - Założyła nogę na nogę, po czym pochyliła się i obciągnęła skraj sukienki, jakby robiło jej się zimno. - Tyle że ostatnio często budzę się w nocy, zupełnie pewna, że nie jestem sama w sypialni. Któregoś razu wydawało mi się nawet, że ktoś jest ze mną w łóżku. Czasem odczuwam to tylko jako niezbyt uchwytne wrażenie, coś jakby słaby ból głowy, ale czasem wydaje mi się, że słyszę szepty, a nawet płacz.

Któregoś wieczoru, chyba ze dwa tygodnie temu, upiekłam ciasto i zapomniałam schować mąkę do szafki. Rano znalazłam przewrócony pojemnik, a w mące, która rozsypała się na blacie, ktoś napisał palcem „witaj”. Najpierw myślałam, że to Ki, ale ona przysięgała, że nic takiego nie zrobiła, a poza tym, to nie był jej charakter pisma. Skrobie okropne kulfony i wątpię, czy samodzielnie potrafiłaby napisać całe słowo — no, chyba że jakieś „hej”, albo coś w tym rodzaju.

Mikę, czy twoim zdaniem to możliwe, że stary nasyła tu ko-

goś, kto ma mnie przestraszyć? To głupota, prawda?

- Boja wiem...

Przypomniałem sobie odgłosy, które dobiegały z ciemności, kiedy stałem na schodach, przypomniałem sobie napis ułożony z magnesików na drzwiach lodówki i dziecko szlochające w mroku. Miałem wrażenie, że straciłem czucie w skórze - i słusznie, bo chyba tak właśnie powinien zareagować człowiek, na którego karku zacisnęły się lodowate palce istoty z zaświatów.

- A może to duchy? - szepnęła i uśmiechnęła się niepewnie.

Otworzyłem już usta, by opowiedzieć o tym, co działo się w Sarze, ale zaraz je zamknąłem. Musiałem dokonać wyboru: albo dyskusja o zjawiskach paranormalnych, albo powrót do świata rzeczywistego. Do tego świata, w którym Max Devore próbował ukraść dziecko.

- O, tak - odparłem. - Duchy wkrótce przemówią.

- Szkoda, że nie widzę dokładniej twojej twarzy. Przed chwilą coś na niej było. Co to takiego?

- Nie mam pojęcia. Myślę, że powinniśmy jednak porozmawiać o Kyrze.

- W porządku.

Usiadła głębiej w krześle, jakby szykowałą się na przyjęcie ciosu.

- Wezwano mnie w charakterze świadka. Mam pojechać w piątek do Castle Rock i złożyć zeznania przed Elmerem Durginem, który jest opiekunem Kyry ad litem...

- Ta obrzydliwa nadęta ropucha nie jest żadnym opiekunem Kii! - wybuchnęła dziewczyna. - Siedzi w kieszeni mojego teścia, tak samo jak Dickie Osgood, prawa ręka Maksa od nieruchomości. Dickie pija z Elmerem Pod Łagodnym Tygrysem, a przynajmniej pijali tam, dopóki inte-

res jeszcze się kręcił. Później chyba ktoś im powiedział, że to niezbyt dobrze wygląda, i przestali pokazywać się razem.

- Wezwanie dostarczył mi zastępca szeryfa, niejaki George Footman.

- Też dobre ziółko. Może Dickie Osgood to wąż, ale George Footman to wściekły pies. Już dwa razy zabierali mu czasowo odznakę. Jeszcze jeden wyskok i będzie mógł całkiem oficjalnie zacząć pracować wyłącznie dla Maksa Devore.

- Przestraszył mnie. Staralem się tego nie okazać, ale naprawdę się przestraszyłem, a ludzie, których się boję, działają mi na nerwy. Zadzwoiłem do mojego agenta w Nowym Jorku i wynająłem prawnika. Takiego, który specjalizuje się w sprawach o odebranie praw rodzicielskich.

Przyglądałem się jej uważnie w oczekiwaniu na reakcję, ale choć siedzieliśmy dość blisko siebie, niczego nie zobaczyłem. Wciąż miała na twarzy nieruchomą maskę kobiety przygotowanej na to, że za chwilę spadną na nią bolesne ciosy... choć w jej przypadku te ciosy chyba już zaczęły spadać.

Powoli, bez pośpiechu, powtórzyłem jej moją rozmowę z Johnem Storrowem. Szczególny nacisk położyłem na to, co John mówił o równouprawnieniu płci, i że w tym konkretnym przypadku owo równouprawnienie może działać na jej niekorzyść, ponieważ sędziemu Rancourtowi łatwiej będzie podjąć decyzję o odebraniu jej praw rodzicielskich. Podkreśliłem również fakt, że co prawda starego Devore'a stać na najlepszych prawników, a dodatkowo może liczyć na zeznania świadków urobionych wcześniej przez Richarda Osgoóda, ale tak właśnie wygląda wymiar sprawiedliwości i nic się na to nie poradzi. Na koniec powiedziałem, że naza jutrz o jedenastej John chciałby porozmawiać z kimś z nas, i że to powinna być ona, nie ja. Potem umilkłem i czekałem. Milczenie przeciągało się, zakłócanie jedynie przez cykanie



świerszczy i dobiegające z daleka odgłosy pracy silnika, w którego układzie wydechowym z pewnością nie było ani jednego tłumika. Zgasły fluorescencyjne lampy przed sklepem, oznajmiając koniec kolejnego dnia działalności placówki. Milczenie Mattie wcale mi się nie podobało; w moich uszach brzmiało jak uwertura przed wybuchem. Przed janekskim wybuchem. Mimo to siedziałem spokojnie i czekałem, aż mnie zapyta, jakim prawem wtrącam się w jej sprawy.

Kiedy wreszcie przemówiła, jej głos brzmiał głucho i beznadziejnie. Przykro było tego słuchać, ale, podobnie jak wcześniej cynicznego uśmiechu, należało się spodziewać czegoś takiego. Ja w każdym razie zdołałem się przygotować. Cóż począć, Mattie, świat jest okrutny.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego wynajmujesz drogiego adwokata z Nowego Jorku, żeby zajął się moją sprawą? Czyba to właśnie proponujesz, prawda? Mnie na pewno nie byłoby na niego stać. Po śmierci Lance'a dostałam trzydzieści tysięcy dolarów z ubezpieczalni, a i to miałam sporo szczęścia. Wykupił polisę u jednego z chłopaków, z którymi spotykał się u Warringtonów. To miało być coś w rodzaju żartu, ale gdyby nie ten „żart”, zimą musiałabym sprzedać przyczepę. Być może w Western Savings lubią Dickiego Brooksa, ale nikogo nic nie obchodzi, co się dzieje z Mattie Stanchfield Devore. W bibliotece dostaję na rękę jakieś sto dolarów tygodniowo. Więc to ty chcesz płacić, prawda?

- Prawda.

- Dlaczego? Przecież nawet nas nie znasz.

- Dlatego, że... - Umilkłem. Wiele bym dał za to, żeby właśnie w tej chwili w mojej głowie zabrzmiał głos Jo. Nie musiałbym wtedy myśleć; wystarczyłoby, żeby słowo w słowo powtórzył wszystko, co mi powie. Niestety, Jo milczała. Musiałem radzić sobie sam. - Dlatego, że ostatnio nie robię

niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie - wykrztusiłem wreszcie, po raz kolejny zaskakując samego siebie. - Poza tym, znam was. Zjadłem posiłek, który przygotowałaś, czytałem Kii bajkę, mała zasnęła mi na rękach, a wtedy, kiedy zgarnąłem ją z szosy, kto wie, czy nie uratowałem jej życia? Oczywiście nigdy się tego nie dowiemy, ale tak przecież mogło być. Wiesz, co w takiej sytuacji mawiają Chińczycy?

Pytanie było raczej retoryczne, ponieważ nie oczekiwałem, że będzie znała odpowiedź, lecz czekało mnie zaskoczenie, bynajmniej nie ostatnie.

- Że jeśli ocalisz komuś życie, jesteś za niego odpowiedzialny.

- Zgadza się. Chodzi też trochę o to, co jest słuszne, a co nie, ale przede wszystkim jednak zależy mi na tym, żeby znowu zrobić coś sensownego. Kiedy patrzę wstecz na te cztery lata, które upłynęły od śmierci mojej żony, nie widzę tam niczego takiego. Nawet książki, w której stenotypistka o imieniu Marjorie spotyka przystojnego nieznajomego.

Zamyśliła się głęboko. Szosą przejechał ciągnik załadowany pniami ściętych drzew. Ogromne pnie kołysały się ciężko na boki niczym biodra otyłej kobiety.

- Tylko nam nie kibicuj - powiedziała cicho, ale zdecydowanie. - Nie kibicuj nam, tak jak on kibicuje swojej drużynie na boisku. Potrzebuję pomocy i zdaję sobie z tego sprawę, ale nie zgodzę się na coś takiego. Nie mogę się zgodzić. To nie mecz, a Ki i ja nie jesteśmy graczami. Czy to jasne?

-Całkowicie.

- Chyba domyślasz się, co będą gadali ludzie w miasteczku?

... - Owszem.

- Mam szczęście w życiu, nie sądzisz? Najpierw wycho-  
dzą za syna bogacza, a wkrótce po śmierci męża znajdują so-

bie innego, zamożnego opiekuna. Następny w kolejce czeka pewnie Donald Trump.

- Daj spokój.

- Sama bym w to chyba uwierzyła, gdybym była po tamtej stronie. Jestem tylko ciekawa, czy ktoś zauważy, że szczęściara Mattie wciąż mieszka w starej przyczepie i nie jest w stanie płacić składek na ubezpieczenie. Albo że gdyby nie opieka społeczna, jej dziecko pewnie nie dostałoby żadnej szczepionki. Moi rodzice umarli, kiedy miałam piętnaście lat. Mam brata i siostrę, ale oboje są znacznie ode mnie starsi i mieszkają daleko stąd. Rodzice pili; nie dręczyli mnie fizycznie, ale istnieje mnóstwo innych rodzajów tortur. Czulałam się trochę tak, jakbym mieszkała i dorastała w bardzo tanim i bardzo nędznym moteliku. Ojciec pracował w tartaku, matka była kosmetyczką. Jej największą życiową ambicją było posiadanie różowego cadillaca. On utonął w Kewadin Pond, ona pół roku później utopiła się we własnych rzygowinach. Jak ci się to podoba?

- Obawiam się, że nie bardzo.

- Po pogrzebie matki mój brat Hugh zaproponował, że zabierze mnie do siebie na Rhode Island, ale zorientowałam się, że jego żona nie jest zachwycona perspektywą powiększenia rodziny o piętnastoletnią pannicę, i w gruncie rzeczy trudno było mieć o to do niej pretensję. Poza tym, w szkole dopiero co zostałam przyjęta do cheerleaders. Teraz to może brzmi śmiesznie, ale wtedy było się czym chwalić.

Jasne, szczególnie jeśli pochodziło się z rodziny alkoholiczków. Starsze rodzeństwo już uciekło, więc już tylko ty sam możesz obserwować, jak choroba zamyka rodziców w coraz bardziej bezwzględny uścisku. To cholernie przygnębiające zajęcie. Ostatni gasi światło.

- W końcu wylądowałam u ciotki Florence, zaledwie

cztery kilometry od domu. Potrzebowałyśmy jakichś trzech tygodni, żeby stwierdzić, że nieszczególnie się lubimy, ale mimo to jakoś wytrzymałyśmy ze sobą przez dwa lata. Właśnie wtedy podczas wakacji dostałam pracę u Warringtonów i poznałam Lance'a. Kiedy poprosił o moją rękę, ciotka Flo odmówiła, a kiedy powiedziałam jej, że jestem w ciąży, palnęła mi wykład o emancypacji, równouprawnieniu i w ogóle.

- Zrezygnowałaś ze szkoły?

Skrzywiła się i skinęła głową.

- Nie chciałam, żeby przez pół roku ludzie obserwowali, jak puchnę niczym balon. Lance podtrzymywał mnie na duchu. Mówił, że przecież mogę później zdawać maturę ekstermistycznie, i zrobiłam to w zeszłym roku. To wcale nie było takie trudne. Teraz Ki i ja musimy dawać sobie radę same. Nawet gdyby ciotka zechciała nam pomagać, niewiele by to zmieniło, bo pracuje w Castle Rock w wytwórni goreteksu i zarabia jakieś szesnaście tysięcy dolarów rocznie.

Ponownie skinąłem głową. Ostatni czek z Francji opiewał właśnie na taką kwotę, a były to tantiemy tylko za jeden kwartał. Zaraz potem przypomniałem sobie coś, o czym Ki powiedziała mi wtedy, kiedy się poznaliśmy.

- Kiedy zabrałem Kyrę z szosy, powiedziała, że jeśli będziesz na nią zła, ucieknij do siwej niani. Skoro twoi rodzice nie żyją, kogo miała na... - Nie musiałem pytać. Wystarczyło pomyśleć i skojarzyć fakty. - Chodziło o Rogette Whitmore, asystentkę Devore'a? Ale to znaczy, że...

- Że Ki była u nich. Zgadza się. Aż do końca ubiegłego miesiąca pozwalałam jej dosyć często odwiedzać dziadka, no i Rogette. Zabierali ją raz albo dwa razy w tygodniu, a czasem zostawała nawet na noc. Lubi „siwego dziadzia”, a w każdym razie lubiła, i wprost szaleje za tą pokręconą kobietą.

Chociaż wieczór był ciepły, odniosłem wrażenie, że ciałem Mattie wstrząsnął dreszcz.

->- Devore zadzwonił do mnie, powiedział, że przyjeżdża na pogrzeb Lance'a, i zapytał, czy będzie mógł zobaczyć się z wnuczką. Był słodki jak plaster miodu, zupełnie jakby to nie on proponował mi pieniądze, kiedy Lance oświadczył, że zamierzamy się pobrać.

- A proponował?

- Aha. Zaczął od stu tysięcy dolarów. To było w sierpniu 1994, po tym, jak Lance zatelefonował do niego i powiadomił o ślubie, który miał być w połowie września. Nie powiedziałam nikomu ani słowa. Tydzień później oferta wzrosła do dwustu tysięcy.

- Czego oczekiwał w zamian?

- Żeby natychmiast spakowała manatki i wyjechała, nie podając nowego adresu. Tym razem powiedziałam o wszystkim Lance'owi, który wpadł w szal. Złapał za telefon, zadzwonił do ojca i oświadczył mu, że bierzemy ślub, bez względu na to, co on o tym sądzi, i że jeśli chce kiedykolwiek zobaczyć wnuka, to ma natychmiast przestać bruździć.

Przemknęło mi przez głowę, że gdyby chodziło o kogokolwiek innego, taka reakcja chłopaka byłaby stuprocentowo właściwa. Szanowałem go za nią. Problem polegał na tym, że nie miał do czynienia z rozsądnym człowiekiem, tylko z kimś, kto jako chłopak ukradł nowe sanki Scootera Larrabee.

- Propozycje składał mi telefonicznie sam Devore, zawsze wtedy, kiedy Lance'a nie było w pobliżu. Potem, jakieś dziesięć dni przed ślubem, odwiedził mnie Dickie Osgood. Podał mi numer telefonu w Delaware i kazał tam zadzwonić. Zrobiłam to i... - Pokręciła głową. - Nie uwierzysz mi, bo to historia jak z którejś z twoich książek.

- Może spróbuję zgadnąć?

- Jeśli chcesz.

- Chciał od ciebie kupić dziecko. Chciał kupić Kyrę.

Spojrzała na mnie oczami jak dwie monety. W niepewnym blasku sierpowatego księżyca wyraźnie widziałem jej zdumioną minę.

- Za ile? - zapytałem. - Jestem bardzo ciekaw. Ile dawał ci za to, żebyś urodziła dziecko, zostawiła je Lance'owi i rozplynęła się w sianej mgle?

- Dwa miliony dolarów - wyszeptała. - Miałyby zostać zdeponowane w dowolnym, wskazanym przeze mnie banku, byle na zachód od Missisipi. Byłyby moje od chwili, kiedy podpiszę dokument, w którym zobowiązuję się nie odwiedzać ani Kyrę, ani Lance'a, aż do dwudziestego kwietnia 2016.

- Czyli do jej dwudziestychpierwszych urodzin.

- Zgadza się.

- A Osgood, rzecz jasna, nie zna żadnych szczegółów, w związku z czym nic nie może zaszargać nieposzlakowanej opinii Devore'a w miasteczku.

- Aha. Te dwa miliony to był tylko początek. W piąte, dziesiąte, piętnaste i dwudzieste urodziny Ki dostawałabym po milionie dolarów. - Ponownie pokręciła głową, tym razem z niedowierzaniem. - W kuchni linoleum odłazi od podłogi, prysznic przecieka, ściany są coraz bardziej krzywe, a ja mogłabym mieć sześć milionów dolarów.

Czy kiedykolwiek brałaś pod uwagę możliwość przyjęcia tej propozycji? - pomyślałem, doskonale zdając sobie sprawę, że tego pytania nigdy nie zadam głośno.

- O tym też powiedziałaś Lance'owi?

- Wolałam tego nie robić. Już i tak był wściekły na ojca, więc nie chciałam pogarszać sytuacji. Nie chciałam, żeby początkowi naszego wspólnego życia towarzyszyło tyle niena-

wiści, nawet jeśli byłaby całkowicie uzasadniona... A poza tym bałam się, że... że kiedyś... wiesz...

- Bałaś się, że za dziesięć lat Lance powie: „Ty suko, przez ciebie poróżniłem się z ojcem!”

- Coś w tym rodzaju. Jednak w końcu okazało się, że nie potrafię utrzymać tego w tajemnicy. Pochodziłam z biednego domu, pierwsze rajstopy dostałam w wieku jedenastu lat, do trzynastego roku życia czesałam się w kucyki albo koński ogon, uważałam, że stan Nowy Jork i miasto Nowy Jork to to samo, a ten człowiek... ten niby-ojciec... zaproponował mi sześć milionów dolarów. Byłam przerażona. Śnił mi się, że przychodzi nocą jako troll i kradnie dziecko z kołyski. Wpełzał przez uchylone okno jak wąż...

- ...ciągnąc za sobą butlę z tlenem...

Uśmiechnęła się.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam ani o butli z tlenem, ani o Rogette Whitmore. Chcę tylko powiedzieć, że miałam siedemnaście lat i nie potrafiłam dochować tajemnicy.

Powiedziała to w taki sposób, że z trudem powściągnęłam uśmiech - zupełnie jakby tamtą niedoświadczoną, naiwną nastolatkę dzieliły całe dekady od dojrzałej, zgorzkniałej, cynicznej kobiety, którą miałem przed sobą.

- Lance się wściekł?

- I to tak bardzo, że zamiast dzwonić, zmailował do ojca. Wiesz, trochę się zacinał, a kiedy był naprawdę wzburzony, prawie nie mógł wykrztusić słowa.

Powoli obraz zaczynał się klarować. Lance Devore wysłał ojcu zupełnie niesłychany list - niesłychany z punktu widzenia Maksa Devore, ma się rozumieć. W liście napisał, że ani on, ani Mattie, nie chcą mieć ze starym nic wspólnego. Nie przyjmą go w swoim domu. (Co prawda stara przyczepa kempingowa w niczym nie przypominała zaczarowanej chat-

ki w lesie, ale w tej okolicy nie można było liczyć na nic lepszego). Nie zaproszą go, by obejrzał wnuczkę, kiedy ta wróci z matką ze szpitala. Będą odsyłać wszystkie prezenty, jakie, być może, jej wyśle. Precz z mojego życia, ojciec. Tym razem posunąłeś się za daleko.

Bez wątpienia istnieją dyplomatyczne metody postępowania z urażonymi dziećmi, ale odpowiedzcie sobie na takie oto pytanie: czy ojciec mający jakiegokolwiek, choćby najbledsze pojecie o dyplomacji, ugrzązłby w takiej sytuacji? Czy człowiek o choćby podstawowej wiedzy na temat ludzkiej natury zaproponowałby wybrance swego syna łapówkę (i to tak gigantyczną, że wręcz dla niej niewyobrażalną) za wyrzeczenie się pierworodnego dziecka? Czy złożyłby taką propozycję osóbcie w wieku lat siedemnastu, kiedy obowiązuje tylko jedno, romantyczne podejście do życia? Jeśli już, to Devore powinien przynajmniej trochę poczekać. Rzecz jasna możecie powiedzieć, że nie wiedział, ile czasu mu zostało, ale to nie jest dla mnie istotny argument. Mattie miała rację: w głębi swego skurczonego, pomarszczonego, przypominającego suszoną śliwkę serca, Max Devore święcie wierzył, że będzie żył wiecznie.

Nie zdołał nad sobą zapanować. Tam, za szybą, stały sanki, których pragnął. Wystarczyło zbić szybę i wyciągnąć ręce. Robił to całe życie, więc nie zareagował na e-mail syna z siłą i doświadczeniem należnymi jego wiekowi, lecz z wściekłością dziecka, które stwierdziło, że szyba w oknie nie poddaje się uderzeniom piąstek. Lance nie chce, żeby ojciec mieszał się w jego sprawy? Bardzo dobrze. Niech sobie mieszka ze swoją ukochaną w namiocie, przyczepie, albo nawet stodole. I lepiej niech od razu rozejrzy się za nową pracą. Przekona się na własnej skórze, co to jest prawdziwe życie.

Krótko mówiąc: to do mnie należy ostatnie słowo, synu.



Jesteś zwolniony.

- Nie wyobrażaj sobie, że podczas pogrzebu padliśmy sobie w ramiona - mówiła dalej Mattie. - Nic z tych rzeczy, ale zachowywał się wobec mnie całkiem przyzwoicie, co mnie zaskoczyło, więc starałam się odplacić tym samym. Zaproponował coś w rodzaju renty, ale odmówiłam. Bałam się, że będę z tym jakieś kłopoty prawne.

- Chyba niepotrzebnie, ale podoba mi się twoja ostrożność. Jak zareagował, kiedy po raz pierwszy zobaczył wnuczkę? Pamiętasz?

- Nigdy tego nie zapomnę. - Z kieszeni sukienki wyjęła wymiętą paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego, po czym przyjrzała mu się z mieszaniną odrazy i pożądania. - Rzuciłam palenie, bo Lance uważał, że nas na to nie stać, i miał rację. Ale trudno się pozbyć starych przyzwyczajęń. Teraz wypalam paczkę tygodniowo i choć dobrze wiem, że nawet to za dużo, to jednak czasem bardzo tego potrzebuję. Zapalisz?

Pokręciłem głową. W blasku, który przez krótką chwilę rzucał migotliwy płomyk zapalniczki, jej twarz nie była ani odrobinę ładna. Co z nią zrobił ten starzec? - zapytałem w duchu.

- Po raz pierwszy zobaczył ją przy katafalku. To było w Motton, w domu pogrzebowym Dakina, podczas „ostatniego widzenia”. Wiesz coś na ten temat.

- Och, tak - odparłem, myśląc o Jo.

- Co prawda trumna była zamknięta, ale oni i tak nazywają to „widzeniem”. Dziwne. Wyszłam na papierosa. Kazałam Kii usiąść na schodkach przed budynkiem, a sama odeszłam na bok, żeby mała nie wdychała dymu. I wtedy nadjechała ogromna szara limuzyna. Pierwszy raz widziałam coś takiego na własne oczy. Od razu domyśliłam się, kto to, schowałam papierosy do torebki i zawołałam Kię. Przyczła-

pała pomalutku i wzięła mnie za rękę. Zaraz potem otworzyły się drzwi i wysiadła Rogette Whitmore z maską tlenową w ręce, ale maska nie była potrzebna, w każdym razie nie wtedy. Zaraz za nią wysiadł wysoki mężczyzna (nie tak bardzo jak ty, Mike, ale wysoki) w szarym garniturze i czarnych półbutach błyszczących jak lusterka.

Umilkła, pogrążona głęboko w myślach. Czerwony punkcik papierosa powędrował na krótko w górę, po czym opadł na podłokietnik.

- W pierwszej chwili nic nie powiedział. Kobieta usiłowała wziąć go pod rękę i pomóc wejść po schodkach, ale odsunął ją i o własnych siłach podszedł do nas, choć już z daleka słyszałam świst i rżenie, z jakim powietrze przeciskało się do jego płuc. Chyba bardzo podobne odgłosy wydaje silnik tuż przed zatarciem. Nie wiem, ile jest w stanie przejść dzisiaj, ale chyba niewiele. Blisko rok temu tych kilka stopni prawie go wykończyło. Przyglądał mi się przez sekundę albo dwie, a potem oparł na kolanach wielkie kościste ręce, schylił się, spojrzał na Kyrę, a ona popatrzyła w górę na niego.

Tak, widziałem to... tyle że nie w kolorze, nie jak fotografię, tylko jak drzeworyt, jedną z surowych, czarno-białych ilustracji do „Baśni braci Grimm”. Małeńka dziewczynka wpatruje się szeroko otwartymi oczami w bogatego starca - który dawno, dawno temu był chłopcem zjeżdżającym triumfalnie z górki na ukradzionych sankach, a teraz jest workiem kości kiwającym się smętnie na drugim skraju życia. Na tym drzeworycie Ki ma na sobie kurtkę z kapturem, natomiast maska Devore'a z dobroduszną twarzą dziadka przesunęła się nieco na bok, odsłaniając wilczą sierść. Dziadku, jakie ty masz wielkie oczy... i nos... i zęby!

- Wziął ją na rękę. Nie mam pojęcia, ile wysiłku go to kosztowało, ale podniósł ją, a ona, co najdziwniejsze, pozwo-

liła na to. Widziała go po raz pierwszy w życiu, dzieci zazwyczaj boją się starych ludzi, a mimo to pozwoliła, żeby wziął ją na rękę. „Wiesz, kim jestem?” - zapytał. Potrząsnęła główką, ale patrzyła na niego w taki sposób, jakby... jakby wiedziała. Myślisz, że to możliwe?

-Tak.

- „Jestem twoim dziadkiem”, powiedział. Niewiele brakowało, żebym mu ją wtedy wyrwała, bo nie wiadomo skąd przyszło mi do głowy, że... że...

-Że ją zje?

Ognik papierosa znieruchomiał przy jej ustach. Oczy miała okrągłe ze zdziwienia.

- Skąd wiesz? Jak się domyśliłeś?

- Stąd, że kiedy tak cię słucham, wyobrażam sobie to wszystko jak scenę z bajki o Czerwonym Kapturku. I jak, co zrobił?

- Pożerał ją oczami. Od tamtej pory nauczył ją grać w bierki i domino, dodawać i odejmować. Ki ma u Warringtonów własny pokój z własnym komputerem, i jeden Bóg wie, co tam wyprawia... ale-wtedy, za pierwszym razem, po prostu wpatrywał się w nią najbardziej wygłodniałym wzrokiem, jaki widziałam w życiu. Kyra nie odwróciła spojrzenia. Wątpię, żeby to trwało dłużej niż dziesięć, może dwadzieścia sekund, ale dla mnie to była wieczność. Później chciał mi ją oddać, ale zabrakło mu sił, i gdybym nie stała dwa kroki od nich, chyba wypuściłby ją z rąk. Zachwiał się, a Rogette Whitmore natychmiast doskoczyła do niego i objęła go ramieniem. Właśnie wtedy pierwszy raz wziął od niej maskę tlenową połączoną przezroczystymi rurkami z małą butlą, przyłożył sobie do twarzy, głęboko odetchnął kilka razy i jakby trochę wrócił do siebie. Oddał maskę Rogette, po czym odwrócił się do mnie, jakby dopiero teraz mnie zauwa-

żył. „Byłem głupcem, prawda?” - zapytał. „Zgadza się, proszę pana. Też tak uważam”, odpowiedziałam. Zmierzył mnie ponurym spojrzeniem. Podejrzewam, że gdyby był o pięć lat młodszy, chyba by mnie uderzył.

- Ale nie zrobił tego?

- Nie. Powiedział tylko: „Chcę wejść do środka. Pomóżesz mi?” Skinęłam głową. Podtrzymywany z jednej strony przeze mnie, a z drugiej przez Rogette wspiał się po schodkach. Kyra szła za nami. Czułam się trochę jak dziewczyna z haremu i nie powiem, żeby to było miłe uczucie. W przed-sionku usiadł, żeby odpocząć i łyknać jeszcze trochę tlenu, a Rogette pochyliła się nad małą. Ta kobieta ma przerażającą twarz, zupełnie jak z jakiegoś obrazu, ale nie mogę sobie przypomnieć tytułu...

- Może „Krzyk” Muncha?

- Tak, to chyba ten. - Rzuciła niedopałek na ziemię (został właściwie sam filtr) i zdusiła go pod podeszwą białego sportowego pantofla. - Ale Ki wcale się nie przestraszyła. Ani wtedy, ani później. Rogette pochyliła się nad nią i zapytała: „Jaki jest rym do »pani«?”, a Kyra natychmiast wykrzyknęła: „Ani, ani!” Już w wieku dwóch lat uwielbiała rymowanki. Rogette wyjęła z torebki batonik czekoladowy. Ki spojrzała na mnie pytająco, a ja powiedziałam: „Możesz się poczęstować, tylko uważaj, żeby nie pobrudzić sukieneczki”. Natychmiast wepchnęła go sobie całego do buzi i uśmiechnęła się do Rogette tak promiennie, jakby od nie wiadomo jak dawna były najlepszymi przyjaciółkami. Przez ten czas Devore trochę odpoczął, ale wciąż wyglądał nie najlepiej. Szczerze mówiąc, nigdy przedtem nie widziałam człowieka z tak zmęczoną twarzą. Patrząc na niego myślałam o tym, co napisano w Biblii: że kiedy nadchodzi jesień życia, nie jesteśmy w stanie się nią cieszyć. Zrobiło mi się go żal. Chyba zobaczył to

na mojej twarzy, bo wyciągnął rękę i powiedział: „Nie odtrącaj mnie”. Przez chwilę patrzył na mnie oczami Lance'a. Rozpląkałam się i odpowiedziałam: „Nie zrobię tego, jeśli mnie pan nie zmusi”.

Wyobraziłem ich sobie w przedsionku domu pogrzebowego: stary mężczyzna w fotelu, ona stoi obok niego, małe dziecko dziewczynka obserwuje ich ze zdziwieniem, żując czekoladowy batonik. W tle przesłodziła muzyka organowa. Stary, nieszczęśliwy Max Devore w dzień pogrzebu swojego syna okazał się niezłym aktorem. „Nie odtrącaj mnie”, dobre sobie.

Spróbowałem cię przekupić, a kiedy mi się nie udało, podniosłem stawkę i zaproponowałem, że kupię dziecko. Kiedy ta próba również spełzła na niczym, oznajmiłem memu synowi, że jeśli taka wasza wola, to możecie wszyscy zdechnąć z głodu. W pewnym sensie jestem odpowiedzialny za to, że był tam, gdzie był, kiedy spadł i skręcił sobie kark, ale mimo to nie odtrącaj mnie, Matie. Jestem tylko starym nieszczęśliwym przykiem, więc nie odtrącaj mnie.

- Zachowałam się jak idiotka, prawda?

- Liczyłaś na to, że jest lepszy niż w rzeczywistości. Jeśli na tym polega głupota, to świat jest jej pełen.

- Wciąż jednak dręczyły mnie wątpliwości - podjęła Mattie. - Właśnie dlatego nie chciałam przyjąć od niego żadnych pieniędzy, aż wreszcie jakoś tak w październiku przestał się narzucać. Pozwalałam mu natomiast widywać się z Kyrą. Częściowo robiłam to chyba dlatego, iż w głębi duszy liczyłam, że w przyszłości Ki będzie coś z tego miała, ale przede wszystkim miałam na uwadze, że to, bądź co bądź, ojciec jej ojca. Chciałam, żeby ona też mogła nacieszyć się dziadkiem, tak jak inne dzieci, zależało mi natomiast na tym, żeby nie dotarło do niej nic z tego, co działo się przed śmiercią Lance'a.

Początkowo wszystko jakoś się układało, ale potem stopniowo zaczęły pojawiać się zmiany. Stwierdziłam na przykład, że Ki wcale aż tak bardzo nie przepada za swoim „sowym dziadzią”. Rogette traktowała wciąż w ten sam sposób, ale na Maksa Devore zaczęła reagować z coraz większą nerwowością, z powodów, których nie znam, a ona nie potrafi mi ich wytłumaczyć. Zapytałam ją kiedyś, czy jej dotykał, i pokazałam, o które miejsca mi chodzi. Zaprzeczyła. Wierzę jej, ale... Jestem prawie pewna, że powiedział albo zrobił coś niewłaściwego. ,<

- Może zaczął bardziej charczeć, a ona się tego boi, albo może była świadkiem jakiegoś ataku? - podsunąłem. - Dzieci boją się takich rzeczy.

- Być może. Jeszcze później, już w lutym, Lindy Briggs powiedziała mi, że George Footman sprawdzał w bibliotece gaśnice i czujniki pożarowe. Pytał też, czy Lindy ostatnio znajdowała w koszach na śmieci jakieś puszki po piwie, puste butelki albo niedopałki papierosów domowej roboty.

- Mówiąc inaczej, skrętów z marihuaną.

- Właśnie. W tym samym czasie Dickie Osgood zaczął odwiedzać moich dawnych znajomych i przyjaciół.

- Grzebał w przeszłości?

- Aha. Na szczęście niewiele może tam znaleźć.

Miałem nadzieję, że mówi prawdę, a nawet jeśli coś ukrywa, John Storrow z pewnością zdoła to z niej wyciągnąć.

- Nadal pozwalasz mu ją widywać?

- A co by to zmieniło, gdybym się nie zgodziła? Poza tym, liczyłam, że w ten sposób przynajmniej nie sprowokuję go do szybszego działania.

To akurat, moim zdaniem, nie miało większego sensu.

- Potem, na wiosnę, zaczęły mnie opadać różne złe przeżycia i niedobre myśli.

- Złe i niedobre? To znaczy jakie?

- Trudno powiedzieć... - Wyjęła papierosa, przez chwilę przyglądała im się ze zmarszczonymi brwiami, po czym wepchnęła je z powrotem do kieszeni. - Chodziło nie o to, że teść grzebie w moim życiu, szukając brudów, ale o Ki. Zaczęłam się bać o nią za każdym razem, kiedy z nim... kiedy z nimi była. W dni, kiedy Rogette miała po nią przyjechać nowiutkim BMW, Kyra od rana czekała na nią na schodkach. Jeśli wizyta miała trwać tylko do wieczora, zabierała ze sobą torbę z zabawkami, a jeśli do następnego dnia, miała swoje rzeczy w walizeczce z Myszką Miki. Zawsze wracała z jakąś nową rzeczą. Mój teść wierzy w siłę prezentów. Jeszcze zanim zapakowała małą do wozu, Rogette uśmiechała się do mnie lodowato i mówiła: „Przywiozę o siódmej, będzie już po kolacji”, albo: „Będzie jutro o ósmej, śniadanie, zje u nas”. Mówiłam wtedy „W porządku”, albo po prostu kiwałam głową, a ona wyciągała z torebki batonik czekoladowy i pokazywała Kyrze w taki sposób, w jaki pokazuje się smakołyk psu, który właśnie jest uczony, jak podawać łapę. Mówiła jakieś słowo, Kyra natychmiast rymowała, a wówczas Rogette rzuciła jej batonik i odjeżdżały. Punktualnie o siódmej wieczorem, albo o ósmej rano, BMW zatrzymywało się w tym samym miejscu, w którym teraz stoi twój samochód. Według tej kobiety można było regulować zegarek... Aleja coraz bardziej się niepokoiłam.

- Tym, że znudzą im się podchody i po prostu zabiorą ci dziecko?

Takie podejrzenie wydawało mi się w pełni uzasadnione - do tego stopnia nawet, iż trudno mi było pojąć, jak Mattie mogła się zgodzić, żeby jej dziecko przebywało sam na sam ze starym Devore'em. W sprawach o prawo do opieki nad dzieckiem, zresztą tak samo jak w życiu, kwestia posiadania odgrywa olbrzymią rolę. Jeśli Mattie mówiła prawdę o swo-

jej przeszłości i teraźniejszości, nawet komuś takiemu jak Devore mogło być trudno przekonać sędziego do swoich racji; w takiej sytuacji zwykła kradzież była znacznie prostszym, a przede wszystkim skuteczniejszym rozwiązaniem.

- Nie do końca - odparła po krótkim zastanowieniu. - Chyba byłoby to najlogiczniejsze, ale ja po prostu się bałam, nic więcej; Nie miałam żadnego konkretnego powodu. Piętnaście po szóstej siedziałam w gęstniejącym mroku i myślałam: „Tym razem ta siwa suka na pewno jej nie przywiezie. Tym razem...”

Czekałam, ale nie dokończyła, więc wreszcie zapytałam:

- „Tym razem” co?

- Mówię ci: nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że od wiosny coraz bardziej bałam się o Kyrę. W czerwcu nie byłam już w stanie tego wytrzymać i przerwałam wizyty. Od tamtej pory Kyra wciąż ma do mnie pretensję. Jestem prawie pewna, że ta jej wyprawa z czwartego lipca też ma z tym związek. Prawie nie wspomina o dziadku, ale od czasu do czasu wyskakuje z pytaniami w rodzaju: „Jak myślisz, mamusiu, co teraz robi siwa niania?”, albo „Myślisz, że siwej niani spodobałaby się moja nowa sukienka?”, a czasem podbiega do mnie, wykrzykując „Piłeczka, gruszczyk, piłeczka, gruszczyk!”, albo „Rura, góra, rura, góra!” i domaga się nagrody.

- Jak zareagował Devore?

- Wpadł w straszliwą wściekłość. Wydzwaniał bez przerwy, najpierw żądał wyjaśnień, a potem zaczął mi grozić.

- Groził użyciem przemocy fizycznej?

- Nie. Odebraniem praw rodzicielskich. Mówił, że mi ją zabierze, a wtedy cały świat zobaczy, jaką byłam wyrodną matką, że nie mam najmniejszych szans, że powinnam sama ustąpić i natychmiast, ale to natychmiast pozwolić mu znowu



widywać wnuczkę.

Skinąłem głową.

- „Nie odtrącaj mnie” zupełnie nie pasowało do człowieka, który zadzwonił do mnie podczas pokazu ogni sztucznych. To pasuje jak ulał.

- Dzwonił też Dickie Osgood i jeszcze paru ludzi z okolicy, w tym Ritchie Lattimore, dobry przyjaciel Lance'a. Powiedział mi, że nie dochowuję wierności pamięci o mężu.

- A George Footman?

- Przejeżdża tędy od czasu do czasu, żebym wiedziała, że ma mnie na oku. Na razie nie dzwonił ani się nie zatrzymał. Pytałeś o groźby użycia przemocy fizycznej; sam widok radiowozu Footmana jest dla mnie taką groźbą. Ten człowiek mnie przeraża... ale ostatnio i tak boję się wszystkiego.

- Chociaż Kyra nie jeździ już do dziadka?

- Tak. Mam wrażenie, że nadciąga burza, że lada chwila coś się zdarzy. To uczucie narasta z dnia na dzień.

- Czy podać ci numer telefonu Johna Storrowsa? - zapytałem.

Przez chwilę siedziała w milczeniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, po czym podniosła głowę i skinęła nią.

- Podaj mi go. Dziękuję ci. Z całego serca.

Wyjąłem z kieszeni na piersi małą różową karteczkę i podałem ją dziewczynie. Wyciągnęła rękę, ale nie wzięła jej od razu. Nasze palce zetknęły się, ona zaś wpatrywała się we mnie nieruchomym, przenikliwym spojrzeniem, jakby wiedziała o mnie i o motywach mojego postępowania więcej niż ja sam.

- Jak mogę ci się odwdziżyć? - zapytała wreszcie.

- Powtarzając Johnowi tę historię, którą mi opowiedziałaś. — Wsunąłem jej kartkę między palce i podniosłem się z krzesła. - To wystarczy. Muszę już uciekać. Zadzwonisz

i powiesz, jak ci z nim poszło?

- Jasne.

Podeszliśmy do samochodu. Przez chwilę myślałem, że obejmie mnie i uściska z wdzięcznością, co, biorąc pod uwagę nasz nastrój, mogłoby mieć trudne do przewidzenia następstwa. Co prawda byłoby to "bardzo melodramatyczne, ale przecież uczestniczyliśmy w melodramacie skrzyżowanym z bajką, w którym było dobro i zło, a wszystko obficie za^prawione seksem.

Już, już, wydawało się, że to zrobi... lecz właśnie wtedy zza wzgórza, na którym stał sklep samoobsługowy, wyłoniły się rozjarzone reflektory, na krótko wydobyły z ciemności opustoszały warsztat samochodowy, omiotły nas snopem światła i zaczęły się szybko zbliżać. Mattie cofnęła się o krok i ukryła ręce za plecami, jak dziecko przyłapanie na jakiejś psocie. Po chwili samochód minął nas i znowu zapadł mrok, ale czar prysł... jeśli w ogóle można było mówić o jakimś czarze.

- Dzięki za kolację - powiedziałem. - Było bardzo miło.

- A ja dziękuję za prawnika. Jestem pewna, że on też okaże się bardzo miły. - Oboje parsknęliśmy śmiechem. Napięcie minęło. - Wiesz, on kiedyś wspomniał o tobie. Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.

- To dziwne, że w ogóle wiedział o moim istnieniu.

- Och, wiedział, i to doskonale. Wyrażał się o tobie z wielkim podziwem.

- Chyba żartujesz?

- Wcale nie. Opowiadał, że wasi pradziadkowie pracowali razem w lesie i byli sąsiadami. Zdaje się, że mieszkali w pobliżu miejsca, gdzie teraz jest przystań Boyda. „Srali pod tym samym drzewem”, tak to ujął. Urocze, prawda? Jego zdaniem, skoro potomkowie dwóch prostych drwali z TR zostali milionerami, to system działa prawidłowo. „Nawet

jeśli trzeba było czekać trzy pokolenia". Wtedy odebrałam to jako zakamuflowany wyrzut pod adresem Lance'a.

- Nie wiem, co chciał w ten sposób osiągnąć, ale to stek wierutnych bzdur - odparłam. - Moja rodzina pochodzi z wybrzeża, z okolic Prout's Neck. To drugi koniec stanu. Mój ojciec był rybakiem, tak samo jak jego ojciec i dziadek, czyli mój pradziadek. Łowili homary i ryby, ale nie ścinali drzew.

Mówiłem prawdę, lecz moja podświadomość gwałtownie usiłowała powiązać rewelacje Mattie z moimi zagrzebanymi głęboko wspomnieniami. Chwilowo bezskutecznie, ale wiele wskazywało na to, że nie da łatwo za wygraną.

- Może więc miał na myśli kogoś z rodziny twojej żony?

- Na pewno nie. Owszem, w Maine jest trochę Arlenów, bo to duża i rozgałęziona rodzina, ale większość mieszka w Massachusetts. Teraz zajmują się różnymi rzeczami, ale pod koniec ubiegłego wieku prawie wszyscy pracowali w kamieniołomach w okolicy Malden i Lynn. Devore po prostu wpuścił cię w maliny. ~ —^

Jednak już w chwili, kiedy mówiłem te słowa, zdawałem sobie sprawę, że nie są prawdziwe. Może coś pomylił, może przekręcił parę szczegółów (w wieku osiemdziesięciu pięciu lat nawet najbystrzejszy gość może mieć problemy z pamięcią), ale Max Devore nie należał do ludzi wygadujących rozmaite bzdury tylko po to, żeby coś powiedzieć. Miałem wrażenie, że tu, pod ziemią, pod moimi stopami, rozciąga się niewidoczna sieć kabli, którymi płynie prąd o ogromnym napięciu.

Mattie musnęła palcami moją rękę opartą na drzwiach samochodu.

- Mogę cię jeszcze o coś zapytać? Ale uprzedzam, że to będzie bardzo głupie pytanie.

- Wal śmiało. Specjalizuję się w udzielaniu odpowiedzi na głupie pytania.

- Czy wiesz, o czym tak naprawdę jest „Bartleby” Melville'a?

Chciało mi się śmiać, ale w blasku księżyca całkiem wyraźnie widziałem jej poważną twarz, więc bez wątpienia mocno bym ją zranił, gdybym dał upust swej niewczesnej wesołości. Bądź co bądź, należała do kółka czytelniczego Lindy Briggs (pod koniec lat osiemdziesiątych uczestniczyłem jako gość honorowy w jednym z zebrań), z pewnością była tam najmłodsza i nie chciała się ośmieszyć.

- Na najbliższym zebraniu mam zabrać głos jako pierwsza i chciałabym powiedzieć coś więcej, a nie tylko streścić opowiadanie. Myślałam tak długo, aż rozbolała mnie głowa, ale niczego nie wymyśliłam. Wątpię, czy to jedna z owych historii, w których wszystko wyjaśnia się na kilku ostatnich stronach, a jednocześnie czuję... jestem pewna, że rozwiązanie jest tuż-tuż, tylko nie potrafię go dostrzec.

Jej słowa ponownie przywiodły mi na myśl podziemną sieć potężnych kabli, biegnących we wszystkich kierunkach, łączących miejsca i ludzi. Są niewidoczne, ale można wyczuć ich obecność. Szczególnie jeśli chce się przed nimi uciec. Tymczasem Mattie czekała, wpatrując się we mnie z mieszaniną nadziei i niepewności.

- W porządku. Słuchaj uważnie, bo zaczynam wykład.

- Słucham, możesz być pewien.

- Większość krytyków uważa, że pierwszą współczesną amerykańską powieścią był „Huckleberry Finn”, i mają sporo racji, ale gdyby „Bartleby” był o jakieś sto stron dłuższy, moim zdaniem właśnie jemu należałaby się palma pierwszeństwa. Czy wiesz, kim był skryba?

- Sekretarzem?

- Przesada. Kopistą. Mniej więcej kimś takim jak Bob Cratchit w „Opowieści wigilijnej”. Dickens obdarzył Boba przeszłością i życiem rodzinnym, Melville nie dał Bartleby'emu nic. To pierwsza egzystencjalna postać w amerykańskiej literaturze, człowiek nie związany... nie związany...

Potomkowie dwóch drwali, którzy zostali milionerami. Srali pod tym samym drzewem.

- Mikę...

- Słucham?

- Wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście. - Spróbowałem się skoncentrować. - Bartleby'ego wiąże z życiem jedynie jego praca. W tym sensie bardzo przypomina dwudziestowiecznego Amerykanina, na przykład Człowieka w Szarym Flanelowym Garniturze Sloana Wilsona, albo (w czarniejszej wersji) Michaela Corleone z „Ojca chrzestnego”. Jednak po pewnym czasie Bartleby zaczyna kwestionować nawet sens pracy, czyli sens istnienia boga wszystkich Amerykanów płci męskiej, należących do klasy średniej.

Była wyraźnie podekscytowana, ja zaś pomyślałem, iż to wielka szkoda, że nie dokończyła nauki w szkole średniej.

Nie tylko ze względu na nią, ale i na jej nauczycieli.

- Czy właśnie dlatego zaczyna powtarzać: „Wolałbym nie”?

- Tak jest. Traktuj Bartleby'ego jak... jak balon na ogrzane powietrze. Z ziemią łączy go już tylko jedna lina: jego praca, ale jest mocno zetłała, o czym świadczy rosnąca liczba rzeczy, których nie chce mu się robić. Wreszcie lina pęka i Bartleby odlatuje. To dość niepokojąca historia, prawda?

- Przyśnił mi się którejś nocy - powiedziała Mattie. -

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam go siedzącego na schodkach w jego starym czarnym garniturze. Był bardzo chudy, prawie łysy. „Czy zechce pan się przesunąć? - zapytałam. Muszę wyjść, żeby powiesić pranie”. A on na to: „Wolałbym nie”. Tak, to rzeczywiście było niepokojące.

- A więc opowiadanie wcale się nie zestarzało - stwierdziłem, po czym wsiadłem do samochodu. - Zadzwoń do mnie i powiedz, jak ci poszło z Johnem Storrowem.

- Zadzwonię. Pamiętaj: zrobię wszystko, żeby ci się odwdzińczyć.

Wszystko? Jak bardzo trzeba być młodym, jak cudownie naiwnym, żeby wystawiać taki czek in blanco? Szyba po stronie kierowcy była opuszczona. Sięgnąłem na zewnątrz i uściśnąłem jej rękę, a ona odpowiedziała równie mocnym uściskiem.

- Pewnie bardzo brakuje ci żony?

-Czy to widać?

- Czasem. - Wciąż trzymała mnie za rękę. - Kiedy czytałaś Kii bajkę, wyglądałaś jednocześnie na szczęśliwego i smutnego. Widziałam twoją żonę tylko raz, i natychmiast pomyślałam, że jest bardzo piękna.

Przestałem myśleć o tym, że trzymamy się za ręce, i skoncentrowałem się na jej słowach.

- Pamiętajsz, kiedy ją widziałas? I gdzie to było?

Uśmiechnęła się pobłaźliwie, jakbym zadał niezbyt mądre pytanie.

- Oczywiście, że pamiętam. Na boisku, tego wieczoru, kiedy poznałam Lance'a.

Powoli, bardzo powoli cofnąłem rękę. Do tej pory wydawało mi się, że latem 1994 roku ani Jo, ani ja nie byliśmy w tej okolicy, ale teraz wyglądało na to, że nie miałem racji. Jo zjawiała się tu we wtorek na początku lipca i nawet poszła

obejrzeć mecz.

- Jesteś pewna, że to była ona? - zapytałem.

Mattie patrzyła nad moją głową w kierunku drogi. Byłem gotów iść o zakład - o każdy zakład - że myśli nie o Jo, tylko o swoim mężu. I bardzo dobrze. Gdyby było inaczej, mogłaby przyjrzeć mi się uważniej, a ja wcale nie byłem pewien, czy potrafię zapanować nad swoją twarzą. Zbyt wiele dałoby się z niej wyczytać.

- Tak - odparła po chwili. - Stałam z Jenną McCoy i Helen Geary. To było już po tym, jak Lance pomógł mi wypchnąć z błota taczkę z beczką piwa i zapytał, czy po meczu idę razem ze wszystkimi na pizzę. Jenna powiedziała: „Patrz, jest pani Noonan”, a Helen: „To żona tego pisarza. Ale ma fajną bluzkę!” Bluzka była w błękitne różyczki.

Doskonale pamiętałem tę bluzkę. Jo lubiła ją, ponieważ był to żart: błękitne róże nie istnieją. Pewnego dnia, kiedy miała ją na sobie, niespodziewanie zarzuciła mi ręce na szyję, przywarła do mnie biodrami i wyszeptała, że jest moją błękitną różyczką i że muszę pieścić ją tak długo, aż się zaróżowi. To było bardzo bolesne wspomnienie.

- Stała przy trzeciej bazie, zaraz za siatką, z jakimś gościem w starej brązowej kurtce z łatami na łokciach. Zaśmiewali się z czegoś do rozpuku, a potem ona pochyliła głowę i spojrzała prosto na mnie. - Mattie umilkła, przez jakiś czas stała bez ruchu obok samochodu, po czym zebrała włosy z tyłu jedną ręką, uniosła je, a następnie pozwoliła im opaść z powrotem na kark. - Prosto na mnie - powtórzyła. - Na pewno mnie widziała. Wyglądała tak jakoś... Niby się śmiała, ale jej spojrzenie było bardzo smutne. Zupełnie jakby mnie znała. A potem ten człowiek objął ją i poszli sobie.

Znowu cisza, jeśli nie liczyć cykania świerszczy i odległe-

go pomruku silnika jakiejś ciężarówki. Mattie jeszcze przez parę sekund stała nieruchomo, jakby śniła z otwartymi oczami, aż wreszcie ocknęła się i spojrzała na mnie.

- Czy coś nie w porządku?

- Nie. Jestem tylko ciekaw, kim był ten człowiek z moją żoną.

Roześmiała się niepewnie.

- Raczej nie jej kochankiem, bo był od niej znacznie starszy. Tak na oko, miał co najmniej pięćdziesiąt lat.

I co z tego? - przemknęło mi przez głowę. Ja miałem czterdzieści, ale to bynajmniej nie oznaczało, że nie dostrzegalem poruszeń ciała Mattie pod cienką czerwoną sukienką albo tego, w jaki sposób zgarnia sobie włosy z karku.

- Chciałam powiedzieć, że... Chyba nie myślisz tego poważnie?

- Sam nie wiem. Coraz więcej jest rzeczy, których nie rozumiem. Tak czy inaczej, Jo już nie żyje, więc jakie to może mieć znaczenie?

Mattie była wyraźnie zażenowana.

- Przykro mi, jeśli sprawiłam ci przykrość.

- Kim był ten człowiek? Znasz go?

Pokręciła głową.

- Pomyślałam sobie, że to jakiś letnik, bo trochę wyglądał na takiego, ale nawet "jeśli tak było, on nie mieszkał u Warringtonów. Znałam z widzenia wszystkich, którzy się tam zatrzymali. >

- I mówisz, że odeszli razem?

- Tak... -potwierdziła z ociąganiem.

- W kierunku parkingu.

- T...tak.

Kłamała. Wiedziałem to ze stuprocentową pewnością. To nie była żadna intuicja, tylko raczej telepatia. Ponownie wy-



sunąłem rękę przez okno i zacisnąłem palce na jej dłoni.

- Powiedziałaś niedawno, że zrobisz wszystko, żeby mi się odwdzięczyć. Masz teraz okazję. Mów prawdę, Mattie.

Przygryzła wargę, opuściła wzrok na nasze złączone dłonie, po czym spojrzała mi w twarz.

- To był dość tęgi, krzepki mężczyzna. Mógłby być nauczycielem, ale i stolarzem. Miał ciemne włosy, był opalony. Śmiali się z czegoś głośno, a potem ona spojrzała na mnie i przestała się śmiać. Zaraz potem objął ją i odeszli, ale nie na parking, tylko w kierunku Dróżki.

A więc mogli iść wzdłuż brzegu jeziora aż do Sary Laughs. A co dalej? Któż to wie?

- Nie powiedziała mi, że przyjeżdżała tutaj tamtego lata. Mattie dwa albo trzy razy otwierała usta, ale najwyraźniej za każdym razem dochodziła do wniosku, że lepiej nic nie mówić. Cofnąłem rękę. Na mnie był już czas. Szczerze mówiąc, żałowałem trochę, że nie odjechałem pięć minut wcześniej.

- Mike, jestem pewna, że...

- Nie - przerwałem jej. - Nie jesteś. Nikt nie jest niczego pewien: ani ty, ani ja. Bardzo ją kochałem, więc spróbuję po prostu o tym zapomnieć. Najprawdopodobniej to nic istotnego, a poza tym... Co innego mogę zrobić? Jeszcze raz dziękuję za kolację.

- To ja dziękuję. - Mattie wyglądała tak, jakby miała się lada chwila rozplakać, więc jeszcze raz wziąłem ją za rękę i pocałowałem w palce. - Czuję się jak idiotka.

- Nie jesteś idiotką.

Ponownie pocałowałem ją w rękę, uruchomiłem silnik i odjechałem. Tak właśnie wyglądała moja randka, pierwsza od czterech lat.

W drodze do domu rozmyślałem o starej prawdzie, że nigdy nie uda się poznać do końca nawet najbliższego nam

człowieka. Łatwo o tym mówić, ale kiedy przekonujemy się na własnej skórze, że tak jest w rzeczywistości, czujemy się jak pasażerowie samolotu, który w trakcie spokojnego, przebiegającego bez żadnych zakłóceń lotu niespodziewanie wpada w gigantyczne turbulencje. Często wracałem pamięcią do naszej pierwszej wizyty u lekarza po tym, jak przez dwa lata bezskutecznie usiłowaliśmy spłodzić dziecko. Lekarz powiedział nam, że w moim nasieniu jest mało plemników - może nie tragicznie mało, ale prawdopodobnie właśnie ich niewystarczająca liczba stanowi główną przyczynę naszych niepowodzeń.

- Jeśli bardzo zależy wam na dziecku, przypuszczalnie zdołacie je wyprodukować bez żadnej ingerencji z zewnątrz - stwierdził. - Rachunek prawdopodobieństwa i czas działają na waszą korzyść. To się może zdarzyć już jutro, ale być może będziecie musieli poczekać jeszcze cztery lata. Czy dochowacie się sporej gromadki? Raczej nie, ale macie spore szansę na dwójkę, a całkiem duże na jedno, oczywiście pod warunkiem, że nie będziecie ustawać w wysiłkach. - Uśmiechnął się szeroko. - W końcu cała przyjemność w tym, żeby gonić króliczka, prawda?

Rzeczywiście, przyjemności było co niemiara, dzwonek na szyi Buntera dzwonił bardzo często, ale dziecko wciąż się nie pojawiało. Potem Johanna umarła w gorący dzień na parkingu przed supermarketem, a w jej torebce znalazłem między innymi test ciążowy. Nie wspomniała ani słowem, że zamierza go kupić, podobnie jak nie powiedziała mi, że kupiła plastikowe sowy, które miały odstraszyć wrony srające nam na taras.

Czego jeszcze mi nie powiedziała?

- Przestań - wymamrotałem przez zaciśnięte zęby. - Przestań o tym myśleć, na litość boską!

Nie mogłem.

Po powrocie do Sary stwierdziłem, że magnesiki na drzwiach lodówki znowu zostały poprzesuwane. Tworzyły okrąg, wewnątrz którego znalazły się trzy litery:

Przesunąłem „o” w górę, gdzie, jak mi się wydawało, było jego miejsce. W ten sposób powstało słowo „god”, czyli „bóg”, albo kaleka wersja „good”, czyli dobrze. Co to mogło oznaczać?

- Mógłbym wysnuć na ten temat co najmniej kilka domysłów, ale wolę tego nie robić y oznajmiłem pustemu domowi. " ~~~

Spojrzałem na Buntera w nadziei, że odezwie się dzwonek zawieszony na jego stoczony przez mole szyi; nic takiego nie nastąpiło, więc otworzyłem obie torebki z magnesikami, umieściłem je w nieładzie na drzwiach lodówki, po czym przeszedłem do północnego skrzydła, rozebrałem się i przystąpiłem do mycia zębów.

Obnażywszy kły w pienistym grymasie zastanawiałem się, czy nazajutrz rano zadzwonić ponownie do Warda Hankinsa i powiedzieć mu, że moje polowanie na plastikowe sowy przesunęło się z listopada 1993 na lipiec 1994? Jakie spotkania Jo zaplanowała na ten miesiąc? Jakie miała wymówki, żeby wyjechać z Derry? Po rozmowie z Wardem mógłbym zatelefonować do Bonnie Amudson, przyjaciółki Johanny, i wyciągnąć z niej wszystko, co wiedziała o ostatnim lecie w życiu mojej żony.

A może tak zostawiłbyś ją w spokoju? - zadzwieczał mi w głowie głos UFO. Co chcesz osiągnąć? Dlaczego nie zadowolisz się wyjaśnieniem, że wpadła do TR wracając skądś do domu, przypadkowo spotkała starego znajomego i zaprosiła go na przekąskę?

I nawet o tym nie wspomniała? - zaatakował głos, wy-

plułem spienioną pastę, wypłukałem usta. - Nigdy, ani słowem?

Jesteś tego pewien? - skontrolował głos, a ja znieruchomiałem jak słup soli, z ręką wyciągniętą ku szafce z przyborami toaletowymi. To był celny strzał. W lipcu 1994 tkwiłem po uszy w „Upadku”. Gdyby Jo weszła wtedy do gabinetu i powiedziała, że właśnie widziała Freda Astaire'a tańczącego na naszym trawniku z królową Elżbietą, i że do tańca przygrywała im orkiestra pod batutą Josefa Straussa młodszego, przypuszczalnie wymamrotałbym coś w rodzaju: „Naprawdę, kochanie? To miłe, nie uważasz?”

- Bzdura - powiedziałem do swojego odbicia. - Choler-na bzdura.

Tyle że to wcale nie była bzdura. Pracując intensywnie nad książką, w znacznym stopniu traciłem kontakt ze światem. Nawet lektura gazety ograniczała się wtedy do pobieżnego przejrzania stron sportowych. Tak, było całkiem prawdopodobne, że Jo opowiedziała mi o tym, jak w drodze powrotnej z Lewiston albo Freeport zajrzała na chwilę do TR. Było całkiem prawdopodobne, że opowiedziała mi o tym, jak przypadkowo spotkała starego znajomego - na przykład któregoś z uczestników seminarium w Bates w roku 1991. Było całkiem prawdopodobne, że opowiedziała mi, jak zjedli posiłek na naszym tarasie. Było całkiem prawdopodobne, że opowiedziała mi to wszystko, a ja nie zarejestrowałem ani jednego słowa.

Poza tym, czy naprawdę byłem tak naiwny, by przypuszczać, że usłyszę od Bonnie Amudson cokolwiek, w co mógłbym uwierzyć? Bonnie nie była przecież moją przyjaciółką, tylko Jo, i wcale nie musiała uznać, że minął już okres karencji na sekrety, które zdradziła jej Johanna.

Ostateczny wniosek był równie prosty co brutalny: Jo nie żyje od czterech lat. Powiniennem kochać ją nadal i nie za-

przątać sobie głowy żadnymi kłopotliwymi pytaniami. Po-  
ciągnąłem potężny haust wody, wypłukałem usta i wypłułem  
wodę do umywalki.

Kiedy wróciłem do kuchni, żeby nastawić na siódmą ra-  
no timer w ekspresie do kawy, w utworzonym z magnesów  
kółku na drzwiach lodówki ujrzałem nową wiadomość.

Brzmiała następująco:

błękitne różyczki kłamca ha ha

Wpatrywałem się w nią przez kilka sekund, zastanawiając  
się, kto ją tu umieścił i po co.

I czy jest prawdziwa.

Wreszcie rozgarnąłem kolorowe literki na boki, tak że nie  
tworzyły już żadnego napisu, a następnie poszedłem spać.

## Rozdział 13

Kiedy miałem osiem lat, zachorowałem na odrę. Choroba miała wyjątkowo ciężki przebieg. „Myślałem już, że umrzesz” - powiedział mi kiedyś ojciec, który nie był człowiekiem skłonny do przesady. Opowiedział mi, jak razem z matką zanurzali mnie w wannie z lodowatą wodą, prawie pewni, że moje serce tego nie wytrzyma, ale całkowicie pewni, że jeśli czegoś natychmiast nie zrobią, spłonę na ich oczach. Podobno opowiadałem głośno i monotonnie o rozmaitych świetlistych postaciach, które zgromadziły się wokół łóżka (matka była przekonana, że to aniołowie przyszli po moją duszę), a po ostatnim mierzeniu temperatury przed lodowatą kąpielą słupek rtęci zatrzymał się na 41.1 stopniach Celsjusza. Później rodzice bali się ponownie zmierzyć mi temperaturę.

Co prawda nie przypominam sobie żadnych świetlistych postaci, za to pamiętam dobrze, że przez pewien czas czułem się tak, jakbym siedł korytarzem, na którego ścianach wyświetlano kilka filmów równocześnie. Świat stał się elastyczny, wybrzuszał się tam, gdzie nigdy bym się tego nie spodziewał, rozmazywał się tam, gdzie zawsze był stały. Ludzie (w większości nieprawdopodobnie wysocy) wbiegali i wybiegali z pokoju na cienutkich, pajęczych nóżkach, mówili zaś potwornie grubymi głosami, wywołującymi donośne echa. Ktoś potrząsał mi przed oczami parą dziecięcych bucików. Sidy, mój brat, co chwila wsadzał rękę pod koszulę i poruszał szybko ramieniem, imitując odgłos puszczenia wiatrów. Zamiast ciągłości wydarzeń doświadczałem ich fragmentacji; przesuwwały się przede mną niczym sznur trujących parówek.

W okresie oddzielającym tamte chwile od lata, kiedy wró-

ciłem do Sary Laughs, zmagalem się z wieloma pospolitymi zakażeniami, infekcjami oraz innymi przykrościami, nigdy jednak nie przydarzył mi się tak koszmarne atak gorączki jak wtedy, kiedy miałem osiem lat. Chyba nie wierzyłem, że coś takiego w ogóle może mnie spotkać, przypuszczając zapewne, iż tego rodzaju doświadczenia przytrafiają się wyłącznie dzieciom chorym na malarię oraz, być może, ofiarom najcięższych załamania nerwowego. Jednak w nocy z siódmego na ósmego lipca przeżyłem coś, co bardzo przypominało tamto, dziecięce delirium. Sen, jawa, ruch - nie sposób było ich odróżnić. Spróbuję opisać to przeżycie, najlepiej jak potrafię, zdaję sobie jednak sprawę, iż w żaden sposób nie zdolam oddać jego niesamowitości. Było to trochę tak, jakbym odkrył tajemne przejście ukryte w ścianie oddzielającej nasz świat od sąsiedniego, i wczuł się tam pod osłoną nocy.

Najpierw usłyszałem muzykę. Nie dixie, bo bez blachy, ale bardzo do niej podobną, prymitywną, wirującą bebop. Trzy albo cztery gitary akustyczne, organki, jeden albo dwa kontrabasy. Za tym wszystkim pulsował mocny, radosny rytm, brzmiący tak, jakby jakiś zdolny perkusista bębnił w kartonowe pudła rozmaitej wielkości. Po chwili dołączył kobiecy głos - trochę przypominał tenora, ale jednak był zdecydowanie bardziej kobiecy niż męski, trochę chrypnący na wysokich dźwiękach. Śmiał się, ponaglał i zlorzeczył, a ja od razu pojąłem, że słyszę Sarę Tidwell, która przez całą karierę nie nagrała ani jednej płyty. Słuchałem Sary Laughs. Retty, ale dawała!

Lada dzień wrócimy do MANDerley,  
Zatańczymy znowu na SANDerley,  
Ja zaśpiewam znów z BANDerley,  
Wszystko będzie jak kiedyś w CANDerley,  
Ech, życie piękne jest!

Kontrabasy - tak, z pewnością były dwa - wykonały wstawkę trochę podobną do tej z Presleyowskiej wersji „Baby Let's Play House”, po czym rozległo się gitarowe solo Sary Tidwell.

W mroku zamigotały światełka, a ja przypomniałem sobie inny kobiecy głos, Claudine Clark z lat pięćdziesiątych: „Migają światła kolorowe... To zabawa trwa, to bal kręci się...” Światełka zamieniły się w japońskie lampiony zawieszane na gałęziach drzew nad schodami z podkładów kolejowych prowadzących z domu nad wodę. Ciemność rozpraszała magiczne kręgi kolorowego światła: czerwone, błękitne i zielone.

Za moimi plecami Sara śpiewała refren piosenki o Manderley („Mama żyje szybko, mama żyje raz, mama żyje prędko, na pełen gaz”), ale dźwięki coraz bardziej cichły, tak jakby estrada znajdowała się na podjeździe, mniej więcej tam, gdzie George Footman zaparkował swój radiowóz, kiedy przywiózł mi wezwanie do sądu. Schodziłem nad jezioro, przecinając kolejne kręgi magicznego blasku, pod lampionami otoczonymi przez ćmy o miękkich skrzydłach. Jedna z nich dostała się do środka i teraz rzucała groźny roztrzepotany cień na papierowy abażur. W skrzynkach na kwiaty, które Jo ustawiła wzdłuż schodów, kwitły nocne róże. W różnokolorowym świetle japońskich lampionów wydawało się, że są błękitne.

Muzyka docierała do moich uszu już jedynie jako niewyraźny pomruk. Słyszałem śmiech Sary, słyszałem jej głos, ale nie byłem w stanie rozróżnić słów. Zagłuszał je plusk fal obmywających skały u podnóża schodów, głuche pobrzękiwanie metalowych pływaków pod platformą i dobiegające od czasu do czasu z ciemności wołanie nurów. Po prawej stronie, na Dróżce, nad samym brzegiem stał jakiś człowiek. Nie



mogłem dostrzec jego twarzy, natomiast wyraźnie widziałem brązową marynarkę z łatanami na łokciach i koszulkę, którą miał pod spodem. Na koszulce znajdował się jakiś napis, częściowo zasłonięty połami marynarki, w związku z czym wi- dać było tylko tyle:

ICZBA

LEMNIK

ORMI

Ja jednak, jak to się zwykle dzieje w snach, doskonale wiedziałem, co tam jest napisane: LICZBA PLEMNIKÓW W NORMIE.

To wszystko śniło mi się w północnej sypialni, i tam wła- śnie się obudziłem... tyle że odniosłem wrażenie, iż znalazłem się nie na jawie, lecz w kolejnym śnie, ponieważ dzwonek na szyi Buntera dzwonił jak szalony, a w holu stała jakaś po- stać. Pan z Liczbą Plemników w Normie? Nie, to nie on. Ciebie, który padał na drzwi, nie do końca przypominał kształ- tem człowieka. Był skurczony, przygarbiony, bez ramion. Otoczony srebrzystym dzwonieniem, usiadłem wyprostowa- ny w łóżku i przycisnąłem kołdrę do piersi, prawie pewien, że to istota w całunie, która wyszła z grobu, by wreszcie się ze mną rozprawić.

- Nie, proszę! - zaskrzeczałem schrypniętym głosem. - Proszę, nie rób tego!

Cień za drzwiami uniósł ramiona. A więc jednak je miał.

- To tylko wiejska potańcówka, mała! - rozległ się prze- raźliwy, roześmiany głos Sary Tidwell. - To tylko galopy i skakania!

Opadłem na łóżko, w dziecinnym geście zasłoniłem sobie twarz kołdrą... i oto stałem na naszej wąziutkiej plaży, ubra- ny tylko w szorty. Woda sięgała mi do kostek, ciepła jak w środku lata. Miałem dwa niewyraźne cienie: jeden dzięki

zawieszonemu nisko nad wodą sierpowi księżycy, drugi dzięki japońskiemu lampionowi z uwięzioną ćmą. Człowiek ze ścieżki zniknął, ale pozostawił po sobie plastikową sowę. Gapiła się na mnie nieruchomymi, złocistymi oczami.

— Hej, Irlandczyku!

Głos dobiegał z platformy. Odwróciłem się w tamtą stronę i zobaczyłem Jo. Chyba dopiero co wyszła z wody, była bowiem cała mokra i miała włosy przyklejone do policzków. Była ubrana w dwuczęściowy kostium z fotografii, szary w czerwone prążki.

— Kopę lat, Irlandczyku! Co na to powiesz?

- Na co?

- Na to!

Położyła ręce na piersiach i przycisnęła. Woda pociekła między palcami, zaczęła skapywać na wilgotne deski.

- Dawaj, Irlandczyku - usłyszałem ją nad sobą i trochę z boku. - No, dawaj. Puść to wreszcie!

Bez trudu wyszarpnęła kołdrę z moich zdrętwiałych palców. Zacisnąłem powieki, ona jednak chwyciła mnie za rękę i wepchnęła ją sobie między nogi. Jak tylko zacząłem pieścić aksamitną, wilgotną miękkość, ona poczęła przesuwać palcami po moim karku.

- Ty nie jesteś Jo - powiedziałem. - Kim jesteś?

Ale nie miał mi kto odpowiedzieć. Byłem sam w lesie, w ciemności, na jeziorze krzyczały nury. Szedłem ścieżką wiodącą do pracowni Jo. To nie był sen; wyraźnie czułem zimne powietrze kłuszące mi skórę i ostre kamienie pod stopami. Musiałem odgonić komara, który natarczywie brzęczał mi koło ucha. Szorty groziły w każdej chwili pęknięciem, rozsadzane od środka przez potężną erekcję.

- O co tu chodzi, do cholery? - zapytałem, ujrawszy przed sobą mały drewniany budynek. Obejrzałem się i na

wzgórzu zobaczyłem Sarę - nie kobietę, lecz dom, potężną budowlę sięgającą prawie do spowitego ciemnościami jeziora. - Co się ze mną dzieje?

- Wszystko w porządku, Mike - powiedziała Jo.

Stała na platformie, obserwując, jak do niej płynę. Niczym dziewczyna z kalendarza splotła dłonie za karkiem, eksponując piersi opięte mokrym materiałem. Wyraźnie widziałem jej duże sutki, zupełnie jak na tamtej fotografii. Płynąłem w krótkich spodenkach, wciąż z monstualnym wzwo-  
dem.

- Wszystko w porządku, Mike - odezwała się Mattie w północnej sypialni.

Otworzyłem oczy. Siedziała obok mnie na łóżku, gładka i zupełnie naga w słabym blasku nocnej lampki. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Piersi miała niewielkie, jak filizanki, za to sutki duże i nabrzmiałe. Między jej nogami, tam, gdzie spoczywała moja ręka, pyszniła się gęstwina jedwabistych jasnych włosów. Cienie otulały jej ciało jak skrzydła ciem albo jak płatki róży. Była wręcz nieprawdopodobnie atrakcyjna - niczym główna nagroda na strzelnicy albo w konkursie rzucania podkową, o której wiesz, że nigdy jej nie zdobędziesz. Takie nagrody stawia się na najwyższej półce. Wsunęła rękę pod kołdrę i zacisnęła palce na wypukłości w moich spodenkach.

To nic strasznego, to tylko lunapark, kolego - poinformował mnie głos UFO, kiedy wspinałem się po schodkach do drzwi pracowni mojej żony. Schyliłem się, odsunąłem wy-cieraczkę i podniosłem klucz.

Wgramoliłem się po drabince na platformę, ociekający wodą, poprzedzany przez swoją nabrzmiąłą męskość. Czy jest coś zabawniejszego od podnieconego faceta? - przemknęło mi przez głowę. Jo wciąż stała na deskach w mokrym kostiu-

mie kąpielowym. Pociągnąłem Mattie do łóżka. Otworzyłem drzwi do pracowni Jo. To wszystko działo się równocześnie, zdarzenia przenikały się i oplatały jak włókna jakiejś egzotycznej liny albo sznura. Sekwencja z Jo na platformie najbardziej przypominała sen, ta w pracowni, ze mną wpatrzonym w starą zieloną elektryczną maszynę do pisania - najmniej. Mattie w północnej sypialni była jakoś tak pośrodku.

- Rób, co zechcesz - powiedziała Jo na platformie.

- Rób, co zechcesz - powiedziała Mattie w sypialni.

W pracowni nie było nikogo, kto mógłby mi coś powiedzieć, ale nie szkodzi; sam doskonale wiedziałem, czego chcę.

Na platformie schyliłem się, przycisnąłem usta do piersi opiętej cienkim, wilgotnym materiałem, i chwyciłem sutek Jo między wargi. Sięgnęła tam, gdzie najbardziej wystawałem, ale ją odtrąciłem. Gdyby mnie dotknęła, byłoby po wszystkim. Ssałem, przełykałem wodę o smaku bawełny, rękami najpierw pieściłem jej pośladki, potem wepchnąłem je pod majtki. Ściągnąłem z niej trójkącik materiału, opadliśmy na kolana, ja też wreszcie pozbyłem się mokrych, za ciasnych spodenek. Popatrzyliśmy na siebie: ja całkiem nagi, ona prawie.

- Kim był ten gość na meczu? - wysapałem. - Kto to był, Jo?

- Nikt szczególny, Irlandczyku. Po prostu jeszcze jeden worek kości.

Parsknęła śmiechem, po czym odchyliła się do tyłu na pośladkach i zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. Jej pępek przypominał wewnątrz małego czarnego kubeczka. Wyglądała jakoś tak wężowo i bardzo atrakcyjnie.

- Tam jest tylko śmierć - wyszeptała, a następnie przycisnęła do moich policzków lodowato zimne dłonie i przekręciła mi głowę w taki sposób, że patrzyłem w dół, w wody jeziora.

ra. Ujrzałem mnóstwo ciał w rozmaitych fazach rozkładu, wleczonych przez podwodny prąd. Ich szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie, nadgryzione przez ryby nosy ziały czarnymi otworami nozdrzy, języki falowały między bladymi ustami jak macki wodorostów. Za niektórymi zwłokami ciągnęły się girlandy baloniasto rozdętych wnętrzości, inne wyglądały jak kościotrupy. Jednak nawet ta koszmarna parada nie zdołała mnie powstrzymać: uwolniłem głowę z uścisku, powaliłem Jo na deski i wreszcie zanurzyłem głęboko w cudowną wilgoć to, co tak mnie paliło i uwierało. Posrebrzone księżycem oczy patrzyły na mnie, przeze mnie, jedna źrenica była wyraźnie większa. Tak właśnie wyglądały jej oczy na monitorze w kostnicy, kiedy dokonywałem identyfikacji zwłok. Jo nie żyła. Moja żona nie żyła, a ja rznąłem jej zwłoki... lecz nawet ta świadomość nie zdołała mnie powstrzymać.

- Kto to był?! - ryknąłem, opadając na jej zimne ciało. - Kto to był, Jo?! Na litość boską, musisz mi powiedzieć!

Wciągnąłem Mattie na siebie, rozkoszując się dotykiem jej małych jędrnych piersi i długich smukłych nóg. Zaraz potem odepchnąłem ją na skraj łóżka. Sięgnęła do mnie ręką, ale ją odtrąciłem; gdyby dotknęła mnie tam, gdzie zamierzała, w ułamku sekundy byłoby po wszystkim.

- Rozłóż nogi - wysapałem. - Szybko!

Zrobiła to. Zacisnąłem powieki, odciąłem się od wszystkich doznań z wyjątkiem tego jednego. Ruszyłem naprzód, zatrzymałem się, przesunąłem penis nieco w bok, pchnąłem ponownie i wszedłem w nią tak łatwo, jakbym wsuwał palec do rękawiczki z jedwabną podszewką. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, po czym położyła mi rękę na policzku i odwróciła głowę.

- Tam jest tylko śmierć- stwierdziła obojętnie, jakby było to coś oczywistego.

Za oknem ujrzałem Piątą Aleję na odcinku między Pięćdziesiątą a Sześćdziesiątą Ulicą: wszystkie te szykowne sklepy, Bijan i Bally, Tiffany i Bergdorf, i Steuben Glass. Nagle pojawił się Harold Oblowski; podążał na północ, wymachując aktówką ze świńskiej skóry (dostał ją od nas na święta rok przed śmiercią Jo). Obok niego, z torbą od Barnes'a i Noble'a, szła jego szykowna, atrakcyjna sekretarka Nola. Tyle że szyk i uroda znikły bez śladu. Nola wyglądała jak uśmiechnięty, pożółkły szkielet w komplecie od Donny Karan i pantoflach ze skóry aligatora. Na uchwytach torby zaciskały się wysuszone, nagie kości. Zęby Harolda, które tak chętnie i często obnażał w zawodowym uśmiechu, teraz nie były niczym osłonięte. Jego ulubiony garnitur od Paula Stuarta, z dwurzędową szarą marynarką, łopotał niczym żagiel w silnym wietrze. Dokoła nich, po obu stronach ulicy, maszerowały żywe trupy: zmumifikowane mamusie prowadziły za rączki albo pchały w wózkach małe trupki, przy drzwiach stali martwi portierzy, między przechodniami śmigali reanimowani skateboardziści. Wysoki czarny mężczyzna - o tym, że był czarny, świadczyło kilka strzępów wyschniętej skóry na policzkach - prowadził na smyczy szkielet owczarka alzackiego. Taksówkarze rozkładali się za kierownicami przy wtórze latynoskich przebojów. Za szybami autobusów tłoczyły się nagie czaszki z przyklepionymi do kościstych warg kopiami uśmiechu Harolda: „Hej, jak się masz, co u żony, jak tam dzieciaki, napisałeś ostatnio coś ciekawego?” Straganiarze handlujący prażonymi fistaszkami wyglądali jak świeżo odkopani na cmentarzu. Mnie jednak nic nie było w stanie zniechęcić. Byłem rozpalony do białości. Wsunąłem ręce pod jej pośladki, uniosłem ją, chwyciłem zębami prześcieradło (wcale mnie nie zdziwiło, że jest w błękitne różyczki), żeby jej nie pogryźć, bo miałem ją przed sobą całą i gryzłbym wszędzie:

w kark, szyję, piersi, ramiona.

- Powiedz mi, kto to był! - wrzasnąłem. - Przecież wiesz!  
- Ponieważ wciąż miałem w ustach prześcieradło, mój głos był tak stłumiony i zniekształcony, że z pewnością nikt nie zdołałby mnie zrozumieć. - Powiedz mi, suko!

Stałem na ścieżce łączącej pracownię Jo z domem, przyciskając oburącz do piersi starą maszynę do pisania, z wyprężonym penisem podtrzymującym od spodu metalowe cieleśko. Nagle uświadomiłem sobie, że nie jestem już sam. Istota w całunie zjawiała się bezszelestnie za moimi plecami, może zwabiona blaskiem kolorowych lampionów, i roześmiała się metalicznym, chrapliwym śmiechem, który mógł należeć tylko do jednej kobiety na świecie. Co prawda nie widziałem ręki, która sięgnęła do mojego penisa - zasłaniała mi ją maszyna do pisania - ale i tak doskonale wiedziałem, jakiego jest koloru. Palce zaciskały się rytmicznie, przesuwały się, ugniatały.

- Co chcesz wiedzieć, koteczku? - zapytał głos za mną.  
Wciąż się śmiała. Wciąż się bawiła. - Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć? A może wystarczy ci, jeśli tylko poczujesz?  
- Nie wytrzymam! - zawyłem.

Maszyna do pisania - co najmniej dwanaście kilogramów żelastwa - trzęsła mi się w rękach, moje mięśnie drżały jak napięte do ostateczności gitarowe struny.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, kim był ten niedobry pan?  
Naprawdę?

- Zrób to wreszcie, suko! - wrzasnąłem.

Ponownie parsknęła zachrypniętym śmiechem podobnym do kaszlu, po czym ścisnęła mnie tam, gdzie najbardziej potrzebowałem.

- Nie ruszaj się - wyszeptwała. - Stój spokojnie, niegrzesny chłopczyku, chyba że chcesz, żebyś urwała ci tego...

Reszty nie usłyszałem, ponieważ mój świat eksplodował w tak gwałtownym, wszechogarniającym orgazmie, że poczułem się tak, jakbym rozpadał się na kawałki. Szarpnąłem głowę do tyłu jak wisielec, nastąpił wytrysk, krzyknąłem przeraźliwie - musiałem! - a z jeziora odpowiedziały mi dwa nury.

W tej samej chwili znalazłem się na platformie. Jo znikła, ale do moich uszu docierały przytłumione dźwięki muzyki: to Sara, Sonny i Czerwonocubi przedzierali się przez „Black Mountain Rag”. Usiadłem; oszołomiony i wyczerpany, pusty w środku. Z tego miejsca nie widziałem ścieżki prowadzącej do domu, ale mogłem ustalić jej przebieg na podstawie rozmieszczenia japońskich lampionów. Moje mokre spodenki leżały obok mnie na deskach. Zacząłem je wkładać, bo nie chciałem płynąć do brzegu trzymając je w ręce, lecz zanim dociągnąłem do kolan, znieruchomiałem i wytrzeszczyłem oczy, wpatrując się w swoje ręce. Były oblepione rozkładającą się tkanką, a spod paznokci wystawały kępki włosów.

- O Boże!-jęknąłem.

Opuściły mnie resztki sił, runąłem w wilgotną ciemność. Wylądowałem w północnej sypialni, w czymś ciepłym i lepkim. W pierwszej chwili pomyślałem, że to sperma, ale w przyćmionym blasku nocnej lampki zobaczyłem, że ta substancja jest znacznie ciemniejsza. Mattie znikła, a w łóżku było pełno krwi. Pośrodku kałuży leżało coś, co początkowo wzięłem za kawałek ciała albo jakiś organ wewnętrzny, co jednak po bliższych oględzinach okazało się małym pluszowym zwierzątkiem, całym unurzonym we krwi. Leżałem na boku, patrzyłem na to i pragnąłem zerwać się z łóżka i uciec z pokoju, ale nie mogłem. Byłem jak sparaliżowany. Z kim tak naprawdę kochałem się w tym łóżku? I co z tym kimś zrobiłem? Co, na litość boską?



- Nie wierzę w te kłamstwa - usłyszałem swój głos. Zupełnie jakbym wypowiedział zaklęcie, w mgnieniu oka zostałem strzaśnięty w jedność. Może to nie najlepsze określenie, ale tylko w ten sposób mogę opisać, co się ze mną stało. Każde z moich trzech wcieleń - to na platformie, w północnej sypialni i to na ścieżce - poczuło mocne uderzenie ze wszystkich stron jednocześnie, któremu towarzyszył suchy trzask. Runęła na mnie ciemność, wypełniona dzwonieniem dzwonka na szyi Buntera, potem ciemność wyblakła, a ja razem z nią. Przez jakiś czas byłem nigdzie.

Obudziły mnie świergot ptaków kojarzący się zazwyczaj z wakacjami i ten szczególny rodzaj czerwonego mroku, który świadczy o tym, że na twoje zamknięte powieki padają promienie słońca. Kark miałem zupełnie zdrętwiały, głowę przekrzywioną pod przedziwnym kątem, podkulone nogi i było mi potwornie gorąco.

Z trudem podniosłem głowę. Jeszcze zanim otworzyłem oczy, wiedziałem doskonale, że nie jestem ani w łóżku, ani na platformie, ani na ścieżce łączącej dom z pracownią. Leżałem na nieruchomej, cholernie twardej podłodze.

Uchyliłem powieki, ale blask okazał się tak silny, że natychmiast je zacisnąłem i jęknąłem jak ofiara potężnego kacza. Zasłoniłem twarz dłońmi, ponownie otworzyłem powieki, dałem oczom czas na przyzwyczajenie się do światła, cofnąłem ręce, po czym usiadłem i rozejrzałem się dokoła. Znajdowałem się w holu na piętrze, pod zepsutym klimatyzatorem. Wciąż jeszcze wisiała na nim kartka od pani Meserve. Przed drzwiami mego gabinetu rozsiadła się zielona elektryczna maszyna do pisania z wprowadzoną kartką. Przeniósłszy wzrok na moje nogi, stwierdziłem, że są potwornie brudne. Do stóp przywarło sporo sosnowych igieł, na jednym palcu widniało głębokie zadrapanie. Wstałem, zachwiałem się lek-

ko (prawa noga zupełnie zdrętwiała), oparłem się ręką o ścianę i odzyskałem równowagę. Przyjrzałem się sobie. Byłem w tych samych spodenkach, w których położyłem się spać, a ich wygląd nie wskazywał na to, żeby przydarzyła mi się jakaś przygoda. Odciągnąłem gumkę i zajrzałem do środka. Mój penis wyglądał całkiem zwyczajnie: mały i skurczony, spał smacznie w kępie włosów. Nawet jeśli tej nocy wyczyniał jakieś harce, to niczego nie dał po sobie poznać.

- Nie ma co, ładna przygoda - wychrypiałem, po czym otarłem spocone czoło. Upał był nie do zniesienia. - Tyle że nie z tych, o których piszą w tygodnikach dla harcerzy.

Nagle przypomniałem sobie zbroczone krwią łóżko w północnej sypialni i pluszowe zwierzątko. Niestety, temu wspomnieniu nie towarzyszyła ulga, z jaką wracamy pamięcią nawet do najgorszych koszmarów, ponieważ wiemy, że były tylko snem. To wspomnienie było równie realne jak przeżycia, których doświadczyłem w dzieciństwie podczas wywołanego gorączką delirium, a przecież wszystkie z nich były prawdziwe, tyle że zniekształcone przez przegrzany mózg.

Zataczając się, dotarłem do schodów i pokuśtykałem w dół, mocno trzymając się poręczy na wypadek, gdyby nogi nagle odmówiły mi posłuszeństwa. Nic takiego jednak się nie stało, więc dotarwszy na parter rozejrzałem się dokoła, jakbym był tu po raz pierwszy w życiu, po czym, wciąż utykając, skręciłem do północnego skrzydła.

Drzwi sypialni były lekko uchylone. Długo stałem przed nimi, nie mogąc znaleźć w sobie dość sił, by pchnąć je i wejść do środka. Potwornie się bałem, zaś mój wciąż otępiały umysł odtwarzał w kółko scenę z jednego z telewizyjnych filmów Alfreda Hitchcocka, tę z mężczyzną, który udusił żonę w napadzie alkoholowego szału. Później spędził pół godziny, szuka-

jąc jej po całym domu, aż wreszcie znalazł w spiżarni trupa z siną twarzą i wytrzeszczonymi oczami. Jediną znaną mi osobą, która miała coś wspólnego z pluszowymi zwierzakami, była Kyra Devore, ale mała spała spokojnie w swoim łóżeczku, kiedy pożegnałem się z jej matką i pojechałem do domu. Było raczej mało prawdopodobne, że Bym, ubrany tylko w spodenki, wszedł do samochodu, wrócił na Wasp Hill i...

I co? Zgwałcił Mattie? Porwał dziecko? I to wszystko we śnie?

Przecież przyniosłem maszynę do pisania. Stoi tam, na górze, w holu.

Ale chyba jest jakaś różnica między przejściem trzydziestu metrów ścieżką przez las a pokonaniem ośmiu kilometrów samochodem?

Nie mogłem stać w nieskończoność i przysłuchiwać się kłótni głosów w mojej głowie. Nawet jeśli jeszcze nie oszalałem - a wydawało mi się, że nie - to w ten sposób mogłem bardzo szybko i łatwo postradać zmysły. Wyciągnąłem rękę i pchnąłem drzwi sypialni.

Przez chwilę wydawało mi się, że naprawdę widzę przypominającą rozplaszczoną ośmiornicę plamę krwi na pościeli. Zacisnąłem powieki, policzyłem do trzech, otworzyłem oczy i spojrzałem ponownie. Pościel była zmięta, prześcierało prawie całkiem ściągnięte z materaca. Jedna poduszka leżała na krawędzi łóżka, druga, zgnieciona, w nogach. Dywanik (dzieło Jo) przesunął się o dobre półtora metra, na stole leżała przewrócona szklanka na wodę. Sypialnia wyglądała tak, jakby doszło w niej do jakiejś szamotaniny, albo jakby odbyła się w niej mała orgietka, ale nic nie wskazywało na to, żeby popełniono tu morderstwo. Nigdzie nie było ani śladu krwi, nigdzie nie widziałem też małego zwierzątka z czarnego pluszu.

Ukląknęłam i zajrzałam pod łóżko. Tam też nic, nawet kurzu, dzięki Brendzie Meserve. Uważnie przyjrzałam się prześcieradłu, po czym naciągnęłam je i rozprostowałam na materacu. Wspaniały wynalazek, te prześcieradła z gumkami. Gdyby o przyznawaniu Medalu Wolności decydowały kobiety, a nie politycy, którzy w życiu własnoręcznie nie zasłali łóżka ani nie zrobili choćby jednego prania, człowiek, który je wymyślił, bez wątpienia otrzymałby już to wyróżnienie, i to podczas uroczystej ceremonii w Ogrodzie Różanym.

Ani kropli krwi, ani kropli nasienia. Krwi raczej nie spodziewałam się znaleźć (a przynajmniej teraz tak sobie wma-  
wiałam), ale co z nasieniem? Bądź co bądź, przyśnił mi się najbardziej erotycznie stymulujący sen na świecie, fantasma-  
goryczny tryptyk, w którym zerznąłam dwie kobiety, a trze-  
cia obciągnęła mi druta, a wszystko to działo się w tym sa-  
mym czasie. Czuję się tak, jak po rzetelnie przepracowanej  
nocy. Skoro jednak były fajerwerki, to gdzie podział się spa-  
lony proch?

- Najprawdopodobniej w pracowni Jo - powiedziałam  
do pustego, nasłonecznionego pokoju. - Albo na ścieżce.  
Ciesz się, że nie u Mattie Devore, palancie. Tylko tego ci bra-  
kowało: romans z nastoletnią wdową.

Nie do końca zgadzałam się ze sobą. Część mnie uważa-  
ła, że potrzebowałam Mattie Devore, ale przecież nie współ-  
żyłam z nią minionej nocy, tak samo jak nie współżyłam  
z nieżyjącą żoną na platformie ani nie zostałam wydojony  
przez Sarę Tidwell. Teraz, kiedy okazało się, że również nie  
zamordowałam miłej rezolutnej dziewczynki, moje myśli sku-  
piły się na maszynie do pisania. W jakim celu ją przytaszczy-  
łam? Po co zadałam sobie tyle trudu?

Co za głupie pytania. Być może moja żona ukrywała coś

przede mną - kto wie, czy nie romans. Być może ten dom był nawiedzony. Być może niecały kilometr na południe stąd mieszkał bogaty dziadyga, który z rozkoszą wsadziłby mi w tyłek zaostrzony kij, a potem zaczął nim potrząsać. Być może poprzestawiało mi się pod sufitem. Nic z tych rzeczy się nie liczyło; kiedy tak stałem w jaskrawych promieniach słońca i wpatrywałem się w swój cień na ścianie, myśli zaprzątała mi tylko jedna sprawa: w nocy poszedłem do pracowni żony i przyniosłem stamtąd swoją starą maszynę do pisania. Mogłem to zrobić wyłącznie z jednego powodu.

Przeszedłem do łazienki, żeby zacząć od porządnej kąpieli. Sięgnąłem po prysznic... i znieruchomiałem. Wanna była pełna wody. Albo z jakiejś przyczyny napelniłem ją podczas moich lunatycznych wędrówek, albo zrobił to ktoś inny. Położyłem rękę na pokrętle odpływu, po czym ponownie zamarłem w bezruchu, przypomniałem sobie bowiem tamtą chwilę na poboczu szosy numer 68, kiedy poczułem w ustach smak zimnej wody. Teraz czekałem, aż zdarzy się to ponownie, ale ponieważ nic takiego nie nastąpiło, spuściłem wodę z wanny, po czym wszedłem pod prysznic.

Mogłem znieść starego IBM-a na parter, a nawet wytaszczyć go na taras, gdzie docierały słabe podmuchy orzeźwiającego wiatru, ale nie zrobiłem tego. Przywlokłem go przecież aż pod drzwi mojego gabinetu, więc jeżeli w ogóle miałem pracować, to właśnie tam. Pracował bym nawet w temperaturze pięćdziesięciu stopni, co zresztą mogło mi grozić, zważywszy na to, że między sufitem pokoju a dachem nie było praktycznie żadnej izolacji.

W maszynę był wkręcony stary, lekko różowy papier ze sklepu papierniczo-fotograficznego w Castle Rock, gdzie Jo często robiła zakupy. Wystukałem na nim imiona członków mego małego haremu, jakbym w ten nieudolny sposób usiło-

wał rejestrować na bieżąco swój potrójny sen:

Jo Sara Mattie Jo Sara Mattie Mattie Sara Sara

Jo Johanna Sara Jo MattieSaraJo

A trochę niżej, bez wielkich liter:

liczba plemników w normie plemników w normie w różyczki

Otworzyłem drzwi gabinetu, wniosłem maszynę, postawiłem ją na starym miejscu, pod plakatem Richarda Nixona. Następnie wysunąłem różową kartkę, zmiąłem ją i wrzuciłem do kosza, po czym włożyłem wtyczkę do gniazdka. Serce biło mi szybko i mocno, zupełnie jak wtedy, kiedy miałem trzynaście lat i wspinałem się po drabince na najwyższą platformę nad szkolnym basenem. Rok wcześniej trzykrotnie przebyłem tę drogę, lecz nie odważyłem się skoczyć; teraz, kiedy byłem o rok starszy, nie mogłem już stchórzyć.

Wydawało mi się, że w najdalszym kącie szafy, za pudłem z napisem RÓŻNOŚCI, widziałem wentylator elektryczny. Ruszyłem w tamtą stronę, ale po trzech krokach zaśmiałem się chrapliwie i zawróciłem. Już parę razy wydawało mi się, że wszystko w porządku, prawda? Prawda. Zaraz potem żelazne obręcze zaciskały się na mojej piersi. Byłoby trochę głupio, gdybym zadał sobie trud wydobycia i uruchomienia wentylatora, a potem okazałoby się, że i tak nie mam tu nic do roboty.

- Tylko spokojnie - powiedziałem głośno. - Tylko spokojnie.

Nie mogłem się jednak uspokoić, tak samo jak tamten chłopaczek o wąskiej klatce piersiowej, w idiotycznych fioletowych kąpielówkach, nie mógł dojść spokojnie do końca trampoliny nad zielonym basenem okolonym małymi, maleńkimi twarzami wpatrzonych w niego dziewcząt i chłopców.

Sięgnąłem do jednej z szuflad po prawej stronie biurka

i pociągnąłem tak mocno, że wyskoczyła z prowadnic. Uskoczyłem w ostatniej chwili, ratując palce bosej stopy przed zmiżdżeniem, i ponownie roześmiałem się bez krzty wesołości. W szufladzie leżało pół ryzy papieru o lekko pożółkłych ze starości brzegach. Dopiero na ten widok przypomniałem sobie, że przecież mam spore zapasy znacznie świeższego materiału. Ręce tak mi się trzęsły, że dopiero za którymś razem zdołałem wsunąć szufladę na miejsce.

Wreszcie zasiadłem w fotelu, który zareagował na mój ciężar doskonale znanym mi trzeszczeniem, przesunąłem go do przodu z łoskotem rolek, wjechałem kolanami pod blat i, spocony jak mysz, zagapiłem się w klawiaturę. Wciąż miałem przed oczami przerażająco mały basen, wciąż pamiętałem sprężynującą, uginającą się pod moimi stopami trampolinę, wciąż słyszałem dobiegające daleko z dołu wrzaski i piski, wciąż czułem smród chloru i delikatne drżenie wywoływane przez potężne podsufitowe wentylatory: łufff, łufff, łufff, jakby bicie ogromnego podwodnego serca. Stojąc na końcu trampoliny, zastanawiałem się (nie po raz pierwszy!), czy niewłaściwe uderzenie w wodę może spowodować całkowity paraliż. Nawet jeśli nie, to z pewnością w locie można umrzeć ze strachu. Czytałem o dobrze udokumentowanych przypadkach w „Wierzcie albo nie”, które w wieku ośmiu-dziewięciu lat traktowałem jako podstawowy podręcznik nie tylko do nauk ścisłych.

- Dalej! - usłyszałem głos Jo. W moich wspomnieniach zazwyczaj był łagodny i opanowany; tym razem brzmiał dziwnie i chrapliwie. - Przestań się mazać i do roboty!

Sięgnąłem do włącznika. Nagle przypomniałem sobie dzień, kiedy wykasowałem Worda 6 z twardego dysku. Żegnaj, stary druhu, pomyślałem wtedy.

- Boże, spraw, żeby działała, - wyszeptalem.

Nacisnąłem włącznik. Maszyna ożyła. Głowica wykonała próbny obrót, niczym baletnica za kulisami, po czym znieruchomiała, gotowa w każdej chwili ruszyć do tańca. Wziąłem z rzyzy świeżą kartkę. Moje spocone palce zostawiły na niej wyraźne ślady, ale niewiele mnie to obchodziło. Wsunąłem ją do maszyny, wyśrodkowałem, a następnie wystukałem:

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siedziałem i czekałem, aż rozpęta się burza.



## Rozdział 14

Dzwonek telefonu - a raczej moja na niego reakcja - był równie znajomy jak skrzywienie fotela albo odgłosy pracy starej maszyny do pisania. Początkowo wydawało mi się, że dobiega z wielkiego oddalenia, po czym zaczyna się zbliżać jak pociąg, który z przeraźliwym gwizdem przemyka przez małą stację.

Ani w moim gabinecie, ani w gabinecie Jo nie było aparatów. Jedyne telefon na piętrze, leciwy model z tarczą, stał na stoliku w holu - „na ziemi niczyjej”, jak mawiała Jo. Temperatura z pewnością przekraczała tam trzydzieści stopni, ale po wszystkim, co działo się w moim gabinecie, odniosłem wrażenie, iż jest chłodno. Byłem tak zlany potem, że zapewne przypominałem brzuchatą wersję przerzucających tony żelastwa kulturystów, z którymi niekiedy ćwiczyłem na siłowni.

- Halo?

- Mike? Nie obudziłam cię? Spałeś już?

To była Mattie, ale zupełnie inna niż minionego wieczoru. Nie bała się ani nawet nie wahała, za to była taka szczęśliwa, że aż słuchawka śmiała mi się w rękę. Z pewnością właśnie taka Mattie zwróciła na siebie uwagę Lance'a Devore.

- Nie, nie spałem. Trochę pisałem.

- Daj spokój! Wydawało mi się, że przeszedłeś na emeryturę?

- Mnie też się tak wydawało - odparłem. - Co się dzieje? Chyba coś cię bardzo ucieszyło.

— Przed chwilą skończyłam rozmawiać z Johnem Storrowem...

Czy to możliwe? Ile właściwie czasu spędziłem na piętrze?



- Domyślam się.

- Wyjaśniłam mu, że prawie cały czas siedzieliśmy na zewnątrz, a on na to, że wystarczyło, byśmy weszli do środka na sześćdziesiąt sekund, a już plotka poszła w świat.

- Moim zdaniem John ma wyjątkowo niepochlebną opinię o jankeskich obyczajach miłosnych, ale cóż, przecież jest z Nowego Jorku,

Śmiała się głośniejsze i dłużej, niż zasługiwał na to mój mały żarcik. Granicząca z histerią ulga, że teraz ma co najmniej dwóch sojuszników? Nadmierna wrażliwość na wszelkie tematy dotyczące seksu? Uznałem, że chwilowo nie powinienem się nad tym zastanawiać.

- Nie zbeształ mnie zbyt, ale dał do zrozumienia że zrobi to, jeśli znowu się spotkamy. Zaraz po tym, jak to się skończy, zaproszę cię na prawdziwe przyjęcie. Dostaniesz wszystko, co lubisz i jak lubisz.

„Dostaniesz wszystko, co lubisz i jak lubisz”. Ta dziewczyna nawet nie podejrzewała, że jej słowa można zrozumieć co najmniej na dwa sposoby. Byłem tego pewien. Przymknąłem oczy i uśmiechnąłem się. Czemu miałbym się nie uśmiechać? Wszystko, co mówiła, brzmiało wspaniale, szczególnie jeśli najpierw Michael Noonan zdołał wygonić brudne myśli i skojarzenia z najgłębszych zakamarków swego umysłu. Wyglądało na to, że możemy się spodziewać szczęśliwego zakończenia jak z bajki, oczywiście pod warunkiem, że nie stchórzymy i wytrwale będziemy dążyć do celu. Oraz jeśli zdołam się powstrzymać przed podrywaniem dziewczyny, która mogłaby być moją córką... poza snami, ma się rozumieć. Jeśli mi to się nie uda, będę zasługiwał zawiązką na wszystko, co mnie spotka. Ale nie Kyra. Była w tym wszystkim jak figurka na osłonie chłodnicy, skazana na to, że musi jechać tam, dokąd pojedzie samochód. Powinienem o tym pamiętać, szczególnie

wtedy, kiedy po głowie zaczęły mi się pętać jakieś głupie myśli.

- Jeśli sędzia odeśle Devore'a z pustymi rękami, zabiorę cię do Renoir Nights w Portland na dziewięciodaniowy francuski obiad - powiedziałem. - Storrowska też. I nawet mojego prawnika. Sama powiedz, czy spotkałaś kogoś lepszego ode mnie?

- Nigdy - odparła całkiem poważnie. - Zwrócę ci te pieniądze, Mikę. Teraz jestem w dołku, ale przecież tak nie będzie zawsze. Nawet gdyby zajęło mi to resztę życia, oddam ci wszystko, co do centa.

- Mattie, nie musisz...

- Muszę - stwierdziła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę zrobić, i to dzisiaj.

- To znaczy?

Słuchałem jej z autentyczną przyjemnością (zupełnie jakbym miał do czynienia z więźniem, któremu niespodziewanie skrócono wyrok i który teraz zachłystuje się wolnością), ale coraz częściej zerkąłem tęsknie na drzwi mojego gabinetu. Gdybym spróbował tam dłużej posiedzieć, przypuszczalnie upiekłbym się jak jabłko, ale chciałem napisać jeszcze przynajmniej stronę albo dwie. Rób, co zechcesz, powiedziały obie kobiety w moim śnie. Rób, co chcesz.

- Muszę kupić Kyrze tego dużego pluszowego misia, którego mają w Wal-Marcie w Castle Rock. Powiem jej, że dostała go dlatego, że jest grzeczną dziewczynką; przecież nie mogę się przyznać, że tak naprawdę to za to, że uciekła z domu i maszerowała środkiem szosy właśnie wtedy, kiedy ty tamtędy przejeżdżałaś.

- Byle nie czarnego.

Powiedziałem to, zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć.

- Proszę? - zdziwiła się.

- To znaczy, ja też chciałbym takiego misia.

I tym razem słowa opuściły moje usta bez udziału mojej woli.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła żartobliwym tonem, ale natychmiast spoważniała. - Jeśli wczoraj powiedziałam albo zrobiłam coś nie tak, bardzo cię przepraszam. Nigdy bym sobie nie darowała, gdybyś z mojego powodu był nieszczęśliwy.

- Wcale nie jestem nieszczęśliwy, tylko trochę zdezorientowany. Szczerze mówiąc, już prawie zapomniałem o tej sprawie z Jo i typkiem w kurtce.

- Tak chyba będzie najlepiej. Nie chcę ci dłużej przeszkadzać, bo pewnie marzysz o tym, żeby wrócić do pracy, prawda?

- Dlaczego tak myślisz? - zapytałem ze zdziwieniem.

- Nie myślę, tylko...

Doskonale wiedziałem nie tylko, co zamierzała powiedzieć, ale również, że nigdy tego nie powie. „Śniłeś mi się tej nocy. Śniłam o nas obojgu. Zamierzaliśmy się kochać, a wtedy jedno z nas powiedziało: »Rób, co zechcesz«. A może oboje to powiedzieliśmy?"

Być może niekiedy duchy ozywają - myśli i pragnienia uwolnione od balastu ciał, niewidzialne, spuszczone ze smyczy instynkty. Koszmary id, zjawy ze wstydlivych rejonów.

- Jesteś tam, Mattie?

- Jasne. Chcesz, żebym się jeszcze odezwała, czy dowiesz się wszystkiego od Storrowa?

- Jeśli się nie odezwiesz, i to prędko, wkurzę się jak jeszcze nigdy w życiu.

- W takim razie zadzwonię, ale nie wtedy, kiedy będziesz pracował. Do usłyszenia, Mikę. Jeszcze raz ci dziękuję. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Pożegnałem się, po czym stałem przez dłuższą chwilę ze wzrokiem wbitym w staromodną bakelitową słuchawkę, za-

nim wreszcie odłożyłem ją na widełki. Mattie zadzwoni i poinformuje mnie o rozwoju sytuacji, ale nie wtedy, kiedy będę pracował. Skąd będzie wiedziała, kiedy pracuję? Po prostu będzie, i już. Tak samo jak ja doskonale wiedziałem minionego wieczoru/że kłamie, twierdząc, jakoby Jo i mężczyzna w marynarce z łatami na łokciach odeszli w kierunku parkingu. Rozmawiając ze mną przez telefon, miała na sobie białe szorty i kusą koszulkę; żadnych obowiązkowych spódnic ani sukienek, bo przecież dzisiaj środa, a w środę biblioteka jest nieczynna.

Wcale tego nie wiesz. Wszystko zmyślasz.

Nieprawda. Gdybym zmyślał, ubrałbym ją w coś bardziej pobudzającego wyobraźnię, na przykład fiszbinowy gorset, albo coś w tym rodzaju.

Ta myśl pociągnęła za sobą następne. „Rób, co zechcesz”, powiedziały obie. Rób, co zechcesz. Znałem te słowa. Podczas pobytu na Key Largo przeczytałem w „Atlantic Monthly” artykuł o pornografii napisany przez jakąś feministkę - nie pamiętam już którą, ale na pewno nie była to ani Naomi Wolf, ani Camille Paglia. Ta należała raczej do konserwatywnego odłamu. Sally Tisdale? A może to tylko echo krążącej po moim umyśle Sary Tidwell? Nieważne. Autorka twierdziła, że nastawienie „będę robiła, co zechcę” stanowi fundament kobiecego rozumienia i przeżywania erotyki, natomiast stwierdzenie „rób, co zechcesz” jest kamieniem węgielnym pornografii trafiającej do mężczyzn. Kobiety wprowadzają pierwszą wypowiedź do swoich fantazji seksualnych, mężczyźni zaś słyszą drugą w swoich. Kiedy rzeczywisty seks przynosi zawód - na przykład z powodu nadmiernej brutalności - dowodziła autorka, znaczna część odpowiedzialności spada często na pornografię. „Przecież chciałaś, żebym to zrobił! Sama powiedziałaś, żebym robił, co zechcę! Nie kłam,

tylko przyznaj, że tak było!"

Według niej, każdy mężczyzna marzył o tym, by usłyszeć w sypialni właśnie te trzy słowa: „Rób, co zechcesz”. Gryź mnie, bierz mnie od tyłu, liź mnie między palcami u stóp, pij wino z mojego pępka... Wszystko jedno. Rób, co zechcesz. Drzwi są zamknięte i jesteśmy tylko we dwojkę, ale tak naprawdę to tylko ty tu jesteś, ponieważ ja stanowią jedynie ucieleśnienie twoich najskrytszych fantazji. Nie mam własnych potrzeb, pragnień, nie mam żadnych zahamowań. Możesz robić, co zechcesz, z tym cieniem, z tym urojeniem, z tą zjawą.

Moim zdaniem, co najmniej połowa tych wywodów to były wierutne bzdury. Założenie, że mężczyzna jest w stanie osiągnąć satysfakcję seksualną jedynie wówczas, gdy znęca się nad partnerką, więcej mówi o tym, kto czyni to założenie, niż o obiektach jego badań. Trzeba przyznać, iż autorka artykułu miała cięty język i sporo inteligencji, w gruncie rzeczy jednak powtarzała jedynie to co ulubieniec Jo, Somerset Maugham, kazał przed osiemdziesięciu laty powiedzieć Sadie Thompson w opowiadaniu zatytułowanym „Deszcz”: wszyscy mężczyźni to samolubne dzikie bestie. To nieprawda. Nie jesteśmy dzikimi bestiami, a nawet jeśli się czasem nimi stajemy, to tylko wówczas, gdy ktoś doprowadzi nas do ostateczności. Nawet wtedy powodem rzadko bywa seks; znacznie częściej chodzi o terytorium. Niektóre feministki mawiają, że seks i terytorium mają dla mężczyzn zbliżoną wartość. Nic bardziej mylnego.

Począłem z powrotem do gabinetu, lecz ledwo zdążyłem otworzyć drzwi, telefon za moimi plecami zadzwonił ponownie, mnie zaś po raz pierwszy od czterech lat ogarnęło znajome uczucie: gniew, chęć wyrwania wtyczki z gniazdka, ochota, by cisnąć aparat o ścianę. Dlaczego wszyscy muszą do mnie dzwonić akurat wtedy, kiedy piszę? Dlaczego nie... No,

dlaczego... Dlaczego nie pozwolą mi robić tego, co zechcę?

Roześmiałem się bez przekonania, po czym wróciłem do telefonu. Na słuchawce wciąż jeszcze widać było wilgotny ślad po mojej ręce.

-Halo?

- Przecież mówiłem, żebyście ani na chwilę nie znikali ludziom z oczu!

- Dzień dobry, adwokacie Storrow. Jaki miły poranek, nieprawdaż?

- Jesteś chyba w innej strefie czasowej, kolego. Tutaj, w Nowym Jorku, mamy teraz kwadrans po pierwszej.

- Zjadłem z nią kolację. Na zewnątrz. Owszem, czytałem też małej bajkę i położyłem Ki spać, ale...

-Połowa miasteczka jest już święcie przekonana, że rzniesz dziewczynę, aż wióry lecą, a druga połowa zacznie tak myśleć, jak tylko zjawię się w sądzie.

Odniosłem wrażenie, że wcale nie jest aż tak wściekły, jakim chciałby się wydawać.

- Mogą cię zmusić, żebyś ujawnił, kto ci płaci? - zapytałem.

-Nie.

- Ani podczas wstępnego przesłuchania, ani wtedy, kiedy będę składał zeznanie pod przysięgą?

.- Jasne, że nie. Durgin straciłby wszelką wiarygodność jako opiekun ad litem, gdyby pożegłował w tym kierunku. Mają też poważne powody, żeby omijać z daleka sprawy seksu. Skoncentrują się na udowadnianiu, że Mattie zaniedbuje swoje obowiązki. Fakt, że mama nie prowadzi się jak zakonnicą, przestał się liczyć mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w kinach zaczęto wyświetlać „Sprawę Kramerów”. Poza tym, mają trochę własnych problemów.

Ostatnie zdanie powiedział niemal radosnym tonem.



- Zamieniam się w słuch.

- Max Devore ma osiemdziesiąt pięć lat i jest rozwodnikiem. Nawet dwukrotnym, jeśli chodzi o ścisłość. Taki człowiek nie może zostać jedynym opiekunem dziecka; musi być ktoś w zapasie. Szczerze mówiąc, ta sprawa jest w tej chwili najważniejsza, nie żadne oskarżenia o zaniedbywanie obowiązków i nadużycie władzy rodzicielskiej.

- A jakie konkretnie są te oskarżenia?

- Nie wiem i Mattie też nie wie, bo wszystkie zostały sfabrykowane. Nawiasem mówiąc, jest całkiem miła...

-Rzeczywiście.

- ...i chyba będzie z niej znakomity świadek. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie poznam ją osobiście, a tymczasem nie odciągaj mnie od głównego tematu. Mówiliśmy o zapasowym opiekunie, zgadza się?

- Owszem.

- Devore ma córkę, którą ubezwłasnowolniono z powodu choroby umysłowej. Przebywa w zakładzie gdzieś w Kalifornii, chyba w Modesto. To też nie poprawia jego szans.

- Chyba nie.

- Jego syn, Roger, ma... - Usłyszałem szelest odwracanych kartek. - Pięćdziesiąt dziewięć lat. Trudno nazwać go młodzieniaszkiem, ale w dzisiejszych czasach mnóstwo mężczyzn zostaje tatusiami nawet w tym wieku. Cóż zrobić: nowy wspaniały świat. Ale Roger jest homoseksualistą.

Przypomniałem sobie słowa Billa Deana: „Pedał. Podobno w Kalifornii aż roi się od takich”.

- Przed chwilą chyba powiedziałeś, że sprawy seksu nie mają większego znaczenia?..,

- Chyba niewłaściwie się wyraziłem. Sprawy heteroseksu

- sprecyzował z naciskiem - nie mają większego znaczenia.

W niektórych stanach, w tym w Kalifornii, homoseksualizm

też nie ma znaczenia, ale ta sprawa nie będzie rozpatrywana w Kalifornii, tylko w Maine; gdzie obywatele nie są do końca przekonani, czy dwaj zameżni mężczyźni -zameżni ze sobą - zdołają prawidłowo wychować małą dziewczynkę.

- Roger Devore ma męża?!

Dobra, przyznam się. Teraz i mnie ogarnęła diabelska uciecha. Wstydziłem się tego - bądź co bądź, Roger Devore był zupełnie obcym gościem, który ułożył sobie życie według własnego uznania i najprawdopodobniej nie miał nic wspólnego z planami tatusia - ale w niczym nie zmieniało to faktu, że humor znacznie mi się poprawił.

- Owszem. W 1996 zawarł związek małżeński z niejakim Morrisem Riddingiem, programistą. Dowiedziałem się tego z sieci. Jeśli owa sprawa wyniknie w sądzie zamierzam wykorzystać ją do maksimum. Nie wiem jeszcze, ile nam to da, ale jeśli uda mi się roztoczyć przed sądem obraz niewinnej uroczej dziewczynki dorastającej w towarzystwie dwóch podstawowych pedałów, którzy przypuszczalnie większość czasu spędzają przy komputerze, wymieniając się z kolesiami domysłami na temat, co kapitan Kirk i Mr Spock robią razem, kiedy w kwaterach oficerów gasną światła... Jeżeli nadarzy się taka okazja, nie omieszkam jej wykorzystać.

- To chyba trochę nie fair - zauważyłem tonem człowieka, który oczekuje, że zaraz zostanie wyśmiany, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Jasne, że to nie fair. Zupełnie jakbyś celowo wjechał na chodnik, żeby potraćić paru niewinnych przechodniów. Roger Devore i Morris Ridding nie handlują narkotykami, nie napastują chłopców ani nie napadają na staruszki, ale mamy do czynienia ze sprawą o przyznanie prawa do opieki nad dzieckiem, a takie okoliczności wyzwalają w ludziach znacznie gorsze instynkty niż sprawy rozwodowe. Ta może jesz-

cze nie jest najgorsza, ale wystarczająco paskudna przez to, że nikt nie usiłuje niczego udawać. Max Devore wrócił na stare lata w rodzinne strony wyłącznie w jednym celu: żeby kupić dziecko. Dlatego jestem taki wkurzony.

Uśmiechnąłem się, ponieważ wyobraziłem sobie prawnika bardzo podobnego do Elmera Fudda, stojącego ze strzelbą gotową do strzału przed króliczą norą, nad którą wisi tabliczka z napisem DEVORE.

- Wyślę mu prosty i czytelny sygnał: dziecko podróżowało tak bardzo, że chyba nawet ty nie będziesz mógł sobie na nie pozwolić.

- Jeżeli sprawa trafi do sądu. Powtórzyłeś to już parę razy. Naprawdę myślisz, że są szansę na to, żeby Devore wycofał się z własnej woli?

- I to całkiem spore. Byłyby jeszcze większe, gdyby nie jego podeszły wiek i gdyby nie zdążył przywyknąć, że wszystko zawsze układa się po jego myśli. Poza tym, nie sposób ocenić, czy zachował tyle bystrości umysłu, żeby wiedzieć, co jest dla niego najlepsze. Kiedy będę u was, spróbuję zorganizować spotkanie z nim i z jego prawnikiem, ale na razie nie udało mi się przedrzeć przez jego sekretarkę.

- Rogette Whitmore?

- Ona jest chyba szczebel wyżej. Do niej też jeszcze nie dotarłem, ale zrobię to. Na pewno.

- Spróbuj przez Richarda Osgooda albo George'a Footmana - poradziłem mu. - Obaj mogą skontaktować cię bezpośrednio z Devore'em lub z kimś z jego najbliższego otoczenia.

- Tak czy inaczej, będę też chciał pogadać z tą Whitmore. Ludzie tacy jak Devore z wiekiem coraz bardziej uzależniają się od doradców, więc to właśnie ona może go namówić, żeby dał sobie spokój, ale może też narobić nam

kłopotów, podjudzając go do walki. Nieważne, czy z przekonania o słuszności sprawy, czy tylko dla rozrywki, żeby popatrzeć, jak latają poobrywane głowy. Poza tym, może też wyjść za niego za mąż.

- Wyjść za niego?

- Czemu nie? Oczywiście wcześniej spisałiby intercyzę, ale nie mógłbym poruszyć tej sprawy przed sądem, tak samo jak oni nie mogą próbować ustalić, kto mnie zatrudnił. To poprawiłoby jego szansę.

- John, ja widziałem tę kobietę. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat.

- Nie szkodzi. Jak słusznie zauważyłeś, jest jednak kobietą, co w tej sytuacji ma szczególne znaczenie, a dodatkowo pełni funkcję buforu między Devore'em a tamtymi dwoma pedałami. Musimy o tym pamiętać.

- Rozumiem. - Ponownie zerknąłem na drzwi gabinetu, ale tym razem jakby trochę mniej tęsknie. Czy tego chcesz czy nie, prędzej czy później przychodzi chwila, kiedy trzeba skończyć z robotą. Dla mnie ta chwila właśnie nadeszła. Może później, wieczorem...

- Prawnik, którego znalazłem dla ciebie, nazywa się Romeo Bissonette. - Umilkł na chwilę. - Czy to możliwe, żeby ktoś się naprawdę tak nazywał? - mruknął ze zdziwieniem.

- Z Lewiston? ^

- Tak. Skąd wiesz? " ~~"

^ Bo w Maine, a szczególnie w okolicach Lewiston, ludzie naprawdę tak się nazywają. Mam do niego pojechać?

Nie miałem najmniejszej ochoty. Do Lewiston jechało się osiemdziesiąt kilometrów wąskimi drogami, o tej porze zatłoczonymi samochodami kempingowymi i z przyczepami. Miałem natomiast wielką ochotę na kąpiel w jeziorze, a potem na długą drzemkę. Bez żadnych snów.

- Nie musisz. Wystarczy, jeśli do niego zadzwonisz. Będzie czymś w rodzaju hamulca bezpieczeństwa: zaprotestuje natychmiast, jak tylko przesłuchanie wykroczy poza zdarzenie na drodze czwartego lipca. O tym, co tam się działo, masz mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. Rozumiesz?

— Rozumiem.

- Pogadaj z nim trochę i umów się na piątek na,, zacekaj... powinienem to gdzieś tutaj mieć... - Znowu usłyszałem szelest kartek. - Umów się z nim w zajezdzie przy szosie numer 120 na kwadrans po dziewiątej. Porozmawiacie przy kawie, poznacie się trochę, może ustalicie sprawy finansowe. Ja będę wtedy z Mattie, zajęty wyciskaniem z niej wszystkiego, co się da. Możliwe, że zajdzie konieczność zatrudnienia prywatnego detektywa. Wszystkie rachunki zamierzam przesyłać Goldacre'owi, on prześle je twojemu agentowi, a twój agent...

- Nie - przerwałem mu. - Powiedz Goldacre'owi, niech przesyła bezpośrednio do mnie. Matka Harolda była Żydówką; nie chcę, żeby mu serce pękło, kiedy je zobaczy. A tak przy okazji: ile mnie to będzie kosztowało?

- Co najmniej siedemdziesiąt pięć tysięcy - odparł bez wahania i bez choćby cienia wstydu.

- Nie mów o tym Mattie.

- W porządku. I jak, dobrze się bawisz, Mike?

- Wiesz co? - odparłem po krótkim zastanowieniu. — Chyba tak.

- To znakomicie. Za te pieniądze należy ci się ubaw po pachy.

Pożegnaliśmy się i John pierwszy odłożył słuchawkę. Kiedy zrobiłem to chwilę potem, uprzytomniłem sobie, że przez minione pięć dni działo się ze mną i wokół mnie więcej niż przez poprzednie cztery lata.

Tym razem telefon nie zadzwonił, dzięki czemu bez przeszkód dotarłem do gabinetu, choć wiedziałem już, że tego dnia nic więcej nie napiszę. Usiadłem przy starej IBM-ce, uderzyłem parę razy w RETURN, po czym przystąpiłem do wystukiwania notatki do siebie o tym, co zamierzałem napisać, zanim przerwał mi dzwonek telefonu. Co to za bezna dziejny wynalazek, telefon, i jak rzadko dowiadujemy się dzięki niemu czegoś przyjemnego! Dzisiaj jednak był wyjątek, więc mogłem z uśmiechem odgwizdać koniec dniówki. Przecież pracowałem! Pracowałem! Jakaś część mnie wciąż się dziwiła, że w ogóle tutaj siedzę, oddycham, że serce bije mi równo w piersi, i że nic nie wskazuje na to, by zbliżał się atak paralizującego strachu.

[POTEM: Drakę do Raiford. Po drodze zatrzymuje się przy straganie z warzywami i rozmawia z właścicielem, powinien nazywać się jakoś z jajem. Słomkowy kapelusz, t-shirt ze Świata Walta Disneya. Rozmawiają o Shackelfordzie.]

Przekręciłem wałek, wyjąłem papier, położyłem go na wierzchu pliku zapisanych kartek, po czym, już ręcznie, dopisałem jedno zdanie: „Zadzwoń do Teda Rosencriefa w sprawie Raiford”. Rosencrief, emerytowany marynarz US Navy, mieszkał w Derry. Często zatrudniałem go jako researchera; ustalał już dla mnie, jak robi się papier, jakie są trasy przelotów niektórych gatunków ptaków wędrownych, jak wyglądało wnętrze komór grobowych w piramidach. Nigdy nie żądam, by dotarł do wszelkich możliwych informacji nadany temat; zawsze wystarczy mi „odrobinę”. Jako pisarz byłem wierny zasadzie, według której nadmiar faktów zabi- ja akcję. To, co robił Arthur Hailey, jest dla mnie nie do po-jęcia - nie jestem w stanie nawet tego przeczytać, a cóż dopie- ro mówić o pisaniu. Chcę wiedzieć tylko tyle, żeby móc rzetelnie i interesująco kłamać. Rosie wiedział o tym i dobrze

nam się razem pracowało.

Tym razem musiałem dowiedzieć się co nieco o więzieniu Raiford na Florydzie i o tym, jak wygląda tam cela śmierci. Potrzebowałem również trochę informacji o psychologii wielokrotnych zabójców. Pomyślałem sobie, że Rosiego chyba ucieszy telefon ode mnie - może nawet tak samo jak mnie ucieszył fakt, że znowu mam po co do niego dzwonić.

Wziąłem do ręki osiem kartek pokrytych równymi rzędami maszynowego pisma z podwójną interlinią i zacząłem się nimi wachlować, wciąż trochę zdziwiony ich istnieniem. Czyżby rozwiązanie moich problemów od dawna tkwiło w starej elektrycznej maszynie do pisania? Na razie wszystko zdawało się na to wskazywać.

Zdumiewający był także rezultat mego przebudzenia. Podczas czteroletniej przerwy w pisaniu przez moją głowę przewinęło się mnóstwo pomysłów. Paraliż twórczy nie sięgał aż tak głęboko. Jeden z nich był naprawdę znakomity i z pewnością przerodziłby się w powieść, gdybym tylko był w stanie pisać powieści. Pięć do dziesięciu Zasługiwało na miano niezłych, co oznaczało, że nadałyby się z braku laku, albo w przypadku, gdyby niespodziewanie rozwinęły się i rozkwitły. Czasem tak właśnie się dzieje. Większość to były zaledwie mignięcia, nie pociągające za sobą żadnych konsekwencji „co by było> gdyby...”, które przemykały mi przez głowę niczym spadające gwiazdy, kiedy szedłem, prowadziłem samochód albo leżałem w nocy w łóżku i starałem się zasnąć.

„Człowiek w czerwonej koszuli” należał do ostatniej kategorii. Któregoś dnia zobaczyłem mężczyznę w jaskrawo-czerwonej koszuli, myjącego szyby wystawowe sklepu JCPenney w Derry (było to na krótko przed tym, jak Penney przeniósł się do centrum handlowego). Para młodych ludzi przeszła pod drabiną- według starego przesądu oznacza-

ło to straszliwego pecha - ale tych dwoje najzwyczajniej w świecie nie widziało, którędy idą: trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i byli zakochani tak, jak bywają zakochani tylko dwudziestolatkowie. Chłopak był tak wysoki, że niewiele brakowało, a zawadziłby głową o stopy mężczyzny myjącego szyby. Wówczas drabina z pewnością runęłaby na ziemię.

Całe to zdarzenie trwało nie dłużej niż pięć sekund.

„Człowieka w czerwonej koszuli” pisałem przez pięć miesięcy, chociaż tak naprawdę cała książka powstała w ułamku sekundy. Wyobraziłem sobie, że jednak dochodzi do kolizji, a cała reszta była jej naturalnymi konsekwencjami. Moja rola sprowadzała się jedynie do relacjonowania wydarzeń.

Pomysł, nad którym w tej chwili pracowałem, nie należał do Naprawdę Znakomitych Pomysłów Mike'a (głos Jo starannie podkreślał wszystkie wielkie litery), ale nie był też jednym z „co by było, gdyby...” W niczym również nie przypominał moich starych gotyckich opowieści z dreszczykiem: tym razem nikt w okolicy nie słyszał o V.C. Andrews z kutasem. Wydawał się konkretny jak rzeczywistość, a tego ranka zacząłem nadawać mu kształt tak po prostu i zwyczajnie, jak oddychałem.

Andy Drake był prywatnym detektywem z Key Largo. Miał czterdzieści lat, był rozwiedziony, miał trzyletnią córeczkę. W pierwszej scenie znajdował się w Key West, w domu niejakiej Reginy Whiting. Pani Whiting również miała córkę, tyle że pięcioletnią, i była żoną niesamowicie bogatego pośrednika w handlu nieruchomościami, który nie miał pojęcia o tym, o czym wiedział Andy Drake: że do roku 1992 Regina Taylor Whiting nazywała się Tiffany Taylor i była kosztowną call-girl w Miami.

Tyle zdążyłem napisać, zanim zadzwonił telefon. A oto



co jeszcze wiedziałem i co miałem skrupulatnie spisywać przez najbliższe tygodnie, oczywiście pod warunkiem, że nie utracę odzyskanej w cudowny sposób zdolności do pracy:

Pewnego dnia trzyletnia wówczas Karen Whiting siedziała z matką w baseniku zjacuzzi na patio. Kiedy zadzwonił telefon, Regina w pierwszej chwili chciała poprosić sprzątacza, żeby odebrał, ale ostatecznie postanowiła zrobić to sama; sprzątacze był nowy, ponieważ człowiek, który przychodził zazwyczaj, rozchorował się na grypę, więc nie miała pewności, czy wypada jej prosić o przysługę zupełnie obcego człowieka, któremu płaci za wykonywanie innych zajęć. Przykazawszy córce, żeby się nie ruszała, Regina wyskoczyła z baseniku i pobiegła do telefonu. Karen zasłoniła twarz przed bryzgami wody, wypuszczając z ręki ukochaną lalkę, z którą brała kąpiel. Lalka opadła na dno. Kiedy mała schyliła się, by ją podnieść, jej włosy dostały się do jednego z otworów zasysających wodę. (Dwa albo trzy lata wcześniej przeczytałem w gazecie o autentycznym, tragicznym w skutkach wypadku, który miał mniej więcej taki przebieg. Stąd właśnie wziął się pomysł).

Sprzątacze, bezimienny osobnik przysłany przez firmę w zastępstwie chorego, zobaczył, co się dzieje, popędził przez trawnik, wskoczył do baseniku i wyciągnął dziewczynkę na powierzchnię, pozostawiając w otworze zasysającym niemal wszystkie jej włosy i sporą część skalpu. Zaraz potem przystąpił do sztucznego oddychania, co po kilku minutach dało pożądany efekt: dziecko znowu zaczęło oddychać. (Nie mogłem się doczekać, kiedy dotrę do tej wspaniałej, pełnej napięcia sceny). Rozhisteryzowana, szalejąca ze szczęścia matka koniecznie chciała mu się odwdzińczyć hojnym napiwkiem, ale on uparcie odmawiał. Dopiero po długich namowach podał nazwisko i adres, żeby mąż Reginy mógł się z nim skontaktować. Jednak zarówno adres, jak i nazwisko -

John Sanborn - okazały się fałszywe.

Dwa lata później była kurewka, a obecnie szanowana obywatelka spostrzeżga na pierwszej stronie gazety zdjęcie człowieka, który uratował jej córeczkę. Człowiek ów nazywa się John Shackelford i właśnie został aresztowany pod zarzutem zgwałcenia i zamordowania dziewięcioletniej dziewczynki. Podejrzewa się go o dokonanie jeszcze ponad czterdziestu zabójstw, ofiarami których padały także dzieci. „Czy to Baseballówka?” - wykrzykiwali dziennikarze podczas konferencji prasowej. „Złapaliście Baseballówkę?”

- Tak im się przynajmniej wydaje - mruknąłem, schodząc na parter.

Po jeziorze pływało zbyt wiele motorówek, żebym mógł pływać na golasa. Włożyłem kąpielówki, przewiesiłem ręcznik przez ramię, po czym ruszyłem w dół ścieżką - tą samą, którą w moim śnie obwieszono papierowymi lampionami - aby splukać pot stanowiący pozostałość nocnych koszmarów i zupełnie niespodziewanego, porannego twórczego paroksyzmu.

Dom dzielą od jeziora dwadzieścia trzy stopnie z podkładów kolejowych. Na czwartym, albo na piątym, nagle pojąłem wagę tego, co się właśnie wydarzyło. Usta zaczęły mi drżeć, oczy zaszyły łzami, barwy drzew i nieba wymieszały się, z mojego gardła wydobyło się coś w rodzaju zduszonego jęku. Nogi raptownie odmówiły mi posłuszeństwa i usiadłem z rozmachem na stopniu. Przez chwilę wydawało mi się, że już po wszystkim, że to fałszywy alarm... po czym rozplakałem się jak dziecko. W apogeum musiałem zacisnąć zęby na skraju ręcznika, obawiałem się bowiem, że gdyby moje szlochanie dotarło do uszu ludzi na łódkach, mogliby pomyśleć, że ktoś jest właśnie zabijany w okrutny sposób.

Płakałem z żalu nad tymi straconymi latami, które spę-

dziłem bez Jo, bez przyjaciół i bez pracy. Płakałem z wdzięczności, ponieważ wszystko wskazywało na to, iż ów beznadziejny okres dobiegł końca. Oczywiście było jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić to z całą pewnością-jedna jaskółka nie czyni wiosny, a osiem stron tekstu nie świadczy o końcu twórczego paraliżu - ale coś mi szeptało do ucha, że to naprawdę koniec. Płakałem również ze strachu, tak jak czynimy, kiedy minie, jakieś okropne przeżycie albo kiedy cudem unikniemy strasznego niebezpieczeństwa. Płakałem, ponieważ uświadomiłem sobie, że od śmierci Jo cały czas szedłem po białej linii biegnącej środkiem drogi, a teraz, jakimś cudem, znalazłem się na poboczu. Nie miałem pojęcia, kto mnie tam przeniósł, ale nic nie szkodzi: to pytanie mogło jeszcze trochę poczekać.

Wyplakałem ostatnią łzę, po czym zszedłem nad brzeg jeziora i pomału zanurzyłem się w wodzie. Jej chłodny dotyk był dla mego rozgrzanego ciała czymś więcej niż tylko kojącym balsamem: był jak zmartwychwstanie.

## Rozdział 15

- Proszę podać imię i nazwisko.

- Michael Noonan.

- Pański adres?

- Na stałe mieszkam w Derry, przy Benton Street 14, ale mam także letni dom w TR-90, nad jeziorem Dark Score.

Adres pocztowy to skrzynka numer 832, dom zaś stoi przy drodze leśnej numer 42, w bok od szosy 68.

Elmer Durgin, opiekun ad litem Kyry Devore, machnął pulchną ręką, albo żeby przegonić natrętnego owada, albo żeby dać mi do zrozumienia, że wystarczy. Ja też uważałem, że wystarczy. Czuję się trochę jak ta dziewczynka z „Naszego miasteczka”, która tak oto podawała swój adres: Zaulek Grovera, New Hampshire, Ameryka, półkula północna, Ziemia, Układ Słoneczny, Droga Mleczna, Boski Umysł. Jednak przede wszystkim odczuwałem spory niepokój, ponieważ w wieku czterdziestu lat wciąż jeszcze byłem dziewicą, jeśli chodzi o sprawy sądowe, a choć siedzieliśmy w salce konferencyjnej kancelarii Durgin, Peters i Jarette przy Bridge Street w Castle Rock, to jednak bez wątpienia była to sprawa sądowa.

Jeden szczegół zwrócił moją uwagę: Otóż stenografista nie posługiwał się maszynką, trochę przypominającą mechaniczny kalkulator, lecz stenomaską, która zasłaniała dolną część jego twarzy. Widywałem już takie urządzenia, ale wyłącznie w starych czarno-białych filmach kryminalnych, z Danem Duryea albo Johnem Payne'em za kierownicą buicka z przestrzelinami w nadwoziu. Widok siedzącego w kącie gościa o wyglądzie najstarszego pilota wojskowego na świecie sam w sobie był już dość niezwykły, jeszcze dziwniejsze wrażenie

wywoływały jednak moje własne słowa, powtarzane przez niego przytłumionym monotonnym głosem.

- Dziękuję panu, panie Noonan. Moja żona czytała wszystkie pańskie książki i twierdzi, że jest pan jej ulubionym pisarzem. Chciałbym, żeby znalazło się to w zapisie naszej rozmowy.

Rechot Durgina bardzo przypominał mlaskanie. Cemu nie? Przecież był otyłym człowiekiem. Z zasady lubię grubasów, ponieważ mają serca równie wielkie jak brzuchy, ale istnieje ich podgatunek, nazwany przeze mnie Karłowatymi Oblesnymi Pulpetami. KOP-ów należy unikać za wszelką cenę, bo jeśli nastąpisz im na odcisk, w rewanżu z rozkoszą spalą ci dom i zgwałcą psa. Tylko nieliczni z nich mierzą więcej niż metr pięćdziesiąt pięć (tak na oko tego właśnie wzrostu był Durgin), większość zaś ma sporo poniżej metra pięćdziesiąt. Uśmiech często gości na ich ustach, ale nigdy w oczach. Karłowate Oblesne Pulpety nienawidzą całego świata, szczególnie zaś tych, którzy stojąc są w stanie dojrzeć własne stopy. Wciąż jeszcze zaliczałem się do tej kategorii.

- Proszę w moim imieniu podziękować swojej żonie, panie Durgin. Może poleci panu którąś?

Durgin ponownie zarechotał. Zachichotała także jego asystentka, ładna dziewczyna, tak na oko najwyżej parę minut po studiach. Roześmiał się również siedzący po mojej lewej stronie Romeo Bissonette. Tylko najstarszy pilot myśliwca F-111 na świecie niestrudzenie mamrotał pod maską.

- Zaczekam na ekranizację.

Sądząc po złośliwym błysku w oku, doskonale wiedział, że żadna z moich książek nie doczekała się ekranizacji z prawdziwego zdarzenia, bo trudno przecież uznać za taką telewizyjną adaptację „We dwoje”, która została oceniona

podobnie jak kolejna edycja Ogólnokrajowych Mistrzostw Tapicerów. Miałem nadzieję, że wymiana wstępnych uprzejmości (albo raczej tego, co ten mały tłusty sukinsyn uważał za wstępne uprzejmości) dobiegła już końca.

- Jestem opiekunem ad litem Kyry Devore - oznajmił. -  
Czy wie pan, co to znaczy?

- Chyba tak.

- To znaczy - ciągnął niezrażony Durgin - że zostałem wyznaczony przez sędziego Rancourta, aby ustalić, co leży w najlepszym interesie Kyry Devore, gdyby miało dojść do rozprawy w kwestii praw rodzicielskich. Co prawda sędzia Rancourt nie będzie zobowiązany do wydania wyroku w oparciu o moje sugestie, ale zazwyczaj opinia opiekuna ad litem ma rozstrzygające znaczenie.

Umilkł z palcami splecionymi na pustej stronie skoroszytu, jego atrakcyjna asystentka, dla odmiany, notowała jak szalona. Być może nie ufała pilotowi myśliwca. Durgin potoczył dokoła wzrokiem, jakby oczekiwał huraganowej owacji.

- Czy to było pytanie panie Durgin? - bąknąłem i natychmiast poczułem delikatne, ale z pewnością nieprzypadkowe kopnięcie w lewą łydkę. Nietrudno było się domyślić, komu je zawdzięczałem.

Durgin zacisnął usta. Wargi miał tak gładkie i błyszczące, jakby pomalował je sobie bezbarwną szminką. Równie błyszczącą łysinę zdobiło kilka kosmyków zaczesanych w łagodne półkola. W głębi oczu mierzących mnie cierpliwym, uważnym spojrzeniem, bez trudu mogłem dostrzec wszystkie paśkudztwa typowe dla Karłowatych Obleśnych Pulpetów. Wstępne uprzejmości bez wątpienia dobiegły końca.

- Nie, panie Noonan. To nie było pytanie. Pomyślałem sobie po prostu, że będzie pan chciał wiedzieć, dlaczego w ten uroczy ranek ściągnęliśmy pana tutaj znad pańskiego uro-

czego jeziora, ale być może myliłem się. A teraz, skoro...

Rozległo się niedbałe stuknięcie w drzwi, po czym do sali, nie czekając na zaproszenie, wkroczył ulubieniec publiczności, George Footman. Tym razem zamiast kolorowej koszuli miał na sobie mundur w kolorze khaki, razem z pasem i rewolwerem. Najpierw niespiesznie przyjrzał się biustowi asystentki Durgina, doskonale widocznemu pod jedwabną bluzką, po czym wręczył jej papierową teczkę z dokumentami oraz mały magnetofon kasetowy. Zanim wyszedł, obrzucił mnie przelotnym, ale wymownym spojrzeniem. Pamiętam cię, koleś - mówiło spojrzenie. Pisarz-mądrała. Cienki z ciebie Bolek.

Romeo Bissonette pochylił się w moją stronę, osłonił ręką usta, tworząc pomost, który na chwilę połączył je z moim uchem, i szepnął:

- Taśma Devore.

Skinąłem głową i ponownie skoncentrowałem uwagę na Durginie.

- Panie Noonan, o ile wiem, zetknął się pan już z Kyra Devore i jej matką, Mary Devore?

Jakim cudem z Mary zrobiła się Mattie? Niemal natychmiast rozbłysła mi w głowie odpowiedź. Byłem całkowicie pewien, że jest prawdziwa. To Kyra powiedziała „Mattie”, kiedy po raz pierwszy usiłowała wymówić imię matki.

- Panie Noonan, czy zamierza pan się zdrzemnąć?

- Pański sarkazm jest całkowicie nieuzasadniony - odezwał się Bissonette. Powiedział to uprzejmym tonem, ale i tak Elmer Durgin zmiażdżył go spojrzeniem świadczącym o tym, że gdyby kiedyś KOP-y przejęły władzę, Romeo Bissonette znalazłby się w pierwszym transporcie odjeżdżającym do nowo otwartego obozu koncentracyjnego.

- Przepraszam - powiedziałem, zanim Durgin zdążył

otworzyć usta.-Zamyśliłem się na chwilę.

- Jakiś pomysł do nowej książki? - zapytał Durgin z błyszczącym uśmiechem na ustach. Przypominał ropuchę w garniturze. Odwrócił się do pilota, polecił wykasować ostatni zapis, po czym powtórzył pytanie dotyczące Kyrę i Mattie.

- Owszem, zetknąłem się z nimi.

- Raz czy więcej?

-Więcej.

-Ile razy?

- Dwa.

- Czy rozmawiał pan przez telefon z Mary Devore?

Pytania zmierzały w niekorzystnym dla mnie kierunku.

-Tak.

- Ile razy?

- Trzy.

Trzeci raz był minionego dnia, kiedy zadzwoniła z pytaniem, czy po przesłuchaniu wybiorę się z nią i Johnem Storrowem na mały piknik w miejskim parku. Lunch w środku miasta, na oczach wszystkich... za to z nowojorskim prawnikiem w roli przyzwoitki.

- Czy rozmawiał pan przez telefon z Kyrą Devore?

Co za dziwaczne pytanie! Byłem na nie zupełnie nieprzygotowany, i chyba między innymi dlatego je zadał.

- Panie Noonan...

- Tak, raz.

- Czy może pan nam powiedzieć, czego dotyczyła ta rozmowa?

- Cóż... - Spojrzałem pytająco na Bissonette'a, ale on tylko uniósł bezradnie brwi. - Mattie...

- Proszę? - Durgin gwałtownie pochylił się do przodu - na tyle, na ile był to w stanie uczynić, rzecz jasna. Jego małe



oczka wpatrywały się we mnie z napięciem z dna różowych oczodołów.—Mattie?

- Mattie Devore. Mary.

- Tak się pan do niej zwraca?

- Owszem. - Korciło mnie, żeby dodać: „W łóżku! Tak mówię do niej w łóżku! Mattie, och, Mattie, błagam cię, nie przestawaj!” - Tym imieniem mi się przedstawiła. Poznaliśmy się...

- Do tego dojdziemy później. Na razie interesuje mnie pańska telefoniczna rozmowa z Kyrą Devore. Kiedy to było?

- Wczoraj.

- A więc dziewiątego lipca 1998.

- Zgadza, się.

- Kto zainicjował połączenie?

- Ma... Mary Devore.

Teraz zapyta, po co dzwoniła, przemknęło mi przez głowę, a ja powiem, że chciała się umówić na kolejną orgię, którą rozpoczniemy karmiąc się nawzajem truskawkami w sosie czekoladowym i oglądając zdjęcia nagich zdeformowanych karłów.

- Dlaczego więc rozmawiał pan z Kyrą Devore?

- Ponieważ miała zapytała, czy może ze mną porozmawiać. Słyszałem, jak mówi matce, że ma mi coś do powiedzenia.

- Co miała panu do powiedzenia?

- Że po raz pierwszy wzięła kąpiel z pianą.

- Powiedziała również, że ma kaszel?

Przyglądałem mu się w milczeniu. Wreszcie zrozumiałem, dlaczego ludzie nienawidzą prawników - szczególnie ci, którzy zostali przez nich wdeptani w glebę.

- Panie Noonan, czy mam powtórzyć pytanie?

- Nie trzeba. - Zastanawiałem się intensywnie, skąd zdo-

był tę informację. Czyżby dranie założyli podłuch w telefonie Mattie? W moim? W obu? Powoli zaczynałem pojmować, co to znaczy, jeśli ma się na koncie pół miliarda dolarów.

Gość z taką forszą może podsłuchiwać, kogo zechce. - Powiedziała, że zakasłała, bo mama zdmuchnęła pianę w jej stronę, ale...

- Dziękuję panu. Teraz przejdźmy do...

- Proszę pozwolić mi dokończyć - wtrącił się Bissonette. Pomyślałem, że przed wejściem do tego budynku nie podejrzewałem, iż będzie musiał tak często interweniować, ale też nie wydawał się mieć czegokolwiek przeciwko temu. Miał budzącą zaufanie, nieco zaspianą twarz przypominającą pysk ogara. - To nie sala sądowa, a pan nie przesłuchuje podejrzanego o zabójstwo.

- Mam na uwadze wyłącznie dobro tej małej - odparł Durgin z dumą, a zarazem pokorą, co dało mniej więcej taki efekt, jak posmarowanie kremówki keczupem. - Staram się poważnie traktować swoje zadanie. Przepraszam, jeśli się zagalopowałem.

Nie zadałem sobie trudu, by przyjąć jego przeprosiny, bo wówczas byłbym równie fałszywy jak on.

- Chciałem tylko powiedzieć, że opowiadała o tym ze śmiechem. Mówiła, że stoczyła z mamą wojnę na pianę. Jej matka również się śmiała.

Durgin zawzięcie przerzucał zawartość teczek dostarczonej przez Footmana, jakby nie słyszał ani słowa z tego, co mówię.

- Jej matka... Mattie, jak pan o niej mówi.

- Tak. Mattie, jak o niej mówię. A tak w ogóle, to skąd pan wie o moich prywatnych rozmowach?

- To nie pański interes, panie Noonan. - Wyjął jakąś kartkę, zamknął teczkę, po czym przyjrzał się pod światło ar-

kusikowi papieru, jak lekarz oglądający zdjęcie rentgenowskie. Zdążyłem zauważyć, że jest pokryta dość gęstym maszynowym pismem. - Zajmijmy się teraz pańskim pierwszym spotkaniem z Mary i Kyrą Devore. To było czwartego lipca, prawda?

- Owszem.

Skinął głową.

- Rankiem czwartego lipca. Najpierw, zdaje się, poznał pan Kyrę?

-Tak.

- Poznał ją pan najpierw, ponieważ jej matki nie było z nią w tym czasie, zgadza się?

- Pańskie pytanie zostało niezbyt fortunnie sformułowane, ale wydaje mi się, że powinienem udzielić odpowiedzi twierdzącej.

- To dla mnie zaszczyt, że poprawia mnie człowiek, który tak często gości na listach bestsellerów - powiedział Durgin z uśmiechem. Uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, iż znalazłbym się w tym samym transporcie, co Romeo Bissonette. - Proszę najpierw opowiedzieć nam o spotkaniu z Kyrą Devore, a potem z Mary Devore... albo Mattie, jeśli pan woli.

Opowiedziałem całą historię. Kiedy skończyłem, Durgin położył sobie na kolanach magnetofon. Jego paznokcie błyszczały tak samo jak wargi.

- Panie Noonan, mógł pan przejechać Kyrę, prawda?

- W żadnym wypadku. Jechałem pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, czyli tyle, ile wynosi dozwolona prędkość na tym odcinku szosy. Zobaczyłem ją na tyle wcześnie, że miałem mnóstwo czasu na zatrzymanie samochodu.

- A gdyby jechał pan w przeciwnym kierunku, nie na południe, tylko na północ? Czy wtedy także miałby pan mnó-

stwo czasu?

Było to jedno z uczciwszych pytań, jakie zadał do tej pory. Istotnie, ktoś nadjeżdżający z przeciwnej strony miał nieco ograniczoną widoczność, ale...

- Tak.

Durgin uniósł brwi.

- Jest pan tego pewien?

- Jestem. Może musiałbym trochę mocniej hamować, ale i tak...

- Przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Tak jest. Już powiedziałem, że tyle wynosi dozwolona prędkość...

- ...na tym odcinku szosy numer 68. Istotnie, powiedział pan to. Czy, pańskim zdaniem, wiele osób stosuje się do tego ograniczenia?

- Po roku 1993 dość rzadko bywałem w TR, więc trudno mi...

- Panie Noonan, to nie jest scena z którejś z pańskich książek. Proszę odpowiedzieć mi na pytanie, bo w przeciwnym razie spędzimy tu całe przedpołudnie.

- Robię, co mogę, proszę pana.

Durgin westchnął z udawaną cierpliwością.

- Dom nad jeziorem Dark Score należy do pana od kilkunastu lat, prawda? Przez ten czas ograniczenia prędkości obowiązują wciąż w tych samych miejscach: przy sklepie, koło poczty, przed i za warsztatem, w North Village... Zgadza się?

- Owszem - przyznałem.

- W takim razie, wróćmy do poprzedniego pytania. Czy pańskim zdaniem na tym odcinku drogi większość kierowców przestrzega ograniczenia prędkości do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę?

- Trudno mi ocenić, czy jest to większość, ponieważ nie przeprowadzałem szczegółowych badań, ale wydaje mi się, że znaczna część tego nie robi.

- Czy chciałby pan wysłuchać informacji szeryfa Footmana o tym, gdzie w TR-90 daje się najwięcej mandatów za przekroczenie dozwolonej prędkości?

- Nie - odparłem zgodnie z prawdą.

- Czy wtedy, kiedy rozmawiał pan najpierw z Kyrą, a potem z Mary Devore, mijały pana jakieś samochody?

- Tak.

- Ile ich było?

- Trudno mi powiedzieć. Kilka.

- Na przykład trzy?

- Możliwe.

- Pięć?

- Nie, tyle chyba nie.

- Więc nie wie pan dokładnie?

-Nie.

- Ponieważ był pan zajęty uspokajaniem Kyrę Devore?

- Była całkiem dzielna jak na tak małe...

- Czy płakała przy panu?

- No... tak.

- Czy płakała z powodu matki?

- To nie w porządku.

- Jak bardzo nie w porządku? Tak jak dopuszczenie do tego, żeby trzyletnie dziecko wędrowało samotnie środkiem ruchliwej szosy, czy może trochę mniej?

- Rety, nie tak ostro - wtrącił się Bissonette. Wyraz senności niemal całkiem znikł z jego twarzy, ustępując miejsca narastającemu niepokoju.

- Cofam pytanie - powiedział Durgin.

- Które? - zainteresowałem się.

Spojrzał na mnie ze znużeniem, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że bez przerwy musi sobie radzić z takimi dupkami jak ja i że przyzwyczał się już do naszych wyskoków.

- Ile samochodów przejechało szosą od chwili, kiedy przeniósł pan dziecko w bezpieczne miejsce, do czasu, kiedy rozstał się pan z Mary i Kyrą Devore?

Cholernie mi się nie podobało to „przenoszenie dziecka w bezpieczne miejsce”, ale staruszek w kącie już powtórzył pytanie pod maską. Poza tym, w gruncie rzeczy tak właśnie było. Nic na to nie mogłem poradzić.

- Już mówiłem, że nie jestem pewien.

- Więc proszę podać liczbę w przybliżeniu.

„W przybliżeniu”. Jedno z najmniej lubianych przeze mnie określeń.

- Około trzech.

- Łącznie z samochodem Mary Devore. - Zerknął na kartkę, którą wyjął z teczki. - Jeepem scoutem z roku 1982?

Przypomniałem sobie słowa Ki: „Mattie szybko jeździ”, i zrozumiałem, do czego zmierza Durgin. Nie mogłem zrobić nic, żeby mu przeszkodzić.

- Tak, łącznie z jej samochodem. To był jeep scout, ale nie jestem w stanie określić roku produkcji.

— Czy mijając miejsce, w którym stał pan trzymając Kyrę na rękę, jechała z prędkością mniejszą od dozwolonej na tym odcinku szosy, równą jej, czy może większą?

Jechała co najmniej osiemdziesiątką, odpowiedziałem jednak, że nie byłem w stanie tego ocenić. Namawiał mnie, bym mimo wszystko spróbował; wiem, że jeszcze nigdy nie kręcił pan stryczka, panie Noonan, ale jestem pewien, że to się panu uda, jeśli solidnie się pan przyłoży. Wykręciłem się najgrzeczniej, jak potrafiłem.

Ponownie wziął kartkę do ręki.

- Panie Noonan, czy zdziwiłaby pana informacja, że zdaniem dwóch świadków, a mianowicie Richarda Brooksa juniora, właściciela warsztatu U Dicka, oraz Royce'a Merrilla, emerytowanego stolarza, pani Devore jechała z prędkością co najmniej dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę?

- Ja tego nie widziałem - odparłem. - Byłem zajęty małą.

- Czy zdziwiłoby pana, że Royce Merrill ocenił tę prędkość na sto kilometrów na godzinę?

- To absurd! Gdyby przy tej prędkości wdepnęła w hamulec, na pewno wpadłaby w poślizg albo nawet wylądowałaby w rowie!

- Przeprowadzone przez szeryfa Footmana pomiary śladów pozostawionych przez opony na asfalcie pozwoliły oszacować prędkość samochodu na co najmniej osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. - Chociaż to nie było pytanie, spojrzał na mnie zaczepnie, jakby liczył na to, że będę kontynuował dyskusję i jeszcze głębiej ugrzęznę w cuchnącym błocku. Po- / nieważ milczałem, złożył pulchne dłonie i pochylił się nad nimi w moim kierunku. Zaczepne spojrzenie ulotniło się bez śladu. - Panie Noonan, czy mogło być tak, że gdyby nie zatrzymał się pan i nie zaopiekował Kyrą, dziewczynka mogłaby zostać przejechana przez własną matkę?

Co mogłem odpowiedzieć? Bissonette, zamiast spieszyć mi z pomocą, usiłował nawiązać kontakt wzrokowy z atrakcyjną asystentką Durgina. Przyszła mi na myśl książka, którą Mattie czytała równocześnie z „Bartlebym” - „Milczący świadek” Richarda Northa Pattersona. W przeciwieństwie do bohaterów Grishama, prawnicy Pattersona prawie zawsze wiedzieli dokładnie, co robią. Sprzeciw, wysoki sędzie. Odpowiedź na to pytanie może być oparta wyłącznie na domysłach świadka, nie na faktach.

Wzruszyłem ramionami.

- Przykro mi, ale moja kryształowa kula została w domu. W oczach Durgina znowu pojawił się nieprzyjemny błysk.

- Panie Noonan, daję panu słowo honoru, że jeśli nie odpowie pan teraz na to pytanie, prędzej czy później zostanie pan wezwany z Malibu, Ziemi Ognistej albo innego miejsca, gdzie będzie pan tworzył kolejne dzieło, aby udzielić odpowiedzi.

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Trudno, nic na to nie poradzę. Już panu powiedziałem, że byłem zajęty dzieckiem. Nie jestem w stanie ocenić, jak szybko jechała matka, jak dobry wzrok ma Royce Merrill ani nawet czy szeryf Footman zmierzył te ślady opon, co trzeba. Zapewniam pana, że jest ich tam mnóstwo. Poza tym, nawet jeśli jechała osiemdziesiąt albo nawet dziewięćdziesiąt na godzinę, to co z tego? Mattie Devore ma dwadzieścia jeden lat. W tym wieku ma się doskonały refleks. Nawet gdyby nie zdążyła zahamować, z pewnością bez trudu ominęłaby dziecko.

- Myślę, że już wystarczy.

- Dlaczego? Dlatego, że słyszy pan nie to, co chciałby usłyszeć? - Bissonette ponownie kopnął mnie w kostkę, ale go zignorowałem. - Jeżeli broni pan interesów Kyry, to dlaczego wciąż mi się wydaje, że bardziej zależy panu na jej dziadku?

Przez twarz Durgina przemknął ponury uśmiezek; dobra, cwaniaczkę, chcesz się zabawić? Przysunął magnetofon trochę bliżej.

- Skoro wspomniał pan o dziadku Kyry, panu Maxwellu Devore z Palm Springs, może byśmy trochę o nim porozmawiali?

- Pan tu rządzi.



- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z Maxwelllem Devore?

-Tak. " ~

- Osobiście czy przez telefon?

- Przez telefon.

Korciło mnie, żeby wspomnieć o zagadkowym sposobie, w jaki zdobył mój zastrzeżony numer, ale w porę przypomniałem sobie, że tego samego dokonała Mattie, i postanowiłem przemilczeć sprawę.

- Kiedy to było?

- Wieczorem w ubiegłą sobotę, czwartego lipca. Zadzwonił do mnie, kiedy oglądałem pokaz ogni sztucznych.

- Czy tematem rozmowy były może wydarzenia tamtego poranka?

Durgin sięgnął do kieszeni i wyjął kasetę magnetofonową. Zrobił to nie kryjąc się, wręcz ostentacyjnie; przez chwilę wyglądał jak prestidigitator, który pokazuje publiczności jedwabną chusteczkę... Ja jednak wyczułem, że blefuje. Oczywiście nie miałem żadnych dowodów, byłem jednak tego całkowicie pewien. Devore bez wątpienia nagrywał naszą rozmowę - jeszcze w jej trakcie uświadomiłem sobie, że szum w tle jest zbyt głośny - a kasetę, którą teraz Durgin z taką gracją wydobyl z kieszeni, prawie na pewno zawierała właśnie to nagranie... lecz mimo wszystko to był blef.

- Nie pamiętam - powiedziałem.

Durgin, który właśnie wkładał kasetę do kieszeni magnetofonu, nagle znieruchomiał i spojrzał na mnie ze szczerym zdumieniem... i chyba z tłumionym gniewem.

- Nie pamięta pan? Ależ, panie Noonan! Pisarze z pewnością celowo zapamiętują różne rozmowy, a ta przecież odbyła się zaledwie tydzień temu. Proszę powiedzieć, o czym rozmawialiście.

- Naprawdę nie pamiętam - oznajmiłem obojętnym, pozabawionym emocji tonem.

Przez sekundę albo dwie Durgin wyglądał tak, jakby miała go ogarnąć panika, ale szybko się opanował. Błyszczący paznokcie zaczął niespiesznie wędrować po przyciskach magnetofonu.

- Od czego zaczął rozmowę pan Devore?

- Powiedział: „dobry wieczór”-odparłem jakby nigdy nic.

Zza stenomaski dobiegł krótki, zduszony odgłos; przypuszczalnie wiekowy pilot po prostu zakasłał, ale bardzo podobnie mogło brzmieć stłumione parsknięcie. Na policzkach Durgina zaczęły powoli wykwitać rumieńce.

- A potem? Co powiedział potem?

- Nie pamiętam.

- Czy mówił coś o wydarzeniach z przedpołudnia?

- Nie pamiętam.

- Nie powiedział mu pan, że widział Mary Devore z córeczką, że były razem i zbierały kwiatki? Czy nie to właśnie powiedział pan zatroskanemu dziadkowi, kiedy ten zadzwonił do pana, by zapytać o przebieg incydentu, o którym aż huczało w okolicy?

- O, kurczę! - westchnął Bissonette i ułożył ręce w literę T. - Czas dla zawodnika.

Durgin przeniósł na niego spojrzenie. Rumieńce na policzkach były już doskonale widoczne, kąciki ust powędrowały na boki, a wargi rozchyliły się, odsłaniając czubki niewielkich zębów.

- A pan czego chce? - warknął, jakby Bissonette właśnie wpadł na chwilę tylko po to, żeby opowiedzieć o mormonach albo różokrzyżowcach.

- Chcę, żeby pan przestał manipulować tym człowiekiem oraz żeby usunąć ze stenogramu wzmiankę o zbieraniu

kwiatków.

- A to dlaczego? - parsknął Durgin.

- Dlatego, że usiłuje pan wprowadzić do stenogramu sformułowania, których świadek nie użył. Oczywiście w każdej chwili możemy przerwać i pójść do sędziego Rancourta, żeby zasięgnąć jego opinii, ale...

- Cofam pytanie - wycedził Durgin, po czym spojrzał na mnie z bezsilną wściekłością. - Panie Noonan, czy chce pan pomóc mi w wypełnianiu moich obowiązków?

- Chcę pomóc Kyrze Devore, jeśli będzie to możliwe.

- Znakomicie. - Skinął głową, jakby wprowadzone przeze mnie rozróżnienie nie miało dla niego żadnego znaczenia.

- W takim razie proszę mi powiedzieć, o czym rozmawiał pan z Maxwelllem Devore.

- Nie pamiętam. - Wytrzymałem jego spojrzenie. - Chyba że potrafi pan jakoś odświeżyć moją pamięć?

Zapadła ciężka, niezmacona niczym cisza, taka jak niekiedy poprzedza odsłonięcie kart po ostrej licytacji. Nawet wiekowy pilot milczał, obserwując nas bez drgnięcia powieki znad maski. Wreszcie Durgin odsunął magnetofon wierzchem dłoni (jego mina świadczyła, że w tej chwili darzy ów przedmiot identycznymi uczuciami, jakimi ja darzyłem niekiedy telefon) i wrócił dowydarzeń, które rozegrały się rankiem czwartego lipca. Nie zapytał ani o kolację we wtorkowy wieczór, nie wspomniał też już ani słowem o mojej telefonicznej rozmowie z Maksem Devore, podczas której nagadałem tyle bzdur. Trwało to do wpół do dwunastej, ale tak naprawdę przesłuchanie skończyło się znacznie wcześniej, kiedy Durgin odsunął magnetofon. Obaj o tym wiedzieliśmy.

- Mike! Mikę, tutaj!

Mattie machała do mnie od stolika za estradą, na której koncertowała miejska orkiestra. Promieniała energią i szczę-

ściem. Pomachałem również i ruszyłem w tamtym kierunku, lawirując między dziećmi przeciągającymi linę oraz obejmującymi się parami. W pewnej chwili musiałem się gwałtownie schylić, aby uniknąć trafienia plastikowym latającym talerzem, który zaraz potem został z gracją schwytyany przez pięknego wilczura.

Towarzyszył jej jakiś wysoki kościsty rudzielec, ale nie zdążyłem mu się przyjrzeć, ponieważ Mattie wybiegła mi na przeciw, chwyciła mnie w ramiona, po czym mocno pocałowała w usta. Pocałunkowi towarzyszyło donośne cmoknięcie. Nie wypuszczając mnie z objęć odchyliła głowę do tyłu i przyjrzała mi się z nieukrywanym zadowoleniem.

— I co, czy to nie najwspanialszy całus w twoim życiu?

- Na pewno najwspanialszy od czterech lat - odparłem. -  
Czy to ci wystarczy?

Bąłem się, że jeśli natychmiast nie odsunie się ode mnie, لذا chwila zyska namacalny dowód jakości swego pocałunku.

- Chyba będzie musiało. Czy zachowuję się jak należy? -  
zapytała z przekornym uśmiechem chudego rudzielca.

- Nie za bardzo, ale przynajmniej nigdzie w pobliżu nie ma chłopaków z warsztatu U Dicka. Mikę, jestem John Storrow. Cieszę się, że wreszcie mogę poznać cię osobiście.

Od razu go polubiłem - być może dlatego, że był w eleganckim trzyczęściowym garniturze, a mimo to jakby nigdy nie przystąpił do rozstawiania jednorazowych talerzy i kubeczków na plastikowym stoliku. Jego rude kręcone włosy powiewały dokoła głowy niczym wodorosty targane morskimi prądami. Miał bardzo jasną, pokrytą piegami skórę - taką, która nigdy się nie opala, tylko od razu pokrywa bąblami jak po oparzeniach, a potem obłazi całymi płatami.

Ściskając mu dłoń odniosłem wrażenie, że jego ręka składa się z samych kości i guzłowatych stawów. Z pewnością miał

co najmniej trzydziestkę, ale wyglądał prawie na rówieśnika Mattie. Musi minąć jeszcze co najmniej pięć lat, zanim po raz pierwszy dostanie drinka bez pokazywania prawa jazdy.

- Siadaj - zaprosił mnie szerokim gestem. - Właśnie jesteśmy w trakcie pięciodaniowej uczy: kanapka z wędliną i serem, nie wiadomo czemu zwana tutaj „włoską”, paluszki serowe, frytki i chipsy.

- To tylko cztery dania - zauważyłem.

- Zapomniałem o napojach. - Wydobył z brązowej papierowej torby trzy butelki soku brzożowego. - Bierzmy się do jedzenia. W piątki i soboty Mattie ma od drugiej do ósmej dyżur w bibliotece. Kiedy jak kiedy, ale teraz nie powinna spóźniać się do pracy.

- Jak się udało spotkanie kółka czytelniczego? - zapytałem. - Jak widzę, Lindy Briggs jednak nie zjadła cię żywcem.

Roześmiała się, klasnęła w dłonie, po czym potrząsnęła nimi nad głową.

- Zrobiłam furorę! Słuchały mnie z rozdziawionymi ustami! Nie odważyłam się przyznać, że to ty skierowałeś mnie na właściwy trop, więc...

- Bogu niech będą dzięki, że wciąż obdarza nas swymi łaskami! - westchnął Storrows, czubkami palców rozwijając pakowy papier, w który była zawinięta jego kanapka, i przyjrzał jej się podejrzliwie.

- ...więc powiedziałam, że wpadł mi w ręce artykuł napisany przez jakiegoś krytyka, a resztę wymyśliłam sama. Mówię wam, było cudownie! Poczułam się zupełnie tak, jakbym wróciła do szkoły.

- To świetnie.

- A gdzie Bissonette? - zapytał John Storrows. - Gdzie on się podziewa? Nigdy nie widziałem faceta, który nazywał<sup>by</sup> się Romeo.

- Powiedział, że musi wracać do Lewiston. Przykro mi.

- Właściwie to nawet dobrze, że jesteśmy w ścisłym gronie. Przynajmniej na początek. - Odgryzł spory kęs, przeżuł, po czym spojrzał na mnie ze zdziwieniem. - Całkiem niezłe! A teraz opowiedz, jak poszło składanie wyjaśnień.

Oni jedli, ja mówiłem, a potem energicznie zabrałem się do odrabiania zaległości. Zupełnie zapomniałem, jak smaczna może być taka kanapka: słodkawa, kwaskowata i jednocześnie trochę tłustawa. Oczywiście nic, co jest smaczne, nie może być zdrowe. Podobna zasada odnosi się chyba również do ściskania i obcałowywania młodych atrakcyjnych kobiet, które z jakichś powodów mają problemy z prawem.

- Bardzo interesujące - mruknął John. - Naprawdę bardzo interesujące. - Wziął paluszek serowy, rozerwał go i z przerażeniem wytrzeszczył oczy na brejowate białe nadzie-  
nie. - Czy tutaj ludzie naprawdę to jedzą?

- Ludzie w Nowym Jorku jedzą surowe rybie pęcherze - poinformowałem go.

- Chyba tak.

Umaczał obie połówki w keczupie i zjadł.

- No i jak? - zapytałem.

- Całkiem, całkiem. Tyle że powinny być znacznie cieplejsze.

Miał rację. Zimne paluszki serowe smakują przypuszczalnie tak samo jak zimne smarki; nie powiedziałem jednak tego głośno, pomyślałem bowiem, że ta uwaga zupełnie nie pasuje do pięknego letniego popołudnia.

- Nie rozumiem: skoro Durgin miał taśmę, to dlaczego jej nie odtworzył? - zdziwiła się Mattie.

John rozłożył szeroko ręce.

- Tego najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy.

Był przekonany, że Devore się wycofa; świadczył o tym

każdy jego gest i każde słowo, a raczej ton, jakim je wypowiadał. Oczywiście było to bardzo pocieszające, niemniej wolałbym, żeby Mattie nie popadła w przesadny optymizm.

John Storrow nie był ani tak młody, na jakiego wyglądał, ani tak szczery (przynajmniej taką miałem nadzieję), ale też nie dałoby się go nazwać starym wyjadaczem. Poza tym, ani on, ani Mattie nie słyszeli historii o sankach Scootera Larrabee. Nie widzieli też twarzy Billa Deana, kiedy ją opowiadał.

Oczywiście możemy się domyślać tego czy owego - dodał.— Chcecie usłyszeć kilka prawdopodobnych wyjaśnień?

- Jasne.

John odłożył kanapkę, wytarł ręce w serwetkę, po czym zaczął odliczać na palcach:

- Po pierwsze, to on zadzwonił do ciebie, nie ty do niego, w związku z czym nagranie ma mocno wątpliwą wartość. Po drugie, nie rozmawiał z tobą jak szlachetny Zorro albo bezinteresowny Robin Hood, prawda?

Skinąłem głową,

- Po trzecie, twoje kłamstwa obciążają tylko ciebie, ale nie za bardzo, natomiast w żaden sposób nie obciążają Mattie. Aha, tak przy okazji: bardzo podobał mi się kawałek z kąpielą w pianie. Jeśli nie mają nic lepszego, powinni od razu się wycofać. Wreszcie po czwarte i ostatnie, a zarazem najważniejsze: wydaje mi się, że Devore cierpi na chorobę Nixona.

- Co to takiego? - zapytała Mattie.

- Taśma, którą ma Durgin, nie jest jedyna. Twój teść obawia się, że jeśli przedstawi ją jako dowód w sądzie i wyjaśni, skąd się wzięła - przecież nie powie, że założył ci podsłuch, nawet gdyby to zrobił. Przypuszczam, że magnetofon jest zainstalowany w centrali telefonicznej u Warringtonów i rutynowo rejestruje wszystkie rozmowy. Moglibyśmy wów-

czas zażądać przedstawienia wszystkich taśm i niech mnie szlag trafi, jeśli bym tego nie zrobił.

- A co na nich może być ciekawego? - zdziwiła się Mattie. - Nawet gdyby coś było, wystarczy przecież je zniszczyć.

- Być może nie chce tego zrobić, bo potrzebuje ich jeszcze z jakichś powodów - podsunąłem.

- To i tak nie ma większego znaczenia - stwierdził John.

- Liczy się tylko to, że Durgin blefował. - Uderzył lekko dłonią w stół. - Jestem przekonany, że się wycofa. Naprawdę.

- Trochę za wcześnie na wyciąganie takich wniosków - wtrąciłem pospiesznie, ale sądząc po twarzy Mattie, rozpromienionej jeszcze bardziej niż do tej pory, było już za późno, by naprawić szkodę.

- Opowiedz mi, co załatwiłeś, bo zaraz muszę uciekać - zwróciła się Mattie do Johna.

- Kto opiekuje się Kyrą, kiedy idziesz do pracy? - zapytałem,

- Pani Cullum. Mieszka przy Wasp Hill Road, jakieś trzy kilometry od nas. Poza tym w lipcu, od dziesiątej rano do trzeciej po południu, jest Wakacyjna Szkoła Biblijna. Ki uwielbia tam chodzić. Najbardziej podobają jej się wspólne śpiewy i tablice z obrazkami przedstawiającymi dzieje Noego i Mojżesza. Autobus odwozi ją do Arlene, a ja odbieram ją przed dziewiątą. - Uśmiechnęła się chytrze. - Zazwyczaj śpi już jak kamień.

John mówił prawie dziesięć minut. Chociaż nie miał zbyt wiele czasu, zdążył puścić w ruch wiele kółek. Ktoś w Kalifornii zbierał informacje na temat Rogera Devore i Morrisa Riddinga („zbieranie informacji” brzmi znacznie lepiej niż „węszenie”). Johnowi najbardziej zależało na ustaleniu, jakie stosunki łączą Rogera Devore z ojcem i czy ten wyznaczył mu jakąś rolę do odegrania w sprawie Kyrę. Rozpoczął tak-



że akcją mającą na celu prześledzenie wszystkich poczynąń Maksa Devore po jego powrocie do TR-90, W tym celu skontaktował się z prywatnym detektywem poleconym przez Romea Bissonette, mojego adwokata z wypożyczalni na godzinę.

Kiedy zasypywał nas gradem faktów, wertując pospiesznie mały notes, który wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki, przypomniało mi się, co podczas naszej pierwszej telefonicznej rozmowy powiedział o sprawiedliwości: „Wyobraź sobie, że zakuto ją w kajdanki, usta i oczy zaklejono taśmą, zgwałcono i wytarzano w błocie”. Może nie posunęliśmy się aż tak daleko, ale z pewnością trochę ją poturbowaliśmy.

Wyobraziłem sobie nieszczęsnego Rogera Devore, który musiał przelecieć cztery i pół tysiąca kilometrów tylko po to, by publicznie spowiadać się ze swych seksualnych upodobań. Zupełnie mi się to nie podobało, choć przecież gdyby tak się zdarzyło, to nie z winy mojej, Mattie albo Johna Storrowa, tylko jego ojca.

- A co z ewentualnym spotkaniem z Devore'em i jego doradcami? - zapytałem.

- Jeszcze nie wiem. Przynęta jest w wodzie, oferta na stole, sygnał został wysłany... Wybierz dowolną metaforę albo węź wszystkie i zmieszaj.

- Wykonaliśmy pierwszy ruch - odezwała się Mattie.

- Zasygnalizowaliśmy gotowość - dorzuciłem.

Spojrzeliliśmy na siebie, po czym wybuchnęliśmy śmiechem. John przez chwilę obserwował nas z poważną miną, a następnie westchnął ciężko i zajął się kanapką.

- Czy to spotkanie naprawdę musi się odbyć w towarzystwie jego prawnika? - spytałem, kiedy się uspokoiiliśmy.

- A czy chciałbyś wygrać sprawę, a potem zaczynać wszystko od początku tylko dlatego, że pełnomocnik Mary

Devore zachował się nieetycznie i naruszył podstawowe zasady obowiązujące przy takich okazjach? - odpowiedział pytaniem.

- Nawet nie mów takich rzeczy! - wykrzyknęła Mattie. -

To nie jest temat do żartów.

- Wcale nie żartowałem. Oczywiście, że przy rozmowie musi być obecny jego prawnik, ale nawet jeśli dojdzie do spotkania, to na pewno nie teraz. Jeszcze nie widziałem tego starego pingwina i, szczerze mówiąc, umieram z ciekawości.

- Jeśli tak ci na tym zależy, przyjdź na mecz we wtorek wieczorem - powiedziała Mattie. - Zjawi się tam w tym swoim wymyślnym fotelu na kółkach, będzie się śmiał, klaskał, pokrzykiwał i co kwadrans ratował się maską tlenową.

- Niezła myśl. Co prawda muszę wrócić na weekend do Nowego Jorku, ale postaram się być tu we wtorek. Kto wie, może nawet zabiorę ze sobą rękawicę?

Wziął się do sprzątania ze stolika. Ponownie przyszła mi do głowy myśl, że wygląda rzeczowo, a zarazem jakoś tak niewinnie, jak Stan Laurel w fartuszkach gospodyni domowej. Mattie delikatnie, ale stanowczo odsunęła go i sama zajęła się sprzątaniem.

- Nikt nie jadł chipsów - zauważyła ze smutkiem.

- Weź je do domu, dla córeczki - zaproponował John.

- Nie ma mowy. Nie pozwalam jej jadać takich świństw.

Uważasz mnie za wyrodną matkę, czy co?

Kiedy zobaczyła nasze miny, powtórzyła ostatnie zdanie, po czym wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Stary jeep Mattie stał na jednym z miejsc parkingowych za pomnikiem ofiar wojny. W Castle Rock funkcję pomnika pełni odlana z brązu postać żołnierza z czasów pierwszej wojny światowej, w hełmie obficie upstrzonym ptasimi odchodami. Tuż obok stał nowiutki taurus z nalepką Hertza. John

położył na tylnym siedzeniu teczkę - pocieszająco cienką i nie bardzo rzucającą się w oczy.

- Dam ci znać, jeśli będę mógł przyjechać we wtorek - powiedział do Mattie. - To samo, jeśli uda mi się przez tego Osgooda załatwić sobie spotkanie z twoim teściem.

- Przygotuję włoskie kanapki.

Uśmiechnął się, po czym chwycił nas oboje za ręce. Postronny obserwator mógłby go wziąć za świeżo wyświęconego kapłana, szykującego się do połączenia węzłem małżeńskim pierwszej pary w karierze.

- Jeżeli koniecznie musicie ze sobą rozmawiać, róbcie to przez telefon, ale pamiętajcie, że linia może być na podsłuchu. Wszelkie spotkania mogą się odbywać wyłącznie w miejscach publicznych. Ty, Mike, możesz od czasu do czasu wpaść do biblioteki.

- Pod warunkiem, że założę nową kartę - wtrąciła Mattie, patrząc na mnie znacząco -.

- Żadnych, powtarzam: żadnych wizyt w przyczepie Mattie. Czy to jasne?

Oboje odpowiedzieliśmy twierdząco, ale John Storrow nie wyglądał na przekonanego. Zaświtało mi podejrzenie, że być może widzi w naszych twarzach albo zachowaniu coś, czego nie powinno tam być.

- Linia ataku, którą wybrali, raczej nie zapewni im sukcesu - ciągnął. - Nie wolno nam dać im okazji do jej zmiany. Mam na myśli nie tylko insynuacje dotyczące stosunków łączących was dwoje, ale również Mike'a i Kyrę.

Z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy Mattie wyglądała najwyżej na dwanaście lat.

- Mike'a i Kyrę? Co masz na myśli?

- Na przykład oskarżenia o wykorzystywanie seksualne dziecka, rzucane przez desperatów przyciśniętych do muru.

- To absurd! - wybuchnęła. - Poza tym, gdyby mój teść rzeczywiście zaczął obrzucać nas błotem...

- ...musielibyśmy odpowiedzieć tym samym - wpadł jej w słowo John. - Sprawa trafiłaby do największych gazet, może nawet do telewizji, co nie daj Boże. Za wszelką cenę musimy tego uniknąć. Takie historie nie są zdrowe dla dorosłych, a co dopiero mówić o dziecku. - Pochylił się i pocałował Mattie w policzek. - Przykro mi z powodu tego wszystkiego. - Jego głos brzmiał bardzo szczerze. - Niestety, sprawy dotyczące praw rodzicielskich prawie zawsze wyglądają w ten sposób.

- Wiem, ostrzegałeś mnie przez telefon. Mimo wszystko nie chce mi się mieścić w głowie, że ktoś mógłby sięgnąć po takie metody tylko dlatego, że zawiodły go inne środki...

- W takim razie, ostrzegam cię ponownie. - Jego młoda, z natury pogodna twarz chyba nie mogła być bardziej ponura. - Mamy do czynienia z bardzo bogatym człowiekiem, który stąpa po bardzo niepewnym gruncie. Ta mieszanka może się okazać wyjątkowo wybuchowa.

- Wciąż martwisz się o Ki? - zapytałem. - Wciąż uważasz, że grozi jej niebezpieczeństwo?

## WOREK KOŚCI 275

Chyba miała ochotę zastosować się do starej jankeskiej tradycji i zbyć moje pytanie jakimś banałem, lecz w ostatniej chwili uznała, że nie stać jej na taki luksus.

- Tak. Ale to tylko przecucie.

John zmarszczył brwi. Przypuszczalnie jemu także zaświtało podejrzenie, że Devore może sięgnąć po środki sprzeczne z prawem, żeby tylko osiągnąć cel.

- W miarę możliwości nie spuszcza jej z oka - poradził.  
- Nie lekceważę przecuć. Czy twoje mają jakieś konkretne podstawy?

- Nie. - Ukradkowe spojrzenie, które mi posłała, oznaczało, że mam trzymać gębę na kłódkę. - Raczej nie. - Otworzyła drzwiczki jeepa, wrzuciła do środka brązową papierową torbę z chipsami (a więc jednak je zabrała), po czym zwróciła ku nam twarz wykrzywioną grymasem gniewu. - Zresztą i tak nie mam pojęcia, jak zastosować się do twojej rady. Pracuję pięć dni w tygodniu, a w sierpniu, kiedy przygotowujemy nowe mikrofilmy, nawet sześć. Ki jada obiady w Wakacyjnej Szkółce Biblijnej, a kolacje u Arlene Cullum. Widuję ją tylko rano i wieczorem, resztę czasu spędza... - zawiesiła głos, aleja doskonale wiedziałem, co powie - ...w TR.

- Mógłbym poszukać ci kogoś do opieki nad dzieckiem - zaproponowałem. Byłoby to znacznie tańsze niż usługi Johna Storrowsa.

- Nie - zaprotestowali jednym głosem, spojrzeli na siebie i roześmiali się, ale nawet roześmiana Mattie była smutna i spięta.

- Durgin i Devore natychmiast zaczęliby węszyć - dodał John tytułem wyjaśnienia. - Kto mi płaci, to jedno, ale kto płaci osobie opiekującej się dzieckiem Mattie, to zupełnie coś innego.

- Poza tym, już i tak zbyt wiele ci zawdzięczam - powiedziała Mattie. - Tak wiele, że aż boję się o tym myśleć. Nie zamierzam powiększać długu tylko dlatego, że mam jakieś urojenia.

Wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki. Oparłem ręce o krawędź opuszczonej prawie całkowicie szyby. Bez trudu spojrzałem jej w oczy, ponieważ teraz były na tym samym poziomie co moje.

- Mattie, ja naprawdę nie mam na co wydawać tych pieniędzy. Uwierz mi.

- Jeśli chodzi o honorarium Johna, w porządku. John

pracuje dla dobra Ki. - Położyła rękę na moim przedramieniu i na chwilę zacisnęła palce. - Reszta dotyczy wyłącznie mnie.

- W porządku. Musisz jednak uprzedzić osobę, do której wozisz małą, i ludzi prowadzących tę Szkołkę Biblijną, że walczysz o prawo do opieki nad swoim dzieckiem i że bez twojej wyraźnej zgody nikomu nie wolno zbliżać się do Kyrri. Nawet ludziom, których oni znają.

Uśmiechnęła się.

- Już to zrobiłam. John mi doradził. Będziemy w kontakcie, Mikę.

Poklepała mnie po ręce i odjechała.

- Co o tym myślisz? - zapytałem Johna, razem z nim odprowadzając spojrzeniem niemiłosiernie kopającego jeepa. Mattie skręciła na nowy most, dzięki któremu znacznie skróciła się droga dojazdowa do szosy numer 68.

- Myślę, iż ma szczęście, że znalazła trzeźwo myślącego sponsora i dobrego adwokata - odparł John, umilkł na parę sekund, po czym dodał: - Ale mówiąc całkiem szczerze, nie wydaje mi się, żeby była urodzona w czepku. Mam wrażenie... Nie wiem, jak to określić...

- Że gdzieś w jej pobliżu gromadzą się chmury, których nie jesteś w stanie dostrzec?

- Możliwe. Całkiem możliwe. - Przesunął ręką po zmierzwionych rudych kędziorach. - W każdym razie, wyczuwam jakiś smutek.

Doskonale go rozumiałem, tym bardziej że ja czułem coś jeszcze. Pragnąłem pójść z nią do łóżka, wszystko jedno, smutną czy wesołą. Pragnąłem czuć na ciele dotyk jej rąk, głaszczących, uciskających, badających, wędrujących. Pragnąłem czuć smak jej skóry i zapach włosów. Pragnąłem usłyszeć, jak szepcze mi do ucha, żeby zrobić z nią wszystko, co zechcę.

Wróciłem do domu tuż przed drugą. Myślałem wyłącznie o gabinecie i zielonym IBM-ie na biurku. Pisałem, znowu pisałem! Wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Postanowiłem, że popracuję (choć po czterech latach przerwy trudno było nazwać to pracą) gdzieś do szóstej, a potem popływam i pojedę na kolację do Village Cafe, gdzie zamówię jakiś ociekający cholesterol specjał Buddy'ego.

W chwili, kiedy przekroczyłem próg, rozległ się natarczywy dźwięk dzwonka Buntera. Znieruchomiałem z ręką na klamce. W domu było gorąco i jasno, nigdzie ani skrawka cienia, ale sądząc po gęsiej skórcie, która wystąpiła na moich ramionach, równie dobrze mogła być północ.

- Jest tu kto? - zawołałem.

Dzwonek umilkł. Nastąpiła cisza, a potem rozległ się kobiecy wrzask. Dobiegał ze wszystkich stron, wylewał się z rozslonecznionego, gęstego od złocistych pyłków powietrza. Był to krzyk wściekłości, gniewu, rozpacz... ale przede wszystkim przerażenia. Ja również zacząłem krzyczeć - nic nie mogłem na to poradzić. Bałem się wtedy, kiedy stałem na pogrążonych w ciemności piwnicznych schodach i wsłuchiwałem się w odgłosy uderzeń pięścią w izolację, ale teraz było jeszcze gorzej.

Wrzask nie ustał, tylko cichł stopniowo, tak jak cichnie szlochanie dziecka, zupełnie jakby krzyczącą osobę niesiono szybko długim korytarzem, coraz dalej ode mnie.

Wreszcie ucichł zupełnie.

Oparłem się o regał z książkami i przycisnąłem rękę do piersi. Serce waliło mi jak szalone. Z trudem łapałem powietrze, moje mięśnie drżały jak w febrze, jak to zwykle bywa, kiedy ktoś lub coś bardzo nas przestraszy.

Minęła minuta. Serce uspokajało się stopniowo, oddech powoli wracał do normy. Wyprostowałem się, ostrożnie po-

stąpiłem krok naprzód, a kiedy okazało się, że nogi wytrzymały, zrobiłem dwa kolejne i zatrzymałem się w drzwiach kuchni, skąd miałem także dobry widok na salon. Bunter odpowiedział mi znad kominka szklanym obojętnym spojrzeniem. Lśniący w promieniach słońca dzwonek wisiał nieruchomo na jego szyi. Do moich uszu docierało jedynie tykanie tego idiotycznego zegara z kotem Feliksem.

Nie mogłem uwolnić się od natarczywej myśli, że ta krzyżująca kobieta to była Jo, że duch, który błąka się po domu, jest duchem mojej żony, i że Jo bardzo cierpi. Nieważne, żywa czy nie, ale cierpi.

- To ty, Jo? - zapytałem cicho. - Jo, czy...

Odpowiedział mi szloch przerażonego dziecka, ja zaś ponownie poczułem w ustach i nosie żelazisty smak wody z jeziora. Zakrztusiłem się, odruchowo podniosłem obie ręce do szyi, zatoczyłem się do zlewu... Jednak, tak samo jak poprzednio, zamiast mnóstwa wody z moich ust popłynęła odrobina śliny. Jednocześnie żelazisty smak zniknął, jakby go nigdy nie było.

Jeszcze jakiś czas stałem zgięty wpół nad zlewozmywakiem, kurczowo uczepiony blatu, niczym pijak, który zakończył udział w przyjęciu wyrzygując niemal wszystkie radosne toasty. Czuję się tak, jakby to była prawda: oszołomiony, wyżęty, niezdolny pojąć, co dzieje się dokoła.

Wreszcie wyprostowałem się i wytarłem twarz ścierką do naczyń. W lodówce była herbata, najbardziej na świecie pragnąłem teraz poczuć w dłoni wysoką szklankę wypełnioną zimnym płynem. Wyciągnąłem rękę do uchwyty... i zamarłem w bezruchu. Kolorowe magnesiki znowu tworzyły okrąg, w środku zaś znajdował się napis:

pomocy tonę

Wystarczy, pomyślałem. Wyjeżdżam stąd. Natychmiast.



Jeszcze dzisiaj.

Jednak godzinę później siedziałem w dusznym gabinecie ze szklanką zimnej herbaty w zasięgu ręki (kostki lodu już dawno zdążyły się stopić), ubrany jedynie w kąpielówki i bez reszty pochłonięty tworzonym przeze mnie światem, w którym prywatny detektyw nazwiskiem Andy Drake starał się udowodnić, że John Shackelford nie jest wielokrotnym mordercą o pseudonimie Baseballówka.

Tak właśnie toczy się życie: dzień za dniem, posiłek za posiłkiem, ból za bólem, oddech za oddechem. Stomatolog zawsze leczy kanałowo tylko jeden ząb, budowniczy łodzi zaczyna konstruować kolejną dopiero wtedy, kiedy zwoduje poprzednią. Jeśli piszesz książki, piszesz je strona po stronie. Odwracamy się od wszystkiego, co znamy i czego się boimy. Przeglądamy katalogi, oglądamy mecze, robimy zakupy przez telefon. Liczymy ptaki na niebie i nie odwracamy się od okna, słysząc zbliżające się kroki. Mówimy: owszem, zgadzam się, że obłoki niekiedy upodabniają się do przedmiotów albo istot, na przykład ryb, jednorożców i jeźdźców na koniach, ale mimo to wciąż są tylko obłokami. Zaraz potem koncentrujemy uwagę na kolejnym posiłku, kolejnym bólu, kolejnym oddechu, kolejnej stronie. Tak właśnie toczy się życie.

## Rozdział 16

To była dobra książka, rozumiecie? Dobra i ważna.

Bałem się nawet przejść do innego pokoju, a cóż dopiero mówić o spakowaniu maszyny do pisania oraz cieniutkiego jeszcze pliku zapisanych kartek, i przenosinach do Derry. Czułbym się tak, jakbym wyniósł niemowlę na dwór w sam środek burzy śnieżnej. Zostałem więc, zastrzegłszy sobie prawo do wyprowadzki na wypadek, gdyby natężenie niezwykłych zjawisk przekroczyło wszelkie dopuszczalne normy (tak samo palacze zastrzegają sobie prawo do rzucenia nałogu w wypadku, gdyby kaszel stał się nie do zniesienia). Minął tydzień. W tym czasie działo się sporo rzeczy, jednak aż do piątku siedemnastego lipca, kiedy to spotkałem na Dróżce Maksa Devore, najważniejsze było to, że wciąż pracowałem nad książką, która miała nosić tytuł „Przyjaciel z dzieciństwa” (oczywiście zakładając, że ją ukończę). Być może zazwyczaj wydaje nam się, że najlepsze w życiu jest to, co nas omija, ale ze mną było inaczej. Wiem na pewno, że w tamtym tygodniu najważniejsi w moim życiu byli Andy Drake, John Shackelford oraz tajemnicza, ukryta w głębokim cieniu postać - Raymond Garraty, przyjaciel Shackelforda z dzieciństwa. Człowiek, który niekiedy wkładał baseballówkę.

Niewytłumaczalne zjawiska w domu powtarzały się, ale z mniejszą intensywnością. Nie wydarzyło się nic choćby w połowie tak przerażającego jak tamten mrozący krew w żyłach wrzask. Czasem zadźwiewał dzwonek na szyi Buntera, czasem magnesiki na drzwiach lodówki układały się w okrąg, ale w środku nie pojawiały się żadne słowa. Któregoś ranka zastałem w kuchni przewrócony pojemnik z cukrem, co natychmiast przywiodło mi na myśl opowieść Mattie o rozsy-

panej mące. Na pokrytym warstwą cukru blacie również nie było żadnej wiadomości, jeśli nie liczyć falistej linii -

- jakby ktoś usiłował coś napisać, ale nie mógł. Jeśli tak właśnie było, to szczerze mu współczuję. Doskonale wiedziałem, jak to jest.

Spotkanie ze straszliwym Elmerem Durginem odbyło się w piątek, dziesiątego. We wtorek czternastego lipca ruszyłem Dróżką w kierunku boiska u Warringtonów, w nadziei, że zobaczę tam Maksa Devore. Tuż przed szóstą wieczorem do moich uszu zaczęły docierać okrzyki, wiwaty i odgłosy uderzeń w piłki. Ścieżka oznakowana drewnianymi tabliczkami z wypaloną ozdobną literą W prowadziła obok niewykorzystywanego hangaru na łódzie, jakichś szop oraz altany prawie niewidocznej zza gęstwiny dzikich jeżyn. Kiedy wreszcie wyszedłem na otwartą przestrzeń, okazało się, że dotarłem na niewielkie wzniesienie za boiskiem, prawie dokładnie w połowie drogi między bazami. Sądząc po walających się dookoła pustych torebkach po chipsach, opakowaniach po gumie do żucia i puszkach po piwie, sporo osób obserwowało mecze z tego miejsca. Moje myśli ponownie skierowały się ku Jo i jej zagadkowemu przyjacielowi w brązowej marynarce z łatami na łokciach, który w pewnej chwili objął ją ramieniem i śmiejąc się poprowadził ku Dróżce. W miniony weekend dwukrotnie brałem do ręki słuchawkę, żeby zadzwonić do Bonnie Amudson i wycisnąć z niej więcej informacji na jego temat, ale nie zrobiłem tego. Nie pchaj palca między drzwi, Michael, powtarzałem sobie za każdym razem.

Tego wieczoru byłem sam na wzniesieniu za boiskiem i w gruncie rzeczy nie miałem nic przeciwko temu, zważywszy na fakt, że człowiek, który zazwyczaj przyglądał się rozgrywkom z wózka inwalidzkiego zaparkowanego po przeciwnej stronie placu gry, nazwał mnie kłamcą, a ja z kolei poradzi-

łem mu, żeby wsadził sobie mój numer telefonu tam, gdzie słońce nigdy nie zagłada. Okazało się jednak, że nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ tym razem ani Devore, ani uroczą Rogette nie pojawili się na meczu.

Tuż za lichym ogrodzeniem w pobliżu pierwszej bazy dostrzegłem natomiast Mattie. Towarzyszył jej John Storrow w dżinsach i koszulce polo. Chociaż miał na głowie czapkę Metsów, rude kędziory i tak powiewały na wietrze. Byli tak pochłonięci śledzeniem przebiegu gry i rozmową, że minęło parę minut, zanim mnie zauważyli - wystarczająco dużo czasu, bym zaczął żałować, że nie jestem na miejscu Johna, a nawet poczuć coś w rodzaju zazdrości.

Wreszcie któryś z graczy posłał długą piłkę w moją stronę, tam gdzie granicę boiska wyznaczała ściana lasu. Środkowy zaczął się pospiesznie cofać, lecz piłka poszybowała wysoko nad jego głową i wpadła między drzewa na prawo ode mnie. Niewiele myśląc, ruszyłem w tamtym kierunku; miałem nadzieję, że wybująe kolczaste krzewy, przez które się przedzieram, nie wydzielają żadnej trucizny. Nie wiem, jakim cudem, ale udało mi się złapać piłkę; ponieważ działo się to na skraju lasu, widzowie zobaczyli to i nagrodzili mnie oklaskami. Środkowy także z uznaniem poklepał rękawicę, podczas gdy pałkarz niespiesznie obiegał bazy; doskonale wiedział, że mógłby nawet iść na czworakach. Odrzuciłem piłkę, po czym wróciłem na stanowisko wśród porzrzuconych torebek i puszek po piwie, by stwierdzić, że Mattie i John wreszcie mnie zauważyli.

Jeżeli cokolwiek przemawia za słusnością teorii, że jesteśmy tylko zwierzętami różniącymi się od innych gatunków nieco większym mózgiem i przeświadczeniem o tym, że mamy do odegrania znacznie ważniejszą rolę na scenie życia, to umiejętność posługiwania się gestem i przekazywania na mi-

gi mnóstwa informacji. Mattie przycisnęła ręce do piersi, przechyliła głowę i uniosła brwi: Mój bohaterze! Wzruszyłem ramionami i podniosłem ręce do linii barków, z dłońmi skierowanymi ku górze: Drobnostka, proszę pani. John pochylił głowę i przycisnął palec wskazujący do brwi, jakby coś go zabolalo: Masz szczęście, draniu. Po tej niemej wymianie zdań wskazałem na miejsce, w którym powinien stać wózek z Devore'em, i pytająco uniosłem brwi, ale oboje bezradnie wzruszyli ramionami. Wkrótce potem podbiegł do mnie chłopiec będący właścicielem chyba największej w tej części stanu hodowli piegów. Stanowczo zbyt duża koszulka Michaela Jordana pętała mu się w okolicach kolan jak sukienka.

- Ten gościu dał mi pół dolca, żeby panu powiedział, że ma pan później zadzwonić do niego do hotelu - wysapał, wskazując na Johna. - Jeśli chce pan mu odpowiedzieć, to będzie kosztowało tyle samo.

- Przekaż mu, że zadzwonię około wpół do dziesiątej.

Niestety, nie mam drobnych. Czy przyjmiesz całego dolara?

- Niech będzie - zgodził się łaskawie, po czym uśmiechnął od ucha do ucha, odsłaniając nieco zdekompletowany garnitur zębów. - Ten gościu powiedział też, że miał pan farta z tą piłką.

- W takim razie poinformuj go, że tak samo mówiono o Willie Maysie.

-O kim?            --

O, młodości! O, czasy!

-        Powtórz mu to, synu. On będzie wiedział.

Zaczekałem do następnego rzutu, ale gra robiła się coraz mniej interesująca. Ponieważ Devore wciąż nie pojawiał się na horyzoncie, wróciłem do domu tą samą drogą, którą przyszedłem, mijając samotnego wędkarza stojącego na kamieniu oraz parę młodych ludzi trzymających się za ręce

i idących powoli w kierunku Warringtonów. Wymieniliśmy pozdrowienia. Czuję się bardzo samotny, a jednocześnie zadowolony z samotności. Myślę, że to rzadko spotykany rodzaj szczęścia.

Są tacy, którzy zaraz po powrocie do domu odsłuchują automatyczną sekretarkę; ja tego lata szedłem obejrzeć lodówkę, żeby sprawdzić, czy duchy miały mi coś do powiedzenia. Tym razem nie miały, choć różnokolorowe magnesyki tworzyły poziomą falistą linię - coś jakby węża, albo może śpiącą literę S:

Nieco później zadzwoniłem do Johna z pytaniem, gdzie podział się Devore. Powiedział mi to samo, co wcześniej wyraził gestem.

- To pierwszy mecz, który opuścił od swego powrotu.

Mattie usiłowała dyskretnie dowiedzieć się o jego zdrowie, ale nikt nie słyszał o tym, żeby coś mu się stało.

- Co to znaczy: „usiłowała”?

- Niektórzy w ogóle nie chcieli z nią gadać. „Traktowali ją jak powietrze”, jak mawiało się za czasów moich rodziców. - Uważaj, kolego, pomyślałem. Czasy twoich rodziców wcale nie są tak bardzo odległe od moich. - Któraś z jej koleżanek odważyła się wreszcie z nią porozmawiać, ale nie miała zbyt pewnej miny. Może ten Osgood jest niewiele wart jako sprzedawca, ale doskonale wykorzystuje pieniądze Devore'a; na dobrą sprawę całe miasteczko odwróciło się do Mattie plecami. Właśnie, zupełnie tego nie rozumiem: czy to w ogóle jest miasto?

- TR - odparłem, zaprzątnięty innymi myślami. - Trudno to wytłumaczyć. Naprawdę myślisz, że Devore wszystkich przekupuje? Gdzie, w takim razie, podziały się stare ideały pasterskiej niewinności i dobroci?

- On rozdaje pieniądze, a Osgood, i być może Footman,

rozpowszechniają odpowiednio spreparowane historyjki. Nie mają trudnego zadania, bo tak na oko ludzie są tutaj równie uczciwi jak uczciwi są politycy.

- Czyli ci, którzy dochowują lojalności temu, kto im płaci?

- Właśnie. Aha, widziałem potencjalnego świadka koronnego w sprawie o Zaniebane Dziecko. Royce'a Merrilla. Siedział przy szpie z koleśiami. Zauważyłeś go?

Odparłem, że nie.

- Ma co najmniej sto trzydzieści lat i paraduje z laską ze złocistym uchwytem wielkości dziury w dupie słonia.

- To pamiątkowa laska „Boston Post”. Należy do najstarszej osoby w okolicy.

- Nie wątpię, że mu się należała. Jeśli prawnicy Devore'a naprawdę zdecydują się powołać go na świadka, przerobię go na gulasz.

W zabarwionej okrucieństwem pewności siebie Johna było coś mrozącego krew w żyłach.

- Na pewno. A jak Mattie zareagowała na niechęć dawnych przyjaciół?

Doskonale pamiętałem jej słowa o tym, że nienawidzi wtorkowych wieczorów, ponieważ wie, że nadal odbywają się mecze, w dodatku na tym samym boisku, na którym kiedyś poznała przyszłego męża.

- Całkiem nieźle. Większość z nich i tak już chyba spisała na straty. - Miałem co do tego wątpliwości, wydawało mi się bowiem, że w wieku dwudziestu jeden lat nie rezygnuje się tak łatwo, ale nic nie powiedziałem. - Trzyma się. Była samotna i przerażona, i chyba w głębi duszy zaczęła już przygotowywać się na ewentualność, że straci Kyrę, ale teraz odzyskała wiarę w siebie. Myślę, że głównie dzięki tobie. Trudno się dziwić - sądząc po tym, co zademonstrowałeś dziś na boisku, masz niesamowite szczęście.

Hm, być może. Frank, brat Jo, wyznał mi kiedyś, że nie wierzy w coś takiego jak szczęście, tylko w los i mądre decyzje. Zaraz potem stanęła mi przed oczami mapa TR poprzecinana mnóstwem kabli i przewodów biegnących pod powierzchnią ziemi - niewidocznych, ale mocnych jak stal.

- John, w piątek zapomniałem zapytać cię o coś ważnego: czy w ogóle wyznaczono termin rozprawy?

- Dobre pytanie. Sprawdziałem trzy razy, Bissonette zresztą też. O ile ludzie Devore'a nie wymyślili czegoś naprawdę szalonego, jak na przykład przeniesienia sprawy do innego okręgu, to w najbliższej przyszłości żadna rozprawa się nie odbędzie.

- Naprawdę mogliby to zrobić? Mówię o przeniesieniu sprawy.

- Chyba tak, ale szybko byśmy się o tym dowiedzieli.

- Więc co to oznacza?

- Że Devore jest o krok od kapitulacji. Nie widzę innego wytłumaczenia. Jutro z samego rana wracam do Nowego Jorku, ale będę z wami w kontakcie. Gdyby coś się urodziło, natychmiast daj mi znać.

Obiecałem, że to zrobię, po czym poszedłem do łóżka.

Tej nocy nie miałem żadnych gości. I bardzo dobrze.

Kiedy w środowe przedpołudnie zszedłem na dół, by nalać sobie mrożonej herbaty, Brenda Meserve właśnie rozwieszała moje uprane rzeczy na karuzelowej suszarce rozstawionej na tylnej werandzie. Robiła to zapewne tak, jak nauczyła ją matka: spodnie i koszule na zewnątrz, a bielizna od środka, żeby nikt ciekawski nie widział, co noszę pod wierzchnim ubraniem.

- Będzie pan mógł to ściągnąć gdzieś o czwartej - powiedziała, szykując się do wyjścia, po czym zmierzyła mnie by-



strym, cynicznym spojrzeniem kobiety, która przez całe życie „robiła” u zamożnych mężczyzn.— Tylko niech pan nie zostawi tego na noc. Jak ubranie złapie wilgoć, trzeba je prać od nowa, bo zaczyna trochę cuchnąć.

Potulnie obiecałem, że na pewno nie zapomnę zdjąć rzeczy z suszarki, po czym zapytałem, czując się trochę jak szpieg zbierający ukradkiem informacje, czy jej zdaniem w domu wszystko jest w porządku.

- A o co konkretnie chodzi? - zapytała, uniósłszy brew.

- No, na przykład o to, że w nocy parę razy słyszałem jakieś hałasy.

Pociągnęła nosem.

- Ten jest z bali, prawda? No więc, on ciągle pracuje, ba-  
le trą o siebie i skrzypią. To pewnie te hałasy.

- A więc nie duchy? - udałem zawiedzionego.

- Ja tam w życiu nie widziałam żadnego - odparła tak rzeczowym tonem, jakby była księgową zdającą miesięczny bilans - ale moja mama mówi, że ich tu pełno. Podobno całe jezioro jest nawiedzone. Żyją tu duchy Micmaców, których przepędził generał Wing, i wszystkich, którzy poszli na wojnę z Południem i już nie wrócili. Było ich ponad sześćuset, panie Noonan, a przeżyło tylko stu pięćdziesięciu. Podobno zjawia się tu też ten czarny chłopiec, który tu umarł, biedaczysko. Należał do tych Czerwonoczubych.

- Naprawdę? - zdziwiłem się. - Wiem sporo o Sarze  
Laughs i Czerwonoczubych, ale o tym słyszę po raz pierwszy.  
Czy on utonął? - zapytałem, siląc się na obojętność.

- Nie, wpadł w sidła. Szamotał się prawie cały dzień, aż wreszcie go znaleźli. Uratowali mu stopę, chociaż nie powinni. Zrobiło się z tego zakażenie krwi i chłopak umarł. To było chyba latem 1901. Zaraz potem wynieśli się stąd - pewnie po to, żeby uciec od smutnych wspomnień - ale mamusia

mówi, że on został.

Ciekaw byłem, co by powiedziała mamusia Brendy Merser, gdyby się dowiedziała, że pechowiec powitał mnie zaraz po moim przyjeździe z Derry i że od tamtej pory wracał już kilka razy.

- No i był też ojciec Kenny'ego Austera, Normal - ciągnęła Brenda. - Chyba zna pan tę historię? Uch, co za okropieństwo!

Wyglądała na bardzo zadowoloną- albo dlatego, że znała tak okropną historię, albo dlatego, że nadarzyła się okazja, by ją znowu opowiedzieć.

- Nie - odparłem - ale znam Kenny'ego. Ma wilczurę, który wabi się Borówa.

- Ano. Robi trochę za stolarza, trochę za dozorcę, zupełnie jak jego ojciec. Normal Auster pilnował letnich domków takich jak pański, naprawiał co trzeba, a zaraz po drugiej wojnie światowej utopił młodszego brata Kenny'ego. Mieszkali wtedy na Wasp Hill, tam gdzie rozwidła się droga. Nie utopił go w jeziorze, tylko pod pompą na własnym podwórzu. Położył dzieciaka na ziemi, przytrzymał nogą i lał wodę tak długo, aż tamten się utopił.

Pranie trzepotało na wietrze za moimi plecami, a ja gapiłem się na nią i myślałem o ohydny żelazistym smaku, który wypełniał mi gardło i nos. Tak mogła smakować również woda ze studni. Myślałem też o wiadomości na drzwiach lodówki: pomocy tonę.

- Zostawił dzieciaka pod pompą, zabrał strzelbę, wsiadł do nowego chevroleta i przyjechał tutaj, na drogę numer 42.

- Chyba nie chce mi pani powiedzieć, że ojciec Kenny'ego Austera popełnił samobójstwo tutaj, w moim domu? Pokręciła głową.

- Nie. Zrobił to na tarasie Brickersów. Usiadł na stop-

niu i strzelił sobie w łeb.

- Brickersów? Nie wydaje mi się, żebym...

- Nie zna ich pan, bo wynieśli się stąd w sześćdziesiątym którymś. Byli z Delaware. Grube ryby. Dom był prawie tak ładny jak Washburnów, ale oni też się wynieśli. Od tamtej pory dom stoi pusty. Czasem tylko ten głupiec Osgood pokazuje go klientom, ale nigdy go nie sprzeda za taką cenę, jaką sobie wymyślił. Proszę zapamiętać moje słowa.

Washburnów znałem dosyć dobrze, parę razy nawet graliśmy razem w brydża. Mili ludzie, choć wątpię, czy w oczach pani M. zasłużyliby sobie na opinię „grubych ryb”. Ich dom dzieliła od mojego odległość stu pięćdziesięciu, może dwustu metrów. Dalej nie ma nic ciekawego: brzeg robi się stromy, poszycie lasu gęste. Chociaż Dróżka dociera aż do zatoki Halo na północnym krańcu jeziora Dark Score, to na odcinku między drogą numer 42 a zatoką korzystają z niej wyłącznie zbieracze jeżyn latem i myśliwi jesienią.

Normal, pomyślałem. Znakomite imię dla kogoś, kto utopił dziecko pod pompą na podwórzu.

- Zostawił jakiś list z wyjaśnieniami?

- Nie, ale ludzie powiadają, że on też tutaj straszy. W takich małych miasteczkach jest pewnie mnóstwo duchów, ale ja tam żadnego nie widziałam. O pańskim domu, panie Noonan, wiem tyle, że cuchnie w nim wilgocią, choćbym nie wiadomo jak długo wietrzyła. To pewnie przez te pnie. Wilgoć wchodzi w drewno i trudno jej się pozbyć.

Schyliła się po torebkę, którą postawiła na podłodze werandy między stopami obutymi w reeboki. Torebka była taka, jaką noszą niemłode kobiety na prowincji: czarna, pozbawiona indywidualnego stylu (jeśli nie liczyć złocistych klamerek przy uszach), praktyczna. Gdyby Brenda zechciała, bez trudu mogłaby przenieść w niej komplet

garnków.

- Miło mi się z panem gawędzi, ale muszę iść. Mam dzisiaj jeszcze jeden dom do posprzątania. Latem zawsze jest huk roboty. Niech pan nie zapomni zdjąć tego prania, panie Noonan. Lepiej, żeby ubrania nie chwyciły wilgoci.

- Nie zapomnę.

I nie zapomniałem, ale kiedy wyszedłem na werandę, tylko w kąpielówkach i mokry od potu po kilkugodzinnej pracy w piecu (musiałem, po prostu musiałem wreszcie naprawić klimatyzator!), stwierdziłem, że rzeczy wiszą teraz zupełnie inaczej: spodnie i koszule znalazły się bliżej środka, natomiast slipy i skarpetki, które pani M. pieczołowicie ukryła przed światem, powiewały dumnie na zewnątrz. Wyglądało na to, że mój niewidzialny gość - a raczej jeden z moich niewidzialnych gości - doskonale się bawił.

Nazajutrz pojechałem do biblioteki i przedłużyłem ważność swojej karty. Lindy Briggs przyjęła ode mnie cztery dolary, po czym wstukała co trzeba do komputera, poinformowała mnie uprzednio, jak bardzo jej przykro z powodu śmierci Jo. Podobnie jak u Billa, w jej głosie również usłyszałem nutę wyrzutu, jakbym to ja był winien, że dopiero teraz może mi złożyć wyrazy współczucia. Chyba miała rację.

- Lindy, czy masz coś o historii miasteczka? - zapytałem, kiedy składanie kondolencji dobiegło końca.

- Mam dwie pozycje. - Pochyliła się do mnie nad biurkiem: nieduża kobieta w przeraźliwie kolorowej sukience, z nastroszonymi siwymi włosami i bystrymi ruchliwymi oczami ukrytymi za dwuogniskowymi szklami, i dodała konfidencjonalnym szeptem: - Niestety, żadna nie jest dobra.

- A która jest lepsza? - zapytałem takim samym tonem.

- Chyba ta, którą napisał Edward Osteen. Do połowy lat pięćdziesiątych przyjeżdżał tu na wakacje, a potem, kiedy

przeszedł na emeryturę, osiadł na stałe. W sześćdziesiątym piątym albo szóstym napisał „Historię Dark Score”. Opublikował ją własnym kosztem, bo żaden wydawca nie chciał się tego podjąć. - Westchnęła melancholijnie. - Miejscowi nawet ją kupowali, ale to chyba mało, prawda?

- Raczej tak - przyznałem.

- Szczerze mówiąc, nie był najlepszym pisarzem. Ani fotografem - od tych maleńkich czarno-białych zdjęć bolały mnie oczy. Mimo to opisał sporo ciekawych rzeczy: wygnanie Micmaców, tresowanego konia generała Winga, trąbę powietrzną w 1880, pożary w latach trzydziestych...

- Jest coś o Sarze i Czerwonoczubych?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Wreszcie postanowił pan zbadać historię swojego domu? Bardzo się cieszę. Osteen sam znalazł ich fotografię i zamieścił w swojej książce. Jego zdaniem, została wykonana na festynie we Fryeburgu w roku 1900. Często powtarzał, że wiele by dał za to, żeby posłuchać ich płyty.

- Ja też, ale nie nagrali ani jednej. - Niespodziewanie przypomniałem sobie haiku pióra greckiego poety George'a Seferisa: „Czy to głosy naszych nieżyjących przyjaciół / czy tylko gramofonowa płyta?” - Co się stało z panem Osteenem? Nie przypominam sobie, żebym słyszał to nazwisko.

- Umarł rok albo dwa przed tym, jak kupiliście dom nad jeziorem. Rak.

- A druga książka?

- Chyba ją pan zna: „Historia okręgu Castle i miasta Castle Rock”. Przygotowana na stulecie okręgu i nudna jak flaki z olejem. Eddie Osteen może nie potrafił dobrze pisać, ale na pewno nie był nudziarzem. Trzeba mu to przyznać. Obie powinny być tam. - Wskazała półki pod napisem HISTO-

RIA STANU MAINE. - Nikt ich nie wypożycza - stwierdziła markotnie.

Mattie siedziała w kącie obok chłopaka w założonej tył na przód czapce baseballowej, ucząc go obsługiwać czytnik mikrofilmów. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się, po czym bezgłośnie wypowiedziała dwa słowa: dobry chwyt. Przypuszczałem, że miała na myśli mój popis na boisku u Warringtonów. Wzruszyłem skromnie ramionami i podszedłem do regału z książkami traktującymi o historii stanu. Miała rację: szczęśliwy czy nie, chwyt był naprawdę dobry.

- Czego pan szuka?

Byłem tak pogrążony w lekturze, że aż podskoczyłem, usłyszawszy głos Mattie. Odwróciłem się z uśmiechem, ponieważ zaleciał mnie bardzo przyjemny zapach jakichś lekkich perfum, ale natychmiast spoważniałem, gdy zobaczyłem Lindy Briggs obserwującą nas bacznie spod oka.

- Informacji o miejscu, w którym mieszkam - odparłem.

- Starych opowieści. To zasługa mojej gospodyni, że się nimi zainteresowałem. - Potem, znacznie ciszej: - Nie odwracaj się. Jesteśmy obserwowani.

Mattie była speszona i nawet jakby trochę wystraszona - nie bez powodu, jak się później okazało. Przyciszonym głosem - jednak wystarczająco donośnym, by dotarł do uszu Lindy Briggs, zapytała, czy pomóc mi odstawić książki na półkę. Podałem jej obie, a ona wyszeptała wtedy tak cicho, że ledwo ją usłyszałem:

- Ten prawnik, który był z tobą w zeszły piątek, wynajął prywatnego detektywa. Zadzwoił do Johna z wiadomością, że chyba znaleźli coś interesującego o opiece ad litem.

Podszedłem razem z nią do regału - miałem nadzieję, że jej za bardzo nie narażam - i zapytałem, czy mogłaby mi coś doradzić. Bezradnie rozłożyła ramiona, obdarzyła profesjo-

nalnym uśmiechem bibliotekarki, a ja podziękowałem i wyszedłem.

W drodze powrotnej do domu myślałem o tym, co przeczytałem, ale nie było tego wiele. Osteen rzeczywiście był marnym pisarzem, który nie potrafił dobrać odpowiednich fotografii, i choć jego opowieści pozornie były dość barwne, to jednak najbardziej pasowało do nich określenie „płytkie”. Owszem, wspomniał o Sarze i Czerwonoczubych, ale nazwał ich „dixielandowym oktetem”, a nawet ja wiedziałem, że to nieprawda. Owszem, zespół grywał niekiedy dixie, ale przede wszystkim uprawiał blues (w piątkowe i sobotnie wieczory) i gospel (niedzielne przed- i popołudnia). Z niespełna dwustronicowego tekstu, jaki Osteen poświęcił pobytowi grupy w TR, wynikało jasno, że nie słyszał relacji nikogo, kto miał okazję wysłuchać Sary i jej zespołu.

On również wspominał o chłopcu, który zmarł na zakażenie krwi po wpadnięciu w sidła, ale nic z tego nie wynikało; mógł przecież usłyszeć tę opowieść od ojca albo dziadka Brendy Meserve. Według niego, chłopiec był jedynym synem Sona Tidwella, którego prawdziwe imię brzmiało Reginald. Tidwellowie najprawdopodobniej powędrowali na północ z nowoorleańskiej dzielnicy domów publicznych, znanej na przełomie stuleci jako Storyville.

W bardziej oficjalnej historii okręgu Castle nie natrafiłem na żadną wzmiankę o Sarze i Czerwonoczubych. O utopionym młodszym bracie Kenny'ego Austera nie wspomniano w żadnej z książek. Na krótko przed tym, jak podeszła do mnie Mattie, zaświtała mi zwariowana myśl: że Son Tidwell i Sara Tidwell stanowili parę i że chłopak (Osteen nie podał, jak się nazywał) był ich synem. Odszukałem fotografię, o której wspomniała Lindy, i przyjrzałem się jej dokładnie. Przedstawiała kilkunastoosobową grupę ciemnoskórych

ludzi stojących sztywno przed czymś, co wyglądało na wybieg dla bydła. W tle majaczyło staroświeckie diabelskie koło. Zdjęcie istotnie mogło zostać wykonane podczas festynu we Fryeburgu (po wybiegu zapewne paradowały jałówki i buhaje ubiegające się o trofea w konkursie na krowie piękności) i choć stare i spłowiałe, robiło większe wrażenie niż wszystkie pozostałe fotografie razem wzięte. Na pewno widzieliście fotografie rewolwerowców i przestępców z okresu Wielkiego Kryzysu, emanujące taką właśnie, elementarną prawdą: poważne twarze, zapięte kołnierzyki, zawiązane krawaty, oczy nie do końca ukryte w cieniu staromodnych kapełuszy.

Sara stała z przodu, dokładnie pośrodku, w czarnej sukience i z gitarą przewieszoną przez ramię. Nie uśmiechała się, ale w jej oczach błyszczały iskierki humoru; były to takie same oczy, jak na niektórych obrazach - chociaż nieruchome, zdawały się śledzić cię, dokądkolwiek poszedłeś. Wpatrywałem się w nią, słysząc jej zjadliwy głos z mojego snu: Co chcesz wiedzieć, koteczku? Chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o niej i pozostałych: kim byli, co robili, kiedy nie grali ani nie śpiewali, dlaczego i dokąd odeszli.

Obie ręce Sary były doskonale widoczne: jedna na strunach gitary, druga na gryfie, zaciśnięta w chwycie G-dur. Miała długie delikatne palce bez biżuterii, co oczywiście wcale nie musiało oznaczać, że nie była żoną Sona Tidwella, a zresztą nawet jeśli nią nie była, to chłopiec, który wpadł w sidła i na swoje nieszczęście nie stracił stopy, mógł przecież być z nieprawego łoża. Problem polegał tylko na tym, że te same iskierki błyszczały także w oczach Sona Tidwella. Podobieństwo było uderzające. Tych dwoje mogło być rodzeństwem, a nie małżeństwem.

W drodze do domu rozmyślałem o tym wszystkim, o nie-



widzialnej sieci ukrytych pod ziemią kabli i przewodów, a także o Lindy Briggs, która najpierw uśmiechała się do mnie promiennie, by wkrótce potem nie obdarzyć choćby cieniem uśmiechu swojej młodej, ładnej, zdolnej bibliotekarki. Bardzo mnie to niepokoiło.

A potem byłem już w domu i myślałem wyłącznie o mojej księżce i zaludniających ją postaciach - workach kości, do których codziennie dorzucałem trochę mięsa.

W piątkowy wieczór Michael Noonan, Max Devore oraz Rogette Whitmore odegrali krótką, ale wstrząsającą komedię. Wcześniej wydarzyły się dwie rzeczy, o których warto wspomnieć.

Pierwszą był telefon od Johna Storrowsa we wtorek wieczorem. Siedziałem przed telewizorem, gapiłem się na mecz baseballowy (dźwięk był wyłączony; przycisk wyciszania, który znajduje się prawie na wszystkich pilotach, jest chyba najwspanialszym wynalazkiem XX wieku) i rozmyślałem o Sarze Tidwell, Sonie Tidwellu oraz o jego synu. Myślałem też o Story ville - ta nazwa musiała przypaść do gustu każdemu pisarzowi. Gdzieś daleko, w tle, myślałem też o swojej żonie, która umarła będąc w ciąży.

- Halo?

- Mike, mam znakomite wiadomości! - Sądząc po głosie, Johna aż rozpierała energia. - Bissonette to może dziwaczne nazwisko, ale w prywatnym detektywie, którego mi znalazł, nie ma nic dziwnego. Nazywa się George Kennedy, jak ten aktor, jest dobry, a do tego szybki. Mógłby pracować w Nowym Jorku.

- Jeśli to największy komplement, na jaki jesteś w stanie się zdobyć, to powinieneś trochę częściej wyjeżdżać z miasta.

- Na co dzień Kennedy pracuje w firmie ubezpieczeniowej - ciągnął, jakby mnie nie usłyszał. - W detektywa bawi

się po godzinach, i wielka szkoda, bo mógłby zrobić karierę. Większość informacji zdobył, nie ruszając się z domu, przez telefon. Wprost trudno mi uwierzyć.

- W co konkretnie trudno ci uwierzyć?

- W to, że rozbiliśmy bank, kolego. - Powiedział to z tą samą bezwzględną satysfakcją, która już raz wywołała ciarki na moim grzbiecie, choć jednocześnie bardzo podnosiła na duchu. - Od maja tego roku Elmer Durgin dokonał następujących rzeczy: spłacił samochód, spłacił letni domek w Rangely Lakes, zainkasował dodatek na dziecko za dziewięćdziesiąt lat z góry...

- Nikt nie wypłaca dodatku na dziecko za dziewięćdziesiąt lat z góry - przerwałem mu wyłącznie po to, żeby to usłyszeć, a także po to, by choć trochę rozładować narastające we mnie napięcie. - To niemożliwe.

- Możliwe, jeżeli masz siedmioro dzieci! - oznajmił triumfalnie John i ryknął śmiechem.

Przywołałem z pamięci pulchną, promieniejącą samozadowoleniem twarz, wydatne usta, lśniące paznokcie.

- Niemożliwe - powtórzyłem.

- Mówię ci, że tak! - John wciąż ryczał ze śmiechu. Miałem wrażenie, że rozmawiam z kompletnym wariatem. - Naprawdę ma siedmioro dzieci! Od czternastu do trzech lat! Ale ogier, niech mnie licho! - Już się nie śmiał, tylko płakał ze śmiechu, a ja razem z nim. Takie rzeczy bywają zaraźliwe. - Kennedy przefaksuje mi zdjęcia całej rodziny!

Przez chwilę nie byliśmy w stanie nic powiedzieć, tylko rzeliśmy jak dzikie konie. Wyobraziłem sobie Johna w jego biurze przy Park Avenue, jak wyje ze śmiechu w fotelu, strasząc nocne sprzątaczkę.

- Zresztą, to bez znaczenia - wysapał, kiedy wreszcie jako

tako doszedł do siebie. - Wiesz, co jest w tym najważniejsze?

- Jasne - odparłem. - Jak mógł być taki głupi?

Miałem na myśli nie tylko Durgina, ale również Devore'a. John chyba się tego domyślił.

- Elmer Durgin jest drobnym prawnikiem z małego miasteczka zaszytego w lasach zachodniego Maine, i to wszystko. Skąd mógł wiedzieć, że pewnego dnia zjawi się potężny archanioł z mieczem w dłoni i da mu po łbie? Aha, kupił też łódź. Równo dwa tygodnie temu. Wielką kobyłę z dwoma silnikami. Już po wszystkim, Mikę. Gospodarze strzelili pięć bramek w pierwszym kwadransie spotkania. Mecz się skończył, zanim się na dobre zaczął.

- Skoro tak mówisz...

Jednak moja ręka z własnej woli powędrowała w kierunku stolika do kawy i, tak na wszelki wypadek, zastukała w spód blatu.

- Skoro o meczu mowa: ta wyprawa do Warringtonów nie poszła całkiem na marne.

-Tak?

- Umówiłem się z nią.

-Z kim?

- Z Mattie - wyjaśnił cierpliwie. - Mattie Devore. - Po chwili: - Mikę, jesteś tam?

- Tak, oczywiście. Słuchawka wyslizgnęła mi się z ręki. Przepraszam.

Słuchawka tkwiła przy moim uchu jak przyklejona, ale wyjaśnienie zabrzmiało dość prawdopodobnie. A nawet jeżeli nie, to co z tego? Jeśli chodziło o Mattie, to - przynajmniej w oczach Johna - byłem poza wszelkimi podejrzeniami. Zupełnie jak służba domowa w powieściach Agaty Christie.

John miał dwadzieścia osiem, może trzydzieści lat. Przypuszczalnie nie przyszło mu do głowy, że mężczyzna starszy o lat

dwanaście może odczuwać pociąg seksualny do Mattie, a nawet jeżeli taka myśl przemknęła mu przez głowę, to natychmiast odrzucił ją jako całkowicie niedorzeczną. Tak samo jak Mattie odrzuciła wszelkie podejrzenia dotyczące Jo i człowieka w brązowej marynarce.

- Oczywiście nie mogę rozpocząć zalotów na dobre, dopóki reprezentuję jej interesy - dodał. - To by było nieetyczne, a w dodatku niezbyt bezpieczne. Ale później, za jakiś czas... Nigdy nie wiadomo.

Pożegnaliśmy się, po czym dalej oglądałem niemy mecz. Miałem ochotę na piwo, ale wyprawa do lodówki przerastała moje możliwości. Czułem tępy ból, któremu towarzyszyło znacznie zdrowsze uczucie: nazywa się chyba smętną ulgą. Może on też był dla niej za stary? Raczej nie. W sam raz. Książę z bajki numer dwa, tym razem w trzyczęściowym garniturze. Pech, jaki towarzyszył Mattie w jej kontaktach z mężczyznami, chyba się skończył, więc właściwie powinienem się cieszyć. Jasne, że się cieszyłem. Przecież znowu pisałem książkę, więc pal licha widok białych sportowych pantofli błyskających w półmroku pod czerwoną sukienką, albo tańczący w ciemności punkcik papierosa.

Mimo to, po raz pierwszy od chwili, kiedy zobaczyłem Kyre maszerującą środkiem szosy numer 68, poczułem się naprawdę samotny.

- „Ty mały żaloszny człowieczku, powiedział Strickland” - powiedziałem głośno, zaskakując samego siebie.

W tej samej chwili zaczęły się zmieniać kanały w telewizorze. Najpierw pojawiła się kolejna powtórka „All in the Family”, zaraz potem „Ren & Stimpy”. Pilot wciąż leżał na stoliku do kawy, tam, gdzie go położyłem. Kolejne mignięcie na ekranie, i patrzyłem na Humphreya Bogarta i Ingrid Bergman. W tle widać było samolot, więc nie musiałem sięgać po

pilota i włączać dźwięku, żeby wiedzieć, że Humphrey informuje Ingrid, iż będzie musiała wsiąść do samolotu. Ukochany film mojej żony. Zawsze płakała na koniec.

- Jesteś tu, Jo?

Dzwonek na szyi Buntera zabrzączał raz, bardzo słabo. Już od dłuższego czasu nie ulegało dla mnie wątpliwości, że nie jestem sam w tym domu, ale tego wieczoru po raz pierwszy byłem pewien, że jest ze mną Jo.

- Kto to był, kochanie? - zagailem. - Kim był ten człowiek na meczu?

Dzwonek Buntera milczał. Wiedziałem jednak, że Jo jest ze mną w pokoju. Wyczuwałem jej obecność, tak jak wyczuwa się obecność kogoś, kto wstrzymał oddech. Nagle przypomniałem sobie napis, który znalazłem na drzwiach lodówki po kolacji z Kyrą i Mattie: błękitne różyczki kłamca ha ha.

- Kto to był? - Głos mi drżał, z trudem powstrzymywałem łzy. - Co tu robiłaś z jakimś obcym facetem? Czy...

Nie zdobyłem się na to, by ją zapytać? czy mnie oszukiwała, czy mnie okłamywała. Nie odważyłem się zadać tego pytania, choć przecież jej obecność, bądźmy szczerzy, mogła być jedynie wytworem mego umysłu.

W telewizorze zamiast „Casablanki” pojawił się ulubiony prawnik Ameryki, Perry Mason. Jego nemezis, Hamilton Burger, właśnie przesłuchiwał jakąś wystraszoną kobietę. Nagle głośnik ożył z ogromną mocą, tak że aż podskoczyłem.

- Ja nie kłamię! - wykrzyknęła jakaś od dawna nieżyjąca aktorka. Przez chwilę wpatrywała się we mnie, a ja przestałem oddychać, ponieważ w tej twarzy z czarno-białego filmu z lat pięćdziesiątych ujrzałem oczy Jo. - Nigdy nikogo nie okłamałam, panie Burger! Nigdy!

- Tym razem było jednak inaczej - odparł Burger, po-

chylając się nad nią jak wampir. - Tym razem...

Ekran zgasł, dzwonek Buntera zadźwięczał donośnie, i zostałem sam. Czułem się jednak znacznie lepiej. „Ja nie kłamię. Nigdy nikogo nie okłamałam”.

Mogłem w to uwierzyć, gdybym zechciał.

Gdybym zechciał.

Położyłem się do łóżka i przespałem do rana bez żadnych snów.

Zaczynałem pracę wcześniej, zanim w gabinecie zrobiło się naprawdę gorąco. Przegryzałem grzankę lub dwie, popijałem szklanką soku, po czym prawie do południa siedziałem przy starej elektrycznej maszynie do pisania, obserwując, jak głowica wiruje i tańczy, a strony, które wkładałem zupełnie puste, wysuwają się pokryte równymi rządkami pisma. Prawdziwe czary, tajemnicze i cudowne. Nigdy nie traktowałem tego jak pracy, choć często używałem tego słowa; czułem się raczej tak, jakbym skakał na przedziwnej myślowej trampolinie, dzięki której na długie chwile mogłem zapomnieć o ciężarze świata.

W południe robiłem sobie przerwę, jechałem do cholesterolowego rajy Buddy'ego Jellisona, wrzucałem w siebie jakieś paskudztwo, po czym wracałem do domu i pracowałem jeszcze godzinę lub dwie. Następnie trochę pływałem, a potem udawałem się do północnej sypialni na długą, pozbawioną snów drzemkę. Wątpię, czy choć raz zaszedłem do głównej sypialni w południowym skrzydle; nawet jeśli panią M. trochę to dziwiło, powstrzymała się od wszelkich uwag.

W piątek, siedemnastego, w drodze powrotnej do domu zajechałem na stację benzynową przy sklepie, żeby napelnić bak mojego chevroleta. W warsztacie U Dicka również mają dwa dystrybutory, benzyna zaś jest tam o centa albo dwa tańsza, ale jakoś nie bardzo miałem ochotę tam się pokazy-

wać. Kiedy stałem przy wlewie paliwa i gapiłem się na góry, czekając, aż automatyczny czujnik przerwie pompowanie, z drugiej strony tej samej wysepki zatrzymał się dodge ram.

Ze środka wygramolił się Bili Dean.

- Jak leci, Mike? - zapytał z uśmiechem.

- Nie najgorzej.

- Brenda mówi, że pracujesz, aż wióry lecą.

- To prawda.

Miałem na czubku języka prośbę o jak najszybsze naprawienie klimatyzatora, ale prośba została tam, gdzie była. Tak bardzo obawiałem się utraty niedawno odzyskanej zdolności pisania, że bałem się zmieniać cokolwiek w moim najbliższym otoczeniu. Może to głupie, ale czasem coś się udaje tylko dlatego, iż wierzysz, że się uda. To chyba najlepsza definicja wiary, jaką znam.

- No to się cieszę. Naprawdę.

Chyba mówił szczerze, ale zachowywał się jakoś inaczej niż stary Bili. Nawet inaczej niż ten, który mnie powitał.

- Ostatnio czytałem trochę o tym, co działo się po mojej stronie jeziora - powiedziałem.

- O Sarze i Czerwonoczubych? Zawsze cię interesowali, jeśli dobrze pamiętam.

- O nich też, ale nie tylko. Pani M. opowiedziała mi o Normalu Austerze, ojcu Kenny'ego.

Uśmiech pozostał na miejscu, Bili zaś przerwał najwyżej na pół sekundy odkręcanie korka wlewu paliwa, jednak wyraźnie widziałem, że w środku cały stężał.

- Chyba nie chcesz pisać o czymś takim, prawda, Mike? W okolicy mieszka sporo ludzi, którzy mogliby wziąć ci to za złe. Mówiłem o tym Jo.

- Jo? - Niewiele brakowało, a przeskoczyłbym na drugą stronę wysepki i chwycił go za ramię. - Co Jo ma z tym

wspólnego?

Zmierzył mnie badawczym, przeciągłym spojrzeniem.

- Nie powtórzyła ci?

- O czym mówisz, Bili?

- Chciała napisać do jakiejś miejscowej gazety artykuł o Sarze i Czerwonoczubych. - Bili mówił powoli, starannie dobierając słowa. Doskonale to pamiętam, a także piekący dotyk słońca na karku i nasze cienie na asfalcie, czarne, o ostrych krawędziach. Również odgłos pracującego dystrybutora był niezwykle wyraźny. - Chyba wspominała coś o „Yankee”, chociaż nie jestem całkiem pewien.

Zupełnie mnie zatkało. Dlaczego nic mi nie powiedziała o swoich planach? Ponieważ bała się, że odbiorę to jako próbę wtargnięcia na moje terytorium? Niemożliwe. Przecież mnie znała... chyba.

- Pamiętasz może, kiedy o tym rozmawialiście? - zapytałem, odzyskawszy głos.

-- - Jasne. Tego samego dnia, kiedy przyjechała po plastikowe sowy. To ja ją zagadnąłem, bo wiedziałem od ludzi, że wypytuje o to i owo.

- Wypytuje? A może wtyka nos w nie swoje sprawy?

- Ty to powiedziałeś, nie ja.

Istotnie, ale nie wątpiłem, że to właśnie miał na myśli.

- Mów dalej.

- Nie bardzo jest o czym. Powiedziałem jej, że tu też, tak samo jak wszędzie, łatwo można nadepnąć komuś na odcisk, i poprosiłem, żeby starała się zwracać na to uwagę. Powiedziała, że rozumie, co mam na myśli. Może zrozumiała, a może nie. Wiem tylko tyle, że wciąż rozpytywała na lewo i prawo, i słuchała bająn różnych durniów, takich co to mają więcej wolnego czasu niż rozumu we łbie.

- Kiedy to było?



- Jesienią dziewięćdziesiątego trzeciego, zimą i wiosną dziewięćdziesiątego czwartego. Włączyła się po całym miasteczku z notatnikiem i małym magnetofonem. To wszystko, co wiem.

Uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że Bili kłamie. Gdyby ktoś mnie wcześniej zapytał, powiedziałbym mu, że Bili Dean nie potrafi kłamać - i nie pomyliłbym się za bardzo, ponieważ wychodziło mu to naprawdę kiepsko.

Korciło mnie, żeby przycisnąć go do muru, ale po co? Musiałem się zastanowić, a nie mogłem tego zrobić teraz i tutaj, bo aż huczało mi w głowie. Wiedziałem, że z czasem huk przycichnie, a ja stwierdzę, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego problemu, ale potrzebowałem właśnie tego czasu. Kiedy dowiadujesz się zaskakujących rzeczy o osobie, którą bardzo kochałeś, a która już nie żyje, w pierwszej chwili wytrąca cię to z równowagi. Możecie mi wierzyć.

Bili odwrócił wzrok, ale wkrótce spojrzął mi ponownie w oczy. Miał poważną i - jestem tego pewien - trochę wystraszoną minę.

- Wypytywała o małego Kerry'ego Austera, i to jest dobry przykład tego, co nazywam deptaniem po odciskach. O takich sprawach nie powinno się pisać artykułów w gazetach. Normalnie po prostu nie wytrzymał, i tyle. Nikt nie wie dlaczego. Okropna, bezsensowna tragedia. Jeszcze żyją ludzie, którzy wolą o niej nie pamiętać. W małych miasteczkach wiele spraw łączy się ze sobą...

Oczywiście. Sieć kabli ukrytych pod powierzchnią ziemi.

- ...a przeszłość umiera powoli. Z Sara i jej gromadką jest trochę inna sprawa: to byli po prostu... przybysze z daleka. Nikt nie miałby nic przeciwko, gdyby Jo chciała się nimi zająć, i chyba to zrobiła, ale nie wiem na pewno, bo nie zobaczyłem ani słowa z tego, co napisała. Jeśli cokolwiek napisała.

Akurat w tej chwili chyba nie kłamał, ale parę sekund wcześniej na pewno tak. „To byli po prostu przybysze z daleka”, powiedział, ale zawahał się w środku zdania, jakby zamiast słowa „przybysze” najpierw nasunęło mu się inne, znacznie bardziej oczywiste. Na przykład „czarni”. „To byli po prostu czarni z daleka”.

Natychmiast przypomniałem sobie stare opowiadanie Raya Bradbury'ego, „Mars to raj”. Pierwsi przybysze z Ziemi trafiają do Zielonego Miasta, i zastają tam swoich nieżyjących przyjaciół oraz krewnych. Nie wiedzą, że w rzeczywistości są to żądne krwi potwory; zasypiają, przekonani, że znaleźli się w niebie, po czym zostają okrutnie wymordowani.

- Bili, jesteś pewien, że przyjeżdżała tu też poza sezonem?

- Jasne. Nawet dosyć często... Co najmniej dziesięć razy, może nawet więcej, ale nigdy nie nocowała.

- Widziałeś z nią kogoś? Na przykład barczystego gościa z ciemnymi włosami?

Zastanowił się głęboko - usiłowałem nie wstrzymać oddechu - ale w końcu pokręcił głową.

- Zawsze, kiedy ją widziałem, była sama, ale nie widywałem jej za każdym razem. Czasem tylko słyszałem od kogoś, że znowu tu była. W czerwcu dziewięćdziesiątego czwartego minęliśmy się, kiedy jechała tym swoim małym samochodzikiem w kierunku zatoki Halo? Pomachaliśmy sobie. Wieczorem zajrzałem do waszego domu, żeby zapytać, czy czegoś potrzebuje, ale jej już nie było. Więcej jej nie zobaczyłem. Kiedy później dowiedzieliśmy się, że umarła, Yvette i ja nie mogliśmy w to uwierzyć.

Nawet jeżeli coś znalazła, nawet jeżeli coś udało jej się ustalić, to nie zostawiła żadnych zapisków. Znalazłbym je.

Czy jednak na pewno? Przecież przyjeżdżała tu wielokrotnie wcale się nie kryjąc, a raz nawet towarzyszył jej jakiś obcy mężczyzna, ja jednak dowiedziałem się o tym tylko za sprawą przypadku.

- Trochę trudno o tym mówić - ciągnął Bili - ale skoro już zaczęliśmy, to doprowadźmy rzecz do końca. Życie w takim miejscu jak TR przypomina trochę spanie w kilka osób w jednym łóżku: jeśli wszyscy leżą spokojnie, można się wyśpać, ale wystarczy, żeby ktoś zaczął się wiercić, a nikt nie zmruży oka. Ty jesteś tym, który się wierci. Tak to przynajmniej widzą ludzie.

Umilkł w oczekiwaniu na moją reakcję, ale kiedy minęło ponad dwadzieścia sekund, a ja wciąż się nie odzywałem (Harold Oblowski byłby ze mnie dumny), przestąpił z nogi na nogę i podjął na nowo:

- Na przykład nie wszystkim się podoba, że tak bardzo interesujesz się Mattie Devore. Nie twierdzę, że coś między wami jest, choć nie brakuje takich, którzy są tego pewni, ale jeśli zamierzasz zostać w TR, to nie postępujesz zbyt rozsądnie.

- Dlaczego?

- Powiedziałem ci półtora tygodnia temu. Są z nią same problemy.

- O ile dobrze pamiętam, powiedziałeś, że to ona ma problemy, i miałeś rację. Próbuję tylko pomóc jej się z nich wy dostać. Poza tym nic nas nie łączy.

- Powiedziałem ci też, że Max Devore ma nierówno pod sufitem. Jeśli go rozwścieczysz, wszyscy za to zapłacimy. - Czujnik z głośnym kliknięciem przerwał tankowanie. Bili wyjął pistolet z wlewu, powiesił go na dystrybutorze, z donośnym westchnieniem podniósł ręce, po czym je opuścił. - Myślisz, że przyjemnie mi to mówić?

- Myślisz, że przyjemnie mi tego słuchać?

- Więc jedziemy na tym samym wózku. Chyba nie przypuszczasz, że Mattie Devore jest jedyną osobą w okolicy, która ledwo wiąże koniec z końcem? Inni też mają swoje problemy. Nie rozumiesz tego?

Chyba pojął, że rozumiem za dużo i za dobrze, ponieważ zgarbił się, jakby nagle uszło z niego powietrze.

- Jeśli liczysz na to, że będę stał beczynnym i patrzył, jak Devore zabiera Mattie jej dziecko, lepiej od razu o tym zapomnij - powiedziałem. - Mam nadzieję, że tak nie jest, bo na pewno nie podałbym ręki komuś, kto by tego ode mnie oczekiwał.

- Nie oczekuję tego - odparł niemal pogardliwym tonem.  
- Zresztą i tak byłoby już za późno, prawda? - Niespodziewanie złagodniał: - Na litość boską, człowieku, chodzi mi tylko o ciebie! Reszta niech się wypcha suchymi trocinami. - Znowu kłamał, ale teraz prawie wcale mi to nie przeszkadzało, ponieważ przede wszystkim okłamywał siebie, nie mnie. - Naprawdę powinieneś uważać. Nie przesadzałem, kiedy mówiłem ci, że Devore jest szalony. Myślisz, że będzie sobie zawracał głowę sądem, jeśli wyrok okaże się nie po jego myśli? W 1933, podczas gaszenia pożarów lasu, zginęło trzech ludzi. Porządnych ludzi. Jeden z nich był moim krewnym. Spłonęła wtedy prawie połowa okręgu, a wiesz, kto podłożył ogień? Max Devore. To był jego pożegnalny prezent dla TR. Oczywiście nikt mu tego nie udowodni, ale to on. Pamiętaj, że był wtedy młody, bez centa przy duszy, bez żadnych znajomości. Jak ci się wydaje, do czego będzie zdolny teraz?

Wpatrywał się we mnie z oczekiwaniem, ale nie odpowiedziałem. Mimo to skinął głową, jakby jednak usłyszał odpowiedź.

- Dobrze się zastanów. I pamiętaj o jednym, Mike: tylko ktoś, komu bardzo na tobie zależy, mógł rozmawiać z tobą

tak szczerze jak ja teraz.

- To znaczy jak szczerze, Bili?

Kątem oka zauważyłem jakiegoś człowieka, który wysiadł ze swego volvo i wszedł do sklepu przyglądając się nam podejrzliwie. Kiedy później odtworzyłem w pamięci scenę na stacji benzynowej, musiałem przyznać, iż jego ostrożność była jak najbardziej uzasadniona, ponieważ wyglądaliśmy tak, jakbyśmy lada chwila mieli skoczyć sobie do oczu. Chciało mi się wyć z żalu i rozpacz, ponieważ czułem się potwornie oszukany, ale z pewnością byłem też wściekły na tego kościstego starucha, stojącego przede mną w nieskazitelnie czystej bawełnianej koszulce, z garniturem sztucznych zębów. Całkiem możliwe, iż naprawdę niewiele brakowało, by doszło do rękoczynów, tyle że wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Najszczerzej, jak mogłem - odparł, po czym odwrócił się, żeby pójść do okienka i zapłacić za benzynę.

- W moim domu straszysz - powiedziałem.

Zatrzymał się, zgarbił jeszcze bardziej, a następnie bardzo powoli odwrócił się do mnie.

- W Sarze zawsze straszysz, Mikę. Twój przyjazd tylko pogorszył sytuację. Duchy są niespokojne. Byłoby najlepiej, gdybyś wrócił do Derry i zaczekał, aż wszystko wróci do normy. - Umilkł z taką miną, jakby jeszcze raz słuchał swoich słów, a następnie skinął głową na znak, że całkowicie się z nimi zgadza. - Tak byłoby najlepiej dla wszystkich.

Zaraz po powrocie do domu zadzwoniłem do Warda Hankinsa, potem - wreszcie! - do Bonnie Amudson. W głębi duszy liczyłem chyba na to, że akurat nie będzie jej w siedzibie agencji turystycznej w Augusta, której była współwłaścicielką, ale stało się inaczej. Mniej więcej w połowie rozmowy faks zaczął wypluwać kartki z kserokopiami kalendarzyków Jo. Na pierwszej stronie Ward napisał odręcz-

nie: Mam nadzieję, że na coś się przyda.

Nie miałem gotowego planu rozmowy z Bonnie. Powiedziałem jej, że Jo szykowała się do napisania jednego lub kilku artykułów o okolicy, w której stał nasz letni dom, i że sporo osób wzięło jej za złe zainteresowanie ich sprawami. Czy Jo rozmawiała z nią na ten temat? Może pokazywała jej jakieś zapiski?

- Nie - odparła ze zdziwieniem. - Owszem, pokazywała mi zdjęcia i suszone rośliny, które ani trochę mnie nie obchodziły, ale nigdy nawet nie wspomniała o czymś, co pisze. Kiedyś powiedziała nawet, że postanowiła zostawić pisanie tobie, a sama...

- ...zamierza próbować po trochu wszystkiego, tak?

- Właśnie.

W tym miejscu należało zakończyć rozmowę, ale chłopcy z piwnicy mieli na ten temat własne zdanie.

- Bonnie, czy Jo widywała się z kimś?

Cisza. Chociaż mógłbym przysiąc, że moje ramię ma co najmniej sześć kilometrów długości i waży odpowiednio dużo, uczyniłem nadludzki wysiłek, wyciągnąłem rękę i zacząłem wyjmować kartki z koszyka przy faksie. Było ich dziesięć: od listopada 1993 do sierpnia 1994. Mnóstwo notatek poczynionych ręką Jo. Czy przed jej śmiercią mieliśmy już faks? Nie pamiętałem. Nie pamiętałem mnóstwa rzeczy.

- Bonnie, bardzo cię proszę: powiedz mi, jeśli coś wiesz. Jo umarła, ale ja jeszcze żyję. Wybaczę jej wszystko, jeżeli będę musiał, ale przecież nie mogę wybaczyć czegoś, o czym...

- Przepraszam - przerwała mi i roześmiała się niepewnie. - Po prostu w pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co ci chodzi. Czy widywała się z kimś... Tak dziwnie to zabrzmiało. Pomyślałam, że może masz na myśli psychiatrę albo psychoterapeutę, ale to nie to, prawda? Chodzi ci o mężczyznę.

O przyjaciela.

- Tak, właśnie o to mi chodzi.

Cały czas przerzucałem kartki wyplute przez faks. Ramię jeszcze nie wróciło do normalnych rozmiarów, ale już niewiele brakowało. Poczulem ulgę, słysząc autentyczne zdumienie w głosie Bonnie, lecz nie aż tak wielką, jak bym się spodziewał, a dlaczego? Otóż dlatego, że wiedziałem. Nie potrzebowałem epizodu jak ze starego filmu z Perry Masonem, w którym jakaś drugoplanowa postać wygłasza kwestię, która sprowadza śledztwo na właściwe tory. Bądź co bądź, rozmawialiśmy o Jo.

- Mikę... - powiedziała Bonnie powoli i łagodnie, jakby przemawiała do człowieka niespełna rozumu. - Ona cię kochała. Kochała cię, rozumiesz?

- Tak. Myślę, że tak. - Kartki z kalendarza Jo mówiły o tym, jak bardzo zajęta była moja żona. Darmowe jadłodajnie dla bezdomnych. Schroniska dla maltretowanych kobiet. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Przyjaciele Bibliotek Stanu Maine. Bywały tygodnie, kiedy brała udział w dwóch albo trzech zebraniach, aleja tak bardzo byłem pochłonięty losami bohaterek moich książek, że nawet tego nie zauważyłem. - Ja też ją kochałem, Bonnie, ale przez ostatnie dziesięć miesięcy życia Jo pochłonęło coś, o czym nic nie wiem. Naprawdę nigdy o niczym nie wspomniała, kiedy jeździłyście razem na te zebrania i spotkania?

Znowu cisza.

- Bonnie?

Odsunąłem słuchawkę od ucha, żeby sprawdzić, czy świeci się dioda ostrzegająca o rozładowaniu akumulatorów. Nie świeciła. W tej samej chwili usłyszałem swoje imię.

- Tak, Bonnie?

- Przez ostatnie dziewięć albo dziesięć miesięcy prawie

nigdzie razem nie jeździłyśmy, tylko rozmawiałyśmy przez telefon. Aha, zjadłyśmy też razem lunch w Waterville. Nie było żadnych długich wyjazdów. Jo wycofała się ze wszystkiego.

Jeszcze raz przerzuciłem kartki. Wszędzie było aż gęsto od wpisów wykonanych ręką Jo. Zebranie. Posiedzenie. Spotkanie. Również w sprawie darmowych jadłodajni.

- Nie rozumiem. Zrezygnowała z opieki nad jadłodajniami dla bezdomnych?

Tym razem cisza w słuchawce trwała znacznie krócej.

- Nie, Mike - powiedziała Jo jeszcze spokojniej i wolniej niż poprzednio. - Zrezygnowała ze wszystkiego. Pod koniec dziewięćdziesiątego trzeciego odeszła z rady nadzorczej schronisk dla kobiet i nieletnich, a jeszcze wcześniej, chyba w październiku, przestała się interesować bibliotekami i jadłodajniami. Nigdzie już nie jeździła.

Dziesiątki spotkań w kalendarzu. Spotkania w 1993, spotkania w 1994. Posiedzenia komitetów, do których już nie należała. Zebrania zarządów stowarzyszeń, w których już nie działała. Za każdym takim wpisem kryła się podróż do TR. Jo jeździła tu prawie bez przerwy.

Ale po co?



## Rozdział 17

Devore istotnie był szalony jak kapelusznik, a w dodatku dopadł mnie w najgorszym momencie, kiedy byłem słaby i przerażony. Mam wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się od tamtej pory, zostało z góry przygotowane. Wszystko, aż do straszliwej burzy, o której do dziś opowiadają w okolicy, runęło na mnie jak lawina.

Reszta piątkowego popołudnia upłynęła w miarę przyjemnie; co prawda rozmowa z Bonnie przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi, ale jednocześnie podziałała na mnie uspokajająco. Usmażyłem sobie na oliwie potrawkę z warzyw (była to pokuta za moje ostatnie wyczyny w Village Cafe) i zjadłem ją oglądając wieczorne wiadomości. Po drugiej stronie jeziora słońce opadało coraz niżej nad górskie szczyty, zalewając pokój potokami złota. Kiedy Tom Brokaw pożegnał się z widzami, postanowiłem pójść na spacer Dróżką; miałem pewność, że się nie zgubię, po drodze zaś będę mógł zastanowić się nad tym, co usłyszałem od Billa Deana i Bonnie Amudson. Przeanalizuję wszystko tak samo, jak dawniej analizowałem różne warianty rozwoju intrygi w książce, którą akurat pisałem.

Wciąż w zupełnie niezłej formie, zszedłem po schodach z podkładów kolejowych i ruszyłem Dróżką na północ, ale zaledwie po kilku krokach zatrzymałem się, by popatrzeć na Zieloną Damę. Nawet w pełnym blasku chylącego się ku zachodowi słońca trudno było się zorientować, że to tylko brzoza, o którą wspiera się na pół uschnięta sosna, której sterczący konar do złudzenia przypomina wyciągnięte ramię. Zupełnie jakby Zielona Dama mówiła mi: „Idź na północ, młody człowieku. Idź na północ”. Cóż, co prawda nie byłem już młody, ale mogłem pójść na północ, czemu nie. Przynaj-

mniej trochę.

Mimo to stałem jeszcze chwilę, z niepokojem wpatrując się w twarz uformowaną z liści i gałązek. Ani trochę nie podobał mi się grymas tworzony przez wiatr wiejący od jeziora. Chyba właśnie wtedy mój w miarę dobry nastrój zaczął się stopniowo ulatniać, ale byłem zbyt zaabsorbowany myślami, żeby to zauważyć. Wreszcie ruszyłem przed siebie, zastanawiając się, co takiego napisała Jo - byłem już bowiem niemal pewien, że jednak coś napisała. W przeciwnym razie, skąd wzięłaby się w jej pracowni moja stara maszyna do pisania? Postanowiłem dokładnie przeszukać chatkę. Przetrzęsnię wszystko i...

pomocy tonę

Głos dobiegł z lasu, z wody, ze mnie. Gwałtownie zakręciło mi się w głowie, wir porwał i rozproszył moje myśli. Stałem jak wryty. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak paskudnie, tak beznadziejnie. Pierś ugniatał mi potworny ciężar, żołądek skurczył się do mikroskopijnych rozmiarów, oczy wypełniła zimna woda w niczym nie podobna do łez, a ja już wiedziałem, co za chwilę się stanie. Usiłowałem zaprotestować, krzyknąć „Nie!”, lecz nie mogłem wykrztusić ani słowa. Zaraz potem poczułem w ustach smak wody z jeziora, drzewa zaczęły się chwiać i falować, jakby oddzielała mnie od nich warstwa przezroczystej cieczy, ucisk na klatce piersiowej skoncentrował się w dwóch miejscach, by wkrótce przybrać kształt rąk, trzymających mnie z ogromną siłą.

- Czy to nigdy się nie skończy? - zapytał czyjś głos. Byłem zupełnie sam na Dróżce, lecz słyszałem go całkiem wyraźnie. - Dlaczego to nie przestanie?

Zgiełk, który wybuchł chwilę później, wywołały obce myśli tłukące się po mojej głowie niczym ćmy wewnątrz klosza... albo w japońskim lampionie,

pomocy tonę  
pomocy tonę  
że mnie dorwie  
że mnie oduczy płakać  
pomocy tonę  
rozsypałem jagody na ścieżce  
trzymaj mnie  
jest zły zły  
puść mnie puść mnie o Boże  
będę grzeczny będę grzeczny  
błagam tylko mnie puść  
ona krzyczy moje imię  
krzyczy je tak głośno

Ogarnięty niewyobrażalną paniką, zgiąłem się w pół i z moich szeroko otwartych jak do krzyku ust chlusną) lodowaty strumień...

Niczego.

Paraliżujące przerażenie minęło, ale nie do końca. Moim żołądkiem szarpały gwałtowne skurcze, jakby organizm usiłował za wszelką cenę pozbyć się jakiejś straszliwej trucizny, którą w niego wmusiłem, na przykład silnego środka owadobójczego albo trującego grzyba. Zatoczyłem się kilka kroków do przodu, krztusząc się rozpaczliwie, mimo iż w gardle nie miałem ani kropli wody. Nad samą wodą rosła mocno pochylona brzoza; można było odnieść wrażenie, że stara się jak najdłużej podziwiać swoje odbicie w korzystnym, przyćmionym świetle zachodzącego słońca. Chwyciłem się jej pnia jak pijak latarni.

Ucisk na klatkę piersiową zelżał, zostawił jednak po sobie ból tak realny jak deszcz. Kiedy tak stałem, uczepiony drzewa, nagle poczułem ohydny smród, jeszcze gorszy od tego, jaki podczas letnich upałów unosi się nad wysypiskiem śmieci. Wiedziałem, choć nie mam pojęcia skąd, że to coś, co tak

śmierdzi, jest całkiem blisko, i że żyje, choć od dawna powinno być martwe.

Usiłowałem wykrztusić: „Puść mnie, puść mnie, o Boże, będę grzeczny, tylko mnie puść”, ale bezskutecznie. A potem, równie nagle jak się pojawił, smród zniknął. Czułem tylko zapach lasu i jeziora... ale za to zobaczyłem coś w wodzie: małego czarnego chłopca, nie dającego znaku życia. Leżał na wznak, z wydętymi policzkami i lekko rozchylonymi ustami. Oczy miał białe jak rzeźba z marmuru.

Moje usta znowu Wypełniły się żelazistym smakiem wody z jeziora. Pomocy tonę, pomocy tonę. Z głową rozsadaną przez kołaczący się po niej krzyk sięgnąłem najdalej, jak mogłem, spojrzałem w dół, na martwą twarz... i uświadomiłem sobie, że patrzę w górę na siebie, że patrzę przez rozchybotaną zasłonę z falującej wody na białego mężczyznę w granatowych dzinsach i żółtej koszulce polo, który kurczowo trzyma się pochyłej brzozy i usiłuje coś wykrzyknąć, ale nie może, twarz mu faluje, oczy, szeroko otwarte, znikają na chwilę zasłonięte przez małego okonka goniącego za smakowitym owadem. Byłem jednocześnie czarnym chłopcem i białym mężczyzną, utopionym w wodzie i tonącym w powietrzu, czy to prawda, czy to właśnie się dzieje, zastukaj raz na „tak”, dwa razy na „nie”.

Z ust pociekła mi tylko wąska strużka śliny; zanim zetknęła się z wodą, nad powierzchnię wyskoczyła ryba. O zachodzie słońca ryby skaczą do wszystkiego - widocznie gasnące światło dnia przyprawia je o coś w rodzaju szaleństwa. Ryba spadła do wody może dwa metry od brzegu, zostawiła po sobie kolistą zmarszczkę, i znikła. Równocześnie znikł przykry smak w moich ustach, paskudny smród, falująca twarz martwego czarnego dziecka (zapewne nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby myśleć o sobie inaczej niż po

prostu o czarnym), które prawie na pewno nazywało się Tidwell.

Spojrzałem w prawo i zobaczyłem szarą skałę sterczącą z mierzwy. To na pewno tam, pomyślałem, i jakby na potwierdzenie znowu owionęła mnie wstrętna woń, wydobywająca się jakby spod ziemi. Wyczerpany, przerażony i chory, wciąż rozpaczliwie uczepony brzozowego pnia, zamknąłem oczy, i właśnie wtedy za moimi plecami rozległ się głos tego szaleńca, Maksa Devore:

- A gdzie podziałeś swoją dziwkę, alfonsie?

Odwróciłem się gwałtownie. Był tam, na ścieżce, w towarzystwie Rogette Whitmore. Spotkałem go tylko ten jeden, jedyny raz, ale to wystarczy. Wierście mi, wystarczy.

Jego wózek wcale nie wyglądał jak wózek inwalidzki, tylko jak wyścigowy motocykl z koszem skrzyżowany z lądownikiem księżycowym. Pojazd miał w sumie dziesięć albo dwaście kółek, przy czym dwie tylne pary były wyraźnie większe od pozostałych. Sądząc po tym, że znajdowały się na różnych wysokościach, każde miało niezależne zawieszenie. Nawet na najbardziej nierównym terenie Devore mógł liczyć na jazdę prawie bez wstrząsów. Nad tylnymi kołami mieścił się zamknięty przedział silnikowy, nogi Devore'a zaś spoczywały w kokonie z włókna szklanego, czarnym w czerwone pasy, bardzo podobnym do przedniej części nadwozia samochodu wyścigowego. Pośrodku tego smukłego dziobu znajdowało się urządzenie przypominające trochę niewielką antenę satelitarną - przypuszczalnie czujnik przeciwwkolidyjny, albo nawet autopilot. Na szerokich podłokietnikach tłoczyły się rozmaite wskaźniki, manetki i dźwignie. Do lewej burty tego monstrum przymocowano długą na ponad metr, zieloną butlę z tlenem, połączoną harmonijkowym przewodem z przezroczystą maską, która spoczywała na kolanach

Devore'a. Trochę przypominała stenomaskę najstarszego żyjącego pilota myśliwskiego na świecie. Biorąc pod uwagę to, co się chwilę wcześniej ze mną działo, miałem prawo uznać ów wehikuł i jego pasażera za kolejne przywidzenie, i być może uczyniłbym to, gdyby nie nalepka na pasiastym dziobie: MNIE NIE DA SIĘ WYKIWAĆ.

Kobieta, którą po raz pierwszy zobaczyłem przed Barem Zachodzącego Słońca u Warringtonów, miała na sobie białą bluzkę z długimi rękawami i tak obcisłe spodnie, że jej nogi wyglądały jak dwa miecze w pochwach. Z pociągniętą twarzą i zapadłymi policzkami istotnie przypominała postać z obrazu Muncha. Siwe włosy okalały jej twarz niczym plama rozwodnionego mleka, usta pomalowała tak jaskrawą szminką, że sprawiały wrażenie, jakby krwawiły.

Była stara i paskudna, ale przy teściu Mattie i tak wyglądała jak skończona piękność. Kościsty, z sinymi ustami i fioletową skórą w kącikach oczu i ust, kojarzył się z mumią odnaniezoną w komnacie grobowej piramidy, otoczoną wypchanymi żonami, zwierzętami oraz ulubionymi kosztownościami. Na wysuszonej czaszce zostało jeszcze parę kosmyków siwych włosów; siwe włosy wyrastały także z ogromnych uszu o kształcie takim, jakby zostały wykonane z wosku i niebacznie pozostawione w pełnym słońcu. Był ubrany w białe bawełniane spodnie i obszerną błękitną koszulę. Gdyby jeszcze włożył czarny beret, wyglądałby jak jakiś francuski malarz z końca ubiegłego stulecia, u schyłku bardzo długiego życia.

Na kolanach, obok maski, trzymał laskę z czarnego drewna zaopatrzoną w czerwony uchwyt, taki jak na kierownicy roweru. Zaciśnięte palce wydawały się silne, kolorem jednak niewiele różniły się od laski. Wołałem sobie nie wyobrażać, jak, przy tak słabym krążeniu, wyglądają jego stopy

i łydki.

- Dziwka wystawiła cię do wiatru, co?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, lecz wydobył się z nich jedynie suchy skrzek. Stałem w dziwacznej pozycji, wciąż uczepony pnia brzozy; puściłem go i spróbowałem się wyprostować, lecz nogi natychmiast ugięły się pode mną, więc chwyciłem się drzewa ponownie.

Poruszył srebrną gałką na podłokietniku i wózek zbliżył się o jakieś trzy metry, zmniejszając o połowę dzielącą nas odległość. Odgłos, który towarzyszył ruchowi pojazdu, był jak naoliwiony szept; patrząc na niego czułem się tak, jakbym patrzył na latający dywan. Koła podnosiły się i opadały niezależnie od siebie, lśniąc w blasku zachodzącego słońca, który przybierał coraz wyraźniejszy czerwonawy odcień. Wyraźnie poczułem siłę emanującą od tego człowieka; choć ciało coraz bardziej odmawiało mu posłuszeństwa, wciąż miał żelazną wolę. Kobieta ruszyła za wózkiem, obserwując mnie z lekkim rozbawieniem. Odniosłem wrażenie, że ma różowe oczy; wówczas pomyślałem, że zapewne są szare, różowe zabarwienie zaś wzięło się od słońca, teraz jednak jestem prawie pewien, że była albinoską.

- Zawsze lubiłem dziwki. Prawda, Rogette?

- Tak, proszę pana. We właściwym miejscu i czasie.

- Czasem to miejsce było na mojej twarzy! - wykrzyknął z idiotycznym zacietrzewieniem, jakby ośmieliła mu się sprzeciwić. - Gdzie ona jest teraz, młody człowieku? Ciekawe, na czyjej twarzy siedzi? Może tego sprytnego prawnika, którego jej znalazłeś? Wiem o nim wszystko, nawet o niezadowolającym ze sprawowania, który dostał w trzeciej klasie podstawówki. Wiem wszystko o wszystkich. Na tym polega tajemnica moich sukcesów.

Wreszcie zdołałem się wyprostować, ale okupiłem to

straszliwym wysiłkiem.

- Co... Co pan tu robi?

- Zązywam świeżego powietrza, tak samo jak ty. Zgodnie z prawem. Ścieżka jest dostępna dla każdego. Nie mieszkaś tu długo, młody alfonsie, ale chyba zdążyłeś się już czegoś dowiedzieć. To tutejszy odpowiednik miejskiego parku, gdzie potulne szczeniaki i krwiożercze brytany spacerują obok siebie.

Wziął z kolan maskę, przycisnął do twarzy, odetchnął głęboko kilka razy, po czym odłożył ją i wyszczerzył resztki zębów w ohydny porozumiewawczym uśmiechu. Jego dźwięki miały barwę jodyny.

- Dobra jest ta twoja kurewka? Chyba tak, skoro uwięziła mojego syna w tej zaszanej przyczepie. Szybko się zjawiłeś, jeszcze zanim robaki zdążyły wyżreć mu oczy. Czy jej cipa wsysa?

- Zamknij się!

Rogette Whitmore odchyliła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem, który brzmiał jak przedśmiertny wrzask królika schwytanego przez sowę. Moje ciało pokryło się gęsią skórą. Zacząłem podejrzewać, że ta wysuszona wiedźma jest równie szalona jak jej pracodawca. Dzięki Bogu, oboje byli starzy.

- Chyba trafiłeś w czule miejsce, Max - powiedziała.

- Czego chcecie? - zapytałem, wziąłem głęboki wdech... i znowu poczułem ten straszliwy odór. Żołądek podszedł mi do gardła, zakrztusiłem się, choć robiłem wszystko, żeby nad sobą zapanować.

Devore wyprostował się w wózku i również wciągnął w płuca powietrze, jakby mnie przedrzeźniał. Przez chwilę wyglądał jak Robert Duvall w „Czasie Apokalipsy”, krocący plażą wśród huku wybuchów i obwieszczający światu, że



kocha zapach napalmu o świcie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Uroczy zakątek, prawda? Wspaniałe miejsce do zadumy. - Rozejrzał się dokoła. - Tak, to właśnie tu się wydarzyło.

- Tutaj utonął chłopiec?

Uśmiech panny Whitmore jakby zbladł na chwilę, ale Devore nie stracił rezonu. Chwycił maskę palcami zakrzywionymi jak szpony, podniósł ją do twarzy - wyraźnie widziałem strużki śliny na jej wewnętrznej powierzchni - wykonał kilka głębokich wdechów.

- W tym jeziorze utonąło co najmniej trzydziestu ludzi - powiedział. - Jakie to ma znaczenie: jeden chłopiec mniej albo więcej...

- Nie rozumiem. Więc było dwóch małych Tidwellów? Jeden, który zmarł na zakażenie krwi, i drugi...

- Panie Noonan, czy troszczy się pan o swoją duszę? O swoją nieśmiertelną duszę? O bożego motyla zamkniętego w kokonie ciała, które niebawem będzie cuchnąć tak jak moje?

Nie odpowiedziałem. Powoli mijała dezorientacja spowodowana dziwnymi wydarzeniami sprzed pojawienia się Devore'a, za to coraz wyraźniej dawał się odczuć jego nieprawdopodobny magnetyzm. Po raz pierwszy w życiu znalazłem się w pobliżu tak ogromnej, nieokiełznanej siły. Nie była ani trochę nadnaturalna, tylko właśnie nieokiełznana. Mogłem uciec; w innych okolicznościach na pewno bym to zrobił. Zostałem nie z powodu nadzwyczajnej odwagi, lecz dlatego, że nogi wciąż miałem jak z waty i bałem się, że upadnę po kilku krokach.

- Dam ci szansę na zbawienie duszy - powiedział Devore, po czym uniósł wyprostowany palec. - Odejdź stąd, al-

fonsie. Natychmiast, tak jak stoisz. Nie wracaj po rzeczy, nie sprawdzaj nawet, czy wyłączyłeś kuchenkę. Odejdź. Zostaw tę dziwkę i jej potomstwo.

- Zostawić je tobie?

- Tak, mnie. Zrobię, co należy. Dusze są dla humanistów, Noonan. Ja jestem inżynierem.

- Odpieprz się.

Z ust Rogette Whitmore ponownie wydobył się wrzask konającego królika. Starzec siedział z pochyloną głową i uśmiechał się do mnie jak świeżo wskrzeszony nieboszczyk.

- Jesteś pewien, Noonan, że chcesz nim być? Jej jest wszystko jedno, ty czy ja. Dla niej to bez różnicy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Ostrożnie wciągnąłem powietrze, ale tym razem nie poczułem żadnego smrodu. Równie ostrożnie odsunąłem się od brzozy; nogi były w porządku. - I nie chcę wiedzieć. Nigdy nie dostaniesz Kyry. Nigdy w życiu, bez względu na to, ile ci go zostało. Nie dopuszczę do tego.

- Przyjacielu, twoje zdanie nie ma najmniejszego znaczenia - odparł Devore, prezentując po raz kolejny jodynowe dziaśła. - Zobaczysz jeszcze mnóstwo interesujących rzeczy; będzie ich tyle, że najdalej pod koniec lipca zaczniesz żałować, że nie straciłeś wzroku.

- Wracam do domu. Przepuść mnie.

- Wracaj, bardzo proszę Jak mógłbym cię zatrzymać? Przecież Dróżka należy do wszystkich.

Pociągnął kolejny haust tlenu, upuścił maskę na kolana i położył lewą rękę na podłokietniku swego kosmicznego fotela. Zrobiłem krok w jego kierunku, on zaś niemal jednocześnie ruszył w moją stronę. Gdyby uderzył, mógłby mnie nieźle poturbować, a przypuszczalnie nawet połamać obie nogi, on jednak zatrzymał się raptownie. Odskoczyłem, ale

gdyby nie zahamował, nie zdążyłbym tego zrobić. Whitmore znowu się roześmiała.

- Co się stało, Noonan?

- Ostrzegam cię: zejdź mi z drogi.

- Jesteś bardzo nerwowo. Czy to zasługa tej dziwki? Spróbowałem ominąć go z lewej strony, lecz on błyskawicznie zagroził mi drogę.

- Zniknij stąd jak najprędzej, Noonan. Lepiej żebyś...

Tym razem skierowałem się w prawo, od strony jeziora, i z pewnością zdołałbym się obok niego prześlizgnąć, gdyby nie mała, bardzo twarda pięść, która z dużą siłą rąbnęła mnie w twarz. Siwa suka miała na palcu pierścioneł; kamień zranił mnie w twarz tuż przy uchu, poczułem bolesne ukłucie, a zaraz potem ciepło krwi spływającej po policzku. Uchyliłem się przed następnym uderzeniem i pchnąłem ją oburącz; upadła na ścieżkę z beklwym okrzykiem wściekłości. Ułamek sekundy później coś uderzyło mnie w tył głowy, przed oczami zatańczyły mi kolorowe plamy, cofnąłem się o krok, machając rozpaczliwie ramionami i ponownie ujrzałem Devore'a. Siedział na pół odwrócony w wózku, z wciąż uniesioną laską, którą zdzielił mnie przez głowę. Gdyby był dziesięć lat młodszy, przypuszczalnie zgruchotałby mi czaszkę.

Zataczając się, wróciłem do znajomej brzozy, podniosłem rękę do ucha i z niedowierzaniem przyjrzałem się krwi na palcach. W głowie wciąż huczało mi od uderzenia.

Whitmore już wstawała, wpatrując się we mnie z szyderczym uśmiechem. Na zapadniętych policzkach wykwitły bladoróżowe rumieńce, krwistoczerwone wargi rozchyliły się, odsłaniając równe małe zęby. W blasku zachodzącego słońca jej oczy były niczym płonący żywy ogień.

- Zejdźcie mi z drogi - zażądałem, ale mój głos zabrzmiał

słabo i nieprzekonująco.

- Nic z tego - wycedził Devore, po czym oparł łaskę na tajemniczym urządzeniu w przedniej części kadłuba, tak że sterczała jak lanca. Wydawało mi się, że mam przed sobą małego chłopca, który postanowił zdobyć upragnione san-ki, nie zważając na to, że porani sobie ręce, wybijając dzielą-cą go od nich szybę. - Nic z tego, ty pieprzony alfonsie. Za-pomnij o tym.

Pchnął lewarek i wózek bezszelestnie ruszył na mnie. Gdybym się nie odsunął, zostałbym przeszyty na wylot ster-czącą łaską niczym jakiś średniowieczny rycerz kopią pod-czas pojedynku. Siła uderzenia najprawdopodobniej zgru-chotałaby kruche kości w ręce Devore'a albo nawet wybiła mu ramię ze stawu barkowego, ale on przecież nie przejmował się takimi drobiazgami. Z kosztami mogli się liczyć lu-dzie mniejszego kalibru, nie on. Gdybym się zawahał, zabił-by mnie. Jestem tego pewien. Ja jednak w ostatniej chwili uskoczyłem w lewo, poślizgnąłem się na pokrytej dywanem sosnowych igieł skarpie, przez chwilę walczyłem o odzyska-nie równowagi, po czym runąłem do wody.

Wpadłem do niej zupełnie nieprzygotowany, w dodatku zbyt blisko brzegu. Lewa stopa trafiła w częściowo zanurzo-ny korzeń; ból był jak uderzenie błyskawicy. Otworzyłem usta do krzyku... i załała mi je woda, ciemna, o metalicznym smaku, tym razem naprawdę. Zabłysnąłem się, wyplułem ją i kaszląc, częściowo brnąłem, a częściowo płynąłem w kie-runku środka jeziora. Po głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: „Tutaj utonął ten chłopiec. Co będzie, jeśli mnie zła-pie?” Wciąż zanosząc się kaszlem, odwróciłem się na plecy. Czulem, jak dzinsy oblepiają mi nogi i krocze, ale troszczy-łem się wyłącznie o portfel - nie obchodziły mnie karty kre-dytowe ani prawo jazdy, tylko dwie fotografie Jo. Taka ką-

piel nie mogła wyjść im na zdrowie.

Niewiele brakowało, żeby Devore również spadł ze skarpy. Przód wózka zatrzymał się dokładnie w miejscu, w którym się poślizgnąłem (wyraźnie widziałem ślady pozostawione przez moje buty tuż obok częściowo odsłoniętych korzeni brzozy), i choć przednie koła nie straciły kontaktu z podłożem, ziemia usuwała się spod nich i drobnymi lawinkami spadała do jeziora. Whitmore chwyciła oburącz uchwyty z tyłu wózka, lecz maszyna była dla niej zbyt ciężka; jeśli ktoś mógł ocalić starca, to tylko on sam. Stałem na dnie - woda sięgała mi zaledwie do pasa - i obserwowałem jego zmagania, życząc mu jak najgorzej.

Po kilku nieudanych próbach fioletowa prawa ręka zaciśnęła się wreszcie na manetce ze srebrną gałką, pociągnęła ją wstecz i wózek cofnął się znad skarpy. Do wody potoczyło się jeszcze kilka garści ziemi i kamyków, po czym zapanował spokój. Whitmore niezręcznie uskoczyła w bok, by uniknąć potrącenia. Devore przez kilka sekund walczył z przyrządami sterowniczymi, a następnie odwrócił wózek znowu przodem do jeziora i podjechał bliżej brzegu, tak że znalazł się na krawędzi Dróżki, ale w bezpiecznej odległości od urwiska. Whitmore w ogóle przestała się nami interesować; stała dwa kroki z boku, zgięta w pół, wypięta kościstym tyłkiem w moją stronę. Nie pamiętam, czy w ogóle zaprzętałem sobie nią głowę, ale jeśli tak, to z pewnością pomyślałem, że usiłuje złapać oddech po niedawnym wysiłku.

Z nas trojga Devore był chyba w najlepszej formie. Nawet nie skorzystał z maski tlenowej spoczywającej na jego kolanach. Blask gasnącego słońca kładł się krwistą czerwienią na jego twarzy, upodabniając go do zepsutej, stoczonej zgnilizną kukielki, którą ktoś posadził w fotelu na kółkach, polał benzyną i podpalił.

- Przyjemna kąpiel?-zapytał, po czym roześmiał się szyderczo.

Rozejrzałem się w nadziei, że zobaczę jakąś spacerującą parę albo wędkarza szukającego miejsca, w którym spokojnie mógłby posiedzieć do zmroku... a jednocześnie bardzo nie chciałem, żeby ktoś taki się pojawił. Byłem wściekły, dotknięty i przerażony, a przede wszystkim cholernie się wstydziłem. Dałem się przecież wrzucić do jeziora człowiekowi, który miał osiemdziesiąt pięć lat i nie był w stanie przejść o własnych siłach nawet dwóch kroków, a teraz w najlepsze nabijał się ze mnie.

Brnąc w sięgającej mi po pas wodzie, ruszyłem w prawo, czyli na południe, w kierunku domu. Teraz, kiedy już do niej przywykłem, woda wydawała się niemal przyjemna. Moje stopy co chwila trafiały na leżące na dnie kamienie i gałęzie, nadwerężona kostka bolała, ale nie uniemożliwiała mi poruszania; nie miałem pojęcia, czy będzie zachowywać się tak samo, kiedy wyjdę z jeziora.

Devore poruszył manetką, wózek obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i potoczył Drózką, bez trudu zrównując się ze mną prędkością.

- Zdaje się, że nie przedstawiłem ci Rogette - ciągnął.  
- W szkole była znakomitą sportsmenką. Najlepiej grała w softball i hokej na trawie. Nawet dzisiaj nie utraciła jeszcze wszystkich umiejętności. Rogette, pokaż temu młodemu człowiekowi, co potrafisz.

Whitmore wyprzedziła po lewej stronie sunący powoli wózek i na chwilę znikła mi z oczu. Kiedy ponownie ją zobaczyłem, przekonałem się, że moje domysły były błędne; schyliła się wcale nie po to, żeby złapać oddech.

Wciąż uśmiechnięta, podeszła na skraj skarpy, przyciskając lewą ręką do piersi kamienie, które zebrała na skraju ścieżki. Wybrała jeden, wielkości mniej więcej piłeczki gol-

fowej, i cisnęła we mnie. Kamień świsnął mi koło ucha jak pocisk i wpadł do wody.

- Ejże! - krzyknąłem, bardziej zaskoczony niż przestraszony. Chyba nie bardzo mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - nawet po tym wszystkim, co wydarzyło się do tej pory.

- Co z tobą, Rogette? - zapytał Devore kpiącym tonem.

- Nigdy nie robiłaś tego jak dziewczyna. Dalej, załatw go!

Drugi kamień przeleciał najwyżej pięć centymetrów nad moją głową. Trzeci wybiłby mi parę zębów, ale odbiłem go ręką, dopiero później stwierdziłem, że zdarł mi skórę z dłoni. Widziałem tylko jej twarz wykrzywioną nienawistnym uśmiechem - twarz kobiety, która zapłaciła dwa dolary za kolejkę rzutów w wesołym miasteczku i zamierza wygrać główną nagrodę w postaci wielkiego pluszowego misia, nawet gdyby miała nie ruszyć się stamtąd do białego rana.

Rzucała coraz szybciej. Kamienie spadały wokół mnie jak grad, tworząc miniaturowe gejzery. Zacząłem się wycofywać w kierunku środka jeziora, ale bałem się odwrócić i popłynąć, ponieważ byłem prawie pewien, że wtedy natychmiast sięgnie po amunicję większego kalibru. Devore zanosił się skrzypiącym starczym śmiechem, a jego zasuszona twarz pomarszczyła się jak zepsute jabłko.

Jeden z kamieni uderzył mnie boleśnie w obojczyk, zrykoszetował i poszybował wysoko w powietrze. Krzyknęliśmy prawie równocześnie; jej „Hai!” zabrzmiało jak triumfalny okrzyk karateki, który zdołał zadać celny cios.

To tyle, jeśli chodzi o uporządkowany odwrót na z góry upatrzone pozycje. Zanurkowałem, wypłynąłem na głębszą wodę, wynurzyłem się... i wtedy ta suka mnie trafiła. Dwa kamienie wpadły do jeziora po mojej lewej i prawej stronie, a potem, dokładnie wtedy, kiedy zdążyłem pomyśleć: „No, udało

mi się. Zaraz będę poza...", coś rąbnęło mnie w tył głowy. Nie tylko to poczułem, ale i usłyszałem: donośne KLUK!, jak w komiksie o Batmanie.

Powierzchnia jeziora z jaskrawopomarańczowej zrobiła się ciemnoczerwona, chwilę później szkarłatna. Jak przez wodę słyszałem zachwycone okrzyki Devore'a i przeraźliwy śmiech Rogette. Żelazista woda po raz kolejny dostała się do moich ust; byłem tak oszołomiony, że niewiele brakowało, a połknąłbym ją, zamiast wypluć. Nogi zrobiły się za ciężkie, żeby nimi poruszać, cholerne reeboki ważyły chyba tonę każdy. Opuściłem stopy, ale nie wyczułem dna. Spojrzałem w kierunku brzegu: wyglądał przepięknie, oświetlony pomarańczowym blaskiem niczym scena skąpana w świetle reflektorów. Dzielilo mnie od niego jakieś siedem, może osiem metrów. Devore i Whitmore obserwowali mnie z Dróżki.

Wyglądali jak Mama i Tata z obrazu Granta Wooda. Devore przyciskał do twarzy maskę, ale i tak widziałem, że się uśmiecha. Whitmore śmiała się od ucha do ucha.

Kolejna porcja wody wdarła mi się do ust. Większość zdołałem wypluć, trochę jednak dostało się do gardła, wywołując gwałtowny atak kaszlu i odruch wymiotny. Zacząłem się zanurzać, więc rozpaczliwie machając rękami i nogami czym prędzej wróciłem na powierzchnię. Zużywałem co najmniej dziesięć razy więcej energii, niż potrzebowałbym do spokojnego utrzymania się na wodzie. Dopiero teraz zaczęła mnie ogarniać panika, przegryzając się ostrymi szczurzymi zębami przez grubą warstwę niedowierzania i oszołomienia, która mnie spowijała. Brzęczało mi w uszach. Ile uderzeń zniosła już moja biedna głowa? Jedno pięścią... jedno laską... jedno kamieniem... a może dwa? Boże, nic już nie pamiętałem.

Weź się w garść, na litość boską! Chyba nie pozwolisz, żeby załatwili cię w ten sposób? Chyba nie dasz się utopić,



jak tamten chłopiec?

Jasne, że nie. Jeśli to tylko będzie możliwe.

Wciąż młócąc wodę obiema nogami i jedną ręką, drugą sięgnąłem do tyłu i ostrożnie przesunąłem po głowie. Bez trudu wymacałem wielki, wciąż rosnący guz. Ucisnąłem go lekko i poczułem, że albo zwymiotuję, albo zemdleję, albo zrobię obie te rzeczy naraz. Kiedy spojrzałem na palce, dostrzegłem jedynie słabe ślady krwi, ale trudno ocenić intensywność krwawienia, kiedy jest się w wodzie.

- Hej, Noonan! Wyglądasz jak zmoknięty dziecko!

Jego głos zdawał się dobiegać z wielkiej odległości.

- Pieprz się! - odkrzyknąłem. - Wsadzę cię za to do pudła!

Spojrzeni na siebie z identycznymi minami, po czym oboje parsknęli śmiechem. Gdyby w tej chwili ktoś dał mi do rąk pistolet maszynowy, bez wahania wpakowałbym w nich cały magazynek, a zaraz potem poprosił o drugi, żeby dla pewności rozstrzelać trupy. Ponieważ jednak nie miałem pistoletu maszynowego, popłynąłem pieskiem na południe, w kierunku domu. Posuwali się naprzód równo ze mną - on na toczącym się bezszelestnie wózku, ona krocząc powoli i dostojnie jak zakonnica. Od czasu do czasu psuła wrażenie, ponieważ schylała się po szczególnie poręczne kamienie.

Nie przepłynąłem aż takiego dystansu, żeby się zmęczyć, a mimo to szybko traciłem siły - zapewne głównie z powodu szoku. Wreszcie popełniłem błąd, spróbowałem nabrać powietrza w niewłaściwym momencie, zachłysnąłem się wodą i zupełnie spanikowałem. Rozpaczliwie młócąc wodę rękami i nogami, skręciłem do brzegu, byle jak najprędzej dotrzeć tam, gdzie będę miał grunt pod nogami. Rogette Whitmore natychmiast wznowiła ostrzał; miała spory zapas amunicji, ponieważ te kamienie, których nie zdołała unieść, kładła Devore'owi na kolanach. Rozgrzała się, rzucała jak mężczyzna

i miała świetne oko. Kamienie spadały tuż obok mnie; zasłoniłem się przed jednym (był na tyle duży, że z pewnością poważnie zraniłby mnie w czoło), ale już następny trafił mnie w biceps i rozciął skórę. To wystarczyło. Zawróciłem i ponownie odpłynąłem od brzegu, z trudem łapiąc powietrze. Pomimo nasilającego się bólu w karku, wciąż starałem się trzymać głowę w górze.

Jak tylko oddaliłem się na bezpieczną odległość, zatrzymałem się i obejrzałem. Siwowłosa wiedźma stała na samym skraju ścieżki, żeby jak najbardziej zmniejszyć odległość. Devore zaparkował za jej plecami. Oboje wciąż się uśmiechali, ich twarze zaś były czerwone jak gęby diabłów w piekle. Czerwony zachód słońca, marzenie każdego żeglarza. Jeszcze dwadzieścia minut i zacznie się ściemniać. Czy uda mi się utrzymać na powierzchni przez dwadzieścia minut? Chyba tak, o ile znowu nie ulegnę panice, ale raczej niewiele dłużej. Przez głowę przemknęła mi myśl, jak by to było utonąć w zapadającym mroku, patrząc na Wenus świecącą milcząco na niebie, i natychmiast poczułem ukłucie szurzących zębów paniki. Te zęby były gorsze niż Rogette i jej kamienie. Znacznie gorsze.

Ale chyba nie gorsze niż Devore.

Zbadałem brzeg wzrokiem, wypatrując jakiejś żywej istoty wszędzie tam, gdzie Dróżka choć na metr lub dwa wyłaniała się spomiędzy drzew. Już nie czułem wstydu. Niestety, nikogo nie zobaczyłem. Na Boga, gdzie się wszyscy podziali? Pojechali do Fryeburga, na pizzę, poszli na koktajl mleczny do kafejki?

- Czego chcesz? - zawołałem do Devore'a. - Mam ci obiecać, że nie będę wtykał nosa w twoje sprawy? W porządku, obiecuję!

Roześmiał się.

- Czy wyglądam na kogoś, kto urodził się wczoraj?

Cóż, w gruncie rzeczy nie przypuszczałem, żeby to po-  
działo. Nawet gdybym złożył obietnicę zupełnie szczerze,  
i tak by mi nie uwierzył.

- Po prostu jesteśmy ciekawi, jakim jesteś pływakiem -  
odezwała się Whitmore, po czym od niechcenia rzuciła we  
mnie kamieniem. Wpadł do wody jakieś półtora metra od  
mojej głowy.

Chcą mnie zabić, pomyślałem. Naprawdę chcą mnie zabić.

Istotnie. A co gorsza, mogło im to ujsć zupełnie bezkar-  
nie. Do głowy przyszedł mi szaleńczy, jednocześnie prawdo-  
podobny i zupełnie nierealny pomysł. Wyobraziłem sobie,  
jak Rogette Whitmore wiesza na tablicy przy sklepie ogło-  
szenie następującej treści:

**POZDROWIENIA DLA WSZYSTKICH MARSJAN  
Z TR-90!**

Pan Maxwell Devore, nasz ulubiony Marsjanin, obiecuje  
wszystkim mieszkańcom TR po sto dolarów, jeśli w piątek  
17 lipca, między godziną siódmą a dziewiątą wieczorem, nie  
będą korzystać z Dróżki. Powstrzymajcie waszych gości  
przed wycieczkami w tym kierunku i pamiętajcie: dobrzy  
Marsjanie są jak dobre małpki — nie słyszą, nie widzą i nie  
mówią!

Oczywiście nie mogłem w to uwierzyć, nie w sytuacji,  
w której się znalazłem... a jednak prawie mogłem. Alternaty-  
wą było uznanie, że sprzyja mu zupełnie nieprawdopodobne  
szczęście.

Byłem coraz bardziej zmęczony, buty ciążyły mi jak ni-  
gdy. Próba ich ściągnięcia zakończyła się połknięciem kolej-  
nego haustu wody. Tamtych dwoje obserwowało mnie w mil-  
czeniu; Devore od czasu do czasu sięgał po maskę i pociągał  
łyk ożywczego tlenu.

Nie mogłem czekać do zmroku. Co prawda tutaj, w zachodnim Maine-jak zapewne w każdym górzystym terenie-słońce zachodzi bardzo szybko, ale jego blask długo rozświetla zachodni nieboskłon. Zanim zrobiłoby się na tyle ciemno, żebym mógł niepostrzeżenie wyjść z jeziora, na wschodzie wzeszedłby już księżyc i cały plan spełzyłby na niczym.

Wyobraziłem sobie swój nekrolog w „New York Timesie”, opatrzone nagłówkiem: „Popularny autor sensacyjnych romansów utonął w Maine”. Debra Weinstock dałaby im zdjęcie autora z obwoluty „Obietnicy Heleny”, Harold Obrowski powiedziałby, co należy, i z pewnością zamieściłby także skromną (ale bez przesady) wzmiankę w „Publishers Weekly”. Oczywiście połowę kosztów musiałoby pokryć wydawnictwo, bo przecież...

Zanurzyłem się, wciągnąłem spory łyk wody, wystawiłem głowę na powierzchnię, wyplułem. Niewiele brakowało, a znowu zacząłbym miotać się jak szalony. Na brzegu rozległ się skowyczący śmiech Rogette Whitmore. Ty suko, pomyślałem. Ty cholerna, przeklęta...

Mikę, powiedziała Jo.

Jej głos rozległ się w mojej głowie, ale brzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy wyobrażałem sobie, że dyskutuję z nią na jakiś temat albo kiedy po prostu tęsknota ogarniała mnie ze wzmożoną siłą i sięgałem pamięcią do wspomnień. Jakby dla podkreślenia tego faktu, coś głośno plusnęło po mojej prawej stronie; natychmiast tam spojrzałem, ale nie zobaczyłem rozchodzących się po wodzie kręgów, tylko naszą platformę, zacumowaną jakieś sto metrów ode mnie.

- Nie dam rady, kochanie - wychrypiałem.

- Mówiłeś coś, Noonan? - zapytał Devore z brzegu i w szyderyczym geście przyłożył rękę do kalafiorowatego ucha. - Niezbyt dobrze cię słyszę. Brakuje ci powietrza, czy

co?

Whitmore znowu wybuchnęła śmiechem. On był Johnnym Carsonem, ona Edem McMahonem.

Dasz radę. Pomogę ci.

Istotnie, nasza platforma była moją ostatnią szansą-jedyna w tej części jeziora, dobre dziesięć metrów poza zasięgiem rzutów Rogette. Zacząłem pomalutku płynąć w jej kierunku, okupując każdy ruch ogromnym wysiłkiem. Za każdym razem, kiedy czułem, że lada chwila głowa pójdzie mi pod wodę, zatrzymywałem się i odpoczywałem, powtarzając w duchu, że wszystko jest w porządku, że jestem w świetnej formie i na pewno nic mi się nie stanie, jeśli tylko zachowam zimną krew. Stara suka i jeszcze starszy drań ponownie ruszyli powoli wzdłuż brzegu, ale chyba zorientowali się, dokąd płynę, przestałem bowiem słyszeć ich śmiech i docinki.

Bardzo długo wydawało mi się, że tkwię w miejscu. Próbowałem sobie wytłumaczyć, że to tylko złudzenie wywołane słabnącym oświetleniem (woda zdążyła zmienić barwę z krwistoczerwonej na fioletowoczną, taką jaką miały działła Devore'a), lecz jakoś trudno było mi w to uwierzyć.

Kiedy od celu dzieliło mnie około trzydziestu metrów, złapał mnie skurcz w lewej nodze. Przekręciłem się gwałtownie na bok niczym żaglówka, w którą niespodziewanie uderzył silny podmuch bocznego wiatru, i spróbowałem dosięgnąć do stwardniałego mięśnia. Rezultat był oczywiście taki, że kolejna porcja wody dostała mi się do gardła. Usiłowałem ją wypłuć, zakrztusiłem się i poszedłem jak kamień pod wodę.

Tym razem naprawdę tonę, pomyślałem z zaskakującym spokojem. A więc tak to wygląda.

Niemal natychmiast czyjaś ręka chwyciła mnie za włosy z tyłu głowy i gwałtownie szarpnęła w górę. Ból był tak silny

- rana po najlepszym rzucie Rogette! - że podziałał lepiej niż jakikolwiek środek pobudzający. Druga ręka chwyciła mnie za nogę pod kolanem, przez chwilę czułem tam niezwykle ciepło, po czym skurcz ustąpił, ja zaś wyprysnąłem na powierzchnię i zaledwie w ciągu kilkunastu sekund dopłynąłem do platformy. Uczępiłem się jej oburącz i łapiąc powietrze ogromnymi łykami, czekałem na wyjaśnienie chwilowo najważniejszej dla mnie zagadki: czy moje serce wytrzyma, czy też lada moment eksploduje mi w piersi jak granat. Po jakimś czasie spłaciłem dług tlenowy i mój organizm pomału zaczął się uspokajać. Zaczekałem jeszcze minutę, po czym wygramoliłem się na deski. Zgięty wpół, z rękami opartymi na kolanach, stałem zwrócony twarzą ku zachodowi, a następnie odwróciłem się do brzegu, żeby pokazać moim prześladowcom najbardziej oczywisty w tej sytuacji gest. Niestety, nie pokazałem go, bo nie miałem komu. Dróżka była pusta. Devore i Rogette Whitmore rozplynęli się bez śladu.

W porę uświadomiłem sobie, że nie mam żadnej pewności, czy naprawdę odeszli, bo przecież znaczna część Dróżki była ukryta za drzewami. Przesiedziałem po turecku na platformie aż do wschodu księżyca, nie odwracając wzroku od brzegu, czekając na jakikolwiek ruch. Minęło pół godziny, może czterdzieści pięć minut. Zegarek niewiele mógł mi powiedzieć, łyknął bowiem trochę wody i zatrzymał się na siódmej trzydziści. To też mogłem dopisać Devore'owi do rachunku: timex indiglo, 29 dolarów i 95 centów.

Wreszcie zszedłem po drabinie, wślizgnąłem się do wody i, najciszej jak potrafiłem, popłynąłem do brzegu. Wypocząłem, głowa przestała mnie boleć (nie licząc przykrego pulsowania w potężnym guzie), odzyskałem przynajmniej część pewności siebie, a co najważniejsze, opuściło mnie paralizujące wrażenie, że dostałem się do jakiegoś koszmarne snu.

To chyba było najgorsze: wcale nie topielcy, nie spadające jak grad kamienie, nie jezioro, tylko przekonanie, że to wszystko nie może być prawdą, że komputerowi magnaci nie topią pisarzy, którzy mieli pecha wejść im w drogę.

Czy jednak dzisiejszą przygodę rzeczywiście mogłem za-  
wdzięczać wyłącznie przypadkowemu spotkaniu z Devo-  
re'em? Takie przypuszczenie świadczyłoby chyba o mojej  
ogromnej naiwności. Prawdopodobnie już od czwartego lip-  
ca jego ludzie ani na chwilę nie spuszczały mnie z oka; mogli  
nawet obserwować mnie z drugiego brzegu jeziora za pomo-  
cą silnych lornetek albo teleobiektywów. Jeszcze niedawno  
uznałbym takie rozważania za dowód postępującej paranoi,  
ale teraz, po tym jak ci dwoje prawie zdołali utopić mnie  
w jeziorze Dark Score, sprawy miały się całkiem inaczej.

Postanowiłem, że nie będę zwracał uwagi, czy i kto pod-  
patruje mnie z drugiego brzegu. Nie obchodziło mnie także,  
czy tych dwoje czai się za którymś z zakrętów Dróżki. Płyną-  
łem tak długo, aż poczułem na rękach i nogach muśnięcia  
wodorostów i zobaczyłem jasny sierp plaży przed domem,  
po czym stanąłem na dnie, skrzywiłem się, ponieważ trochę  
się ochłodziło, pokuśtykałem do brzegu, na wszelki wypadek  
zasłaniając twarz ręką, ale nikt nie rzucał we mnie kamienia-  
mi. Jakiś czas stałem na Dróżce w ociekającym wodą ubra-  
niu i spoglądałem to w lewo, to w prawo. Chyba byłem sam.  
Wreszcie odwróciłem się do jeziora, na którego powierzchni  
chudy księżyc wyrysował cieniutką srebrzystą ścieżkę łączą-  
cą plażę z platformą.

- Dzięki, Jo - powiedziałem, a następnie zacząłem się  
wspinać po stopniach. Mniej więcej w połowie drogi musia-  
łem zatrzymać się i usiąść. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem  
tak zmęczony.

## Rozdział 18

Nie chciało mi się okrążyć budynku i iść do drzwi frontowych, więc wszedłem przez taras, wciąż zdumiony wagą swoich nóg. Znalazłszy się w salonie, popatrzyłem dokoła szeroko otwartymi oczami kogoś, kto wyjechał na dziesięć lat, a po powrocie nie zastał żadnych zmian: Bunter wciąż na ścianie nad kominkiem, „Boston Globe” na kanapie, sterta krzyżówek na stoliku do kawy, talerz na stole. Ten widok sprawił, że z ogromną siłą uderzyła we mnie świadomość tego, co się stało: jakby nigdy nic wyszedłem na spacer, zostawiając za sobą swojski bałagan, i niewiele brakowało, żebym zginął. Żebym został zamordowany, dokładniej rzecz biorąc.

Chwyciły mnie dreszcze. Poszedłem do sypialni w północnym skrzydle, ściągnąłem mokre rzeczy i wrzuciłem je do wanny - plask! - po czym, wciąż trzęsąc się jak galareta, spojrzałem na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Wyglądałem na kogoś, kto całkiem niedawno podczas bójki w jakimś barze opowiedział się nie po tej stronie, co należało. Miałem rozciętą skórę na bicepsie, ogromny czarnofioletowy siniak na obojczyku, a także krwawą pręgę zaczynającą się za uchem i sięgającą aż na kark - pamiątkę po pierścionku uroczej Rogette.

Wziąłem z półki małe lusterko, żeby obejrzeć sobie tył głowy. „Czy wy naprawdę macie takie twarde łby, że nic nie jest w stanie do was dotrzeć?” - wykrzykiwała zdesperowana mama do mnie i Sida, kiedy byliśmy dziećmi. Bogu dzięki, chyba tak właśnie było, przynajmniej w moim przypadku. Miejsce, gdzie laska Devore'a zetknęła się z moją czaszką, przypominało stożek wygasłego wulkanu, natomiast kamień rzucony tak celnie przez pannę Whitmore pozostawił ranę,



która powinna zostać zszyta, jeśli nie chciałem mieć pamiątki w postaci sporej blizny. Teraz już nie krwawiła, ale licha wie, ile krwi wypłynęło z niej do jeziora.

Nalałem sobie na dłoń trochę wody utlenionej, zacisnąłem zęby i przyłożyłem rękę do rany. Nie wiem, jak to się stało, że nie zawyłem z bólu. Kiedy jako tako doszedłem do siebie, nasączyłem wodą utlenioną kilka wacików i oczyściłem pozostałe skaleczenia. Następnie wziąłem prysznic, włożyłem czystą bawełnianą koszulkę i dżinsy, po czym przeszedłem do holu, by zadzwonić do Biura szeryfa. Nie musiałem się uciekać do pomocy książki telefonicznej ani informacji o abonentach; na tablicy wisiała kartka z numerami policji, straży pożarnej i pogotowia, oraz ten zaczynający się na 900, pod którym za półtora dolca można poznać rozwiązania trzech haseł z aktualnej krzyżówki „Timesa”.

Trzy cyfry wystukałem błyskawicznie, potem jednak zacząłem zwalniać, by po szóstej zatrzymać się zupełnie. Stojąc w holu, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, wyobraziłem sobie kolejny nagłówek, ale już nie w dostojnym „Timesie” lecz w hałaśliwej „New York Post”: ZNANY. PISARZ SKACZE DO OCZU PODSTARZAŁEMU KRÓLOWI KOMPUTERÓW!, obok zaś dwa zdjęcia - moje, na którym wyglądam mniej więcej na swój wiek, oraz Maksa Devore'a, na którym wygląda co najmniej na sto sześć lat. „Post” miałyby wielką uciechę relacjonując czytelnikom, jak to Devore wspólnie z wiekową damą, ważącą około czterdziestu pięciu kilogramów, spuścili manto człowiekowi o kilkadziesiąt lat młodszemu, a jeśli wierzyć fotografii, to także w całkiem niezłej formie fizycznej.

Szczątkowy mózdzek aparatu telefonicznego znużył się wreszcie czekaniem na siódmą cyfrę. Wyrwany z zamyślenia przez ciągły sygnał, powoli odsunąłem słuchawkę od ucha,

przyjrzałem jej się tak, jakbym po raz pierwszy w życiu widział coś takiego, a następnie delikatnie odłożyłem na widełki.

Nie wpadam w histerię z powodu kapryśnego, a niekiedy wręcz przesyconego nienawiścią zainteresowania prasy, ale zawsze jestem czujny, jakbym miał do czynienia z dużym, futrzastym, nieobliczalnym zwierzakiem. Ameryka zrobiła sobie z ludzi, którzy ją bawią, kogoś w rodzaju dziwek z wyższych sfer, media zaś z furją rzucają się na każdego, kto ośmieli się narzekać na sposób, w jaki jest traktowany. „Prze stań skamleć!” krzyczą gazety i telewizory. „Naprawdę myślałeś, że dostajesz tyle forsy tylko za to, że śpiewasz piosenki, piszesz książki albo wymachujesz kijem do baseballa? Jasne, że nie! Płacimy ci za to, żeby zachwycać się, kiedy wszystko idzie ci jak z płatka, i nabijać się ile wlezie, kiedy coś spieprzysz. A kiedy już całkiem się znudzisz i przestaniesz być zabawny, zabijemy cię i zjemy”.

Oczywiście nie mogą cię naprawdę zjeść, ale mogą wydrukować twoje zdjęcie bez koszuli i napisać, że tyjesz, mogą się zastanawiać, ile pijesz albo ile pigułek zażywasz, mogą się rozpisywać o tym, jak podczas przyjęcia w knajpie złapałeś na ręce jakąś dziewczynę i wsadziłeś jej język do ucha, ale nie mogą cię zjeść. Nie dlatego więc odłożyłem słuchawkę, że bym się bał, że „Post” nazwie mnie maminsynkiem albo że trafię do monologu Jaya Leno; zrobiłem to wyłącznie dlatego, że uświadomiłem sobie, iż nie mogę poprzeć swoich oskarżeń żadnymi dowodami. Nikt nas przecież nie widział, a raczej nie należało przypuszczać, że Max Devore miałby jakiegokolwiek problemy z przedstawieniem żelaznego alibi dla siebie i swojej osobistej asystentki.

I jeszcze jedno, nie wiem, czy nie najważniejsze: szeryf przypuszczalnie wysłałby George'a Footmana w celu spisania moich zeznań o tym, jak to zły staruch wepchnął małego

Mike'a do jeziora. Ależ mieliby z tego zabawę!

Zamiast do stróżów prawa, zadzwoniłem więc do Johna Storrowsa, ponieważ chciałem od niego usłyszeć, że postępuję słusznie i robię co należy, że tylko ktoś zdesperowany może posunąć się tak daleko (naturalnie musiałbym zapomnieć, przynajmniej chwilowo, że prawie przez cały czas śmiali się tak, jakby bawili się jak nigdy w życiu), oraz że mała Ki Devore może nadal spać spokojnie, ponieważ jej stuknięty dziadunio prędzej odmłodzi się o pięćdziesiąt lat, niż dostanie ją w swoje łapy.

Nagrałem się Johnowi na sekretarkę - zadzwoń do Mi-  
kę^ Noonana, nic szczególnie ważnego, ale dzwoń nawet  
późnym wieczorem - po czym spróbowałem szczęścia w jego  
biurze, pomny nauk ewangelii według Johna Grishama: młodzi prawnicy harują do upadłego. Cierpliwie wysłuchałem  
kolejnej automatycznej sekretarki, a następnie, zgodnie ze  
wskazówkami, wystukałem STO, czyli trzy pierwsze litery  
nazwiska Johna. Coś stuknęło, a chwilę potem usłyszałem  
głos Johna - niestety, też z taśmy: „Witam, tu John Storrows.  
Wyjechałem na weekend do Filadelfii, odwiedzić rodziców.  
W biurze zjawię się w poniedziałek, ale potem wyjeżdżam  
w interesach. Od wtorku do piątku będzie można mnie zła-  
pać pod numerem...”

Numer zaczynał się od 207-955, co oznaczało Castle  
Rock, być może ten sam hotel, w którym zatrzymał się po-  
przednio.

- Tu Mikę Noonan - powiedziałem. - Zadzwoń, kiedy  
będziesz mógł. W domu też ci się nagrałem.

Poszedłem do kuchni po piwo, ale zamiast otworzyć lo-  
dówkę, stanąłem przed nią i przesuwalem magnesyki. Nazwał  
mnie alfonsiem. „Gdzie podziała się twoja dziwka, alfonsie?”  
Minutę później chciał zbawiać moją duszę. Doprawdy, za-

bawne. Tak jakby alkoholik zaproponował, że zaopiekuje się moim barkiem. „Mówił o tobie z prawdziwym szacunkiem”, powiedziała Mattie. „Wasi dziadkowie srali pod tym samym drzewem”.

Zostawiłem lodówkę z nienaruszonym piwem w środku, wróciłem do telefonu i zadzwoniłem do Mattie.

- Cześć - powitało mnie kolejne nagranie. Chyba działało prawo serii. - To ja, ale nie ma mnie w domu, albo jestem zajęta i nie mogę podejść. Zostaw wiadomość, dobrze? - Przerwa, jakieś szelesty i szepty, a potem Kyra, tak głośno, że mało nie rozsadziło mi głowy: - Dobrą wiadomość! - Chichoty, wreszcie sygnał.

- Mówi Mikę Noonan. Chciałem tylko...

Nie mam pojęcia, jak dokończyłbym tę myśl, ale na szczęście nie musiałem jej kończyć, ponieważ rozległo się kliknięcie, a zaraz potem głos Mattie:

- Cześć, Mikę.

Różnica między radosnym nagraniem a ponurym, przygnębnym tonem, jakim mnie przywitała, była tak szokująca, że przez chwilę nie mogłem wykrztusić ani słowa. Jak tylko odzyskałem głos, zapytałem ją, co się stało.

- Nic. - Rozplakała się. - To znaczy, wszystko. Straciłam pracę. Lindy mnie wyrzuciła.

Oczywiście Lindy nie powiedziała, że ją wyrzuciła, tylko że „musi wprowadzić w życie politykę zaciskania pasa”. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że gdybym przejrzał listę osób wspomagających finansowo Bibliotekę Four Lakes, na jednym z pierwszych miejsc znalazłbym nazwisko Maksa Devore'a. Zagroził, że przestanie sięgać do portfela, ale teraz, po szybkiej reakcji Lindy, wszystko zapewne wróci do normy.

- Nie powinniśmy byli rozmawiać przy niej - powiedziałem, choć doskonale zdawałem sobie sprawę, że Mattie stra-

ciłaby pracę nawet wtedy, gdybym omijał bibliotekę szerokim łukiem. — Chyba należało się spodziewać czegoś takiego.

- John to przewidział. - Wciąż szlochała, ale starała się opanować. - Powiedział, że Max Devore prawie na pewno spróbuje wepchnąć mnie w jak największe tarapaty, tak że-  
bym podczas rozprawy musiała się przyznać, że jestem bezrobotna. Tłumaczyłam mu, że pani Briggs nigdy nie posunie się do czegoś takiego, szczególnie wobec dziewczyny, która niedawno wygłosiła wspaniały referat o „Bartleby” Melville’a. Wiesz, co mi odpowiedział?

-Nie.

- „Jesteś jeszcze bardzo młoda”. Wtedy wydało mi się to trochę protekcyjne, ale teraz widzę, że miał rację.

- Mattie...

- Mike, co ja teraz zrobię? Co ja zrobię?

Wyglądało na to, że panika kłusująca ostrymi szczurzymi zębami przeniosła się na Wasp Hill Road. Ze zdziwieniem wsłuchiwałem się w chłodne, obojętne myśli wędrujące mi przez głowę: To proste, zostań moją kochanką. Oficjalnie będziesz pełniła funkcję osobistej asystentki, tak że urząd podatkowy nie będzie miał się do czego przyczepić. Ja ze swojej strony wnoszę do interesu ciuchy, karty kredytowe, dom (pożegnaj się z tą przerdzewiałą przyczepą kempingową) i dwutygodniowe wakacje. Chciałabyś spędzić połowę lutego na Maui? Pokrywam również koszty kształcenia Kyry, a na koniec roku dorzucam sporą premię. Obiecuję też, że będę delikatny i dyskretny. Będę cię odwiedzał raz albo dwa w tygodniu, i zawsze zaczekam, aż mała pójdzie spać. Wystarczy, że dasz mi klucz i powiesz „tak”. Wystarczy, że pozwolisz mi robić wszystko, czego zapragnę. Wystarczy, że będę cię dotykał, tam gdzie zechcę i kiedy zechcę, przez całą noc, aż do rana, a ty nigdy mnie nie odepchniesz, nigdy nie po-

wiesz „nie”, nigdy nie powiesz „przezań”.

Zacisnąłem powieki.

- Jesteś tam, Mikę?

- Jasne. - Ostrożnie dotknąłem pulsującej rany z tyłu głowy i skrzywiłem się. - Na pewno dasz sobie radę, Mattie. Jesteś młoda...

- Jeszcze nie spłaciłam przyczepy! - załkała. - Mam niezapłacone rachunki telefoniczne i w każdej chwili mogą mi wyłączyć telefon! Coś się dzieje ze skrzynią biegów i tylnym mostem jeepa! Może uda mi się zapłacić za ostatni tydzień Szkołki Biblijnej Kyrę, bo pani Briggs dała mi trzytygodniową odprawę, ale za co kupię jej buty? Tak szybko ze wszystkiego wyrasta, ma dziurawe ubranie i bieliznę.

Znowu zanosła się płaczem.

- Będę wam pomagał tak długo, aż znowu staniesz na nogi - powiedziałem stanowczym tonem.

- Nie ma mowy! Nie mogę pozwolić, żeby...

- Oczywiście, że możesz, i pozwolisz, choćby ze względu na Kyrę. Później wszystko mi oddasz, jeśli zechcesz. Będziemy zapisywać wydatki, ale to ja będę się o to troszczył.

I nigdy, nigdy nie rozbierzesz się w mojej obecności.

- Mikę, nie musisz tego robić.

- Może muszę, może nie muszę, ale to zrobię. Na twoim miejscu nie próbowałbym mnie powstrzymać.

Zadzwoiłem po to, żeby opowiedzieć o swoich niedawnych przeżyciach, szczególny nacisk kładąc na - niestety nie-liczne - humorystyczne aspekty wydarzeń, ale w obecnej sytuacji nie wydawało mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Sprawa o Kyrę skończy się szybciej, niż ci się wydaje, a jeśli potem nie znajdzie się nikt odważny, kto dałby ci pracę, poszukam ci czegoś w Derry. Skoro o tym mowa; nie wydaje ci się, że to odpowiednia chwila, żeby zmienić okolicę?

Udało jej się roześmiać.

- Chyba tak.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Johnem?

- Aha. Pojechał odwiedzić rodziców w Filadelfii, ale dał mi numer. Zadzwoiłam do niego.

Przyznał, że zawróciła mu w głowie. Być może działało to także w drugą stronę. Usiłowałem sobie wmówić, że nieprzyjemne ukłucie w sercu jest tylko wytworem mojej wyobraźni, ale z niewielkim skutkiem.

— Co powiedział o twoim zwolnieniu z pracy?

- To samo co ty, ale po rozmowie z nim nie poczułam się bezpiecznie. Teraz jestem prawie całkiem spokojna. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Ja wiedziałem, dlaczego. Byłem od niego sporo starszy, a młode kobiety prawie zawsze czują się bezpiecznie w towarzystwie starszych mężczyzn.

- Przyjedzie we wtorek rano. Umówiłam się z nim na lunch.

- Może i ja się przyłączę? - zaproponowałem jakby nigdy nic.

Mattie wyraźnie zapaliła się do tego pomysłu, a ja, nie wiedząc czemu, poczułem się czemuś winny.

- Świetnie! Zaraz zadzwonię do niego i powiem, żebyście obaj wpadli do mnie. Zrobię coś z grilla, a Ki nie pójdzie do szkółki, tylko zje z nami. Nie może się doczekać, kiedy przeczytasz jej następną bajkę. Tamta bardzo jej się spodobała.

- Znakomity pomysł. - Naprawdę tak uważałem. Obecność Kyry czyniła sytuację bardziej naturalną: ja nie poczuję się intruzem, ich spotkanie nie będzie wyglądało na randkę, John uniknie ryzyka oskarżenia o nieetyczne zachowanie względem klientki. Jeszcze mi za to podziękują. - Myślę, że Ki dojrzała już do „Jasia i Małgosi”. Jak się teraz czujesz, Mattie?

- Znacznie lepiej niż przed rozmową z tobą.
- To dobrze. Zobaczysz, wszystko będzie w porządku.
- Obiecujesz?
- Chyba już to zrobiłem.

Zawahała się lekko.

- A co u ciebie, Mikę? Wszystko w porządku? Wydaje mi Się, że masz trochę zmieniony głos.

- Jestem w świetnej formie. - Przynajmniej jak na kogoś, kto niespełna godzinę wcześniej był święcie przekonany, że zaraz się utopi. - Czy mogę cię o coś zapytać? Ta sprawa wciąż nie daje mi spokoju.

- Jasne.

- Wspomniałaś kiedyś, iż Devore mówił ci, że jego pradziadek dobrze znał mojego pradziadka...

- Powiedział nawet, że srali pod tym samym drzewem.

Wyjątkowo eleganckie sformułowanie.

- Czy mówił coś jeszcze? Dobrze się zastanów.

Niczego sobie nie przypomniała, więc przykazałem jej, żeby zadzwoniła do mnie natychmiast, jak tylko coś przyjdzie jej do głowy, lub jeśli poczuje się samotna, albo jak coś ją przestraszy, po czym życzyłem jej dobrej nocy i odłożyłem słuchawkę. Postanowiłem już, że opowiem Johnowi o swojej przygodzie. Kto wie, może należało zlecić George'owi Kennedy'emu, żeby wynajął paru ludzi, którzy dyskretnie opiekowaliby się Mattie i Kyrą? Przekonałem się na własnej skórze, że Max Devore naprawdę jest szalony. Gdybym miał jeszcze co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, wystarczyło, żeby dotknął tyłu głowy.

Podszedłem do lodówki, ale znowu zapomniałem ją otworzyć. Moje ręce zaczęły przesuwac magnesyki na drzwiach, a ja obserwowałem, zafascynowany, jak słowa pojawiają się, znikają, przeistaczają, dzielą i łączą. Był to szczególny rodzaj



pisania... ale jednak pisania. Czułem, że ogarnia mnie taki sam trans jak wtedy, kiedy siadałem do zielonego IBM-a.

Dysponując sporym doświadczeniem, można dowolnie przełączać się między pełną jawą a. tym niezwykle, na pół hipnotycznym stanem - przynajmniej wtedy, kiedy wszystko idzie jak z płatka. Kiedy siadasz do pracy, intuicja zaczyna pracować na zdwojonych obrotach, aż wreszcie wznosi się na półtora metra nad ziemię (w wyjątkowo dobre dni na dwa metry), zawisa tam nieruchomo i śle ci bezpośrednio do mózgu magiczne wiadomości oraz bajecznie kolorowe obrazy. Przez resztę dnia ta część umysłu jest szczelnie zamknięta i prawie zupełnie niezauważalna, z wyjątkiem sytuacji, kiedy z własnej inicjatywy wyłazi z kryjówki, a wtedy twój umysł produkuje skojarzenia pozostające w jaskrawej sprzeczności z tak zwanym logicznym myśleniem i wyświetla ci przed oczami zaskakujące widoczki. To chyba najbardziej tajemnicza część składowa procesu twórczego. Muzy są jak duchy; niekiedy zjawiają się bez zaproszenia.

W moim domu straszy.

W Sarze zawsze straszyło... Duchy są niespokojne.

niespokojne

napisałem na lodówce, ale czegoś mi jeszcze brakowało, więc otoczyłem słowo kręgiem różnobarwnych magnesików. Tak, tak znacznie lepiej. Stałem przez chwilę z założonymi rękami (w tej pozycji często siedziałem za biurkiem, szukając właściwego słowa albo wyrażenia), po czym zgarnąłem literki i ułożyłem z nich wyraz „straszy”.

- Straszy w kółku - powiedziałem.

Dzwonek Buntera zabrzączał jeden raz, jakby przyznawał mi rację.

Ponownie zgarnąłem magnesiki, myśląc o tym, że to trochę dziwne mieć prawnika o imieniu Romeo...

(w kółku pojawiło się słowo „romeo”)

...i zatrudnić prywatnego detektywa o nazwisku George Kennedy,

(do kółka wskoczyło imię „george”)

Zastanawiałem się, czy Kennedy pomoże mi przy konstruowaniu postaci Andy'ego Drake'a...

(dołączył do nich „drake”)

...albo czy chociaż podsunie mi jakieś pomysły. Jeszcze nigdy nie pisałem o prywatnym detektywie, a przecież diabeł tkwi w szczegółach.

(znikło „rake”, zostało „d”, przyrosło do niego „etale”)

Położyłem „^3” na grzbiecie, podparłem od spodu literką „i”. Powstało coś w rodzaju wideł. Tak, diabeł tkwi w szczegółach.

Następnie mój umysł powędrował gdzie indziej - niestety nie wiem dokąd, ponieważ trans był całkowity, intuicja dominująca, wszelkie poszukiwania skazane na niepowodzenie. Stałem przed lodówką i układałem literki, nieświadomie artykułując w ten sposób oderwane fragmenty myśli. Zwykły człowiek nie uwierzy, że coś takiego jest możliwe, ale każdy pisarz doskonale zrozumie, o czym mówię.

Z transu wyrwał mnie snop światła, który przesunął się po oknach w holu. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem jakiś samochód, który właśnie zatrzymał się za moim chevroletem. Żołądek skurczył mi się ze strachu; w tej chwili oddałbym wszystko za broń z pełnym magazynkiem. To Footman. To na pewno on. Devore zadzwonił do niego zaraz po powrocie do Warringtonów i powiedział, że Noonan nie chce być dobrym Marsjaninem, więc trzeba pojechać i zrobić z nim porządek.

Jednak jak tylko otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i zaświeciła się lampka w kabinie, odetchnąłem z ulgą. Nie

miałem pojęcia, kto to jest, ale na pewno nie był to „tatusiek”. Nieznajomy wyglądał na skończonego fajtlapę, chociaż, z drugiej strony, wygląd nie zawsze świadczy o człowieku.

W szafce nad lodówką stało mnóstwo aerozoli, tak starych, że z pewnością wszystkie były wrogami powłoki ozonowej. Nie miałem pojęcia, jakim cudem pani M. je ominęła, ale ucieszyłem się, że tak się stało. Złapałem pierwszy z brzegu („Bezlitosny Tępicieł”, doskonały wybór), zdjąłem przykrywkę, wepchnąłem pojemnik do lewej przedniej kieszeni dżinsów, po czym zacząłem pospiesznie przeglądać zawartość szuflad w szafce sąsiadującej ze zlewozmywakiem.

W najwyższej była zastawa stołowa, w drugiej od góry rozmaite rupiecie, od termometrów mierzących temperaturę pieczonego drobiu poczynając, na otwieraczach do konserw kończąc, w trzeciej natomiast moim oczom ukazała się bogata kolekcja noży do mięsa. Wybrałem niezbyt duży, ale wyjątkowo ostry, ukryłem go w prawej kieszeni, i tak wyposażony skierowałem się do drzwi.

Człowiek na ganku aż podskoczył, kiedy włączyłem zewnętrzną lampę, po czym zmrużył oczy i mrugając co chwilę przyjrzał mi się przez szybę w drzwiach jak krótkowzroczny królik. Miał około metra sześćdziesiąt wzrostu, był kościsty i bardzo blady, z brązowymi oczami ukrytymi za niezbyt czystymi szklami w rogowej oprawce. Nieduże ręce zwiślały nieruchomo po obu stronach tułowia; w jednej trzymał cienką skórzaną teczkę, w drugiej nieduży biały prostokącik. Uznałem, że chyba nie jest mi pisane zostać zamordowanym przez człowieka z wizytówką w dłoni, więc otworzyłem drzwi.

Mężczyzna obdarzył mnie nieśmiałym nerwowym uśmiechem charakterystycznym dla prawie wszystkich bohaterów filmów Woody Allena. Zauważyłem, że był również ubrany

jak Woody Allen: w spraną flanelową koszulę z trochę za krótkimi rękawami i spodnie nieco za obszerne w kroku. Na pewno ktoś powiedział mu o podobieństwie, pomyślałem. Niemożliwe, żeby o tym nie wiedział.

- Pan Noonan?

- Tak. Słucham?

Podał mi wizytówkę. BIURO HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI „NASTĘPNE STULECIE” informowała złotą czcionką. Poniżej, już zwykłymi, czarnymi literami, wydrukowano imię i nazwisko mego gościa.

- Jestem Richard Osgood - oznajmił, jakby podejrzewał, że nie potrafię czytać, i wyciągnął rękę. Amerykański samiec gatunku homo sapiens ma głęboko wpojony odruch odwzajemnienia tego gestu w taki sam sposób, lecz tego wieczoru zdołałem zapanować nad tym odruchem. Osgood jeszcze przez chwilę trzymał przed sobą swoją niedużą różową łapkę, a następnie nerwowo wytarł ją w spodnie. - Mam dla pana wiadomość od pana Devore'a.

Czekałem, co będzie dalej.

- Mogę wejść?

- Nie - odparłem.

Cofnął się o krok, ponownie wytarł rękę w spodnie i wyraźnie zebrał się w sobie.

- Jest pan nieuprzejmy, panie Noonan. Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne.

Wcale nie byłem nieuprzejmy. Gdybym był nieuprzejmy, spryskałbym go środkiem przeciwko karaluchom.

- Kilkadziesiąt minut temu. Max Devore i jego opiekunka usiłowali utopić mnie w jeziorze. Jeśli moje zachowanie wydaje się panu mało przyjazne, to zapewne z tego powodu.

Zdumienie i niedowierzanie, które pojawiły się na twarzy Osgooda, wydawały się autentyczne.

- Ależ, panie Noonan! Chyba za dużo pan pracuje. Max Devore niebawem skończy osiemdziesiąt sześć lat, naturalnie o ile doczeka urodzin, co wcale nie jest takie pewne. Biedaczysko z najwyższym trudem jest w stanie przejść od fotela na kółkach do łóżka, natomiast jeśli chodzi o Rogette...

- Rozumiem pana - przerwałem mu. - Dwadzieścia minut temu widziałem wszystko na własne oczy, a i tak trudno mi uwierzyć. Co to za wiadomość?

- No dobrze - powiedział nadąsanym tonem, rozpiął zewnętrzną kieszeń teczki i wyjął z niej dużą, białą, zaklejoną kopertę. Wziąłem ją od niego, modląc się w duchu, żeby nie usłyszał, jak wali mi serce. Jak na człowieka, który poruszał się na wózku inwalidzkim i co kilka minut musiał korzystać z maski tlenowej, Devore działał zaskakująco szybko. Nie musiałem długo czekać na jego kolejny ruch.

- Dzięki. - Zacząłem zamykać drzwi. - Dałbym panu napitek, ale zostawiłem portfel w pokoju.

- Chwileczkę! Ma pan to przeczytać i od razu dać odpowiedź.

Uniosłem brwi.

- Nie wiem, dlaczego panu Devore przyszło do głowy, że może mi rozkazywać, ale jego pomysły nie mają i nigdy nie będą miały najmniejszego wpływu na moje postępowanie.

A teraz znikaj pan stąd.

Z opuszczonymi kącikami ust i głębokimi zmarszczkami na twarzy nie wyglądał już jak Woody Allen, tylko jak pięćdziesięcioparoletni pośrednik w handlu nieruchomościami, który zaprzedał duszę diabłu i teraz odchodzi od zmysłów z przerażenia, kiedy ktoś odważy się pociągnąć szefa za ogon.

- Dam panu przyjacielską radę, panie Noonan: proszę uważać, co pan robi. Pan Devore nie jest człowiekiem, które-

mu można bezkarnie deptać po odciskach.

- To znakomicie, ponieważ nie mam zamiaru po niczym mu deptać.

Zamknąłem drzwi. Pan Następne Stulecie nie bardzo wiedział, co ma zrobić; podejrzewam, że od dawna nikt nie potraktował go w taki sposób. Może nasze spotkanie wyjdzie mu na dobre, nauczy patrzeć na świat z innej perspektywy, a przede wszystkim przypomni mu, że bez względu na to, do kogo się podczepi, nigdy nie będzie miał więcej niż metr sześćdziesiąt osiem. Nawet w kapeluszu i kowbojskich butach.

- Pan Devore czeka na odpowiedź! - zawołał przez drzwi.

- Zadzwońię do niego! - odkrzyknąłem, po czym wykonałem gest, który nie tak dawno tak bardzo chciałem pokazać parze moich prześladowców. - Tymczasem może mu pan przekazać to!

Byłem prawie pewien, że zdejmie okulary i przetrze oczy, ale on odwrócił się, podszedł do samochodu, wrzucił teczkę do środka, po czym poszedł w jej ślady. ^Zaczekałem, aż samochód zniknie mi z oczu, a następnie przeszedłem do salonu i otworzyłem kopertę. Wewnątrz znalazłem pojedynczą kartkę pachnącą delikatnie tymi samymi perfumami, których używała moja mama, kiedy byłem mały. Nazywały się chyba „Łabędzia Szyja”, czy jakoś tak. U góry, elegancką sporą czcionką, wydrukowano

**ROGETTE D. WHITMORE**

poniżej zaś znajdowała się wiadomość napisana kobiecą, odrobinę drżącą ręką:

20.30

Szanowny Panie Noonan!

Max prosił, bym przekazała Panu, jak wielką przyjemność sprawiło mu wasze spotkanie. Mnie było co najmniej równie

przyjemnie. Okazał się Pan przezabawnym, uroczym człowiekiem. Ogromnie spodobały nam się Pańskie błazeńskie popisy. A teraz do rzeczy. M. proponuje Panu bardzo prosty układ: jeśli zobowiąże się Pan, że przestanie zadawać pytania na jego temat oraz da sobie spokój z wszelkimi sztuczkami prawnymi - mówiąc krótko, jeśli da mu pan święty spokój- on zrezygnuje ze starań o uzyskanie prawa do opieki nad wnuczką. Jeśli to Panu odpowiada, proszę po prostu powiedzieć panu Osgoodowi, że się Pan zgadza. On przekaże nam odpowiedź. Max zamierza niebawem wrócić swoim samolotem do Kalifornii; czekają tam na niego niecierpiące zwłoki interesy, ale wyjeżdża z żalem, ponieważ miło spędził tu czas, Pan zaś urozmaicił mu go w największym stopniu. Prosił mnie również, abym Panu przypomniała, że na barki tego, komu zostanie przyznane prawo do opieki nad dzieckiem, spadają liczne obowiązki. Byłoby dobrze, gdyby pan miał to na uwadze.

Rogette

PS Nie odpowiedział mu Pan napytanie: Czyjej cipa wsysa? Maksa ogromnie to intryguje.

R.

Przeczytałem list drugi raz, trzeci, odłożyłem na stół, wziąłem do ręki i przeczytałem po raz czwarty, jakbym miał problemy ze zrozumieniem jego treści. Korciło mnie, żeby pobiec do telefonu, zadzwonić do Mattie i wykrzyknąć: Już po wszystkim! To koniec! Wyleciałaś z pracy, ja mało się nie utopiłem, ale to były ostatnie strzały w tej wojnie! Poddał się!

Nie zrobiłem tego. Nie mogłem, dopóki nie miałem stu-procentowej pewności.

Zadzwoniłem natomiast do Warringtonów, gdzie powitała mnie czwarta już tego wieczoru automatyczna sekretarka. Jak należało oczekiwać, Devore i Whitmore nie silili się na żadne uprzejmości: zimny jak maszyna do lodu głos polecił

mi po prostu zostawić wiadomość po usłyszeniu sygnału.

- Mówi Noonan...

Zanim zdążyłem powiedzieć cokolwiek więcej, ktoś podniósł słuchawkę.

- Jak się udała kąpiel? - zapytała Rogette Whitmore niskim, lekko kpiącym głosem. Gdybym jej nie widział, bez trudu mógłbym sobie wyobrazić kogoś w typie Barbary Stanwyck, w brzoskwiniowym jedwabnym peniuarze, rozpartą niedbale na czerwonej pluszowej kanapie, ze słuchawką w jednej ręce i cygarniczką z kości słoniowej w drugiej.

- Gdyby była pani gdzieś w pobliżu, dałbym pani bardzo namacalny wyraz moich uczuć.

- Och, aż drżą mi uda, kiedy pan tak mówi.

- Szczerze mówiąc, wolałbym nie myśleć o pani udach.

- Cóż za maniery, panie Noonan! - parsknęła szyderczo, po czym zapytała oficjalnym tonem; - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt, że zechciał pan do nas zadzwonić?

— Odesłałem pana Osgooda bez odpowiedzi.

- Max to przewidział. Powiedział mi: „Nasz młody alfons wierzy w znaczenie bezpośrednich kontaktów międzyludzkich. Wystarczy na niego spojrzeć”.

- Kiedy się przegrywa, czasem puszczają nerwy, prawda?

- Pan Devore nigdy nie przegrywa. - Aż się zdziwiłem, że słuchawka nie przymarzała mi do ucha. - Niekiedy zmienia cel, ale nie przegrywa. Dziś wieczorem to pan wyglądał na przegranego, panie Noonan. Bał się pan, prawda?

- Owszem. I to bardzo.

- Nie bez powodu. Chyba pan nawet nie podejrzewa, jakie niesamowite miał pan szczęście.

- Czy mogę pani coś powiedzieć?

— Oczywiście, Mikę. Mogę tak do ciebie mówić?

- Wolałbym, żeby pozostała pani przy „panu Noona-



nie". Słucha mnie pani?

- Z zapartym tchem.

- Pani szef jest stary, zbzikowany i na tyle otępiały, że wątpię, czy byłby w stanie samodzielnie rozegrać partię domina, a co dopiero mówić o występowaniu jako strona w sądzie. W zeszłym tygodniu dostał już po nosie, ale, jak widzę, niewiele go to nauczyło.

- Czy pan do czegoś zmierza?

— Owszem, więc proszę słuchać uważnie: jeśli jeszcze kiedyś spróbujecie czegoś w tym stylu, dopadnę tego stetryczalego fiuta i wepchnę mu tę jego maskę tak głęboko w dupę, że będzie mógł oddychać odbytnicą, a jeżeli pani będzie akurat gdzieś w pobliżu, posłużę się panią jak stemplem. Czy to jasne?

Oddychałem szybko, trochę zaskoczony i zde gustowany. Gdyby wcześniej ktoś mi powiedział, że będę zdolny do wygłoszenia takiej przemowy, popukałbym się w czoło.

- Jest pani tam jeszcze? - zapytałem, ponieważ milczenie przedłużało się w nieskończoność.

- Naturalnie. - Liczyłem na to, że będzie wściekła, ale w jej głosie usłyszałem tylko rozbawienie. - I komu teraz puściły nerwy, panie Noonan.

- Mnie. Dlatego radzę mieć się na baczności.

— A jak brzmi pańska odpowiedź?

- Zgadzam się. Zamykam gębę na kłódkę, odwołuję prawników, on znika z życia Mattie i Kyry. Jeśli jednak wciąż będzie...

- Wiem, wiem! Wdepcze go pan w ziemię. Ciekawa jestem, co będziesz miał do powiedzenia za tydzień, ty arogancki, głupi człowieczku.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć - zamierzałem poinformować ją, że nawet w najlepszych chwilach rzuca niewiele lepiej od dwunastoletniej dziewczynki - odłożyła słuchawkę.

Po kilku sekundach zrobiłem to samo. Czy to był podstęp? Miałem mieszane uczucia. John powinien jak najprędzej się o tym dowiedzieć. Co prawda nie zostawił na sekretarce numeru swoich rodziców, ale przecież miała go Mattie. Gdybym jednak do niej zadzwonił, musiałbym powiedzieć, co się stało. Chyba powinienem dać już sobie spokój z telefonami; za dużo tego jak na jeden wieczór. Może w nocy przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł.

Wepchnąłem rękę do kieszeni i mało jej sobie nie przebiłem nożem do mięsa. Zupełnie o nim zapomniałem. Wyjąłem go, zaniósłem do kuchni, wrzuciłem do szuflady, następnie wyjąłem z drugiej kieszeni mały aerosol, odwróciłem się, żeby odstawić go na miejsce, do jego większych braci... i zniechęciłem. Na drzwiach lodówki, w kółku ułożonym z magnesików, znajdował się następujący napis:

Piowo19n

Czyżbym to ja go ułożył? Czy to możliwe, żebym tak głęboko pograżył się w transie, że nieświadomie ułożyłem coś w rodzaju niedorobionej minikrzyżówki? A jeśli tak właśnie było, to co to mogło oznaczać?

Może to zrobił ktoś inny, pomyślałem. Któryś z moich niewidzialnych sublokatorów.

- Pionowo dziewiętnaście - powiedziałem, przesuwając palcami po literkach. A może „Dziewiętnaście pionowo”? Tak jak w krzyżówce. Hasła niekiedy brzmią właśnie w ten sposób: „Zobacz 19 poziomo” albo „Zobacz 19 pionowo”. No dobrze, ale do której krzyżówki to się odnosi?

- Przydałaby mi się pomoc - oznajmiłem, ale nie otrzymałem odpowiedzi, ani z przestrzeni astralnej, ani z wnętrza swojej głowy. Wreszcie wyjąłem z lodówki piwo, które obiecałem sobie już dawno temu, usiadłem na kanapie w salonie i wziąłem do ręki krzyżówkę, którą niedawno rozwiązywa-

łem. Aż roiło się w niej od głupawych haseł-żarcików, wywołujących uśmiech wyłącznie na ustach najbardziej uzależnionych krzyżówkowiczów. Wysokoprocentowy aktor? Marlon Brandy. Biblia hodowców ptaków? „Złapać drozda”. Hasło spod 19 pionowo brzmiało: „Pielęgniarka z Orientu”, czyli, co dobrze wie każdy krzyżówkowicz na świecie, amah. Żadnego związku ze mną i moim życiem, a przynajmniej żadnego, który zdołałbym dostrzec.

Na wszelki wypadek przejrzałem wszystkie krzyżówki w pisemku, wszędzie sprawdzając 19 pionowo. Narzędzie rzeźbiarza (dłuto). Armata z krótką lufą (haubica). Na przykład Hawaje (archipelag). Zirytowany, cisnąłem pisemko w kąt. Kto powiedział, że chodzi właśnie o to? W domu było ich jeszcze co najmniej pięćdziesiąt, po dwa lub trzy w każdej szufladzie i prawie na każdej wolnej półce. Położyłem głowę na oparciu i zamknąłem oczy. „

Zawsze lubiłem dziwki... Czasem to miejsce było na mojej twarzy.

To tutejszy odpowiednik miejskiego parku, gdzie potulne szczeniaki i krwiożercze brytany spacerują obok siebie. U nas nie ma miejskiego pijaczka. Robimy to na zmianę. To właśnie tam się stało.

Obudziłem się po trzech godzinach, ze sztywnym karkiem i potwornym pulsującym bólem z tyłu głowy. Gdzieś z daleka, z Białych Gór, dobiegały przytłumione odgłosy burzy, w domu było potwornie gorąco. Wstając z kanapy musiałem zdrowo się natężyć, żeby oderwać od niej mokre od potu dzinsy. Powoli, jak bardzo stary człowiek, poczłapałem do północnego skrzydła, wszedłem do łazienki, popatrzyłem na mokre rzeczy w wannie, pomyślałem, że warto byłoby zanieść je do pralni, ale natychmiast zrezygnowałem z tego zamiaru; czułem, że gdybym spróbował się schylić, głowa eks-

plodowałyby mi jak granat.

- Niech się tym zajmą duchy - wymamrotałem. - Skoro potrafią przewiesić pranie na suszarce, taka drobnostka jak zanieśnienie brudów do piwnicy nie powinna im sprawić żadnych problemów.

Połknąłem trzy pastylki tylenolu, zrzuciłem ubranie i zwałem się do łóżka. W nocy obudził mnie płacz dziecka.

- Przestań - powiedziałem. - Przestań, Ki. Nikt cię nie zabierze. Jesteś bezpieczna.

Zaraz potem znowu zasnąłem.

## Rozdział 19

Dzwonił telefon. Wypełzłem ku niemu z paskudnego, duszącego snu, wydostałem się w blask poranka, opuściłem stopy na podłogę i skrzywiłem się, ponieważ rana z tyłu głowy przypomniła o sobie pulsującym bólem. Byłem pewien, że, jak to zwykle się dzieje, telefon umilknie, zanim do niego dotrę, po czym położę się i bezproduktywnie spędzę dziesięć minut zastanawiając się, kto to mógł być, aż wreszcie dojdę do wniosku, że równie dobrze mogę wstać na dobre.

Drrr... drrr... drrr...

Dziesięć? Dwanaście sygnałów? Ktoś chyba miał ważny powód. Żywiłem nadzieję, że ten upór nie oznacza kłopotów, ale z doświadczenia wiedziałem, że prawie nikt nie wykazuje takiej determinacji, jeżeli ma do przekazania dobrą wiadomość. Ostrożnie dotknąłem tyłu głowy; ból nie ustępował, lecz był jakby płytszy niż poprzedniego dnia, a kiedy spojrziałem na palce, nie dostrzegłem na nich ani śladu krwi.

Poczłapałem do holu.

- Tak?

- No, wygląda na to, że masz z głowy zeznawanie w sądzie.

- Bili?

-Aha.

- Skąd wiesz... - Wystawiłem głowę za róg i spojrzałem na idiotyczny zegar z kotem. Dopiero dwadzieścia po siódmej, a już niezłe przygrzewa. Będzie gorąco jak w kuchence mikrofalowej, jak mawiamy w TR. - Skąd wiesz, że postanowił...

- Niczego nie wiem, bo nikt mi o niczym nie mówił- odparł z lekką urazą w głosie. - Ani on mnie nie pytał o zdanie,

ani ja nigdy nie dawałem mu żadnych rad.

- W takim razie, o co chodzi? Co się stało?

- Nie oglądałeś jeszcze telewizji?

- Jeszcze nawet nie zdążyłem wypić kawy.

Ani słowa przeprosin. Bili uważał, że ludzie, którzy po szóstej rano wylegują się w łóżkach, nie zasługują na żadne względy. Ja jednak zdążyłem już otrząsnąć się z resztek snu i nawet zacząłem się domyślać, co za chwilę usłyszę.

- Dziś w nocy Devore popełnił samobójstwo. Wszedł do wanny z gorącą wodą i założył sobie na głowę foliową torbę. Wątpię, żeby to długo trwało, biorąc pod uwagę, jakie miał płuca.

Ja też wątpię, pomyślałem. Mimo wysokiej temperatury, moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Kto go znalazł? Ona?

- Jasne.

- O której?

- Tuż po północy. Tak przynajmniej powiedzieli w wiadomościach.

Czyli mniej więcej wtedy, kiedy obudziłem się na kanapie i powędrowałem do łóżka.

- Jest o coś podejrzana?

- Chodzi ci o to, czy pomogła mu przenieść się na tamten świat? W telewizji nic o tym nie mówili. W okolicy pewnie już huczy od plotek, ale jeszcze nie wychodziłem z domu, więc nic do mnie nie dotarło. Nawet jeśli maczała w tym palce, to wątpię, czy cokolwiek jej zrobią. Bądź co bądź, miał osiemdziesiąt pięć lat i nie był okazem zdrowia.

- Pochowają go tutaj, w TR?

- Nie, w Kalifornii. Ogłosiła już, że uroczystości odbędą się we wtorek w Palm Springs.

Przez chwilę poczułem się trochę dziwnie na myśl, o tym,

że kiedy Kyra będzie w najlepsze bawiła się na dworze, przyczyna wszystkich jej kłopotów i kłopotów Mattie będzie leżała w pograżonej w nocnej ciszy kostnicy, wśród niezliczonych kwiatów. Na pewno szykuje się wielka uroczystość, pomyślałem. Nie wiem, jak to zorganizują w Palm Springs, ale tu, na Wasp Hill Road, zanosi się na nieliczne szaleństwo.

Po raz pierwszy w życiu poczułem radość i ulgę na wiadomość o czyjejś śmierci. Było mi nawet trochę głupio, ale nic nie mogłem na to poradzić. Drań usiłował utopić mnie w jeziorze, lecz jeszcze tej samej nocy właśnie on utonął w wannie z gorącą wodą w foliowej torebce na głowie.

- Skąd wiedzieli o tym w telewizji?

Siedem godzin, jakie upłynęły od znalezienia ciała do podania wiadomości, to nie było bardzo mało, ale dziennikarze telewizyjni dość często bywają zaskakująco leniwi.

- Whitmore do nich zadzwoniła, a o drugiej nad ranem zwołała konferencję prasową u Warringtonów. Odpowiadała na pytania siedząc na tej ogromnej pluszowej kanapie, tej, co to Jo o niej mówiła, że powinna być na obrazie w saloonie, z rozpartą nagą pięknoscia. Pamiętasz?

- Aha.

- Mignęło mi paru zastępców szeryfa i facet z Zakładu Pogrzebowego w Motton.

- Dziwne... - mruknąłem.

- Tak, wiem, co myślisz: nieboszczyk jeszcze ciepły na pięttrze, a na parterze panna Whitmore udziela wywiadów, ale twierdziła, że tylko wypełnia polecenia szefa. Podobno zostawił taśmę z nagraniem. Wyjaśnił, że postanowił zrobić to w piątek, żeby wiadomość o jego śmierci nie wpłynęła na notowania firmy na giełdzie, że firma ma się świetnie i że jego syn na pewno bez problemu dojdzie do porozumienia z radą nadzorczą. A potem zapowiedziała pogrzeb w Palm Springs.

- Więc popełnił samobójstwo, a parę godzin później zwołał z za grobu konferencję prasową, żeby uspokoić akcjonariuszy.

- Właśnie. To nawet do niego podobne.

Nie mogłem zebrać myśli. Najchętniej natychmiast poszedłbym na górę i wziął się do pracy, nie zważając na bolącą głowę. Chciałem czym prędzej dołączyć do Andy'ego Drake<sup>^</sup>, Johna Shackelforda i jego przyjaciela z dzieciństwa, okropnego Raya Garraty. Może moja opowieść była szalona, ale przynajmniej rozumiałem to szaleństwo.

- Bili - przerwałem przedłużające się milczenie - czy wciąż jesteście przyjaciółmi?

- Jasne, że tak - odparł natychmiast. - Ale chyba się nie zdziwisz, jeżeli ten czy ów będzie teraz patrzył na ciebie wilkiem?

No pewnie. Dla niektórych to ja będę odpowiedzialny za śmierć Devore'a. Kompletny idiotyzm, szczególnie biorąc pod uwagę stan jego zdrowia, i z pewnością większość ludzi skwituje takie gadanie wzruszeniem ramion, ale, szczególnie początkowo, niektórzy mogą wziąć je za dobrą monetę. Było to dla mnie równie oczywiste jak prawda o szkolnym koleźce Johna Shackelforda.

Posłuchajcie, dzieci: dawno, dawno temu, była sobie stara gęś, która na stare lata wróciła do miasteczka, gdzie się wykluła i mieszkała jako pisklę. Natychmiast zaczęła wszędzie składać złote jaja, co bardzo się podobało okolicznym mieszkańcom. Niestety, gęś trafiła do garnka, więc teraz trzeba zwalić na kogoś ciężar winy. Część spocznie na moich barkach, ale najwięcej z pewnością zwali się na Mattie, która miała czelność walczyć o swoje dziecko, zamiast potulnie oddać Ki i zapomnieć o sprawie.

- Byłoby dobrze, gdybyś przez parę tygodni nie rzucał



się ludziom w oczy- dodał Bili. - A już najlepiej, gdybyś na jakiś czas wyjechał z TR. Nie masz czegoś do załatwienia gdzieś indziej?

- Doceniam twoje dobre chęci, ale nie mogę wyjechać.

Piszę książkę. Jeśli się stąd teraz ruszę, być może nie zdołam jej dokończyć. Już kiedyś przydarzyło mi się coś takiego i nie chcę, żeby się powtórzyło.

- Forsę by diabli wzięli, co?

- Owszem, ale akurat nie o to chodzi. Powiedzmy, że ta książka jest dla mnie szczególnie ważna z zupełnie innych powodów.

- Nie przeżyłaby nawet podróży do Derry?

- Czyżbyś próbował się mnie pozbyć?

- Ja tylko próbuję cię ostrzec, to wszystko, i potem nie mów, że tego nie robiłem. Mikę, tutaj już niedługo zrobi się jak w ulu. Po okolicy krążą o tobie dwie historie: jedna, że po cichu spotykasz się z Mattie Devore, i druga, że przyjechałeś, żeby opisać najbardziej wstydliwe wydarzenia z przeszłości TR.

- Krótko mówiąc, żeby dokończyć to, co zaczęła Jo. Kto rozpowszechnia te historie, Bili?

Milczenie. Znowu znaleźliśmy się na grząskim gruncie, nawet jeszcze mniej pewnym niż poprzednio.

- Książka, nad którą pracuję, to powieść. Jej akcja dzieje się na Florydzie.

- Naprawdę?

Nigdy bym nie przypuszczał, że w trzech sylabach można zawrzeć tak wielką ulgę.

- Mógłbyś rozpowiedzieć o tym dokoła?

- Jasne, ale gdybyś szepnął słówko Brendzie Meserve, efekt będzie jeszcze lepszy.

- Zrobię to. Natomiast jeśli chodzi o Mattie...

- Mikę, nie musisz...

- Nie odwiedzam jej potajemnie i nigdy tego nie robiłem. Po prostu szedłem sobie ulicą, wyszedłem zza rogu i zobaczyłem, jak duży facet bije mniejszego. We wtorek w południe Mattie urządza przyjęcie. Zaprosiła swojego prawnika i mnie. Czy ludzie z miasteczka dojdą do wniosku, że świętujemy śmierć Devore'a?

- Niektórzy na pewno. Royce Merrill, Dickie Brooks, większość starych plotkarek.

- Pieprzę ich - poinformowałem go. - Wszystkich, co do jednego.

- Doskonale rozumiem, co czujesz, ale proszę cię, przekonaj ją, żeby nie prowokowała ludzi. - W głosie Billa zabrzmiał niemal błagalny ton. - Co jej szkodzi postawić grill nie przed przyczepą, tylko gdzieś z tyłu? Wtedy nawet jeśli ktoś spojrzy z warsztatu albo ze sklepu, zobaczy tylko dym, nic więcej.

- Przekażę twoją sugestię, a jeśli następnym razem to ja będę urządzał przyjęcie, na pewno nie będę się z tym afiszował.

- Zrobiłbyś najlepiej, gdybyś trzymał się z daleka od tych dwojga - powiedział Bili. - Pewnie zaraz mi powiesz, że to nie mój interes, ale mnie chodzi tylko o twoje dobro.

Przed oczami przemknęły mi stopklatki z mojego snu: wilgotna ciasnota jej wnętrza, nieduże piersi ze stwardniałymi sutkami, głos w ciemności, powtarzający, żebym robił wszystko, co zechcę. Moje ciało zareagowało niemal natychmiast.

- Wiem o tym - odparłem.

- To świetnie. - Chyba się ucieszył, że obyło się bez reprimendy. - W takim razie, zjedz spokojnie śniadanie.

- Dzięki za telefon.

- Podziękuj Yvette, bo to ona mnie namówiła. „Zawsze

lubiłeś Mike'a i Jo, więc teraz nie zostawiaj go na lodzie",  
tak mi powiedziała.

- Przekaż, że jestem jej bardzo wdzięczny.

Odłożyłem słuchawkę i jakiś czas z namysłem przyglądałem się aparatowi. Wyglądało na to, że znowu żyłem z Billem na dobrej stopie, ale chyba jednak nie byliśmy już przyjaciółmi. Przestaliśmy nimi być w chwili, kiedy się zorientowałem, że Bili okłamuje mnie w niektórych sprawach, o innych zaś nie mówi do końca, albo wtedy, kiedy się domyśliłem, jak chciał nazwać Sarę Laughs i Czerwonoczubych.

Nie można oceniać człowieka tylko na podstawie tego, co mogło być wytworem twojej wyobraźni.

To prawda... aleja i tak wiedziałem swoje.

Wszedłem do salonu, włączyłem telewizor, po czym niemal natychmiast go wyłączyłem. Dzięki antenie satelitarnej telewizor odbierał pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt kanałów, ale żadnego lokalnego. Na szczęście w kuchni stał mniejszy, przenośny odbiornik z anteną teleskopową; powinienem na nim złapać WMTW, lokalną podstację ABC nadającą dla zachodniego Maine.

Wziąłem ze stolika list od Rogette, przeszedłem do kuchni i włączyłem małego sony wepchniętego pod wiszące szafki obok ekspresu do kawy. Szło „Dzień Dobry Ameryko”, ale wkrótce powinna nastąpić przerwa na programy lokalne. Tymczasem zająłem się listem, tym razem koncentrując się raczej na jego tonie niż treści, która minionego wieczoru całkowicie pochłonęła moją uwagę.

Max zamierza niebawem wrócić swoim samolotem do Kalifornii, napisała.

Czekają tam na niego niecierpiące zwłoki interesy, napisała.

Jeśli da mu pan święty spokój, napisała.

Do cholery, przecież to był list samobójczy!

- Wiedziałaś - wyszeptalem. - Wiedziałaś, co się stanie, kiedy to pisałaś, a może nawet wtedy, kiedy rzucałaś we mnie kamieniami. Ale dlaczego?

Na barki tego, komu zostanie przyznane prawo do opieki nad dzieckiem, spadają liczne obowiązki. Byłoby dobrze, gdyby pan miał to na uwadze, napisała.

Ale przecież kwestia prawnego rozstrzygnięcia, kto będzie opiekunem Ki, przestała być istotna. Nawet przekupiony sędzia nie oddałby przecież dziecka pod opiekę nieboszczyka.

Wreszcie pojawiły się lokalne wiadomości, które rozpoczęto od informacji o śmierci Maksa Devore'a. Obraz nie był najlepszej jakości, ale bez większego trudu zobaczyłem rozłożystą pluszową kanapę, o której wspomniał Bili, i Rogette Whitmore siedzącą na niej z rękami splecionymi na podołku. Wydawało mi się, że wśród kręcących się w tle umundurowanych mężczyzn mignął mi George Footman, ale śnieżenie na ekranie było zbyt silne, żebym mógł stwierdzić to na pewno.

W ciągu minionych ośmiu miesięcy pan Devore często wspominał o możliwości odebrania sobie życia, mówiła Whitmore. Czuł się coraz gorzej. Minionego wieczoru poprosił, żeby towarzyszyła mu w spacerze, a teraz stało się dla niej jasne, że chciał po raz ostatni obejrzyć zachód słońca. To był wyjątkowo piękny zachód, dodała. Mogłem to potwierdzić; bądź co bądź, niewiele brakowało, żeby to był ostatni zachód słońca także w moim życiu.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy Rogette odczytywała oświadczenie Devore'a. W słuchawce usłyszałem głośne szlochanie.

- Wiadomości... - To była Mattie. - W telewizji... Wiedziałeś?... Wiesz?...

Nic więcej nie mogła wykrztusić. Powiedziałem, że wiem,

bo najpierw zadzwonił Bili Dean, a potem złapałem lokalny program. Wciąż spazmatycznie szlochała. W jej płaczu było wszystko: ulga, poczucie winy, przerażenie, nawet histeryczne rozbawienie. Zapytałem o Ki. Doskonale rozumiałem uczucia Mattie -jeszcze kilkanaście minut temu była przekonana, że Max Devore jest jej największym i najbardziej niebezpiecznym wrogiem, jakiego ma na świecie - niemniej wolałbym, żeby trzyletnia dziewczynka nie widziała matki w takim stanie.

- Jest n-n-na dworze - wyjąkała. - Zjadła śniadanie, a t-t-teraz urządza p-p-piknik dla lalek.

- To dobrze. W takim razie, ulżyj sobie. Do końca.

Płakała jeszcze co najmniej dwie minuty, może dłużej.

Stałem w narastającym upale ze słuchawką przyciśniętą do ucha i starałem się być cierpliwy.

Dam ci szansę na zbawienie duszy, powiedział mi Devore, ale już nie żył i licho wie, co się stało z jego duszą. On był martwy, Mattie była wolna, ja znowu byłem pisarzem. Powiniennem skakać z radości... ale jakoś nie mogłem.

Wreszcie zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą.

- Wybacz mi. Po raz ostatni rozplakałam się tak po śmierci Lance'a.

- Wcale ci się nie dziwię. Masz do tego święte prawo.

- Przyjedź na lunch. Proszę cię, Mikę. Ki idzie po południu do koleżanki, którą poznała w Szkółce Biblijnej, więc będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Ja muszę z kimś porozmawiać!... Boże, kręci mi się w głowie. Proszę cię, powiedz, że przyjdiesz.

- Bardzo bym chciał, ale to chyba nie najlepszy pomysł, szczególnie jeżeli mielibyśmy być sami.

Streściłem jej moją rozmowę z Billem. Słuchała uważnie, nie przerywając. Oczekiwałem wybuchu złości, może nawet

gniewu, ale zapomniałem, że Mattie Stanchfield Devore urodziła się w tej okolicy i doskonale wiedziała, jakie prawa rządzą tutaj życiem.

- Rozumiem, że rany zagoją się szybciej, jeśli będę chodziła ze spuszczonego wzrokiem złożonymi rękami, a siadając będę ścisnęła kolana, ale niech nie liczą na nic więcej - powiedziała. - Czy do nich naprawdę nie dociera, że ten staruch usiłował ukraść mi córkę?

- Do mnie to dociera.

- Wiem. Właśnie dlatego chciałam z tobą porozmawiać.

- A gdybyśmy umówili się na wczesną kolację w Castle Rock? Tam gdzie w piątek? Powiedzmy, około piątej.

- Musiałabym zabrać Ki...

- Świetnie, zabierz ją. Powiedz jej że znam na pamięć „Jasia i Małgosię” i że chętnie się z nią podzielę. Zadzwoń do Johna, żeby przekazać mu nowiny?

- Tak, ale zaczekam jeszcze jakąś godzinę. Boże, jaka jestem szczęśliwa! Wiem, że to nie w porządku, ale jestem taka szczęśliwa, że zaraz pękne!

- Ja czuję się tak samo. - W słuchawce zapadła cisza, którą po dłuższym czasie przerwało żalosne chlipnięcie. - Wszystko w porządku, Mattie?

- Tak, ale... Jak powiedzieć trzyletniej dziewczynce, że jej dziadek nie żyje?

Powiedz jej, że stary piernik poślizgnął się i wpadł w czarodziejskie zwierciadło, przemknęło mi przez głowę. Zaraz potem musiałem zasłonić usta ręką, żeby powstrzymać histeryczny chichot.

- Nie mam pojęcia, ale lepiej zrób to zaraz, jak wróci.

- Dlaczego?

- Bo zobaczy twoją twarz.

Wytrzymałem w gabinecie równo dwie godziny, po czym

uciekłem przed upałem; o dziesiątej termometr na werandzie wskazywał trzydzieści stopni. Podejrzywałem, że na piętrze jest o dobre pięć stopni więcej. Z nadzieją, że nie popełniam błędu, wyciągnąłem Wtyczkę z kontaktu i zniosłem maszynę na parter. Pracowałem bez koszuli; kiedy maszerowałem przez salon, z zielonym IBM przyciśniętym do brzucha, drań ześlizgnął się po mokrej od potu skórze i mało nie spadł mi na palce. To przypomniało mi o mojej kostce, którą zwichnąłem wpadając do jeziora. Odstawiłem zabytkowego grzmota i przyjrzałem się jej uważnie. Była zdumiewająco kolorowa (czarnofioletowa, z czerwonymi podbarwieniami na krawędziach siniaka), ale nawet nieszczególnie opuchnięta. Brak większej opuchlizny najprawdopodobniej zawdzięczałem temu, że stopa, a nawet ja cały, była dość długo zanurzona w chłodnej wodzie.

Postawiłem maszynę na stole na tarasie, wygrzebałem z jakiegoś kąta przedłużacz, cały czas będąc czujnie obserwowany przez Buntera, wetknąłem wtyczkę do kontaktu w salonie, wróciłem na taras, usiadłem i zapatrzyłem się na błękitnoszarą taflę jeziora. Czekałem na nawrót dawnych, dobrze znanych dolegliwości: skurcz żołądka, pulsowanie za oczami oraz najgorsze z możliwych, to znaczy wrażenie, że wokół mojej klatki piersiowej zaciskają się stalowe obręcze, uniemożliwiając oddychanie. Nic takiego się nie stało. Słowa spływały na papier równie łatwo jak na piętrze, nieśmiałe powiewy słabego wiatorku znad jeziora rozkosznie chłodziły mój nagi tors. Zapomniałem o Maksie Devore, Mattie Devore, Kyrze Devore. Zapomniałem o Jo Noonan i Sarze Tidwell. Zapomniałem o sobie. Przez dwie godziny byłem na Florydzie. Zbliżał się termin egzekucji Johna Shackelforda. Andy Drake ścigał się z czasem.

Do rzeczywistości przywrócił mnie dzwonek telefonu, ale

tym razem nie miałem mu tego za złe. Gdyby nie on, pisałbym tak długo, aż zostałaby ze mnie kupa cuchnącego, roztopionego łoju.

Dzwonił mój brat. Rozmawialiśmy o mamie - zdaniem Sidy'ego, brakowało jej już nie tylko jednej, ale wszystkich klepek - oraz o jej siostrze Francine, która w czerwcu zła mała kość biodrową. Sid chciał wiedzieć, jak mi leci, więc powiedziałem mu, że dobrze. Co prawda miałem trochę problemów z nową książką, ale teraz wszystko jest w porządku. (W mojej rodzinie rozmawia się o kłopotach dopiero wtedy, kiedy znikną). A co u niego? Wykopowe, odparł, co zapewne oznaczało, że dobrze. Sid ma dwunastoletniego syna, w związku z czym jest zawsze na bieżąco ze wszystkimi nowinkami językowymi. Firma rachunkowa, którą założył, stanęła pewnie na nogach, choć początkowo niewiele wskazywało na to, że tak będzie (oczywiście aż do tej pory nic o tym nie wiedziałem). Jest mi ogromnie wdzięczny za pożyczkę z listopada ubiegłego roku. Odparłem, że się cieszę, iż mogłem zrobić przynajmniej tyle, co zresztą było całkowitą prawdą, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę, o ile więcej czasu niż ja poświęcał naszej matce.

- Dobra, nie będę ci już zwracał głowy - powiedział Sidy, kiedy wymieniliśmy jeszcze trochę uprzejmości. Kiedy gadamy przez telefon, zawsze kończy rozmowę właśnie w ten sposób; nigdy nie zniżył się do banalnego „Cześć” albo „Do usłyszenia”. - Przygotuj sobie sporo lodu, Mike. W Weather Channel mówili, że w Nowej Anglii przez cały weekend będzie gorąco jak w piekle.

- Gdyby zrobiło się naprawdę źle, mam tuż obok jezioro. Słuchaj, Sid...

- Czego mam słuchać?

Zostało nam to z dzieciństwa. Takie nici, które łączą nas



z przeszłością, dodają otuchy, choć niekiedy splatają się w groźną pajęczynę.

- Nasza rodzina pochodzi z Prout's Neck, zgadza się?

Przynajmniej ze strony ojca.

Mama była z całkiem innego świata: takiego, gdzie mężczyźni noszą koszulki Lacoste'a, kobiety nigdy nie wychodzą z domu bez majtek prawie do kolan i gdzie wszyscy znają na pamięć drugą zwrotkę „Dixie”. Poznała ojca w Portland, podczas zawodów dziewczęcych zespołów zagrzewających do gry szkolne drużyny koszykarskie. Rodzina mamusi pochodzi z Memphis, kochanie, i byłoby dobrze, gdybyś o tym pamiętał.

- Chyba tak - odparł - ale jeśli liczysz na moją znajomość rodzinnego drzewa genealogicznego, to czeka cię spory zawód. Ja nawet nie wiem, czym się różni szwagierka od bratowej. Jo zresztą powiedziałem to samo.

- Naprawdę?

Wszystko we mnie zamarło, ale skłamałbym mówiąc, że byłem zaskoczony. Już nie.

- No jasne.

- A co chciała wiedzieć?

- Wszystko, co ja wiem, czyli niezbyt dużo. Mógłbym godzinami opowiadać tylko o praprapradziadku mamy, o tym, którego zabili Indianie, ale Jo nic nie obchodziła ta część rodziny.

- Kiedy to było?

- Czy to ważne?

- Kto wie...

- Dobra, zastanówmy się... Coś mi się wydaje, że mniej więcej wtedy, kiedy Patrickowi wycinali wyrostek robaczkowy. Tak, nawet na pewno. Luty 1994, może marzec, ale raczej luty.

Pół roku przed rozpalonym parkingiem przy supermarkecie. Jo wkraczała w cień śmierci jak ktoś, kto powoli znika w cieniu markizy. Wtedy jeszcze nie była w ciąży, za to bez przerwy jeździła do TR, zadawała pytania - często niedyskretne, jeśli wierzyć Billowi. Taaak... Kiedy dopadła czegoś, na czym jej zależało, zachowywała się jak terier. Czy wypytywała także o mężczyznę w brązowej marynarce?

- Pat był wtedy oczywiście w szpitalu. Doktor Alpert przysięgał, że wszystko jest w porządku, ale i tak aż podskoczyłem, kiedy zadzwonił telefon. Mało nie urwałem sznura, tak szybko złapałem słuchawkę. Byłem prawie pewien, że to doktor Alpert z informacją, że Pat miał jakiś atak, albo coś w tym rodzaju.

- Sid, na litość boską! Skąd to przeświadczenie o nieuchronnej katastrofie?

- Nie mam pojęcia, braciszku. Jest, i już. W każdym razie, okazało się, że to nie Alpert tylko Johanna. Chciała wiedzieć, czy jacyś nasi przodkowie, nawet trzy albo cztery pokolenia wstecz, mieszkali tam, gdzie ty teraz jesteś, albo gdzieś w pobliżu. Powiedziałem jej, że nie mam pojęcia, ale ty możesz coś wiedzieć na ten temat, a ona na to, że cię nie zapyta, bo to ma być niespodzianka. I co, była?

— Ogromna - odparłem. - Tata łowił homary...

- Co ty wygadujesz? Był „artystą ludowym”, mama nawet teraz tak o nim mówi.

Sid roześmiał się, ale niezbyt wesoło.

- Wiem, wiem. Kiedy był już za stary, żeby wypływać w morze, sprzedawał turystom różne duperele ze skorup homarów.

- Ja też to wiem, ale mama przygotowała na użytek publiczny inną, specjalnie zmontowaną wersję swojego małżeństwa.

To prawda. Nasza własna Blanche du Bois.

- Tata łowił homary w ProufsNeck...

- Nasz ojciec był znanym obieżyświatem - zanucił Sidy, straszliwie fałszując. - Niejeden wilk morski był dla niego bratem...

- Daj spokój, mówię poważnie. Łódź odziedziczył po swoim ojcu, prawda?

- Zgadza, się. „Leniwa Betty” Jacka Noonana, poprzedni właściciel Paul Noonan, też z Prout's Neck. W 1960 huragan Donna dał jej niezły wycisk.

Dwa lata po tym, jak przyszedłem na świat.

- A w 1963 tata wystawił ją na sprzedaż?

- Tak jest. Nie mam pojęcia, co się z nią później działo, ale na początku należała do dziadka Paula. Pamiętasz te cholerne zupy z homarów, które jedliśmy bez końca?

Jak każdy, kto wychował się na wybrzeżu Maine, nie wyobrażam sobie, żebym mógł zamówić w restauracji homara. W dzieciństwie zjadłem ich tyle, że wystarczy mi na kilka wcieleń. W tej chwili jednak myślałem nie o tym, lecz o dziadku Paulu, który urodził się w ostatniej dekadzie ubiegłego stulecia. Paul Noonan spłodził Jacka Noonana, Jack Noonan spłodził Mike'a i Sida Noonanów, i to było mniej więcej wszystko, co wiedziałem - może oprócz tego, że klan Noonanów pochodził z miejsca bardzo odległego od tego, w którym stałem teraz, spocony jak mysz w połogu.

Srali pod tym samym drzewem.

Devore'owi coś się pomyliło, i tyle. Ci z nas, którzy nie nosili koszulek Lacoste'a i nie przechadzali się po ulicach Memphis, łowili, sprzedawali i zjadali homary w Prout's Neck. Poza tym, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że pradziadek Devore'a i mój mieli ze sobą do czynienia; przecież staruch był ode mnie dwa razy starszy, co oznaczało, że w mi-

nionych pokoleniach również musiała występować znaczna różnica wieku.

Skoro jednak się mylił, to czego szukała Jo?

- Jesteś tam jeszcze, Mikę?

- Jasne.

- Wszystko w porządku? Masz jakiś dziwny głos.

- To przez ten upał - odparłem. - Poza tym, znowu dochodzi do głosu twoje przeświadczenie o nieuchronnej katastrofie. Dzięki za telefon, Sidy.

- Dzięki za to, że jesteś, braciszku.

Poszedłem do kuchni, żeby napić się wody. Kiedy napełniałem szklanke, usłyszałem odgłos przesuwających się magnesików. Odwróciłem się gwałtownie, przy okazji ochlapując się wodą, ale nawet tego nie zauważyłem. Byłem podniekscytowany jak dziecko, które ma nadzieję zobaczyć Świętego Mikołaja, zanim ten umknie zaprzężonymi w renifery saniami.

Przez ułamek sekundy widziałem dziewięć plastikowych literek tworzących napis CARLADEAN, po czym tuż obok mnie przemknęło... coś. Choć nawet jeden włos nie drgnął na głowie, poczułem gwałtowne pchnięcie, podobne trochę do tego, jakie czujemy stojąc blisko krawędzi peronu, obok którego przemyka pociąg. Zaskoczony, krzyknąłem coś i gwałtownie odstawiłem szklanke, rozlewając niemal jej całą zawartość. Zupełnie odechciało mi się pić - być może dlatego, że temperatura w kuchni spadła na łeb, na szyję.

Z ust buchały mi kłęby pary, zupełnie jak w mroźny styczniowy dzień. Nie trwało to długo - może trzy, może cztery oddechy - ale działa się naprawdę; w tym samym czasie warstwa potu na moim ciele zamieniła się w coś, co bardzo przypominało lodową skorupę.

CARLADEAN rozprysnęło się we wszystkie strony, ni-

czym rozbity atom w filmowej animacji. Kolorowe literki, owoce i warzywa posypały się na podłogę. Przez chwilę wydawało mi się, że czuję zapach tej wścieklej siły, która je rozrzucała. Jednocześnie usłyszałem cichy, ale wyraźny szept:

- Mikę, och, Mikę!

Był to głos, który już kiedyś usłyszałem z taśmy, i choć wtedy miałem wątpliwości, teraz nie pozostało po nich ani śladu: to był głos Jo.

Ale kim była druga... obecność? I dlaczego rozrzucała magnesyki?

Carla Dean. Nie żona Billa, bo ta miała na imię Yvette, tylko jego matka. Albo babka.

Schylłem się, pozbierałem z podłogi różnobarwne kawałki plastiku i umieściłem je z powrotem na drzwiach lodówki. Nic nie wyrwało mi ich z ręki, nic nie zmroziło mi lodowatym tchnieniem potu na karku, dzwonek Buntera milczał. Mimo to doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że nie jestem sam.

CARLADEAN. Jo chciała, żebym wiedział, ktoś inny (albo coś innego) nie chciał. Coś przemknęło obok mnie jak kula armatnia i rozsypało literki.

Jo była tutaj, podobnie jak chłopiec, którego płacz słyszałem w nocy.

Ale kto jeszcze?

Kto jeszcze mieszkał ze mną w moim domu?

## Rozdział 20

W pierwszej chwili ich nie zauważyłem, czemu trudno się dziwić, ponieważ można było odnieść wrażenie, że u schyłku tego parnego letniego popołudnia co najmniej połowa ludności Castle Rock znalazła się w parku miejskim. We wciąż jeszcze jasnym, ale jakby lekko przymglonym blasku dzieciaki szalały na huśtawkach i zjeżdżalniach, paru zaawansowanych wiekiem mężczyzn w jaskrawoczerwonych kamizelkach (przypuszczalnie świadczyły o przynależności do jakiegoś klubu) grało w szachy, kilkanaścioro młodych ludzi leżało na trawie słuchając nastolatka w opasce na włosach, grającego na gitarze i śpiewającego pogodną piosenkę, którą pamiętałem jeszcze ze starej płyty Lana i Sylvii:

Kiedy Ella Speed bawiła się w najlepsze,  
Zjawił się John Martin i wysadził ją w powietrze...

Nikt nie uprawiał joggingu, ani jeden pies nie uganiał się za plastikowym latającym talerzem. Było na to stanowczo za gorąco.

Właśnie odwracałem się, by popatrzeć na estradę, na której szykował się do występu ośmioosobowy zespół o nazwie „Rockersi” (przypuszczalnie utworem najbardziej zbliżonym do muzyki rockowej było w ich repertuarze „In the Mood”), kiedy ktoś raczej niewielkiego wzrostu wpadł na mnie od tyłu i złapał rączkami powyżej kolan, mało nie przewracając na trawę.

- Mam cię! - zapiszczał radosny głosik.

- Kyra, co ty wyrabiasz! - Mattie była chyba w takim samym stopniu rozbawiona, co zirytowana. - Przecież go przewrócisz!

Odwróciłem się, wypuściłem z rąk upstrzoną tłustymi plamami, papierową torbę od McDonalda'sa, schyliłem się

i wziąłem dziecko na ręce. Było to całkiem naturalne - i wspaniałe. Dopiero kiedy weźmiesz zdrowe dziecko na ręce, stwierdzasz ze zdziwieniem, że całkiem sporo waży, zaraz potem zaś czujesz jego energię życiową, pulsującą niczym nagi przewód pod napięciem. Nie popłakałem się („Nie bądź mazgaj!” - syczał do mnie wielokrotnie Sidy, kiedy wzruszałem się w kinie podczas bardziej ckliwych scen), ale owszem, pomyślałem o Jo i o dziecku, które nosiła w sobie, kiedy upadła na asfalt na tym idiotycznym parkingu.

Ki piszczała z uciechy, rączki miała szeroko rozłożone, zebrane w dwa końskie ogony włosy opadały jej na plecy.

- Nie łachotać zawodnika! - zawołałem z marsową miną, a ona, ku mojemu zachwytowi, natychmiast to podchwyciła:

- Nie gagotać wabodnika! Nie babotać zabownika!

Postawiłem ją na ziemi, a ona cofnęła się o krok, zawadziła piętą o kępkę trawy i z rozmachem siadła na zielonym dywanie, zaśmiewając się jeszcze głośniejsze. Przez głowę przemknęła mi paskudna myśl: jaka szkoda, że ten drań jej teraz nie widzi. Byłoby mu jeszcze ciężiej umierać.

Podeszła do nas Mattie. Wyglądała dziś prawie tak, jak wyobrażałem ją sobie tego dnia, kiedy się poznaliśmy: jak jedna z tych urodzonych w czepku, szczęśliwych młodych osób, które można spotkać w klubach golfowych albo w drogich restauracjach, z przyjaciółmi lub rodzicami. Miała na sobie białą sukienkę bez rękawów i pantofle na bardzo niskim obcasie, rozpuściła włosy, usta musnęła szminką. W jej oczach ujrzałem błyski, których wcześniej tam nie było. Objęła mnie mocno, a ja poczułem zapach perfum i dotyk nie-dużych jędrnych piersi.

Pocałowałem ją w policzek; zrewanżowała się mocnym cmoknięciem obok ucha; echo tego całusa dotarło aż do dol-

nej części kręgosłupa.

- Powiedz, że teraz wszystko będzie lepiej! - wyszeptała, wciąż mnie obejmując.

- Dużo lepiej.

Przytuliła się jeszcze mocniej, po czym odsunęła o krok.

- Ja mieć nadzieję, że ty duży chłop przynieść wielka masa jeść, bo my dwa bardzo wielki głodny kobieta. Zgadza się, Kyra?

- Nie bamotać wawownika! - zaśmiewała się mała.

- Chodź tutaj, brzdącu!

Złapałem ją wpół i zaniósłem do najbliższego stolika, nie zważając na piski i rozpaczliwe wierzgania. Posadziłem małą na ławeczce, ale ona natychmiast zsunęła się pod stolik, jakby zupełnie nie miała kości. Wciąż się śmiała.

- Kyro Elizabeth, przywołuję cię do porządku - powiedziała Mattie. - Usiądź spokojnie i pokaż się z lepszej strony.

- Jestem grzeczna, jestem grzeczna - wymamrotała Ki, wdrapała się na ławkę i usiadła obok mnie. Ja mam tylko lepsze strony, Mikę.

- Nie wątpię.

W torbie były dwa Big Maki dla mnie i Mattie, dla Ki zaś duże kolorowe pudełko z wizerunkiem Ronalda McDonalda i jego kompanów.

- Mattie, dostałam Happy Meal! Mikę kupił mi Happy Meal! W środku zawsze są zabawki!

- Zobaczymy, co tobie się trafiło.

Kyra otworzyła pudełko, pogrzebała w środku, po czym na jej twarzy rozkwitł rozanielony uśmiech. Wyjęła coś, co w pierwszej chwili wziąłem za ogromny kłęb kurzu i przez upiorną sekundę wydawało mi się, że jestem z powrotem w koszmarnym śnie, tym z Jo pod łóżkiem, z twarzą przykrytą książką. Oddaj to, parsknęła. To moja ścierka do ku-



rze. Przez głowę przemknęło mi coś jeszcze; może przebitka z innego snu? Uciekło, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć.

- Czy coś się stało, Mikę? - zapytała Mattie ze zdziwieniem... i chyba z troską.

- To piesek! - wykrzyknęła Ki. - Dostałam pieska! Oczywiście. Mały pluszowy piesek, w dodatku szary, nie czarny... Chociaż niby dlaczego miałyby mnie obchodzić jego kolor?

- Bardzo ładny.

Wziąłem go do ręki. Był miękki i rzeczywiście szary, czyli w porządku. Ta szarość nastawiła mnie do niego życzliwie. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale tak właśnie było. Uśmiechnąłem się i oddałem jej zwierzaka.

- Jak on ma na imię? - zapytała, wędrując nim po pudełku. - Mikę, jak piesek ma na imię?

- Strickland - odparłem bez zastanowienia.

Myślałem, że się zdziwi, ale Ki była zachwycona.

- Stricken! - wykrzyknęła. Piesek wyczyniał coraz dziksze podskoki. - Stricken, Stricken! Mój piesek nazywa się Stricken!

- Kto to był Strickland? - zapytała uśmiechnięta Mattie i zaczęła rozpakowywać hamburgery.

- Postać z książki, którą kiedyś czytałem - odparłem, nie spuszczać Ki z oczu. - Nikt prawdziwy.

- Mój dziadek umarł - powiedziała pięć minut później.

Wciąż siedzieliśmy przy stoliku, ale uczta już prawie dobiegła końca. Strickland stał na straży nielicznych już frytek, ja zaś patrzyłem na przechodzących ludzi i zastanawiałem się, jak wielu z nich przyjechało z TR i teraz nie może się doczekać powrotu, żeby jak najprędzej przekazać nowinę o naszym spotkaniu. Nie zauważyłem nikogo znajomego, co jednak o niczym nie świadczyło, biorąc pod uwagę fakt, jak

długo nie pokazywałem się w tej części świata.

Mattie odłożyła reszkę hamburgera i z niepokojem przyjrzała się córeczce, ale ja nie widziałem powodu do niepokoju; mała nie rozpaczała, tylko przekazywała informację.

- Wiem - odparłem.

- Dziadek był okropnie stary. - Zgarnęła garść frytek, podniosła do buzi... i frytki zniknęły. Wszystkie naraz. - Teraz jest z Panem Jezusem. Uczyliśmy się o Panu Jezusie w Szkółce Biblijnej.

Tak, kochanie, pomyślałem. Twój dziadek uczy pewnie Pana Jezusa obsługi jakiegoś programu i pyta go, gdzie by tu można znaleźć dziwkę.

- Pan Jezus chodził po wodzie... i zamienił wino w ciasteczka...

- Coś w tym rodzaju. To smutne, kiedy ludzie umierają, prawda?

- Byłoby smutno, jakby Mattie umarła, albo jakbyś ty umarł, ale dziadek był stary. - Powiedziała to takim tonem, jakby uznała, że nie zrozumiałem jej za pierwszym razem. - W niebie już na niego czekali.

- Patrzysz na te sprawy w bardzo rozsądny sposób, małeńka.

Mattie poprawiła Kyrze nieco poluzowane zapinki we włosach. Robiła to uważnie i czule; zdawała się jaśnieć w przygasającym blasku dnia -jej skóra kontrastowała z białą sukienką, którą zapewne kupiła na wyprzedaży w jakimś supermarkecie, a ja zrozumiałem, że ją kocham. Może to było w porządku.

- Ale\* tęsknię za siwą nianią - dodała Kyra, tym razem z autentycznym smutkiem. Wzięła w rączki pluszowego pieska, spróbowała nakarmić go frytką, po czym odstawiła na

stół. W jej zadumanej twarzyczce dostrzegłem ślad podobieństwa do dziadka - co prawda niewielki, ukryty, ale jednak obecny. Jeszcze jeden duch. - Mamusia powiedziała, że siwa niania poleciała do Kalifornii z poczesnymi szczątkami dziadka.

- Doczesnymi, ptaszku - poprawiła ją Mattie. - To znaczy z jego ciałem.

- Ale wróci i przyjdzie do mnie, prawda, Mike?

- Nie wiem.

Zasmuciła się jeszcze bardziej.

- Bawiłyśmy się w rymowanki.

- Twoja mama mówiła mi o tym.

- Ona nie wróci - stwierdziła stanowczo Ki, i wielka łza spłynęła po jej policzku. Ponownie sięgnęła po Strickena, przez chwilę podtrzymywała go w pozycji stojącej, na tylnych łapach, po czym ułożyła na „czuwaj”. Chyba nawet nie zauważyła, że Mattie objęła ją delikatnie. - Siwa niania wcale mnie nie lubiła. Tylko udawała, że mnie lubi. To była jej praca.

Mattie i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytałem.

- Nie wiem. - W pobliżu gitarzysty pojawił się człowiek z pomalowaną na biało twarzą i zaczął zonglować kilkoma różnokolorowymi piłkami. Kyra trochę się rozpogodziła. - Mamusiu, czy mogę pójść popatrzeć na tego pana?

- A zjadłaś już?

-Aha.

- W takim razie, podziękuj Mike'owi.

- Nie bobotać zabownika! - powiedziała, ale zaraz roześmiała się, aby nikt nie miał wątpliwości, że tylko żartuje. - Dzięki, Mike.

- Bardzo proszę - odparłem, ale uznałem, że zabrzmiało

to straszliwie staroświecko, więc dorzuciłem od niechcienia: -

Mam nadzieję, że było wykopowo,

- Wolno ci dojść tylko do tego drzewa - pouczyła ją

Mattie. - Chyba wiesz, dlaczego?

- Tak. Żebyś mogła mnie widzieć.

Złapała Stricklanda i puściła się biegiem, ale po kilku krokach stanęła i spojrzała na mnie przez ramię.

- Wiem to od ludzi z lodówki - powiedziała, po czym zaraz się poprawiła: - Od ludzi z lodówki.

Serce na chwilę zamarło mi w piersi.

- A co takiego ci powiedzieli?

- Że siwa niania wcale mnie nie lubi.

Odwróciła się i popędziła w podskokach, ani trochę nie przejmując się upałem.

Mattie odprowadziła ją wzrokiem, po czym spojrzała na mnie.

- Nikomu nie mówiłam o jej „ludziach z lodówki”. Ona zresztą też, aż do teraz. Tam oczywiście nie ma żadnych ludzi, ale literki na drzwiach przesuwają się same, jak talerzyk na stoliku podczas wywoływania duchów.

- Tworzą jakieś napisy?

Z ociąganiem skinęła głową.

- Czasem. - Milczała przez parę sekund. - To znaczy, prawie zawsze - przyznała wreszcie niechętnie. - Ki mówi za każdym razem, że przyszła poczta od ludzi z lodówki. -

Uśmiechnęła się, ale w oczach miała niepokój. - Myślisz, że to jakieś specjalne literki, czy że nawiedzają nas duchy?

- Nie mam pojęcia. Przykro mi, że je przyniosłem, skoro teraz są z nimi problemy.

- Nie wygłupiaj się. Dostała je od ciebie, a ostatnio poza tobą prawie nikt dla niej nie istnieje. Znacznie bardziej niż śmiercią dziadka przejmowała się dzisiaj tym, żeby ładnie się

ubrać. Uparła się, żebym ja też włożyła coś porządnego. Zazwyczaj nie zachowuje się w ten sposób: akceptuje prawie wszystkich, ale przestaje się nimi zajmować natychmiast, jak tylko znikną z horyzontu. Wydaje mi się, że to chyba dobrze.

- Obie wyglądacie bardzo ładnie - zapewniłem ją.

- Dzięki. - Ki stała przy drzewie, zapatrzona w żonglera, który właśnie odłożył piłki i sięgnął po maczugi. - Skończyliśmy już?

Skinąłem głową. Mattie zaczęła zbierać do torby puste naczynia. Podawałem jej zatłuszczone opakowania; kiedy nasze palce zetknęły się, chwyciła mnie mocno za rękę.

- Dziękuję - wyszeptwała. - Dziękuję za wszystko, co dla nas zrobiłeś.

Odwzajemniłem się takim samym uściskiem, po czym cofnąłem rękę.

- Wiesz, przyszło mi do głowy, że być może Kyra sama przesuwa literki. Wiesz, siłą woli.

- Telekineza?

- Tak to się chyba fachowo nazywa. Problem tylko w tym, że na razie potrafi napisać „las" i „kot".

- A co pojawia się na lodówce?

- Zazwyczaj imiona. Raz było nawet twoje, a raz twojej żony.

- Jo?

- Johanna. I „niania". Zapewne chodziło o Rogette. Od czasu do czasu pojawiają się też Jared i Bridgett, zazwyczaj jednocześnie. Raz był też Kito.

Przeliterowała.

- Kito... - powtórzyłem z namysłem. Kyra, Kia, Kito... Co to może być? - Brzmi jak chłopięce imię, nie sądzisz?

- Bo to jest chłopięce imię. W swahili oznacza ukochane dziecko. Wiem, bo sprawdziłam w kalendarzu z imiona-

mi.

Zerknęła na swoje ukochane dziecko. Szliśmy w kierunku najbliższego pojemnika na śmieci.

- Co jeszcze?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Reg, może ze dwa razy. Raz była też Carla. Najzabawniejsze, że Kyra zazwyczaj nie potrafiła ich przeczytać.

- Nie przyszło ci do głowy, że może je układać na wzór tego, co znalazła w książce albo jakimś czasopiśmie? Że używa literek z magnesikami zamiast ołówka i papieru?

- Tak, to rzeczywiście możliwe...

Nie wyglądała jednak na przekonaną, i chyba słusznie, bo ja też nie wierzyłem w tę teorię.

- Rozumiem, że nigdy nie widziałaś, jak litery same przesuwają się na drzwiach lodówki? - zapytałem najbardziej obojętnym tonem, na jaki byłem w stanie się zdobyć.

Zaśmiała się nerwowo.

- Jasne, że nie!

- Pojawiają się tylko imiona?

- Nie. Czasem jakieś „cześć”, albo „do widzenia”, albo „grzeczna dziewczynka”. Wczoraj pokazało się coś dziwnego. Zapisałam, żeby ci pokazać. Kyra mnie poprosiła. To naprawdę niezwykle.

- Co takiego?

- Wolałabym ci pokazać, ale zostawiłam kartkę w samochodzie. Przypomnij mi później.

Mogła być o to spokojna.

- Tajemnicza sprawa, senor - westchnęła. - Tak samo jak to pisanie w rozsypanej mące.

Otwierałem już usta, by jej powiedzieć, że ja też mam swoich „ludzi z dolówki”, ale ugryzłem się w język. I bez tego miała dość powodów do niepokoju. W każdym razie, tak

mi się wydawało.

Staliśmy obok siebie, obserwując Ki, która nie odrywała wzroku od żonglera.

- Dzwoniłaś do Johna? - zapytałem po dłuższej chwili.

- No pewnie.

- Jak zareagował?

Odwrociła się do mnie z uśmiechem nie tylko na ustach, ale również w oczach.

- Zaśpiewał coś o tym, że wszystkie leśne zwierzątka cieszą się ze śmierci złej czarownicy.

- Płeć może nie ta, ale radość jak najbardziej słuszna.

Skinęła głową i przeniosła spojrzenie z powrotem na Ky-rę. Nie mogłem oderwać od niej wzroku: szczupła, w cienkiej białej sukience, ze spokojną, szczęśliwą twarzą, wyglądała przepięknie.

- Wściekł się na mnie za to, że wprosiłem się na lunch?

- Skądże znowu! Ucieszył się, że będzie przyjęcie.

Szybko malałem w swoich oczach.

- Zaproponował nawet, żebyśmy zaprosili twojego prawnika, pana Bissonette, i prywatnego detektywa, którego John zatrudnił z jego polecenia. Masz coś przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. A co z tobą, Mattie? Wszystko w porządku?

- Wszystko w porządku - odparła i spojrzała mi w oczy. Jej twarz już nie była tak spokojna jak jeszcze przed chwilą.

- Dzisiaj odebrałam sporo telefonów. Nagle stałam się bardzo popularna.

- Naprawdę?

- W większości to były głuche telefony, ale jakiś dżentelmen zadał sobie trud, żeby nazwać mnie odrażającą cipą, a pewna starsza pani mówiąca z bardzo silnym jankeskim akcentem wywrzeszczała: „Więc jednak zabiłaś go, ty suko!

"I co, jesteś szczęśliwa?" Niestety, odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam jej powiedzieć, jak bardzo.

W tej chwili Mattie wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Wręcz przeciwnie: była przygnębiona, a na twarzy miała wypisane poczucie winy, jakby rzeczywiście go zabiła.

- Przykro mi.

- To głupstwo. Naprawdę. Od dawna jesteśmy same, a ja prawie przez cały ten czas czegoś się bałam. Teraz przynajmniej mam kilku przyjaciół. Jeśli jedyną ceną, jaką muszę za to zapłacić, jest parę anonimowych telefonów, to nie widzę żadnego problemu.

Stała bardzo blisko, patrzyłam prosto w oczy, a ja nie zdołałam się opanować. Winą obarczam lato, zapach jej perfum oraz fakt, że od czterech lat nie miałem kobiety - właśnie w tej kolejności. Objąłem ją obiema rękami w talii... Do dziś doskonale pamiętam fakturę materiału i niewielkie zgrubienie z tyłu, tam gdzie był wszyty suwak. Pamiętam, jak materiał przesuwiał się po jej ciele. A potem ją pocałowałem - delikatnie, ale bez pośpiechu, bo przecież jeśli już coś się robi, to powinno się to robić porządnie. Odpowiedziała mi w taki sam sposób. Usta miała lekko zdziwione, ale nie przestraszone. Wargi smakowały aromatyczną słodyczą - całkiem możliwe, że brzoskwinia.

Przerwaliśmy jednocześnie i odsunęliśmy się nieco od siebie, ale jej ręce wciąż spoczywały na moich barkach, moje zaś na jej talii, tuż nad biodrami. Twarz miała opanowaną, za to oczy lśniły jak nigdy, na policzkach zaś pojawiły się rumieńce.

- O rety! - westchnęła. - Ale mi tego brakowało! Miałam na to ochotę od chwili, kiedy cię dzisiaj zobaczyłam.

- John chyba by nas nie pochwalił za to, że całujemy się w miejscu publicznym. - Drżał mi głos, serce łomotało



w straceńczym tempie. Proszę bardzo: jeden siedmiosekundowy pocałunek i organizm odmawia posłuszeństwa. -

Szczerze mówiąc, nie pochwaliby nas nawet wtedy, gdybyśmy robili to w najciemniejszym kącie. Podobasz mu się.

- Wiem, ale mnie ty się podobasz, nie on.

Odwróciła się w stronę Ki, która nadal stała posłuszenie przy drzewie i obserwowała żonglera. Ciekawe, kto nas obserwował? Ktoś, kto w upalny letni wieczór przyjechał z TR na lody, a także posłuchać trochę muzyki i pogapić się na ludzi? Ktoś, kto codziennie przychodzi do sklepu Lakeview po świeże warzywa i świeże ploteczki? Stały bywalec warsztatu U Dicka? Nasze zachowanie można było określić wyłącznie jako szaleństwo, bez względu na to, z której strony by mu się przyglądać.

Cofnąłem ręce.

- Mattie, w ilustrowanym słowniku języka angielskiego nasze zdjęcie mogłoby się znaleźć obok rzeczownika „nierozwaga”.

Ona także zdjęła dłonie z moich barków i cofnęła się o krok.

- Wiem o tym. Jestem młoda, ale nie zupełnie głupia.

- Nie miałem...

Uciszyła mnie ruchem ręki.

- Ki chodzi spać około dziewiątej. Nie może zasnąć dopóki jest widno. Ja kładę się znacznie później. Przyjedź do mnie, jeśli masz ochotę. Możesz zostawić samochód za przyczepą. - Uśmiechnęła się leciutko, ale bez cienia złośliwości. To był najbardziej seksowny uśmiech, jaki kiedykolwiek widziałem. - Jak zajdzie księżyc, robi się tam całkiem ciemno.

- Mattie, mogłabyś być moją córką...

- Być może, ale nią nie jestem. Ludzie czasem tak bardzo chcą być rozważni, że postępują wbrew sobie.

## Rozdział 21

Moje ciało nie miało najmniejszego zamiaru postępować wbrew sobie. Gdybyśmy byli teraz w jej przyczepie, chyba nie zdołałbym nad sobą zapanować. Nawet teraz przyszło mi to z najwyższym trudem. Niespodziewanie przypomniałem sobie to, co powiedziałem o przodkach Devore'a i moich: pokolenia nie pasowały do siebie. Tutaj mieliśmy do czynienia z tym samym. Nie wierzę, że ludzie mają prawo do wszystkiego, czego zapragną, nawet jeśli pragną tego bardzo mocno. Nie każde pragnienie musi zostać zaspokojone. Chodzi mi chyba o to, że pewne rzeczy są po prostu niewłaściwe, ale wcale nie byłem pewien, czy ta właśnie do nich należy, a bardzo pragnąłem Mattie, i tyle. Wciąż wracałem myślą do chwili, kiedy objąłem ją w talii, a cienki materiał sukienki przesunął się po jej ciele. Poza tym, nie była moją córką.

- Już mi podziękowałaś - powiedziałem schrypniętym głosem. - To wystarczy. Naprawdę.

- Myślisz, że chodzi o wdzięczność? Nie masz osiemdziesięciu lat, tylko czterdzieści. Co prawda nie jesteś też Harrisonem Fordem, ale prezentujesz się bez zarzutu, a do tego jesteś utalentowany i interesujący. A ja bardzo cię lubię. Chcę, żebyś był ze mną. Mam cię poprosić? Nie ma sprawy. Proszę, bądź ze mną.

Tak, to było coś znacznie więcej niż wdzięczność. Zdałem sobie z tego sprawę od samego początku. Wiedziałem, że kiedy dzwoniła do mnie w dniu, w którym wróciłem do pracy, miała na sobie białe szorty i kusą bluzeczkę pełniącą również funkcję biustonosza. Czy ona też wiedziała, jak byłem ubrany? Czy jej także śniło się, że pieprzymy się jak szaleni przy akompaniamencie gitarowej rymowanki Sa-

ry Tidwell? Czy w jej śnie również powiedziała mi, żebym robił wszystko, co zechcę?

Oprócz tego byli też ludzie z dolówki. Oni także nas łączyli, chyba nawet w jeszcze bardziej niesamowity sposób. Nie odważyłem się opowiedzieć jej o moich, ale całkiem możliwe, że głęboko w podświadomości wiedziała o nich, tam, gdzie uwijały się jej ludziki w błękitnych kołnierzykach. Wspólnie z moimi należeli do tego samego, przedziwnego związku zawodowego. A może problem, który roztrząsałem, wcale nie był wyłącznie problemem moralnym? W tej historii, ba, w nas samych, było coś groźnego.

I niesamowicie atrakcyjnego.

- Muszę to sobie przemyśleć - powiedziałem.

- Tu nie chodzi o to, co myślisz, ale o to, co czujesz. Właśnie: co do mnie czujesz?

- Coś, co aż mnie przeraża.

Nim zdążyłem cokolwiek dodać, do moich uszu dotarły znajome akordy. Spojrzałem na chłopaka z gitarą. Jeszcze niedawno maltretował wczesnego Dylana, teraz jednak znacznie przyspieszył tempo i grał coś, co prowokowało do tego, by zacząć klaskać i kołysać się w rytmie muzyki.

Chciałbyś coś złowić, kochanie,

W mojej cienistej zatoczce?

Czy chciałbyś coś złowić, kochanie,

W zatoczce cienistej mej?

Postaraj się dobrze, kochanie,

Bo kij musisz mieć długi, że hej!

„Wędkarski blues”. Napisany przez Sarę Tidwell, po raz pierwszy wykonany przez Sarę i Czerwonoczubych, później trafił do repertuaru dziesiątków zespołów i solistów. Specjalizowała się w lekko świńtuszających tekstach i aluzjach tak cienkich, że można by przeczytać przez nie gazetę... choć chy-

ba sama niezbyt często czytała, sądząc po jakości jej rymowanek.

Zanim chłopak zdążył zacząć drugą zwrotkę - jest tam coś o zarzucaniu przynęty i długim czerwonym robaku, który wije się zachęcająco - Rockersi załomotali, zadudnili i zatrąbili ze wszystkich sił, by zwrócić na siebie uwagę. Chłopak odłożył gitarę, zongler wyłapał maczugi i błyskawicznie ułożył je rzędkiem na trawie, zespół natomiast zaczął wyrąbywać sobie drogę przez jakiś okropnie hałaśliwy marsz, przy którym znakomicie popełniałoby się seryjne morderstwa.

Chwilę potem przybiegła Kyra.

- Zongler już skończył. Opowiesz mi teraz bajkę? Tę o Jasiu i Magosiu?

- O Jasiu i Małgosi. Bardzo chętnie, ale może chodźmy gdzieś, gdzie nie jest tak głośno, dobrze? Od tej muzyki rozboleła mnie głowa.

- Muzyka pobiła cię po głowie?

- Coś w tym rodzaju,

- Pójdziemy tam, gdzie stoi samochód Mattie?

- Dobry pomysł.

Kyra pobiegła przodem, by poszukać wolnej ławki na obrzeżu parku, Mattie zaś obdarzyła mnie przeciągłym ciepłym spojrzeniem, po czym wyciągnęła rękę. Wziąłem ją w swoją. Nasze palce splotły się, jakby robiły to od lat. Chciałbym, żeby to działa się powoli, pomyślałem. Żebyśmy prawie się nie poruszali, przynajmniej na początku. Może być pewna, że przyniosę najlepszą, najdłuższą wędkę. A potem porozmawiamy. Kto wie, być może będziemy rozmawiać aż do świtu. Kiedy jesteś w łóżku z kimś, kogo kochasz, szczególnie jeśli to wasz pierwszy raz, piąta rano to wspaniała pora.

- Chyba powinienes trochę odpocząć od swoich myśli - powiedziała Mattie. - Założę się, że prawie wszyscy pisarze

robią czasem coś takiego.

- Chyba masz rację.

- Żałuję, że nie jesteśmy w domu - ciągnęła. Nie miałem pojęcia, czy żar w jej głosie jest autentyczny, czy udawany. - Całowałabym cię tak, że cała ta rozmowa straciłaby sens, a nawet gdyby dalej dręczyły cię wątpliwości, to przynajmniej byłyby razem z nami w łóżku.

Spojrzałem jej w twarz oświetloną czerwonym blaskiem gasnącego słońca.

- O tej porze Ki jeszcze nie śpi.

- To prawda - przyznała z zaskakującą melancholią. -  
To prawda.

Kyra dopadła ławki w pobliżu tabliczki z napisem PARKING OGÓLNODOSTĘPNY i wspięła się na nią, ścisnąc w jednej ręczce pluszowego pieska. Spróbowałem cofnąć rękę, ale Mattie nie zwolniła uścisku.

- Wszystko w porządku, Mikę. W Wakacyjnej Szkółce Biblijnej dzieci przy każdej okazji trzymają się z przyjaciółmi za rękę. To dorośli robią z tego wielki problem. - Zatrzymała się i spojrzała na mnie. - Chcę, żebyś o czymś wiedział. Może dla ciebie to bez znaczenia, ale dla mnie to bardzo ważna sprawa. Przed Lance'em i po nim nie było nikogo. Jeśli przyjdiesz, będziesz moim drugim mężczyzną. Więcej tego nie powtórzę. Mogłam cię prosić, ale na pewno nie będę błagać.

- Nawet przez myśl mi...

- Na schodkach stoi skrzynka z rozsadammi pomidorów. Klucz będzie pod nią. Nie myśl, tylko po prostu przyjdź.

- Nie dzisiaj, Mattie. Nie mogę.

- Możesz.

- Pospieszcie się, grzebuły! - zawołała Kyra z ławki.

- To on się grzebie! - odskrzyknęła Mattie i poczęstowała mnie sójką w żebra. - I to jak! - dodała półgłosem wyłącz-

nie na mój użytek, puściła moją rękę i pobiegła do córki, a jej opalone nogi śmigały pod rozfurkotanym woalem białej sukienki.

W mojej wersji „Jasia i Małgosi” zła czarownica nazywa się Deprawia. Kiedy dotarłem do sceny, w której Deprawia każe Jasiowi wysunąć palec z klatki, żeby sprawdzić, czy już wystarczająco przytył, oczy dziewczynki zrobiły się wielkie jak spodki.

- Może to zbyt straszne? - zapytałem.

Energicznie pokręciła główką, ale na wszelki wypadek spojrzałem pytająco na Mattie. Skinęła ręką, więc dokończyłem bajkę. Deprawia trafiła do pieca, Małgosia odnalazła ukryte pod kamieniem kupony Lotto z prawidłowo skreślonymi wszystkimi liczbami, dzieci zamieszkały na wschodnim brzegu jeziora Dark Score, kupiły sobie skuter wodny i żyły długo i szczęśliwie. Kiedy dotarłem do końca, Rockersi demolowali Gershwinę, a zachód słońca był tuż-tuż. Zaniósłem Kyrę do jeepa, posadziłem w foteliku, zapiąłem pasami. Oczywiście przypomniałem sobie muśnięcie piersi Mattie, kiedy wsadzałem małą do samochodu pierwszego dnia naszej znajomości.

- Mam nadzieję, że nie będziesz miała przeze mnie złych snów.

Na dobrą sprawę dopiero teraz uświadomiłem sobie, jak okropna jest to bajka.

- Nie będę - odparła rzeczowym tonem. - Ludzie z lodówki odgonią je daleko. To znaczy, z lodówki. - Odwróciła się do Mattie. - Mamusiu, pokaż mu tę kyzówkę.

- Krzyżówkę, kochanie. Dziękuję, że mi przypomniałaś.

- Mattie otworzyła schowek po stronie pasażera i wyjęła złożoną na pół kartkę. - Dziś rano znalazłyśmy ten napis na lodówce. Przepisałam go, bo Ki była pewna, że ty go zrozu-

miesz. Powiedziała, że rozwiązujesz krzyżówki... to znaczy, krzyżówki, ale domyśliłam się, o co jej chodzi.

Czy kiedykolwiek mówiłem Kyrze, że rozwiązuję krzyżówki? Prawie na pewno nie. Czy zaskoczyła mnie jej wiedza? Ani trochę. Wziąłem od Mattie kartkę, rozłożyłem ją i przeczytałem:

P

ion

90dwa

owo

- Czy to krzyżówka, Mike? - zapytała Kyra.

- Raczej rebus, i to niezbyt skomplikowany, ale na razie nie wiem, co znaczy. Mogę to zatrzymać?

- Jasne - powiedziała Mattie.

Wziąłem ją za rękę i odprowadziłem do drzwi kierowcy.

- Daj mi trochę czasu do namysłu. Wiem, że to powinna powiedzieć dziewczyna, ale...

- Zgoda. Tylko nie namyślaj się za długo.

Najgorsze było to, że wcale nie chciałem się namyślać.

Wiedziałem, że seks z Mattie będzie cudownym przeżyciem, ale co potem? Wiedziałem również, że to „potem” wcale nie jest nierealne. Trochę mnie to przerażało, a trochę cieszyło.

Pocałowałem ją w kącik ust, a ona roześmiała się i wytargała mnie za ucho.

- Wiem, że stać cię na więcej... - zerknęła na Ki, która przyglądała się nam z zainteresowaniem - ...ale tym razem ci daruję.

- Buzi! - zażądała stanowczo mała, w związku z czym musiałem jeszcze raz obejść samochód, by spełnić jej życzenie. W drodze powrotnej do domu zaświtała mi myśl, że mógłbym być ojcem Kyrzy Devore. Pomysł spodobał mi się co najmniej tak samo jak perspektywa pójścia do łóżka z jej

matką, co najlepiej świadczy o tym, jak bardzo się zaangażowałem...

I o ile bardziej byłem jeszcze gotów się zaangażować.

Po tym, jak trzymałem Mattie w ramionach, Sara Laughs wydała mi się bardzo pusta, niczym śpiąca głowa bez snów. Literki na lodówce nie tworzyły żadnego napisu. Wziąłem piwo i wyszedłem z nim na taras, by obejrzeć końcówkę zachodu słońca. Próbowałem myśleć o ludziach z lodówki i fragmentach krzyżówek, które pojawiły się na obu chłodziarkach: „19 pionowo” przy drodze numer 42 i „92 pionowo” przy Wasp Hill Road. Współrzędne jakiegoś miejsca? Określone punkty na Dróżce? Cholera wie.

Próbowałem myśleć o Johnie Storrowie i o tym, jaki będzie zawiedziony, kiedy się dowie, że (by zacytować Sarę Laughs, która ukuła to powiedzenie na długo przed Johnem Mellencampem) w stajni Mattie Devore kopie już inny muł. Choć bardzo się starałem, by skierować myśli ku tym tematom, one uparcie wracały do tego, jak po raz pierwszy objąłem ją i pocałowałem. Żaden ludzki instynkt nie jest równie silny jak w pełni rozbudzony popęd płciowy, to zaś, co go wywołało, pozostaje już na zawsze w naszej psychice niczym tatuaż. Dla mnie było to ślizganie się materiału po jej skórze, jędrnej i cieplej pod cienką tkaniną...

Odwrociłem się raptownie, zrzucając po drodze ubranie popędziłem do północnego skrzydła budynku, wpadłem do łazienki, wskoczyłem pod prysznic, puściłem zimną wodę i trzęsąc się jak galareta, stałem pod nim dobre pięć minut. Kiedy wyszedłem, czułem się trochę bardziej jak ludzka istota niż jak drgający kłębek obnażonych nerwów. Podczas wycierania przyszła mi do głowy pewna myśl: przecież jakiś czas temu wpadłem na pomysł, żeby zaprosić tu Franka, brata Jo, ponieważ wydawało mi się, że jest on jedyną oso-



bą - naturalnie oprócz mnie - która byłaby w stanie wyczuć obecność Jo w domu. Nie zrobiłem tego, teraz zaś już wcale nie byłem pewien, czy chciałbym, żeby się zjawiał, ponieważ zacząłem odczuwać coś w rodzaju zazdrości i niechęci do dzielenia się z kimkolwiek tym, co się wokół mnie działo. Frank mógł jednak coś wiedzieć o zagadkowych planach piarskich Jo. Co prawda nie powiedziała mu ani słowa o ciąży, ale...

Spojrzałem na zegarek: kwadrans po dziewiątej. W przyczepię kempingowej w pobliżu skrzyżowania Wasp Hill Road i szosy numer 68 Kyra przypuszczalnie już spała, jej matka zaś najprawdopodobniej włożyła już klucz pod skrzynkę z rozsadami pomidorów. Wyobraziłem sobie ją w białej sukience, przypomniałem ciepło jej talii pod moimi dłońmi, zapach jej perfum... i czym prędzej odepchnąłem te myśli. Przecież nie mogłem spędzić całej nocy pod prysznicem. Kwadrans po dziewiątej to jeszcze nie za późno, żeby zadzwonić do Franka Arlena.

Odebrał po drugim sygnale. Powitał mnie radośnie, ale odniosłem wrażenie, że również postanowił spędzić wieczór przy piwie, tyle że, w przeciwieństwie do mnie, już jakiś czas temu energicznie zabrał się do wprowadzania zamiarów w czyn. Podczas ciągnącej się, można by odnieść wrażenie, w nieskończoność wymiany uprzejmości (z niesmakiem stwierdziłem, że słowa płynące z moich ust naprawdę są tylko pustymi frazesami) wspomniał mimochodem, że dowiedział się z telewizji, iż jakiś mój słynny sąsiad właśnie kopnął w kalendarz. Znałem go? Owszem, odparłem, znałem go. Wciąż miałem żywo w pamięci chwilę, kiedy Max Devore usiłował rozjechać mnie swoim kosmicznym wózkiem. Frank chciał wiedzieć, jaki on był. Trudno powiedzieć, bąknąłem. Biedaczysko tkwił w wózku inwalidzkim i cierpiał na roze-

dmę płuc.

- Paskudna historia, co? - westchnął współczująco Frank.

— Tak, paskudna. Posłuchaj, dzwonię do ciebie w sprawie Jo. Byłem w jej pracowni i znalazłem tam swoją starą maszynę do pisania. Przyszło mi do głowy, że mogła coś pisać: być może zaczęła od historii naszego domu, a potem sięgała coraz dalej. Dom nazywa się Sara Laughs; to był pseudonim Sary Tidwell, piosenkarki bluesowej.

W słuchawce zapadła cisza. Wydawało mi się, że trwa całą wieczność.

- Wiem - powiedział wreszcie Frank głucho.

- Co jeszcze wiesz?

- Że była wystraszona. Przypuszczam, że trafiła na coś co napędziło jej stracha. Myślę tak przede wszystkim dlatego że...

Nagle doznałem olśnienia. Powinienem był się domyśleć już dawno na podstawie opisu, jaki przekazała mi Mattie, i pewnie domyśliłbym się, gdyby nie to, że miałem głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

- Byłeś tu u niej, prawda? W lipcu 1994. Poszliście na mecz do Warringtonów, a potem wróciliście Drózką do domu,

- Skąd wiesz? - prawie warknął.

- Ktoś was widział. Moja znajoma.

Staralem się zapanować nad "wściekłością, ale bez większego powodzenia. Byłem cholernie wściekły, lecz jednocześnie czułem ogromną ulgę. Tak samo czułbym się chyba wtedy, gdybym miał syna, który ze skruszoną miną wrócił w środku nocy do domu akurat w chwili, kiedy sięgałem po słuchawkę, by zawiadomić policję.

- Prawie ci o tym powiedziałem dzień albo dwa przed jej pogrzebem. W tym pubie, pamiętasz?

Jasne, że pamiętałem. Pamiętałem również wyraz jego twarzy, kiedy powiedziałem mu, że Jo była w ciąży. Chyba zaniepokoiło go moje przedłużające się milczenie, bo kiedy się odezwał, w jego głosie usłyszałem niepewność i niepokój.

- Mikę, mam nadzieję, że...

- Że co? Że nie wyciągnąłem pochopnych wniosków? Zacząłem podejrzewać, że kogoś miała. Czy to pochopny wniosek? Możesz mnie nazwać niegodziwcem, ale miałem swoje powody. Nie mówiła mi o wielu rzeczach. A co tobie powiedziała?

- Prawie nic.

- Wiedziałaś, że zrezygnowała z członkostwa we wszystkich komitetach obywatelskich, radach i organizacjach? Zrezygnowała, nie mówiąc mi o tym ani słowa?

- Nie. - Chyba nie kłamał. Po co miałby kłamać, tyle lat po fakcie? - Boże, Mikę, gdybym o tym wiedział...

- Co zdarzyło się tego dnia, kiedy tu przyjechałeś?

- Byłem w drukarni w Sanford. Jo zadzwoniła do mnie z... Nie pamiętam dokładnie. To była jakaś knajpa przy parkingu.

- Między Derry i TR?

- Tak. Jechała do Sary i chciała, żebym tam zajrzał. Gdybym przyjechał pierwszy, miałem zaparkować na podjeździe, ale nie wchodzić do domu. Oczywiście wszedłbym, gdyby mi tego nie powiedziała, bo wiem, gdzie trzymacie zapasowy klucz.

Pewnie, że wiedział: w puszcze pod tarasem. Sam mu pokazałem.

- Wyjaśniła ci, dlaczego chce, żebyś zaczekał na zewnątrz?

- Tak, ale pewnie pomyślisz, że robię z ciebie balona...

- Na pewno nie. Daję ci słowo.

- Powiedziała, że dom jest niebezpieczny.

Tym razem milczenie nie trwało długo.

- I co, przyjechałeś pierwszy? - zapytałem.

-Aha.

- I czekałeś przed domem?

-Tak.

- Zauważyłeś coś niebezpiecznego?

Teraz on umilkł, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Na jeziorze było mnóstwo ludzi - powiedział wreszcie.

- Motorówki, narciarze, żeglarze, skutery wodne... sam wiesz, jak to wygląda. Jednak miałem wrażenie, że w pobliżu domu cały ten hałas nagle cichnie. Zwróciłeś uwagę, jaki tam panuje spokój, nawet jeśli dokoła aż huczy?

Oczywiście, że zwróciłem. Można było odnieść wrażenie, że Sara stoi w samym centrum strefy ciszy.

- Ale czy wydawało ci się, że grozi ci jakieś niebezpieczeństwo?

- Nie - odparł z ociąganiem. - Ale dom wcale nie wyglądał na pusty. Wydawało mi się... Cholera, wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Usiadłem na schodkach, po których schodzi się nad jezioro, i czekałem na siostrzyczkę. Wreszcie przyjechała, zatrzymała wóz tuż za moim, wysiadła i objęła mnie, ale przez cały czas nie odwracała wzroku od domu. Zapytałem, o co chodzi, a ona na to, że nie może mi powiedzieć, i żebym pod żadnym pozorem nie przyznał się przed tobą, że tu byliśmy. Powiedziała coś takiego: „Jeżeli sam się dowie, to będzie znaczyło, że tak miało być. Prędzej czy później sama mu powiem, ale teraz nie mogę, bo on i tak nie zdoła się skupić na tym, co do niego mówię. Zawsze taki jest, kiedy pracuje”.

Poczułem, że się rumienię.

- Tak właśnie powiedziała?

- Tak. A potem dodała, że musi wejść po coś do domu, ale ja mam zostać na zewnątrz. Jeśli krzyknie, albo zawoła, mam pobiec co sił w nogach, ale tylko wtedy.

- Chciała mieć kogoś w pobliżu na wypadek kłopotów.

- Tak, ale miał to być ktoś, kto nie będzie zadawał mnóstwa pytań, na które nie chciała albo nie mogła odpowiedzieć. Taki ktoś to właśnie ja.

- I co było dalej?

- Weszła do środka, a ja usiadłem na masce mojego wozu i zapaliłem papierosa. Wtedy jeszcze paliłem. I wiesz, co ci powiem? Poczulem, że coś jest nie w porządku. Jakby w domu przez cały czas ktoś na nią czekał, ktoś, kto jej nie lubi. Może nawet ktoś, kto chce jej zrobić krzywdę. Całkiem możliwe, że zaraziłem się od Jo, taka była spięta i zdenerwowana, ale wydaje mi się, że to było coś więcej.

- Aura?

- Tak! - niemal wykrzyknął. - Aura. Ale nie pozytywna, o nie. Bardzo paskudna aura.

- Co potem?

- Siedziałem i czekałem. Wypaliłem tylko dwa papierosy, więc nie sędzę, żeby to trwało dłużej niż dwadzieścia minut albo pół godziny, ale wtedy czas ciągnął się cholernie powoli. Przekonałem się ponad wszelką wątpliwość, że hałasy z jeziora docierają mniej więcej do połowy wzniesienia, a potem po prostu... cichną. I że nigdzie w pobliżu nie ma żadnych ptaków. Wreszcie wyszła. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i jej kroki na schodkach z drugiej strony budynku. Zawołałem, że jestem tutaj, zapytałem, czy wszystko w porządku, a ona odpowiedziała, że tak, i że mam się nie ruszać z miejsca. Była trochę zasapana, jakby niosła coś ciężkiego.

- Poszła do swojej pracowni czy nad jezioro?

- Nie mam pojęcia. Nie było jej jakiś kwadrans - w sam raz tyle, żeby wypalić jeszcze jednego papierosa - a potem wyszła frontowymi drzwiami. Sprawdziła, czy na pewno zamknęła je za sobą, i podeszła do mnie. Wyglądała znacznie lepiej. Odprężyla się. Tak wygląda człowiek po odwaleniu jakiejś paskudnej roboty, z którą nie mógł się uporać od dłuższego czasu. zaproponowała, żebyśmy przespacerowali się Dróżką do ośrodka wypoczynkowego, tego w pobliżu...

- Do Warringtonów.

- Zgadza się. Powiedziała, że funduje piwo i kanapkę, co zresztą zrobiła, w knajpce na końcu pomostu.

W Barze Zachodzącego Słońca, tam, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem Rogette.

- A potem poszliście na boisko.

- To był jej pomysł. Wypiła trzy piwa i cholernie się uparła. Wciąż powtarzała, iż jest pewna, że ktoś pośle piłkę na aut do lasu.

Teraz miałem pełen obraz sytuacji, której świadkiem była Mattie i o której mi opowiedziała. Cokolwiek Jo zrobiła, wprawiło ją to w świetny nastrój. Przede wszystkim, odważyła się wejść do domu, stawiała czoło duchom i wyszła zwycięsko z konfrontacji. Uczciła to trzema piwami, w związku z czym stała się mniej ostrożna, choć podczas wcześniejszych wypraw do TR również nie starała się zachować daleko posuniętej dyskrecji. Powiedziała Frankowi, że jeśli sam się o tym dowiem, będzie to oznaczało, że tak miało się stać, i już. Que sera, sera. Osoba starająca się ukryć romans przed mężem nie zachowywałaby się w ten sposób; takie postępowanie jest raczej charakterystyczne dla kobiety, której na krótki okres powierzono jakąś ważną tajemnicę. Sama by mi o wszystkim powiedziała zaraz po tym, jak skończyłem pi-

sać moją idiotyczną książkę. Gdyby żyła, ma się rozumieć.

Gdyby.

- Pogapiliście się trochę na mecz i wróciliście Drózką do domu.

- Zgadza się.

- Wchodziliście do środka?

- Nie. Po drodze wytrzeźwiała na tyle, że uznałem, iż może prowadzić. Na boisku śmiała się prawie bez przerwy, ale tam, na miejscu, znowu spoważniała. Popatrzyła na dom i powiedziała: „To koniec. Już nigdy nie przekroczę tego progu, Frank”.

Moje ciało momentalnie pokryło się gęsią skórką.

- Zapytałem, czy stało się coś złego, albo czy coś odkryła. Wiedziałem od niej, że coś pisze, ale...

- Mówiła o tym wszystkim, tylko nie mnie - stwierdziłem bez szczególnej goryczy. Nareszcie się dowiedziałem, kim był mężczyzna w brązowej marynarce, i sprawiło mi to tak wielką ulgę, że nie byłem zdolny do odczuwania gniewu, wszystko jedno, na Jo czy na siebie. Aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo dręczyła mnie ta sprawa.

- Na pewno miała jakiś powód - stwierdził Frank. -  
Chyba też tak uważasz, prawda?

- Nie zdradziła ci go jednak?

- Wiem tylko tyle, że wszystko zaczęło się od zbierania materiałów do artykułu. Niezła heca: Jo w roli Nancy Drew! Jestem pewien, że trzymała rzecz w tajemnicy, bo chciała ci zrobić niespodziankę. Czytała książki, ale przede wszystkim rozmawiała z ludźmi, wysłuchiwała ich opowieści o dawnych latach i namawiała, żeby poszukali starych listów, dzienników i licho wie, czego jeszcze. Myślę, że była w tym dobra, nawet bardzo. Naprawdę o niczym nie wiedziałeś?

— Nie - odparłem głuchym tonem.

Co prawda Jo nie miała romansu, ale gdyby zechciała, mogła go mieć bez najmniejszych problemów. Mogłaby nawet spotykać się z Tomem Selleckiem i pokazywać się z nim publicznie przy każdej okazji, a ja dalej stukałbym w klawisze, cudownie nieświadomy otaczającego mnie świata.

- Nie wiem, co odkryła, ale przypuszczalnie trafiła na to przypadkiem - dodał Frank.

- A ty o niczym mi nie powiedziałaś. Przez cztery lata.

- Wtedy widziałem ją po raz ostatni. - Nie był ani trochę zażenowany, nie odniosłem też wrażenia że usiłuje się usprawiedliwić. - Ostatnią rzeczą, o jaką mnie poprosiła, było to, żebym nic ci nie mówił o naszym spotkaniu i o tym, że byliśmy razem nad jeziorem. Miała zamiar sama ci o wszystkim powiedzieć, ale umarła. Obiecałem jej to, Mikę. Obiecałem mojej siostrze, która wkrótce potem umarła.

- W porządku, rozumiem.

Rzeczywiście rozumiałem, tyle że nie do końca. Co właściwie odkryła Jo? Że Normal Auster utopił swego synka pod pompą na podwórzu? Że na przełomie wieków ktoś zastawił sidła, i że wpadł w nie mały murzyński chłopiec? Że inny chłopiec, przypuszczalnie nieślubny syn Sona i Sary Tidwellow, został utopiony przez matkę w jeziorze, najprawdopodobniej przy wtórze jej zachrypniętego, wariackiego śmiechu?

- Mikę, jeśli uważasz, że powinienem cię przeprosić, właśnie to robię.

- Nie uważam. Pamiętasz może, co jeszcze powiedziała tamtego wieczoru? Cokolwiek.

- Powiedziała, że wie, dlaczego wybrałeś właśnie ten dom.

- Co takiego?!

- Wezwał cię, kiedy poczuł, że jesteś mu potrzebny.



Zupełnie mnie zatkało, ponieważ Frank Arlen tymi kilkoma słowami zniszczył jedną z najbardziej oczywistych prawd ściśle powiązanych z naszym małżeństwem. Należała do tego samego gatunku co na przykład: Siła ciężkości utrzymuje nas na Ziemi. Widzimy dzięki światłu. Wskazówka kompasu pokazuje północ.

Prawda ta, a właściwie niewzruszone przekonanie, brzmiała następująco: to Jo zapragnęła "kupić Sarę, kiedy moja pisanina zaczęła przynosić jakie takie dochody, ponieważ w naszym stadle ona zajmowała się domem, ja zaś samochodami. To Jo wybierała kolejne mieszkania, które wynajmowaliśmy, to Jo kazała mi powiesić obraz na tej ścianie, a półkę na tamtej. To Jo zakochała się w naszym domu w Derry i ostatecznie zdołała mnie przekonać, że wcale nie jest za duży, że nie stoi przy zbyt ruchliwej ulicy i że nie jest zanadto zniszczony. Jo była budowniczym gniazdem.

Wezwał cię, kiedy poczuł, że jesteś mu potrzebny.

Chyba tak było naprawdę, a jeśli zdołałbym się wyrwać z zaklętego kręgu myślowego lenistwa i wybiórczej pamięci, musiałbym przyznać, że tak było na pewno. To ja pierwszy wpadłem na pomysł, że dobrze by było mieć letni dom gdzieś w zachodnim Maine. To ja przynosiłem do domu sterty ofert agencji handlu nieruchomościami. To ja zacząłem kupować lokalne dzienniki takie jak „Downeast” i czytać je od końca, gdzie znajdowały się ogłoszenia o kupnie i sprzedaży domów. To ja znalazłem zdjęcie Sary Laughs w eleganckim magazynie zatytułowanym „Piękne rezydencje”, to ja zadzwoniłem do agenta, wydusiłem z niego numer telefonu Marie Hingerman, a następnie zadzwoniłem do niej.

Sara spodobała się także Johannie - spodobałaby się chyba każdemu, kto ujrzałby ją po raz pierwszy w blasku jesienno-słonecznym, wśród rozplamionych drzew - ale nie ulega-

ło wątpliwości, iż to ja ją znalazłem.

Znowu myślowe lenistwo i wybiórcza pamięć. To Sara mnie znalazła.

Jak mogłem nie zdawać sobie z tego sprawy? A przede wszystkim, jak to się stało, że dałem prowadzić się za rękę jak niczego nieświadome dziecko?

Odpowiedź na oba pytania brzmiała identycznie. Była to także odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Jo dowiedziała się czegoś niepokojącego o domu, jeziorze, a nawet całym TR, i zdołała to przede mną ukryć. Po prostu byłem nieobecny. Znajdowałem się w transie, pisząc kolejną głupią książkę. Dałem się zahipnotyzować zmyśleniom, które tłukły mi się po głowie, a zahipnotyzowany człowiek nie stawia żadnego oporu tym, którzy nim manipulują.

- Mikę, jesteś tam jeszcze?

- Jestem, Frank. Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, co mogło ją tak przestraszyć.

- Wymieniła jeszcze jedno nazwisko: Royce Merrill. Powiedziała, że on najwięcej pamięta, bo jest taki stary, ale zaraz dodała: „Nie chcę, żeby Mikę z nim rozmawiał. Mógłby usłyszeć coś, o czym nie powinien wiedzieć”. Domyślasz się, co miała na myśli?

- Ktoś mi sugerował, że w ubiegłym wieku zaplątał się tu jeden z moich przodków, ale to chyba nieprawda. Rodzina matki pochodzi z Memphis, a Noonanowie co prawda zawsze mieszkali w Maine, tyle że na drugim końcu stanu.

- Mikę, jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Masz cholerne zmieniony głos.

- Czuję się znakomicie. Szczerze mówiąc, lepiej niż jeszcze parę minut temu.

- Więc rozumiesz, dlaczego wcześniej ci o tym nie powiedziałem? To znaczy, gdybym wiedział, co ci chodzi po głó-

wie... gdybym się domyślał...

- Chyba rozumiem. Co prawda nie ja wymyśliłem to, co chodziło mi po głowie, ale wystarczy, że ktoś zasieje ziarno, a potem...

- Wieczorem, jak już było po wszystkim, doszedłem do wniosku, że to był kolejny występ z rodzaju: „Cholera, czarny kot przebiegł mi drogę, wracam do domu”. Jo zawsze była przesadna: odpukiwała w niemalowane drzewo, rzucała przez ramię szczyptę soli, jeśli przewróciła solniczkę, szukała czterolistnych koniczynek...

- ...nigdy nie włożyła powtórnie swetra ani bluzki, które choć raz zdarzyło się jej włożyć na lewą stronę - uzupełniłem. - Twierdziła, że coś takiego może wywrócić do góry nogami cały dzień.

- A czy tak nie jest? - zapytał Frank, założył się, że z lekkim uśmieszkiem.

W jednej zadziwiającej chwili przypomniałem sobie Jo dokładnie taką, jaka była, z najdrobniejszymi szczegółami, nie wyłączając złocistych plamek w tęczęwce lewego oka. Nie chciałem nikogo innego. Nikt by jej nie dorównał.

- Krótko mówiąc, wiem tylko tyle, iż wydawało jej się, że z tym domem jest coś nie w porządku - powiedział Frank.

Przysunąłem sobie kartkę i nabazgrałem na niej „Kia”.

- Zgadza się. A ponieważ mogła już podejrzewać, że jest w ciąży, być może bała się wszelkich niekorzystnych wpływów. - Tych akurat na pewno tu nie brakowało. - Myślisz, że źródłem większości informacji był Royce Merrill?

- Nie. Po prostu wspomniała o nim, i tyle. Na pewno rozmawiała z dziesiątkami ludzi. Znasz kogoś o nazwisku Kloster, Gloster, albo jakoś podobnie?

- Auster. - Pod imieniem „Kia” mój długopis malował rząd pochyłych pętelek, które równie dobrze mogły być lite-

rami „l” pisanymi kursywą albo wstążkami do włosów. -

Kenny Auster. Co z nim?

- Chyba właśnie tak. Zresztą, nieważne. Sam dobrze wiesz, jaka była, kiedy się zawzięła. Najbardziej zawzięty foksterier mógłby się od niej wiele nauczyć.

Rzeczywiście.

- Mike? Może powinienem tam przyjechać?

Nie. Teraz byłem tego pewien. Ani Frank, ani Harold Oblowski. Mogliby zakłócić delikatny, organiczny proces, który - byłem tego pewien - tu się odbywał, coś w rodzaju pieczenia chleba w domowym piecu. Zakłócić go... albo ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo.

- Nie trzeba. Chciałem tylko wyjaśnić parę spraw, to wszystko. Poza tym, pracuję, a wtedy raczej wolę być sam.

- Ale zadzwonisz, gdybym mógł ci się na coś przydać?

- Na pewno.

Odłożyłem słuchawkę, znalazłem w książce telefonicznej numer Royce'a Merrilla mieszkającego przy Deep Bay Road, wystukałem go, zaczekałem do dziesiątego sygnału, po czym zrezygnowałem. Royce nie uznawał nowinek technicznych w rodzaju automatycznych sekretarek. Zastanawiałem się leniwie, gdzie teraz jest. W wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat chyba nie chodzi się na tańce, szczególnie w taki upalny wieczór.

Spojrzałem na leżącą przede mną kartkę. Pod pochylonymi pętelkami napisałem „Kyra”. Kiedy Ki przedstawiła mi się po raz pierwszy, wydawało mi się, że powiedziała właśnie „Kia”. Pod Kyrą dopisałem „Kito”, zawahałem się, po czym dodałem „Carla”. Wziąłem te imiona w ramki, obok zaś nazwałem „Johanna”, „Brudget” i „Jared”. Ludzie z dolówki. Ludzie, którzy kierowali mnie na dziewięćnaście i dziewięćdziesiąt dwa pionowo.

- Idź, Mojżeszu, do Ziemi Obiecanej - powiedziałem

w pustkę i rozejrzałem się dokoła. Tylko ja, Bunter i kretyński zegar. Pozory.

Wezwał cię, kiedy poczuł, że jesteś mu potrzebny.

Poszedłem po drugie piwo. Warzywa i owoce znowu tworzyły okrąg, kolorowe literki zaś ułożyły się w napis tej oto treści:

oczywaj w pokoju

Jak w nagrobnych napisach: Spoczywaj w pokoju. Długo przyglądałem się drzwiom lodówki, aż wreszcie przypomniałem sobie, że maszyna wciąż stoi na tarasie. Przyniosłem ją do pokoju, postawiłem na stole i zasiadłem do pracy nad kolejną idiotyczną książką. Po kwadransie byłem stracony dla świata; jak przez mgłę docierały do mnie odgłosy burzy szalejącej gdzieś po drugiej stronie jeziora i brzęczenie dzwoneczka Buntera. Kiedy jakąś godzinę później poszedłem do kuchni po kolejne piwo, niewiele brakowało, a nie zwróciłbym uwagi, że napis uległ drobnej modyfikacji:

ony oczywaj w pokoju

W tej chwili nic mnie nie obchodziło, kto spoczywa w pokoju, a kto wyczynia dzikie harce przy srebrzystym blasku księżyca. John Shackelford zaczął sobie przypominać przeszłość swoją i chłopca, którego był jedynym przyjacielem: małego, zaniedbanego Raya Garraty'ego.

Pisałem do północy. Grzmoty ucichły, upał natomiast pozostał, ciężki jak koc. Wyłączyłem maszynę i położyłem się do łóżka; o ile sobie przypominam, nie myślałem o niczym, nawet o Mattie, która spała w swoim łóżku zaledwie parę kilometrów ode mnie. Twórczy paroksyzm wygnał mi z głowy - przynajmniej na pewien czas - wszelkie myśli o rzeczywistym świecie. Bądź co bądź, po to właśnie pisze się i czyta książki. Dobre czy złe, pomagają oszukać czas.

Szedłem Drózką na północ. Co prawda wisiały nad nią

japońskie lampiony, ale żaden się nie świecił, ponieważ był dzień. Bardzo jasny dzień. Po lipcowej, lekko zamglonej duchocie nie zostało nawet wspomnienie; niebo było czyste i szafirowe, jak w październiku, jezioro natomiast miało barwę indygo i lśniło słonecznymi rozbłyskami. Drzewa, które właśnie osiągnęły apogeum jesiennej urody, płonęły niczym pochodnie. Powiewający od czasu do czasu południowy wiatr sypał mi na nogi zeschnięte liście, japońskie lampiony potakiwały energicznie, jakby wyrażając akceptację dla tej pory roku. Z daleka docierały do mnie przytłumione dźwięki muzyki: Sara i Czerwonocubi. Sara jak zwykle śmiała się śpiewając... ale jak to możliwe, żeby śmiech tak bardzo przypominał wściekłe parskanie?

- Nigdy bym nie zabiła swojego dzieciaka, biały chłoptasiu. Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Odwrociłem się gwałtownie, pewien, że zobaczę ją tuż za sobą, ale nikogo tam nie było. To znaczy... Była tam Zielona Dama, tyle że zmieniła suknię na jesienną i stała się Żółtą Damą. Stercząca zza niej naga gałąź sosny wciąż wskazywała drogę: idź na północ, młody człowieku, idź na północ. Nieco dalej rosła kolejna brzoza - ta, której uczepiłem się rozpaczliwie, kiedy wydawało mi się, że tonę.

Oczekiwałem, iż owo paskudne wrażenie za chwilę powróci, że w ustach i gardle znowu poczuję żelazisty smak wody, ale nic takiego się nie stało. Spojrzałem na Żółtą Damę, zaraz potem na Sarę Laughs. Dom stał na swoim miejscu, tyle że znacznie mniejszy: nie było bocznych skrzydeł, piętra ani nawet małej chatki na uboczu, w której mieściła się pracownia Jo. Jeszcze ich nie zbudowano. Żółta Dama i brzoza nad jeziorem przywędrowały ze mną z roku 1998, ale tutaj...

- Gdzie jestem? - zapytałem Damę i potakujące japońskie lampiony, lecz niemal natychmiast przyszło mi do głowy

lepsze pytanie: - Kiedy jestem? - Bez odpowiedzi. - To sen, prawda? Leżę w łóżku i śnię.

Gdzieś daleko na roziskrzonym złocistymi refleksami jeziorze krzyknął nur. Dwa razy. Raz znaczy tak, dwa znaczy nie, pomyślałem. To nie sen, Michaelu. Nie wiem dokładnie, co to jest - być może jakaś duchowa podróż albo coś w tym rodzaju - ale to nie sen.

- Czy to dzieje się naprawdę? - zapytałem jasny dzień. W głębi lasu, mniej więcej tam, gdzie leśny dukt, który w pewnej chwili staje się drogą numer 42, dociera do gruntowej drogi, która w pewnej chwili staje się szosą numer 68, zakrakała wrona.

Raz.

Podszedłem do brzozy na brzegu jeziora, objąłem ją ramieniem (ten gest przypomniiał mi, jak obejmowałem Mattie) i zajrzałem w wodę; byłem prawie pewien, że zobaczę utopionego chłopca, i bałem się, że naprawdę tam będzie. Chłopca nie było, ale coś leżało na dnie, w miejscu gdzie widziałem go poprzednio, wśród kamieni, wodorostów i korzeni. Wyteżyłem wzrok, ale niewiele by to dało, gdyby nie wiatr, który akurat ucichł, dzięki czemu powierzchnia wody wygładziła się jak lustro. To była laska ze złotym uchwytem. Laska „Boston Post”. Owinięte wokół niej luźną spiralą leciutko falowały dwie wstążki, białe z jaskrawoczerwonymi brzegami. Widok ozdobionej w ten sposób laski Royce'a przywiódł mi na myśl uroczystości na zakończenie roku szkolnego i buławę, którą wymachuje gospodarz klasy, prowadząc absolwentów na ich miejsca. Zrozumiałem, dlaczego staruch nie odebrał telefonu: dla Royce'a Merrilla skończyły się wszelkie rozmowy, także telefoniczne. Byłem tego pewien, podobnie jak tego, że znalazłem się w czasach, kiedy Royce nie pojawił się jeszcze na świecie. Mieszkała tu

natomiast Sara Tidwell, bo przecież słyszałem jej śpiew, a kiedy Royce urodził się w 1903, jej nie było tutaj już od dwóch lat.

- Idź, Mojżeszu - powiedziałem do udekorowanej laski na dnie jeziora - a dotrzesz do Ziemi Obiecanej.

Rześkie powietrze i chłodny wiaterek dodały mi animuszu, więc dziarskim krokiem ruszyłem w kierunku, z którego dobiegały dźwięki muzyki. Słyszałem także głosy, wiele głosów. Śmiały się, gadały i pokrzykiwały, ale nad wszystkie wybijało się nawoływanie naganiacza:

- Ludzie, ludziska, chodźcie tu prędko, bo nie zdążycie! Już tylko dziesięć minut do przedstawienia! Chodźcie i podziwiajcie Angelinę, kobietę węża! Wije się, wygina i faluje, ani chybi was zauroczy, ale strzeżcie się i nie podchodźcie za blisko, bo ukąsi was swymi jadowymi zębami! Chodźcie i podziwiajcie Hando, chłopca o psiej twarzy, postrach Mórz Południowych! Chodźcie i podziwiajcie żywy szkielet, potwora Gila z pradawnych czasów, kobietę z brodą i śmiertelnie niebezpiecznych Marsjan! Prędko, prędko, bo nie zdążycie!

Wtórowały mu dźwięki parowych organów przygrywających obok karuzeli oraz, z rzadka, brzęknięcia dzwonka na szczycie słupa, nieomylny sygnał, że jakiś osiłek zdobył pluszowego misia dla wybranki swego serca. Sądząc po dziewczęcych piskach, ciężarek uderzył w dzwonek z taką siłą, że mało nie strącił go na ziemię. Ze strzelnicy dobiegały charakterystyczne stuknięcia, porykiwała krowa... Oprócz dźwięków zaczęły też docierać do mnie zapachy, które od dzieciństwa kojarzyły mi się z wiejskimi festynami: kielbasa z rusztu, wata na patyku, cebula, koński nawóz, siano. Kiedy gitary i kontrabasy zagrały głośniejsze, przyspieszyłem kroku, a serce zabiło mi żywiej w piersi. Za chwilę zobaczę ich na scenie, zobaczę na żywo Sarę Laughs i Czerwonoczubych! To nie



żaden zwariowany koszmarny tryptyk, to dzieje się naprawdę, więc prędko, prędko, bo nie zdążę!

Dom Washburnów (ten, który dla pani M. miał na zawsze pozostać domem Brickerów) znikł. Na jego miejscu, a właściwie trochę dalej, na stromym zboczu po wschodniej stronie Dróżki, zbudowano szerokie stopnie z desek, trochę podobne do tych, które w Old Orchard łączą wesołe miasteczko z plażą. Tutaj, pomimo że był środek dnia, zapalono lampiony, muzyka zaś rozbrzmiewała ze zdwojoną siłą. Sara śpiewała „Jimmy Crack Corn”.

Zacząłem się wspinać po stopniach ku śmiechom i krzykom, muzyce parowych organów i Czerwonoczubych, zapachom potraw i zwierząt. U szczytu schodów wzniesiono drewniany łuk z napisem:

WITAMY NA FESTYNIE WE FRYEBURGU

WITAMY W DWUDZIESTYM WIEKU

Z naprzeciwka nadeszli chłopczyk w krótkich spodniach oraz kobieta w luźnej bluzce i imanej spódnicy do kostek, pod łukiem zafalowali, zaczęli się rozwiewać, jeszcze przez chwilę widziałem ich szkielety z kościstymi uśmiechami... a potem znikli.

Chwilę później po tamtej stronie w ten sam sposób - najpierw szkielety, potem falowanie - pojawili się dwaj farmerzy. Jeden miał na głowie słomkowy kapelusz, drugi rozprawiał o czymś, zawzięcie gestykulując fajką z kolby kukurydzy. Zrozumiałem, że między Dróżką a festynem istnieje bariera, jednak nawet przez myśl mi nie przeszło, że jej działanie może dotyczyć także mojej osoby. Ja byłem wyjątkiem. - Czy to prawda? - zapytałem. - Mogę tam wejść?

Dzwonek na szczycie słupa zadźwięczał głośno i wyraźnie. Jedno uderzenie oznacza tak, dwa - nie. Kontynuowałem wspinaczkę.

Widziałem już diabelski młyn obracający się dostojnie na tle czyściutkiego nieba, ten sam, który był na zdjęciu w książce Osteena. Konstrukcja była metalowa, ale gondole zrobiono z drewna. Prowadziła do niego szeroka, prosta jak strzełił aleja wysypana trocinami. Szybko domyśliłem się, czemu miały służyć: niemal wszyscy mężczyźni w moim polu widzenia zawzięcie żuli tytoń.

Przez kilka sekund stałem nieruchomo u szczytu schodów. Trochę się bałem, co się ze mną stanie, kiedy przejdę pod łukiem. Bałem się tego, że zniknę albo umrę, najbardziej jednak dręczyła mnie obawa, że nie zdołam wrócić do swojego czasu i już na zawsze pozostanę przymusowym gościem festynu we Fryeburgu. Przyszło mi również do głowy, że znalazłem się w sytuacji jakby żywcem przeniesionej z jakiegoś opowiadania Raya Bradbury'ego.

O mojej decyzji przesądziła obecność Sary Tidwell. Musiałem zobaczyć ją na własne oczy. Musiałem ją usłyszeć. Po prostu musiałem.

Dałem krok naprzód, poczułem mrowienie na skórze i usłyszałem coś jakby odległe westchnienie miliona głosów. Nie miałem pojęcia, czy było to westchnienie ulgi, czy rozczarowania. Wiedziałem tylko tyle, że po przejściu pod łukiem całkowitej zmianie uległa moja percepcja; różnica była taka jak między patrzeniem przez szybę a byciem po drugiej stronie, jak między obserwowaniem i uczestnictwem.

Barwy zaatakowały mnie zewsząd niczym przyczajeni w zasadzce bandyci; zapachy, które po tamtej stronie łuku były słodkie, delikatne i wywołujące nostalgię, tutaj stały się brutalne i zmysłowe, proza zamiast poezji. Czulem pieczoną kiełbasę, befsztyki i gorącą czekoladę. Minęło mnie dwoje dzieci zjadających jedną porcję cukrowej waty, ze związanymi

w węzełek chusteczkami, w których miały drobne pieniądze.

- Hej, dzieciaki! - zaczął je straganiarz w granatowej koszuli z podwiniętymi rękawami i uśmiechnął się szeroko, prezentując błyszczący złoty ząb. - Chodźcie porzucać kula-  
mi do butelek po mleku! Każdy, kto przewróci wszystkie, do-  
stanie nagrodę! Dzisiaj jeszcze nikt nie odszedł stąd z pustymi rękami!

Czerwonocubi rozpoczęli „Wędkarskiego bluesa”. Wydawało mi się, że chłopak z parku w Castle Rock radził sobie z nim całkiem nieźle, ale teraz musiałem przyznać, że jego interpretacja nie wytrzymuje porównania z wersją oryginalną. Była za wolna i zbyt ugrzeczniwa, pozbawiona szczypty pikanterii, takiej jak na starych litografiach przedstawiających tancerki z zadartymi spódnicami, spod których wylaniają się falbaniaste majtki. Ot, jeszcze jeden wyblakły amerykański motyl w szklanym słoju. To, czego słuchałem teraz, było jędrne, wyraziste, dziarskie, jurne i tętniące, i bez trudu mogłem sobie wyobrazić, że każdy ze zgromadzonych wokół estrady, żujących tytoń farmerów w słomianych kapeluszach, z rękami twardymi od odcisków, marzy tylko o tym, żeby ją dopaść i dostać się do tego stulonego miejsca, gdzie jest najgoręcej i najróżowiej.

Ruszyłem w kierunku sceny wśród muczenia krów i beczczenia owiec z boksów wystawienniczych. Minąłem strzelnicę, gromadkę ludzi próbujących trafić kółkiem w patyk, gromadkę rzucających monety, żeby upadła jak najbliżej linii, a także estradę, na której dwie Służki Angeliny wiły się w zmysłowym tańcu ze złączonymi dłońmi; do tańca przygrywał im na flecie człowiek w turbanie, z twarzą wymazaną pastą do butów. Jeśli sędzić na podstawie malowidła za ich plecami, przy swojej pani (do obejrzenia wewnątrz namiotu za jedyne dziesięć centów) wyglądały jak para znoszonych

buciorów. Minąłem wejście do Pawilonu Dziwołagów, sprzedawcę prażonej kukurydzy oraz Nawiedzony Dom; tutaj na wielkim malowidle można było podziwiać opuszczone domostwo, z którego powybijanych okien i częściowo zrujnowanych kominów wylaniały się gromady upiornych stworzeń. Wewnątrz czeka śmierć, przemknęło mi przez głowę, ale chyba się myliłem, bowiem z namiotu dobiegały przerażone, ale i zachwycone piski dzieciaków. Starsi z pewnością korzystali z ciemności, by skraść całusa albo dwa. Minąłem słup, przy którym można było zmierzyć swoją siłę. Podziałka na słupie wyglądała następująco: DZIDZIUŚ, CHŁOPACZEK, SPRÓBUJ JESZCZE RAZ, CAŁKIEM NIEŻLE, ZNAKOMICIE, na samym szczycie zaś, tuż pod dzwonkiem, wypisano czerwoną farbą HERKULES. Jakiś otoczony wianuszkami gapiów rudzielec właśnie ściągnął koszulę, odsłaniając umięśniony tors. Człowiek z papierosem w zębach podał mu młot. Minąłem budę, gdzie uczono haftować makatki, namiot, w którym ludzie siedzieli na drewnianych ławeczkach i grali w bingo, miniaturowe boisko do baseballu. Ledwo to wszystko zauważyłem. Byłem w transie. „Zaczekaj chwilę, muszę go zawołać”, mówiła niekiedy Jo Harolldowi. „Mike jest w Wielkiej Krainie Złudzeń”. Tyle że tutaj wszystko wyglądało jak prawdziwe, ale mnie interesowała wyłącznie scena wybudowana tuż przy diabelskim młynie. Stało na niej ośmioro, może dziesięcioro czarnoskórych ludzi, a na samym przedzie, z gitarą, Sara Tidwell. Żywa. W pełni sił. Z odchyloną głową śmiała się w październikowe niebo.

Z otępienia wyrwał mnie okrzyk za moimi plecami:

- Mike, zaczekaj! Zaczekaj na mnie!

Odwrociłem się i ujrzałem biegnącą ku mnie co sił w nogach Kyrę. Miała na sobie biały marynarski mundur

z czerwonymi obszyciami oraz słomkowy kapelusik z granatową wstążką. W prawej ręczce ścisnęła Stricklanda; kiedy wreszcie mnie dopadła, rzuciła się na oślep, pewna, że ją złapie. Zrobiłem to, i nawet udało mi się uchronić przed upadkiem kapelusik, który zsunął jej się z głowy.

- Znowu wychachotałam wabownika! - oznajmiła z radosnym uśmiechem.

- Zgadza się - odparłem. - Jesteś bezlitosna.

Miałem na sobie jednoczęściowy kombinezon roboczy (z kieszeni na piersi wystawał kawałek niebieskiej, mocno spranej chustki) i powalane nawozem buciory. Przyjrzawszy się śnieżnobiałym skarpetkom Kyry, stwierdziłem, że zostały zrobione w domu. Gdybym zajrzał do jej kapelusika, z pewnością nie znalazłbym wszytej tasiemki z dyskretnym napisem Madę in Mexico albo Madę in China. Kapelusik był Madę in Motton, przez jakąś cierpiącą na artretyzm żonę farmera.

- A gdzie Mattie?

- Pewnie w domu. Nie mogła przyjechać.

- Więc skąd się tu wzięłaś?

- Przyszłam po schodach. Strasznie ich było dużo. Powinieneś na mnie poczekać i wziąć mnie na ręce, jak wtedy.

Chcę posłuchać muzyki.

- Ja też. Wiesz, kto to śpiewa?

- Jasne. Mama Kito. Szybko, grzebusie!

Myślałem, że będziemy musieli stanąć z tyłu, ale ludzie rozstąpili się przed nami. Niosłem Kyrę w ramionach, rozkoszując się każdą chwilą, kiedy czułem jej słodki ciężar. Trzymała mnie jedną ręką za szyję, oni zaś rozstępowali się przed nami jak Morze Czerwone przed Mojżeszem.

Jednocześnie nie zwracali na nas najmniejszej uwagi, pochłonięci muzyką, zajęci klaskaniem, tupaniem i pokrzyki-

waniem. Ustępowali nam z drogi niemal bezwiednie, jakby za sprawą niewidocznych sił magnetycznych. Nieliczne kobiety były mocno zarumienione, ale nie ulegało wątpliwości, że doskonale się bawią; jedna aż popłakała się ze śmiechu. Mogła mieć dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia trzy lata. Kyra pokazała mi ją palcem i powiedziała jakby nigdy nic:

- Znasz szefową Mattie z biblioteki? To jej babcia.

Babka Lindy Briggs, świeża jak stokrotka, pomyślałem.

O mój Boże.

Czerwonocubi stali na scenie pod płachtami różnokolorowego materiału, niczym podróżujący w czasie zespół rockowy. Wszystkich widziałem na zdjęciu w książce Edwarda Osteena. Mężczyźni byli ubrani w białe koszule z podwiniętymi rękawami, ciemne spodnie i ciemne kamizelki. Son Tidwell, na drugim końcu sceny, miał na głowie ten kapelusz, co na fotografii, Sara natomiast...

- Dlaczego ta pani włożyła sukienkę Mattie? - zapytała Kyra i zaczęła drżeć jak w febrze.

- Nie wiem, kochanie. Nie mam pojęcia.

Nawet nie próbowałem jej wmawiać, że się pomyliła. To była ta sama biała sukienka bez rękawów, którą Mattie miała na sobie w parku.

Grali akurat jakiś instrumentalny przerywnik. Reginald „Son” Tidwell wolnym krokiem podszedł do Sary - nie byłem w stanie dojrzeć jego rąk, tak szybko przesuwały się po strunach i gryfie gitary - ona zaś odwróciła się do niego, stanęli twarzą w twarz i zetknęli się czołami, ona roześmiana, on poważny. Przy wtórze entuzjastycznych okrzyków tłumu i śmiechu pozostałych członków grupy zmagali się, kto zagra głośniej. Miałem rację: to byli brat i siostra. Podobieństwo od razu rzuciło się w oczy. Większą część uwagi poświęciłem jednak jej biodrom i pośladkom poruszającym się

pod cienkim białym materiałem. Ja i Kyra mieliśmy na sobie stroje z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku - ona z przełomu dwudziestego i dwudziestego pierwszego. Nikomu nie przeszkadzało, że jej sukienka nawet nie zakrywa kolan. Według ówczesnych standardów Sara Tidwell była prawie naga, a na dodatek pod obcisłą, kusą sukienkę włożyła bieliznę, o jakiej wtedy nikomu się nawet nie śniło: biustonosz z lycry i majtki wrzynające się głęboko między pośladki. Gdybym położył jej ręce na biodrach, tkanina z łatwością przesuwalaby się po skórze. Brązowej, nie białej. Czego chcesz, złotko?

Sara cofnęła się o dwa kroki, potrząsnęła zmierzwioną grzywą kruczoczarnych włosów i roześmiała się głośno. Son wrócił na swoje miejsce, ona natomiast odwróciła się do publiczności i zaśpiewała, patrząc wprost na mnie:

Nim zrzucisz wędkę, chłoptasiu,

Sprawdź dobrze żyłkę swą.

Radę dam ci, chłoptasiu:

Sprawdź dobrze żyłkę swą,

Bo całkiem już niedługo

Mocno pociągnę ją.

Widzowie odpowiedzieli radosnymi okrzykami. Kyra trzęsła się coraz bardziej.

- Boję się, Mikę - powiedziała. - Nie lubię tej pani. Ona jest niedobra. Ukradła sukienkę Mattie. Chcę do domu.

Byłem gotów przysiąc, że Sara ją usłyszała, mimo zgiełku i muzyki, bowiem odrzuciła głowę do tyłu, otworzyła szeroko usta i roześmiała się w niebo. Miała duże żółte zęby, zupełnie jak jakieś wygłodniałe zwierzę. Musiałem zgodzić się z Kyra: ta pani nie wzbudzała sympatii.

- W porządku, maleńka - wyszeptałem Kii do ucha. - Już idziemy.

Zanim zdążyłem wykonać najmniejszy ruch, dopadła mnie i obezwładniła... Boja wiem, jak to nazwać? Chyba aura tej kobiety. Teraz już wiedziałem, co przemknęło obok mnie w kuchni, by rozrzucić litery ułożone w napis CARLA-DEAN; chłód był ten sam. Zupełnie jakbym rozpoznał kogoś po krokach.

Zaraz potem Sara zaśpiewała kolejną zwrotkę, zupełnie inną od tych, które przetrwały w zapisie do naszych czasów:

Nie zrobię jej krzywdy, chłopcze,

Za żadne skarby świata.

Nie skrzywdzę dziecka, chłopcze,

Za skarby ziemi całej.

Znam tylko jednego drania,

Co źle życzy tej małej.

Tłum ryknął śmiechem, jakby usłyszał najzabawniejszą rzecz pod słońcem, Kyra natomiast wybuchnęła płaczem. Sara usłyszała to, wypięła piersi - znacznie większe niż Mattie - i potrząsnęła nimi. Miało to zapewne być kpiące i szydercze, a było puste i... smutne. Jednak nie żywiłem dla niej współczucia. Pomyślałem, że wypaliło jej się serce, smutek zaś, który pozostał na jego miejscu, był tylko jeszcze jednym duchem, zaledwie wspomnieniem miłości zamkniętym w klatce nienawiści.

Jak szczyrzyła zęby w uśmiechu!

Podniosła ramiona nad głowę i tym razem pokiwała nią energicznie, jakby znała moje myśli i szyderczo dawała mi do zrozumienia, że się z nimi zgadza. Jej cień tańczył dziko na ekranach płótna, na których wymalowano panoramę Fryeburga; przyjrawszy się mu dokładniej, stwierdziłem, że oto odnalazłem Kształt z moich snów o Manderley. To była Sara.

Nie, Mikę. Jesteś blisko, ale rozminąłeś się z prawdą.



Blisko czy daleko, miałem już dosyć. Przytuliłem główkę Kii do piersi i odwróciłem się gwałtownie. Ogarnięta panią, z całej siły ścisnęła mnie za szyję. Obawiałem się, że będę musiał siłą torować sobie drogę przez tłum. Co prawda w tę stronę przepuścili mnie bez problemów, ale teraz mogli się okazać znacznie mniej skłonni do współpracy. Nie zadzierajcie ze mną, chłopcy, pomyślałem. Będzie dla was lepiej, jeśli tego nie zrobicie.

I nie zrobili. Zespół zmienił tonację, ktoś zaczął grać na tamburynie, Sara zaś „w locie” przeszła z „Wędkarskiego bluesa” do „Psów i kotów”. Widzowie i tym razem rozstępowali się przed nami, zupełnie nas nie zauważając; nawet na chwilę nie przerywali rytmicznego kołysania, przytupywania i klaskania w stwardniałe od pracy dłonie. Jakiś młody człowiek z dużym fioletowym znamieniem na policzku otworzył szeroko usta - choć miał najwyżej dwadzieścia lat, już brakowało mu połowy zębów - i pokrzykiwał gromko. Rozpoznałem w nim Buddy'ego Jellisona z kafejki, w cudowny sposób odmłodzonego o pięćdziesiąt lat, ale natychmiast zdałem sobie sprawę z pomyłki: ten człowiek miał kasztanowe włosy, Buddy natomiast czarne (choć dobiegał siedemdziesiątki, nie doczekał się ani jednego siwego włosa). To był pradziadek albo nawet prapradziadek Buddy'ego. Tak czy inaczej, gówno mnie to obchodziło. Zależało mi tylko na tym, żeby jak najprędzej się stąd wydość.

- Przepraszam - powiedziałem, przeciskając się obok niego.

- W naszym mieście nie ma notorycznego pijaczka, wścibski frajerze - powiedział, nie patrząc na mnie i nie przerywając klaskania. - Pracujemy na zmianę.

A więc to jednak sen, przemknęło mi przez głowę. Mam

niezbity dowód.

Jednak jego cuchnący tytoniem oddech nie był snem, podobnie jak woń tłumu i ciężar przerażonego dziecka w moich ramionach. Tam, gdzie przycisnęła twarz do mojej piersi, koszula była mokra i ciepła. Mała płakała.

- Hej, Irlandczyku! - zawołała Sara ze sceny głosem tak podobnym do głosu Jo, że niewiele brakowało, a zacząłbym krzyczeć. Chciała, żebym się odwrócił - czułem na twarzy dotyk próbujących się zacisnąć palców - ale ja nie miałem zamiaru tego robić.

Ominąłem trzech farmerów pociągających na zmianę z kamionkowej butelki, i znalazłem się na otwartej przestrzeni. Przede mną, szeroka jak Piąta Aleja, ciągnęła się główna ulica jarmarku, na jej końcu zaś były drewniany łuk, schody, Dróżka, jezioro i dom. Wiedziałem, że jeśli zdołamy dotrzeć do Dróżki, będziemy bezpieczni.

- Już prawie skończyłam, Irlandczyku! - wrzeszczała za mną Sara. Była chyba wściekła, ale nie aż na tyle, żeby przestać się śmiać. - Dostaniesz, czego chcesz, złotko, dostaniesz wszystko, co sobie wymarzysz, ale nie przeszkadzaj mi w moich sprawach. Rozumiesz? Trzymaj się z daleka!

Przyspieszyłem kroku, gładząc Ki po włosach i nadal przyciskając jej twarz do piersi. Zsunął jej się kapelusik; usiłowałem go złapać, ale w rękę została mi tylko wstążka. Nie ważne. Byle tylko się stąd wydostać.

Na miniaturowym boisku do baseballa jakiś chłopiec darł się z doprowadzającą do furii regularnością:

- Mamusiu, Willy rzucił piłkę za płot! Mamusiu, Willy rzucił piłkę za płot! Mamusiu...

Minęliśmy namiot do gry w bingo, gdzie jakaś kobieta wykrzykiwała co sił w płucach, że wygrała indyka, że ma wszystkie liczby i wygrała indyka, o Boże! Niebo skryło się za

chmurę, barwy przygasły, cienie znikły. Łuk był jeszcze potwornie daleko.

- Czy już jesteśmy w domu? - łkała Kyra. - Mikę, ja chcę do domu, do mamusi!

- Idziemy tam - odparłem. - Wszystko będzie dobrze, kochanie.

Minęliśmy słup z dzwonkiem, przy którym rudowłosy młodzieniec właśnie wkładał koszulę. Zmierzył mnie nieprzychylnym spojrzeniem (przypuszczalnie w grę wchodziła instynktowna niechęć wobec obcych), a ja uświadomiłem sobie, że też go znam. Jego wnuk, Dickie, pod koniec obecnego stulecia będzie właścicielem warsztatu samochodowego przy szosie numer 68.

Jakaś kobieta wyszła z namiotu, w którym uczono wyszywanek, wskazała mnie palcem i uniosła górną wargę jak pies, odsłaniając zęby. Jej twarz też znałem, ale skąd? Wcale nie zależało mi na tym, żeby to sobie przypomnieć.

- Niepotrzebnie tu przyszliśmy! -jęknęła Kyra.

- Wiem, co czujesz, ale nie mieliśmy wyboru. Po prostu...

Wyszli z Pawilonu Dziwołągów, jakieś dwadzieścia metrów przed nami. Stałem jak wryty. Było ich siedmiu, wszyscy w strojach drwali, ale czterech się nie liczyło: bladzi, półprzeźroczyści, wyglądali jak duchy. Pozostałych trzech, niestety, było prawdziwych. Co najmniej tak prawdziwych jak całe to miejsce. Na przedzie stał wiekowy mężczyzna w zblakłej granatowej czapce Unii i spoglądał na mnie oczami, które dobrze znałem, które całkiem niedawno przyglądały mi się znad maski tlenowej.

- Mikę, dlaczego się zatrzymałeś?

- Wszystko w porządku, Ki. Nie podnoś głowy. To tylko sen. Jutro obudzisz się w swoim łóżku.

- Dobrze.

Stanęli w poprzek głównej alei, blokując nam drogę do Dróżki. Stary w czapce pośrodku, pozostali, znacznie młodsi - niektórzy nawet o pół stulecia - po bokach. Dwóch białych miał po prawej stronie; przypuszczałem, że zdołam się tamtędy przebić, bo najprawdopodobniej obaj byli nie bardziej materialni niż istota, która łomotała w mojej piwnicy...  
A jeśli się myliłem?

- Oddaj ją, synu - zażądał stary piskliwym, stanowczym głosem i wyciągnął ręce. Tak, to był Max Devore. Wrócił i nawet po śmierci chciał dostać dziecko. Zaraz potem doszedłem jednak do wniosku, że to nie on. Ten człowiek miał odrobinę bardziej wydatne kości policzkowe, nieco inne czoło, trochę bardziej błękitne oczy.

- Gdzie ja jestem?- krzyknąłem do niego. Siedzący przed namiotem Angeliny Hindus (przypuszczalnie z Ohio) odłożył flet i gapił się na nas. Towarzyszące mu dziewczyny przerwały taniec i również obserwowały rozwój wydarzeń, - Gdzie jestem, Devore? Gdzie jestem, skoro nasi pradziadkowie srali pod tym samym drzewem?

- Nie jestem tu po to, żeby odpowiadać na twoje pytania. Dawaj ją.

- Ja ją wezmę, Jared - powiedział jeden z młodszych mężczyzn (jeden z tych, którzy byli naprawdę). Zrobiło mi się niedobrze od jego żalostnej gorliwości, ale również dlatego, że rozpoznałem w nim ojca Billa Deana. Człowiek, który później stał się jednym z najbardziej szanowanych obywateli TR, teraz lizał buty Devore'owi.

Nie oceniał go tak surowo, wyszeptła Jo. Nie oceniał zbyt surowo żadnego z nich. Byli wtedy bardzo młodzi.

- Nie musisz nic robić - warknął Devore. Fred Dean skulił się jak kopnięty pies. - Sam mi ją odda, a jeżeli tego nie zrobi, razem mu ją zabierzemy.

Rzuciłem okiem na pierwszego z lewej, też w pełni realnego. Czyżbym to był ja? Nie przypominał mnie ani trochę, choć jego twarz wydawała się jakby znajoma...

- Oddaj ją, Irlandczyku - wycodził Devore. - To twoja ostatnia szansa.

- Nie.

Skinął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- W takim razie, sami ją zabierzemy. To musi się skończyć. Do roboty, chłopcy.

Ruszyli na mnie, a ja uświadomiłem sobie, kogo przypomina mi ten z lewej: Kenny'ego Austera, którego pies żarłby ciastka do rozpuku. Kenny'ego Austera, którego młodszy brat zginął utopiony pod pompą przez własnego ojca.

Rzuciłem okiem do tyłu; Czerwonoczubi nadal grali, Sara wciąż się śmiała z rękami wyrzuconymi w górę, kołysząc biodrami, scenę wciąż otaczał gęsty tłum. Nawet gdyby nikt nie było, nie mógłbym uciekać w tę stronę, bowiem skończyłoby się na tym, że na zawsze pozostałbym w tej epoce i musiałbym samotnie wychowywać małą dziewczynkę, zarabiając na życie pisaniem tanich romansów. Może i nie byłoby to takie złe, gdyby nie fakt, że parę kilometrów i kilkadziesiąt lat stąd na Kyrę czekała z utęsknieniem pewna młoda kobieta. Kto wie, może czekała na nas oboje?

Odwróciłem się, zauważając, że zabijaki są już prawie przy mnie. Niektórzy bardziej, inni mniej realni, ale wszyscy od dawna martwi. I potępieni. Wbiłem wzrok w tego, wśród którego potomków miał się znaleźć Kenny Auster, i zapytałem:

- Co zrobiliście? Na litość boską, co takiego zrobiliście? Wyciągnął rękę.

- Oddaj ją, Irlandczyku. Nic więcej od ciebie nie chcemy. Zrobicie sobie więcej dzieci. Ile tylko będziecie chcieli.

Jest młoda, będą z niej wyskakiwać jak pestki z wiśni.

Stałem jak zahipnotyzowany i chyba by mi ją zabrali, gdyby nie Kyra.

- Co się dzieje? - wykrzyknęła, nie odrywając twarzy od mojej koszuli. - Tu coś śmierdzi! Tu coś okropnie śmierdzi! Mikę, niech przestanie!

Teraz i ja to poczułem. Zepsute mięso i gaz gnilny. Wzdęte jelita i rozkładające się tkanki. Devore, bez wątpienia najmniej martwy ze wszystkich, wciąż roztaczał wokół siebie tę samą aurę co jego prawnuk, ale też był trupem, jak pozostali. Z bliska dostrzegłem drobne, wijące się robaki w jego nozdrzach i różowych kącikach oczu. Tu jest tylko śmierć, pomyślałem. Powiedziała mi to moja własna żona.

Wyciągnęli sine ręce, żeby najpierw dotknąć Kyry, a potem ją zabrać. Cofnąłem się o krok, spojrzałem w prawo... i zobaczyłem jeszcze więcej duchów. TM«»--» - ««-«

Wyłaziły z pustych

otworów okiennych, wychylały się z kominów. Co sił w nogach popędziłem do Nawiedzonego Domu.

- Łapać go! - zaskrzeczał Jared Devore. - Łapać go, chłopcy! Dorwać tego drania!

Kilkoma susami pokonałem drewniane schody. Ledwo zarejestrowałem, że coś miękkiego ociera mi się o policzek - pluszowy piesek Kii, którego wciąż ścisnęła w rączce. Kusiło mnie, żeby spojrzeć wstecz i sprawdzić, jaka odległość dzieli mnie od pościgu, ale nie odważyłem się tego zrobić. Gdybym się potknął...

- Hej! - zawołała kobieta w okienku kasowym. Miała skołtunione rude włosy, makijaż zrobiła sobie chyba miotłą i na szczęście nie przypominała nikogo znajomego. Była stąd, z lunaparku, który odwiedził to mroczne miejsce. Szczęściara. - Proszę pana, a bilet?

Kiedy indziej, damulko. Kiedy indziej.

- Zatrzymać go! - krzyczał za mną Devore. - To złodziej!

Ukradł dziecko! Łapać go!

Nikt tego jednak nie zrobił i z Kyrą w ramionach wpadłem do Nawiedzonego Domu.

Zaraz za drzwiami znajdowało się przejście tak wąskie, że musiałem przecisnąć się przez nie bokiem. Z ciemności spoglądały na nas fosforyzujące oczy, z przodu dobiegał narastający łomot i brzęczenie łańcuchów, z tyłu dudnienie ciężkich buciorów po schodach. Rudowłosa bileterka wrzeszczała co sił w płucach, że jeśli coś popsują, będą musieli zapłacić.

- Pamiętajcie, łobuzy, że was ostrzegałam! To miejsce dla dzieciaków, nie dla takich jak wy!

Jednostajny łomot był tuż-tuż. Coś się obracało.

W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, co takiego.

- Puść mnie, Mike! - zapiszczała Kyra. - Ja chcę sama! Postawiłem ją na podłodze, po czym zerknąłem nerwowo przez ramię. Pościg utknął w wąskim przejściu.

- Idioci! - ryczał Devore. - Nie wszyscy naraz! Słodki Jezus, ruszcie trochę głowami!

Rozległ się odgłos uderzenia, zaraz potem czyjś bolesny okrzyk. Spojrzałem w przód w samą porę, by zobaczyć, jak Kyra z szeroko rozłożonymi ramionami przebiega przez obracającą się ogromną bekę. Nieprawdopodobne, ale się śmiała. Podążyłem za nią, dotarłem mniej więcej do połowy, straciłem równowagę i rozciągnąłem się jak długi.

- Bach! - zawołała Kyra, po czym zachichotała, ponieważ usiłując wstać przewróciłem się ponownie. Z kieszeni na piersi wypadła mi chustka, z innej torebka z cukierkami. Spróbowałem się obejrzeć, ale niewiele zdążyłem zobaczyć, ponieważ wykonałem kolejne salto. Wiedziałem już, jak czuje się bielizna podczas wirowania.

Dopelzłem do końca beczki, złapałem Kię za rękę i pozwoliłem poprowadzić się w głąb Nawiedzonego Domu. Najwyżej po dziesięciu krokach coś białego rozkwitło wokół niej jak lilia i jednocześnie rozległo się wściekle syknięcie jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Ki wrzasnęła przeraźliwie, ja zaś dostałem zastrzyk adrenaliny i niewiele brakowało, żebym z całej siły szarpnął ją za rękę i ponownie chwycił w ramiona, gdyby nie to, że syknięcie powtórzyło się, poczułem na nogach podmuch ciepłego powietrza, a sukienka Kyry ponownie wyduła się jak balon. Dziewczynka krzyknęła jeszcze raz, ale z zachwytu.

- Idziemy - szepnąłem. - Szybko!

Niebawem dotarliśmy do korytarza luster, gdzie najpierw mogliśmy się podziwiać jako rozplaszczone karły, a potem jako wydłużone pajęczaki o twarzach wampirów. Musiałem znowu poganiać Kyrę, bo zatrzymywała się co krok i robiła miny. Z tyłu dobiegały łomoty i przekleństwa świadczące o tym, że pościg dotarł do beczki śmiechu. Devore klął razem ze wszystkimi, ale jego głos nie był już taki dominujący.

Nagle straciliśmy grunt pod nogami i zsunęliśmy się po zjeżdżalni na wielkie poduchy, które zareagowały donośnym pierdzącym odgłosem. Kyrę chwycił tak silny paroksyzm śmiechu, że przez dłuższą chwilę leżała na wznak i bezsilnie wierzgała nóżkami, a po policzkach płynęły jej wielkie łzy. Musiałem chwycić ją pod pachy i siłą postawić na nogi.

- Nie łachotać zawodnika! - upomniała mnie i znowu zaczęła zaśmiewać się do rozpuku. Po niedawnym przerażeniu nie zostało nawet wspomnienie.

Weszliśmy w kolejny wąski korytarzyk. Pachniał świeżym sosnowym drewnem, z którego został zbudowany. Za jego ścianami dwa „duchy” potrzęsały łańcuchami w tak równym rytmie, jakby pracowały przy taśmie w fabryce obu-



wia, dyskutując o tym, gdzie wybrać się wieczorem z dziewczętami i kto powinien przynieść „czerwone oko”, cokolwiek to było. Odgłosy pościgu ucichły, Kyra szła przed siebie pewnym krokiem, prowadząc mnie za rękę. Dotarłszy do drzwi z namalowanymi szalejącymi płomieniami i napisem TĘDY DO HADESU, pchnęła je bez wahania. Podsufitowe lampy z czerwonymi kloszami rozsiewały blask - przynajmniej moim zdaniem - stanowczo zbyt przyjemny jak na Hades.

Wydawało mi się, że nasza wędrówka trwa bardzo długo, i chyba tak było, nie słyszałem już bowiem ani parowych organów, ani soczystych brzęknięć&dzwonka na szczycie pala, ani Sary i Czerwonoczubych. Nogi podpowiadały mi, że przebyliśmy co najmniej pół kilometra. Czy to możliwe, żeby Nawiedzony Dom w lunaparku był aż tak duży?

W chwili, kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, stanęliśmy przed trójgigem drzwi: dwoje znajdowało się w bocznych ścianach korytarza, jedno na jego końcu. Na tych po prawej namalowano czerwony trójkołowy rowerek, na tych po lewej - moją zieloną maszynę do pisania, natomiast obrazek na środkowych wyglądał na znacznie starszy od tamtych i przedstawiał dziecięce sanki. To sanki Scootera Larribee, pomyślałem. Te, które ukradł Devore.

Moje ramiona i kark pokryły się gęsią skórką.

- A to nasze zabawki - oznajmiła Kyra pogodnym tonem i podniosła wyżej Stricklanda, przypuszczalnie po to, żeby mógł sobie obejrzeć czerwony rowerek.

- Chyba masz rację - przyznałem.

- Dzięki, że mnie stamtąd zabrałeś - dodała. - Ci panowie byli paskudni, ale w domu z duchami było bardzo wesoło. Stricklandowi też się podobało.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, otworzyła drzwi z namalowanym trójkołowcem i weszła do środka. Drzwi za-

trzasnęły się za nią, ja zaś w tej samej chwili zauważyłem wstążkę z jej kapelusza, wystającą z napiersnej kieszeni mego kombinezonu. Przyglądałem jej się przez chwilę, po czym nacisnąłem klamkę drzwi, przez które przeszła Kyra. Nie ustąpiły, uderzyłem więc w nie dłonią; odniosłem wrażenie, że są zrobione nie z drewna, tylko z jakiegoś niezwykle twardego metalu. Cofnąłem się o krok, odwróciłem w kierunku, z którego przyszliśmy, i wyteżyłem słuch. Nic. Całkowita cisza.

Jesteśmy między czasem, domyśliłem się. Ci, którzy opowiadają, że trafili „do innego wymiaru”, byli właśnie tutaj.

Rusz się, Mike, usłyszałem głos Jo. Jeśli nie chcesz tu zostać na zawsze, ruszaj się jak najprędzej.

Nacisnąłem klamkę drzwi z namalowaną maszyną do pisania. Poddała się bez oporu. Za drzwiami zaczynał się kolejny wąski drewniany korytarzyk wypełniony zapachem sosnowych desek. Nie spodobał mi się, za bardzo przypominał wnętrze długiej trumny, ale nie miałem wyboru; zrobiłem krok naprzód... i drzwi zatrasnęły się za moimi plecami.

Boże, pomyślałem. Zupełnie sam, w ciemności, w zamkniętym pomieszczeniu... Najwyższa pora na jeden ze słynnych ataków paniki w wykonaniu Michaela Noonana.

Jednak na mojej piersi nie zacisnęły się stalowe obręcze i choć serce biło mi w przyspieszonym tempie, a w żyłach tętniła krew ze sporą domieszką adrenaliny, to jednak całkowicie panowałem nad sobą. Poza tym, ciemność wcale nie była całkowita, bo mogłem jako tako dostrzec ściany i podłogę. Owinąłem sobie wstążkę Kii wokół nadgarstka, upewniłem się, że mi się nie zsunie, po czym ruszyłem powoli naprzód.

Szedłem bardzo długo, korytarz bez żadnej widocznej przyczyny skręcał to w lewo, to w prawo. Czuję się jak mikrob przemierzający czyjeś wnętrze. Wreszcie dotarłem do dwójga wysokich, zwieńczonych łukami otworów drzwiowych.

Zatrzymałem się i zastanawiałem, które powinienem wybrać, kiedy z lewej odnogi korytarza dobiegło ciche, ale wyraźne dzwonięcie dzwoneczka Buntera. Skierowałem się w tamtą stronę. Dźwięki szybko przybierały na sile, po jakimś czasie zaś zaczęły im towarzyszyć przytłumione odgłosy burzy. Jesienny chłód ustąpił miejsca parnej duchocie. Spojrzawszy w dół stwierdziłem, że brudne<sup>^</sup> niezgrabne buciory znikły; teraz miałem na sobie ciepłą bieliznę i grube szorstkie skarpety.

Jeszcze dwukrotnie musiałem podejmować decyzję co do kierunku dalszej wędrówki i za każdym razem wybierałem tę odnogę, w której słyszałem dzwonek Buntera. Przy drugim rozgałęzieniu w ciemności rozległ się całkiem wyraźny głos:

- Nie, żona prezydenta nie została trafiona. Krew na rajstopach jest krwią męża.

Zatrzymałem się powtórnie dopiero wtedy, kiedy zdałem sobie sprawę, że stopy już mnie nie swędzą, a nogi nie pocą się pod grubymi kalesonami. Miałem na sobie spodenki, w których zazwyczaj spałem. Podniósłszy wzrok, stwierdziłem, że jestem we własnym salonie i pomału przesuwam się między meblami, tak jak zwykle czynimy, kiedy zgaśnie światło, a nie chcemy uderzyć się boleśnie w palec. Teraz widziałem trochę lepiej, ponieważ przez okno sączył się przyćmiony mleczny blask. Dotarłem do bufetu, który oddziela pokój od kuchni, i spojrzałem na zegar; pięć po piątej.

Podszedłem do zlewozmywaka, odkręciłem kurek. Sięgając po szklanę, zauważyłem granatową wstążkę owiniętą wokół nadgarstka. Odwiązałem ją i położyłem na blacie między ekspresem do kawy a małym telewizorem, po czym nalałem do szklanki trochę zimnej wody, wypilem i ostrożnie powędrowałem korytarzem do północnego skrzydła. Najpierw skręciłem do łazienki, wysikałem się, a następnie wszedłem do sypialni. Pościel była wymięta, łóżko jednak wyglądało znacz-

nie porządniej niż po nocy, kiedy przyśniły mi się Sara, Mattie i Jo. Cóż w tym dziwnego? Przecież tylko wstałem i trochę sobie polunatykowałem, śniąc o festynie we Fryeburgu.

Tyle że była to nieprawda. Przecież miałem wstążkę z kapelusza Kyry, a poza tym nie doświadczyłem tego towarzyszącego przebudzeniu olśnienia, kiedy to, co jeszcze przed chwilą całkowicie naturalne, staje się zupełnie nieprawdopodobne, a żywe jeszcze niedawno i jaskrawe kolory raptownie bledną. Podniosłem ręce, zbliżyłem je do nosa i zrobiłem głęboki wdech. Sosna. Przyjrzawszy się im z bliska, dostrzegłem nawet plamkę rozmazanej żywicy.

Usiadłem na łóżku i przez chwilę zastanawiałem się, czy nagrać na taśmę relację o swoich przeżyciach, ale w końcu rzuciłem się na poduszkę. Byłem potwornie zmęczony. Za-grzmiało. Przymknąłem powieki i niemal od razu zacząłem zasypiać, kiedy nagle nocną ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk, ostry niczym krawędź stłuczonej szklanej tafli. Ja również krzyknąłem i gwałtownie usiadłem na łóżku, z obiema rękami przyciśniętymi do piersi.

To była Jo. Za jej życia nigdy nie słyszałem tak straszne-go krzyku, jednak bez trudu ją rozpoznałem.

- Zostawcie ją w spokoju! - ryknąłem w ciemność. -

Kimkolwiek jesteście, zostawcie ją w spokoju!

Wrzask rozległ się ponownie, jakby ktoś uzbrojony w nóż, obcęgi albo rozgrzany do białości pogrzebacz z sady-styczną przyjemnością postanowił mi udowodnić, że nie ma zamiaru mnie posłuchać. Tym razem jednak dobiegał z więk-szej odległości, trzeci zaś krzyk, choć równie przeraźliwy jak dwa poprzednie, był już ledwo słyszalny. Cichły tak samo jak przedtem szlochanie chłopca.

W ciemności rozległ się jeszcze jeden, słaby krzyk, po czym w Sarze zapadła cisza. Dom oddychał bezgłośnie wokół mnie,

żywy, w pełni świadomy, skąpany w upale i łoskotach burzy.

## Rozdział 22

Wreszcie udało mi się zasiąść do pracy, ale niewiele dokonałem. Trochę pobazgroliłem w dużym notatniku, który zawsze mam pod ręką na wypadek, gdybym musiał szybko zapisać jakiś pomysł albo szczegół, ale kartka nawinięta na wałek IBM-a pozostała pusta. Serce nie trzepotało mi w piersi jak ptak w klatce, nie łzawiły mi oczy i nie miałem kłopotów z oddychaniem (krótko mówiąc, nie dopadł mnie atak paniki), ale nic sensownego nie chciało mi przyjść do głowy. Andy Drake, John Shackelford, Ray Garraty i piękna Regina Whiting odwrócili się do mnie plecami i ani myśleli się odezwać lub poruszyć. Stosik zapisanych kartek leżał tam gdzie zawsze, na lewo od maszyny, przyciśnięty kawałkiem kwarcytu, który znalazłem na drodze, lecz nic się nie działo. Pustka.

Dostrzegłem w tym pewną ironię, może nawet morał. Przez wiele lat uciekałem przed problemami rzeczywistego świata w rozmaite Narnie mojej wyobraźni. Teraz ów świat zaroił się od rozmaitych stworów z groźnymi zębiskami, coś w nim huczało i zawodziło, a ja miałem za plecami już tylko ścianę.

Kyra, napisałem, otoczyłem imię czymś w rodzaju na pół rozwiniętej róży, niżej zaś narysowałem bochenek chleba z włożonym na bakier beretem; proszę państwa, tak oto Michael Noonan wyobraża sobie francuski tost. Do tego inicjały L.B. otoczone esami-floresami, koszulka z kaczką na piersi, obok Kwa, Kwa!, a poniżej: Powinna wybrać „Bon Voyage”.

W innym miejscu napisałem: Dean, Auster i Devore. Ci trzej wydawali się najbardziej materialni i niebezpieczni. Dlatego, że ich potomkowie żyli w moich czasach? A co z pozostałą czwórką? Przecież ludzie mnożyli się wtedy jak króliki.

A najważniejsze, gdzie ja właściwie byłem? Na to pytanie Devore nie chciał mi odpowiedzieć.

O wpół do dziesiątej rano, w duszącym upale, mój sen już ani trochę nie wydawał się snem. Co więc pozostawało? Halucynacje? Podróż w czasie? A jeżeli podróż, to w jakim celu? Jakie było przesłanie i kto usiłował mi je przekazać? Doskonale pamiętałem, co powiedziałem tuż przed obudzeniem ze snu, w którym przyniosłem z pracowni Jo maszynę do pisania: „Nie wierzę w te kłamstwa<sup>^</sup>. Nic się nie zmieniło. Na razie powinienem w nic nie wierzyć przynajmniej do czasu, kiedy wreszcie zobaczę choć skrawek prawdy.

U góry strony wypisałem drukowanymi, grubymi literami słowo NIEBEZPIECZEŃSTWO!, wzięłem je w kółko, z kółka wyprowadziłem strzałkę do Kyry, od Kyry poprowadziłem kolejną, do „Powinna wybrać »Bon Voyage«”, a obok dopisałem MATTIE.

Tuż pod bochenkiem chleba w berecie narysowałem aparat telefoniczny z komiksowym dymkiem i Drrrrrr! w środku. Ledwo skończyłem, zadzwonił telefon. Zostawiłem go na tarasie. Narysowałem kółko wokół MATTIE, po czym poszedłem odebrać.

-Mike?

Była podekscytowana. Szczęśliwa. Zadowolona.

- Aha. Jak się masz?

- Świetnie!

Wzięłem w kółko „L.B.”.

- Dziesięć minut temu zadzwoniła Lindy Briggs. Dopiero co skończyłam z nią rozmawiać. Postanowiła przyjąć mnie z powrotem do pracy! Czy to nie cudownie?

Jasne. Teraz Mattie na pewno nie ruszy się z miasteczka. Przekreśliłem „Powinna wybrać »Bon Voyage«”, ponieważ stało się oczywiste, że Mattie nie wyjedzie. W każdym razie,

nie teraz. Poza tym, jak miałbym jej to zasugerować?

- Jesteś tam, Mike?

- Tak, i bardzo się cieszę. - Bez trudu wyobraziłem ją sobie, jak stoi w kuchni i przesuwając między palcami przewód od słuchawki. Widziałem jej smukłe opalone nogi, dżinsowe szorty, białą bawełnianą koszulkę z wielką żółtą kaczką z przodu. - Mam nadzieję, że Lindy zdobyła się na to, żeby cię przeprosić?

Narysowana przeze mnie koszulka również znalazła się w kółku.

- Owszem. Była tak szczera, że zupełnie mnie rozbroiła. Powiedziała mi, że na początku zeszłego tygodnia rozmawiała z nią Rogette Whitmore i kazała jej natychmiast mnie zwolnić. Gdyby Lindy tego nie zrobiła, Devore natychmiast przestałby pomagać finansowo bibliotece. Lindy musiała z jednej strony położyć na szali dobro biblioteki, a z drugiej moje. Wyznała mi, że to była najtrudniejsza decyzja w jej życiu.

- Aha. - Moja ręka sama się poruszała, niczym talerzyk podczas seansu spirytystycznego. **PROSZĘ CZY MOGĘ BARDZO PROSZĘ** - to był jej najnowszy wytwór. - Pewnie jest w tym trochę prawdy, ale... Jak myślisz, ile ona zarabia?

- Nie mam pojęcia.

- Ja też nie, ale założę się, że więcej niż trzy dowolne bibliotekarki w tym stanie razem wzięte.

W tle usłyszałem głosik Kyry:

- Mamusi, mogę ja teraz porozmawiać? Proszę! Czy mogę? Bardzo proszę!

- Za chwilę, kochanie. - Do mnie: - Być może. Dla mnie najważniejsze jest to, że znowu mam pracę, i chętnie zapomnę o wszystkim, co było.

Narysowałem książkę, a między nią a koszulką z kaczką



dodałem kilka zachodzących na siebie kółek.

- Ki chce z tobą rozmawiać. Mówi, że w nocy byliście we dwójkę na festynie we Fryeburgu.

- Chcesz powiedzieć, że miałem randkę z taką ładną dziewczyną i przespałem ją?

- Na to wygląda. Mogę już ją dać?

- Możesz.

- No, to uwaga. Puszczam katarynkę.

Rozległy się szelesty i szurgoty, a potem usłyszałem pod-  
ekscytowany głos Kii:

- Wyłachotałam cię na festynie, Mikę! Wyłachotałam za-  
wodnika!

- Naprawdę? To musiał być bardzo przyjemny sen.

W słuchawce zapadła cisza. Mattie z pewnością zacho-  
dziła w głowę, co się stało z jej małą katarynką. Wreszcie Ki  
powiedziała z wahaniem:

- Byliśmy tam razem, Mikę... Widzieliśmy tańczące pa-  
nie... słupek z dzwonkiem... poszliśmy do domu z duchami, i ty  
przewróciłeś się w beczce... To nie był sen, prawda?

Oczywiście mogłem jej wmawiać, że nic podobnego, że to  
tylko sen, ale coś mnie ostrzegło, że to niedobry pomysł,  
a nawet, w pewnym sensie, niebezpieczny.

- Miałaś śliczny kapelusik i bardzo ładną sukienkę.

- Tak! - wykrzyknęła z ulgą. - A ty...

- Kyra, wysłuchaj mnie.

Natychmiast umilkła. "

- Wydaje mi się, że nie powinnaś zbyt dużo rozmawiać  
o tym śnie, ani z mamą, ani z kimkolwiek, oprócz mnie.

- Oprócz ciebie.

- Właśnie. To samo dotyczy ludzi z lodówki. W porząd-  
ku?

- W porządku. Tam była też pani w sukience Mattie.

- Wiem. A gdzie teraz jest Mattie?

- Podlewa kwiatki. Mamy mnóstwo kwiatków, co najmniej miliard. Muszę teraz posprzątać ze stołu. To takie domowe obowiązki, aleja nawet lubię domowe obowiązki. Na śniadanie miałyśmy francuskie tosty. W niedziele zawsze jem francuskie tosty. Są pyszne, a najbardziej z syropem truskawkowym.

- Wiem - odparłem. Na mojej kartce pojawiła się strzałka wycelowana w bochenek chleba w berecie. - Ja też lubię francuskie tosty. Czy opowiedziałaś swojej mamie o tej pani w jej sukience?

- Nie. Bałam się, że się przestraszy. - Zniżyła głos. - Już wraca!

- Czyli umowa stoi? To będzie nasza tajemnica, dobrze?

- Jasne!

- Mogę jeszcze porozmawiać z Mattie?

- No pewnie. Mamusiu, Mikę chce z tobą rozmawiać! -  
Po krótkiej przerwie: - Przyjedziesz dzisiaj do nas? Pojechalibyśmy na piknik, jak wtedy...

- Nie mogę, Ki. Mam mnóstwo pracy.

- Mattie nigdy nie pracuje w niedziele.

- Kiedy piszę książkę, pracuję codziennie. Muszę, bo inaczej zapomniabym, co wymyśliłem. Może uda nam się wybrać na piknik we wtorek. Zrobilibyśmy grilla przy waszym domu.

- Czy daleko do wtorku?

- Niedaleko. To już pojutrze.

- Jak długo pisze się książkę?

- Niezbyt długo.

Mattie poprosiła córeczkę, żeby ta oddała jej słuchawkę.

- Już, już, za chwileczkę. Mikę...

-Tak?

- Kocham cię.

Ogarnęło mnie wzruszenie, ale i przerażenie. Przez chwilę byłem pewien, że już nigdy nie zdołam wykrztusić ani słowa, ale ucisk w gardle szybko minął.

- Ja też cię kocham, Ki.

- No to daję Mattie.

Znowu szelesty towarzyszące przekazywaniu słuchawki, a potem głos Mattie:

- Czy po tej rozmowie przypomniał pan sobie szczegóły randki z moją córką?

- Najważniejsze, że ona je sobie przypomniała.

Między mną a Mattie również istniał silny związek, ale ta sprawa jej nie dotyczyła. Byłem tego pewien.

Roześmiała się. Tego ranka znajdowała się w świetnym nastroju i za nic nie chciałbym jej go zakłócić, ale mnie również zależało na tym, żeby nie pomyliła białej ciągłej linii pośrodku jezdni z przejściem dla pieszych.

- Mattie, mimo wszystko nadal musisz zachować ostrożność. Fakt, że Lindy Briggs przyjęła cię z powrotem do pracy, nie oznacza jeszcze, że od tej pory masz w miasteczku samych przyjaciół.

- Wiem o tym - westchnęła.

Chciałem ponownie ją zapytać, czy może jednak zdecydowałyby się na jakiś czas wyjechać z Kyrą do Derry - mogłyby zamieszkać w moim domu i przeczekać nawet do jesieni, gdyby zaszła taka potrzeba - ale zrezygnowałem, ponieważ doskonale wiedziałem, że tego nie zrobi. Kiedy zaproponowałem jej, że zapłacę błyskotliwemu, ale drogiemu prawnikowi z Nowego Jorku, nie miała wyboru. W tej sprawie miała wybór, albo przynajmniej tak jej się wydawało. W jaki sposób mógłbym wpłynąć na zmianę jej decyzji? Nie

potrafiłem przedstawić żadnych logicznych argumentów. Mogłem tylko mętnie opisywać jakiś niezidentyfikowany, niewyraźny kształt, zagrzebany pod dwudziestoma pięcioma centymetrami matowego lodu.

- Szczególnie uważaj na dwóch ludzi: Billa Deana i Kenny'ego Austera. Kenny to ten...

- Wiem, wiem. Ten z ogromnym psem, któremu wiąże chustę na szyi i...

- To Bobówka! - wykrzyknęła Kyra niezbyt daleko. - Bobówka polizał mnie kiedyś po buzi!

- Idź się bawić, kochanie.

- Aleja sprzątam ze stołu!

- Dokończysz później. Teraz idź na dwór. - Zaczekała, aż mała zabierze Stricklanda i wyjdzie z kuchni, po czym, choć została sama w przyczepie, zapytała przyciszonym głosem: - Chcesz mnie przestraszyć?

- Nie - odparłem, opasując kolejnymi kółkami słowo NIEBEZPIECZEŃSTWO. ^Chcę tylko, żebyś na siebie uważała. Bili i Kenny mogą być w drużynie Devore'a, tak samo jak Footman i Osgood. Nie pytaj mnie, dlaczego tak myślę, bo nie otrzymasz sensownej odpowiedzi. To tylko przecucie, ale odkąd wróciłem do TR, moje przecucia są znacznie celniejsze.

- Co przez to rozumiesz?

- Czy masz teraz na sobie bluzkę z kaczką?

- Skąd wiesz? Kyra ci powiedziała?

- Czy wychodząc z kuchni zabrała ze sobą tego pluszowego pieska od McDonald'sa?

W słuchawce zapadła cisza. Trwała bardzo długo, a kiedy Mattie wreszcie się odezwała, miała zupełnie zmieniony głos.

- Mój Boże... Jak...

- Nie mam pojęcia jak. Nie mam też pojęcia, czy nadal grozi ci niebezpieczeństwo, ale wydaje mi się, że tak. Kyrze też.

Powiedziałbym więcej, gdybym się nie bał, że zacznę mnie podejrzewać o chorobę umysłową.

- Przecież on umarł! - wybuchnęła. - Nie żyje! Dlaczego nie zostawi nas w spokoju?

- Może zostawił. Może się myłę. Mimo to ostrożność nigdy nie zawadzi.

- To prawda - przyznała. - Przynajmniej zazwyczaj.

- Zazwyczaj?

- Mikę, dlaczego do mnie nie przyjedziesz? Może i my wybralibyśmy się razem na festyn?

- Spróbujemy jesienią. We trójkę.

- Bardzo bym chciała.

- A tymczasem wciąż myślę o tym kluczu pod skrzynką.

- Właśnie na tym polega twój problem, Mikę: za dużo myślisz.

Roześmiała się z odrobiną goryczy. Doskonale rozumiałem, co ma na myśli, ona natomiast zupełnie nie rozumiała, że druga połowa mojego problemu to uczucie. Każda ciążnie w swoją stronę i dla większości z nas kończy się to śmiercią przez rozszarpanie.

Wyłączyłem maszynę z kontaktu i położyłem na niej plik zapisanych kartek. Koniec z pracą, przynajmniej na jakiś czas. Chwilowo musiałem się pożegnać z Andym Drakiem i Johnem Shackelfordem. Kiedy po raz pierwszy od, jak mi się wydawało, paru tygodni, wkładałem długie spodnie i zapinaną na guziki koszulę, przyszło mi do głowy, że być może coś -jakaś siła - próbowała uspić moją czujność za pomocą tworzonej przeze mnie historii, a raczej za pomocą odzyskanej zdolności tworzenia. Nie było to pozbawione

sensu, pracę bowiem zawsze traktowałem jak ulubioną używkę, działającą znacznie silniej niż alkohol albo nawet mellaril, którego fiolka wciąż jeszcze stała w szafce z lekarstwami. Praca mogła też pełnić funkcję strzykawki napełnionej przypominającymi halucynacje snami. Trans jest jak narkotyk. Twierdzą tak nawet koszykarze: kiedy wejdą w trans, nie bardzo wiedzą, co się z nimi dzieje. Ja właśnie byłem w transie.

Zgarnąłem kluczyki z szafki i przy okazji zerknąłem na lodówkę. Magnesiki znowu tworzyły okrąg, a w nim znajdowała się znana mi już wiadomość, teraz w pełni czytelna dzięki dodatkowemu zestawowi liter:

pomóż jej

- Robię, co mogę - powiedziałem i wyszedłem.

Pięć kilometrów na północ od Sary Laughs, przy szosie numer 68 (na tym odcinku nazywa się Castle Rock Road), stoi szklarnia, a przy niej mały sklepik. Nazywa się Zieleninka. Jo spędzała tam sporo czasu, kupując różne rzeczy do ogródka albo po prostu plotkując z dwiema kobietami, które prowadzą interes. Jedną z nich była Helen Auster, żona Kenny'ego.

W ów niedzielny poranek dotarłem tam około dziesiątej rano (sklep, rzecz jasna, był otwarty, ponieważ w sezonie niemal wszyscy właściciele sklepów w Maine przeistaczają się w pogan) i zaparkowałem obok beamera z nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi. Wysłuchałem prognozy pogody -jeszcze co najmniej przez dwa dni miało być parno i gorąco - po czym wysiadłem z samochodu. W tej samej chwili ze sklepu wyszła kobieta w kostiumie kąpielowym, plażowej spódnicy i ogromniastym żółtym kapeluszu przeciwsłonecznym, niosąc oburącz torbę z mchem torfowcem. Uśmiechnęła się do mnie, a ja, choć odwzajemniłem się uśmiechem, już

sekundę później zapomniałem o jej istnieniu. Była z Nowego Jorku, czyli nietutejsza, a mnie interesowali wyłącznie tacy.

W sklepie było jeszcze cieplej i bardziej parno niż na zewnątrz. Lila Proulx, współwłaścicielka, rozmawiała przez telefon. Stała przy kasie tuż przed niedużym wentylatorkiem i wachlowała się skrajem bluzki. Pomachała mi na powitanie palcami; skopiowałem ten gest, czując się dziwnie obco we własnym ciele. Chyba wciąż byłem w transie.

Łaziłem bez celu po sklepie, brałem to i owo do ręki, ale przez cały czas obserwowałem Lilę kątem oka, by nie przegapić chwili, kiedy skończy rozmowę. Mój wewnętrzny hipernapęd wciąż mruczał cichutko. Wreszcie odłożyła słuchawkę, a ja natychmiast podszedłem do kasy.

- Michael Noonan! Co za radość dla moich starych oczu!

- Zaczęła podliczać moje zakupy. Nie miałem pojęcia, co wybrałem. - Okropnie mi przykro z powodu Johnny. Nie ma co ukrywać: była taka rozkoszna!

- Dziękuję, Lila.

- Bardzo proszę. Ja zawsze mówię, że nie ma co ukrywać. Trzeba mówić to, co się myśli. Widzę, że chcesz zabawić się w ogrodnika?

- Pod warunkiem, że się trochę ochłodzi.

- Ano właśnie! Czy nie jest okropnie? - Ponownie zawachlowała bluzką, aby podkreślić, jak bardzo jest okropnie, po czym wskazała jeden z pakunków. - Dać ci na to osobną torbę? Lepiej dmuchać na zimne, to moje życiowe hasło.

Skinąłem głową. Przy kasie stała tabliczka z odręcznym napisem: Świeże borówki.

- Wezmę też pół litra borówek- powiedziałem. - Pod warunkiem, że nie są z piątku.

- Jeszcze wczoraj rosły na krzaczkach. Świeższych ni-

gdzie nie znajdziesz.

- Zdaje się, że pies Kenny'ego wabi się Borówka? - zagadnąłem jakby nigdy nic.

- Zabawne imię, prawda? Lubię duże psy, pod warunkiem, że są dobrze wychowane.

Otworzyła lodówkę, odmierzyła pół litra jagód i wsypała je do foliowego woreczka.

- A gdzie Helen? - zapytałem. - Ma wolne?

- Ona i wolne? - prychnęła Lila. - Jeśli jest w mieście, nie da jej się stąd wygonić nawet kijem. Pojechała z Kennym i dziećmi nad morze, do Taxachusetts. Razem z rodziną jej brata wynajmują co roku na dwa tygodnie dom przy samej plaży. Borówka do upadłego ugania się za mewami. - Roześmiała się tak głośno i soczyście, że przyszła mi na myśl Sara Tidwell. A może to przez spojrzenie, jakim obdarzyła mnie Lila? W jej oczach nie było nawet śladu wesołości. Mierzyła mnie zimnym, badawczym wzrokiem.

Boże, przestań wreszcie! - usiłowałem przywołać się do porządku. Przecież to niemożliwe, żeby wszyscy byli w to zamieszani!

A niby dlaczego? Przecież jest coś takiego jak świadomość zbiorowa; każdy, kto w to wątpi, nigdy nie uczestniczył w posiedzeniu komitetu obywatelskiego w dowolnym miasteczku Nowej Anglii. Tam, gdzie jest świadomość, znajdzie się też miejsce dla podświadomości. Skoro Kyrze i mnie udało się nawiązać łączność telepatyczną, inni również mogli tego dokonać, nawet nic o tym nie wiedząc. Bądź co bądź, chodziliśmy po tej samej ziemi, oddychaliśmy tym samym powietrzem, kąpaliśmy się w tym samym jeziorze. Korzystaliśmy nawet z tej samej Dróżki, gdzie dobrodusze szczeniaki i krwiożercze psiska przechadzały się obok siebie.

Kiedy dostałem z powrotem swoje sprawunki zapakowa-



ne w dużą torbę i odwróciłem się do drzwi, Lila powiedziała:

- Co za nieszczęście z tym Royce'em Merrillem! Słyszałeś chyba?

-Nie. ,

- Wczoraj wieczorem spadł ze schodów w piwnicy. Zupełnie nie rozumiem, co człowiek w jego wieku robił na takich wąskich i stromych schodkach, ale starzy ludzie miewają najdziwaczniejsze pomysły.

Już otwierałem usta, żeby zapytać, czy umarł, ale w ostatniej chwili przeformułowałem pytanie zgodnie ze zwyczajami obowiązującymi w TR:

- Czy... \eee... odszedł?

- Jeszcze nie, ale jest w śpiączce. Leży w szpitalu w Castle Rock. Lekarze wątpią, czy się obudzi. Kiedy umrze, umrze z nim spory kawał historii.

- To prawda - przyznałem. I bardzo dobrze, dodałem w myślach. - Ma dzieci?

- Nie. Merrilowie mieszkali w tej okolicy od dwustu lat, ale co zrobić, wszystkie stare rodziny wymierają. Cóż, życzę ci miłego dnia, Mikę.

Powiedziała to z uśmiechem, ale jej wzrok wciąż był chłodny i badawczy. Wsiadłem do samochodu, postawiłem torbę z zakupami na fotelu pasażera i przez minutę siedziałem bez ruchu, czekając, aż chłodne powietrze z klimatyzatora ostudzi mi twarz. A więc Kenny Auster był w Taxachusetts. To dobrze. Krok we właściwym kierunku.

Pozostał jednak Bili Dean.

- Billa nie ma - oświadczyła Yvette.

Stała w drzwiach, usiłując zablokować mi drogę, co szło jej nie najlepiej, ponieważ miała około półtora metra wzrostu i ważyła z pewnością nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Przyglądała mi się z taką miną, jakby była bramkarzem

w nocnym klubie, ja zaś natarczywym pijaczkiem, który właśnie wrócił po raz trzeci, nie bacząc na to, że już dwukrotnie został wyrzucony na ulicę.

Dom Billa stał na szczycie Peabody Hill, zwrócony frontem do New Hampshire i Vermont. Po lewej stronie znajdowały się trzy ni to garaże, ni to warsztaty, oznaczone wielkimi cyframi na drzwiach; przed drzwiami z numerem 2 stał doskonale mi znany dodge ram. Popatrzyłem znacząco na samochód, potem zaś na Yvette. Zacisnęła usta tak mocno, że prawie całkiem znikły z jej twarzy.

- Pojechał z Butchem Wigginsem do North Conway - powiedziała. - Butch wziął swój wóz, bo po drodze mieli jeszcze...

- Wystarczy, kochanie - odezwał się Bili za jej plecami. Dopiero zbliżało się południe, była niedziela, ja jednak jeszcze nigdy nie słyszałem równie zmęczonego głosu. W zacienionym holu rozległo się ciężkie człapanie, a kiedy Bili wreszcie wyłonił się z półmroku, stwierdziłem ze zdziwieniem, że po raz pierwszy wygląda na swoje lata, a może nawet na więcej. Jak zwykle miał na sobie spodenki i koszulę khaki, ale garbił się tak bardzo, jakby przez cały miniony tydzień od rana do wieczora nosił potwornie ciężkie wiadra z wodą. Zwiotczały mu także mięśnie twarzy, w związku z czym szczęka stała się zbyt wydatna, oczy za duże, usta zbyt obwisłe. Wyglądał po prostu potwornie staro, i tyle. On również nie miał dzieci, które kontynuowałyby tradycję. Stare rodziny rzeczywiście wymierały. I bardzo dobrze.

- Bili...

Uciszył ją gestem ręki. Pokryte odciskami palce lekko drżały.

- Idź do kuchni - powiedział. - Muszę z nim porozmawiać. To nie potrwa długo.

Yvette patrzyła przez chwilę na niego, a kiedy przeniosła wzrok na mnie, jej usta naprawdę przestały istnieć. Została tylko wąziutka czarna kreska, jakby pociągnięcie długopisem. Ta kobieta mnie nienawidziła.

- Jest bardzo zmęczony - powiedziała. - W nocy nawet nie zmrużył oka. To przez ten upał.

Znikła w chłodnym wnętrzu domu, prosta jak kij od szczotki. To dziwne, ale w domach starych ludzi prawie zawsze panuje chłód.

Bili wyszedł na ganek, ale nie podał mi ręki, tylko wepchnął dłonie w kieszenie.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Mikę. Koniec z nami.

- Dlaczego?

W milczeniu spoglądał na zachód, na wzgórza, które nikiły w rozedrganym od gorąca powietrzu, zanim zdążyły stać się górami.

- Próbuję tylko pomóc tej dziewczynie.

Zerknął na mnie spod oka.

- Jasne. A przy okazji wepchnąć łapę pod jej majtki. Przyjeżdżają tu tacy z Nowego Jorku i New Jersey. Latem na narty wodne, zimą na prawdziwe, bez znaczenia. Wszyscy mężczyźni, którzy uganiają się za dziewczynami w tym wieku, wyglądają tak samo: nawet jak mają zamknięte gęby, to języki i tak zwisają im do kolan. Teraz ty też tak wyglądasz, Mikę.

Poczułem się głupio i jednocześnie aż się we mnie zagotowało, ale wbrew jego oczekiwaniom zrezygnowałem z rozwijania tego tematu.

- Co tu się dzieje? - zapytałem. - Co wasi ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie zrobili Sarze Tidwell i jej rodzinie? Czyżbyście tylko zmusili ich do opuszczenia okolicy?

- Nie musieliśmy ich do niczego zmuszać- odparł Bili, ze

wzrokiem wciąż utkwionym we wzgórze. Oczy miał tak wilgotne, jakby płakał, ale na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. - Sami się stąd wynieśli. Jeszcze nie urodził się taki czaruch, co usiedziałyby dłużej w jednym miejscu, jak mawiał mój ojciec.

- Kto zastawił pułapkę, w którą wpadł syn Tidwella?

Właśnie twój ojciec, Bili? A może ojciec Freda?

Oczy drgnęły, szczęka ani trochę.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Słyszę jego płacz w moim domu. Czy wiesz, jak to jest, kiedy w twoim domu płacze martwe dziecko? Jakiś skurwiel złapał go w sidła jak wydrę, a ja teraz muszę wysłuchiwać jego płaczu!

- Będziesz musiał znaleźć sobie kogoś innego do opieki nad domem - powiedział Bili. - Ja już nie mogę tego robić. Nie chcę. Chcę tylko tyle, żebyś sobie poszedł.

- Co się dzieje, Bili? Pomóż mi, na litość boską!

- Pomogę ci solidnym kopniakiem, jeśli zaraz sobie nie pójdziesz.

Przez kilka sekund w milczeniu patrzyłem w załzawione oczy, na mocno zarysowaną szczękę. Gdybym nie wiedział, że ma rozdartą duszę, z łatwością domyśliłbym się tego, patrząc na jego twarz.

- Straciłem żonę, draniu - wycodziłem. - Podobno ją kochałeś.

Szczęka wreszcie drgnęła, a Bili spojrzał na mnie z zaskoczeniem i oburzeniem.

- To nie było tutaj. To w ogóle nie miało nic wspólnego z tym, co działo się tutaj. Być może wyjechała stąd dlatego, że... No, że miała swoje powody, ale po prostu dostała udaru, i tyle. To się mogło zdarzyć wszędzie. Gdziekolwiek.

- Nie wierzę w to, i ty chyba też nie wierzysz. Coś tropi-

ło ją aż do Derry, być może dlatego, że była w ciąży...

Bili wybałuszył oczy. Zawiesił głos, dając mu szansę, żeby coś powiedział, ale z niej nie skorzystał.

- ...a być może dlatego, że za dużo wiedziała.

- Miała udar mózgu - powtórzył Bili lekko drżącym głosem. - Na własne oczy widziałem nekrolog. Miała cholerny udar mózgu, i tyle.

- Co takiego odkryła? Powiedz mi, Bili. Proszę.

Długo patrzył na mnie bez słowa. Wtedy jeszcze miałem nadzieję, że się waha.

- Powiem ci tylko jedno, Mikę - odezwał się wreszcie. - Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy. Przez wzgląd na twoją nieśmiertelną duszę proszę cię: nie wtrącaj się i pozwól, żeby wszystko toczyło się swoim rytmem. Tak zresztą będzie, bez względu na to, co zrobisz. Rzeka już prawie dopłynęła do morza i ktoś taki jak ty na pewno jej nie zatrzyma. Daj spokój, Mikę. Daj spokój, na litość boską.

Czy troszczy się pan o los swojej duszy, panie Noonan? Czy obchodzi pana los tego bożego motyla zamkniętego w konie z ciała, które wkrótce zacznie cuchnąć tak jak moje?

Bili odwrócił się i ruszył do drzwi. Grube podeszwy jego butów skrzypiały na pomalowanych deskach ganku.

- Trzymaj się z daleka od Mattie i Kii. Jeśli jeszcze choć raz zbliżysz się do tej przyczepy... - Stał, odwrócił się, wyjął z tylnej kieszeni dużą chustkę i otarł twarz, ale mimo to zdążyłem dostrzec ślady pozostawione przez łyzy. - Ja nie ruszam się z domu. Pluję sobie teraz w brodę, że wcześniej wróciłem z wakacji, ale trudno, zrobiłem to, zresztą głównie ze względu na ciebie. Te dwie z Wasp Hill Road nie muszą się mnie bać. Ja nic im nie zrobię.

Zamknął za sobą drzwi. Gapiłem się na nie, prawie pewien, że śnię; przecież to niemożliwe, żebym odbył taką roz-

mowę z Billem Deanem, prawda? Z Billem, który miał mi za złe, że nie pozwoliłem mieszkańcom TR dzielić ze mną żalu po Jo. Z Billem, który tak ciepło mnie powitał.

Usłyszałem odgłos przekręcanego klucza. Bili zamknął na klucz drzwi swego domu, przypuszczalnie po raz pierwszy w życiu. W gorącym lipcowym powietrzu ten dźwięk zabrzmiał z siłą wystrzału i powiedział mi wszystko, co powinienem wiedzieć o przyjaźni z Billem Deanem. Odwróciłem się i ze spuszczoną głową wróciłem do samochodu. Nie spojrzeżałem za siebie nawet wtedy, kiedy usłyszałem szurgot otwieranego okna.

- Nigdy tu nie wracaj, ty draniu! - wrzasnęła Yvette Dean. - Złamałeś mi serce! Nigdy tu nie wracaj! Nigdy!

- Mikę, proszę, nie pytaj mnie o nic więcej - powiedziała pani M. - Nie mogę wchodzić w drogę Billowi Deanowi, tak samo jak moja matka nie mogła wejść w drogę Normalowi Austerowi albo Fredowi Deanowi.

Przełożyłem słuchawkę do drugiego ucha.

- Chcę tylko wiedzieć, czy...

- W naszej części świata najczęściej do powiedzenia mają tacy ludzie jak Bili. Letnicy słuchają ich jak pana Boga. Jeśli letnik potrzebuje stolarza, weźmie tego, którego poleci mu Bili. Jeśli Bili powie, że kogoś trzeba zwolnić, letnik też go posłucha. A już najgorzej mają pomoce domowe. Wystarczy jego jedno słowo, żebym straciła pracę, albo żebym ją dostała, więc sam rozumiesz, że muszę żyć z nim w przyjaźni. Z nim, albo z jego ojcem, albo z Normalem Austerem, albo z Kennym Austerem. Rozumiesz? - Mówiła niemal błagalnym tonem. - Ależ Bili był wściekły, kiedy się dowiedział, że powiedziałam ci o tym, co zrobił Normal Auster!

- Czy brat Kenny'ego, ten utopiony przez Normala pod

studnią, miał na imię Kerry?

- Ano miał. Znałam mnóstwo ludzi, którzy ponadawali dzieciakom bardzo podobne imiona, bo wydawało im się, że tak jest szykownie. Sama chodziłam do szkoły z chłopakiem i dziewczyną, którzy nazywali się Roland i Rolanda Therriault. Zdaje się, że Roland mieszka teraz w Manchesterze, a Rolanda wyszła za tego chłopca z...

- Brenda, proszę cię, odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Nikomu o tym nie powiem, daję słowo.

Czekałem z zapartym tchem na odgłos odkładanej słuchawki, ale zamiast tego usłyszałem jej cichy, prawie smutny głos:

- Jakie to pytanie?

- Kim była Carla Dean?

Znowu czekałem długo na reakcję, miętosząc w palcach granatową wstążeczkę ze staromodnego słomianego kapelusika Kii.

- Na pewno nic nikomu nie powiesz? - zapytała wreszcie.

- Na pewno.

- Carla była siostrą Billa. Umarła sześćdziesiąt pięć lat temu, podczas wielkiego pożaru. - Podczas tego samego pożaru, który, zdaniem Billa, dziadek Kii ofiarował miasteczku jako prezent pożegnalny. - Nie wiem, jak to się stało, a Bili nigdy o tym nie opowiada. Jeśli wspomnisz mu choć słowem, że usłyszałeś o tym ode mnie, nie pościelę już ani jednego łóżka i nie zrobię żadnego prania. Zresztą, pewnie i tak się dowie... - zakończyła ponurym tonem.

Opierając się na swoich dotychczasowych doświadczeniach i przemyśleniach, byłem gotów przyznać jej rację, ale nawet gdyby sprawdził się najczarniejszy scenariusz, Brenda co miesiąc, aż do końca życia, dostawałaby ode mnie czek na okrągłą sumkę. Nie zamierzałem jednak jej o tym mówić,

bo z pewnością obraziłbym jej jankeską duszę. Podziękowałem więc tylko, jeszcze raz zapewniłem o swojej dyskrecji, po czym odłożyłem słuchawkę.

Przez jakiś czas siedziałem bez ruchu i wpatrywałem się w Buntera, a następnie zapytałem:

- Kim jesteś?

Bez odpowiedzi.

- Daj spokój. Nie wstydź się. Zajrzyjmy pod dziewiętnaście albo dziewięćdziesiąt dwa pionowo, albo po prostu pogadajmy.

Wciąż żadnej reakcji, choćby najsłabszego drgnięcia dzwonka zawieszono na wypchanej szyi. Przysunąłem kartkę z bazgrołami, które powstały podczas telefonicznej rozmowy z bratem Jo: Kia, Kyra, Kito i Carla w prostokącie. Wydłużyłem nieco prostokąt i dodałem do listy Kerry'ego. Znałam mnóstwo ludzi, którzy ponadawali dzieciakom podobne imiona, powiedziała pani M. Wydawało im się, że tak jest szykownie.

Mnie wcale się nie wydawało, że tak jest szykownie. Raczej okropnie.

Przyszło mi do głowy, że przynajmniej dwoje z tych podobnie ponazywanych dzieci utonęło: Kenny Auster pod pompą na podwórzu, Kia Noonan w umierającym ciele matki, kiedy była nie większa od ziarna słonecznika. Na własne oczy widziałem zjawę trzeciego dziecka, które straciło życie w jeziorze. Kito? Czy to właśnie był Kito? A może Kito umarł na zakażenie krwi?

Ponadawali dzieciakom podobne imiona. Wydawało im się, że tak jest szykownie.

Ile takich dzieci było, a ile zostało? Miałem wrażenie, że odpowiedź na pierwsze pytanie nie ma znaczenia i że znam odpowiedź na drugie. Ta rzeka już prawie dopłynęła do mo-



rza, powiedział Bili.

Carla, Kerry, Kito, Kia... Została tylko Kyra Devore.

Tak gwałtownie zerwałem się na nogi, że aż przewróciłem krzesło. Krzyknąłem, przestraszony niespodziewanym hałasem. Postanowiłem natychmiast stąd wyjechać. Koniec z pogaduszkami przez telefon, koniec z udawaniem Andy'ego Drake'a, prywatnego detektywa, koniec z odgrywaniem roli błędnego rycerza. Powiniennem był posłuchać przecucia i już pierwszej nocy uciec stąd, gdzie pieprz rośnie. Cóż, nic straconego: zrobię to teraz. Wsiądę do chevroleta, uruchomię silnik, wrzucę bieg i zatrzymam się dopiero w Der...

Dzwonek Buntera zabręczał donośnie. Odwróciłem się raptownie i zobaczyłem, jak miota się wokół szyi łośia, jakby szarpała go niewidzialna ręka. Niemal w tej samej chwili rozsuwane drzwi prowadzące na taras zaczęły zatrząskiwać się i otwierać, nagle uderzenie niewyczuwalnego dla mnie wiatru zafurkotało kartkami pism z krzyżówkami, rozległo się kilka donośnych, coraz bliższych łomotów, jakby jakaś niewidoczna istota pełzła po podłodze w moim kierunku, uderzając w nią pięściami.

Dopiero teraz poczułem podmuch ciepłego powietrza, podobny trochę do tego, jaki czujemy w upalny letni dzień, przechodząc obok wylotu kanału wentylacyjnego metra. Towarzyszył mu przedziwny głos, który zdawał się powtarzać: „Hej, hej! Hej, hej!”, jakby życzył mi szczęśliwej podróży. W chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że w rzeczywistości głos woła: „Ki-ki! Ki-ki!”, coś jakby wielka miękka pięść rąbnęło mnie mocno w plecy, tak że aż runąłem na stolik i chwyciłem się go rozpaczliwie, żeby nie upaść, przewracając przy okazji solniczkę i pieprzniczkę, serwetnik oraz nieduży wazonik, do którego pani M. wstawiła bukietik stokrotek. Wazo-

nik spadł na podłogę i roztrzaskał się na drobne kawałki. Niemal równocześnie włączył się telewizor w kuchni - jakiś polityk grzmiał na temat wznoszącej się inflacji - a zaraz potem odtwarzacz płyt kompaktowych, który zagłuszył polityka dźwiękami „I Regret You, Baby” w wykonaniu Rolling Stonesów. Na piętrze odezwał się czujnik pożarowy, chwilę później drugi i trzeci, za oknem rozwrzeszczał się alarm samochodowy. Świat wypełniła kakofonia przeraźliwych dźwięków.

Coś gorącego i miękkiego chwyciło mnie za nadgarstek, moja ręka wystrzeliła naprzód jak tłok i ciężko opadła na notatnik. Obserwowałem z niedowierzaniem, jak sięga po ołówek, a następnie wraca nad pustą stronę i zaczyna pisać, nie tyle prowadzona przez kogoś, co raczej najzwyczajniej gwałcona. Początkowo poruszała się powoli i niezdarne, ale stopniowo nabierała prędkości, a u dołu strony śmigła tak, że ledwo nadążałem za nią wzrokiem.

          pomimo jej pomocy pomoy pomoy pomomy

          jej nie odhodo kombi nie odhodo nie odhodo nie odhodo nie odhodo pomój jej

          nomai tej pomo pomo pomo tej tej

Nagle spłynął na mnie przejmujący chłód, jak marzący styczniowy deszcz, zmroził mi skórę, wydarł z ust białe obłoczki oddechu. Moje palce zacisnęły się tak mocno, że ołówek złamał się w pół. Dzwonek Buntera zatrzęsł się ze zdwojoną siłą, po czym umilkł, gdzieś z tyłu rozległ się dziwny podwójny odgłos, jakby prawie jednocześnie strzeliły korki w dwóch butelkach szampana, po czym zapadła cisza. Cokolwiek się działo, dobiegło końca. Znowu byłem sam.

Wylączyłem odtwarzacz w chwili, kiedy Mick i Keith zaczęli „białą” wersję „Howling Wolf”, pobiegłem na górę, wyłączyłem czujniki pożarowe, wychyliłem się z okna gościny sypialni, wycelowałem w samochód pilota autoalarmu

i wduśiłem przycisk. Wycie umilkło.

We względnej ciszy tym bardziej donośny wydawał się bełkot telewizora w kuchni. Zszedłem na parter, wyłączyłem go, po czym znieruchomiałem z palcem na przycisku, ponieważ przypadkowo spojrzałem na koci zegar Jo. Idiotyczny ogon wreszcie przestał się poruszać, a wielkie plastikowe oczy leżały na podłodze. Po prostu wyskoczyły mu z głowy.

Na kolację pojechałem do Wiejskiego Zajazdu. W drodze do baru zgarnąłem ze stojaka ostatni egzemplarz "Telegramu" (MAGNAT KOMPUTEROWY UMIERA W MIASTECZKU, W KTÓRYM SPĘDZIŁ LATA MŁODOŚCI, głosił ogromny tytuł na pierwszej stronie). Poniżej zamieszczono portretowe zdjęcie Devore'a mniej więcej sprzed trzydziestu lat. Uśmiecha się. Większość ludzi robi to całkiem naturalnie, ale uśmiech na twarzy Maksa Devore'a wyglądał jak wystudiowany grymas.

Zamówiłem fasolkę po bretońsku - pozostałość po sobotnim Fasolkowym Wieczorze Buddy'ego Jellisona. Mój ojciec nieczęsto wygłaszał aforyzmy (w naszej rodzinie to mama rozdawała dzieciom perełki mądrości), ale podgrzewając w niedzielę resztki sobotniego obiadu zawsze mawiał, że co jak co, ale fasolka i wołowina zawsze są najlepsze następnego dnia po przygotowaniu. Chyba miał rację. Z ojcowskich nauk oprócz tego zapamiętałem tylko tyle, że po skorzystaniu z publicznej toalety zawsze należy umyć ręce.

Kiedy czytałem artykuł, podeszła Audrey i powiedziała, że Royce Merrill zmarł w szpitalu nie odzyskując przytomności. Pogrzeb zaplanowano na wtorek po południu. Zapewne stawiają się prawie wszyscy mieszkańcy, większość głównie po to, żeby być świadkiem wręczania Ili Meserve laski „Boston Globe”. Czyja też przyjdę? Raczej nie, odparłem. Nie uznałem jednak za stosowne wyjaśnić, iż w tym samym czasie bę-

dę uczestniczył w przyjęciu, które Mattie wydaje w swojej przyczepie dla uczczenia zwycięstwa.

Do lokalu wchodzili i wychodzili ci sami ludzie co w każde niedzielne popołudnie: zamawiali hamburgery, kanapki z sałatą i kurczakiem, kupowali colę i piwo. Niektórzy byli z TR, inni z daleka. Nie zwracałem na nich uwagi, nikt mnie nie zagadnął. Nie mam pojęcia, kto położył tę chusteczkę na mojej gazecie, ale kiedy sięgnąłem po drugą część, chusteczka już tam leżała. Wziąłem ją do ręki, żeby odłożyć na bok, i wtedy zobaczyłem zdanie napisane wielkimi czarnymi literami:

**WYNOŚ SIĘ STĄD**

Nigdy się nie dowiedziałem, kto to zrobił. To mógł być każdy z nich.

## Rozdział 23

Tej niedzieli zmierzch był wręcz dekadenccko piękny. Zsuwające się coraz niżej nad wzgórze słońce przybrało intensyw- nie czerwoną barwę, która rozlała się po całym zachodnim horyzoncie niczym kałuża krwi z Boskiego nosa. Obserwo- wałem ten spektakl z tarasu, usiłując jednocześnie rozwiązy- wać krzyżówkę, ale bez większego powodzenia. Kiedy za- dzwonił telefon, rzuciłem pismo na maszynopis powieści; znudziło mnie już patrzenie na jej tytuł.

- Halo?

- Co tam się dzieje, do diabła? - zapytał John Storrow.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się przywitać, ale wcale nie był wściekły, wręcz przeciwnie. - Wygląda na to, że omi-nęło mnie nie lada przedstawienie!

- Wprosiłem się na wtorkowe przyjęcie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Jasne, że nie. Im więcej ludzi, tym weselej. - Zabrzmia-ło to zupełnie szczerze. - Ale lato, co? Ale lato! Zdarzyło się coś nowego? Jakies trzęsienie ziemi? Wybuch wulkanu? Mo-że chociaż zbiorowe samobójstwo?

- Nie było zbiorowego samobójstwa, ale umarł pewien starzec - odparłem.

- Też mi nowina! Cały świat wie, że Max Devore kopnął w kalendarz. Wysił się trochę bardziej, Mike! Spróbuj mnie czymś zaskoczyć!

- Nie tego starca miałem na myśli. Chodzi o Roy- ce'a Merrilla.

- Nie mam pojęcia, o kim... Czeka, czekaj! Czy to ten gość ze złotą łaską, który wyglądał jak eksponat z „Jurassic Park”?

- Zgadza się.

- No i kit mu w ucho. A poza tym?

- Poza tym wszystko pod kontrolą.

Przypomniałem sobie o kocie bez oczu i mało nie parsknąłem śmiechem. Powstrzymało mnie przed tym jedynie graniczące z pewnością podejrzenie, że szampański humor Johna to tylko gra, naprawdę zadzwonił bowiem wyłącznie po to, by wybadać, czy, a jeśli tak, to co konkretnie, łączy mnie z Mattie. Co miałem mu powiedzieć? Że jeszcze prawie nic? Załedwie jeden pocałunek, załedwie jeden wzwód, że reszta przyjdzie z czasem? Nie wiedziałem, ale na szczęście nie musiałem brnąć dalej po omacku, ponieważ John już przeszedł do innego tematu.

- Posłuchaj, Mikę: dzwonię, bo muszę ci o czymś powiedzieć. Powinieneś się nie tylko zdziwić, ale i nieźle uśmieć.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Wal.

- Zatelefonowała Rogette Whitmore i... Chyba nie ty dałeś jej numer moich rodziców? Teraz jestem w Nowym Jorku, ale ona złapała mnie w Filadelfii.

- Nie mogłem jej go podać, bo go nie znam.

- Racja. - Żadnego „przepraszam”. Był zbyt podekscytowany, żeby pamiętać o takich drobnostkach. Jego podniecenie zaczęło mi się powoli udzielać, a przecież jeszcze nie miałem najmniejszego pojęcia, o co właściwie chodzi. - Podałem go Mattie. Myślisz, że ta Whitmore zadzwoniła najpierw do Mattie? Ale przecież Mattie chyba by jej nie pomogła?

- Jestem pewien, że gdyby Mattie zobaczyła Rogette Whitmore płonąca jak pochodnia, nie pofatygowałaby się nawet, żeby ugasić pożar strumieniem ciepłego moczu.

- Michael, jesteś wulgarny! - Roześmiał się. - Być może zdobyła ten numer tak samo jak Devore twój.

- Najprawdopodobniej. Nie wiem, jak to będzie wyglądało w przyszłości, ale na razie z pewnością ma możliwość pociągania za wszystkie sznurki, które zbiegały się w rękach Devore'a. Ona wie najlepiej, jak się nimi posługiwać. Dzwoniła z Palm Springs?

- Aha. Powiedziała, że właśnie jest po wstępnej rozmowie z prawnikami na temat testamentu starego. Jeśli jej wierzyć, Max Devore zapisał Mattie osiemdziesiąt milionów dolarów.

Zatkało mnie. Na razie jeszcze nie chciało mi się śmiać, ale na pewno byłem zaskoczony.

- I co? - zachichotał John. - Niezły numer!

Odzyskałem głos.

- Chcesz chyba powiedzieć, że zapisał je Kyrze, z zastrzeżeniem, że mała dostanie pieniądze po osiągnięciu pełnoletności?

- Właśnie, że nie. Pytałem o to trzy razy, ale dopiero za trzecim zaczęło do mnie docierać, co jest grane. W tym szaleństwie jest metoda. Niedużo jej, ale zawsze. Otóż jest też pewien warunek. Gdyby pieniądze dostało nieletnie dziecko, a nie jego matka, ten warunek nie miałby znaczenia. To zabawne, jeśli wziąć pod uwagę, że jeszcze całkiem niedawno Mattie też była nieletnia.

- Rzeczywiście, to zabawne - przyznałem mu rację.

Wciąż doskonale pamiętałem, jak cienki materiał przesuwał się po jej ciele. Pamiętałem również, co powiedział Bili Dean: że wszyscy mężczyźni, którzy uganiają się za znacznie młodszymi od siebie dziewczętami, wyglądają tak samo. Choć mają zamknięte usta, języki zwisają im do kolan. - Jaki to warunek?

- Mattie musi pozostać w TR jeszcze przez rok po śmierci Devore'a, czyli do 17 lipca 1999. W ciągu dnia może poru-

szać się, gdzie chce, ale przez najbliższy rok co wieczór punktualnie o dziewiątej musi meldować się w swojej przyczepie. Jeśli tego nie zrobi, pożegna się ze spadkiem. Słyszałeś kiedyś większą bzdurę?

- Nie - odparłem, myśląc jednocześnie o swojej i Kyry wizycie na festynie we Fryeburgu. Ten człowiek nie rezygnuje nawet po śmierci, przemknęło mi wtedy przez głowę. Miałem rację. Postanowił je tutaj zatrzymać. Nawet po śmierci postanowił zatrzymać je w TR. - Ale nic z tego nie będzie?

- Jasne, że nic z tego nie będzie. Już moja w tym głowa. Pieprznity staruch równie dobrze mógłby napisać, że Mattie dostanie te osiemdziesiąt baniek pod warunkiem, że przez rok będzie wycierać nos wyłącznie w niebieskie chusteczki. Rozmawiałem już z paroma specjalistami od prawa spadkowego. Myślisz, że powinienem przywieźć któregoś z nich we wtorek? Mógłby się tym zająć na przykład Will Stevenson...

Gadał tak szybko i niewyraźnie, jakby był pijany, ale ja wiedziałem, że nie miał w ustach ani kropli alkoholu; po prostu upajały go rysujące się przed nim perspektywy. Z jego punktu widzenia dotarliśmy już do tego miejsca bajki, kiedy bohaterowie żyją długo i szczęśliwie; Kopciuszek wrócił z bału z workiem pieniędzy.

- ...Will ma już swoje lata, zdaje się, że gdzieś około trzystu, więc nie bardzo nadaje się na imprezy, ale...

- W takim razie, zostaw go w domu - przerwałem mu. - Będzie jeszcze mnóstwo czasu, żeby zająć się testamentem Devore'a. Zastosowanie się do tego warunku nie sprawi jej na razie żadnego problemu, więc nie musimy się spieszyć. Wróciła przecież do pracy, pamiętasz?

- Tak, tak... Byk padł martwy i stado rozpierchło się we wszystkie strony! - triumfował John. - Tylko na nich po-



patrz! A nowa multimilionerka wraca do wypisywania upomnień i wypożyczania książek! W porządku: we wtorek tylko się bawimy.

- Zgoda.

- Na całego! Aż się porzygamy!

- Bo ja wiem... Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli starsi uczestnicy przestaną na lekkich nudnościach?

- Skądże znowu, już dzwoniłem do Bissonette'a; przeprowadzi George'a Kennedy'ego, tego prywatnego detektywa, który znalazł nam nie jednego, ale cały stos haków na Durgina. Bissonette twierdzi, że jak Kennedy trochę wypije, staje się duszą towarzystwa. Mówiłem ci już, że przywiozę befsztyki od Petera Lugera?

- Chyba nie.

- Najlepsze befsztyki pod słońcem. Michael, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co się stało? Mattie ma osiemdziesiąt milionów dolarów!

- Może wreszcie naprawi skrzynię biegów w jeepie.

- Słucham?

- Nic takiego. Przyjedziesz jutro wieczorem, czy dopiero we wtorek?

- We wtorek około dziesiątej rano, ale nie przyjadę, tylko przylecę. Lotnisko w Castle Rock, New England Air. Mike, a co u ciebie? Jakoś tak dziwnie mówisz...

- Wszystko w porządku. Jestem chyba tam, gdzie powinienem być.

- Co to znaczy?

Wyszedłem na taras. W oddali przetoczył się huk grzmotu, było gorąco jak w piekle. Powietrze stało nieruchomo, niebo dopalało się ciemną czerwienią.

- Na razie jeszcze nie wiem, ale jestem pewien, że sytuacja niedługo się wyjaśni. Wyjadę po ciebie na lotnisko.

- Świetnie. - Umilkł na chwilę, po czym dodał szeptem,

niemal z nabożnym skupieniem: - Pieprzone osiemdziesiąt milionów dolarów!

- Rzeczywiście, kupa forsy - zgodziłem się, po czym czyłem mu dobrej nocy.

Nazajutrz rano zjadłem w kuchni tosta i popiłem go czarną kawą, oglądając w telewizji prognozę pogody. Prezenter, jak niemal wszyscy telewizyjni specjaliści od pogody, wyglądał na trochę szalonego. Można by odnieść wrażenie, że od ciągłego wpatrywania się w zdjęcia satelitarne lekko przedstawiało im się w głowach.

- Zostało nam jeszcze jakieś półtorej doby upałów, a potem nastąpi gwałtowna zmiana - mówił, wskazując na ohydny ciemnoszarą plamę nad Środkowym Zachodem. Maleńkie błyskawice przeskakiwały po niej niczym zabłąkane iskierki. Dalej, za plamą i iskierkami, niebo nad Ameryką było czyściutkie aż do obszarów pustynnych, temperatura zaś prawie o piętnaście stopni niższa. - Dzisiaj mieliśmy ponad trzydzieści stopni i niestety ani w nocy, ani jutro rano nie odczujemy żadnej ulgi, ale już jutro po południu te właśnie burze dotrą nad zachodnią część Maine, więc radzę pilnie śledzić prognozy pogody. Przed spodziewanym na środę ochłodzeniem czekają nas burze z gwałtownymi wyładowaniami atmosferycznymi, ulewnym deszczem, a gdzieś tam nawet gradem. Co prawda w Maine tornada należą do rzadkości, jednak można się ich spodziewać w zachodniej i środkowej części stanu. To na razie tyle, Earl.

Earl, prezenter porannych wiadomości, wyglądał tak, jakby przeszedł do telewizji prosto z Chipp'n'Dalesów, zachowywał się zaś tak, jakby uważał, że wciąż do nich należy.

- O rety, Vince! Nie strasz nam widzów!

- O rety, Earl - powiedziałem. - Błagam cię, powtórz to „o rety”.

- A niech mnie! - wydukał Earl, jakby chciał mi zrobić na złość.

Nie usłyszałem, co miał jeszcze do powiedzenia, a raczej do przeczytania z telepromptera, ponieważ zadzwonił telefon. W drodze do salonu nie wytrzymałem i rzuciłem ukradkowe spojrzenie na zepsuty zegar. Noc minęła spokojnie - żadnych krzyków, żadnych hałasów - niemniej sama obecność tego zegara działała mi na nerwy. Wisiał na ścianie, ślepy i martwy, niczym paskudna wiadomość.

- Halo?

- To pan, panie Noonan?

Głos był znajomy, ale przez chwilę nie mogłem skojarzyć go z osobą. To dlatego, że zwróciła się do mnie per „pan”. Brenda Meserve. Dla Brendy od prawie piętnastu lat byłem po prostu Mike'em.

- Pani M.? To znaczy, Brenda? Co się...

- Nie mogę już dla pana pracować. - Mówiła szybko, prawie szeptem. - Przepraszam, że nie uprzedziłam pana wcześniej. Zawsze to robię, ale tym razem nie miałam czasu. Muszę. Proszę mnie zrozumieć.

- Czy Bili dowiedział się o naszej rozmowie? Daję ci słowo honoru, że...

- Nie. Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę już wejść do pańskiego domu. Dziś w nocy miałam sen. Okropny sen. Przyśniło mi się, że... że coś jest na mnie bardzo złe. Jeżeli wrócę, wydarzy się wypadek. To znaczy, wszyscy będą myśleli, że to wypadek, ale to nie będzie prawda.

Przecież to głupota, cisnęły mi się na usta gniewne słowa. Przecież wyrosłaś już z wieku, kiedy wierzy się w bajki o duchach i upiorach. Nie mogłem jednak tego powiedzieć, to bo-

wiem, co działo się w moim domu, nie było bajką. Wiedziałem o tym, a ona wiedziała o tym, że ja wiem.

- Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro, jeśli masz przeze mnie kłopoty...

- Proszę stąd wyjechać, panie... Wyjedź stąd, Mikę.

Wróć do Derry i zostań tam przez jakiś czas. To najlepsze, co możesz zrobić.

Usłyszałem szmer liter wędrujących po drzwiach lodówki i odwróciłem się na pięcie. Tym razem zobaczyłem na własne oczy, jak kolorowe owoce i warzywa tworzą okrąg; zamknął się dopiero wtedy, kiedy do środka wślizgnęło się sześć literek.

natsoz

Sekundę albo dwie później ustawiły się w odwrotnej kolejności:

zostań

A potem napis i okrąg rozsypały się.

- Mikę, proszę! - Ikała pani M. - Jutro jest pogrzeb Royce'a. Będą wszyscy ważni ludzie z TR, ci najstarsi też.

No jasne. Worki kości, starcy, którzy wiedzą swoje i zachowują to dla siebie. Ale nie wszyscy. Niektórzy rozmawiali z moją żoną. Na przykład Royce. A teraz nie żył. Tak samo jak ona.

- Najlepiej, żebyś zniknął. Możesz nawet zabrać ze sobą tę dziewczynę. Ją i jej dziecko.

Czy naprawdę mogłem je zabrać? Jakoś nie wydawało mi się to prawdopodobne. Byłem raczej prawie pewien, że cała nasza trójka musi pozostać w TR aż do końca... i zacząłem się domyślać, kiedy ów koniec nastąpi. Zbliżała się burza. Letnia, gwałtowna burza. Może nawet tornado.

— Dziękuję, że zadzwoniłaś, ale ja nie traktuję tego jako rezygnacji z pracy. Powiedzmy, że wzięłaś sobie urlop, do-

brze?

- Jak chcesz. Czy chociaż zastanowisz się nad tym, co ci powiedziałam?

- Owszem. A tymczasem chyba nie będę nikomu mówił o naszej rozmowie, prawda?

- Broń Boże! Ale oni i tak się dowiedzą. Bili i Yvette... Dickie Brooks z warsztatu... Anthony Weyland, Buddy Jellison i wszyscy... Dowiedzą się na pewno. Do widzenia, panie Noonan. Naprawdę bardzo mi przykro. Ze względu na pana i na pańską żonę. Biedaczka. Tak mi jej żal.

Jeszcze chyba przez minutę przyciskałem słuchawkę do ucha, a następnie, jak człowiek pogrążony we śnie, odłożyłem ją, poszedłem do ściany, zdjąłem bezoki zegar, wyrzuciłem go do kosza, po czym poszedłem popływać. Po głowie tłukło mi się ostatnie zdanie z opowiadania W.F. Harveya „Sierpniowy upał”: „Upał może doprowadzić człowieka do szaleństwa”.

Jestem całkiem niezłym pływakiem (oczywiście pod warunkiem, że nikt nie rzuca we mnie kamieniami), ale pierwsze dwie długości mojego „basenu” (brzeg-platforma i z powrotem) pokonałem nerwowo, nieładnie, fatalnym stylem, przede wszystkim dlatego, że podświadomie oczekiwałem, iż lada chwila coś chwyci mnie za nogi i wciągnie pod wodę. Być może utopiony chłopiec. Drugi raz poszło mi znacznie lepiej, za trzecim zaś nareszcie mogłem w pełni cieszyć się przyspieszonym biciem serca i jedwabistym chłodem wody obmywającej moje ciało. W połowie czwartego powtórzenia wygramoliłem się na platformę i rozciągnąłem się jak długi na deskach. Od piątkowego spotkania z Devore'em i Rogette Whitmore ani przez chwilę nie czułem się lepiej niż teraz; wciąż znajdowałem się w transie, na dodatek zaś odczuwałem wyraźny przypływ endorfiny. Nawet konsterna-

cja, jaka ogarnęła mnie po rozmowie z panią M., chwilowo ulotniła się bez śladu. Rzecz jasna nie liczyłem na to, by znikła na zawsze, ale tymczasem nie miałem nic przeciwko temu, że sobie poszła.

Coś jest na mnie bardzo złe. Jeżeli wrócę, wydarzy się wypadek.

Oczywiście. Mogła się poważnie skaleczyć. Mogła spaść ze schodów do piwnicy. Mogła nawet doznać udaru mózgu na rozpalonym parkingu.

Usiadłem i spojrzałem na stojącą na wysokim brzegu Sarę, z tarasem wysuniętym nad stromizną i schodami z podkładów kolejowych. Wyszędłem z wody przed zaledwie kilkoma minutami, ale lepki upał już zaczął dawać mi się we znaki. Woda wciąż była gładka jak lustro; w nieruchomym odbiciu domu okna Sary zamieniły się w oczy o czujnym spojrzeniu.

Pomyślałem sobie, że jest bardzo możliwe, iż epicentrum wszystkich dotychczasowych wydarzeń znajduje się właśnie tutaj, na Dróżce, w połowie drogi między Sara a jej utopionym odbiciem. To działo się tutaj, powiedział Devore. A co ze starcami? Większość z nich zapewne wiedziała to samo co ja; że Royce Merrill został zamordowany. Czy nie było możliwe (ba, nawet wysoce prawdopodobne), że to, co go zabiło, przyjdzie również po nich, kiedy zasiądą w kościelnych ławkach albo zgromadzą się przy jego mogile? Że to coś przywłaszczy sobie ich siłę, ich poczucie winy, ich wspomnienia, ich tutejszość, żeby prędzej i łatwiej dokończyć swoje dzieło?

Cieszyłem się, że jutro na przyjęciu będzie John Storrow, i Romeo Bissonette, i George Kennedy, który robił się taki zabawny po wypiciu paru drinków. Cieszyłem się, że nie będę sam z Kyrą i Mattie, kiedy zbierze się gromada starców, by pożegnać Royce'a Merrilla. Nie obchodziło mnie już tak

bardzo, co naprawdę stało się z Sara i Czerwonoczubymi, ani nawet, co straszy w moim domu. Chciałem tylko jakoś przeżyć jutrzejszy dzień, chciałem też, żeby przeżyły go również Mattie i Kyra. Skończymy jeść przed deszczem, a potem niech sobie grzmi, błyska i leje jak z cebra. Miałem nadzieję, że zapowiadana burza oczyści nie tylko pogodę, ale także nasze życie.

- Czy- to prawda? - zapytałem.

Nie oczekiwałem odpowiedzi (odkąd tu wróciłem, nabrałem zwyczaju rozmawiania ze sobą na głos), ale w lesie za domem zahuczała sowa - tylko raz, jakby chciała powiedzieć: Tak, przeżyj jakoś jutrzejszy dzień i wszystko się ułoży. Jej głos z czymś mi się skojarzył, ale początkowo nie wiedziałem z czym. Kilka razy próbowałem podążać prawie niewidocznym tropem, lecz wciąż trafiałem w to samo miejsce: tytuł cudownej starej powieści, „Usłyszałem, jak sowa wykrzykuje moje imię”.

Sturlałem się do wody, podkuliłem nogi i zostałem pod powierzchnią tak długo, że powietrze w moich płucach zaczęło przypominać ciepłą ciecz. Dopiero wtedy wystrzeliłem w górę, przez minutę albo dwie unosiłem się na plecach, oddychając głęboko, a następnie wziąłem namiar na Zieloną Damę i popłynąłem do brzegu.

Od razu po wyjściu na plażę ruszyłem ku schodom, ale po kilku krokach zatrzymałem się i wróciłem na Dróżkę. Przez jakiś czas stałem nieruchomo jak posąg, a kiedy wreszcie zebrałem się na odwagę, szybkim krokiem podszedłem do brzozy pochylającej się z wdziękiem nad taflą jeziora, chwyciłem się oburącz jej pnia, tak jak w tamten pamiętny piątkowy wieczór, i spojrzałem w wodę. Byłem niemal pewien, że ponownie zobaczę utopione dziecko, że ponownie spojrzę na mnie martwymi oczami, a ja znowu poczuję w ustach i nosie

żelazisty smak wody. Nic z tego. Ani martwego chłopca, ani laski z owiniętą wokół niej wstążką, ani złudzenia, że tonę.

Odwrociłem się ku szarej skale sterczącej ze stromego brzegu. To tu, właśnie tu, przemknęło mi przez głowę, lecz była to jak najbardziej świadoma myśl, wspomnienie niedawnej przeszłości. Smród rozkładu i pewność, że w tym miejscu wydarzyło się coś strasznego, znikły bez śladu.

Zaraz po powrocie do domu poszedłem do kuchni, żeby się czegoś napić, i stwierdziłem, że drzwi lodówki są puste. Znikły wszystkie magnesiki, zarówno te w kształcie owoców i warzyw, jak i literek. Nigdy ich nie znalazłem. Przypuszczalnie odszukałbym je, gdybym miał więcej czasu, ale w ten poniedziałkowy rano czas, który miałem do dyspozycji, właśnie dobiegał końca.

Ubrałem się, po czym zadzwoniłem do Mattie. Rozmawialiśmy o przyjęciu, o tym, jak podekscytowana jest Kyra i jak bardzo Mattie denerwuje się przed zaplanowanym na piątek powrotem do pracy. Obawiała się jakichś przykrości, równocześnie jednak, w typowy dla kobiet sposób, lękała się, że spotka ją całkowita, zimna obojętność. Rozmawialiśmy o pieniądzech, ale szybko się okazało, że ani trochę nie wierzy w rzekomy zapis w testamencie Devore'a.

- Lance mawiał, że jego ojciec potrafiłby podsunąć zdychającemu z głodu psu kawał mięsa, a potem zjeść go na oczach zwierzaka. Ale to i tak bez znaczenia. Dopóki mam pracę, ani Ki, ani ja nie umrzemy z głodu.

- Ale gdybyś dostała naprawdę duże pieniądze...

Parsknęła śmiechem.

- Daj spokój! Uważasz, że jestem szalona?

- Ani trochę. Aha, tak przy okazji: co słychać u waszych ludzi z dolówki? Ułożyli ostatnio jakiś nowy napis z literek?

- To jest właśnie w tym wszystkim najdziwniejsze - od-



parła. - Nie ma ich.

- Ludzi czy literek?

- Nic nie wiem o ludziach z lodówki, ale literki znikły.

Kiedy zapytałam Kię, co się z nimi stało, wybuchnęła płaczem i powiedziała, że zabrał ją Elemelebelemelek, a potem zjadł je w nocy, kiedy wszyscy spali.

- Elemele... co?

~ To jeszcze jeden prezent od dziadka - odparła Mattie kwaśnym tonem. - Wymyślił to słowo i powiedział jej, że oznacza zwykłego Elemelka, który nagle stał się bardzo zły i zaczął wyczyniać różne szkody. Było to mniej więcej wtedy, kiedy Kyra bardzo bała się duchów, upiórów i takich różnych.

- Słodki dziadunio - mruknąłem.

- Zgadza się. Okropnie rozpaczała po stracie tych literek. Z trudem udało mi się uspokoić ją na tyle, żeby mogła pojechać na zajęcia do Szkołki Biblijnej. Właśnie: bardzo zależy jej na tym, żebyś przyszedł w piątek na ostatnie zajęcia. Razem z Billy Turgeonem przygotowują gazetkę ścienną o Mojżeszcu.

- Jasne, że przyjdę.

Ale oczywiście nie przyszedłem. Nikt nie przyszedł.

- Mikię, masz jakiś pomysł, co mogło się stać z tymi literkami?

- Żadnego.

- A co z twoimi?

- Są na miejscu, tyle że nie układają się w żadne wiadomości - powiedziałem, patrząc na puste drzwi lodówki. Pot z czoła spływał mi powoli na brwi. - Nie wyczułaś niczego dziwnego?

- Chodzi ci o to, czy nie słyszałam, jak zuchwały złodziej literek wślizguje się nocą przez okno?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- Chyba tak. - Umilkła na chwilę. - Rzeczywiście, wydawało mi się, że coś słyszę. Była chyba trzecia nad ranem. Wstałam i wyszłam do korytarzyka, ale nie zauważyłam nic podejrzanego. Chociaż... Ostatnio jest bardzo gorąco...

- Owszem.

- ...ale nie tutaj, a przynajmniej nie tej nocy. Było zimno jak w lodówce. Przysięgam, że para leciała mi z ust.

Wierzyłem jej bez zastrzeżeń. Bądź co bądź, mnie spotkało podobne przeżycie.

- Czy literki były jeszcze wtedy na drzwiach lodówki?

- Nie mam pojęcia, Nie wchodziłam do kuchni, tylko rozejrzałam się po korytarzyku i biegiem wróciłam do łóżka. Czasem tylko w łóżku czuję się bezpiecznie. - Roześmiała się niepewnie. - Zostało mi to z dzieciństwa. Kiedy przykryję się kołdrą po nos, na pewno nie spotka mnie nic złego, ale tym razem... Nie wiem, jak to powiedzieć... Wydawało mi się, że ktoś był tam przede mną. Zupełnie jakby najpierw schował się pod łóżkiem, a potem skorzystał z okazji i wślizgnął się pod kołdrę.

Oddaj mi moją ścierkę do kurzu, pomyślałem, i moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Słucham? - powiedziała Mattie zmienionym głosem. - Co powiedziałaś?

- Zapytałem, kto to był, twoim zdaniem. Kto pierwszy przyszedł ci na myśl.

- Devore - odparła bez wahania. - Jasne, że on. Ale tam nikogo nie było. - Krótkie milczenie, a potem: - Żałuję, że to nie byłeś ty...

- Ja też.

- Miło mi. Mike, Czy domyślasz się, o co tu właściwie chodzi? Bo ja już prawie nic nie rozumiem.

- Być może... - Być może niewiele brakowało, żebym powiedział jej o zniknięciu literek z mojej lodówki, ale gdybym zaczął o tym mówić, na czym bym skończył? I w jak wiele by uwierzyła? - Być może Ki sama schowała literki, na przykład chodząc we śnie.

- Kyra, która chodzi we śnie i robi rzeczy, których potem nie pamięta, podoba mi się chyba jeszcze mniej niż duch zio-  
nący lodowatym oddechem i kradnący literki z lodówki.

- Dziś wieczorem weź ją lepiej do łóżka - powiedziałem, i niemal natychmiast dotarła do mnie jej myśl: „Wolałabym ciebie”.

Powiedziała jednak co innego:

- Wpadniesz dzisiaj?

- Wątpię. - Podczas rozmowy podjadała aromatyzowa-  
ny jogurt. - Ale przecież zobaczymy się jutro, na przyjęciu.

- Mam nadzieję, że zdążymy przed burzą. Podobno mo-  
że być bardzo silna.

- Na pewno zdążymy.

- Wciąż się zastanawiasz? Pytam tylko dlatego, że przy-  
śniłeś mi się, kiedy wróciłam do łóżka. Śniło mi się, że mnie  
całujesz.

- Owszem, zastanawiam się. Bardzo intensywnie.

Tak naprawdę nie przypominam sobie jednak, żebym te-  
go dnia nad czymkolwiek się zastanawiał. Raczej dryfowa-  
łem bezwolnie, pograżając się coraz głębiej w przedziwnym  
transie, który tak nieporadnie starałem się opisać. Przed  
zmierschem, mimo straszliwego upału, wybrałem się na spa-  
cer; dotarłem aż do miejsca, w którym droga numer 42 łączy  
się z szosą. W drodze powrotnej zatrzymałem się na skraju  
Łąki Tidwellów i obserwowałem, jak niebo przygasa, nasłu-  
chując przytłumionych łoskotów dobiegających gdzieś z nad  
New Hampshire. Ponownie ogarnęło mnie zdumienie, jak

cienka jest warstwa rzeczywistości, i to nie tylko tu, ale wszędzie, jak cienką powłoką opina tkanki i krew, kryjąc je przed naszymi oczami, przez co nie jesteśmy w stanie ich poznać. Patrząc na drzewa, widziałem mnóstwo ramion; patrząc na krzaki, widziałem twarze. Duchy, powiedziała Mattie. Duchy zionące lodowatym oddechem.

Czas także był cienki jak pergamin, a przynajmniej tak mi się zdawało. Kyra i ja naprawdę byliśmy na festynie we Fryeburgu, naprawdę cofnęliśmy się do roku 1900, a tutaj, na łące, niemal wyczuwało się obecność Czerwonoczubych. Wydawało mi się, że słyszę szmer ich głosów, śmiech i dźwięki gitar; wydawało mi się, że widzę światła w oknach i czuję zapach kolacji. „Pamiętasz mnie, mała?“, śpiewali w którejś ze swoich piosenek. „Zmieniłem się, już nie jestem taki sam“.

Coś zaszeleściło w krzakach po lewej stronie. Odwróciłem się, niemal pewien, że zobaczę Sarę wychodzącą z lasu w sukience i białych pantoflach Mattie. W półmroku wyglądałoby to zapewne tak, jakby same zmierzały w moim kierunku, aż wreszcie, kiedy znalazłaby się bliżej...

Rzecz jasna, nie było tam nikogo. Przypuszczalnie to tylko jakiś dzięcioł wracał do domu po dniu ciężkiej pracy, ale ja nie miałem już najmniejszej ochoty stać i patrzeć, jak nadciąga noc i jak powoli wstają mgły.

Zamiast od razu wejść do domu, poszedłem do pracowni Jo. Nie byłem tam od owej nocy, kiedy we śnie zabrałem swoją starą maszynę do pisania. Drogę oświetlały mi częste rozbłyski na szybko mroczniejącym horyzoncie.

W domku było gorąco, ale nie duszno. Poczułem dość intensywny i nawet przyjemny zapach, jakby suszonych ziół. Tutaj klimatyzator działał bez zarzutu; włączyłem go i przez jakiś czas stałem tuż przy nim. Taka kąpiel w zimnym powietrzu chyba nie była najzdrowsza, ale czułem się

wspaniale.

Niestety, moje fizyczne samopoczucie nie miało nic wspólnego z psychicznym. Rozglądałem się dokoła z narastającym już nawet nie smutkiem, tylko wręcz rozpaczą. Myślałem, że taki nastrój w znacznej mierze wynikał z kontrastu między tym, jak niewiele fizycznych pamiątek zostawiła po sobie Jo w Sarze, i jak bardzo była w niej wciąż obecna. Wyobrażałem sobie nasze małżeństwo jako mały domek dla lalek, w którym część rzeczy jest przymocowana na stałe magnesami i nitkami, część zaś nie. Ktoś, a raczej coś, podeszło z nienacka i przechyliło domek - powinienem chyba być wdzięczny temu czemuś, że nie kopnęło go z całej siły - a wtedy te przymocowane rzeczy - moje rzeczy - zostały na miejscu, natomiast rzeczy Jo...

Wysypały się tutaj.

- Jo?... - zapytałem niepewnie, po czym usiadłem w jej fotelu.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Ani stukania w ściany, ani pohukiwania sów w lesie. Dotknąłem miejsca, gdzie na biurku stała maszyna do pisania, i przesunąłem rękę, zbierając z blatu warstwę kurzu.

- Bardzo za tobą tęsknię - powiedziałem i rozplakałem się.

Kiedy atak płaczu minął, jak mały chłopak otarłem twarz skrajem bawełnianej koszulki, a następnie ponownie rozejrzałem się dokoła. Na biurku stała oprawiona fotografia Sary Tidwell, na ścianie natomiast wisiała druga, której nie mogłem sobie przypomnieć, pożółkła i pomarszczona. Przedstawiała brzozowy krzyż, tak na oko mniej więcej wysokości człowieka, na niedużej polanie na łagodnym stoku schodzącym do jeziora. Przypuszczalnie do tej pory po polanie nie został najmniejszy ślad.

Przyjrzałem się słojom z suszonymi ziołami i grzybami, oprawionym makatkom, zielonemu dywanikowi na podłodze, kubkowi z przyborami do pisania, długopisom i ołówkom, których dotykała i używała. Wziąłem do ręki jeden z nich i przez parę chwil trzymałem nad pustą kartką, ale nic się nie stało. Ani na sekundę nie opuszczało mnie wrażenie, że ktoś ze mną jest, że ktoś mnie obserwuje... ale nie po to, by mi pomóc.

- Wiem już trochę, ale jeszcze za mało - powiedziałem. - Z rzeczy, których nie wiem, najważniejsze chyba jest to, kto napisał na lodówce „pomóż jej”. Czy to byłeś ty, Jo?  
Żadnej odpowiedzi.

Posiedziałem jeszcze trochę, na przekór wszystkiemu nie dając za wygraną, po czym wstałem, wyłączyłem klimatyzator oraz światło i wróciłem do domu. Przez jakiś czas siedziałem na tarasie, patrząc w nadciągającą noc; w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że nerwowo miętoszę w palcach granatową jedwabną wstążkę. Czy naprawdę pochodziła z początku wieku? Taka myśl wydawała się zupełnie szalona... i zarazem całkiem naturalna. Noc wisiała nad jeziorem, gorąca i przyczajona. Wszyscy starcy z TR, a być może również w Motton i Harlow, szykowali zapewne na jutro najlepsze wyjściowe ubrania. W przyczepie przy Wasp Hill Road Kyra siedziała na podłodze i oglądała animowaną wersję „Księgi dżungli”, Mattie leżała na kanapie z nogami w górze, czytała najnowszą powieść Mary Higgins Clark i podśpiewywała razem z bohaterami filmu. Obie były w kusych piżamkach: Ki w różowej, Mattie w białej.

Wkrótce potem utraciłem z nimi łączność, poszedłem więc do sypialni w północnym skrzydle, rozebrałem się, wpełzłem pod kołdrę i zasnąłem prawie natychmiast.

Obudziłem się w środku nocy, ponieważ ktoś przesunął

mi po grzbiecie gorącym palcem. Przekręciłem się na plecy i w blasku błyskawicy ujrzałem uśmiechniętą Sarę Tidwell. Jej oczy były pozbawione źrenic.

- Już prawie wróciłam, kochasiu - wyszeptała i ponownie wyciągnęła do mnie rękę, ale kiedy zaświeciła kolejna błyskawica, łóżko obok mnie było puste.

## Rozdział 24

Źródłem natchnienia nie zawsze są duchy przesuwające literki na drzwiach lodówki; we wtorek rano natchnienie dopadło mnie zupełnie niespodziewanie przy goleniu, kiedy myślałem tylko o tym, żeby nie zapomnieć zabrać piwa na przyjęcie. Wzięło się znikąd, należało więc do najlepszego gatunku.

Niemal pobiegłem do salonu, wycierając po drodze twarz ręcznikiem i w przelocie zerknąłem na rzucone byle jak pismo z krzyżówkami, w którym usiłowałem znaleźć wyjaśnienie dla tajemniczych „dziewiętnaście pionowo” i „dziewięćdziesiąt dwa pionowo”. Całkiem sensowny punkt wyjścia, ale co to miało wspólnego z TR-90? Kupiłem to pisemko w Derry i tam rozwiązałem większość krzyżówek. Jak mogłem oczekiwać, żeby tutejsze duchy interesowały się krzyżówkami z Derry? Co innego książka telefoniczna.

Leżała na stole. Chociaż zawierała numery abonentów z całej południowej części okręgu Castle - TR, Motton, Harlow i Kashwakamak - była dość cienka. Zacząłem od sprawdzenia, czy są co najmniej dziewięćdziesiąt dwie białe strony; były. Ta część książki kończyła się na stronie 97.

Tu musiała być odpowiedź.

- Trafiłem, prawda? - zapytałem Buntera. - Tym razem trafiłem.

Nic. Dzwonek nawet nie drgnął.

- Dobra, dobra. Co wypchany łoś może wiedzieć o książkach telefonicznych?

Dziewiętnaście pionowo. Wróciłem na stronę 19, gdzie zaczynały się nazwiska na F, i zacząłem sunąć palcem w dół po pierwszej szpalcie, czując, jak stopniowo opuszcza mnie podniecenie. Dziewiętnastym nazwiskiem na stronie numer 19 był



niejaki Harold Failles. Nigdy o nim nie słyszałem. Na stronie byli także Feltonowie i Fennerowie, jeden Filkersham i kilku Finneyów, paru Flahertych i całkiem sporo Fossesów. U samego dołu strony widniało nazwisko Framingham. Ono też nic mi nie mówiło, ale...

Framingham Kenneth P.

Coś mi zaświtało. Coś, co nie miało żadnego związku z napisami na lodówce.

Widzisz wcale nie to, co ci się wydaje, pomyślałem. To tak, kiedy kupisz niebieskiego buicka...

- Zaczynasz wszędzie widzieć niebieskie buicki - dokończyłem na głos. - Niemalże musisz jechać między nimi slalomem. Tak, to właśnie to.

Przerzucałem kartki trzęsącymi się rękami, aż wreszcie dotarłem do strony 92. Kończyły się na niej nazwiska na T z południowej części okręgu, zaczynały zaś te na U. Nie zwracałem sobie głowy szukaniem pozycji numer 92 - książka telefoniczna to jednak nie to samo co książka szyfrów - co wcale nie pomniejszało jej znaczenia. Zamknąłem ją, zważyłem w ręku, po czym otworzyłem na chybił trafił, tym razem na literze M. Teraz, kiedy wiedziałem, na co patrzeć, sprawa od razu stała się oczywista.

Mnóstwo imion na K.

Jasne, byli też Stevenowie, Johnowie i Marthy. Byli Messer G. i Messier V., i Jayhouse T., lecz mój wzrok co chwila trafiał na inicjał K. przy nazwiskach, których posiadacze z takich czy innych powodów postanowili nie podawać pełnego imienia. Tylko na stronie 50 naliczyłem ponad dwadzieścia takich inicjałów, do tego zaś co najmniej dziesięć C., jeśli zaś chodzi o pełne imiona...

Dwunastu Kennethów, w tym trzech Kennethów Moore'ów i dwóch Kennethów Munterów. Cztery Catheriny

i dwie Katheriny. Jeden Casey, jedna Kiana i jeden Kiefer.

- Boże, co za urodzaj! - wyszeptałem.

Przerzucałem kartki, nie wierząc własnym oczom. Wszędzie dosłownie roiło się od Kennethów, Katherin i Keithów, co krok natykałem się również na Kimberly, Kirnów i Kymów. Resztę tworzyły: Gammie, Kia (a nam się wydawało, że jesteśmy tacy oryginalni!), Kiah, Kendra, Kaela, Keil, Kyle, Kirby i Kirk. Jakaś kobieta nazywała się Kissy Bowden, jakiś mężczyzna nazywał się Kito Rennie - nosił to samo imię, co jeden z ludzi z dolówki. Do tego należy dodać nieprawdopodobną liczbę inicjałów K. W końcu aż zakręciło mi się od nich w głowie.

Spojrzałem na zegar, bo przypomniałem sobie o Johnie... ale zegara nie było. To znaczy był, ale nie działał. Oczywiście. Stare kocisko straciło ślepią w starciu z siłami nadprzyrodzonymi. Roześmiałem się chrapliwie... i aż się przestraszyłem. To nie był śmiech normalnego człowieka.

- Weź się w garść, Mike - powiedziałem. - Odetchnij głęboko i spróbuj się opanować.

Wciągnąłem powietrze. Zatrzymałem. Wypuściłem. Sprawdziłem godzinę na cyfrowym zegarze kuchenki mikrofalowej. Kwadrans po ósmej. Miałem jeszcze mnóstwo czasu, wróciłem więc do wertowania książki telefonicznej. Niemal natychmiast doznałem kolejnego olśnienia, może nie tak porażającego jak pierwsze, ale, jak się okazało, znacznie trafniejszego.

Zachodnia część stanu Maine to obszar dość odizolowany, przypominający pod tym względem górzyście pogranicze na południu, jednak zawsze docierali tu przybysze z zewnątrz („z nizin”, jak pogardliwie mawiali miejscowi), zaś mniej więcej ćwierć wieku temu zaczęli się tu osiedlać dziarscy emeryci, którzy postanowili spędzić jesień życia na łowieniu ryb

i uprawianiu narciarstwa. Wystarczy zajrzeć do książki telefonicznej, by stwierdzić, kto jest stąd, a kto zjawił się tu całkiem niedawno. Babick, Paretti, O'Quindland, Donahue, Smolnack, Dvorak, Blindermeyer - wszyscy nowi. Wszyscy z nizin. Jalbert, Meserve, Pillsbury, Spruce, Therriault, Perrault, Stanchfield, Starbird, Dubai - wszyscy z okręgu Castle. Chyba rozumiecie, co mam na myśli? Jeśli na stronie 12 figuruje trzydzieści sześć osób o nazwisku Bowie, to od razu wiadomo, że są tu już od dawna, skoro klan zdążył rozrosnąć się do takich rozmiarów.

Wśród Parettich i Smolnacków także trafiło się parę imion na K, ale ich liczba nie przekraczała statystycznej średniej. W znacznie większym stężeniu występowało K przy nazwiskach ludzi, którzy mieszkali tu dość długo, by wchłonąć miejscową atmosferę, tutejsze promieniowanie. Nie, wcale nie chodziło o radiację, tylko...

Nagle oczami wyobraźni ujrzałem czarny pomnik nagrobny, wyższy od najwyższego drzewa nad jeziorem, gigantyczny monolit rzucający cień na połowę okręgu. Obraz był tak realistyczny i przerażający, że wypuściłem książkę z rąk i zakryłem twarz dłońmi. Cofnąłem się, drżąc jak osika. TR-90 leżało przed nim jak żałobny wieniec. Synek Sary Tidwell utonął, albo został utopiony, w jeziorze, ona zaś postawiła mu pomnik. Ciekawe, czy ktokolwiek z mieszkańców miasteczka odkrył to, co ja teraz. Mocno w to wątpiłem. W książce telefonicznej zazwyczaj szuka się konkretnego nazwiska; mało kto czyta ją strona po stronie. Ciekawe, czy Jo zwróciła uwagę na fakt, że niemal w każdej zasiedziałej tu od lat rodzinie był ktoś o imieniu zaczynającym się na tę samą literę co imię syna Sary Tidwell.

Jo nie była głupia. Najprawdopodobniej nie umknęło to jej uwagi.

Wróciłem do łazienki i zacząłem golenie od początku. Już ogolony, przeszedłem do salonu, wziąłem do ręki telefon, wystukałem trzy cyfry, po czym znieruchomiałem, zagapiony na jezioro. Mattie i Ki były w kuchni, obie w fartuszkach, obie radośnie podekscytowane. Przecież wydają przyjęcie! Włożą nowe sukienki, będzie grała muzyka... Ki pomagała mamie robić ciasteczka, a kiedy ciastka trafią do piekarnika, przyjdzie pora na szykowanie sałatek. Gdybym teraz zadzwonił i powiedział: „Mattie, pakuj rzeczy, jedziemy we trójkę na tydzień do Świata Walta Disneya”, w pierwszej chwili wzięłyby to za żart, a potem przypomniałyby mi, że mam odebrać Johna z lotniska. Gdybym nie ustępował, zwróciłyby mi uwagę na to, że co prawda Lindy przyjęła ją z powrotem do pracy, ale tylko pod warunkiem, że ona, Mattie, zjawi się w bibliotece w najbliższy piątek, punktualnie o drugiej po południu. Jeśli mimo wszystko nastawałbym dalej, po prostu by odmówiła.

Dlatego że nie tylko ja byłem w transie, prawda? Nie tylko ja to czułem.

Odłożyłem słuchawkę i poszedłem do sypialni. Byłem spocony, jeszcze zanim skończyłem się ubierać; upał nie zleżał ani trochę, a być może nawet przybrał na sile. Miałem mnóstwo czasu, by zdążyć na lotnisko. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie znajdowałem się w nastroju mniej odpowiednim do zabawy, ale co tam, będę na miejscu. Taki już mój los: zawsze na miejscu.

Co prawda John nie podał mi numeru lotu, ale w porcie lotniczym w Castle Rock nie jest to konieczne. Cały ów kipiący życiem kompleks zabudowań składa się z trzech hangarów i budyneczku, który niegdyś pełnił funkcję stacji benzynowej dla powietrznych taksówek. Jest tylko jeden pas startowy, bezpieczeństwa zaś strzeże wiekowy owczarek szkocki imieniem Lassie, własność Brecka Pellerina; całymi

dniami wyleguje się na wyłożonej linoleum podłodze, strzygąc uszami jedynie podczas startów i lądowań.

Wetknąłem głowę do pokoju Pellerina i zapytałem, czy dziesiąta zero zero z Bostonu przyleci zgodnie z rozkładem. Odparł, że tak, ale wolałby, żeby osoba, na którą czekam, wracała do domu wczesnym popołudniem albo została do jutra, bo dobrą pogodę lada chwila szlag trafi. Miało się zrobić, jak to ujął, „elektrycznie”. Doskonale wiedziałem, co ma na myśli, ponieważ mój układ nerwowy już był pod napięciem.

Następnie wyszedłem przed budynek od strony pasa startowego i usiadłem na ławce reklamującej supermarket Cormiera. Słońce wyglądało jak srebrny guzik zawieszony na rozpalonym do białości niebie. Moja matka powiedziałaaby, że od takiej pogody może tylko rozboleć głowa, ale przecież miała się niedługo zmienić. Zamierzałem ze wszystkich sił trwać przy nadziei na zmianę.

Dziesięć po dziesiątej usłyszałem zbliżające się z południa, narastające brzęczenie, zaś pięć minut później zza mglistego woalu wyłonił się dwusilnikowy samolot, wylądował i potoczył się w kierunku terminalu. Z maszyny wysiadło tylko czworo pasażerów - John Storrows jako pierwszy. Uśmiechnąłem się na jego widok. Musiałem. Miał na sobie czarny t-shirt z wielkim napisem WE ARE THE CHAMPIONS oraz krótkie spodenki, z których wystawały typowe nogi mieszczucha: blade i kościste. Taszczył teczkę i wielką turystyczną lodówkę; gdybym jej nie złapał, z pewnością upadłaby na płytę lotniska.

- Mike! - wykrzyknął, podnosząc prawą rękę.

- John! - odpowiedziałem w identyczny sposób, po czym przybiłem mu piątkę. Uśmiechnął się od ucha do ucha, a mnie boleśnie ugryzło sumienie. Co prawda Mattie nie wyraziła nim zainteresowania (nawet wręcz przeciwnie), co

prawda niewiele nam pomógł (wszystkie problemy rozwiązał sam Devore, zanim John zdążył na serio wziąć się do roboty), lecz mimo to czułem się jak ostatni skurczybyk.

- Chodź, uciekamy z tego upału! Masz chyba klimatyzację w samochodzie?

- Oczywiście.

- A odtwarzacz kasetowy? Jeśli tak, to puszcze ci coś takiego, że się uparsknośmiejesz.

- Uparsknośmiejesz? Pierwsze słyszę, żeby ktoś używał tego słowa.

Uśmiech stał się jeszcze szerszy, a ja dopiero teraz zauważyłem niezliczone piegi na twarzy Johna.

- Nie zapominaj, że jestem prawnikiem, a prawnicy używają nawet takich słów, które jeszcze nie istnieją. No więc jak, masz odtwarzacz?

- Jasne. - Potrząsnąłem lodówką. - Befszytki?

- A jakże. Od Petera Lugera. To...

- ...najlepsze befszytki na świecie. Wiem, już mi mówiłeś.

Jak tylko weszliśmy do budynku, usłyszałem za plecami czyjś głos:

- Michael!

To wołał Romeo Bissonette, który towarzyszył mi podczas składania wyjaśnień w sądzie. W ręce trzymał pudełko zawinięte w niebieski papier i przewiązane białą wstążką. Obok niego właśnie podnosił się z krzesła wysoki mężczyzna z krótko przystrzyżonymi siwiejącymi włosami. Był ubrany w brązowy garnitur i błękitną koszulę, miał wąski krawat i wyglądał raczej na farmera, który przyjechał do miasta na aukcję bydła, niż na kogoś, kto po wypiciu paru drinków staje się duszą towarzystwa, ale nie miałem żadnych wątpliwości, iż jest to nasz prywatny detektyw. Ominął nieruchomego

jak posąg owczarka i uściśnął mi rękę.

- Jestem George Kennedy. Miło mi pana poznać, panie Noonan. Moja żona ma wszystkie pańskie książki.

- Proszę jej podziękować w moim imieniu.

- Zrobię to. Jedną nawet wzięłem ze sobą... - Był lekko zażenowany, jak większość ludzi, którzy proszą o to prawie bez żadnych wstępów. - Czy zechciałby pan później podpisać ją dla niej?

- Z przyjemnością - odparłem. - Najlepiej zrobimy to od razu, zanim zapomnę. - Odwróciłem się do prawnika. - Miło pana widzieć, Romeo.

- Proszę mi mówić Rommie. Ja też się cieszę, że cię widzę. - Podniósł wyżej pudełko. - To prezent ode mnie i George'a. Pomyśleliśmy sobie, że zasługujesz na jakiś elegancki prezent za to, że pomogłeś damie w potrzebie.

Kennedy jednak wyglądał na człowieka, który po paru głębszych potrafi wyczyniać różne hece - na przykład zerwać obrus, przepasać się nim, wskoczyć na stół i zatańczyć kankana. Spojrzałem pytająco na Johna, ale on tylko wzruszył ramionami: nie pytaj mnie, nie mam pojęcia, co to może być. Zsunąłem wstążkę, wepchnąłem dwa palce pod przezroczystą taśmę klejącą, którą zlepiono papier, ale w ostatniej chwili podniosłem wzrok, dzięki czemu przyłapałem Rommiego na tym, jak daje sójkę w bok Kennedy'emu. Obaj szczyrzyli zęby w uśmiechu.

- Chyba nie ma tam czegoś, co wyskoczy znienacka albo wybuchnie mi w rękach? - zapytałem podejrzliwie.

- Skądże znowu! - oburzył się Rommie, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Cóż, kiedy trzeba, potrafię bawić się z innymi swoim kosztem - a przynajmniej tak mi się zdaje. Zdjąłem papier, otworzyłem zwykle kartonowe pudełko, podniosłem kawa-

łek gąbki. Przez cały czas się uśmiechałem, teraz jednak uśmiech usechł mi na ustach. Poczułem się tak, jakbym miał kręgosłup z galarety i niewiele brakowało, a wypuściłbym pudełko z rąk.

W środku była maska tlenowa, z której Devore korzystał od czasu do czasu podczas naszego spotkania na Dróźce. Rommie Bissonette i George Kennedy przynieśli mi ją niczym skalp martwego wroga, i uważali, że to świetny kawał...

- Mike? - zapytał niepewnie Rommie. - Mike, wszystko w porządku? To miał być tylko żart...

Zamrugalem raptownie i stwierdziłem, że to nie żadna maska tlenowa. Na litość boską, jak mogłem być aż tak głupi? Po pierwsze: była za duża. Po drugie: zrobiono ją z półprzezroczystego, znacznie twardszego tworzywa. To była...

Zarechotałem niezobowiązująco. Na twarzach Romea Bissonette i George'a Kennedy'ego pojawił się wyraz ogromnej ulgi, John natomiast był lekko zdezorientowany.

- To naprawdę zabawne, chłopaki - powiedziałem przez ściśnięte gardło i wyciągnąłem z maski nieduży czarny mikrofon. Zawisł smętnie na kabelku, kołysząc się na boki prawie tak samo jak ogon kociego zegara - dopóki zegar jeszcze działał, ma się rozumieć.

- Co to jest, do diabła? - zapytał John.

- Od razu widać, że to pan mecenas z Park Avenue, co?

- zwrócił się Rommie do George'a. Mówił z przesadnie rozwlekłym miejscowym akcentem, co, szczerze mówiąc, było tylko trochę śmieszne. Dla kogoś, kto całe życie spędził w Maine, parodiowanie jankeskiego akcentu szybko przestaje być zabawne. Na szczęście uznał, że tyle wystarczy. - Nigdy czegoś takiego nie widział. To stenomaska, szanowny panie. Stenograf, który protokołował wyjaśnienia Mike'a, miał coś takiego na twarzy, a Mike wciąż gapił się na niego,



jakby...

- Zupełnie zbił mnie z tropu. Wyobraźcie sobie tylko: ja coś mówię, a w kącie siedzi stuletni gość i mamrocze to samo pod maską Zorro.

- Gerry Bliss nie pana jednego zbił z tropu - odezwał się Kennedy niskim, dudniącym głosem. - Już tylko on korzysta z czegoś takiego. Zostało mu ich jeszcze z dziesięć albo jedenastie. Wiem o tym, bo tę kupiliśmy właśnie od niego.

- Mam nadzieję, że zdarł z was skórę - powiedziałem.

- Wydawało mi się, że to będzie dobry upominek, ale teraz przez chwilę poczułem się tak, jakbym dał ci pudełko z czyjąś obciętą ręką - wyznał Rommie. - Staram się pamiętać, który prezent dla kogo, ale czasem może się coś pomylić. A tak na serio, to co się stało?

- Nic - odparłem beztrosko i zawiesiłem maskę na palcu.

- Wszystko przez ten upał.

- Mattie kazała nam być o jedenastej - poinformował mnie John. - Najpierw napijemy się piwa, a potem będziemy rzucać latającym talerzem.

- Jestem całkiem niezły w obu konkurencjach - stwierdził George Kennedy.

Na parkingu George podszedł do zakurzonej altimy, po-grzebał w bagażniku i wydobył dość sfatygowany egzemplarz „Człowieka w czerwonej koszuli”.

- Frieda kazała mi zabrać właśnie tę. Ma i nowsze, ale ta najbardziej jej się podoba. Przykro mi, że tak wygląda, ale Frieda czytała ją już chyba z sześć razy.

- To również moja ulubiona książka - powiedziałem zgodnie z prawdą. - Poza tym, książki są po to, żeby je czytać, a nie żeby stały na półkach.

To także była prawda. Otworzyłem książkę, z uznaniem spojrzałem na dawno zaschniętą czekoladową plamę na ob-

wolucie, a następnie napisałem: Friedzie Kennedy, której mąż pomógł mi w potrzebie. Z podziękowaniami za to, że mi go użyczyła, i za to, że czyta moje powieści. Mikę Noonan.

Jak na mnie, była to bardzo długa dedykacja, zwykle bowiem ograniczam się do „Wszystkiego najlepszego!” albo „Powodzenia!”, ale chciałem zadośćuczynić za dziwną minę, jaką zobaczyli na mojej twarzy, kiedy otworzyłem pudełko. Jeszcze zanim skończyłem pisać, George zapytał, czy pracuję nad nową powieścią.

- Nie - odparłem. - Ładuję akumulatory.

Oddałem mu książkę.

- Frieda nie będzie zachwycona.

- Zapewne, ale zawsze może wrócić do „Człowieka w czerwonej koszuli”.

- Pojedziemy za wami - oznajmił Rommie.

Daleko na zachodzie przetoczył się łoskot gromu. Nie był głośniejszy od grzmotów, które rozlegały się sporadycznie przez cały miniony tydzień, ale nie miał owego pustego, suchego podźwięku. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i być może dlatego jak jeden mąż spojrzeliśmy w tamtym kierunku.

- Myśli pan, że zdążymy zjeść przed deszczem? - zapytał mnie George.

- Być może - odparłem.

Kiedy przyhamowałem przy bramie i spojrzałem w prawo, by upewnić się, że nic nie nadjeżdża, zauważyłem zdziwione spojrzenie Johna.

- O co chodzi?

- O nic. Po prostu wiem od Mattie, że jednak coś piszesz. Książka wypięła się na ciebie, czy co?

„Przyjaciel z dzieciństwa” w gruncie rzeczy miał się całkiem nieźle, ale wiedziałem już, że nigdy go nie ukończę. By-

ło to tak samo pewne jak to, że niebawem spadnie deszcz. Chłopcy z piwnicy z jakiegoś, znanego tylko sobie, powodu postanowili zabrać go z powrotem tam, skąd przyszedł. Wolałem nie pytać dlaczego, bo mógłbym usłyszeć niezbyt przyjemną odpowiedź.

- Raczej „czy co”, ale sam nie wiem, co konkretnie. -

Wyjechałem na szosę, spojrzałem we wsteczne lusterko i zobaczyłem tam małą altimę George'a. Ameryka zamieniła się ostatnio w kraj, w którym pełno dużych mężczyzn w małych samochodach. - Co chciałeś mi puścić? Jeśli to karaoke, to z góry dziękuję. Chyba ostatnią rzeczą, jaką pragnę usłyszeć, jest twój głos w połączeniu z jakimś bluesem albo rock and rollem.

- To coś znacznie lepszego - odparł tajemniczo. - O niebo lepszego. - Przez chwilę gmerał w teczkę, po czym wy dobył z niej plastikowe pudełeczko z wczorajszą datą na papierowej wkładce. - Uwielbiam to! - westchnął, wyjął kasetę z pudełka i włożył ją do odtwarzacza.

Miałem nadzieję, że tego ranka wyczerpałem już limit nieprzyjemnych niespodzianek, lecz okazało się, że nie.

- Przepraszam, musiałem pozbyć się rozmówcy na drugiej linii. - Głos Johna, który rozległ się z głośników mego chevroleta, brzmiał wręcz szokująco profesjonalnie. Byłem gotów założyć się o milion dolarów, że mówiąc te słowa, mecenas Storrow nie prezentował światu bladych, kościstych goleni.

Odpowiedział mu lekko schrypnięty, zgryźliwy śmiech. Natychmiast skurczył mi się żołądek. Przypomniałem sobie, jak zobaczyłem ją po raz pierwszy przed Barem Zachodzącego Słońca, w czarnych szortach i czarnym kostiumie kąpielowym. Wyglądała jak uciekinierka z piekła, w którym jedyną torturą było intensywne odchudzanie.

- Chciał pan powiedzieć, że musiał pan włączyć magnetofon. - Teraz przypomniałem sobie, jak raptownie woda zmieniła kolor, kiedy zostałem trafiony kamieniem w tył głowy. Z jaskrawopomarańczowej błyskawicznie zrobiła się ciemnofioletowa, by chwilę potem wedrzeć mi się do ust. - Nic nie szkodzi. Może pan nagrywać.

John niespodziewanie sięgnął do odtwarzacza i wyjął kasetę.

- Nie musisz tego słuchać. W gruncie rzeczy, to nic ważnego. Myślałem, że uśmiejesz się z jej gadaniny, ale widzę, że coś ci nie do śmiechu. Chcesz, żebym poprowadził? Jesteś blady jak pieprzona kartka papieru.

- Nic mi nie jest. Włącz, chcę posłuchać. Potem opowiem ci o małej przygodzie, która spotkała mnie w piątkowy wieczór, ale pod warunkiem, że nie piśniesz nikomu ani słowa. - Wskazałem kciukiem za plecy. - Oni nie muszą nic wiedzieć, Mattie zresztą też. Przede wszystkim ona.

Niezdecydowanie obracał kasetę w palcach.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie. Po prostu nie spodziewałem się usłyszeć jej głosu. A do tego ta jakoś dźwięku...

- Avery, McLain i Bernstein nie oszczędzają na niczym. A tak przy okazji: mamy bardzo surowe przepisy dotyczące tego, co i kiedy możemy nagrywać. Nie chciałbym, żebyś coś sobie pomyślał.

- Niczego sobie nie myślę. Zresztą, o ile się nie mylę, taka taśma nie może stanowić dowodu w sądzie?

- Z wyjątkiem pewnych szczególnych okoliczności, kiedy decyzja należy do sędziego, ale my nie po to je nagrywamy. Cztery lata temu, dokładnie wtedy, kiedy zaczynałem pracę w firmie, taka taśma ocaliła życie pewnemu człowiekowi. Zraz potem został objęty programem ochrony świadków.

- W takim razie, gramy dalej.

Włożył kasetę do odtwarzacza.

John: Jak podoba się pani na pustyni, pani Whitmore?

Whitmore: Za gorąco.

John: A jak idzie załatwianie formalności? Wiem, że w takiej sytuacji często...

Whitmore: Mało pan wie, mecenasie, może mi pan wierzyć. Dajmy sobie spokój z tymi bzdurami, dobrze?

John: Jak sobie pani życzy.

Whitmore: Czy przekazał pan synowej pana Devore'a warunki, jakimi została obwarowana jego ostatnia wola?

John: Owszem.

Whitmore: I jak brzmi jej odpowiedź?

John: Chwilowo nie ma żadnej odpowiedzi. Być może udzielimy jej po urzędowym potwierdzeniu autentyczności testamentu. Z pewnością jednak zdaje sobie pani sprawę, że sądy prawie nigdy nie uznają ważności dodatkowych zapisów takich jak ten.

Whitmore: Cóż, z pewnością wszyscy przekonamy się o tym, jeśli ta młoda dama choć na jedną dobę wyjedzie z miasteczka.

John: Bez wątpienia.

Whitmore: O której zaczyna się bankiet?

John: Proszę?

Whitmore: Niechże pan da spokój! Mam dzisiaj co najmniej sześćdziesiąt spotkań, a jutro pogrzeb szefa. Przecież jedzie pan do niej, żeby uczcić zwycięstwo. Wie pan, że zaprosiła też tego pisarza? Swojego przydupasiego?

John spojrział na mnie z błyskiem w oku.

- Słyszysz, jaka jest wkurzona? Stara się to ukryć, ale nie może. To ją zżera od środka!

Prawie go nie słyszałem, byłem bowiem w transie

(.. .tego pisarza... swojego przydupasiego...)

i jednocześnie usiłowałem dotrzeć do tego, co kryło się pod jej słowami. Chcemy sprawdzić, jak długo potrafisz utrzymać się na wodzie, wołała do mnie w piątek.

John: Nie wydaje mi się, że powinno panią obchodzić, co robię ja albo co robią moi przyjaciele. Z całym należnym szacunkiem pozwolę sobie zasugerować, żeby ograniczyła pani swoje zainteresowanie do grona własnych znajomych i pozwoliła Mattie Devore...

Whitmore: Przekaze mu pan wiadomość.

Mówiła o mnie... a raczej do mnie. Co prawda fizycznie znajdowała się w drugim końcu kraju, ale jej głos i wredna dusza były tu, z nami, w samochodzie.

A także wola Maksa Devore'a. Nie pozbawione znaczenia bzdury, które jego prawnicy utrwalili na papierze, ale jego autentyczna wola. Stary drań był równie martwy jak Dammokles, a mimo to nadal usiłował dopiąć celu.

John: Komu, proszę pani?

Whitmore: Powie mu pan, że wciąż nie odpowiedział na pytanie pana Devore'a.

John: Jakie pytanie?

Czyjej cipa wsysa?

Whitmore: Proszę mu to powiedzieć. On będzie wiedział.

John: Jeżeli ma pani na myśli Mike'a Noonana, to sama może mu to pani powiedzieć. Z pewnością spotkacie się jesienią, podczas sądowego stwierdzenia autentyczności testamentu.

Whitmore: Wątpię. Autentyczność testamentu pana Devore'a została potwierdzona tutaj, bezpośrednio po jego sporządzeniu.

John: Niemniej będzie musiała zostać powtórnie stwierdzona w stanie Maine, gdzie zmarł. Dopilnuję, żeby tak się/ stało.

Kiedy następnym razem będzie pani opuszczać okręg Castle, wyjedzie pani ze znacznie poszerzoną wiedzą prawniczą.

Po raz pierwszy od początku rozmowy dał się ponieść emocjom, ponieważ jego głos zmienił się w nieprzyjemne krakanie.

Whitmore: Jeśli pan myśli, że...

John: Ja nie myślę, ja wiem. Do zobaczenia, pani Whitmore.

Whitmore: Powinien pan trzymać się z dala od...

Rozległo się stuknięcie, potem buczenie, wreszcie zsynchronizowany głos wyrecytował mechanicznie:

- Godzina dziewiąta czterdzieści... czasu wschodniego wybrzeża... dwudziesty... lipca.

John wcisnął EJECT, wyjął kasetę, wsadził ją do pudełka i schował do teczki.

- Rzuciłem słuchawkę, wyobrażasz sobie? - Powiedział to takim tonem, jakby opowiadał o swoim pierwszym skoku ze spadochronem. - Zrobiłem to. Ale się wpieniła, co? Była cholernie wkurzona, nie uważasz?

- Pewnie.

To właśnie spodziewał się usłyszeć, ale w głębi serca wcale nie był tego pewien. Wkurzona - owszem, ale czy cholernie? Raczej nie. Mattie niewiele ją obchodziła; Rogette zadzwoniła do Johna po to, żeby dotrzeć do mnie, aby mi powiedzieć, że o mnie myśli. Żeby mi przypomnieć, jak to jest, kiedy próbujesz utrzymać się na powierzchni na pół ogłuszony, z krwawiącą raną na głowie. Żeby mnie przestraszyć. Udało jej się.

- Co to było za pytanie, na które nie odpowiedziałeś?

- Nie mam pojęcia, o co jej chodziło - skłamałem - ale mogę ci wyjaśnić, dlaczego poczułem się trochę nieswojo, kiedy niespodziewanie usłyszałem jej głos. Oczywiście jeśli

chcesz się tego dowiedzieć, no i jeśli potrafisz dochować tajemnicy.

- Zostało nam jeszcze prawie trzydzieści kilometrów, więc warto by czymś się zająć, a jeśli chodzi o dyskrecję, to możesz na mnie polegać.

Opowiedziałem mu o piątkowym wieczorze, pomijając wszystkie halucynacje i zjawiska paranormalne. Po prostu wyszedłem sobie na spacer, żeby obejrzeć zachód słońca, stanąłem przy pochyłej brzozie na brzegu jeziora, a oni zakradli się od tyłu. Od chwili, kiedy Devore zaatakował mnie wózkiem, do momentu, kiedy wreszcie poczułem grunt pod stopami, moja relacja była prawie w stu procentach zgodna z prawdą.

Skończyłem, a John ciągle milczał, co najlepiej świadczyło o wrażeniu, jakie wywarła na nim moja opowieść, bo przecież w normalnych okolicznościach był niemal równie gadliwy jak Kyra.

- No i co? - nie wytrzymałem .wreszcie. - Są jakieś uwagi? Pytania?

- Rozsuń włosy z tyłu głowy.

Zrobiłem to, odsłaniając wielki plaster z opatrunkiem i ogromnego guza. John pochylił się w moją stronę i długo przyglądał się ranie, jakbyśmy byli uczniami pokazującymi sobie podczas przerwy pierwsze bitewne blizny.

- Niech mnie szlag trafi! - mruknął wreszcie.

Tym razem ja milczałem.

- Te dwa stare przyki chciały cię utopić!

Wciąż się nie odzywałem.

- Chciały cię utopić z zemsty za to, że pomagasz Mattie.

Teraz także nie uznałem za stosowne zabrać głosu.

- Nie zawiadomiłeś policji?

- Miałem zamiar to zrobić, ale uświadomiłem sobie, że w najlepszym razie wyszedłbym na mazgaja, a w najgorszym



na wierutnego kłamcę.

- Jak myślisz, co o tym wie Osgood?

- Że usiłowali mnie utopić? Nic. To tylko chłopiec na posyłki.

John ponownie umilkł na kilkanaście sekund, a następnie wyciągnął rękę i dotknął guza na mojej głowie.

- Au!

- Przepraszam. - Pauza. - Boże. A potem wrócił do Warringtonów i skończył ze sobą. Mikę, wierz mi: w życiu nie kazałbym ci słuchać tej taśmy, gdybym...

- Nie ma sprawy, ale pamiętaj: ani słowa Mattie. Nie bez powodu zacząłem czesać się w ten sposób.

- Myślisz, że kiedyś jej o tym powiesz?

- Być może, ale nieprędko. Dopiero wtedy, kiedy minie tyle czasu, że to wszystko będzie się wydawało złym snem.

- To rzeczywiście nieprędko.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Czułem, że John usiłuje znaleźć sposób, który pozwoliłby mu sprytnie skierować moje myśli ku przyjemniejszym tematom, byłem mu za to bardzo wdzięczny. Wreszcie włączył radio - leciał akurat jakiś okropny kawałek Guns 'n Roses-i powiedział:

- Ale mimo wszystko bawimy się do upadłego, co Mikę.

Uśmiechnąłem się. Nie było to łatwe, w uszach bowiem wciąż dźwięczał mi zgryźliwy głos Rogette Whitmore, ale jakoś dałem sobie radę.

- Skoro się upierasz...

- Jak najbardziej.

- Wiesz co, John? Niezły z ciebie gość, oczywiście jak na prawnika. ""

- Z ciebie też, oczywiście jak na pisarza.

Tym razem uśmiech pojawił się na mojej twarzy bez więk-

szych oporów i pozostał tam dłużej. W chwili, kiedy mijaliśmy tablicę informującą o tym, że wjeżdżamy na teren TR-90, słońce przebiło się przez białawą mgiełkę i nappełniło świat soczystymi barwami. Z pewnością potraktowałbym to jako dobry znak, gdyby nie to, że zaraz potem spojrzałem na zachód. Tam, smolście czarne na tle jasnego nieba, nad Białymi Górami gromadziły się burzowe chmury.

## Rozdział 25

Odnoszę wrażenie, że z punktu widzenia mężczyzny, miłość składa się w równych częściach z pożądania i zdziwienia. Kobiety wiedzą, co to jest zdziwienie, natomiast tylko wydaje im się, że wiedzą, co to pożądanie. Tylko nieliczne - powiedzmy, jedna na dwadzieścia - mają jakie takie pojęcie, czym jest i jak głęboko sięga. To chyba dobrze, bo dzięki temu mogą spać spokojnie, chociaż wcale nie mam na myśli pożądania w interpretacji satyrów, gwałcicieli czy zboczeńców. Mówię o zwykłym pożądaniu sprzedawców obuwia i nauczycieli.

A także pisarzy oraz prawników.

Za dziesięć jedenasta zajechaliśmy przed przyczepę. Kiedy zatrzymałem samochód przy skorodowanym jeepie, drzwi otworzyły się i na progu stanęła Mattie. John i ja równocześnie wciągnęliśmy głośno powietrze.

Ubrana w różowe szorty i także różową, kusą bawełnianą bluzeczkę, była chyba najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem. Co prawda szorty nie były aż tak krótkie, żeby zasłużyć na określenie „niesmaczne” (tak właśnie mawiała moja matka), ale z pewnością były wystarczająco krótkie, żeby uznać je za prowokujące. Bluzka odsłaniała akurat tyle opalanej skóry, żeby widzów ogarnęło rozmarzenie. Rozpuszczone włosy sięgały jej do ramion. Na nasz widok uśmiechnęła się promiennie i pomachała ręką. Udało jej się, pomyślałem. Gdyby w tym stroju znalazła się teraz w najbardziej ekskluzywnym klubie, nikt nie odważyłby się pisnąć ani słowa.

- O rety! - westchnął John. - Brakuje jeszcze tylko torby chipsów.

- Lepiej wsadź sobie oczy z powrotem do głowy - poradziłem mu.

Udał, że to robi. Tymczasem za nami zatrzymała się altmaGeorge'a.

- Idziemy - powiedziałem, otwierając drzwi. - Pora zacząć przyjęcie.

- Mike, ja jej chyba nie dotknę! - wyszeptał John dramatycznym tonem. - Boję się, że się roztopię!

- Chodź już, głupolu. ""

Mattie minęła skrzynkę z rozsadami pomidorów i zeszła po schodkach. Tuż za nią podążała Ki, w takim samym stroju jak matka, tyle że ciemnozielonym. Była akurat w fazie nieśmiałości, ponieważ jedną rączką dotykała nogi Mattie, drugą zaś wsadziła prawie całą do ust.

- Witamy chłopców! - wykrzyknęła roześmiana Mattie, rzuciła mi się na szyję, objęła mocno i pocałowała w kącik ust. Oddałem jej uścisk, po czym pocałowałem w policzek. Następnie zajęła się Johnem: najpierw przeczytała napis na jego koszulce, przyklasnęła z zachwytem i również chwyciła go w objęcia. Odwzajemnił się z zapałem dość zaskakującym jak na kogoś, kto jeszcze przed chwilą obawiał się, że się roztopi, podniósł ją bowiem i wykonał dwa pełne obroty.

- Bogata, bogata, bogata! - wykrzyknął, po czym postawił ją z powrotem na ziemi.

- Wolna, wolna, wolna! - odpowiedziała, roześmiana i zadyszana. - Do diabła z pieniędzmi!

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, pocałowała go mocno w usta. Wyciągnął ręce, by ją ponownie objąć i przytrzymać, lecz ona wywinęła się zręcznie i odwróciła do Romea i George'a, którzy stali parę kroków dalej z takimi minami, jakby zamierzali wygłosić wykład o mormonach.

Zrobiłem krok naprzód, by dokonać prezentacji, ale John

okazał się szybszy. Jednak dopiął swego, ponieważ objął ją w tali i poprowadził w kierunku mężczyzn.

Czyjaś ręka chwyciła mnie za palce. Spojrzałem w dół i zobaczyłem twarzyczkę Kii, bladą, poważną i równie piękną jak twarz jej matki. Jasne, lśniące włosy miała zebrane z tyłu i spięte zamszową klamerką.

- Ludzie z dolówki chyba już mnie nie lubią - powiedziała. Beztraska energia, którą zazwyczaj aż kipiała, ulotniła się bez śladu. Kyra z trudem powstrzymywała łzy. - Literki gdzieś sobie poszły.

Podniosłem ją i posadziłem na przedramieniu, tak jak wtedy, kiedy spotkałem ją maszerującą środkiem szosy numer 68, pocałowałem najpierw w czoło, a potem w czubek nosa. Skórę miała jak jedwab.

- Wiem, ale jeśli chcesz, kupię ci nowe. Ciemnoniebieskie oczy spoglądały na mnie z powątpiewaniem.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. I nauczę cię specjalnych słów, takich jak zygota i deklaracja. Znam mnóstwo specjalnych słów.

- Ile?

- Sto osiemdziesiąt.

Na zachodzie przetoczył się huk grzmotu. Nie był głośniejszy niż poprzednie, ale jakby bardziej skoncentrowany. Ki spojrzała w tamtym kierunku, po czym ponownie skupiła uwagę na mnie.

- Boję się, Mike.

- Boisz się? A czego?

- Nie wiem. Tej pani w sukience Mattie. Tych panów, których wtedy widzieliśmy. - Obejrzała się przez ramię. - Oho, idzie mama. - Wielokrotnie słyszałem aktorki identycznym tonem wypowiadające kwestię: „Nie przy dzieciach, ko-

chanie". - Postaw mnie.

Postawiłem. Podeszli do nas Mattie, John, George i Romeo. Ki pobiegła do Mattie, która wzięła ją na ręce, po czym popatrzyła na nas jak generał dokonujący przeglądu wojsk.

— Przywiozłeś piwo?

Pytanie było skierowane do mnie.

- Tak jest. Cały karton buda, a do tego parę butelek lemoniady.

- Świetnie. Panie Kennedy...

- George, proszę pani.

- George. Jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „proszę pani”, dostaniesz w nos. Czy mógłbyś pojechać do sklepu... - wskazała odległy o niespełna kilometr budynek - ...i przywieźć trochę lodu?

- Jasne.

- Panie Bissonette...

- Rommie.

- Za przyczepą jest mały ogródek. Myślisz, że uda ci się wybrać dwie ładne sałaty?

- Chyba dam sobie radę.

- John, wsadź mięso do lodówki, a ty, Michael... -

Wskazała na grill. - Brykiety są już nasączone podpalką.

Rzuć tylko zapałkę i cofnij się o parę kroków. No, do roboty!

- Tak jest, pani - odparłem, po czym przyklęknąłem przed nią, co wreszcie wywołało uśmiech na buzi Kii.

Mattie roześmiała się głośno i pomogła mi wstać.

- Proszę się pospieszyć, sir Galahadzie. Zbiera się na deszcz. Kiedy zaczną padać chcę już być pod dachem, najedzona tak, że nie będę się mogła poruszyć.

Miejskie przyjęcia zaczynają się od powitań przy drzwiach, odbierania wierzchnich okryć i przedziwnych, tra-

fiających w powietrze pocałunków (swoją drogą, ciekawe, skąd się wziął ten zwyczaj?). Na wsi przyjęcie zaczyna się od ciężkiej pracy. Trzeba nosić, przestawiać, ustawiać, szukać niezbędnych przyborów takich jak szczypce do mięsa albo rękawice. Gospodyni prosi kilku panów, żeby przestawili stół, a kiedy już się z tym uporają, dochodzi do wniosku, że lepiej było tak jak przedtem. Po pewnym czasie zaczyna ci się to nawet podobać.

Ułożyłem brykiety w piramidę bardzo podobną do tej z rysunku na torbie, po czym przytknąłem zapaloną zapalną. Od razu zajęły się płomieniem, więc, w pełni usatysfakcjonowany, cofnąłem się o dwa kroki i otarłem czoło. Zapowiadane ochłodzenie chyba wciąż jeszcze było bardzo daleko... Zmieniłem zdanie, kiedy popatrzyłem na niebo nad zachodnim horyzontem; wyglądało tak, jakby ktoś rozlał tam butelkę czarnego tuszu.

-Mikę...

Spojrzałem w dół, na Kyrę.

- Słucham, kochanie?

- Zaopiekujesz się mną?

- Tak - odparłem bez wahania.

Odniosłem wrażenie, że coś zaniepokoiło ją w mojej odpowiedzi (być może udzieliłem jej za szybko), ale w końcu się uśmiechnęła.

- To dobrze. Patrz, przyjechał lodziarz!

George wrócił ze sklepu. Ruszyliśmy powoli w jego kierunku; mała trzymała mnie za rękę i wymachiwała nią z władczą miną. Dołączył do nas Romeo, zonglując trzema główkami sałaty; chociaż bardzo się starał, nie wydawało mi się, żeby mógł stanowić konkurencję dla człowieka, którego popis tak zafascynowały Kię w parku miejskim.

George wyjął z bagażnika dwie torby z lodem.

- Sklep był zamknięty - oznajmił. - Na drzwiach była kartka PRZERWA DO 17.00, ale pomyślałem sobie, że nie będziemy tyle czekać, więc wziąłem lód i wrzuciłem pieniądze do skrzynki na listy.

Oczywiście. Wszyscy pojechali na pogrzeb Royce'a Merrilla. Nawet właściciele sklepu zdecydowali się w szczycie sezonu turystycznego zamknąć interes na kilka godzin tylko po to, żeby być przy tym, jak trumna ze zwłokami starego człowieka spocznie w ziemi. Było to trochę wstrząsające... i trochę niesamowite.

- Mogę ponieść lód? - zapytała Kyra.

- Chyba tak, ale uważaj, żeby sobie niczego nie odmrozić - odparł George, po czym ostrożnie położył dwuipółkilogramową torbę na wyciągniętych ramionach dziewczynki.

- Będę się odmrażać! - zachichotała i pomaszerowała do przyczepy. W tej samej chwili na schodki wyszła Mattie, a za nią John z miną zziąjanego ogara. - Mamusiu, popatrz! Ja się odmrażam!

Wziąłem drugą torbę.

- Wiem, że wystawili zamrażarkę na zewnątrz, ale wydawało mi się, że jest na niej kłódka?

- Większość kłódek traktuje mnie jak starego przyjaciela - wyjaśnił George.

- Aha. Rozumiem.

- Mikę! Łap!

John rzucił czerwony latający talerz, odrobinę za wysoko, ale wyskoczyłem w górę i jakoś zdołałem go złapać. Nagle usłyszałem głos Devore'a: „Co z tobą, Rogette? Rzucasz jak mała dziewczynka. Daj mu popalić!”

Opuściłem wzrok i ponownie napotkałem spojrzenie Kii.

- Nie myśl o smutnych rzeczach - powiedziała.

Uśmiechnąłem się, po czym wręczyłem jej talerz.



- Jak sobie życzysz. Teraz ty, kochanie. Spróbuj rzucić do mamy. Zobaczymy, czy dasz sobie radę.

Wydeła wargi, odwróciła się i prawie nie biorąc rozma-  
chu rzuciła talerz tak mocno, że Mattie z prawdziwym wy-  
siłkiem udało się go złapać. Gdyby Kyra wybrała karierę za-  
wodowego gracza, bez wątpienia czekałaby ją -wspaniała  
przyszłość.

Mattie odrzuciła talerz George'owi, który wykonał bardzo  
zgrabny półobrót i chwycił go za plecami. Nagrodziła go  
energicznymi oklaskami, dzięki czemu dolny skraj bluzki po-  
wędrował nad pępek.

- Tanie sztuczki! - zawołał John ze schodów.

- Zazdrość to okropne uczucie - stwierdził z niesmakiem  
George, po czym posłał talerz Rommiemu Bissonette, a ten  
z kolei usiłował trafić w Johna, lecz chybił i talerz uderzył  
w bok przyczepy. John sbiegł ze schodków, żeby go pod-  
nieść, Mattie zaś powiedziała do mnie:

- Na stoliku w salonie stoi radiomagnetofon, a obok le-  
ży trochę płyt. Prawie wszystkie są stare, ale zawsze to jakaś  
muzyka. Wyniesiesz to na zewnątrz?

- Jasne.

Wszedłem do dusznego wnętrza - trzy działające bez  
przerwy wentylatory nie potrafiły sobie poradzić z upałem -  
i ogarnąłem spojrzeniem tandetne meble, ciasne wnętrze oraz  
efekty starań Mattie zmierzających do tego, by nadać mu ja-  
kiś charakter: „Słoneczniki” van Gogha, które powinny razić  
w tym otoczeniu, ale nie raziły, „Nocne jastrzębie” Edwarda  
Hoppera nad kanapą, zasłony, których widok rozbawiłby Jo  
do łez. Ogarnął mnie wielki smutek, a zaraz potem wście-  
kłość na Maksa Devore'a; co prawda już nie żył, ale mimo to  
chętnie skopałbym mu tyłek.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem w saloniku, była leżą-

ca na stoliku najnowsza powieść Mary Higgins Clark z zakładką sterczącą spomiędzy kartek. Obok niej piętrzył się stosik wstążek do włosów; wyglądały dziwnie znajomo, choć nie mogłem sobie przypomnieć, żebym widział którąkolwiek we włosach Kii. Przez jakiś czas stałem ze zmarszczonymi brwiami, aż wreszcie wzruszyłem ramionami, zgarnąłem ze stołu radioodtworacz i płyty i wyszedłem na zewnątrz.

- Zabawmy się! - zawołałem.

Wszystko było w porządku, dopóki nie zaczęła tańczyć. Nie wiem, czy dla was ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale dla mnie ma, ponieważ to był mój koniec.

Przenieśliśmy się za przyczepę, częściowo po to, żeby za bardzo nie kłuć w oczy żałobników zmierzających na pogrzeb, ale głównie dlatego, że podwórko z tyłu, równe i porośnięte niską trawą, doskonale nadawało się do gry. Po kilku nieudanych chwytach Mattie zrzuciła eleganckie pantofelki, pobiegła na bosaka do domu i wróciła w płótniakach. Od tej pory szło jej znacznie lepiej.

Ciskaliśmy talerzem, obrzucaliśmy się wyzwiskami, piliśmy piwo, śmialiśmy się do rozpuku. Ki nie bardzo dawała sobie radę z łapaniem, ale jak na trzyletnie dziecko dysponowała fenomenalnym rzutem. Z głośników radioodtworacza ustawionego na tylnych schodkach lał się nieprzerwany strumień przebojów z końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych: „U2”, „Tears for Fears”, „Eurythmics”, „Crowded House”, „A Flock of Seagulls”, „Ah-hah”, „Bangles”, „Melissa Etheridge”, „Huey Lewis”, „The News”. Wydawało mi się, że znam każdą piosenkę, każdy dźwięk.

Pociliśmy się i sapaliśmy w bezlitosnym upale. Gapiliśmy się na smukłe, opalone nogi Mattie i słuchaliśmy radosnego śmiechu Kyry. W pewnej chwili Rommie Bissonette potknął

się i fiknął koziółka, a z jego kieszeni wysypało się mnóstwo drobnych. Johna chwycił taki atak śmiechu, że aż musiał usiąść na ziemi, a wtedy podbiegła Ki i z rozpędem skoczyła mu na kolana. Zupełnie nie był na to przygotowany; natychmiast przestał się śmiać, wytrzeszczył oczy wielkie jak spodki i wycharczał coś niezrozumiale. Przypuszczam, że jądra miał w okolicy migdałków.

- Kyra, co ty wyrabiasz! - wykrzyknęła Mattie.

- Ja tylko wyłachotałam zawodnika - oświadczyła z niewinną minką.

John uśmiechnął się blado i pomału dźwignął się na nogi.

- Może i tak, ale przy okazji faulowałaś, więc teraz będzie rzut karny.

- Nic ci nie jest? - zapytał George z zatroskaną twarzą, ale sądząc po jego głosie, z najwyższym trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Wszystko w porządku - odparł John i rzucił mu talerz.

- No, dalej. Pokaż, co potrafisz.

Zagrzmiało, lecz czarne chmury wciąż były daleko od nas. Niebo nad naszymi głowami w dalszym ciągu pozostawało białobłękitne, nadal śpiewały ptaki, a świerszcze grały w trawie. Nad grillem falowało rozgrzane powietrze; zbliżała się chwila, kiedy będzie trzeba położyć na ruszcie befsztyki Johna. Talerz wciąż szybował z rąk do rąk, jaskrawoczerwony na tle zieleni drzew i trawy, i rozwodnionego błękitu nieba, a mnie nadal trawiło pożądanie, ale wszystko jeszcze było w porządku. Pożądanie trawi prawie bez przerwy większość mężczyzn na świecie, a mimo to czapy lodowe na biegunach jeszcze się nie roztopiły. Potem jednak ona zaczęła tańczyć i wszystko się zmieniło.

Sprawiła to piosenka Dona Henleya, ta z gitarową solówką, od której ciarki przebiegają po plecach.

- Boże, jak ja to lubię! - wykrzyknęła Mattie.

Tak się złożyło, że akurat talerz trafił do niej. Złapała go, rzuciła na ziemię, stanęła na nim, jakby to była plama czerwonego światła z reflektora na parkiecie dyskoteki, i zaczęła się wić. Najpierw przesunęła rękami po karku, przeniosła je na biodra, plecy. Tańczyła na czerwonym plastikowym talerzu, nie poruszając stopami. Tańczyła jak w piosence, jak fala na oceanie.

Kobiety w tańcu są bardzo seksowne, ale moja reakcja była zupełnie nieadekwatna do bodźca, który ją wywołał. Z samym pożądaniem jeszcze jakoś dawałem sobie radę, teraz natomiast miałem do czynienia z czymś więcej, co mnie przerastało o kilka głów, co ogłuszyło mnie i wydało na jej pastwę. Nie była już dla mnie najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem, dziewczyną w różowych szortach i bluzeczce tańczącą na plastikowym talerzu do rzucania, ale Wenus we własnej osobie. W jej osobie skupiło się wszystko, czego mi brakowało przez minione cztery lata, choć wówczas nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że czegoś mi brakuje. Szturmem zdobyła wszystkie linie obrony. Różnica wieku nie miała znaczenia. Jeżeli język zwisał mi do kolan nawet wtedy, kiedy miałem zamknięte usta, to trudno. Jeżeli straciłem godność, dumę i osobowość, pal to lichy. Minione cztery lata nauczyły mnie, że można stracić znacznie więcej.

Jak długo tańczyła? Nie mam pojęcia. Przypuszczalnie niezbyt długo, może nawet niespełna minutę, a potem zauważyła, jak na nią patrzymy. Do pewnego stopnia oni też widzieli i czuli to samo, co ja. Nie wiem, czy upłynęła minuta czy więcej, ale wątpię, czy ktokolwiek z nas pamiętał o oddychaniu. Mattie zarumieniła się, roześmiała i zeszła z talerza, lekko zażenowana, lecz z pewnością nie zawstydzona.

- Przepraszam. Po prostu... bardzo lubię tę piosenkę.

- „Ona chce tylko tańczyć...” - zacytował Romeo.

- Tak, czasem chcę tylko tańczyć - powiedziała Mattie i zarumieniła się jeszcze bardziej. - Przepraszam, muszę was na chwilę zostawić.

Rzuciła mi talerz, a sama pobiegła do przyczepy.

Wziąłem głęboki wdech i zamrugałem raptownie, usiłując wrócić do rzeczywistości. Udało mi się to na tyle prędko, że zdążyłem zauważyć, iż John zastosował podobną metodę.

Na twarzy George'a Kennedy'ego zastygł wyraz dobrotliwego zdziwienia, jakby ktoś nakarmił go łagodnymi środkami uspokajającymi, które właśnie zaczęły działać.

Znowu zagrzmiało, tym razem na pewno bliżej.

Przekazałem talerz Rommiemu.

- Co o tym myślisz?

- Myślę, że się zakochałem. - Szybko jednak oprzytomniał. - Myślę też, że jeżeli mamy zamiar jeść na zewnątrz, to powinniśmy się pośpieszyć. Pomożesz mi?

- Jasne.

- Ja też - zaofiarował się John.

Zostawiliśmy George'a z Kyrą, a sami weszliśmy do przyczepy. Kyra pytała go, czy złapał już jakichś kyminarylistów. W kuchni zastaliśmy Matie wyjmującą befsztyki z lodówki i układającą je na talerzu.

- Dzięki Bogu, że wreszcie przyszliście. Jeszcze chwila a zjadłabym któryś na surowo. W życiu nie widziałam czegoś piękniejszego.

- A ja w życiu nie widziałem czegoś piękniejszego od ciebie - powiedział John.

Mówił całkiem serio, jednak uśmiech, jakim go obdarzyła, był raczej powierzchowny i nawet odrobinę zdziwiony. Zanotowałem w pamięci, żeby nigdy nie obsypywać komple-

mentami kobiety, która ma w ręku kawał surowego mięsa.

Jakoś nie bardzo to wtedy działa.

- Jak sobie radzisz z grillowaniem? - spytała mnie. - Tylko mów prawdę! To mięso jest zbyt ładne, żeby je zepsuć.

- Na pewno nie powierzę nikomu swojego kawałka.

- W takim razie, dostaniesz tę posadę. John, będziesz jego asystentem, a ty, Rommie, pomożesz mi przy sałatkach.

- Z przyjemnością.

George i Ki przenieśli się tymczasem przed przyczepę i siedzieli teraz na turystycznych krzeselkach niczym dwoje starszków w londyńskim klubie. George właśnie opowiadał Kyrze, jak to w 1993 sam jeden rozprawił się z Rolfem Ne-deau i jego gangiem podczas wielkiej strzelaniny na Lisbon Street.

- George, co się dzieje z twoim nosem? - zaniepokoił się John. - Zrobił się okropnie długi!

- Czy mógłbyś nie przeszkadzać? - zapytał uprzejmie George. - Rozmawiam z damą.

- Pan Kennedy złapał całe mnóstwo złych kyminarylistów - poinformowała nas Ki. - Pozamykał ich wszystkich w supermarkecie.

- Oczywiście - potwierdziłem. - Pan Kennedy otrzymał też Oscara za rolę w filmie „Luke rewolwerowiec”.

- A jakże. - George podniósł prawą rękę i skrzyżował palce. - Do spółki z Paulem Newmanem.

- Widziałam go na butelce z sosem do sapageti - oświadczyła Ki z poważną miną, co doprowadziło Johna do kolejnego paroksyzmu wesołości. Ja co prawda nie widziałem w tym nic aż tak zabawnego, ale śmiech jest zaraźliwy, natomiast śmiech Johna jest zaraźliwy w dwójnasób. Kładąc befsztyki na ruszcie ryczeliśmy jak pijane pawiany. Aż dziwne, że nie poparzyliśmy sobie palców.

- Dlaczego oni się śmieją? - zapytała Ki George'a.

- Ponieważ są głupi i mają małe mózdzki. A teraz słuchaj uważnie: załatwiłem ich wszystkich z wyjątkiem Humana Headcase'a. Wskoczył do swojego wozu, ja do swojego... Ale nie wydaje mi się, żeby małą dziewczynkę interesowały szczegóły pościgu.

Mimo to zaczął je dokładnie relacjonować, zupełnie nie przejmując się tym, że John i ja stoimy parę kroków dalej przy grillu i szczerzymy do siebie zęby.

- Niezłe, co? - zapytał John.

Skinąłem głową.

Z przyczepy wyszła Mattie z kolbami kukurydzy zawiązanymi w aluminiową folię, a za nią Romeo, trzymając obręcz przed sobą miche z sałatą. Szedł powoli i ostrożnie, zerkając znad miski na schodki. Usiedliśmy przy stole: George i Rommie po jednej stronie, John, Mattie i ja po przeciwnej, Ki natomiast zajęła miejsce u szczytu, na stercie starych czasopism, którą położyliśmy na krześle. Mattie zawiązała jej wokół szyi dużą serwetę. Mała zgodziła się na to upokorzenie tylko z dwóch powodów: po pierwsze, miała na sobie nowe ubranie, a po drugie, serweta to przecież nie to samo co śli- niak, choć pełni podobną funkcję.

To była nie lada uczta: sałata, befsztyki (John miał rację: nigdy nie jadłem lepszych), prażona kukurydza w kolbach i „truskawkowy gluciarz” na deser. Kiedy zabieraliśmy się do „gluciarza” (był to po prostu sernik na zimno, którego konsystencja nasunęła Kyrze specyficzne skojarzenia), łoskoty na niebie znacznie się przybliżyły i zerwał się porywisty gorący wiatr.

- Mattie, wcale się nie zdziwię, jeśli w życiu nie zjem już lepszego posiłku - powiedział Rommie. - Wielkie dzięki za zaproszenie.

- To ja ci dziękuję. - Łzy stanęły jej w oczach, sięgnęła po ręce moje i Johna, ściskając je mocno. - Dziękuję wam wszystkim. Gdybyście wiedzieli, jak czułyśmy się z Ki jeszcze tydzień temu... - Potrząsnęła głową, jeszcze raz ścisnęła nasze palce, po czym cofnęła ręce. - Ale już po wszystkim.

- Spójrzcie na małą - powiedział George z rozbawieniem.

Ki zgarbiła się na swoim podwyższeniu i patrzyła na nas szklistym wzrokiem. Sporo włosów wysunęło się z klamerki i opadło na policzki, nos miała umazany bitą śmietaną, do bródki przykleiło się ziarenko kukurydzy.

- Rzucalam talerzem chyba z sześć tysięcy razy - oznajmiła bezbarwnym tonem. - Trochę się zmęczyłam.

Mattie zaczęła już się podnosić z krzesła, ale położyłem jej rękę na ramieniu.

- Mogę?

Uśmiechnęła się.

- Bardzo proszę, jeśli chcesz.

Wziąłem Kyrę na ręce i ruszyłem w kierunku schodków. Po niebie znowu przetoczył się grzmot, długotrwały i charakterystyczny, jak warczenie dużego psa. W chwili, kiedy spojrzałem na zbliżające się chmury, zauważyłem jakieś poruszenie: po Wasp Hill Road jechał w kierunku jeziora duży niebieski samochód. Zwróciłem na niego uwagę chyba wyłącznie ze względu na dużą idiotyczną nalepkę na zderzaku: JEŹDŹ BEZ KLAKSONU, ALE MAM ŚRODKOWY PALEC.

Przed drzwiami musiałem ustawić dziecko bardziej pionowo, żeby nie uderzyło główką w futrynę.

- Zaopiekuj się mną - wyszeptła przez sen z takim smutkiem, że krew zatrzymała mi się w żyłach. Zupełnie jakby z góry wiedziała, że nie zdołam spełnić jej prośby. - Za-



opiekuj się mną. Jestem jeszcze mała.

- Na pewno się tobą zaopiekuję - powiedziałem i pocałowałem ją w gładkie jak jedwab czoło. - O nic się nie martw, Kii. Śpij spokojnie.

Zanim zdążyłem donieść ją do jej pokoju i położyć do łóżka, spała już jak kamień. Starłem bitą śmietaną z noska, zgarnąłem z brody ziarenko kukurydzy, a przy okazji zerknąłem na zegarek: za dziesięć druga. Żałobnicy z pewnością zgromadzili się już przed kościołem: Bili Dean w szarym krawacie, Buddy Jellison w kapeluszu. Stał nieco na uboczu, w towarzystwie jeszcze kilku palaczy.

Odwróciłem się; w drzwiach pokoju stała Mattie.

- Mikę... Chodź tutaj, proszę.

Podszedłem do niej. Tym razem tkanina nie oddzielała moich rąk od jej skóry, cieplej i równie gładkiej jak skóra Kii. Wpatrywała się we mnie z na pół rozchyłonymi ustami. Wysunęła biodra nieco do przodu, a kiedy poczuła, że tam w dole jest twardo, przywarła jeszcze mocniej.

- Mikę... - wyszeptała ponownie.

Zamknąłem oczy. Czułem się jak ktoś, kto stanął w progu rześńście oświetlonego pokoju wypełnionego śmiejącymi się i rozmawiającymi ludźmi. Oraz tańczącymi. Bo czasem chcemy tylko tańczyć.

Chcę tam wejść, pomyślałem. Pragnę tylko tego, niczego więcej. Chcę to wreszcie zrobić.

Nie miałem pojęcia, że szepczę jej to do ucha, przesuwając jednocześnie rękami po jej plecach i pośladkach, by wreszcie sięgnąć bliżej, do małych piersi.

- Tak - odpowiedziała również szeptem. - Oboje tego chcemy. To dobrze.

Powoli podniosła obie ręce i kciukami starła wilgotne ślady pod moimi oczami. Cofnąłem się.

- Czy klucz...

Uśmiechnęła się lekko.

- Cały czas tam jest.

- Przyjdę dziś w nocy.

- Dobrze.

- Byłem... - Musiałem odchrząknąć. Kyra nawet nie drgnęła. - Byłem bardzo samotny. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz już wiem.

- Ja też. Wiedziałam o tym za nas oboje. Pocałuj mnie. Zrobiłem to. Wydaje mi się, że nasze języki zetknęły się na chwilę, ale nie jestem tego pewien, zapamiętałem natomiast emanującą z niej, niesamowitą siłę życiową. Zupełnie jakbym trzymał w ramionach przyjemnie ciepły, pulsujący płomień.

- Hej! - zawołał John na zewnątrz. Odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni. - Pomóc wam? Zaraz będzie padać!

- Cieszę się, że wreszcie się zdecydowałaś - powiedziała cicho, po czym odwróciła się i pomaszerowała wąskim korytarzykiem. Kiedy odezwała się do mnie następnym razem, przypuszczalnie nie wiedziała, gdzie jest ani do kogo mówi. Kiedy odezwała się do mnie następnym razem, tylko kilka chwil dzieliło ją od śmierci.

- Ciszej, bo obudzisz dziecko - usłyszałem jej głos, a zaraz potem odpowiedź Johna:

- O rety, strasznie przepraszam.

Stałem jeszcze jakiś czas bez ruchu, łapiąc oddech, po czym poszedłem do łazienki i spryskałem sobie twarz zimną wodą. Kiedy sięgnąłem po ręcznik, zobaczyłem w wannie błękitnego plastikowego wieloryba i pomyślałem, że z pewnością wypuszcza bańki powietrza z otworu oddechowego. Chyba nawet zaświtał mi pomysł na krótką historyjkę dla dzieci o małym wielorybie. Jak go nazwać? Willie? Nie, to

zbyt oczywiste. Może więc Wilhelm? Tak, Wilhelm brzmiało znacznie lepiej. Wieloryb Wilhelm.

Pamiętam, że znowu zagrzmiało. Pamiętam, jak bardzo byłem szczęśliwy, bo przecież wreszcie podjąłem decyzję, a noc była niedaleko. Pamiętam szmery głosów z kuchni i kroki, kiedy wszyscy wychodzili z powrotem na zewnątrz.

Pamiętam, że spojrziałem w dół i stwierdziłem z ulgą, że wzgórek pod spodniami wyraźnie zmałał. Pamiętam, że pomyślałem, iż podniecony seksualnie mężczyzna wygląda żałośnie; wiedziałem, że ta myśl już mi kiedyś zaświtała, być może we śnie. Wyślizgnąłem się z łazienki, sprawdziłem, co porabia Kyra - tymczasem zdążyła przekreślić się na bok— po czym ruszyłem przed siebie korytarzykiem. W chwili, kiedy dotarłem do saloniku, na zewnątrz wybuchła strzelanina. Nie, ani przez chwilę nie wziąłem jej za burzę. W pierwszej sekundzie mój umysł usiłował zinterpretować te odgłosy jako dźwięki wydobywające się z układu wydechowego niesprawnego samochodu, ale potem już wiedziałem. W głębi duszy spodziewałem się, że nastąpi jakaś katastrofa, ale oczekiwałem raczej inwazji duchów niż jak najbardziej materialnych pocisków. Myliłem się.

Z zewnątrz dobiegał pospieszny stukot broni automatycznej - później okazało się, że to był pistolet maszynowy glock kaliber 9 mm. Mattie wrzasnęła przeraźliwie, John krzyknął coś niezrozumiałego, George Kennedy zaś ryczał co sił w płucach:

- Na ziemię! Szybko, wszyscy na ziemię!

W bok przyczepy uderzyło coś jakby garść gradu, poczułem podmuch powietrza na twarzy - pocisk przemknął nie dalej niż dwa centymetry od mojego nosa - stojąca na kuchennym stole miska z resztkami sałaty, którą niedawno ktoś przyniósł, rozpadła się na drobne kawałki z donośnym, nie-

mal melodyjnym trzaskiem.

Rzuciłem się ku drzwiom, sturlałem po schodkach, znie-  
ruchomiałem na trawie przed wejściem. Przewrócony grill,  
rozżarzone węgle właśnie wypalały czarne plamy w rzadkiej  
trawie. Romeo Bissonette na ziemi z wyprostowanymi noga-  
mi, z głupią miną gapiący się na zakrwawioną kostkę. Mat-  
tie na czworakach przy grillu, z twarzą zasłoniętą włosami,  
jakby usiłowała gołymi rękami pozbierać węgle, zanim stanie  
się coś złego. John wyprostowany, z wyciągniętą ku mnie rę-  
ką i obficie krwawiącą raną na ramieniu.

Zobaczyłem też ten sam samochód, który jakiś czas te-  
mu zwrócił moją uwagę: niebieski, nie rzucający się w oczy  
sedan z kretańską nalepką na zderzaku. Właśnie zawracał,  
uzbrojony mężczyzna wciąż wychylał się z okna po stronie  
pasażera, z lufy pistoletu maszynowego z ażurową kolbą  
unosił się dym. Zamiast twarzy strzelec miał granatową pla-  
mę z dwoma wielkimi otworami na oczy.

Nad naszymi głowami przetoczył się groźny łoskot  
grzmotu.

George Kennedy szedł powoli w kierunku samochodu,  
bez najmniejszego pośpiechu, kopnięciami odsuwając na bok  
gorące węgle. Nie spieszył się, nic go nie obchodziła czerwona,  
coraz większa plama na udzie. Nie przyspieszył kroku nawet  
wtedy, kiedy strzelec schował się do kabiny i krzyknął „Gazu!  
Gazu!” do kierowcy, który również miał na twarzy granatową  
maskę, tylko powoli, spokojnie, niemal flegmatycznie sięgnął  
do paska z tyłu spodni, a ja domyśliłem się, dlaczego przyje-  
chał w tej idiotycznej marynarce i dlaczego jej nie zdjął nawet  
wtedy, kiedy rzucaliśmy latającym talerzem. Domyśliłem się,  
jeszcze zanim ujrzałem pistolet w jego dłoni.

Niebieski samochód (później okazało się, że to ford rocz-  
nik 1987, zarejestrowany na niejaką Sonię Belliveau z Au-

born i skradziony poprzedniego dnia) zaczął nabierać prędkości. Spod tylnych kół strzelały fontanny żwiru i piasku,, tył zarzucał, samochód zawadził błotnikiem o skrzynkę na listy i odrzucił ją na drugą stronę drogi.

George wciąż poruszał się jak na zwolnionym filmie. Wyciągnął przed siebie obie ręce, w prawej trzymał broń, lewa ją podtrzymywała, nie spiesząc się oddał pięć strzałów. Dwa trafiły w bagażnik - od razu zauważyłem otwory. Trzeci rozbił w drobny mak tylną szybę, w środku ktoś krzyknął głośno. Nie wiem, gdzie trafił czwarty pocisk, piąty natomiast rozszarpał lewą tylną oponę. Samochodem rzuciło w tę stronę, kierowca skontrował, na chwilę odzyskał kontrolę nad pojazdem, zaraz potem ją utracił. Samochód wpadł do rowu jakieś trzydzieści metrów od przyczepy Mattie, przewrócił się na bok, rozległ się huk eksplozji i cały tył forda stanął w płomieniach. Jedna z kul musiała uszkodzić zbiornik z paliwem. Strzelec począł rozpaczliwie gramolić się przez okno.

- Ki... zabierzcie... zabierzcie ją... - usłyszałem chrapliwy szept.

Mattie czołgała się w moją stronę. Jedna część twarzy - prawa - była nietknięta, z lewej nic prawie nie zostało. Wybałuszone błękitne oko patrzyło niewidzącym spojrzeniem pomiędzy zakrwawionych włosów, fragmenty roztrzaskanej czaszki przykleiły się do opalonego ramienia niczym kawałeczki rozbitego porcelanowego naczynia. Jakże chciałbym móc wam powiedzieć, że niczego nie pamiętam, jak bardzo pragnę, by ktoś inny opowiedział wam, że Michael Noonan zginął, zanim to wszystko zobaczył, ale nie mogę. Rozpacz - tak brzmi słowo, które najlepiej oddaje to, co czułem wtedy i co czuję teraz.

- Ki... Mikę, zabierz Ki...

Uklękłem, objąłem ją, ale mnie odepchnęła. Była młoda

i silna, i choć właściwie już nie żyła, znalazła w sobie jeszcze dość energii, by walczyć o córeczkę, o to, żeby nic jej się nie stało.

- Wszystko będzie dobrze, Mattie.

W kościele, gdzie trwało żałobne nabożeństwo, uczestnicy ceremonii śpiewali właśnie „Spoczywaj w błogosławionym spokoju”. Prawie wszyscy patrzyli przed siebie wzrokiem równie pustym jak ten, którym spoglądało na mnie oko dziewczyny.

- Ki... Zabierz ją... Nie pozwól, żeby...

- Nikt jej nie skrzywdzi. Daję ci słowo.

Osunęła się na ziemię, śliska jak ryba, wyciągnęła zakrwawione ręce w kierunku przyczepy i przeraźliwym głosem wykrzyczała imię córki. Różowe szorty i bluzka były teraz jaskrawoczerwone, krew kapała na trawę. Z donośnym hukim eksplodował zbiornik paliwa przewróconego forda. Czarny słup dymu wzbił się w niebo, które odpowiedziało przeciągłym łoskotem. Zachciało wam się hałas? Bardzo proszę, będziecie go mieli!

- Nic jej nie jest, prawda?- wyjęczał John. - Mikę, na li-  
tość boską powiedz, że nic jej nie jest...

Padł na kolana, oczy uciekły mu w tył głowy, chwycił mnie za ramię, po czym stracił przytomność i runął na bok tuż przy Mattie, rozdierając mi przy tym koszulę na pół. Z kącika ust pociekł mu biały śluz. Cztery metry dalej, obok przewróconego grilla, Romeo Bissonette próbował podnieść się, zaciskając z bólu zęby. George stał na środku Wasp Hill Road i flegmatycznie przeładowywał pistolet, patrząc, jak strzelec gramoli się z samochodu. Cała prawa nogawka spodni George'a zmieniła kolor na czerwony. Nawet jeśli przeżyje, już nigdy nie włoży tego garnituru, przemknęło mi przez głowę.

Pochyliłem się nad Mattie, zbliżyłem usta do jej ucha i powiedziałem:

- Małej nic się nie stało. Śpi. Jest bezpieczna.

Chyba zrozumiała, przestała bowiem walczyć, drżąc na całym ciele położyła zmasakrowaną głowę na ziemi i wyszeptwała:

- Ki... Ki...

Były to jej ostatnie słowa na tym świecie. Wyciągnęła na oślep rękę, zacisnęła palce na kępce trawy, wyszarpnęła ją z korzeniami.

- No, chodź tutaj - wycedził George. - Chodź tutaj, sukiny. Nawet nie myśl, że uda ci się uciec.

- Co z nią? - zapytał Romeo, dokuśtykał do nas, blady jak ściana, zobaczył, co się stało, i zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczął pospiesznie mamrotać: - O Boże! Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, którzy się do ciebie uciekamy. Święta Mario, Matko Boża, błogosławiony owoc żywota twojego, Jezus. Nie, nie! Mikę, to niemożliwe!

A potem to samo od początku, tyle że w slangowej francuszczyźnie z ulic Lewiston, zwanej la Parle.

- Przestań! - Od razu posłuchał, jakby tylko czekał, aż ktoś mu to powie. - Lepiej sprawdź, co z Kyrą. Dasz radę? -Tak.

Podtrzymując oburącz nogę, ruszył w stronę przyczepy. Po każdym kroku z jego ust wyrывał się bolesny okrzyk, ale mimo to jakoś szedł naprzód. Poczułem swąd spalenizny, zapach deszczu w coraz silniejszym wietrze, a w śliskich od krwi rękach czułem słabnące ciepło płomyka życia.

Odwróciłem ją na plecy, przytuliłem i kołysałem delikatnie. W kościele pastor odczytywał psalm 139:1 jeśli powiem, by ciemność odeszła, nawet noc zamieni się w dzień. Pastor

czytał, Marsjanie słuchali, a ja kołysałem ją w ramionach pod mroczniejącym niebem. Miałem odwiedzić ją w nocy, miałem wyjąć klucz spod skrzynki z rozsadami pomidorów i wejść do sypialni. Jeszcze niedawno tańczyła na czerwonym plastikowym talerzu, tańczyła jak fala na oceanie, a teraz umierała w moich ramionach, wokół płonęły kępki trawy, obok zaś leżał nieprzytomny człowiek, któremu spodobała się tak samo jak mnie, z ramieniem zboczonym krwią od krótkiego rękawa koszulki z napisem WE ARE THE CHAMPIONS aż po kościstą piegowatą dłoń.

- Mattie... Mattie, Mattie, Mattie... - powtarzałem, kołysząc ją i głaszcząc po prawej stronie czoła, nie skalanej ani jedną kroplą krwi. Włosy zsunęły się w lewo, częściowo zasłaniając rozszarpaną połowę twarzy. - Mattie, Mattie, Mattie...

Uderzyła błyskawica, pierwsza tej burzy. Rozświetliła elektrycznym blaskiem całą zachodnią część nieba. Mattie zadrżała jeszcze gwałtowniej, zacisnęła usta i zmarszczyła brwi, jakby usiłowała coś sobie przypomnieć. Gwałtownie wyciągnęła rękę, spróbowała złapać mnie za szyję, jak ktoś, kto wisi na skraju przepaści i rozpaczliwie stara się czegoś przytrzymać, ale zanim zdążyła zacisnąć palce, ręka opadła bezwładnie i znieruchomiała na trawie. Przez ciało przebiegł jeszcze jeden, gwałtowny dreszcz, a potem już jej nie było.



## Rozdział 26

Potem, właściwie do samego końca, robiłem wszystko w transie. Wychodziłem z niego parę razy - na przykład wtedy, kiedy ze starego notesu wypadła kartka z nabazgranym byle jak fragmentem drzewa genealogicznego - ale zawsze na krótko. Czułem się trochę tak, jak w śnie o Mattie, Jo i Sarze, a trochę jak podczas ataku straszliwej gorączki, który przeszedłem w dzieciństwie. Przede wszystkim jednak czułem, że jestem w transie. I wcale nie byłem szczęśliwy z tego powodu.

Przyszedł George, prowadząc przed sobą człowieka w granatowej masce. Mocno utykał. Śmierdziało gorącym olejem, benzyną i płonącymi oponami.

- Mattie nie żyje?

- Tak.

- Co z Johnem?

- Nie wiem.

W tej samej chwili John poruszył się i jęknął. Żył, ale stracił mnóstwo krwi.

- Posłuchaj, Mike... - zaczął George, lecz przerwał mu okropny wrzask z płonącego samochodu. Strzelec wykonał ruch, jakby zamierzał się odwrócić, ale George podniósł pistolet. - Zrób krok, a rozwalę ci głowę.

- Chyba nie pozwolicie mu tak umrzeć!

- Już jest martwy - odparł George. - Trzeba by mieć azbestowy kombinezon, żeby się tam zbliżyć. - Zachwiał się, jakby lada chwila miał upaść. Jego twarz była tego samego koloru co bita śmietana, której kroplę starłem z noska Kii. Mężczyzna w masce natychmiast ruszył w jego kierunku, ale powstrzymał go widok wycelowanej w niego lufy pistoletu. -

Następnym razem nie zatrzymuj się - poradził mu George. -

Z przyjemnością poślę ci kulkę. A teraz ściągnij maskę.

-Nie.

- W takim razie, pożegnaj się z życiem.

Zaczął powoli naciskać na spust.

- Cholera! - syknął strzelec i jednym ruchem zdał maskę, odsłaniając twarz. Był to George Footman - właściwie żadna niespodzianka. Za jego plecami płonący żywcem człowiek wydał jeszcze jeden, przeraźliwy skowyt, po czym umilkł. Dym walił w niebo gęstymi kłębami. Znowu zagrzmiało.

- Mikę, przynieś coś, żeby go związać. Wytrzymam jeszcze minutę, może dwie, ale nie więcej, bo krwawię jak zaszlachtowana świnia. Najlepsza będzie mocna taśma klejąca. Nawet Houdini nie dałby sobie z nią rady.

Footman stał nieruchomo jak posąg, przenosząc spojrzenie z George'a na mnie i z powrotem. W pewnej chwili zerknął na szosę, na której panował zastanawiający spokój. A może nie było w tym niczego dziwnego? Bądź co bądź, radio i telewizja uprzedzały o nadciągającej burzy. Turyści i letnicy zostali w domach, natomiast miejscowi...

Miejscowi słuchali, ale nie pastora, który właśnie opowiadał o długim i owocnym życiu Royce'a Merrilla, życiu człowieka służącego swemu krajowi zarówno w latach wojny, jak i pokoju. Słuchali tak jak przed laty, kiedy zbierali się wokół radiodbiornika w knajpie i przysłuchiwali się transmisjom z walk bokserskich.

Bili Dean tak mocno ścisnął rękę Yvette, że aż zbieleły mu palce. Bolało ją, ale nie protestowała. Chciała, żeby ją trzymał. Dlaczego?

- Mikę! - Głos George'a wyraźnie osłabł. - Człowieku, rusz się! Ten typ jest niebezpieczny!

- Puśćcie mnie - warknął Footman. - Tak będzie dla was lepiej.

- Twoje niedoczekanie, dupku - odparł George.

Wstałem, minąłem skrzynkę z rozsadami pomidorów, wspiąłem się po betonowych schodkach. Na niebie eksplodowała błyskawica, zaraz potem rozległ się dudniący łoskot. Romeo siedział na krześle przy kuchennym stole. Był chyba jeszcze bledszy niż George.

- Małej nic nie jest - powiedział z wyraźnym wysiłkiem - ale chyba się budzi. Nie mogę chodzić. Kostkę szlag trafił. Sięgnąłem po telefon.

- Szkoda czasu - powstrzymał mnie drżący, schrypnięty głos Romea. - Głucha linia. Widocznie burza uszkodziła stacje przekaźnikowe. Chryste, w życiu nic mnie tak nie bolało!

, Kolejno otwierałem wszystkie szuflady w poszukiwaniu taśmy klejącej, sznura do bielizny, czegokolwiek. Jeśli George straci przytomność, Footman zabierze mu broń, zabije najpierw jego i Johna, a potem przyjdzie tutaj, żeby załatwić Rommiego i mnie. Na koniec zostawi sobie Kyrę.

- Nieprawda - powiedziałem na głos. - Nie zabije jej. To byłoby nawet gorsze.

W pierwszej szufladzie sztuce. W drugiej foliowe torebki, worki na śmieci, spięte gumką kupony rabatowe. W trzeciej rękawice kuchenne i podstawki pod garnki. W czwartej...

- Mikę, gdzie jest Mattie?

Odwróciłem się gwałtownie, jak człowiek przyłapany na oglądaniu sprośnych obrazków albo produkcji narkotyków. U wejścia do pokoju stała Kyra z rozpuszczonymi włosami i policzkami jeszcze zaróżowionymi od snu. Wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Nie obudziły jej strzały, nie obudził jej nawet krzyk matki. Obudziły

ją moje myśli.

Natychmiast spróbowałem je ukryć, ale było za późno. Odczytała je bez trudu, kiedy myślałem o starym Devore, odczytała je również teraz i dowiedziała się z nich, co się stało z jej matką.

Otworzyła usta, oczy zrobiły się jeszcze większe, krzyknęła przeraźliwie, jakby ktoś ścisnął jej rączkę w imadle, odwróciła się na pięcie i popędziła do drzwi.

- Kyra, nie! Nie!

Pognałem za nią, mało nie przewracając Rommiego, który spojrzał na mnie półprzytomnym wzrokiem, i złapałem ją w ostatniej chwili. Jednocześnie zobaczyłem Buddy'ego Jellisona wymykającego się z kościoła bocznymi drzwiami. Podążyli za nim dwaj mężczyźni - byli wśród tych, z którymi palił przed nabożeństwem. Teraz zrozumiałem, dlaczego Bili tak mocno ścisnął rękę Yvette, i pokochałem go za to. Pokochałem ich oboje. Coś szeptało mu, żeby poszedł z Buddym i całą resztą, ale Bili ani myślał posłuchać.

Kyra wiła mi się w rękach, wierzgała i młóciła na oślep rękami.

- Ja chcę do mamy! Ja chcę do mamy! Do mamy, do mamy, do mamy!

Wykrzyknąłem jej imię głosem, o którym wiedziałem, że na pewno go usłyszy, bo tylko dla niej był przeznaczony. Uspokoila się, odwróciła do mnie, przez jakiś czas przyglądała mi się mokrymi od łez oczami, po czym jakby zrozumiała, że nie powinna wychodzić na zewnątrz. Postawiłem ją na podłodze, a ona zaczęła się powoli cofać. Jak tylko jej plecy dotknęły drzwiczek zmywarki do naczyń, osunęła się na podłogę i w kuchni rozległo się rozpaczliwe szlochanie - najbardziej przejmujący płacz, jaki kiedykolwiek słyszałem. Zrozumiała wszystko, do końca. Musiałem pokazać jej aż tyle,

żeby ją zatrzymać w przyczepie, mogłem zaś to zrobić tylko dlatego, że razem byliśmy w transie.

Buddy i jego kumple jechali ku nam pick-upem z napisem na drzwiach: USŁUGI BUDOWLANE.

- Mike! - George był chyba bliski paniki. - Pospiesz się!

- Trzymaj się! - zawołałem. - Jeszcze chwilę, George!

Przy zlewozmywaku piętrzył się stos naczyń, które Mattie i reszta zdążyli przynieść z dworu, ale mógłbym przysiąc, że jeszcze pół minuty temu, kiedy biegłem za Kyrą, blat obok był pusty. Teraz to się zmieniło. Żółta puszka leżała na boku, a w rozsypanym cukrze ktoś napisał:

1 (

- No pewnie! - mruknąłem i kontynuowałem przetrząsanie szuflad. Ani taśmy, ani sznurka, ani nawet nędznych kajdanków, choć przecież w większości dobrze wyposażonych kuchni zawsze znajdą się dwie albo trzy pary. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł i zajrzałem do szafki pod zlewozmywakiem. Kiedy wreszcie wyszedłem z przyczepy, ujrzałem George'a chwiejącego się na nogach i Footmana przyglądającego mu się z miną drapieżnika gotowego do skoku.

- Masz taśmę? - zachrypiał George.

- Mam coś lepszego - odparłem. - Powiedz mi, Footman, kto ci zapłacił? Devore czy Rogette Whitmore? A może nie wiesz?

- Pieprz się! - warknął.

Prawą rękę trzymałem za plecami. Spojrzałem w kierunku drogi, zrobiłem zdumioną minę i wykrzyknąłem:

- A co tu robi Osgood?

Odruchowo podążył wzrokiem w tym samym kierunku, a ja rąbnąłem go w głowę młotkiem, który znalazłem w skrzynce z narzędziami pod zlewozmywakiem. Odgłos był okropny, podobnie jak strumień krwi, ale słabo zrobiło mi

się dopiero wtedy, kiedy poczułem, że czaszka zapada się pod wpływem uderzenia jak dojrzały melon. Footman runął na ziemię jak worek piasku, a ja wypuściłem młotek z ręki, jakby mnie parzył.

- Dobra robota - powiedział George. - Może to trochę nieelegancko, ale w tych... w tych oko...

Osunął się wolniej niż Footman, niemal z gracją, ale był tak samo nieprzytomny jak on. Podniosłem pistolet, przyrzekałem mu się, po czym cisnąłem go w krzaki po drugiej stronie drogi. Broń niewiele by mi pomogła, a kto wie, czy nie wpadłbym przez nią w jeszcze poważniejsze tarapaty.

Z kościoła wymknęło się jeszcze kilku mężczyzn, a nawet parę kobiet w czarnych sukienkach i woalkach. Musiałem się spieszyć. Rozpiąłem George'owi pasek i ściągnąłem mu spodnie. Pocisk utkwiał w udzie, ale rana sama się zasklepiła. Znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja z przedramieniem Johna; krew wciąż lała się w zastraszających ilościach. Jemu również rozpiąłem pasek, wyciągnąłem ze spodni i najmocniej jak mogłem, zacisnąłem powyżej rany, po czym uderzyłem go na odlew w twarz. Otworzył oczy, ale spojrzenie miał zupełnie nieprzytomne.

- Otwórz usta! - Gapił się na mnie tępo. Schyliłem się tak nisko, że prawie zetknęliśmy się nosami, i wrzasnąłem co sił w płucach: - Otwórz usta, John!!! Otwórz usta! - Otworzył je jak dziecko, któremu kazano powiedzieć „aaa”. Wsunąłem mu koniec paska między zęby. - Zamknij! - Zamknął. - A teraz trzymaj. Nie puszczaj, nawet jeśli znowu zemdlejesz.

Nie miałem czasu sprawdzać, czy mnie zrozumiał. Pode-rwałem się na nogi... i w tej samej chwili świat zalała jaskrawobłękitna poświata. Miałem wrażenie, że jestem we wnętrzu neonu. Spojrzałem w górę: przewalała się tam czarno spieniona rzeka, bezlitosna, kipiąca i niepowstrzymana. Ni-

gdy nie widziałem tak groźnego nieba.

Pobiegłem do przyczepy. Romeo na wpół leżał na kuchennym stole, z twarzą w ramionach. Gdyby nie roztraskana miska z sałatą, wyglądałby jak przedszkolak, którego zmorzył sen podczas podwieczorku. Kyra nadal siedziała na podłodze oparta plecami o zmywarę i histerycznie szlochała. Podniósłszy ją stwierdziłem, że zrobiła siusiu.

- Musimy już iść.

- Ja chcę do Mattie! Ja chcę do mamy! Niech ona znowu tu będzie, niech ona żyje!

W drodze do drzwi minąłem stolik, na którym leżała powieść Mary Higgins Clark i kłęb wstążek - najprawdopodobniej Ki przymierzała je przed przyjęciem, by w końcu zdecydować się na spinkę. Były białe z czerwonymi brzegami. Ładne. Nie zatrzymując się, zgarnąłem je ze stolika i wepchnąłem do kieszeni, po czym przełożyłem małą na drugą rękę.

- Chcę do Mattie, do mamy! Niech ona wróci! - Walila mnie piąstkami w pierś, ramiona, głowę. - Puść mnie! Chcę na ziemię, słyszysz? Puść mnie!

- Nie mogę.

- Puść mnie, puść mnie, puść mnie!

Traciłem nad nią kontrolę. Jak tylko wyszliśmy na zewnątrz, przestała walczyć.

- Daj mi Strickena! Chcę mojego Strickena!

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, o czym mówi; zrozumiałem dopiero wtedy, kiedy spojrzałem tam, gdzie wskazywała wyciągniętą rączką. Na ścieżce, w pobliżu skrzynki z rozsadam, leżał wypchany piesek od McDonald'sa. Sądząc po jego wyglądzie, sporo czasu musiał spędzać na dworze, ale jeśli brudna pluszowa zabawka miała ją uspokoić, nie zostawało mi nic innego jak tylko z wdzięcznością skorzy-

stać z okazji.

- Dam ci Stricklanda pod warunkiem, że zamkniesz oczy i otworzysz je dopiero wtedy, kiedy ci pozwolę. Zgoda?

- Zgoda.

Drżała jak w febrze, a po jej policzkach spływały wielkie jak groch łzy - takie, o jakich czyta się w bajkach. Śmierdziało spaloną trawą i przypieczonymi befsztykami. Chwyciły mnie mdłości, ale jakoś zdołałem nad nimi zapanować.

Ki zamknęła oczy. Spod powiek wypłynęły jeszcze dwie łzy i spadły mi na ramię. Były gorące. Wyciągnęła przed siebie rączkę, jakby musiała sama iść po omacku, a ja zeszedłem po schodkach, schyliłem się po psa... i zamarłem w bezruchu. Najpierw wstążki, teraz pies... Wstążki były w porządku, ale czy powinienem pozwolić jej zabrać psa? Coś mi podpowiadało, że...

On jest szary, Irlandczyku - rozległ się w mojej głowie znajomy głos UFO. Nie musisz się nim przejmować, ponieważ jest szary, a pluszowa zabawka z twojego snu była czarna.

Nie bardzo wiedziałem, o czym mowa, i nie miałem czasu, żeby się nad tym głowić. Włożyłem psa Kyrze do rączki, a ona, nadal nie otwierając oczu, przytuliła go do buzi i pocałowała brudne futerko.

- Wiesz co, Mikę? Może Stricken pomoże mamie! To czarowany pies.

- Pamiętaj, że obiecałaś nie otwierać oczu.

Przycisnęła mi twarz do karku, a ja zaniósłem ją do mojego samochodu i ułożyłem na fotelu pasażera. Zwinęła się w kłębek, z rękami przy buzi. Kazałem jej tak zostać; nie dała po sobie poznać, czy mnie słyszy, ale byłem pewien, że nie uroniła ani słowa.

Musieliśmy się spieszyć, ponieważ zbliżali się starcy. Star-



cy pragnęli doprowadzić sprawę do końca, chcieli zobaczyć na własne oczy, jak rzeka wpada do morza. Jedyńm miejscem, gdzie mogliśmy czuć się bezpieczni, była Sara Laughs... Ale wcześniej miałem jeszcze coś do zrobienia.

W bagażniku zawsze woziłem koc, stary, ale czysty. Wyjąłem go i przykryłem nim ciało Mattie; kraciasty pagórek na rzadkiej, miejscami powypalanej trawie, był załośnie mały. John miał otwarte oczy, co prawda wciąż szkliste i półprzytomne, ale chyba powoli wracał już do siebie. Wciąż ścisnął w zębach koniec paska; wyglądał trochę jak zdesperowany narkoman, który zamierza wstrzyknąć sobie potrójną dawkę.

- O eohlye...

To niemożliwe. Doskonale wiedziałem, co teraz czuje.

- Za kilka minut nadjedzie pomoc. Trzymaj się. Muszę jechać.

- phąd?

Nie odpowiedziałem. Nie było na to czasu. Schyliłem się nad George'em Kennedym i zbadalem puls: trochę zbyt wolny, ale silny. Footman był zupełnie nieprzytomny, lecz mamrotał coś bełkotliwie, więc chyba daleko mu było do śmierci. Trzeba się nieźle napocić, żeby zabić tatuśka. Gwałtowniejszy podmuch wiatru przywiał obłok dymu znad dopalającego się samochodu; poczułem swąd przypiekanego ciała i znowu mało nie z wymiotowałem.

Wróciłem biegiem do chevroleta, wskoczyłem za kierownicę, wyjechałem tyłem na szosę i po raz ostatni obrzuciłem wzrokiem scenę jak z koszmarnego snu: przykryte kocem ciało, trzech nieprzytomnych lub półprzytomnych mężczyzn, przyczepę podziurawioną kulami. John, wciąż z paskiem w zębach, podniósł się na zdrowym łokciu i spoglądał na mnie szklistym wzrokiem. Błysnęło tak mocno, że odrucho-

wo podniosłem rękę do oczu, ale zanim tam dotarła, błyskawica zgasła i ponownie zapanował półmrok, jakby już zaczynało się zmierzchać.

- Nie ruszaj się, Ki. Zostań tam, gdzie jesteś.

- Nie słyszę cię - odpowiedziała przez ściśnięte gardło. -  
Ki idzie spać ze Strickenem.

- W porządku. Bardzo dobrze.

Minąłem płonącego forda, dojechałem do znaku STOP, zatrzymałem samochód i spojrzałem w prawo. Na poboczu stał pick-up z drzwiami opatrzonymi wielkim napisem: USŁUGI BUDOWLANE. W kabinie siedzieli stłoczeni trzej mężczyźni. Obserwowali mnie. Buddy'ego Jellisona rozpoznałem po kapeluszu. Bardzo powoli, tak, żeby na pewno to zobaczyli, podniosłem prawą rękę i pokazałem im wyprostowany środkowy palec; żaden się nie poruszył, żadnemu nie drgnął ani jeden mięsień na twarzy, ale pick-up zaczął się powoli toczyć w moją stronę.

Skręciłem w lewo na szosę numer 68 i pod mroczniejącym niebem ruszyłem w kierunku Sary Laughs.

Trzy kilometry od miejsca, w którym droga numer 42 odchodzi od szosy i szerokimi zakolami prowadzi do jeziora, stała stara opuszczona obora, na której można było jeszcze wypatrzeć mocno zblakłe litery układające się w napis MLECZARNIA DONCASTER. Kiedy tam dotarliśmy, cały wschodni nieboskłon zapłonął oślepiającym fioletowobiałym blaskiem. Wrażenie było tak niesamowite, że aż klęknąłem; odezwał się również klakson, choć jestem całkowicie pewien, że nie dotykałem przycisku. Przez kilka sekund ów blask - a raczej zorza - wisiała nieruchomo, po czym zaczęła powoli rozszerzać się we wszystkie strony. Do tej pory widywałem takie rzeczy wyłącznie w kinie. Huk pioruna zabrzmiał z siłą sporej bomby. Kyra wrzasnęła przeraźliwie,

zasłoniła uszy rękami - nie wypuściła jednak piaska - i zsunęła się na podłogę.

Minutę później dojechałem do szczytu wzniesienia. Droga numer 42 dociera do szosy u podstawy jego północnego stoku. Z miejsca, w którym się znajdowaliśmy, widziałem sporą część TR-90: lasy, pola, domy, zabudowania gospodarcze, nawet ciemną plamę jeziora. Niebo było czarne jak smoła, błyskawice uderzały niemal bez przerwy, powietrze zdawało się świecić żółtawym blaskiem, a ja czułem, że wraz z każdym oddechem połykam płonące iskry. Widoczność była tak znakomita, iż odniosłem wrażenie, jakbym patrzył na surrealistyczny obraz. W chwili takiej jak ta ogarnia człowieka pewność, że świat, który widzi, jest jedynie cienką powłoką skrywającą niewyobrażalne dziwy.

Oprzytomniałem dzięki spojrzeniu rzuconemu w lusterko wsteczne: do pick-upa dołączyły jeszcze dwa samochody, z których jeden miał specjalne tablice rejestracyjne dla weteranów wojennych. Kiedy zwolniłem, tamci też zmniejszyli prędkość. Kiedy przyspieszyłem, oni też dodali gazu. Było jednak bardzo wątpliwe, czy podążą za nami drogą numer 42.

- Wszystko w porządku, Ki?

- Śpię - padła odpowiedź spod fotela.

- Okay.

Grad zaczął padać zaraz po tym, jak zobaczyłem światła odbłaskowe na słupkach przy wyjeździe z bocznej drogi. Z nieba sypały się wielkie bryły białego lodu, łomotały w dach niczym gigantyczne paluchy, odskakiwały od maski i spadały na jezdnię. Bardzo szybko zebrało się ich całkiem sporo między krawędzią klapy silnika a przednią szybą, tam gdzie chowają się wycieraczki.

- Co to? - zapiszczała Ki.

- To tylko grad, kochanie. Nic nam nie grozi.

Ledwie zdążyłem to powiedzieć, a kula lodu wielkości małej cytryny rąbnęła w szybę po mojej stronie i odbiła się, pozostawiając wyraźny mlecznobiały punkcik, od którego we wszystkie strony biegła pajęczna sieć pęknięć. Czy John i George też byli wystawieni na działanie żywiołu? Sięgnąłem do nich myślami, ale niczego nie zobaczyłem.

Kiedy skręcałem w lewo w drogę numer 42, grad padał już tak gęsto, że prawie nic nie widziałem. Koleiny były pełne lodu, ale nieco dalej gęsto rosnące drzewa dawały jaką taką ochronę. Włączyłem światła, które wdarły się w rozmazaną mleczną zasłonę dwoma stożkami jasności, i pomału jechałem naprzód.

W chwili, gdy dotarliśmy do drzew, niebo znowu zapłonęło fioletowobiałym ogniem. Towarzyszył mu przeraźliwy, trwający kilkanaście sekund trzask. Kyra ponownie wrzasnęła, zaraz potem rozległ się kolejny trzask, już nie tak głośny; spojrzałem we wsteczne lustro i ujrzałem ogromny stary świerk z płonącymi gałęziami, kładący się powoli w poprzek drogi. Razem z nim runęły także dwa pobliskie słupy z przewodami elektrycznymi.

Droga zablokowana, pomyślałem. Z drugiej strony pewnie też. Nie mamy już wyboru: musimy tu zostać, na złe czy na dobre.

Drzewa tworzą nad drogą numer 42 dość zwarty baldachim, z wyjątkiem miejsca, gdzie droga biegnie wzdłuż Łąki Tidwellów. Naszemu przejazdowi przez las towarzyszył niemilknący ani na chwilę trzask łamanych gałęzi; było to najbardziej niszczycielskie gradobicie w historii stanu, i choć trwało zaledwie kwadrans, zniszczyło niemal wszystkie uprawy w okolicy.

Nad naszymi głowami ponownie rozbłysło jaskrawe światło. Spojrzałem w górę i zobaczyłem dużą pomarańczo-

wą kulę, za którą pędziła druga, znacznie mniejsza. Spadły na drzewa po lewej stronie drogi, podpalając kilka gałęzi bliżej wierzchołków. Wyjechaliśmy na częściowo odkryty teren przy Łące Tidwellów i właśnie wtedy grad zamienił się w tropikalną ulewę. Gdyby nie to, że niemal natychmiast ponownie wjechaliśmy między drzewa, z pewnością musiałbym się zatrzymać, a tak, korzystając z osłony gałęzi, mogłem pomalutku toczyć się naprzód, zgarbiony za kierownicą, ze wzrokiem wbitym w srebrzyste kaskady wody lejącej się z nieba. Pioruny uderzały raz za razem, wiatr zaczął się wzmacniać, pchając między konarami. Kilka metrów z przodu spora gałąź spadła na drogę; przejechałem po niej, a ona gniewnie załomotała w podwozie chevroleta.

Oby nic większego, myślałem... a może się modliłem? Żebyśmy tylko dostali się do domu. Żeby tylko tam dojechać.

Kiedy skręcałem na podjazd, wiatr wiał już z siłą huraganu. Targane nim drzewa i siekący niemal poziomo deszcz tworzyły scenę jak z końca świata. Podjazd wyglądał jak koryto rwącej rzeki, lecz mimo to nie wahałem się ani sekundy; tu, gdzie teraz byliśmy, w każdej chwili mogło na nas runąć jakieś duże drzewo, a wtedy zostalibyśmy zgniecioni jak dwa żuki w puszcze po konserwie.

Nawet nie dotykałem pedału hamulca, bo z pewnością skończyłoby się to zablokowaniem kół, poślizgiem, a być może stoczeniem się do jeziora. Włączyłem najniższy bieg, odrobinę zaciągnąłem hamulec ręczny i pozwoliłem, żeby silnik pomalutku ciągnął nas naprzód. Ze zdumieniem stwierdziłem, że w niektórych oknach jest jasno; prześwitywały przez zasłonę z deszczu niczym bulaje batyskafu zanurzonego na głębokość kilku metrów. A więc generator działał - przynajmniej na razie.

W jezioro uderzyła zygzakowata lanca błyskawicy, oświe-

tlając błękitnozielonym blaskiem czarną taflę poraną bruzdami grzywaczy. Jedna ze stuletnich sosen rosnących po lewej stronie schodów leżała teraz do połowy w wodzie; w lesie z donośnym trzaskiem zważyło się kolejne drzewo. Kyra ponownie zasłoniła uszy.

- Mój piesiek! - Z pewnością krzyczała co sił w płucach, ale ja z trudem ją słyszałem. Za to doskonale widziałem jej zrozpaczoną twarz i puste ręce. - Stricken! Zgubiłam Strickena!

Zobaczyłem go chwilę później: porwany przez gwałtowny nurt, płynął w dół podjazdu. Nieco dalej powstał mały wodospad; gdyby Strickland tam dotarł, zniknąłby nam z oczu między drzewami, a być może zostałby zaniesiony aż do jeziora.

- Stricken! - szlochała Ki. - Mój piesek!

Nagle ta cholerna pluszowa maskotka stała się dla nas obojga najważniejszą rzeczą na świecie. Chwyciłem Kyrę w ramiona, wyskoczyłem z samochodu i pognałem za psiakiem, nie zważając na ulewę, wichurę i uderzające raz po raz błyskawice. Byłem jednak bez szans: woda płynęła zbyt szybko.

Na samym skraju ścieżki zatrzymały go trzy słoneczniki targane wściekłym wiatrem. Przypominały nawiedzonych przez Ducha Świętego wiernych podczas dziękczynnego nabożeństwa: „Taaaak, Panie! Dziękuję Ci, Panie! Chwalimy imię Twoje, Paaaanie!” Jednocześnie wyglądały dziwnie znajomo. Oczywiście niemożliwe, żeby to były te same trzy słoneczniki, które w moim śnie wyrosły między deskami windy (a także widniały na zdjęciu zrobionym przez Billa Deana przed moim powrotem), a jednak to były właśnie one, ponad wszelką wątpliwość. Trzy słoneczniki jak trzy wiedźmy w „Makbecie”, trzy słoneczniki z twarzami jak lustra reflektorów. Wróciłem do Sary Laughs; byłem w transie; wró-

ciłem do swojego snu, który tym razem całkowicie nade mną zapanował.

- Stricken! - Ki szarpała się dziko w moich ramionach, śliska jak piskorz. - Mikę, proszę!

Grzmot eksplodował nad naszymi głowami jak wiadro z nitrogliceryną. Tym razem krzyknęliśmy oboje, przyklęknałem, zgarnąłem psiaka z ziemi, Kyra przytuliła go i obsypała pocałunkami. Po niebie przetoczył się kolejny grzmot, przywodzący na myśl uderzenie monstrualnego bicia. Spojrzałem na słoneczniki, a one odwzajemniły spojrzenie; cześć, Irlandczyku, dawno się nie widzieliśmy, co? Chwyłem mocniej Ki, odwróciłem się i pobrnąłem w kierunku domu. Szło mi się bardzo ciężko, ponieważ rwący strumień sięgał mi do kostek, a woda niosła nie tylko częściowo roztopione lodowe kule, ale również patyki i gałęzie. Jedna z nich zatrzymała się przy słonecznikach, inna, znacznie większa, z łomotem spadła na dach domu i zsunęła się na ziemię.

Dopadłem tylnej werandy, prawie pewien, że powita nas tam Kształt, wymachując niby-ramionami w parodii przyjacielskiego gestu, ale pomyliłem się. Była tylko burza, lecz w zupełności to wystarczyło.

Ki kurczowo przyciskała Stricklanda do piersi. Bez większego zdziwienia spostrzegłem, że połączone działanie brudu i wody zmieniło kolor jego futerka z szarego na czarny. A więc jednak wszystko było tak jak w moim śnie.

Nic nie mogłem na to poradzić. Za późno, żeby się cofnąć, żeby szukać innego schronienia. Otworzyłem drzwi i wszedłem z Kyra do domu.

Środkowa część Sary, jej serce, liczyła sobie już ponad sto lat i przeżyła niejedną burzę. Ta, która rozpętała się w owolipcowe popołudnie, z pewnością należała do najcięższych, jednak zaraz po tym, jak weszliśmy do suchego wnętrza, ła-

piąc powietrze szeroko otwartymi ustami niczym ludzie, którzy cudem uniknęli utonięcia, nabrałem pewności, że dom przetrwa także tę nawałnicę. Ściany z bali były tak grube, że poczułem się prawie tak, jakbym wkroczył do podziemnego schronu. Ogluszający huk grzmotów i wycie wiatru zamieniły się w stłumiony ryk, przerywany od czasu do czasu głośniejszym łomotem, kiedy gdzieś w pobliżu uderzył piorun albo na dach spadła złamana przez wiatr gałąź. Gdzieś, chyba w piwnicy, trzaskały drzwi; odgłos przypominał wystrzały z pistoletu startera. Wierzchołek niedużego drzewka wybił kuchenne okno; iglaste gałęzie sięgały aż nad zlewozmywak, rzucając rozchwiane cienie na blat i kuchenkę. W pierwszej chwili chciałem je połamać i wyrzucić, ale zrezygnowałem z tego zamiaru; przynajmniej zatkały otwór.

Wszedłem z Ki do salonu. Przez jakiś czas w milczeniu spoglądaliśmy na jezioro, zupełnie czarne pod czapą czarnego nieba, poznaczone niezliczonymi kreskami grzywaczy. Błyskawice zapalały się niemal bez przerwy, wydobywając z mroku gnące się drzewa na brzegu. Dom, choć wyjątkowo solidnie zbudowany, dygotał i jęczał, przeciwstawiając się wiatrowi, który usiłował zepchnąć go ze zbocza.

W pokoju słychać było delikatne, nieustające dzwonięcie. Kyra wyprostowała się i rozejrzała dokoła.

- Masz łosia - zauważyła.

- Tak. Nazywa się Bunter.

- Gryzie?

- Nie, kochanie. Nie gryzie. Jest jak... jak lalka.

- A dlaczego dzwoni dzwoneczkiem?

- Bo cieszy się, że tu jesteśmy, że udało nam się uciec przed burzą.

Czytałem w jej twarzy jak w otwartej książce. Chciała być wesola, ale przecież nie było Mattie, która... Odepchnęła od



siebie tę myśl. Coś dużego spadło na dach, światło zamigotało, a Ki znowu się rozpląkała.

- Nie trzeba, maleńka. - Chodziłem po pokoju, tuląc ją do piersi. - Nie trzeba płakać.

- Ja chcę do mamy! Chcę do Mattie!

Tuliłem ją i uspokajałem, tak jak tuli się niemowlęta, które mają atak kolki. Jak na trzyletnie dziecko zbyt wiele rozumiała, w związku z tym cierpiała znacznie bardziej, niż powinien cierpieć jakikolwiek trzylatek. Kołysałem ją więc i przytulałem, czując pod palcami szorty mokre od moczu i deszczu, czując na szyi gorące, kurczowo zaciśnięte ramiona, czując na policzku jej umazany smarkami i łzami policzek, wdychając jej kwaśny oddech i filcowy zapach mokrej maskotki, którą wciąż ścisłała w kurczowo zaciśniętych palcach. Wędrowaliśmy tam i z powrotem po salonie wiekowego domu, w przyćmionym blasku górnego światła i stojącej lampy, lekko drgającym, oddychającym w rytmie wahań pracy generatora. W naszej wędrowce towarzyszyło nam brzęczenie dzwonka Buntera, niczym muzyka ze świata, którego czasem możemy dotknąć, ale nie zobaczyć, a także niemilknięcie ani na chwilę odgłosy burzy. Chyba jej śpiewałem, na pewno przemawiałem do niej w myślach, i wspólnie coraz głębiej pogrążyliśmy się w transie." Nad nami pędziły gnane wiatrem chmury, siekł deszcz, gasząc pożary wzniecane w lesie przez uderzające raz po raz błyskawice. Wiązania dachu jęczały cicho, przez wybite okno w kuchni przeciskały się powiewy wiatru, lecz mimo to czułem się zupełnie bezpieczny. Czułem, że wróciłem do domu.

Wreszcie łzy przestały płynąć, Ki oparła główkę na moim ramieniu, a kiedy mijaliśmy okna, widziałem odbicie jej oczu wpatrzonych w srebrzystoczną burzę, szeroko otwartych i nieruchomych. Ki spoczywała w ramionach wysokiego

mężczyzny o rzednących włosach. Na nasze odbicia nakładało się odbicie stołu. Tam, w szybie, już jesteśmy duchami, pomyślałem.

- Zjesz coś?

- Nie jestem głodna.

- Może chociaż napijesz się mleka?

- Kakao. Zimno mi.

- Wcale się nie dziwię. Zaraz zrobię ci kakao.

Spróbowałem położyć ją na kanapie, ale przywarła do mnie z taką siłą, że chyba nie zdołałbym się od niej uwolnić. Podniosłem ją ponownie i oparłem o biodro; natychmiast rozluźniła mięśnie.

- Kto tu jest? - Zaczęła drzeć jak w febrze. - Kto tu jest z nami?

- Nie mam pojęcia.

- Tam był jakiś chłopiec. - Rączką, w której ścisnęła Stricklanda, wskazała przesuwane szklane drzwi wiodące na taras. - Był zupełnie czarny, jak w tym wesołym programie w telewizji. I byli tam jeszcze jacyś czarni ludzie. Pani w dużym kapeluszu, pan w niebieskich spodniach... Wciąż tam są. Innych nie widzę dobrze, ale oni na nas patrzą. Widzisz ich?

- Nie zrobią nam nic złego.

- Jesteś pewien?

Nie odpowiedziałem.

Wydobyłem z zauszki z mąką opakowanie błyskawicznego kakao, rozerwałem jedną z torebek i wsypałem jej zawartość do kubka. Gdzieś blisko uderzył piorun; Ki drgnęła mi w ramionach, po czym załkała żałością. Przytuliłem ją jeszcze mocniej i pocałowałem w policzek.

- Puść mnie, Mikę. Boję się.

- Nie puszczę. Jesteś moją najkochańszą dziewczynką.

- Boję się tego chłopca i tego pana w niebieskich

spodniach, i tej pani. To chyba ta sama pani, która ukradła Mattie sukienkę. Czy to duchy?

- Tak.

- Czy to złe duchy? Takie jak ci panowie, którzy gonili nas w lunaparku?

- Nie mam pojęcia, Ki. Naprawdę.

- Ale niedługo się przekonamy.

- Proszę?

- Tak pomyślałeś: „Ale niedługo się przekonamy”.

- To prawda - odparłem. - Chyba tak właśnie pomyślałem.

Postawiłem czajnik na kuchence, po czym zaprowadziłem Kyrę do głównej sypialni, w nadziei, że znajdę tam jakieś stare rzeczy Jo, w które mógłbym dziecko przebrać. Niestety, zarówno szafa jak i szuflady, należące do mojej żony, były puste. Postawiłem dziewczynkę na szerokim łóżku, w którym od chwili powrotu do Sary nie przespałem nawet pięciu minut, rozebrałem ją, zaniósłem do łazienki i owinąłem prześcieradłem kąpielowym. Wtulila się w nie, dygocząc z zimna, z posiniałymi ustami. Drugim ręcznikiem, najdokładniej jak mogłem, osuszyłem jej włosy. Przez cały czas ścisłała w rączce pluszowego psiaka, nie zważając na to, że popękały mu szwy i ze środka wylaża wilgotne kłaki.

Otworzyłem szafkę z lekarstwami, przetrząsałem jej zawartość, na najwyższej półce znalazłem to, czego szukałem: opakowanie benadrylu, którego niekiedy używała Jo. Zaświłała mi myśl, że należałoby sprawdzić datę ważności, ale zaraz niemal parsknąłem śmiechem. Jakże to teraz miało znaczenie? Opuściłem deskę klozetową, posadziłem Ki, przykucnąłem przy niej - wciąż kurczowo ścisłała mnie za szyję - rozerwałem opakowanie. Następnie wypłukałem kubek do

mycia zębów i napełniłem go zimną wodą. Kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie w lustrze, w którym odbijały się otwarte drzwi łazienki i fragment sypialni, ale doszedłem do wniosku, że to tylko cienie szarpanych przez wiatr drzew za oknem. Podałem małej trzy pastylki i wodę; sięgnęła po nie, ale niemal natychmiast zawahała się.

- To tylko lekarstwo - powiedziałem uspokajającym tonem.

- Jakie lekarstwo?

Mała rączka wisiała nieruchomo nad kapsułkami.

- Na smutek. Potrafisz już połykać pastylki?

- Jasne. Nauczyłam się, jak miałam dwa latka.

Zastanawiała się jeszcze chwilę, patrząc na mnie i we mnie, jakby chciała się upewnić, że wierzę w to, co jej powiedziałem. Chyba usatysfakcjonowało ją to, co zobaczyła, ponieważ kolejno połknęła wszystkie trzy tabletki, po czym oświadczyła:

- Wciąż mi smutno, Mike.

- Minie trochę czasu, zanim zaczną działać.

W swojej szufladzie znalazłem starą koszulkę Harley-Davidsona, która skurczyła się w praniu. Wciąż była na nią dużo za duża, ale kiedy zawiązałem ją z jednej strony na supeł, upodobniła się do czegoś w rodzaju saronga. Ki znakomicie prezentowała się w tym stroju.

W tylnej kieszeni spodni zawsze noszę grzebień. Wyjąłem go i uczesałem ją najlepiej, jak potrafiłem. Wyglądała już całkiem przyzwoicie, ale czegoś mi brakowało. Czegoś, co bez wątplenia miało związek z Royce'em Merrillem. Głupota, prawda? A jednak...

- Mike? Jaka laska? O jakiej lasce myślisz?

Natychmiast nasunęła mi się odpowiedź.

- O cukrowej. Takiej w paski. To taki rodzaj lizaka. -

Z kieszeni wyjąłem splątane wstążki. W niepewnym świetle ich czerwone brzegi wydawały się niemal czarne. Niewiele myśląc, związałem włosy Kii w dwa kucyki. Miała teraz wstążki, miała czarnego pieska, słoneczniki co prawda wyrosły trochę dalej, ale też były na miejscu. Wszystko wyglądało mniej więcej tak jak trzeba.

Kolejny huk, trzask padającego drzewa... i zgasło światło. Po jakichś pięciu sekundach wypełnionych szarocznymi cieniami zapłonęło ponownie. Zaniósłem Ki z powrotem do kuchni; kiedy mijaliśmy drzwi do piwnicy, usłyszałem czyjś śmiech. Ona też usłyszała. Widziałem to w jej oczach.

- Zaopiekuj się mną- powiedziała. - Zaopiekuj się mną, bo jestem jeszcze mała. Obiecałeś.

- Wiem. I zrobię to.

- Kocham cię, Mikę.

- Ja też cię kocham, Ki.

Z dzióbka czajnika buchała para. Nalałem pół kubka wrzątku, po czym dolałem do pełna mleka, żeby napój nie był tak gorący, a jednocześnie stał się bardziej pożywny. Zmierzając w kierunku kanapy, musiałem przejść obok stołu, na którym stała maszyna do pisania, obok zaś leżała rozpoczęta powieść i pismo z krzyżówkami. Wszystko to wyglądało jakoś tak żałośnie jak pozornie atrakcyjne gadzety, które nigdy nie działały jak trzeba, teraz zaś całkowicie odmówiły posłuszeństwa.

Potężna błyskawica rozświetliła niebo od horyzontu po horyzont, zalewając pokój fioletowym blaskiem. W tej niesamowitej poświacie rozkołysane gałęzie drzew wyglądały jak rozczapierzone palce, ja zaś ujrzałem w szklanych drzwiach kobietę stojącą za naszymi plecami, przy piecu. Rzeczywiście, miała na głowie słomkowy kapelusz o rondzie wielkości koła od wozu.

- Co to znaczy, że rzeka prawie dotarła do morza? - spytała Ki.

Posadziłem ją na kanapie, usiadłem obok i wręczyłem kubek.

- Wypij to.

- Dlaczego ci ludzie skrzywdzili mamę? Nie chcieli, żeby się dobrze bawiła?

- Chyba nie - powiedziałem i rozplakałem się. Posadziłem ją sobie na kolanach, płakałem i ocierałem łzy wierzchem dłoni.

- Ty też powinieneś wziąć lekarstwo na smutek. - Podsunęła mi kakao. Wstążki zakołysały się w jej włosach. - Poczęstuj się.

Napiłem się trochę. Z północnego krańca domu dobiegł donośny trzask, generator ucichł i ponownie zapadł mrok.

Po twarzy Kii przesuwały się rozchwiane cienie.

- Trzymaj się mnie mocno - szepnąłem - i niczego się nie bój. Zaraz znowu będzie jasno.

Rzeczywiście, po chwili ponownie zapłonęły żarówki, ale generator pracował teraz z nieprzyjemnym metalicznym warkotem, a drzenie światła stało się jeszcze wyraźniejsze.

- Opowiedz mi bajkę - zażądała Kyra. - Najlepiej tę o Kopciaku.

- O Kopciuszku.

- No właśnie.

- W porządku, ale za bajki trzeba płacić.

Ułożyłem usta w ryjek i wydałem parę siorbiących odgłosów. Ponownie podsunęła mi kubek. Kakao było słodkie i aromatyczne. Świadomość, że przez cały czas jesteśmy obserwowani, wcale nie była słodka, ale co tam: niech sobie patrzą. Niech patrzą, póki mogą.

- Była sobie kiedyś śliczna dziewczynka, która nazywała

się Kopciuszek...

- Dawno, dawno temu! Tak się zaczynają wszystkie bajki!

- Racja, zapomniałem. A więc dawno, dawno temu była sobie śliczna dziewczynka, która nazywała się Kopciuszek i miała dwie paskudne przyrodnie siostry. Pamiętasz, jak się nazywały?

- Tammi Faye i Yanna.

- Zgadza się. Największe strojnisię na świecie. Zmuszały Kopciuszkę do wykonywania najcięższych domowych obowiązków, takich jak czyszczenie kominka i zbieranie psich kup na podwórzu. Pewnego dnia ogłoszono, że w pałacu wystąpi znany zespół rockowy Oasis. Chociaż zaproszenia otrzymały wszystkie trzy dziewczynki, na koncert...

Benadryl zadziałał dopiero wtedy, kiedy dotarłem do miejsca, w którym dobra wróżka zamienia myszy w najnowsze modele mercedesa. To naprawdę było lekarstwo na smutek: spojrzawszy w dół, zobaczyłem Ki śpiącą smacznie z główką wtuloną w zgięcie mego ramienia. Kubek z niedopitym kakao przechylił się niebezpiecznie, więc wyjąłem go z jej palców i postawiłem na stoliku przy kanapie, a potem odgarnąłem jej z czoła szybko schnące włosy.

Ki...

Żadnej reakcji. Spała jak kamień. Zapewne zasnęła tak szybko między innymi dlatego, że jej popołudniowa drzemka skończyła się, zanim na dobre się zaczęła.

Zaniósłem ją do północnej sypialni; stopki kołysały się bezwładnie, moja stara koszulka pętała się w okolicach jej kolan. Położyłem ją na łóżku i przykryłem po szyję. Pioruny waliły z siłą artylerii, ale mała nawet nie drgnęła. Wyczerpanie, rozpacz, benadryl... Wszystko to razem odprowadziło ją hen, daleko, tam gdzie nie ma miejsca ani na duchy, ani na łzy.

Schyliłem się i pocałowałem ją w policzek. Już nie był tak rozpalony jak jeszcze całkiem niedawno.

- Zaopiekuję się tobą - szepnąłem. - Obiecałem, i dotrzymam słowa.

Zupełnie jakby mnie usłyszała, odwróciła się na bok, podsunęła pod policzek rękę ze Stricklandem i westchnęła głęboko. Rzęsy - zdumiewająco ciemne, zważywszy na kolor włosów - wyglądały jak smoliście czarne kreski na bladych powiekach. Ogarnęła mnie niesłychana czułość, świdrująca serce tak mocno, że prawie nie do odróżnienia od bólu.

Zaopiekuj się mną, bo"jeszcze jestem mała.

- Zrobię to, ptaszku - wyszeptałem.

W łazience zacząłem napełniać wannę wodą, tak jak kiedyś uczyniłem we śnie. Istniała szansa, że spokojnie wszystko prześpi, naturalnie pod warunkiem, że zdołam złapać wystarczająco dużo ciepłej wody, zanim generator całkiem odmówi posłuszeństwa. Bardzo żałowałem, że nie mam jakiejś zabawki do kąpieli, czegoś w rodzaju Wieloryba Wilhelma, na wypadek gdyby się jednak obudziła, ale szybko doszedłem do wniosku, że przecież ma swojego pieska a poza tym, nic nie wskazywało na to, żeby miała się obudzić. Nie czekał jej przecież lodowaty chrzest pod wodą z pompy. Nie byłem okrutny i nie byłem wariatem.

W łazience miałem wyłącznie jednorazowe maszynki do golenia, ani jednej prawdziwej żyletki, nie wspominając o brzytwie, która byłaby najbardziej odpowiednia do czekającej mnie roboty. Musiałem zadowolić się nożem do mięsa. Jeśli woda będzie gorąca, niczego nie pocuję. Litera T na każdym przegubie, poprzeczna kreska tuż przy nadgarstku...

Na chwilę wyszedłem z transu. Jakiś głos (chyba mój własny, z domieszką głosów Jo i Mattie) krzyknął: O czym ty



myślisz? Mike, na litość boską, co ty wyrabiasz?!

Zaraz potem uderzył piorun, zamigotały światła, a deszcz lunął jeszcze obfitszymi strumieniami. Wróciłem tam, gdzie wszystko było jasne i oczywiste, gdzie nikt nie kwestionował tego, co robię. Wreszcie wszystko się skończy: ból, rozpacz, lęk. Nie chciałem, by dręczyły mnie wspomnienia o Mattie tańczącej na plastikowym talerzu, przypominającym plamę czerwonego światła na parkiecie dyskoteki. Nie chciałem być tutaj, kiedy Kyra się obudzi, nie chciałem być świadkiem, jak rozpacz wypełni jej oczy. Nie chciałem zmierzyć się z najbliższą nocą ani z następnym dniem, ani z dniami i nocami, które miały nadejść potem. Wszystkie były jak wagony tego samego pociągu. Życie to choroba. Zamierzałem wziąć gorącą kąpiel i wyleczyć się z niej na dobre. Podniosłem rękę. W lustrze jakaś niewyraźna postać - Kształt - uczyniła to samo. To byłem ja. Od samego początku. I bardzo dobrze.

Przyklęknąłem, by sprawdzić temperaturę wody. Była mocno ciepła, leciała obfitym strumieniem. Znakomicie. Teraz już nawet awaria generatora nie pokrzyżowałaby moich planów. Wanna była stara i głęboka. Idąc do kuchni po nóż zastanawiałem się, czy nie wejść z Kyrą do wanny, podciąwszy sobie uprzednio żyły w umywalce, ale uznałem, że to nie-dobry pomysł. Ludzie, którzy nas znajdą - którzy dotrą tutaj po tym, jak z dróg zostaną usunięte powalone drzewa - ludzie o brudnych myślach i jeszcze brudniejszych skojarzeniach, z pewnością doszliby do niewłaściwych wniosków. Nie, po kąpielu wytrę ją i położę z powrotem do łóżka ze Stricklandem w objęciach, a potem usiądę w bujanym fotelu przy oknie z ręcznikiem na kolanach, żeby jak najmniej pobrudzić spodnie, i wkrótce też zasnę.

Dzwonek Huntera wciąż dzwonił. Coraz głośniejsze. Działał mi na nerwy, a co gorsza, mógł obudzić dziecko. Postanowiłem

zerwać go i uciszyć na dobre. Ruszyłem w tamtą stronę... i w tej samej chwili owionął mnie gwałtowny podmuch. To nie był wiatr, który wdzierał się przez wybite okno w kuchni, to było ciepłe powietrze z tunelu metra. Zrzucił na podłogę pismo z krzyżówkami; moja powieść nie podzieliła jego losu tylko dlatego, że leżał na niej przycisk do papieru. Dzwonienie umilkło.

Usłyszałem westchnienie i słowa wyszeptane tak cicho, że nie byłem w stanie ich zrozumieć. Zresztą, jakie miały znaczenie? Jakie znaczenie miał jeszcze jeden podmuch ciepłego powietrza z Tamtej Strony?

Rozległ się grzmot, któremu towarzyszyło kolejne westchnienie. Jednocześnie generator umilkł na dobre. Światło zgasło, pokój pograżył się w różnych odcieniach szarości. W ciszy, która niespodziewanie zapadła na kilka sekund, wyraźnie usłyszałem jedno słowo:

Dziewiętnaście.

Odwróciłem się na pięcie prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni i znieruchomiałem twarzą do stołu, na którym leżał maszynopis „Przyjaciela z dzieciństwa”. Nagle doznałem olśnienia. Zrozumiałem.

Nie żadna krzyżówka. Nie książka telefoniczna.

Moja powieść. Moja książka.

Idąc powoli w stronę stołu usłyszałem jak przez mgłę, że woda przestała napływać do wanny. Generator nie działał, nie działała więc również pompa. Nie szkodzi, wody z pewnością było już pod dostatkiem. Gorącej wody. Wykąpię Ky-rę, ale wcześniej miałem jeszcze coś do zrobienia. Musiałem zajrzeć na stronę 19, a potem na 92. Mogłem to uczynić, ponieważ napisałem już ponad sto dwadzieścia stron. Po drodze zgarnąłem turystyczną lampę z szafki, na której trzymałem kilkaset autentycznych płyt gramofonowych, włączyłem ją i postawiłem na stole. Otaczający ją krąg blasku, w które-

go zasięgu znalazł się maszynopis, nie był może bardzo jasny, ale w pogłębiającym się mroku wyglądał niemal jak plama światła z punktowego reflektora.

Na stronie 19 „Przyjaciela z dzieciństwa” Tiffi Taylor - dziewczyna na telefon, która później odrodziła się jako Regina Whiting - siedziała w swojej pracowni w towarzystwie Andy’ego Drake’a i opowiadała o dniu, w którym John Sanborn (tym nazwiskiem posługiwał się wówczas John Shackelford) ocalił życie jej trzynastoletniej córki, Karen. Oto fragment, który przeczytałem przy akompaniamencie grzmotów i łoskotu ulewnego deszczu chłuszczącego deski tarasu:

PRZYJACIEL Z.../Noonan, str. 19

się wysuszyć - mówiła - ale nie było jej tam, pomyślałam więc o patio. - Zapaliła papierosa. - Najpierw nie wierzyłam wprost własnym oczom: Karen była pod wodą. Nie mogłam dojrzeć ani jej ręki, ani trzepoczących rozpaczliwie nóg, tylko siniejące paznokcie. Potem... Tak, chyba zamierzałam pobiec i wołać o pomoc, ale nie jestem tego pewna. Byłam w szoku. Całą resztę do dziś pamiętam jak sen, w którym wszystko się zupełnie poplątało. Ten sprzątac, Sanborn, odepchnął mnie na bok, mocno odbił się od cembrowiny i skoczył. Później przez cały tydzień drżałam o swoją krtań, bo kopnął mnie w szyję. Wpadł z łomotem do wody, złapał za rękę i szarpnął, jakby chciał ją połamać, ale nic takiego się nie stało. Wyciągnął Karen, ciężko ranną, ale na szczęście żywą. - Drake ujrzał łzy płynące po jej alabastrowych policzkach. - Boże, byłam pewna, że ona nie żyje. Całkiem pewna.

Wiedziałem od razu, ale na wszelki wypadek przyłożyłem ołówek, żeby lepiej widzieć. Czytane pionowo, jak w krzyżówce, pierwsze litery każdego wiersza układały się w wiadomość, która była tam niemal od chwili, kiedy zacząłem pracować nad książką:

Sowa pod podłogą pracowni.

Bili Dean, który opiekuje się moim domem, siedzi za kierownicą swojej półciężarówki. Za jednym zamachem osiągnął dwa cele: powitał mnie w TR i ostrzegł przed nawiązaniem bliższej znajomości z Mattie Devore. Jest gotów do odjazdu. Uśmiecha się do mnie szeroko, prezentując w całej okazałości sztuczne zęby.

- Powinieneś poszukać tych sów - mówi.

Pytam go, co Jo miałyby robić z plastikowymi sowami, a on wyjaśnia, że plastikowe sowy działają odstraszająco na wrony, które srają na taras. Przyjmuję to bez komentarza, bo mam myśli zaprzątnięte innymi sprawami, ale jednak...

- Zupełnie jakby przyjechała specjalnie w tej sprawie - mówi.

Całkiem zapomniałem (przynajmniej wtedy), że według indiańskich wierzeń sowy pełnią jeszcze jedną ważną funkcję: odstraszały złe duchy. Jeśli Jo wiedziała, że plastikowe sowy nie podobają się wronom, to wiedziała również o tym. Całe życie zbierała takie dziwaczne, pozornie do niczego nieprzydatne informacje, i utykała po kątach swego umysłu na wypadek, gdyby kiedyś miały się jednak przydać. Moja dociekliwa żona. Mój ukochany roztrzepaniec.

Zagrzmiało. Błyskawica rozlała się po chmurach plamą światła, które przegryzło się przez nie jak kwas przez bibułę. Stałem przy stole z maszynopisem w drżących rękach.

- Mój Boże, Jo... - wyszeptałem. - Co takiego odkryłaś? I dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?

Chyba znałem odpowiedź na to pytanie. Nie powiedziała mi o niczym, bo w pewnym sensie przypominałem Maksa Devore'a: nie na darmo nasi pradziadowie srali pod tym samym drzewem. Na pierwszy rzut oka nie miało to najmniejszego sensu, ale ona właśnie tak myślała. Nie zdradziła

się też ani słowem własnemu bratu. Mogłem to uznać za swego rodzaju pociechę.

Zacząłem przerzucać kartki, czując, jak moje ciało pokrywa się gęsią skórką.

W powieści Michaela Noonana „Przyjaciel z dzieciństwa” Andy Drake rzadko kiedy jest smutny albo markotny; zazwyczaj jest osowiały, ponieważ w przymiotniku „osowiały” bez trudu można znaleźć rzeczownik „sowa”. Pierwsza rozmowa Drake’a z Reginą Whiting odbyła się w jej pracowni. Ray Garraty mieszkał w pracowni, nie w mieszkaniu ani nie w domu. Najlepsza przyjaciółka Reginy Whiting nazywała się Steffie Underwood, ale w szkole mówiono na nią Sówka. Opowiadając o swoim mężu, Towie’u Underwoodzie, żartowała często, że trafiła na niepoprawnego sowizdrzała. Sowa pod podłogą pracowni.

To było wszędzie, na każdej stronie, zupełnie jak imiona na literę K w książce telefonicznej. Zupełnie jak pomnik, zbudowany - nie ulegało to dla mnie żadnej wątpliwości - nie przez Sarę Tidwell, lecz przez Johannę Arlen Noonan. Moja żona przekazywała mi wiadomości za plecami strażników, modląc się całym sercem, żebym je dostrzegł i zrozumiał.

Na stronie 92 Shackelford rozmawia z Drakiem w więziennej świetlicy. Siedzi z rękami między kolanami, patrzy w dół, na łańcuch spinający jego nadgarstki, za nic nie chce nawiązać kontaktu wzrokowego z Drakiem.

PRZYJACIEL Z.../Noonan, str. 92

starczy tego. Co jeszcze, kurwa, miałbym powiedzieć? Nie ma o co się martwić; życie to jest gra, a ja dostałem przy rozdaniu wyjątkowo słabe karty. Wiem, wiem, pan tu sobie siedzi i czeka, aż opowiem, jak wskoczyłem do wody, wyciągnąłem podtopionego dzieciaka i uruchomiłem mu pikawkę, tak? Kurwa, a o czym tu opowiadać? Tak! Tak, to prawda, zrobiłem to, ale nie

dlatego, że jestem jakimś pieprzonym świętym albo bohaterem, po prostu...

Nie musiałem dalej czytać. Pierwsze litery kolejnych wierszy na stronie 92 czytane pionowo układały się w tę samą wiadomość co na stronie 19: sowa pod podłogą pracowni. Być może na innych stronach także. Doskonale pamiętałem uczucie niczym niezmaconego szczęścia, jakie ogarnęło mnie w chwili, kiedy się okazało, że znowu mogę pisać. To nie była moja zasługa, tylko Jo. Jo odniosła zwycięstwo nad twórczą niemocą, która ogarnęła mnie po jej śmierci, lecz bynajmniej nie zrobiła tego po to, bym mógł kontynuować karierę pisarza drugorzędnych czytadeł. Stojąc przy stole, w pokoju oświetlanym co chwilę neonowym blaskiem błyskawic, przypomniałem sobie panią Moran, moją nauczycielkę z pierwszej klasy szkoły podstawowej. Kiedy uczyliśmy się pisać i mozolnie przerysowywaliśmy z tablicy do zeszytów kolejne litery, często kładła nam na rękach swoje duże, mądre dłonie i pomagała prowadzić odporne pióro po papierze. Teraz Jo pomogła mi prawie w ten sam sposób.

Przeglądając maszynopis, wszędzie trafiałem na kluczowe słowa, gdzieniegdzie stłoczone tak bardzo, że aż raziły w oczy. Jak bardzo się starała, żebym zwrócił na nie uwagę! Teraz, kiedy wreszcie tak się stało, musiałem się dowiedzieć, co ją do tego skłoniło.

Położyłem maszynopis na stole, ale zanim zdążyłem go przycisnąć, powiał lodowaty wicher i rozrzucił kartki po całym pokoju. Gdyby mógł, z pewnością porozrywałby je na strzępy. Nie! - krzyknął bezgłośnie przeraźliwy głos, kiedy złapałem za latarkę. Dokończ to, co miałeś zrobić!

Zimny wiatr uderzał we mnie falami, zupełnie jakby tuż przede mną stał ktoś niewidzialny i dmuchał mi w twarz lodowatym oddechem, niczym wielki zły wilk przed domkiem

trzech prosiaczków. Szedłem powoli naprzód, a on cofał się przede mną, krok po kroku. Wreszcie miałem tego dosyć; postawiłem lampę na podłodze, wyciągnąłem ręce i mocno klasnąłem w dłonie. Lodowaty natychmiast ucichł. Pozostały jedynie zabłąkane podmuchy wiatru wciskającego się przez wybite okno w kuchni.

- Ona śpi - powiedziałem do tego, co w milczeniu mnie obserwowało. - Jeszcze jest czas.

Wyszedłem tylnymi drzwiami. Wiatr natychmiast chwycił mnie w objęcia, szarpnął, prawie przewrócił. Między rozkołysanymi drzewami zobaczyłem zielone twarze, twarze umarłych. Był tam Devore, był Royce, był też Son Tidwell, ale przede wszystkim była Sara.

Wszędzie.

Nie! Wracaj! Niepotrzebne ci żadne sowy! Wracaj! Dołącz, co zacząłeś! Zrób to, co miałeś zrobić!

- Kiedy ja nie wiem, co właściwie miałem zrobić - odparłem. - A dopóki się nie dowiem, nie zrobię niczego.

Wiatr zawył z oburzeniem, z sosny rosnącej tuż przy domu odłamała się potężna gałąź. Runęła na samochód, wgniotła dach, po czym zsunęła się na moją stronę.

Tutaj klaskanie w ręce niewiele mogło mi pomóc. To był jej świat, nie mój... A na dobrą sprawę stałem dopiero na jej 31. Worek kości

go skraju. Każdy krok w kierunku Dróżki i jeziora przybliżałby mnie do jego centrum, gdzie czas stawał się nieistotny i gdzie rządziły duchy. Dobry Boże, skąd to się wzięło?

Ścieżka wiodąca do pracowni Jo zamieniła się w rwący potok. Przebyłem zaledwie kilka metrów, kiedy kamień, na który trafiła moja stopa, przesunął się, straciłem równowagę i runąłem jak długi. Niebo rozcięła błyskawica, ponownie rozległ się trzask łamanej gałęzi, a ja poczułem, że coś na

mnie spada. Odruchowo zasłoniłem twarz rękami i przeto-  
czyłem się w bok, poza ścieżkę. Potężny konar rąbnął w zie-  
mię w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu leżałem, ja zaś zsu-  
nąłem się do połowy stoku pokrytego śliskim jak lód,  
mokrym igliwem. Kiedy wreszcie zdołałem się podnieść,  
stwierdziłem, że gałąź jest jeszcze większa od tej, która nie-  
dawno spadła na samochód. Gdyby mnie trafiła, najpraw-  
dopodobniej zmiażdżyłaby mi czaszkę. ,

Wracaj! - rozległ się złowieszczy syk spomiędzy drzew.

Dokończ! - zagulgotało jezioro, chłoszcząc brzeg spie-  
nionymi falami.

Pilnuj swoich spraw! - zajęczał dom z głębi fundamen-  
tów. Pilnuj swoich spraw i nie wtykaj nosa w moje!

Ale Kyra była moją sprawą. Była moją córką.

Podniosłem z ziemi lampę. Obudowa pękła, ale żarówka  
świeciła jasnym stałym blaskiem. Jeden zero dla gospodarzy.  
Zgięty niemal wpół, walcząc z przeciwnym wiatrem, osłania-  
jąc głowę przed spadającymi gałęziami, pobrnąłem w kierun-  
ku pracowni mojej zmarłej żony.



## Rozdział 27

Początkowo drzwi nie chciały się otworzyć. Z pewnością nie były zamknięte na klucz, ale jakby napuchły od wilgoci... albo może zostały zablokowane od wewnątrz? Cofnąłem się o dwa kroki i z rozpędu uderzyłem w nie ramieniem. Trochę ustąpiły, ale nie do końca.

To ona. Sara. Stała po tamtej stronie i nie pozwalała mi ich otworzyć. Jak to możliwe, na litość boską? Przecież była tylko pieprzonym duchem!

Przypomniałem sobie o pick-upie z napisem USŁUGI BUDOWLANE... i niemal natychmiast zobaczyłem go u wylotu drogi numer 42, zaparkowanego na poboczu szosy. Za nim stał sedan, a w nim starsze panie i kilka innych samochodów, wszystkie z działającymi wycieraczkami i włączonymi reflektorami, na próżno usiłującymi przebić się przez ulewę. Wyglądały jak na wyprzedzący, ale tu nie było żadnej wyprzedzący, tylko zgromadzenie starców - wszyscy w transie, jak ja, skupieni, skoncentrowani. To z nich czerpała siłę. Kradła im ją. Tak samo postępowała z Devore'em, a także, oczywiście, ze mną. Wiele nadprzyrodzonych zjawisk, których byłem ostatnio świadkiem, zaistniało dzięki mojej własnej energii psychicznej. Zabawne, jeśli się nad tym zastanowić.

A może właściwsze byłoby słowo: przerażające?

- Pomóż mi, Jo - powiedziałem do deszczu. Błyskawica zamieniła na chwilę strumienie wody w srebrzysty tiul. - Pomóż mi, jeżeli naprawdę mnie kochałaś.

Ponownie wziąłem rozbieg i z całej siły rąbnąłem w drzwi. Tym razem nie napotkałem na żaden opór, wpadłem więc do środka jak bomba, potknąłem się o próg i upadłem na kolana, ale nie wypuściłem lampy z ręki.

Na chwilę zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem, jak gromadzą się w niej przeróżne siły. Odniosłem wrażenie, że cały świat zamarł w bezruchu, chociaż za moimi plecami, w lesie, ukochanym miejscu wędrówek Jo, nadal padał ulewny deszcz i wiał wiatr, niczym ogarnięty szaleństwem, bezlitosny leśnik, który w ciągu godziny albo dwóch postanowił nadrobić dziesięcioletnie zaniedbania i rozprawić się z wszystkimi starymi, chorymi, czy nawet niewystarczająco silnymi drzewami. Zaraz potem-drzwi zatrzasnęły się z hukiem i rozpętało się szaleństwo. Widziałem wszystko w blasku turystycznej lampy, chociaż początkowo nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co widzę - wiedziałem tylko, że jakiś zły duch niszczy ukochane skarby mojej żony.

Oprawiona makatka przeleciała przez pomieszczenie i rąbnęła w ścianę po drugiej stronie, w wyniku czego czarna dębowa rama rozpadła się na kawałki. Główki lalek z dzieciennych kolaży zaczęły kolejno strzelać jak korki z butelek szampana. Kulisty abażur eksplodował z»hukiem, zasypując mnie gradem odłamków. Zerwał się lodowaty wiatr, niebawem dołączył do niego inny, niemal gorący, i razem utworzyły miniaturowy cyklon, jakby imitację tego, co działo się na zewnątrz.

Sklejony z zapalek i kawałków drewna model Sary Laughs rozprysnął się na drzazgi, oparte o ścianę wiosło wzbilo się nagle w powietrze, wykonało kilka bezsensownych machnięć, a następnie pomknęło ku mnie jak włócznia. Padłem płasko na podłogę, by uniknąć trafienia, i przy okazji powbijalem sobie w dłoń mnóstwo szklanych odłamków żyrandola. Mimo bólu wyczułem pod dywanem jakieś zgrubienie. Wiosło uderzyło w ścianę z taką siłą, że pękło wzdłuż na dwie części.

Teraz przyszła kolej na banjo, na którym Jo tak bardzo

chciała nauczyć się grać, a co nigdy jej się nie udało. Pofrunęło w górę, obróciło się dwa razy, a następnie zagrało w zawrotnym tempie fragment melodii - chociaż było potwornie rozstrojone, bez trudu ją rozpoznałem: „Czemuż nie jestem w kraju bawelny, tam gdzie falują pola lucerny...” Na koniec rozległo się przeraźliwe brzęknięcie, pękły wszystkie struny, banjo wykonało jeszcze jeden obrót, po czym zaczęło wściekle uderzać w zamknięte drzwi, aż wreszcie rozpadło się na kawałki.

Świsł i szum powietrza zaczęły się... Bo ja wiem, jak to powiedzieć? ...chyba koncentrować, coraz bardziej upodabniając się do odgłosów wściekłego, nienawistnego dyszenia i sapania. Gdyby tylko mogły, te głosy z pewnością ryczałyby ogłuszająco. Kłęby kurzu wirowały w blasku lampy, tworząc roztańczone, splatające się i rozplatające kształty. Usłyszałem rozdrażniony, schrypnięty głos Sary („Wynoś się, suko! Wynoś się! To nie twój...”), a potem zadziwiający, prawie bezgłosny łoskot, jakby powietrze zderzyło się z powietrzem. Krzyk, który rozległ się chwilę później, rozpoznałem w okamgnieniu, słyszałem go już bowiem w środku nocy. To był krzyk Jo. Sara robiła jej krzywdę, karała ją za próbę ingerencji, i Jo przeraźliwie krzyczała.

- Przestań! - ryknąłem, zrywając się na nogi. - Przestań!  
Zostaw ją w spokoju!

Ruszyłem naprzód, wymachując lampą. Poleciały na mnie słoje z suszonymi kwiatami, grzybami i ziołami, wszystkie jednak przelatywały obok, jakby odepchnięte czyjąś niewidzialną ręką, i rozbijały się o ścianę z odgłosem podobnym do dźwięków ksylofonu.

Teraz przyszła kolej na biurko Jo. Z pełnymi szufladami ważyło na pewno co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów, lecz mimo to uniosło się jak piórko i zawisło dwa metry nad

podłogą, kołysząc się lekko na boki.

Jo krzyknęła ponownie, tym razem bardziej ze złości niż z bólu, a ja zatoczyłem się do tyłu i oparłem plecami o drzwi. Miałem wrażenie, że jestem zupełnie pusty w środku. Chyba nie tylko Sara potrafiła czerpać energię z żywych. Biaława, przypominająca nasienie substancja - prawdopodobnie ekto-plazma - ciekła z otworów biurka wąskimi strumyczkami. Kiedy wreszcie biurko ruszyło, uczyniło to tak prędko, że z trudem zdołałem nadążyć za nim wzrokiem. Gdyby ktoś stał na jego drodze, byłby bez szans. Rozległ się rozdzierający wrzask protestu i bólu - to Sara, wiedziałem - ciężki mebel rąbnął w ścianę z potworną siłą i wybił w niej dziurę. Wiatr i deszcz wtargnęły do wnętrza domku. Zasuwana pokrywa zawisła na jednym zawiasie jak częściowo wyrwany język, wypadły wszystkie szuflady, na podłogę posypały się motki włóczki, podręczniki zielarstwa, przewodniki turystyczne, atlasy grzybów, szydełka, druty, pisaki, niezliczone notesy... Puczna Jo, jak powiedziałyby Kyra. Rozbiegły się we wszystkie strony niczym fragmenty kości i strzępy włosów brutalnie wyrzucone z rozbitej trumny.

- Przestańcie! - wychrypiałem. - Dajcie spokój. Wystarczy.

Nie musiałem tego mówić. Byłem zupełnie sam w zrzuconej pracowni mojej żony. Bitwa dobiegła końca. Przy najmniej chwilowo.

Schyliłem się i zacząłem zwijać dywan, starając się przy okazji zebrać jak najwięcej odłamków szkła. Pod spodem znajdowała się kłapa wiodąca do małej piwniczki, a właściwie magazynku, urządzonego w wolnej przestrzeni między podłogą a stokiem. Zgrubienie, które wyczułem pod dywanem, to był jeden z zawiasów. Oczywiście wiedziałem o istnieniu tego miejsca i nawet zamierzałem zajrzeć tam

w poszukiwaniu sów, ale potem zaczęło się tyle dziać, że zapomniałem.

Do klapy, a jakże, było przymocowane metalowe kółko. Szarpnąłem za nie, przygotowany na opór, ale klapa uniosła się zaskakująco łatwo. Woń, która buchnęła z otworu, sprawiła, że zamarłem jak posąg - nie był to wcale smród zgnilizny i rozkładu, przynajmniej nie od razu, lecz zapach ulubionych perfum Jo. Owionął mnie na chwilę, po czym się rozwiął, a ja poczułem inny, którego mogłem się spodziewać: deszczu, korzeni i wilgotnej ziemi. Nie był szczególnie przyjemny, ale czułem już znacznie gorsze, chociażby na Dróżce, w pobliżu tej przeklętej brzozy.

Poświeciłem w dół. Najpierw zobaczyłem coś w rodzaju dużej skrzyni; przypomniałem sobie, że w 1990 albo rok później Bili i Kenny Auster wstawili tutaj starą turystyczną toaletę. Oprócz niej w piwniczce stało mnóstwo stalowych skrzyń zawiniętych w folię (w rzeczywistości były to metalowe szafki z szufladami). Stare płyty i stosy jakichś papierów. Szpulowy magnetofon wepchnięty w plastikową torbę, obok, również w torbie, stary magnetowid. A nieco dalej, w kącie...

Usiadłem na krawędzi, spuściłem nogi... i w tej samej chwili coś musnęło kostkę, którą nadwerżyłem w jeziorze. Spojrzawszy w dół, między kolana, ujrzałem ciemnoskórego chłopca, ale nie tego, który utonął w jeziorze. Ten był starszy i znacznie większy. Wyglądał na dwanaście, może nawet trzynaście lat, tamten zaś miał tylko osiem.

Obnażył zęby i zasyczał jak kot. Jego oczy były pozbawione nie tylko źrenic, lecz także tęczówek; wyglądały jak oczy marmurowego posągu. Pokręcił głową. Nie schodź tu, biały człowieku. Pozwól umarłym spoczywać w spokoju.  
- Ale ty przecież nie spoczywasz w spokoju - odparłem i poświeciłem lepiej lampą. Przez ułamek sekundy widziałem

trudne do opisania ohydztwo - przez półprzezroczystą skórę prześwitywały resztki języka, rozkładające się oczy, gnijący mózg - a potem zniknął i w kręgu światła znowu tańczyły tylko drobinki kurzu.

Ruszyłem w dół po drewnianych schodkach, z lampą uniesioną nad głowę, a wypełniające piwnicę cienie drgnęły i wyciągnęły ku mnie rozczapierzone palce.

Posadzkę piwnicy (pomieszczenie było tak niskie i ciasne, że właściwie nie zasługiwało na tę nazwę) wyłożono drewnianymi paletami; gdyby nie one, wszystko stałoby na gołej ziemi. Teraz spływająca obfitym strumieniem woda wypłukała spod palet tyle gliny i piasku, że nawet pełznąc na czworakach miałem kłopoty z utrzymaniem równowagi. Zapach perfum ulotnił się bez śladu; zastąpiła go woń mułu i szlamu, oraz - co może wydawać się dziwne, ale jestem pewien, że się nie myliłem - delikatny zapach dymu i popiołu.

Prawie od razu wypatrzyłem to, po co przyszedłem: zamówione z katalogu sowy, te, które osobiście odebrała w listopadzie 1993, stały w najdalszym kącie, gdzie odległość między podłogą z palet a sufitem wynosiła nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów. „Wyglądały jak prawdziwe” - powiedział Bili, i miał całkowitą rację. Oglądając je w świetle lampy można było przypuszczać, że zostały schwytane w sieci, a następnie wpakowane w foliowe torby, gdzie się udusiły. Ich oczy przypominały ogromne złote obrączki wypełnione smołą, plastikowe lotki były ciemnozielone, jak sosnowe igły, piersi oraz brzuchy ciemnopomarańczowe i szare. Czołgając się ku nim po skrzypiących, rozkołysanych paletach starałem się nie zastanawiać, czy czarny chłopiec posuwa się za mną. Dotarłszy do celu, gwałtownie podniosłem głowę i rąbnąłem nią w drewniane sklepienie. Stuknij raz na tak, dwa razy na nie, kretynie, pomyślałem.

Chwyciłem za skraj przezroczystej foliowej torby, w którą były zawinięte sowy, i pociągnąłem do siebie. Chciałem jak najszybciej się stąd wydostać. Odgłos płynącej tuż pod mną wody wywoływał dziwne, niezbyt przyjemne wrażenie, podobnie jak zapach dymu, wyraźnie przybierał na sile pomimo wilgoci. Czyżby domek, w którym mieściła się pracownia, stanął w ogniu? Czyżby Sara zdołała go podpalić? Jeśli tak, to mogłem upiec się tu żywcem, prawie leżąc w wodzie.

Jedna sowa tkwiła na podstawce z tworzywa sztucznego (dlatego, żeby było łatwiej ustawić ją na tarasie, kochanie), druga zaś nie. Czołgałem się z powrotem do dziury w podłodze, z lampą w jednej ręce, ciągnąc za sobą worek z sowami. Za każdym razem, kiedy na zewnątrz rozlegał się huk gromu, krzywiłem się boleśnie. Zaledwie po metrze lub dwóch stara klejąca taśma, którą zalepiono torbę, nie wytrzymała, torba otworzyła się i sowa, ta bez podstawki, wychyliła z niej głowę, patrząc mi prosto w oczy złocistymi ślepiami.

Zawieranie powietrza. Krzepiący powiew zapachu perfum Jo. Wywlokłem sowę za przypominające rogi kępki piór na głowie i odwróciłem do góry nogami. Tam, gdzie kiedyś znajdowała się podstawka, sterczały dwa grube plastikowe trzpienie oddzielone wgłębieniem, we wgłębieniu zaś tkwiło małe metalowe pudełeczko. Rozpoznałem je od razu, jeszcze zanim po nie sięgnąłem, ale dla pewności poświeciłem z bliska lampą, choć dobrze wiedziałem, co zobaczę: ozdobny napis wykonany ręką mojej żony DROBIAZGI JO. Kupiła to pudełeczko za parę centów na jakiejś garażowej wyprzedaży.

Wpatrywałem się w nie z łomoczącym sercem. W górze wciąż huczały grzmoty. Kłapa była szeroko otwarta, ja jednak zupełnie zapomniałem, że jeszcze przed chwilą spieszo mi było się stąd wydostać. Zapomniałem o wszystkim; widziałem tylko tandetne metalowe pudełko wielkości pudeł-

ka na cygara, tyle że trochę płytsze. Lekko drżącą ręką uniosłem wieko.

W środku było kilka złożonych kartek, dwa spięte gumką notesy z drutowanymi grzbietami oraz jakiś zupełnie płaski, błyszczący prostokąt. Dopiero kiedy wziąłem go do ręki, rozpoznałem negatyw fotograficzny. Spojrzałem pod światło.

Lekko pomarańczowa, przypominająca zjawę Jo, w szarym dwuczęściowym kostiumie plażowym, stała na platformie kąpielowej z rękami za głową.

- Jo... - wykrztusiłem.

Więcej nie potrafiłem z siebie wydusić, ponieważ w gardle utkwił mi suchy kłęb. Jeszcze chwilę trzymałem negatyw w palcach, po czym z ociąganiem odłożyłem go do pudełka. A więc po to przyjechała do Sary w lipcu 1994: żeby ukryć te rzeczy najlepiej, jak potrafiła. Zdjęła sowy z tarasu (Frank usłyszał szurgot odsuwanych drzwi) i przyniosła je tutaj. Bez trudu wyobraziłem sobie, jak odrywa podstawkę, wpycha pudełko w zagłębienie, a następnie pakuje obie sowy do fo-

liowego worka i taszczy je tutaj, na dół. W tym czasie Frank stał oparty o maskę swego samochodu, palił papierosa i odczuwał wibracje. Niedobre wibracje. Raczej nie mogłem liczyć na to, że kiedykolwiek poznam wszystkie motywy, jakimi się kierowała, ale wiedziałem jedno: była pewna, że jakoś tu dotrę. Jeśli nie, to po co zostawiłaby negatyw?

Poskładane kartki okazały się kserokopiami wycinków z „Castle Rock Call” i „Weekly News”, które ukazywały się przed wejściem „Castle Rock Call” na rynek. Na marginesach widniały daty zapisane pewną ręką mojej żony. Najstarszy wycinek pochodził z roku 1865 i nosił tytuł: JESZCZE JEDEN SZCZĘŚLIWY POWRÓT. Powracającym z wojny był niejaki Jared Devore, lat trzydzieści dwa. Nagle stała się dla mnie jasna jedna z tajemnic, które do tej pory nie dawa-



ły mi spokoju: zastanawiająca rozbieżność pokoleniowa.

W głowie zadźwięczały mi słowa jednej z piosenek Sary Tidwell, tej, w której śpiewała: „Starzy to robią, i młodzi to robią / A starzy uczą młodych, co, jak i gdzie...”

Kiedy Sara Tidwell i Czerwonoczubi zjawili się w okręgu Castle i osiedlili w miejscu nazwanym później Łąką Tidwellów, Jared Devore miał sześćdziesiąt siedem albo nawet sześćdziesiąt osiem lat. Stary ale jary. Weteran wojny domowej. Człowiek, na którym chętnie wzorowali się młodszy. Sara miała rację: starzy pokazują młodym, co, jak i gdzie.

Co pokazali tym razem?

Nie dowiedziałem się tego z wycinków dotyczących Sary i Czerwonoczubych. Co prawda tylko przejrzałem je pobieżnie, niemniej przewijający się przez nie ton wywołał moje obrzydzenie. Określiłbym go jako dobrodusznie pogardliwy. Czerwonoczubi byli albo „naszymi drozdami z Południa”, albo „rozśpiewanymi ciemnymi twarzami”. Charakteryzowała ich „prostoduszna, choć nieco siermiężna zyczliwość”, Sara natomiast stanowiła „uosobienie czarnej kobiety z szerokim nosem, pełnymi wargami i szlachetną linią brwi”, która „fascynowała kobiety i mężczyzn swoją zwierzęcą żywotnością, olśniewającym uśmiechem i zachrypniętym śmiechem”.

To były, pozał się Boże, recenzje. Nawet całkiem, pozytywne, oczywiście z punktu widzenia kogoś, kto zgadza się być nazywanym „rozśpiewaną ciemną twarzą”.

Przerzucałem je gorączkowo w poszukiwaniu jakiegokolwiek wzmianki o przyczynach, dla których „nasze drozdy z Południa” postanowiły odejść. Niczego na ten temat nie znalazłem, trafiłem natomiast na wycinek z „Call” opatrzony datą 19 lipca 1933 (dziewiętnaście pionowo, przemknęło mi przez głowę), zatytułowany: ZASŁUŻONY WETERAN

TRACI CÓRKĘ. Kiedy Fred Dean wraz z dwustu innymi mężczyznami gasił pożar lasu szalejący we wschodniej części TR, wiatr raptownie zmienił kierunek, w związku z czym niebezpieczeństwo zaczęło zagrażać także terenom sąsiadującym z północnym skrajem jeziora. Wielu miejscowych pobudowało tam sobie małe chatki, z których korzystali podczas wypraw wędkarskich i polowań. (Wiedziałem o tym już wcześniej). Miniaturowa osada miała własny sklep, a nawet nazwę: Halo Bay. Żona Freda, Hilda, przebywała tam z trzyletnimi bliźniętami, Williamem i Carlą. Na lato zjechało również wiele innych kobiet z dziećmi.

Po zmianie kierunku wiatru pożar zaczął się przemieszczać „z prędkością pędzącego ekspresu”, jak napisano w gazecie. Bez trudu pokonał jedyną przeszkodę, jaką przygotowano z tej strony, i ruszył ku północnemu skrajowi jeziora. W Halo Bay nie było ani jednego mężczyzny, zdolnego pokierować ewakuacją, wśród kobiet zaś nie znalazła się taka, która chciałaby lub potrafiła to zrobić. Wybuchła panika, załadowane w pośpiechu samochody wszystkie razem wyjechały na jedyną drogę, a kiedy któryś z nich się zepsuł i zablokował przejazd, uciekinierzy znaleźli się w potrzasku.

Co prawda odsiecz przybyła w porę, lecz gdy Fred Dean odszukał żonę, dokonał przerażającego odkrycia: Billy leżał na tylnym siedzeniu samochodu, pogrążony we śnie, brakowało natomiast Carli. Hilda zapakowała oboje do samochodu - jak zwykle usiedli obok siebie, trzymając się za ręce - ale w pewnej chwili, najprawdopodobniej wtedy, kiedy Hilda dorzucała jeszcze coś do bagażnika, Carla przypomniała sobie o ulubionej zabawce i wróciła po nią do domku. Matka usiadła za kierownicą starego deSoto i odjechała, nie sprawdzwszy, czy dzieci są w samochodzie. Carla Dean albo została w Halo Bay, albo wyruszyła na piechotę; w obu przypad-

kach musiała paść ofiarą płomieni.

Droga była za wąska, żeby dało się zawrócić którymś z pojazdów, i zbyt zatłoczona, żeby któreś z tych, co nadjechały z odsieczą, mogły podążyć dalej, do Halo Bay. Nieustraszonemu Fredowi Deanowi nie pozostało więc nic innego jak ruszyć biegiem w kierunku czarnego od dymu horyzontu, zza którego wylaniała się coraz bardziej intensywna, pomarańczowa poświata. Gnany wiatrem ogień pędził mu na spotkanie jak stęskniona kochanka, bez wysiłku przeskakując z drzewa na drzewo.

Czytałem o tym klęcząc na paletach, w blasku elektrycznej lampy... i nagle poczułem jeszcze intensywniejszą niż do tej pory woń dymu. Zakasłałem. Niemal w tej samej chwili moje gardło i usta wypełniły się żelazistą wodą; po raz kolejny - dla odmiany w piwniczce pod podłogą pracowni Jo - poczułem, że tonę. Usiłowałem wypluć wodę, lecz z ust, jak zwykle, pociekło mi tylko trochę śliny.

Odwrociłem się i ujrzałem jezioro. Na jego gładkiej jak lustro powierzchni krzyczały nury, płynąc ku mnie tyralierą i uderzając skrzydłami. Błękitne niebo było zasnutę dymem, w powietrzu unosił się swąd spalenizny, silny wiatr niósł chmury popiołu. Cały wschodni brzeg jeziora Dark Score stał w ogniu. Do moich uszu co jakiś czas docierał huk pękających pni, podobny do odgłosu wybuchających bomb głębinowych.

Opuściłem wzrok, by wrócić do rzeczywistości/wiedzałem bowiem, że jeśli zostanę tu choć trochę dłużej, wizja stanie się równie realna jak ta, w której wraz z Kyrą odwiedziłem festyn we Fryeburgu. Jednak zamiast sowy o złocistych oczach zobaczyłem dziewczynkę z jasnoblękitnymi oczami. Siedziała przy turystycznym stoliku, płakała i wyciągała ku mnie pulchne ramionka. Widziałem ją równie wyraźnie jak

własną twarz w lustrze przy goleniu. Była mniej więcej w wieku Kii, ale znacznie pulchniejsza, z kruczoczarnymi włosami. Takie same włosy miał jej brat, aż do nieprawdopodobnie odległego lata roku 1998, kiedy zaczęły mu lekko siwieć. Do lata, którego ona na pewno nie doczeka, jeśli ktoś zaraz nie wyciągnie jej z tego piekła. Ma na sobie białą sukienkę i podkolanówki, wyciąga do mnie ręce i woła: Tatusiu! Tatusiu!

Ruszam do niej, lecz natychmiast czuję gwałtowny podmuch gorącego powietrza, które na chwilę rozrywa mnie na strzępy. Uświadamiam sobie, że tutaj to ja jestem duchem, i że Fred Dean właśnie przebiegł przeze mnie. To jego wzywa dziewczynka, nie mnie. Chwyta ją w ramiona, a ona tuli się do niego, nie zważając na to, że sadza i popiół brudzą jej białą jak śnieg sukienkę. Wiatr przynosi coraz więcej sadzy, a nury dalej płyną z krzykiem do brzegu, nie przerywając lamentu.

Tato, ogień się zbliża! - woła dziewczynka, Fred zaś chwyta ją w ramiona.

Wiem, mówi. Bądź dzielna. Nie stanie nam się nic złego, cukiereczku, ale musisz być dzielna.

Ogień już się nie zbliża, on już przybył. Cała wschodnia część Halo Bay stoi w płomieniach, które błyskawicznie trawią kolejne drewniane domki, ulubione miejsca pijackiego wypoczynku tutejszych mężczyzn podczas sezonu polowań i sezonu wędkarskiego. Za domkiem Ala LeRoux płonie pranie, które Marguerite wywiesiła tego ranka do wyschnięcia: spodnie, sukienki i bielizna, a także sznury, rozedrgane ogniście struny. Wiatr porывa żarzące się liście i kawałki kory; jeden z takich kawałków spada Carli na kark, mała krzyczy z bólu, Fred strząsa go na ziemię i niesie córkę do wody.

Nie rób tego! - krzyczę co sił w płucach. Wiem, że niczego nie zmienię, ale mimo wszystko próbuję, mimo wszystko

krzyczę. Próbuje gasić! Na litość boską, próbuj gasić!

Tatusiu, co to za pan? - pyta Carla i wskazuje mnie palcem. Jednocześnie pokryty gontem dach domku Deanów staje w ogniu.

Fred zerka w moją stronę z miną złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku. Najgorsze jest to, że on doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi, że doskonale wie, po co wrócił tu, do Halo Bay, gdzie kończy się Dróżka, i boi się, że ktoś go zobaczy. Nie widzi mnie jednak.

A może? Szeroko otwiera oczy, jakby jednak coś zobaczył, na przykład drobinki pyłu tańczące w powietrzu. A może mnie wyczuwa? Może niespodziewanie owionął go strumień lodowatego powietrza? Może poczuł szarpnięcie bezcielesnych rąk, które z pewnością by go powstrzymały, gdyby były materialne? W końcu jednak odwraca wzrok i wchodzi w wodę obok skleconego byle jak pomostu.

Fred! - wrzeszczę. Na litość boską, człowieku, spójrz na nią! Myślisz, że to zbieg okoliczności, że twoja żona ubrała ją w białą sukienkę? Czy twoim zdaniem to strój do zabawy? Tatusiu, dlaczego wchodzimy do wody? - pyta.

Żeby uciec od ognia, cukiereczku.

Ale ja nie umiem pływać!

Nie szkodzi.

Och, jak okrutnie brzmią te słowa! To prawda, nic nie szkodzi, że Carla nie umie pływać, bo przecież do niczego by jej się ta umiejętność nie przydała. Ani teraz, ani nigdy. Przynajmniej Fred jest bardziej litościwy dla swojego dziecka, niż będzie Normal Auster, kiedy przyjdzie kolej na jego syna. Jezioro to nie to samo co skrzypiąca pompa, co dziesiątki litrów lodowatej, rozbryzgującej się wody.

Biała sukienka otacza ją jak kwiat lilii, czerwone podkołanówki migoczą w wodzie. Dziewczynka mocno chwyta oj-

ca za szyję; są już wśród uciekających nurów. Ptaki uderzają skrzydłami w tafłę jeziora, wytrzeszczają na ludzi przerażone czerwone oczy. Dym ściela się nad wodą, nieba już nie ma. Brnę za nimi, czując chłód wody, choć nie rozgarniam jej nogami, nie zostawiam na niej najmniejszego śladu. Płonie już nie tylko wschodni, ale i północny brzeg jeziora. Fred Dean zanurza się coraz głębiej z córką w objęciach, jakby zamierzał ją ochrzcić. Przez cały czas powtarza sobie, że ją ratuje, że chodzi mu tylko o to, żeby ją ocalić, tak samo jak do końca życia Hilda będzie sobie wmawiać, że Carla sama wysiadła z samochodu i wróciła po jakąś zabawkę, że to nie ona zostawiła ją celowo przy domku, w białej sukience i czerwonych podkolanówkach. To wszystko przeszłość, to wszystko działo się we wczorajszej krainie, gdzie grzechy ojców przechodzą na potomstwo aż do siódmego pokolenia, czyli do teraz.

Wchodzą coraz głębiej, aż wreszcie dziewczynka zaczyna krzyczeć. Jej krzyki mieszają się z wołaniem nurów, a potem milkną, ponieważ Fred zamyka jej usta pocałunkiem. Tatuś kocha swój mały cukiereczek, mówi, i zanurza ją w wodzie. Tak, to zupełnie jak chrzest, tyle że na brzegu nie śpiewa chór i nikt nie woła Alleluja!, a on już nie pozwoli jej się wynurzyć. Carla walczy rozpaczliwie, okolona białą ofiarnego stroju. Ojciec nie może na to patrzeć, więc przenosi wzrok na zachodni brzeg jeziora, gdzie ogień nie dotarł (i nigdy nie dotrze), gdzie niebo wciąż jest błękitne. Popiół spada wokół niego czarnym deszczem, z jego oczu płyną łzy i choć przez cały czas czuje, jak dziecko walczy o życie w żelaznym uścisku jego rąk, powtarza sobie: To był tylko wypadek, okropny wypadek, wszedłem z nią do jeziora, bo to było jedyne bezpieczne miejsce, ale wpadła w panikę, zaczęła się szamać, wyrwała mi się, poszła pod wodę i...

Zapominam, że jestem duchem, krzyczę: Kia! Trzymaj

się, Ki!, nurkuję. Wyciągam do niej rękę, widzę przerażoną twarz, wytrzeszczone błękitne oczy, szeroko otwarte usta, z których wydobywają się srebrzyste bąble powietrza i uciekają w górę, ku powierzchni, tam gdzie stoi Fred zanurzony po szyję w wodzie i powtarza sobie, że starał się ją ocalić, że to było jedyne wyjście, że usiłował ją uratować. Sięgam po nią raz, drugi i trzeci, sięgam po moje dziecko, moją córkę, moją Kię (wszyscy mają na imię Kia, chłopcy i dziewczynki, wszyscy są moimi córkami), ale moje ręce przechodzą przez nią na wylot. Co gorsza, ona też próbuje do mnie sięgnąć, wyciąga ramiona, błaga wzrokiem o ratunek. Nasze ręce nie mogą się zetknąć, bo jestem duchem. Jestem duchem, a ona walczy coraz słabiej, jej ruchy stają się coraz wolniejsze, a ja czuję, tak, tak czuję, że...

Nie mogę oddychać. Tonę.

Zgiąłem się wpół, otworzyłem usta... Tym razem trysnął z nich obfity strumień wody, wprost na plastikową sowę leżącą na palecie przy moich kolanach. Przycisnąłem do piersi metalowe pudełko, by uchronić jego zawartość przed zamoczeniem - w samą porę, ponieważ torsje chwyciły mnie od nowa, a woda popłynęła już nie tylko z moich ust, ale i z nosa. Minęło trochę czasu, zanim zdołałem wziąć oddech.

- To się musi skończyć - powiedziałem.

I tak by się skończyło, tak czy inaczej, ponieważ Kyra była ostatnia.

Wspiąłem się po drewnianych stopniach, po czym ciężko usiadłem na zasłanej szczątkami podłodze. Na zewnątrz wciąż uderzały pioruny i lał deszcz, wydawało mi się jednak, że burza zaczęła słabnąć... albo to były tylko moje pobożne życzenia.

Odpoczywałem z nogami spuszczoneymi do piwnicy; już nie było tam duchów, które mogłyby złapać mnie za kostkę.

Nie mam pojęcia, skąd to wiedziałem, ale byłem tego pewien. Zdjąłem gumki ściskające razem notesy, otworzyłem pierwszy, przekartkowałem pobieżnie i stwierdziłem, że jest niemal cały wypełniony notatkami Jo oraz że pełno w nim luźnych kartek z zapiskami - przypuszczalnie były to rezultaty potajemnych wypraw do TR w 1993 i 1994. Część z tych notatek stanowiły transkrypcje nagrań - kasety przypuszczalnie wepchnęła do torby z magnetowidem albo magnetofonem. Nie potrzebowałem ich jednak; wiedziałem, że kiedy nadejdzie właściwa pora -jeśli w ogóle nadejdzie - wszystko i tak stanie się olśniewająco jasne. Dowiem się bez wysiłku, co się stało, kto to zrobił, w jaki sposób zatarł ślady. Na razie nic mnie to nie obchodziło. Na razie chciałem tylko mieć pewność, że Kyrze nic nie grozi, a był tylko jeden sposób, by to osiągnąć. Przeczekać.

Usiłowałem ponownie spiąć notesy gumką, ale wyslizgnęły mi się z rąk. Ten, do którego jeszcze nie zajrzałem, upadł na podłogę. Spomiędzy kartek wysunął się kawałek zielonego papieru. Wziąłem go do ręki i oto, co zobaczyłem:

Na chwilę wyszedłem z transu, w którym byłem od dłuższego czasu, i świat wrócił do zwyczajnego wymiaru, ale barwy w tym wymiarze były zbyt jaskrawe, a kontury przedmiotów za ostre. Czuję się jak żołnierz na polu bitwy, nad którego głową rozbłysła flara, odzierając go z bezpiecznej ciemności.

Nie myliłem się: rodzina mego ojca rzeczywiście pochodziła z Neck. Jeśli wierzyć tym zapiskom, mój pradziadek nazywał się James Noonan i z pewnością nie srał pod tym samym drzewem co Jared Devore. Max Devore albo kłamał, kiedy mówił o tym Mattie, albo został przez kogoś wprowadzony w błąd, albo po prostu coś mu się pomyliło, co nie jest niczym niezwykłym u ludzi po osiemdziesiątce. Nawet ktoś



taki jak Devore, całkiem jeszcze sprawny umysłowo, mógł sobie pozwolić na chwilę słabości. Poza tym, wcale nie był daleki od prawdy, ponieważ (wciąż opierając się na zabazgranym skrawku zielonego papieru, który ściskałem w palcach) mój pradziadek miał starszą siostrę Bridget, która wyszła za mąż za Bentona Austera.

Przesunąłem palec niżej, do Harry'ego Austera, syna Bentona i Bridget Noonan, urodzonego w 1885.

- Słodki Jezu! - wyszeptalem. - Dziadek Kenny'ego Austera był moim stryjecznym dziadkiem! A on przecież do nich należał... Cokolwiek zrobili, on też to zrobił. A więc znalazłem nić, która mnie z nimi łączyła.

Z niepokojem pomyślałem «-Kii. Już prawie od godziny była sama w domu. Jak mogłem do tego dopuścić? Przecież w czasie, kiedy czołgałem się pod podłogą pracowni, mógł tam wejść każdy, Sara mogła posłużyć się kimś, by...

Nie, nic z tego. Wszyscy zabójcy byli blisko spokrewnieni ze swymi nieletnimi ofiarami, ale teraz więzy krwi osłabły, rzeka już prawie dotarła do morza. Oczywiście był jeszcze Bili Dean, ale on trzymał się z daleka od Sary Laughs. Był także Kenny Auster, ale wyjechał z rodziną do Taxachusetts. Najbliżsi krewni Kii - matka, ojciec, dziadek - wszyscy nie żyli.

Zostałem tylko ja. Tylko ja mogłem to zrobić, chyba że...

Poderwałem się z miejsca i co sił w nogach popędziłem do domu, potykając się i ślizgając na rozmokłej ziemi. Musiałem mieć pewność, że nic jej nie zagraża. Nie wierzyłem, żeby Sara samodzielnie zdołała ją skrzywdzić, nawet gdyby wysłała siły życiowe ze wszystkich starców w okolicy, ale...

Ale przecież mogłem się mylić.

Przecież mogłem się mylić.

## Rozdział 28

Ki spała głęboko tam, gdzie ją zostawiłem; ułożyła się na boku, tuląc do buzi koszmarne brudnego pluszowego pieska. Zostawił ciemnoszarą smugę na jej szyi, ale nie miałem serca jej go odbierać. Przez otwarte drzwi łazienki słyszałem kapanie wody. Powiew zimnego powietrza owinął się wokół mnie jak śliski jedwab, pogłaskał po policzku, wywołał całym przyjemne drżenie, które powędrowało w dół po kręgosłupie. Dzwonek Buntera zakołysał się lekko.

Woda jest jeszcze ciepła, kochasiu, wyszeptwała Sara. Bądź dobrym przyjacielem, bądź dobrym tatusiem. Zrób to, czego chcę. Zrób to, czego oboje chcemy.

Naprawdę chciałem to zrobić, i chyba właśnie dlatego Jo starała się trzymać mnie z dala od TR i Sary Laughs, dlatego nic mi nie powiedziała o ciąży. Czuję się tak, jakbym odkrył w swoim wnętrzu wampira, istotę mającą za nic pokazowe sumienie i powierzchowną moralność. Część mnie, która pragnęła tylko jednego: zanieść Ki do łazienki, włożyć do wanny z ciepłą wodą, wepchnąć jej głowę pod powierzchnię i patrzeć, jak białe-czerwone wstążki falują i migoczą w identyczny sposób, w jaki falowały i migotały biała sukienka oraz czerwone podkolanówki Carli Dean. Część mnie, która z ochotą spłaciłaby ostatnią ratę starego długu.

- Dobry Boże... - wymamrotałem i przesunąłem po twarzy drżącą ręką. - Zna tyle sztuczek. I jest tak cholernie silna...

Drzwi łazienki usiłowały zatrzaskać się przede mną, ale kiedy je pchnąłem, nie napotkałem dużego oporu. Szafka z lekarskami otworzyła się z hukiem, lustro na drzwiczkach rozprysło się w drobny mak, cała zawartość szafki poszybo-

wała w moim kierunku, ale atak nie był groźny, salwa składała się bowiem z tubek z pastą, szczoteczek do zębów, plastikowych fiolek z lekarstwami i paru inhalatorów Vicka. Kiedy wyciągałem korek z wanny, wydawało mi się, że gdzieś daleko słyszę czyjś gniewny krzyk. Jak na jedno stulecie, w TR utopiono już wystarczająco wielu ludzi. Mimo to przez krótką jak mgnienie oka chwilę zapragnąłem czym prędzej ponownie zatkać odpływ, dopóki jeszcze w wannie było dość wody, bym mógł uporać się z zadaniem. Na wszelki wypadek szarpnąłem z całej siły, łańcuszek pękł, i wyrzuciłem korek do holu. Drzwiczki szafki zamknęły się z trzaskiem, na podłogę posypały się resztki lustra.

- Ile ich dostałaś? - zapytałem. - Ile, poza Carlą Dean, Kerryem Austerem i naszą Kią? Dwoje? Troje? Pięcioro? Ile jeszcze potrzebujesz, zanim wreszcie zaznasz spokoju?

Wszystkie! - uderzyła we mnie odpowiedź. To już nie był tylko głos Sary; to był także mój głos. Wdarła się do mego wnętrza, wślizgnęła się jak włamywacz...: Od razu przyszło mi do głowy, że choć wanna jest pusta, a pompa chwilowo nie działa, to przecież pozostaje jeszcze jezioro.

Wszystkie! - zaskrzeczała ponownie. Wszystkie, kochasiu!

Oczywiście. Potrzebowałam wszystkich. Dopiero wtedy wreszcie zazna spokoju.

- Pomogę ci go osiągnąć - powiedziałem. - Możesz na to liczyć.

Resztką wody zawirowała przy odpływie i uciekła z wanny... ale przecież było jeszcze jezioro, gdybym jednak zmienił zdanie. Wyszedłem z łazienki i spojrzałem na Ki; wciąż leżała w tej samej pozycji, mnie zaś od razu opuściło przeświadczenie, że gdzieś w pobliżu jest Sara. Dzwonek Buntera milczał, ja jednak ociągałem się z odejściem. Bałem się zostawić

ją samą, ale musiałem to zrobić, jeżeli chciałem dokończyć dzieła. Nie powinienem zwlekać. Policja z pewnością dotrze tu, prędzej czy później, bez względu na szalejącą burzę i zwałone drzewa.

Owszem, ale...

Wyszedłem do holu i rozejrzałem się niepewnie dokoła. Zagrzmiało, ale już nie tak głośno jak do tej pory. Wiatr również nieco ucichł, nie osłabło tylko wrażenie, że jestem obserwowany przez coś, co nie było Sarą. Stałem nieruchomo kilkanaście sekund, usiłując sobie wmówić, że to tylko złudzenie spowodowane długotrwałym napięciem nerwowym, a następnie podszedłem do drzwi wejściowych.

Otworzyłem je... i odwróciłem się zniechęca, jakbym spodziewał się przyłapać kogoś, kto ukradkiem wystawił głowę zza biblioteczki. Na przykład Kształt. Kogoś, kto nadal chciał odzyskać szmatę do kurzu. Byłem jednak ostatnim Kształtem, przynajmniej w tej okolicy, jedynym poruszeniem zaś, jakie zaobserwowałem, była wędrówka gruboziarnistych cieni kropli deszczu spływających po szybach.

Lało wciąż na tyle mocno, bym ponownie przemókł do nitki w drodze z werandy do samochodu, ale nic mnie to nie obchodziło. Całkiem niedawno byłem w wodzie razem z tonącą dziewczynką, niewiele brakowało, żebym sam utonął, więc byle deszcz nie mógł mnie powstrzymać przed zrobieniem tego, co zamierzałem. Odciągnąłem na bok gałąź, która spadła na dach chevroleta, i otworzyłem tylne drzwi.

Na kanapie, w płóciennej torbie, w którą zapakowała mi je Lila Proulx, leżały moje zakupy z Zieleninki; rydel i nóż ogrodniczy na samym wierzchu, pod spodem zaś coś opakowane dodatkowo w folię. Chcesz to w osobnej torbie?-zapytała Lila. Lepiej dmuchać na zimne. A później z uśmiechem opowiadała, jak to pies Kenny'ego, Borówka, ugania się za

mewami, ale jej oczy wcale się nie uśmiechały. Chyba właśnie w ten sposób można odróżnić Marsjan od ludzi: Marsjanie nie potrafią śmiać się oczami.

Na przednim fotelu leżał prezent od Rommiego i George'a: stenomaska, którą w pierwszej chwili wziąłem za maskę tlenową Devore'a. Na chwilę doszli do głosu chłopcy z piwnicy - co prawda nie powiedzieli wyraźnie ani słowa, tylko wymamrotali coś niezrozumiale, wystarczyło to jednak w zupełności, bym sięgnął na przód samochodu, przyciągnął maskę za elastyczną taśmę i wrzucił ją do płóciennej torby, nie mając najmniejszego pojęcia, po co to robię. Zatrzasnąłem drzwi i z torbą w ręce ruszyłem w dół po schodach prowadzących do jeziora. Po drodze zajrzałem pod taras, gdzie zawsze trzymaliśmy trochę najpotrzebniejszych narzędzi. Co prawda nie znalazłem kilofa, ale złapałem szpadel - równie, a może nawet bardziej przydatny przy kopaniu grobów. Następnie, po raz (jak mi się wydawało) ostatni, podążyłem trasą z mojego snu, w dół, ku Dróżce. Jo nie musiała pokazywać mi miejsca, ponieważ wskazywała je Zielona Dama. Nawet gdyby jej nie było i nawet gdyby Sara Tidwell nie cuchnęła wciąż pod niebiosa, z pewnością zaprowadziłoby mnie tam moje udręczone serce.

Człowiek, który stał na Dróżce, blokując mi drogę do sterczącego z ziemi szarego głazu, przemówił doskonale mi znanym, chrapliwym głosem:

- I cóż, alfonsie, gdzie się podziała twoja dziwka?

Stał w strumieniach ulewnego deszczu, lecz jego strój drwała - zielone flanelowe spodnie i kraciasta koszula - a także spłowiała granatowa czapka Unii, były suche, ponieważ deszcz padał nie tyle na, co raczej przez niego. Chociaż wyglądał jak człowiek z krwi i kości, był równie realny co Sara. Powtarzałem to sobie, schodząc z kilku najniższych

stopni, ale serce i tak biło mi coraz szybciej, łomocząc o żebra jak młot owinięty szmatami.

Miał na sobie rzeczy Jareda Devore'a, lecz nim nie był. To był jego praprawnuk Max, który rozpoczął życiową karierę od kradzieży sanek, zakończył ją zaś samobójstwem... Dopiero wtedy jednak, kiedy przygotował zabójstwo synowej, która miała czelność odmówić mu tego, czego tak bardzo pożądał.

Ruszyłem w jego stronę, lecz on ani myślał ustąpić mi z drogi. Czuję lodowaty chłód, zionący od niego jak z otwartego pieca. Nie przejęczyłem się: tak to wtedy odebrałem i tak zostało to w mojej pamięci. Nie ulegało wątpliwości, iż mam do czynienia z Maksem Devore, tyle że przebranym za drwala, jakby wybierał się na bal kostiumowy, i wyglądającym mniej więcej tak, jak musiał wyglądać wtedy, kiedy urodził się jego syn Lance. Stary ale jary. Człowiek, na którym chętnie wzorowaliby się młodszy. Jakbym przywołał ich tą myślą, zaczęli pojawiać się za nim na Dróżce, w długim rzędzie, nie tak realni jak on, nie do końca uformowani. Ci sami, których widziałem w towarzystwie Jareda na festynie we Fryeburgu. Teraz już wiedziałem, kim niektórzy z nich są. Oczywiście Fred Dean, wówczas zaledwie dziewiętnastoletni; miało minąć jeszcze trzydzieści lat, zanim utopi w jeziorze swoją córkę. Ten podobny do mnie to był Harry Auster, pierworodny syn siostry mego pradziadka. Miał wtedy szesnaście lat - trochę za mało, żeby wszczynać burdy, ale wystarczająco dużo, żeby pracować w lesie z Jaredem. I żeby srać z nim pod tym samym drzewem. I żeby brać truciznę lejącą się z ust Jareda za największą mądrość życiową. Któryś ze stojących dalej przechylił głowę i skrzywił się jednocześnie. Już gdzieś widziałem ten tik, ale gdzie? No jasne: w sklepie. Ten młody człowiek był

ojcem Royce'a Merrilla. Pozostałych nie znałem i wcale nie zależało mi na tym, by ich poznać.

- Tędy nie przejdziesz - powiedział Devore i szeroko rozłożył ręce. - Nawet nie próbuj. Mam rację, chłopcy?

Poparli go gardłowym pomrukiem, bardziej jednak smutnym niż groźnym. O ile zjawa w ubraniu Jareda Devore'a miała w sobie coś z żywego człowieka - zapewne dzięki niespożytej witalności, jaką Max Devore prezentował za życia-to tamci byli zaledwie dwuwymiarowymi, pozbawionymi substancji obrazami.

Zrobiłem krok naprzód, potem drugi. Zagłębiałem się w rozżarzonym zimnie i odrażającej woni - tej samej, jaka otaczała go podczas naszego poprzedniego spotkania.

- A ty dokąd się wybierasz? - zaskrzeczał.

- Na spacer - odparłem. - Mam do tego pełne prawo. Dróżka to miejsce, gdzie potulne szczeniaki i krwiożercze brytany przechadzają się obok siebie.

- Niczego nie rozumiesz - powiedział Max-Jared. - Nigdy nie uda ci się zrozumieć, Jesteś z innego świata, a to był nasz świat.

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego z zaciekawieniem. Czas uciekał, chciałem jak najprędzej z tym skończyć... ale jednocześnie chciałem poznać prawdę. Odniosłem wrażenie, że Devore jest gotów mi ją ujawnić.

- W takim razie, pomóż mi zrozumieć. Przekonaj mnie, że naprawdę mieliście swój świat. - Przeniosłem wzrok na półprzezroczyste postaci za jego plecami, niematerialne szkielety otulone ciałami z mgły. - Powiedz mi, co naprawdę zrobiliście.

- Wtedy było zupełnie inaczej - zaczął Devore. - Mogłeś iść Dróżką aż do Halo Bay i spotkać po drodze najwyżej paru ludzi, albo nie spotkać nikogo, jeśli poprzedniego dnia by-

ło jakieś wielkie święto. Teraz pełno tu krzaków i zwalonych drzew, których nikt nie sprząta, a po dzisiejszej burzy będzie ich jeszcze więcej, ale wtedy, za naszych czasów, rzeczy miały się zupełnie inaczej. Lasy były bardziej gęste, odległości większe, a sąsiedztwo miało inną wartość. Czasem taką samą jak życie. Tak, wtedy było całkiem inaczej. Rozumiesz?

Rozumiałem. Wystarczyło, żebym spojrział przez półmateriałne sylwetki Freda Deana, Harry'ego Austera i pozostałych. To nie były duchy, tylko lekko zamglone okna do innej epoki. Spojrzałem i zobaczyłem...

Letnie popołudnie roku... 1898? 1902? A może 1907? Wszystko jedno. Wówczas parę lat nie stanowiło żadnej różnicy. W pamięci starych ludzi ta epoka zapisała się jako Złoty Wiek, Kraina Dnia Wczorajszego, Królestwo Kiedy-Byłem-Małym-Chłopcem. Słońce tka misterną pajęczynę ze złocistych promieni niekończącego się późnego lipca, jezioro jest błękitne jak sen, ozdobione niezliczonymi cekinami słonecznych refleksów, a Dróżka... Szeroka jak bulwar, równiutka, porośnięta świeżą trawą. To naprawdę bulwar, miejsce, gdzie toczy się życie tutejszej społeczności, główny trakt komunikacyjny, najważniejszy kabel w sieci opasującej okolicę. Od dawna czułem obecność tych kabli, tych niewidzialnych linii przesyłowych ukrytych płytko pod powierzchnią ziemi. Ludzie przechadzają się wzdłuż całego wschodniego brzegu jeziora, parami i w małych grupkach, śmieją się i rozmawiają pod nakrapianym białymi obłoczkami lipcowym niebem. Patrząc na nich uświadamiam sobie, jak niesprawiedliwy byłem nazywając ich Marsjanami, jak niesłusznie uważałem ich za okrutnych, wyrachowanych Obcych. Za ledwie parę kroków od nasłonecznionej promenady zaczyna się mroczny, gęsty las i ich codzienne życie, w którym w każdej chwili może się wydarzyć mnóstwo nieszczęść, od obcięcia stopy przy wyrębie



lasu poczynając, na fatalnych w skutkach powikłaniach przy porodzie kończąc. Ci ludzie nie mają elektryczności, nie mają telefonów ani pogotowia ratunkowego, mogą polegać wyłącznie na sobie i na Bogu, w którego istnienie co niektórzy już zaczęli wątpić. Żyją w lesie i w jego cieniu, lecz w słoneczne popołudnie tłumnie wylegają nad jezioro, patrzą sobie w twarz, śmieją się i właśnie wtedy naprawdę są tutaj, w TR. To nie Marsjanie, tylko małe żywe istoty wiodące egzystencję na wąskim pasie pogranicza między jasnością a mrokiem.

Widzę również letników od Warringtonów: mężczyzn w białych letnich garniturach, dwie kobiety w długich sukniach do gry w tenisa, z raketami w rękach. Między nimi lawiruje chwiejnie człowiek na trójkołowym welocypedzie z ogromnym przednim kołem. Kilkoro przyjezdnych gawędzi z grupką młodych mężczyzn z miasteczka; chcą wiedzieć, czy będą mogli wziąć udział we wtorkowym meczu w softball. Ben Merrill, w przyszłości ojciec Royce'a Merrilla, odpowiada: Jasne, ale nie myślcie sobie, że dostaniecie fory tylko dlatego, żeście przyjechali z Nowego Jorku. Wszyscy wybuchają śmiechem.

Nieco dalej dwaj chłopcy rzucają baseballową piłkę domowej roboty, gromadka młodych matek dyskutuje z żywieniem o pociechach, mężczyźni w kombinezonach rozprawiają o pogodzie i żniwach, albo o polityce i żniwach, albo o podatkach i żniwach, Nauczyciel z miejscowej szkoły podstawowej siedzi na tak dobrze mi znanym szarym głazie i cierpliwie tłumaczy coś zasepionemu chłopcu, który z całego serca pragnie być teraz gdzie indziej i robić coś zupełnie innego. Przypuszczam, że z tego chłopca wyrośnie ojciec Buddy'ego Jellisona. Jeżdżę bez klaksonu, ale mam środkowy palec.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, siedzą mężczyźni z wędkami. Połów jest znakomity, w jeziorze aż roi się od ryb. Jakiś

malarz - z pewnością także letnik, sądząc po stroju - rozsta-  
wił sztalugi i maluje góry widoczne po drugiej stronie jeziora;  
dwie kobiety przyglądają mu się z szacunkiem. Rozchichota-  
ne dziewczęta szepczą o chłopcach, strojach i szkole. Otacza  
mnie piękno i spokój. Devore ma rację twierdząc, że to cał-  
kiem inny świat. Tu jest po prostu...

- Cudownie - mówię, z trudem otrząsnąwszy się z uroku.

- Ale do czego zmierzasz?

- Do czego zmierzam?! - wykrzyknął z niemal komicz-  
nym zdumieniem. - Ano do tego, że wydawało jej się, iż mo-  
że tędy cho"dzić jak wszyscy, jak biała dziewczyna! Z tymi  
swoimi białymi zębami, wielkimi cyckami i zadartym nosem.  
Ubzdurała sobie, że jest nie wiadomo kim, ale my wyprowa-  
dziliśmy ją z błędu. Chciała, żebyśmy zszedł jej z drogi, a kiedy  
tego nie zrobiłem, pchnęła mnie swoimi brudnymi łapskami,  
ale nic nie szkodzi, w końcu nauczyliśmy ją dobrych manier!  
Prawda, chłopaki?

Zamruczeli potwierdzająco, odniosłem jednak wrażenie,  
że niektórzy - a już na pewno młody Harry Auster - mają  
dość niewyraźne miny.

- Pokazaliśmy, gdzie jej miejsce. Nauczyliśmy ją, że jest  
tylko...

Czarnuchem. To słowo prawie nie schodzi z jego ust za  
każdym razem, kiedy idą do lasu owego lata 1901 roku, kie-  
dy Sara i Czerwonoczubi stali się największą muzyczną sen-  
sacją w tej części świata. Ona, jej brat i cała rodzina czarnu-  
chów zostali zaproszeni do Warringtonów, by grać dla  
letników. Karmią ich szampanem i ostrygami, jak nie wia-  
domo jakich gości - tak mówi Jared Devore grupce swych  
wielbicieli, kiedy jedzą skromne drugie śniadanie składające  
się z chleba i solonych ogórków, które matki włożyły im do  
wiklinowych koszyków. (Nikt z nich nie jest jeszcze żonaty,

choć Oren Peebles ma już narzeczoną).

Jaredowi Devore wcale nie przeszkadza rosnąca popularność Sary. Nie irytuje go fakt, że czarna piosenkarka bywa stałym gościem u Warringtonów. Nie gorszy go, że razem ze swoim czarnym bratem siaduje przy jednym stole z białymi i nawet bierze chleb swoimi czarnymi paluchami z tego samego koszyka co oni. Bądź co bądź, goście Warringtonów to ludzie z nizin, klaruje Devore grupce wsłuchanych w jego słowa młodzieńców, a on słyszał na własne uszy, że w takich miejscach jak Nowy Jork i Chicago białe kobiety czasem nawet pieprzą się z czarnuchami.

E tam! - wykrzykuje Harry Auster i rozgląda się nerwowo, jakby się bał, że wspomniane białe kobiety posypią się z drzew jak ulęgałki. To nie może być prawda!

Devore nawet nie fatyguje się, żeby odpowiedzieć, tylko mierzy go spojrzeniem wyrażającym: Kiedy będziesz miał moje lata, synu... Poza tym, nic go nie obchodzi, co dzieje się w Nowym Jorku i Chicago. Podczas wojny dość napatrzył się na niziny, a gdyby ktoś go pytał, to na pewno nie walczył o wolność dla jakichś pieprzonych niewolników. Jeżeli kogoś interesuje opinia Jareda Lancelota Devore'a, to ci z Południa mogą trzymać sobie swoich niewolników choćby do końca świata. Nie, on walczył na tej wojnie po to, żeby nauczyć tych dupków z drugiego brzegu Mason i Dixon, że nikt nie może wycofywać się z gry tylko dlatego, że przestały mu się podobać niektóre reguły. On, Jared Lancelot Devore, poszedł na tę wojnę, żeby utrzyć im nosa. Zachciało im się odłączyć od Stanów Zjednoczonych Ameryki! Dobre sobie!

Nie, nic go nie obchodzi niewolnicy, nic go nie obchodzi kraina bawełny i nic go nie obchodzi czarnuchy, które śpiewają sprośne piosenki, a potem opijają się szampanem i obżerają ostrygami. To znaczy, nic go to nie obchodzi dopóty,

dopóki wiedzą, gdzie ich miejsce, i nie próbują włożyć ludziom na głowy.

Ale nie, tej czarnej dziwce jest wszystkiego mało. Ostrzegali ją, żeby nie pokazywała się na Dróżce, ale ona jakby nigdy nic przychodzi w tej swojej białej sukience, czasem nawet ze swoim synalkiem, który ma jakieś cholerne afrykańskie imię, za to nie ma tatusia. Tatuś zapewne przespał się z mamusią w jakimś stogu siana w Alabamie, a ona teraz pokazuje, co z tego wyszło, z taką dumną miną, jakby gnojek był cały ze złota. Paraduje po Dróżce, jakby ktoś jej pozwolił, i choć nikt nie odzywa się do niej\_ani słowem, to...

- To akurat nieprawda, zgadza się? - zapytałem Devore'a. - Rozmawiali z nią, i to nierzadko. Może ze względu na jej śmiech? Mężczyźni rozmawiali z nią o żniwach, a kobiety pokazywały swoje dzieci. Nawet pozwalały, żeby brała je na ręce, a te, kiedy śmiała się do nich, odpowiadały uśmiechem. Dziewczęta pytały ją, jak sobie radzić z chłopcami, chłopcy zaś... Chłopcy tylko patrzyli, ale jak! Wytrzeszczali oczy, a wielu z pewnością myślało o niej, kiedy nocą ukradkiem sięgali pod kołdrę i majstrowali przy swoich interesach.

Devore zionął wściekłością. Starzał się w okamgnieniu: bruzdy na jego twarzy pogłębiały się z każdą chwilą, coraz bardziej upodabniał się do starca, który zaatakował mnie na Dróżce tylko dlatego, że nie mógł znieść, by ktoś mu się przeciwstawił. W miarę, jak posuwał się w latach, stawał się coraz mniej materialny.

- To właśnie najbardziej bolało Jareda, prawda? Że nie odwrócili się od niej, że jej nie ignorowali. Jakby nigdy nie spacerowała po Dróżce, a oni traktowali ją tak, jakby nie była czarnuchem. Traktowali ją po prostu jak sąsiadkę.

Znowu byłem w transie, chyba głębiej niż kiedykolwiek, a tuż obok mnie, jak wezbrana podziemna rzeka, płynęła

zbiorowa świadomość miasteczka. Mogłem czerpać z niej garściami, mogłem do woli napełniać usta, gardło i żołądek jej mineralnym smakiem.

Devore urabiał ich przez całe lato. Byli kimś więcej niż jego podwładnymi, byli jego chłopcami: Fred, Harry, Ben, Oren, George Armbruster i Draper Finney, który następnego roku miał skręcić sobie kark, skacząc po pijanemu na główkę do Eades Quarry. Tyle że to nie był wypadek; Draper zrobił to celowo. Od lipca 1901 do sierpnia 1902 pił prawie codziennie, bo tylko dzięki temu udawało mu się zasnąć. Tylko dzięki temu mógł choć na parę godzin zapomnieć o ręce sterczącej z wody, o zaciskających się i prostujących palcach, tak długo, tak długo, że chciało się krzyknąć: No przestań wreszcie przestań dlaczego wreszcie nie przestaniesz?!

Przez całe lato Jared Devore mówił o czarnej zarozumiałej dziwce. Przez całe lato mówił im o ich męskiej odpowiedzialności, o spoczywającym na nich obowiązku utrzymania moralnego ładu w społeczności, o tym, że muszą widzieć to, czego inni nie chcą zobaczyć, i robić to, czego inni nie chcą uczynić.

Było sierpniowe niedzielne popołudnie, a więc pora, kiedy ruch na Dróżce prawie zamierał. Nieco później, około piątej, znowu zaczynało się coś dziać, od szóstej zaś aż do zachodu słońca nie było gdzie wetknąć szpilki. O trzeciej po południu Dróżka świeciła pustkami. Metodyści mieli swoje śpiewy w Harlow, u Warringtonów letnicy zasiadali do posiłku składającego się z pieczonych kurcząt lub szynki, w domach w miasteczku dobiegały końca niedzielne obiady. Ci, którzy już mieli je za sobą, przesyпали najgorętsze godziny. Sara lubiła tę spokojną porę, ba, wręcz ją uwielbiała. Większą część życia spędzała w cuchnących dymem i alkoholowymi wyziewami pubach i barach, wykrzykując schrypniętym

głosem słowa swoich piosenek, żeby przedrzeć się przez gwar pijackich głosów, i choć lubiła to życie, lubiła jego nieprzewidywalność i spontaniczność, jednak znakomicie czuła się także w tym, o ileż spokojniejszym miejscu. Bądź co bądź, nie ubywało jej lat. Miała dziecko, które coraz szybciej wyrastało z dzieciństwa. Jednak w tę niedzielę odniosła wrażenie, że na Dróżce jest aż za spokojnie. Przeszła już ponad półtora kilometra, a wciąż nie spotkała żywej duszy - nawet Kito gdzieś zniknął, przypuszczalnie po to, by nazbierać jagód. Można było odnieść wrażenie, że cała okolica...

wymarła. Sara oczywiście pamięta o uroczystym obiedzie wydawanym przez kobiecy klub w Kashwakamak - upiekła nawet z tej okazji ciasto i podarowała je organizatorcom, z którymi zdążyła się dość blisko zaprzyjaźnić. Z pewnością siedzą już przy stole. Sara nie wie natomiast, że dziś ma nastąpić otwarcie kościoła baptystów, pierwszej świątyni z prawdziwego zdarzenia postawionej w TR. Na uroczystość wybrało się sporo ludzi, zarówno wierzących jak niewierzących. Po wodzie niesie się odległe echo religijnych śpiewów z drugiego brzegu jeziora; melodia jest słodka i piękna, wszystkie głosy zdają się brzmieć zaskakująco czysto.

Nie zdaje sobie sprawy z obecności mężczyzn - w większości bardzo młodych, takich, którzy w zwykłych okolicznościach ledwo ośmielają się rzucać jej ukradkowe spojrzenia - aż do chwili, kiedy jeden z nich mówi:

- Coś takiego! Czarna dziwka w białej sukience z czerwonym paskiem! Niech mnie szlag trafi, jeśli nie za dużo tu tych kolorów. Co z tobą, szmato? Nie słuchasz dobrych rad?

Odwraca się w jego stronę, przestraszona, ale nie daje tego po sobie poznać. Przeżyła już trzydzieści sześć lat, od ćwierć wieku wie, co mężczyzna ma w spodniach i co chce z tym zrobić, i wie również, że kiedy podchmieleni mężczyź-

ni zbiorą się w grupę taką jak ta (wyraźnie czuje woń taniej whisky), przestają myśleć jak ludzie i zamieniają się w sferę dzikich psów. Jeżeli wyczują, że się boisz, dopadną cię i rozszarpią na strzępy.

Zaczaili się na nią. Tylko tak można wyjaśnić, skąd się nagle tu wzięli.

- A jaka to rada, kochasiu? - pyta spokojnie. Gdzie są wszyscy? Gdzie się podziali? Niech to szlag trafi! Po drugiej stronie jeziora metodyści rozpoczęli kolejny hymn, znacznie nudniejszy od poprzedniego.

- Żebyś nie pętała się tam, gdzie chodzą na spacerzy biali ludzie - mówi Harry Auster.

Jego chłopięcy głos załamuje się na ostatnim słowie i z ust Harry'ego wydobywa się coś jakby pisk myszy. Sara parska śmiechem; zdaje sobie sprawę, że to nieroztropne, ale jest bezsilna; nigdy nie potrafiła zapanować nad swoim śmiechem, tak samo jak nie mogła poradzić na to, że mężczyźni obmacują ją wzrokiem. Widocznie Bóg tak chciał.

- Chodzę tam, gdzie mam akurat ochotę - odpowiada. - To nie jest prywatny teren, więc nikt nie może mi tego zabronić, i jakoś do tej pory nikt nie zabraniał. Przeszkadzam komuś?

- Nam - mówi George Armbruster, starając się, żeby zabrzmiało to jak najgroźniej.

Sara spogląda na niego z łagodną pogardą. George czuje, jak w środku wszystko mu się kurczy, a na policzkach kwitają krwiste rumieńce.

- Synu, przyszedłeś tu tylko dlatego, że wszyscy porządni ludzie gdzieś sobie poszli. Dlaczego tańczysz tak, jak zagra ci ten starzec? Bądź grzecznym chłopcem i pozwól przejść kobiecie.

Widzę to wszystko. Devore niknie coraz szybciej, aż

wreszcie zostają z niego tylko oczy pod wyblakłą granatową czapką. Jest zupełnie przezroczysty, więc patrząc na niego widzę resztki roztrzaskanej platformy kołyszące się przy brzegu. Widzę też to, co działo się wtedy. Widzę jak...

Sara rusza prosto na Devore'a. Czuje, że jeśli będzie tak stała i strzępiła język, wydarzy się coś niedobrego, a ona zawsze wierzy swoim przeczuciom. Bez trudu rozpoznaje przywódcę w tym starcu w wypłowiałej granatowej czapce; wie, że to właśnie jemu musi stawić czoło, i jest pewna, że da sobie radę. Jest silny, na tyle silny, że bez reszty podporządkował sobie tych chłopców (przynajmniej na jakiś czas), ale ona jest jeszcze silniejsza, bardziej zdeterminowana, bardziej energiczna. W pewnym sensie cieszy się z okazji do konfrontacji. Reg ostrzegła ją, żeby była ostrożna, żeby nie działała zbyt szybko ani nie próbowała nawiązywać przyjaźni aż do chwili, kiedy ujawnią się miejscowi pniacze, ale ona zawsze działa po swojemu, wierzy tylko swoim najgłębszym przeczuciom. Teraz ma przeciwko sobie siedmiu, tylko siedmiu, i zaledwie jednego, którego naprawdę trzeba się obawiać.

Jestem silniejsza od ciebie, staruszkule, myśli, idąc prosto na niego. Patrzy mu w oczy, nie opuszcza wzroku. To on odwraca spojrzenie, to w kąciку jego ust pojawia się niepewne drżenie, to on niepewnie oblizuje wargi. Znakomicie. Jeszcze lepiej, że cofa się o krok, a reszta tworzy dwie trzyosobowe grupki i proszę bardzo, jest dla niej przejście. Z oddali dobiegają słodkie śpiewy metodystów - hymn może i jest nudny, ale z tej odległości brzmi niemal jak anielska muzyka.

Wielbimy Pana naszego,

Chwalimy imię Jego,

Radośnie śpiewamy mu co dnia...

Jestem silniejsza od ciebie, kochasiu, myśli. Jestem od ciebie bardziej wredna. Jestem królową w moim ulu i lepiej



zejdź mi z drogi, bo kiedy cię użądle, pożałujesz, że w ogóle przyszedłeś na świat.

- Ty dziwko! - warczy Devore, ale jego głosowi brakuje przekonania. Wie już, że dzisiaj nic z tego nie będzie, że musi poczekać na inną okazję, bo w tej czarnej suce jest coś, czego wcześniej nie zauważył, pewnie jakieś murzyńskie czary, albo co...

Potyka się o korzeń lub kamień (być może nawet ten sam, za którym niebawem spocznie Sara), przewraca się, czapka spada mu z głowy, widać ogromną plackowatą łysinę, spodnie pękają mu w kroku. Sara popełnia tragiczną pomyłkę. Chyba niepotrzebnie lekceważy wewnętrzną siłę Jareda Devore'a albo po prostu nie potrafi się opanować. Odgłos prujących się spodni do złudzenia przypomina pierdnięcie. Tak czy inaczej, wybucha zachrypniętym, dzikim śmiechem, który stał się przyczynkiem do jej sławy, teraz natomiast sprowadza na nią nieszczęście.

Devore kopie bez zastanowienia, potężne buciory na grubej podeszwie uderzają jak tłoki, trafiają w najsłabszy punkt, czyli w kostki. Lewa kostka pęka, Sara krzyczy z bólu i zaskoczenia, pada jak ścięta, wypuszcza z ręki falbaniastą parasolkę. Nabiera w płuca powietrza, by krzyknąć jeszcze głośniej, ale Jared ją uprzedza. Nie pozwólcie jej się drzeć!

Ben Merrill rzuca się na nią całym ciężarem ponadstukilogramowego ciała, powietrze ucieka jej z płuc w raptownym, prawie bezgłośnym wydechu. Bena, który jeszcze nigdy w życiu nawet nie zatańczył z kobietą, a co dopiero mówić o tak bliskim kontakcie, natychmiast ogarnia podniecenie; wije się i wierci na niej z dzikim śmiechem, i nawet nie czuje, kiedy jej paznokcie wbijają mu się w policzek. Jeśli o niego chodzi, to zamienił się w ogromnego kutasa, twardego jak stal. Sara usiłuje się spod niego wydostać, ale on turla się ra-

zem z nią, pozwala, żeby znalazła się na wierzchu, a ona z całej siły uderza go czołem. Ben widzi gwiazdy, ale przecież ma osiemnaście lat, jest w pełni sił, więc nie opuszcza go ani świadomość, ani podniecenie.

Oren Peebles ze śmiechem rozrywa jej sukienkę, woła „Na kupę!” i rzuca się z góry. Natychmiast zaczyna z zapalem wykonywać kopulacyjne ruchy, to samo robi uwięziony na spodzie Ben, nie zważając na krew lejącą się z rozoranego policzka i ogromny guz, który błyskawicznie rośnie na jego czole, i Sara zdaje sobie sprawę, że jeśli nie zdoła wezwać pomocy, jest już po niej, że musi krzyczeć, bo wtedy może usłyszy ją Kito, pobiegnie do domu i sprowadzi...

Jednak zanim zdąży otworzyć usta, klęka przy niej Devore i podsuwa nóż o szerokim ostrzu. Piśnij tylko, a obetnę ci nos, mówi, i Sara się poddaje. Znalazła się w tym położeniu tylko dlatego, że zaśmiała się nie wtedy, kiedy trzeba, a trochę przez zwyczajny pech, więc teraz, skoro szczęśliwie nadarzyła się okazja do zemsty, nic ich nie powstrzyma i lepiej, żeby Kito trzymał się z daleka. Boże, spraw, żeby został tam, gdzie jest teraz, przy swoich jagodach, było ich sporo, na godzinę zbierania, może nawet Więcej. Kito uwielbia jagody, a im przecież nie zajmie to godziny. Harry Auster chwyta ją za włosy, odgina głowę do tyłu, zrywa sukienkę z ramienia i wsysa się w kark.

Tylko ten stary jej nie dotyka. Cofa się, rozgląda, sprawdza, czy ktoś nadchodzi. Przygarbiony, ze zmrużonymi oczami, wygląda jak doświadczony wilk, który setki razy zakradał się do kurników i obór, i ani razu nie został złapany. Hej, Irlandczyku, odpuść sobie na chwilę, mówi do Harry'ego, a potem do wszystkich, wciągnijcie ją w krzaki, do cholery, wciągnijcie ją jak najgłębiej!—

Nie chcą. Nie mogą. Zbyt im do niej spieszno. Z trudem

oponowują się na tyle, żeby zawlec ją za szary głaz. Sara modli się chyba po raz pierwszy w życiu. Modli się, żeby jej nie zabili, żeby Kito jak najdłużej zbierał jagody, a nawet jeśli się zbliży, to żeby natychmiast uciekł, nie dając poznać, że tu jest, żeby nie zdradził się w żaden sposób.

- Weź go w usta! - Przed jej oczami pojawiają się gacie George'a Armbrustera. - Tylko mnie nie ugryź, dziwko!

Biorą ją od przodu i od tyłu, z góry i z dołu, po dwóch i po trzech naraz. Robią to w miejscu, gdzie zobaczyłby ich każdy przechodzący Drózką, a stary stoi parę kroków z boku, patrzy to na nich, klęczących wokół niej z opuszczonymi spodniami i udami podrapanymi przez krzaki, to znów rozgląda się wokół zmrużonymi, czujnymi oczami. Niesamowicie, ale któryś z nich, chyba Fred Dean, mówi „przepraszam panią”, zaraz po tym, jak wystrzelił niczym sztucer. Zupełnie jakby potracił ją przypadkowo, zakładając nogę na nogę.

Robią to bez końca. Sperma kapie jej z ust, z odbytu, ścieka po krwawiącej piersi, ugryzionej przez jednego z chłopców. Są młodzi, bardzo młodzi; kiedy ostatni kończy, pierwszy jest gotów zacząć od początku, Na drugim brzegu jeziora metodyści śpiewają „W Jezusie moja nadzieja”, stary zbliża się, a Sara myśli: To już prawie koniec, wytrzymaj jeszcze trochę i zaraz będzie koniec. Devore obrzuca ponurym spojrzeniem młodszych kompanów i mówi:

- Teraz wy popilnujcie, teraz moja kolej.

Rozpina pasek, rozporek, ściąga spodnie i długie kalesony - prawie czarne na kolanach i brudnożółte w kroku - klęka nad nią, a ona widzi, że jego interes jest miękki jak wąż z przetrąconym kręgosłupem i zanim zdąży pomyśleć, wybuchą swoim szyderczym schrypniętym śmiechem.

- Stul pysk - ryczy Devore, uderzając pięścią w twarz, łamie nos i kość policzkową. - Przestań wyć, do cholery!

- A może stanąłby ci, gdyby zamiast mnie leżał tu któryś z twoich wiernych chłopców, cały różowutki, z ładnie wypiętym tyłeczkiem? -= szydzi Sara, po czym śmieje się po raz ostatni w życiu.

Devore podnosi rękę, żeby znowu uderzyć, jego nagie lędźwie przyciśnięte do jej lędźwi, jego wiotki penis ściśnięty między nimi jak blady robak, ale zanim zdąży zadać cios, rozlega się cienki chłopięcy głosik:

- Mamo! Co oni ci robią! Puśćcie moją mamę, dranie! Śmiech zamiera jej w gardle, Sara siada, chociaż Devore usiłuje przycisnąć ją do ziemi, rozgląda się, dostrzega Kito, szczupłego ośmiolatka w ogrodniczkach, słomkowym kapeluszu i nowiutkich płóciennych butach, z blaszanym wiaderkiem w ręce. Usta, brodę i policzki ma umazane jagodowym sokiem. Patrzy na nią z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Uciekaj! - krzyczy Sara. - Biegnij po...

W jej głowie eksploduje czerwony płomień, Sara osuwa się na ziemię, słyszy dobiegający z wielkiej oddali głos starego:

- Łapać go, chłopcy! Nie pozwólcie mu uciec!

A potem zsuwa się po długim, niekończącym się stoku, wpada w korytarz Nawiedzonego Domu, który prowadzi ją coraz dalej w głąb swych splątanych trzewi, ale wciąż słyszy swoje dziecko, wciąż słyszy jego przeraźliwy rozpaczliwy...

Krzyk. Ja też go słyszałem, klęcząc przy szarym głazie z płócienną torbą u boku. Nie miałem pojęcia, skąd się tu wziąłem, nie pamiętałem, kiedy tu podszedłem. Płakałem - wstrząśnięty, przerażony, współczujący. Już się nie dziwiłem jej pośmiertnemu szaleństwu. Ani trochę. Deszcz wciąż padał, ale to już nie była apokaliptyczna ulewa. Przez chwilę przyglądałem się ze zdziwieniem swoim białym rękonom na szarym kamieniu, po czym rozejrzałem się dokoła. Devore i ca

ła reszta zniknęli.

W moje nozdrza z niemal fizyczną siłą uderzył straszliwy odór zgnilizny i rozkładu. Sięgnąłem na oślep do torby, wyciągnąłem stenomaskę, którą dostałem w prezencie od Rommiego i George'a, naciągnąłem ją na twarz drewnianymi, nie swoimi palcami. Spróbowałem oddychać płycej, ale szybciej. Smród trochę zelżał - niewiele, ale wystarczająco, że bym zapanował nad odruchem ucieczki, chociaż ona z pewnością chciała, bym się stąd jak najprędzej wyniósł. .

- Nie! - zaskrzeczała za moimi plecami, kiedy chwyciłem szpadel i po raz pierwszy wbiłem go w ziemię. Wyrwałem potężny kęs ziemi, odrzuciłem na bok. Kopałem jak szalony, ziemia była stosunkowo miękka, poprząkana gęstą siecią drobnych korzeni, które nie stawiały większego oporu ostrzu szpadla. - Nie! Nie waż się!

Nie obejrzałem się, ponieważ mogła mnie wtedy zaatakować. Tutaj, na Dróżce, była znacznie silniejsza - chyba dlatego, że to właśnie tutaj się stało. Czy to możliwe? Nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć. Zależało mi tylko, żeby jak najprędzej skończyć. Tam, gdzie korzenie były grubsze, atakowałem je ogrodniczym nożem.

- Zostaw mnie w spokoju!

Nie wytrzymałem jednak i zaryzykowałem szybkie spojrzenie wstecz, a to ze względu na zadziwiające skrzypiące dźwięki, które towarzyszyły jej głosowi, a raczej wręcz go tworzyły. Zielona Dama znikła. Brzoza w jakiś sposób przestoczyła się w Sarę Tidwell; to jej twarz wyrastała spomiędzy gałęzi i lśniących liści. Mokra od deszczu, zakołysała się, znikła na chwilę, pojawiła się ponownie, znów znikła. Przez ułamek sekundy stały się dla mnie jasne wszystkie tutejsze tajemnice. Mokre, błyszczące oczy były jak najbardziej ludzkie. Wpatrywały się we mnie z nienawiścią i błaganem.

- Jeszcze nie skończyłam! - zaskrzypiała łamiącym się głosem. - Nie rozumiesz, że on był najgorszy? On był najgorszy, a w jej żyłach płynie jego krew! Nie spocznę, dopóki jej nie dostanę!

Rozległo się groźne trzeszczenie. Sara zamieszkała w brzozie, uczyniła z niej coś w rodzaju swego ciała, teraz zaś usiłowała wyrwać je z ziemi. Gdyby mogła, dopadłaby mnie i zabiła. Udusiła gałęziami. Wpychałaby mi do gardła liście tak długo, aż wreszcie przypominałbym pluszowego misia.

- Bez względu na to, jakim był potworem, Kyra nie ma z tym nic wspólnego - powiedziałem. - Nie dostaniesz jej.

- Właśnie, że dostanę! - wrzasnęła Zielona Dama. Trzeszczenie było coraz głośniejsze, towarzyszyły mu odgłosy rwania i szarpania. Już się nie oglądałem. Bałem się oglądać, za to kopałem jeszcze szybciej. - Dostanę ją! - zaskrzeczała ponownie, tym razem znacznie bliżej. Szła po mnie, lecz ją ignorowałem, W kwestii ruchomych krzaków i drzew całkowicie wystarczył mi „Makbet”. - Dostanę! On zabrał moje, ja zabiorę jego!

- Odejdź! - odezwał się inny głos.

Niewiele brakowało, żeby szpadel wypadł mi z rąk. Odwróciłem się i trochę niżej, po prawej stronie, ujrzałem Jo. Patrzyła na Sarę, która tymczasem przeistoczyła się w halucynację szaleńca: monstrialny zielono-czarny twór, z najwyższym trudem posuwający się naprzód. Pozostawiła brzożę tam, gdzie ta rosła, ale odebrała jej siły vitalne; drzewo było martwe, jakby zasuszone. Istota, która się z niej wylęgła, wyglądała jak wykonana przez Picassa rzeźba narzeczonej Frankensteina. Twarz Sary pojawiała się i nikła, pojawiała i nikła.

To Kształt, uświadomiłem sobie z zadziwiającym spokojem. Zawsze był realny, a jeżeli był mną, to był także nią.

Jo miała na sobie to samo ubranie, co w dniu śmierci.

Mój wzrok nie przechodził przez nią na wylot; zmateriałizowała się całkowicie. Miałem dziwne uczucie, że coś przyssało mi się z tyłu głowy; chyba wiedziałem, co to oznacza.

- Wynoś się, suko! - prychnęła Sara i podniosła ramiona w groźnym geście, jak w moich najgorszych koszmarach.

- Ani mi się śni - odparła Jo spokojnym tonem, po czym odwróciła się do mnie. - Pospiesz się, Mikę. Masz niewiele czasu. To już nie jest ona. Wpuściła któregoś z Obcych, a oni są bardzo niebezpieczni.

- Kocham cię, Jo.

- Ja też cię ko...

Sara wrzasnęła przeraźliwie, po czym zaczęła się błyskawicznie obracać. Liście i gałęzie wirowały w takim tempie, że stopiły się w całość. Stwór, który jeszcze przed chwilą przynajmniej trochę przypominał kobietę, teraz całkowicie zrzucił przebranie. Z wiru zaczęło się powoli wyłaniać coś groteskowo nieludzkiego, a potem nagle rzuciło się na moją żonę. W chwili, gdy w nią uderzyło, Jo stała się równie niematerialna jak niedawno Devore; była już tylko duchem zmagającym się z czymś, co przeraźliwie skrzeczało, usiłując dosięgnąć ją zakrzywionymi szponami.

- Prędko, Mikę! Prędko!

Wróciłem do kopania.

Szpadel uderzył w coś, co nie było ani korzeniem, ani kamieniem, ani kawałkiem drewna. Poszerzyłem otwór, zgarbiłem na bok warstwę luźnej ziemi i odsłoniłem brudne, pokryte plamami pleśni płótno. Kopałem jak szaleniec, żeby wykorzystać każdą chwilę, żeby osiągnąć jak najwięcej, dopóki mam czas. Za moimi plecami Kształt wrzeszczał z wściekłością, a moja żona krzyczała z bólu. Po to, by dopełnić dzieła zemsty, Sara zrezygnowała z części siebie, ustąpiła

miejsca komuś, kogo Jo nazwała Obcym. Nie miałem pojęcia, kto to był albo co to było, i nie chciałem sprawdzać. Wiedziałem tyle, że manifestuje swą obecność przez Sarę, więc jeśli w porę zdołam się nią zająć...

Sięgnąłem do wilgotnego otworu, strząsnąłem resztki ziemi ze starego płótna. Moim oczom ukazał się wyblakły napis: TARTAK J.M. MCGURDIE. Wiedziałem, że tartak McCurdiego spłonął podczas wielkiego pożaru w roku 1933. Chwyciłem za płótno, palce przebiły nadwątloną tkaninę, ze środka buchnął jeszcze większy smród, a ja usłyszałem...

Stękanie Devore'a. Leży na niej i stęka jak świnia. Sara jest półprzytomna, mamrocze coś niezrozumiale przez opuchnięte, zakrwawione wargi. Devore zerka przez ramię na Drapera Finneya i Freda Deana. Pobiegli za chłopcem, schwytali go i przyprowadzili, ale on wciąż krzyczy, drze się wniebogłosy jak opętany. Skoro po tej stronie jeziora słychać metodystów śpiewających „Jakaż to szczęśliwa nowina”, to po tamtej ktoś może usłyszeć jego wrzaski. Do wody z nim, rzuca Devore. Niech się zamknie.

W tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jego penis zaczyna, sztywnieć.

- Czyli, że niby co? - pyta Ben Merrill.

- Dobrze wiesz co! - odpowiada Jared, szybko pompując biodrami. Jego kościsty tyłek błyszczy w promieniach popołudniowego słońca. Widział nas! Chcesz mu poderżnąć gardło, żeby ochlapał cię krwią? Proszę bardzo, tu masz mój nóż!

- Nie, nie! - mamrocze Ben, na widok noża cofa się o krok.

Jared wreszcie jest gotów. Po prostu potrzebował trochę więcej czasu, to wszystko, przecież nie jest już młodzieniaszkiem. Za to teraz... Niech szlag trafi tę zdzirę razem z jej niewyparzoną gębą i obraźliwym śmiechem, niech szlag trafi ca-



łe miasteczko. Jeśli mają ochotę, mogą tu przyjść i popatrzeć. Wchodzi w nią - od początku tego chciała, takie jak ona tylko tego chcą. Wchodzi głęboko, do samego końca, a jednocześnie nie przestaje wydawać poleceń. Kościsty tyłek wędruje w górę i w dół, w górę i w dół. Niech ktoś go załatwi, bo jak nie, to wszyscy trafimy na czterdzieści lat do Shawshank!

Ben chwyta Kito Tidwella za jedno ramię, Oren Peebles za drugie, ale kiedy są już nad samym brzegiem, tracą zapał. Gwałt na czarnej kobiecie, która miała czelność śmiać się z Jareda, kiedy ten potknął się i upadł, to jedno, a utopienie dzieciaka jak małego kota w sadzawce to co innego. To coś zupełnie innego.

Wahają się, patrzą sobie w oczy, a Kito wykorzystuje ich niezdecydowanie i oswobadza się z uchwytu.

- Uciekaj! - krzyczy Sara. - Uciekaj i zawia...

Jared chwyta ją oburącz za gardło, zaciska palce. Chłopiec potyka się o własne wiaderko z jagodami, pada jak długi, Harry i Draper bez trudu chwyatają go ponownie.

- Co zrobimy? - pyta Draper rozpaczliwym szeptem, a Harry odpowiada:

- To, co musimy.

Tak wtedy powiedział. Ja też robiłem to, co musiałem zrobić - pomimo smrodu, pomimo Sary, pomimo krzyków mojej nieżyjącej żony. Chwyciłem mocniej, szarpnąłem i wydobyłem na powierzchnię podłużny pakunek. Sznurki, którym związano go na obu końcach, wytrzymały, za to pośrodku płótno rozpruło się z ohydny trzaskiem.

- Szybko! - jęknęła Jo. - Długo nie wytrzymam!

Stwór parsknął, zaskomlał jak pies, rozległ się donośny łoskot, jakby drzwi zatrzasnęły się z potworną siłą i rozpadły na kawałki, Jo krzyknęła boleśnie. Schyliłem się po płócienną torbę z napisem Zieleninka i otworzyłem ją w tej samej

chwili, kiedy...

Harry - ze względu na marchewkowe włosy nazywają go Irlandczykiem - zamyka broniące się rozpaczliwie dziecko w niezgrabnym niedźwiedziowatym uścisku i wskakuje z nim do jeziora. Chłopiec broni się jeszcze gwałtowniej, słomkowy kapelusz wpada do wody. Łap go! - sapie Harry. Fred Dean łapie odpływający kapelusz. Fred ma szklisty wzrok, jak bokser, który lada chwila ma paść na deski. Ze ściśniętego gardła Sary Tidwell wydobywa się rozpaczliwy charkot; ten odgłos, a także widok wystającej z jeziora ręki z zaciskającymi się i prostującymi palcami, będą prześladować Drapera Finneya aż do jego ostatniego skoku do Eades Quarry. Jared wzmacnia uchwyt, wciąż pompuje biodrami, jest mokry od potu. Żadne pranie nie będzie w stanie zniszczyć tej woni, a kiedy zacznie nazywać ją w myślach „trupim smrodem”, spali spodnie i koszulę, żeby się wreszcie go pozbyć.

Harry Auster ma wszystkiego dosyć, a już najbardziej Jareda Devore'a, który - to teraz dla niego oczywiste - jest Szatanem we własnej osobie. Harry nie wyobraża sobie, żeby mógł wrócić do domu i spojrzeć ojcu w twarz, dopóki ten koszmar nie zniknie z jego pamięci. Ojcu, a przede wszystkim matce, Bridget Auster, czulej siwowłosej kobiecie o gołębim sercu, która zawsze znajdzie dla niego dobre słowo i chwilę czasu, by pogłodzić go po głowie. Bridget Auster, która została zbawiona, bowiem spłynęła na nią krew Baranka. Bridget Auster, która właśnie rozdziela ciasto na pikniku zorganizowanym z okazji wybudowania nowej świątyni. Bridget Auster, jego ukochanej mamy. Jak będzie mógł na nią spojrzeć - albo ona na niego - jeśli stanie przed sądem za zgwałcenie i pobicie kobiety, co z tego, że czarnej?

Dlatego właśnie Harry wskakuje do jeziora z broniącym się rozpaczliwie chłopcem - Kito zahacza go za szyję i pozostawia go w wodzie.

stawia tam wyraźne zadrapanie; wieczorem Harry powie matce, że to cierń, którego nie zauważył w porę, a ona ucałuje skaleczenie - chwyta go za ramiona i wpycha pod wodę. Kito wytrzeszcza na niego oczy, jego czarna twarz faluje, tuż obok przepływa jakaś ryba. Chyba okoń, myśli Harry. Przez chwilę - ale bardzo, bardzo krótką - zastanawia się, co chłopiec dostrzega przez warstwę wzburzonej wody, uświadamia sobie, że tamten widzi jego twarz, twarz człowieka, który go topi, i szybko odpycha od siebie tę myśl. To tylko czarnuch, powtarza w duchu. Tylko czarnuch, nikt ważny.

Z wody wyłania się ciemnobrązowe ramię Kito, Harry cofa się, bo nie chce, żeby tamten znowu go zadrapał, ale ramię sterczy nieruchomo z wody. Poruszają się tylko palce. Zaciskają się w pięść. Prostują. W pięść. Prostują. Chłopiec porusza się coraz słabiej, nogi młóć wodę z mniejszą energią, oczy wpatrzone w twarz Harry'ego stają się dziwnie rozmarzone, a jednak ramię nadal wystaje z wody, a palce poruszają się bezustannie. Draper Finney stoi na brzegu i płacze, pewien, że lada chwila ktoś nadejdzie i zobaczy te straszne rzeczy. Bądź pewien, że twój grzech cię odnajdzie, powiedziano w Dobrej Księdze. Bądź pewien. Otwiera usta, żeby powstrzymać Harry'ego, może jeszcze nie jest za późno, niech tamten sobie żyje... ale nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Za jego plecami dogorywa Sara, patrzy na sterzącą z wody rękę syna, a Draper myśli: Czy to się nigdy nie skończy? Czy on nigdy nie przestanie? I właśnie wtedy, jakby to była modlitwa, której ktoś wysłuchał, ramię zaczyna zginać się w łokciu i zanurzać w jeziorze, ręka coraz bardziej zbliża się do wody, palce zaciskają się w pięść, ale już się nie prostują. Jeszcze przez chwilę...

Rąbnąłem się w czoło otwartą dłonią, żeby odegnać przywidzenia. Dobiegające zza moich pleców odgłosy świadczy-

ły o tym, że walka jeszcze trwa. Wsunąłem ręce w rozdarcie płótna i, niczym lekarz rozchylający brzegi rany, pociągnąłem na boki. Pakunek z donośnym trzaskiem pękł na całej długości.

Wewnątrz było to, co z nich pozostało: dwie poźółkle czaszki, czoło przy czole, jakby pogrążone w poufnej rozmowie, czerwony pasek do sukienki, zbutwiałe ubrania i kości: dwie klatki piersiowe, duża i mała, dwie pary nóg, długie i krótkie. Doczesne szczątki Sary i Kito Tidwellów, niemal sto lat temu pogrzebane tutaj, na Dróźce, tuż przy brzegu jeziora.

Większa czaszka odwróciła się na bok, spojrzała na mnie pustymi oczodołami i zazgrzytała zębami, jakby zamierzała mnie ugryźć. Wymieszane kości zadrżały i poruszyły się - kilka od razu rozpadło się w proch, tak były już przegniłe - zaśniedziała sprzączka paska uniosła się jak głowa węża gotowego do ataku.

- Mike! - wrzasnęła przeraźliwie Jo. - Prędko!

Wyciągnąłem z torby plastikową, zapakowaną w folię butelkę. Ług. Robiąc zakupy w Zielenince nabyłem także butelkę ługu, a Lila Proulx dla pewności zapakowała mi ją w osobną torebkę. Teraz odkręciłem korek, przechyliłem butelkę i zacząłem polewać jej zawartością kości Sary i jej syna.

Zasyczało, jakbym otworzył puszkę piwa albo butelkę z jakimś napojem gazowanym. Sprzączka stopiła się w okamgnieniu, kości zbielały, tak że wyglądały jak zrobione z cukru - przed oczami przemknął mi koszmarny widok meksykańskich dzieci zajadających w Święto Zmarłych cukrowe kości nieboszczyków - oczodoły w czaszce Sary powiększyły się, jak tylko ług wypełnił miejsce, gdzie kiedyś był jej mózg, siedziba niezwykłego talentu oraz roześmianej duszy. Czaszka najpierw sprawiała wrażenie zdumionej, chwilę później zrozpaczonej...

A potem szczęka odpadła, zęby posypały się jak kamyki, sklepienie zapadło się, kolce palców roztopiły się z sykiem.

- OooooooL.

Szept przebiegł między ociekającymi wodą drzewami jak powiew wiatru... Ale wiatr ucichł już jakiś czas temu, zbierał siły do kolejnego szaleńczego ataku. Rozbrzmiewała w nim niewysłowiona rozpacz, tęsknota i rezygnacja, nie dosłyszałem natomiast wściekłości. Wściekłość znikła, wypalona w ługowej kąpieli. Odgłos towarzyszący odejściu Sary ustąpił miejsca żalotnemu, niemal ludzkiemu wołaniu jakiegoś ptaka; ten właśnie dźwięk pozwolił mi oprzytomnieć, wreszcie -już nieodwracalnie - wyrwał mnie z transu. Stałem chwiejnie na nogi, odwróciłem się i spojrzałem na Dróżkę.

Jo wciąż tam była - półprzejrzysta postać, przez którą widziałem taflę jeziora i czarny zwał chmur kolejnej burzy nadciągającej od gór. Coś za nią mignęło (być może właśnie ten ptak, który odważył się na chwilę wymknąć z ukrycia, by sprawdzić, co się dzieje w najbliższej okolicy), lecz ja zupełnie to zignorowałem. Pragnąłem widzieć tylko Jo, Jo, która przybyła Bóg wie z jak daleka i przecierpiała Bóg wie jak wiele, żeby mi pomóc. Była wyczerpana, obolała, jakby mniejsza... Ale tamto, Obcy, znikło. Jo stała pośrodku kręgu brzozowych, poczerniałych liści i uśmiechała się do mnie.

- Jo! Udało nam się!

Poruszyła ustami. Słyszałem, że coś mówi, ale nie mogłem rozróżnić słów. Zupełnie jakby stała po drugiej stronie szerokiego kanionu. Mimo to zrozumiałem ją. Jeśli chcecie usłyszeć racjonalne wytłumaczenie - odczytałem słowa z ruchu warg; jeśli zadowoli was irracjonalne - przeczytałem w jej myślach. Ja wolę to drugie. Małżeństwo to także rodzaj

transu. Naprawdę.

Więc wszystko w porządku, prawda?

Opuściłem wzrok na rozpruty płócienny całun; została w nim tylko nieduża sterta gnijących łachmanów, z której wystawały jakieś trudne do zidentyfikowania, drobne przedmioty. Niechcący wciągnąłem głębiej powietrze... i nawet mimo stenomaski zakrztusiłem się, zmuszony zrobić krok wstecz. Obejrzawszy się, stwierdziłem, że Jo już prawie nie ma.

- Jo, zaczekaj!

Nie mogę ci pomóc. Nie mogę zostać.

Słowa z innego układu słonecznego, ledwo dostrzegalne na widmowych ustach. Zostały z niej same oczy w gęstniejącym popołudniowym półmroku, dwie miniaturowe jeziora. Spiesz się...

Znikła. Ślizgając się i potykając, dobiegłem do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą ją widziałem. Pod moimi stopami zaszeleściły martwe brzoźowe liście, wyciągnięte ręce złapały tylko powietrze. Z pewnością wyglądałem jak pomylenie: przemoczony do suchej nitki, w stenomasce na twarzy, rozpaczliwie usiłujący objąć pustą przestrzeń.

Zaleciał mnie zapach jej perfum, a potem czułem już tylko mokrą ziemię, jezioro i czający się za tymi zapachami smród ługu. Na szczęście przestało cuchnąć rozkładem; akurat ta woń nie była bardziej realna od...

Od czego? Albo wszystko było realne, albo nic. Jeśli nic, to w takim razie postradałem zmysły i nadawałem się już tylko do szpitala dla psychicznie chorych. Obejrzałem się na szary gład i zobaczyłem leżący na ziemi worek kości, który wyrwałem z ziemi jak zepsuty ząb. Z wnętrza wciąż wydobywały się leniwe smużki dymu. To na pewno było prawdziwe, podobnie jak Zielona Dama, która teraz przeistoczyła się w Czarną Damę, równie martwą jak wystająca zza niej

gałąź, podobna do wyciągniętego ramienia.

Nie mogę ci pomóc... Nie mogę zostać... Spiesz się...

Pomóc? W czym? Czyżbym jeszcze potrzebował pomocy? Przecież już po wszystkim, czy nie tak? Sara odeszła na dobre. Niech spoczywa w spokoju.

Mimo to wydawało mi się, że wyczuwam w powietrzu obezwładniającą woń strachu, dość podobną do gnilnego smrodu, który całkiem niedawno wydobywał się spod ziemi. Po głowie zaczęło mi się tłuc imię Kyry: Ki-Ki, Ki-Ki, Ki-Ki, jak wołanie jakiegoś egzotycznego ptaka. Ruszyłem w górę po schodach prowadzących do domu, i choć byłem potwornie zmęczony, w połowie drogi zacząłem biec.

Wszedłem przez taras od strony jeziora. Na pierwszy rzut oka dom wyglądał zwyczajnie - oczywiście nie licząc złamanego drzewa zagładającego do środka przez wybite kuchenne okno - ale mimo to wyczuwałem coś niepokojącego...

Tak, chyba rzeczywiście to czułem: ledwo uchwytny zapach, cierpki i nieprzyjemny. Być może z szaleństwem wiąże się ściśle określona gama zapachów, ale nie zamierzam dokładniej badać tego zjawiska.

W holu przystanąłem i przez chwilę patrzyłem na piętrzący się na podłodze stos książek. Wyglądało to tak, jakby ktoś przechodząc zrzucił je z półki. Może próbował się czegoś złapać? Widziałem również ślady, które sam pozostawiłem wchodząc i wychodząc. Zaczęły już wysychać. Tylko one miały prawo tu być, bo przecież niosłem Ki na rękach. Mimo to dostrzegłem także inne, mniejsze, ale nie tak małe, żebym wziął je za ślady dziecka.

Wykrzykując jej imię, popędziłem co sił w nogach do sypialni w północnym skrzydle, ale równie dobrze mógłbym wołać Mattie, Jo albo Sarę, ponieważ w moich ustach „Kyra” także brzmiało jak imię trupa. Narzuta zsunęła się

na podłogę, i jeśli nie liczyć czarnego pluszowego pieska,  
takiego samego jak w moim śnie, łóżko było puste. Ki zni-  
kła.



## Rozdział 29

Sięgnąłem po nią tą częścią mego umysłu, która przez mionie kilka tygodni zawsze wiedziała, w co mała jest ubrana, gdzie jest i co robi - oczywiście bez rezultatu. To połączenie również zostało zerwane.

Wzywałem Jo - przynajmniej teraz mi się wydaje, że to robiłem - ale ona też odeszła. Zostałem sam. Boże, dopomóż mi. Boże, dopomóż nam obojgu. Zaczęła ogarniać mnie panika, ale jakoś zdołałem nad nią zapanować. Musiałem zachować jasność umysłu. Jeśli Kii pozostała jeszcze jakakolwiek szansa, musiałem być w pełni sprawny, żeby ją wykorzystać. Szybkim krokiem wróciłem do holu, usiłując nie słuchać wstrętnego głosiku, który szeptał mi do ucha, że już po wszystkim, że Ki odeszła, nie żyje. Nie wierzyłem w to, nie mogłem tego sprawdzić, ponieważ straciłem z nią kontakt.

Popatrzyłem na stos książek, potem na drzwi. Ktoś, kto zostawił te nieduże ślady, wszedł i wyszedł właśnie tędy. Na niebie wybuchła błyskawica, zagrzmiało, wiatr ponownie przybrał na sile. Podeszedłem do drzwi i sięgnąłem do klamki, ale jej nie nacisnąłem, zobaczyłem bowiem, że między drzwiami a futryną zawisło coś jakby nić pajęczyny. Długi siwy włos.

Nawet się szczególnie nie zdziwiłem. Powinienem był się od razu domyślić, i pewnie by tak się stało, gdyby nie to, że przez cały dzień znajdowałem się w potwornym napięciu i gdyby nie kolejne wstrząsy, których doznawałem. Wszystko było na taśmie - rano słuchałem jej w samochodzie - Boże, upłynęło zaledwie kilka godzin, a byłbym gotów przysiąc, że wydarzyło się w zupełnie innym życiu!

Zacznijmy od końca, czyli od chwili, kiedy John odłożył

słuchawkę. „Godzina dziewiąta czterdzieści czasu wschodniego wybrzeża”, powiedział głos urządzenia rejestrującego, co oznaczało, że Rogette dzwoniła o szóstej czterdzieści rano - oczywiście jeśli założymy, że naprawdę telefonowała z Palm Springs, co było nawet możliwe. Gdybym zwrócił na to uwagę w drodze z lotniska do przyczepy Mattie, zapewne wytłumaczyłbym sobie, że w Kalifornii bez wątpienia aż roi się od ludzi cierpiących na bezsenność, którzy załatwiają interesy ze wschodnim wybrzeżem, zanim słońce zdąży wspiąć się ponad horyzont, po czym przeszedłbym nad tym do porządku dziennego. Była jednak jeszcze jedna sprawa, i tej nie dałoby się tak łatwo wyjaśnić.

W pewnej chwili John wyjął kasetę, ponieważ zrobiłem się blady jak ściana i ani trochę nie wyglądałem na kogoś, kto się dobrze bawi. Wyjaśniłem, że po prostu nie spodziewałem się usłyszeć głosu Rogette Whitmore, w dodatku tak doskonałej jakości, jakbym słyszał ją na żywo. Tak naprawdę to nie ja, ale moi chłopcy z piwnicy zareagowali atakiem paniki, i to nie jej głos ich przeraził, lecz ledwo słyszalne, ale charakterystyczne brzęczenie, które towarzyszy w tle wszystkim rozmowom przeprowadzanym z TR.

Rogette Whitmore ani na chwilę nie opuściła TR-90. Jeżeli moja poranna głupota miała teraz, po południu, kosztować Kyrę Devore życie, już nigdy nie doszedłbym ze sobą do ładu. Gwałtownym szarpnięciem otworzyłem drzwi i na złamanie karku pogałęm w dół po schodach, na spotkanie kolejnej burzy.

To prawdziwy cud, że nie poślizgnąłem się na pierwszym stopniu i nie zwałem się ze schodów. U ich podnóża wzburzone jezioro wyrzuciło na brzeg szczątki naszej platformy; być może zdołałbym nadzieć się na sterczące deski i zginąć jak wampir wbity na pal. Co za miła perspektywa.

Ludzie ogarnięci paniką nie powinni biegać, bo w ten sposób igrają z losem. Kiedy wreszcie zdołałem chwycić oburącz pień jednej z sosen i wyhamować rozpęd, niemal całkowicie utraciłem zdolność logicznego myślenia. Po głowie rozpaczliwie tłukło mi się imię Kii, tak głośno, że nie było już miejsca na nic więcej.

Z nieba wystrzeliła błyskawica i trafiła w podstawę pnia ogromnej sosny po mojej prawej stronie. Drzewo było tak stare, że z pewnością rosło tu już wtedy, kiedy żyli Sara i Kito. Gdybym patrzył wprost na nie, na pewno straciłbym wzrok, bo choć byłem częściowo odwrócony, oślepiający błysk pozostawił mi przed oczami pulsujące kolorowe plamy. Wielkie, ponadpięćdziesięciometrowe drzewo zwało się do jeziora ze straszliwym trzaskiem,, wzbijając srebrzyste fontanny wody, które zawisły na chwilę w powietrzu, łącząc ciemnoszare niebo z ciemnoszarym jeziorem. Kikut, który pozostał na brzegu, mimo deszczu płonął jak kapelusz czarownicy.

Huk, błysk i ogień podziałały na mnie jak silne klepięcie w policzek, dając mi ostatnią szansę na sensowne wykorzystanie mózgu. Odetchnąłem głęboko, po czym spróbowałem ją wykorzystać. Przede wszystkim musiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tu przybiegłem, dlaczego uznałem za pewnik, że Rogette uprowadziła Kię w kierunku jeziora, tam gdzie przecież przez cały czas byłem, a nie w przeciwną stronę, na podjazd i drogę?

Nie bądź głupi, skarciłem się natychmiast. Przecież właśnie tędy idzie się do Warringtonów, a ona była tam przez cały czas od chwili, kiedy wysłała do Kalifornii ciało szefa jego prywatnym odrzutowcem.

Wślizgnęła się do domu, kiedy ja tkwiłem pod podłogą pracowni Jo, zapoznając się ze sporządzonym przez moją żo-

nę fragmentem drzewa genealogicznego. Już wtedy zabrała-  
by Ki, gdybym dał jej okazję, ale ja wróciłem pędem, przeko-  
nany, że małej coś zagraża, że ktoś albo coś chce jej  
wyrządzić krzywdę.

Czy Rogette ją obudziła? Czy Ki zobaczyła siwowłosą  
wiedźmę i spróbowała mnie ostrzec? Czy właśnie dlatego na-  
gle ogarnął mnie pośpiech? Być może. Wtedy jeszcze byłem  
w transie, jeszcze łączyły nas niewidzialne nici. Rogette na  
pewno była w domu, kiedy wróciłem, z trudem łapiąc od-  
dech. Całkiem możliwe, że ukryła się w szafie w sypialni i ob-  
serwowała mnie przez szparę. W głębi duszy wiedziałem  
o tym. W głębi duszy wyczuwałem jej obecność, wiedziałem,  
że coś jest nie w porządku.

A potem wyszedłem. Złapałem płócienną torbę z Ziele-  
ninki, zszedłem po schodach, skręciłem w prawo, minąłem  
brzozę, odnalazłem kamień i ukryty pod nim worek kości.  
Zrobiłem, co miałem do zrobienia, a w tym czasie Rogette  
za moimi plecami zniosła Kyrę po schodach z podkładów  
kolejowych i skręciła w lewo, w kierunku Warringtonów.  
Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że chyba słyszałem głos  
Kii, a może nawet ją widziałem. Ten ptak, który ostrożnie

wyłonił się z ukrycia w chwili względnego spokoju, wcale nie  
był ptakiem. Ki już wtedy nie spała, przypuszczalnie zoba-  
czyła mnie oraz Jo, i usiłowała zawołać, ale zdołała wydać  
tylko jedno piśnienie, zanim Rogette zatkała jej usta.

Kiedy to było? Wydawało mi się, że przed wiekami, ale  
w rzeczywistości minął najwyżej kwadrans. Chociaż, z dru-  
giej strony, nie trzeba wiele czasu, żeby utopić dziecko.  
Odepchnąłem powracający z uporem obraz otwierającej się  
i zamykającej dłoni Kito, zapanowałem nad pierwszym od-  
ruchem, który kazał mi co sił w nogach popędzić Drózką

w kierunku Warringtonów. Gdybym to zrobił, już nie zdołałbym opanować paniki.

Jeszcze nigdy po śmierci Jo nie brakowało mi jej tak bardzo, jak właśnie wtedy, ale jej już nie było. Nie pozostał po niej nawet szept. Mogłem liczyć wyłącznie na siebie. Ruszyłem na południe Dróżką, omijając te wiatrołomy, które dało się ominąć, przeciskając się pod innymi, pokonując górą te, których w żaden sposób nie dało się obejść. Starłem się czynić przy tym jak najmniej hałasu. Próbowałem też się modlić, co było raczej naturalne w mojej sytuacji, lecz żadna modlitwa nie zdołała się przedrzeć poza wypełniającą mi myśli twarz Rogette Whitmore, bezlitosną, z ustami otwartymi do okrutnego krzyku.

Pamiętam, że przemknęło mi przez głowę: To jak Nawiedzony Dom, tyle że pod gołym niebem. Naprawdę można było uwierzyć, że w lesie szaleją nadprzyrodzone siły. Drzewa, osłabione pierwszym atakiem wichury, teraz padały jedno po drugim, czyniąc przy tym tyle huków, że mogłem przestać zawracać sobie głowę jakimikolwiek środkami ostrożności. Mijając zbudowany z prefabrykatów domek Batcheldera zauważyłem, że nie ma już dachu.

Niecały kilometr od Sary spostrzegłem na ścieżce białą wstążkę Kyry. Podniosłem ją - czerwien na brzegach lśniła jak najprawdziwsza krew - schowałem do kieszeni i poszedłem dalej.

Pięć minut później dotarłem do leżącej w poprzek ścieżki starej sosny o omszałym pniu. Z metrowym może kikutem łączyły ją niezerwane do końca, wygięte pod kątem ponad dziewięćdziesięciu stopni, drewniane włókna, w związku z czym skrzypiała jak chór nienaoliwionych drzwi. Skrzypienie nie ustawało ani na chwilę, ponieważ korona drzewa sięgnęła aż do wzburzonego jeziora, które kołysało nią niemiło-

siernie. Pod pnem zostało wystarczająco dużo miejsca, żeby się tamtędy precyzyjnie; uklęknąłem i zobaczyłem ślady czyichś kolan, powoli wypełniające się wodą, a także coś jeszcze: drugą wstążkę. Tę także wepchnąłem do kieszeni.

Byłem już pod sosną, kiedy usłyszałem kolejny trzask łamanego drzewa, tym razem znacznie bliżej, a potem krzyk, ale nie bólu, tylko gniewu. Chwilę później, pomimo szumu deszczu i zawodzenia wiatru, do moich uszu dotarł głos Rogette:

- Wracaj! Nie idź tam, tam jest niebezpiecznie!

Przedarłem się na drugą stronę, nie zważając na ostro zakończony kikut gałęzi, który rozorał mi grzbiet, wstałem i pognałem przed siebie. Jeśli drogę zagrażały mi małe drzewa, po prostu przeskakiwałem nad nimi, większe pokonywałem jak czołg, przedzierając się między gałęziami. Zagrzmiało, błysnęło, a ja w jaskrawym świetle ujrzałem szarą, drewnianą ścianę szopy. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkałem Rogette, budynek mignął mi tylko za drzewami, teraz jednak kurtyna lasu rozdarła się, dzięki czemu nic nie zasłaniało mi obrazu zniszczenia. Dwa ogromne drzewa zmiażdżyły niemal cały tył budowli, a teraz leżały na nim skrzyżowane jak sztuce na talerzu.

- Idź sobie! - To był głos Kii, słyszalny tylko dzięki temu, że przerażona dziewczynka piszcziała jeszcze wyżej niż zwykle. - Odejdź! Nie chcę cię, siwa nianiu!

Czułem się okropnie, słysząc strach w jej głosie, a jednocześnie nie posiadałem się z radości, że w ogóle ją słyszę.

Mniej więcej dziesięć metrów od miejsca, gdzie znieruchomiałem na dźwięk głosu Rogette, ścieżkę przegradzało jeszcze jedno drzewo. Rogette była już po drugiej stronie i wyciągała do Kii zakrwawioną rękę, ale ja patrzyłem tylko na Kyrę.

Pomost łączący Drózkę z Barem Zachodzącego Słońca miał dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści metrów długości - w każdym razie wystarczająco dużo, żeby warto było poprzehadzać się po nim w piękny letni wieczór, trzymając za rękę wybrankę lub wybrańca swego serca. Burza go nie zerwała - jeszcze nie - ale skrzyła jak wstążkę. Pamiętam z dzieciństwa migawkę z jakiejś kroniki filmowej, w której pokazywano wiszący most targany przez huragan: tak właśnie wyglądał pomost wiodący do Baru Zachodzącego Słońca. Miotał się na wzburzonej wodzie, jęcząc jak drewniany akordeon. Po balustradzie ustawionej zapewne z myślą o tych, którzy wracali do domu po kilku głębszych, nie został żaden ślad. Kyra dotarła mniej więcej do połowy tego wijącego się drewnianego węża. Między nią a brzegiem dostrzegłem co najmniej trzy szerokie, wypełnione czernią szczeliny po brakujących deskach. Z dołu dobiegało niepokojące dudnienie pustych metalowych beczek, na których opierał się pomost; kilka urwało się z zaczepów i podskakiwało na falach jak monstrualne spławiki. Ki rozłożyła szeroko ręce, niczym linoskoczek w cyrku. Moja czarna koszulka Harley-Davidsona łopotała jej wokół kolan.

- Wracaj! - wrzasnęła Rogette.

Rzadkie siwe włosy powiewały jej wokół głowy, wiatr szarpał także połami czarnego nieprzemakalnego płaszcza. Wyciągnęła drugą rękę, tę bez krwi. Domyśliłem się, że Ki ją ugryzła.

- Nie, nianiu!

Ki energicznie potrząsnęła główką, a ja pomyślałem z przerażeniem: nie, maleńka, nie rób tego, nie wolno tak ruszać głową, nie wtedy, kiedy starasz się utrzymać równowagę! Zachwiała się, jedno ramię powędrowało w górę, drugie w dół, tak że przez sekundę albo dwie wyglądała jak samolot

w głębokim skrucie. Gdyby pomost zakołysał się gwałtowniej, z pewnością runęłaby do wody. Na szczęście nic takiego się nie stało i Kyra wyprostowała się, choć mógłbym przysiąc, że widziałem, jak jej bosc stopy ślizgają się na mokrych deskach.

- Idź sobie, siwa nianiu! Nie chcę cię! Idź spać, jesteś zmęczona!

Były tak zajęte sobą, że żadna mnie nie zauważyła. Padłem na mokrą ziemię i przeczołgałem się pod drzewem. Grzmot przetoczył się po niebie jak wielka mahoniowa kula, odbił się echem od gór, powrócił. Podniosłem się na kolana i zobaczyłem, że Rogette powoli zbliża się do pomostu. Na każdy jej krok Kyra również odpowiadała krokiem. Rogette miała wyciągniętą już tylko zdrową rękę, choć przez mgnienie oka wydawało mi się, że ta także krwawi, ale półpłynna substancja w jej palcach była za ciemna na krew. Kiedy zaczęła przemawiać do małej przerażająco kojącym, mrożącym krew w żyłach głosem, wyjaśniło się, że to czekolada, która rozpuściła się jej w dłoni.

- Może się pobawimy, ptaszku? - gruchała Rogette. - Powiedz, chcesz się bawić?

Zrobiła kolejny krok naprzód, Ki też, znowu się zachwiała, odzyskała równowagę. Serce na chwilę przestało mi bić w piersi. Zbliżałem się najszybciej, jak mogłem, ale nie biegłem, żeby przedwcześnie nie zdradzić swojej obecności. Chciałem zaatakować znienacka, skutecznie. Do licha, jeśli potrafiłem rozwalić czaszkę George'owi Footmanowi, z pewnością nie zawaham się postąpić tak samo z tym potworem.

- Nie chcesz? Wstydzisz się?— przemawiała Rogette słodziutkim tonem, od którego robiło mi się niedobrze. - Dobrze, w takim razie ja zacznę. Panienska! Co się rymuje ze słowem „panienka”, ptaszku? Na przykład „drzemka”, prawda?



Ucięłaś sobie drzemkę, kiedy po ciebie przyszedłam... I „sukienka”... Chcesz, żebym ubrała cię w sukienkę zamiast tej okropnej koszulki? Potem przyjdiesz do mnie, usiądziesz mi na kolanach, będziemy razem jadły czekoladę...

Kolejny krok. Rogette stała już na krawędzi pomostu.

Gdyby pomyślała, po prostu zaczęłaby rzucać w Kyrę kamieniami, tak jak kiedyś we mnie. Z tej odległości na pewno by trafiła... ale jej nie przyszło to do głowy. Kiedy człowiek zmierzający do całkowitego obłądu minie pewien punkt, nie ma już dla niego odwrotu: pędzi na oślep prosto przed siebie, nie zważając na nic, co dzieje się na poboczu drogi. Rogette miała inne plany względem Kii.

- Chodź, małeńka, pobaw się z siwą nianią...

Wyciągnęła rękę z na pół roztopioną czekoladą, Kyra odruchowo spojrzała na nią... i zobaczyła mnie. Rozpaczliwie pokręciłem głowę, przycisnąłem palec do ust, ale na nic się to zdało: na jej twarzy pojawił się wyraz radosnej ulgi, wykrzyknęła moje imię, Rogette zaś wyprostowała się gwałtownie.

Ostatnie cztery metry pokonałem dwoma susami, uniosłem nad głowę złączone ręce jak pałkę, poślizgnąłem się jednak, a Rogette zdołała wykonać coś w rodzaju koślawego uniku, więc zamiast uderzyć w tył głowy, trafiłem ją w ramię. Zachwiała się, podparła kolanem i niemal natychmiast była na nogach. Jej oczy wyglądały jak dwie lampy łukowe jarzące się nienawiścią.

-Ty!

Wypluła to słowo z taką siłą, że zabrzmiało niemal jak przekleństwo. Usłyszałem rozpaczliwy krzyk Kii, odwróciłem się i zobaczyłem ją chwiejącą się na śliskich deskach, wymachującą gwałtownie ramionami. Fale wdzierały się na pomost, sięgały prawie jej bosych stopek.

- Trzymaj się! - zawołałem.

Rogette skorzystała z chwili mojej nieuwagi i wskoczyła na pomost. Dałem susa za nią, chwyciłem ją za włosy... i zostałem z nimi w ręku. Stałem jak słup soli na brzegu wzburzonego jeziora, ściskając w palcach wiecheć siwych włosów, jakby to był skalp zdarty z czaszki nieprzyjaciela.

Rogette obejrzała się przez ramię i wyszczerzyła zęby - wiekowy łysy gnom w strugach deszczu - mnie zaś przemknęło przez głowę: To on, to Devore, wcale nie umarł, tylko zamienił się z nią na ciała, to ona popełniła samobójstwo, to jej trup poleciał samolotem do Kalifornii...

Jeszcze zanim pobiegła w stronę Kii, zrozumiałem, że to nieprawda, że to jednak Rogette, ale z pewnością nie wyrządziłem jej krzywdy swoimi podejrzeniami. Coś się z nią działo: nie tylko straciła włosy, lecz także postarzała się w okamgnieniu. Wyglądała teraz co najmniej na siedemdziesiąt lat.

Znałam mnóstwo ludzi, którzy ponadawali dzieciakom bardzo podobne imiona, bo wydawało im się, że tak jest szykownie, powiedziała pani M.; Max Devore zapewne też tak uważał, skoro nadał synowi imię Roger, a córce Rogette. Może naprawdę nazywała się Whitmore - mogła przecież kiedyś być mężatką - ale teraz, bez peruki, podobieństwo stało się uderzające. Kobieta biegnąca truchtem po pomocy, żeby dokończyć dzieła, była ciotką Kyry.

Ki cofała się w popłochu, nie zachowując żadnych środków ostrożności. Większa od innych fala uderzyła w najniższą część pomostu, tam gdzie brakowało kilku metalowych beczek. Piana strzeliła wysoko, po czym, zamiast opaść, zawisła w powietrzu i począł się z niej wyłaniać jakiś kształt. Rogette stanęła jak wryta w sięgającej do kostek wodzie, ja znieruchomiałem trzy albo cztery metry za nią.

Postać stawała się coraz wyraźniejsza, ale jeszcze zanim wyłoniła się do końca z piany, rozpoznałem workowate szor-

ty i bezkształtną bluzę. Takie bluzy, od nowości pozbawione jakiegokolwiek fasonu, można kupić wyłącznie w supermarketach Kmart. Podejrzewam, że tak stanowi prawo federalne.

To była Mattie. Ciemnoszara Mattie wpatrywała się w Rogette ciemnoszarymi oczami. Rogette podniosła ręce, zachwiała się, spróbowała się odwrócić, ale w tej samej chwili długa fala wpłynęła pod pomost, uniosła go, a następnie opuściła. Łysa kobieta runęła do wody, Ki zaś przeturlała się po deskach i rozciągnęła jak długa na tarasie baru. To ostatnie wahnięcie pchnęło ją w miejsce, gdzie była względnie bezpieczna.

Teraz Mattie patrzyła na mnie i poruszała ustami. Słowa Jo odczytałem bez trudu, ale tym razem nie mogłem sobie poradzić, chociaż starałem się ze wszystkich sił.

- Mamusiu! Mamusiu!

Postać nie odwróciła się, nie przeszła, tylko przeniosła się w okamgnieniu na koniec pomostu, tam gdzie stała Ki -już zdążyła się podnieść - z wyciągniętymi ramionami.

Coś złapało mnie za stopę.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem w wodzie rozmazaną falującą twarz, łysą czaszkę, ciemne oczy wpatrzone we mnie z natężeniem. Głowa Rogette wynurzyła się na powierzchnię, woda trysnęła z otwartych fioletowych ust, druga ręka powędrowała w górę, palce wyprostowały się... i zacisnęły. Wyprostowały... i zacisnęły. Przyklęknąłem, chwyciłem ją za rękę, a wtedy palce zacisnęły się jak imadło i Rogette szarpnęła z całej siły, usiłując zabrać mnie ze sobą. Fioletowe wargi rozchyliły się jeszcze szerzej, odsłaniając żółtawe zęby niemal zupełnie takie jak te w czaszce Sary. Wydawało mi się... Tak, na pewno: Rogette się śmiała.

Niewiele myśląc zaparłem się mocno, pociągnąłem i wy dobyłem ją z wody. Byłem od niej cięższy co najmniej o czter-

dzieści kilogramów, więc nawet nie musiałem się nadmiernie wysilać. Wynurzyła się jak ogromny, dziwaczny pstrąg. Wrzasnęła przeraźliwie, szarpnęła się i zatopiła mi zęby w nadgarstku. Ból był potworny; poderwałem rękę jeszcze wyżej, a następnie opuściłem - nie miałem zamiaru jej skrzywdzić, myślałem tylko o tym, żeby uwolnić się od tych przeklętych zębów - nadeszła kolejna fala, wyszczerbiona krawędź pomostu uderzyła Rogette w twarz. Jedno oko wypłynęło z oczodołu, cienka skóra pękła na czole, uścisk zębów zelżał, a potem jezioro zabrało jej bezwładne ciało. Jeszcze przez chwilę widziałem bladą, zwróconą ku górze twarz, po czym jakiś wir odwrócił Rogette Whitmore na brzuch i wciągnął ją pod powierzchnię.

Spojrzawszy na Bar Zachodzącego Słońca ujrzałem kolejny przeblysłk tego, co zazwyczaj kryje się pod skórą naszego świata, ale jakże odmienny od oblicza Sary w Zielonej Damie i od przerażającej postaci Obcego. Kyra stała na tarasie wśród rumowiska potrzaskanych mebli ogrodowych, zwrócona twarzą do zawieszzonego w powietrzu kształtu z wodnej piany, wciąż jeszcze trochę podobnego do młodej kobiety. Kobieta klęczała z wyciągniętymi ramionami.

Usiłowały się objąć, lecz małe rączki Kii przeszły na wylot, a przy okazji się zamoczyły?

- Mamusiu, nie mogę cię dotknąć!

Kobieta coś powiedziała - widziałem, jak porusza ustami. Ki wpatrywała się w nią jak zaczarowana. Nagle, na króciutką chwilę, Mattie odwróciła się w moją stronę i spojrzeliśmy sobie w oczy-jej były jeziorem, które istniało na długo przed tym, jak się tu pojawiłem, i pozostanie długo po tym, jak zniknę. Przycisnąłem do ust obie ręce, po czym posłałem jej podwójnego buziaka. Półprzeźroczyste ramiona uniosły się jakby po to, żeby go złapać.

- Mamusiu, nie odchodź! - krzyknęła rozpaczliwie Ki i rzuciła się naprzód, ale równie szybko się cofnęła, zupełnie przemoczona, krztusząc się i kaszląc. Już nie było przy niej młodej kobiety; została tylko woda spływająca między deskami z powrotem/do jeziora, woda pochodząca z niezliczonych źródeł, które biorą początek hen, głęboko w szczelinach skalnego płaszcza, na którym leży TR i ta część świata. \

Powoli, ostrożnie, starannie stawiając stopy, przeszedłem po rozchwianym pomoście do Baru Zachodzącego Słońca i chwyciłem Kyrę w ramiona. Objęła mnie mocno, drżąc na całym ciele. Wyraźnie słyszałem szczęknięcie jej zębów i czułem zapach jeziora we włosach.

- Mattie przyszła - powiedziała.

- Wiem. Widziałem.

- Mattie przegoniła siwą nianię.

- To też widziałem. A teraz nie ruszaj się ani trochę. Musimy wrócić na brzeg, ale jeśli zaczniesz się ruszać, oboje wpadniemy do wody.

Nawet nie drgnęła mi w ramionach. Kiedy dotarliśmy do Dróżki, usiłowałem postawić Ki na ziemi, lecz ona przyłgnęła do mnie jeszcze mocniej. Nie miałem nic przeciwko temu. Przyszło mi do głowy, że mógłbym zanieść ją do Warringtonów - na pewno znalazłyby się tam suche ręczniki, a może nawet ubranie - lecz zrezygnowałem z tego pomysłu, bo przyszło mi do głowy, że zapewne byłyby tam również wanna napełniona ciepłą wodą. Poza tym, deszcz jakby trochę osłabł, a niebo na zachodzie nieco pojaśniało.

- Co ci powiedziała Mattie? - zapytałem, kiedy szliśmy Dróżką w kierunku domu. Ki samodzielnie pokonywała przeszkody w postaci zwalonych drzew, ale zaraz potem kazała znowu brać się na ręce.

- Żebym była grzeczna i żebym nie była smutna. Ale ja jestem smutna. Jestem bardzo, bardzo smutna!

Rozpląkała się, a ja głaskałem ją po mokrych włosach.

Kiedy dotarliśmy do schodów, zabrakło jej łez, a daleko na zachodzie, nad samym horyzontem, pojawił się wąski pasek błękitu.

- Wszystkie drzewa się poprzewracały! - powiedziała, rozglądając się ze zdziwieniem.

- No, może nie wszystkie, ale na pewno sporo.

W połowie schodów musiałem się zatrzymać na odpoczynek, ale nie zaproponowałem Kii, żeby szła dalej sama. Nie chciałem, żeby szła sama. Chciałem tylko złapać trochę powietrza.

- Mikę...

- Słucham, laleczko?

- Mattie powiedziała mi coś jeszcze.

- Co?

- Mogę szeptem?

- Oczywiście.

Zbliżyła buzię do mojego ucha i zaczęła szeptać. Słuchałem uważnie, a kiedy skończyła, skinąłem głową, pocałowałem ją w policzek, posadziłem na drugiej ręce i zaniósłem do domu.

- To nie była żadna burza stulecia, przyjacielu. Daleko jej do tego.

Tak powiadali starzy ludzie siedzący przed ogromnym wojskowym namiotem szpitalnym, który przez resztę lata i całą jesień tego roku pełnił funkcję sklepu. Ogromny wiaz rosnący przy szosie numer 68 runął na Lakeview General i zmiażdżył go jak pudełko sardynek, a jakby tego było jeszcze mało, dorzucił parę zerwanych przewodów elektrycznych, które zdetonowały rozhermetyzowaną butlę gazową, i wszystko wyleciało w powietrze. Namiot spisywał się zna-

komicie, z czasem zaś miejscowi zaczęli mówić, że jadą na zakupy do MASH-a - to dlatego, że na bocznej ścianie wciąż jeszcze widać było spłowiały czerwony krzyż.

Starzy ludzie siedzieli przy płóciennej ścianie na składanych turystycznych krzeselkach, machali wesoło do innych starych ludzi, którzy przejeżdżali swoimi starymi przerdzewiałymi samochodami (wszyscy prawdziwi weterani mają fordów albo chevrolety i nikt mnie nie przekona, że jest inaczej), w miarę jak kończyło się lato, a zbliżała jesień, zmieniali podkoszulki na "grube~ flanelowe koszule, patrzyli, jak miasteczko podnosi się ze zniszczeń, snując opowieści o zeszłorocznej burzy śnieżnej, która pozrywała linie przesyłowe i powaliła milion drzew na obszarze od Kittery po Fort Kent; o tornadzie, które zjawilo się nie wiadomo skąd w sierpniu 1985; o połączonym z gradobiciem huraganie w 1927. To dopiero były burze, powiadali. Tak, to dopiero były burze.

Jestem pewien, że mają rację, i nawet nie próbuję z nimi dyskutować (tym bardziej że chyba jeszcze nikt nie wyszedł zwycięsko z dyskusji z autentycznym starym jankesem, nawet jeżeli dotyczyła tylko pogody), ale dla mnie burza z dwudziestego pierwszego lipca 1998 już na zawsze pozostanie tą burzą. Znam pewną dziewczynkę, która uważa tak samo. Nawet jeśli dożyje roku 2100, co, zważywszy na możliwości współczesnej medycyny, wcale nie jest nieprawdopodobne, Kyra Elizabeth Devore zawsze będzie myślała o tamtej burzy jako o tej burzy. Właśnie wtedy jej nieżyjąca matka przyszła do niej, ubrana w jezioro.

Pierwszym pojazdem, jaki dotarł do nas około szóstej po południu, nie był wcale policyjny radiowóz, lecz żółta półciężarówka pogotowia elektrycznego z migającymi na dachu pomarańczowymi światłami. Za kierownicą siedział człowiek

w kombinezonie Kompanii Sieci Energetycznej Środkowego Maine, ale miejsce obok zajmował policjant -jak się okazało, sam Norris Ridgewick, szeryf okręgowy we własnej osobie. Zastukał do drzwi z bronią gotową do strzału.

Zmiana, którą zapowiadali telewizyjni spece od pogody, nadeszła: burzowe chmury przegnał na wschód zimny wiatr wiejący z siłą małego huraganu. Drzewa przewracały się z łoskotem jeszcze przez ponad godzinę po tym, jak przestało padać. O piątej zrobiłem nam grzanki z serem i zupę pomidorową - dla pokrzepienia, jak powiedziała by Jo. Kyra jadła, co prawda bez entuzjazmu, a potem wypila mnóstwo mleka. Przebrałem ją w suchy t-shirt, a ona związała sobie włosy z tyłu głowy. zaproponowałem jej biało-czerwone wstążki, lecz zdecydowanie odmówiła i spięła włosy gumką.

- Już ich nie lubię - powiedziała.

Ja też ich nie lubiłem, więc trafiły do kosza. Ki nie protestowała.

- Co robisz? - spytała, kiedy zacząłem grzebać w piecu.

- Rozpalam ogień. Te upały chyba rozrzedziły mi krew - w każdym razie, tak powiedziała by moja mama.

Przyglądała się w milczeniu, jak zwijam w kule kolejne kartki zapisanego na maszynie papieru, które wziąłem ze stołu, i wrzucam je przez małe drzwiczki. Kiedy uznałem, że wystarczy już podpalki, zacząłem ładować drobne szczapki.

- Co jest na tych papierach? - zapytała.

- Nic ważnego.

- Jakaś historia?

- Nie całkiem. Raczej... Trudno powiedzieć. Coś w rodzaju krzyżówki. Albo listu.

- To bardzo długi list - zauważyła, po czym położyła mi główkę na kolanach.

- Zgadza się. Takie właśnie są listy miłosne, ale nie nale-



ży ich długo przechowywać.

- Czemu?

Bo straszą, cisnęło mi się na usta, ale nie powiedziałem tego.

- Bo później trzeba czasem się ich wstydzić.

-Aha.

- Poza tym, te papiery są jak twoje wstążki.

- Już ich nie lubisz?

- Właśnie.

Zauważyła pudełko - niewielkie metalowe pudełko z napisem DROBIAZGI JO. Stało na blacie między kuchnią a pokojem, w pobliżu miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisiał na ścianie koci zegar. Nie pamiętałem, żebym zabrał je z pracowni, ale wcale mnie to nie zdziwiło; bądź co bądź, tyle się wtedy działo... Naturalnie nie mogłem także wykluczyć, że pudełko przeniosło się samo. Teraz już wierzę w takie rzeczy. Mam ku temu wszelkie powody.

Oczy Kyry zabłysły po raz pierwszy od chwili, kiedy obudziła się z krótkiej drzemki i stwierdziła, że jej matka nie żyje. Wspięła się na palce, by dosięgnąć pudełka, a następnie przesunęła opuszkami po wykaligrafowanych literach. Pomyślałem sobie, że każde dziecko powinno mieć własne metalowe pudełko, w którym mogłoby trzymać największe skarby: ukochaną zabawkę, najładniejszą wstążkę, pierwsze klejnociki... albo fotografię matki.

- Jakie to ładne... - wyszeptała z zachwytem.

- Możesz je zatrzymać, oczywiście jeśli nie przeszkadza ci ten napis. Co prawda w środku są dokumenty, które chcę zachować, ale najwyżej położę je gdzieś indziej.

Zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, jakby podejrzewała, że żartuję, po czym powiedziała tym samym tonem co poprzednio:

- Bardzo bym chciała...

Wziąłem od niej pudełko, wyjąłem całą zawartość, po czym wręczyłem je z powrotem. Natychmiast zaczęła zdejmować i zakładać przykrywkę.

- Zgadnij, co tu schowam!

- Pewnie jakieś skarby.

- Jasne! - Uśmiechnęła się. - Kto to była Jo? Znam ją?

Znam, prawda? To jedna z ludzi z dolówki!

- Jo była moją...

Zaświtała mi pewna myśl. Pospiesznie przejrzałem pozostałe wycinki, ale nie znalazłem tego, czego szukałem. Zacząłem się obawiać, że zgubiłem to po drodze, ale zaraz potem zobaczyłem kawałek celuloиду sterzący spomiędzy kartek jednego z notesów. Wyjąłem go i podałem Kii.

- Co to jest?

- Odwrócona fotografia. Musisz spojrzeć na nią pod światło.

Patrzyła bardzo długo, jak zauroczona, a ja razem z nią, na moją żonę stojącą w dwuczęściowym kostiumie na platformie kąpielowej.

- To właśnie Jo - powiedziałem.

- Bardzo ładna. Cieszę się, że mam jej pudełko.

- Ja też się cieszę, Ki.

Pocałowałem ją w czubek głowy.

Kiedy szeryf Ridgewick załomotał pięścią w drzwi, uznałem za wskazane otworzyć mu je, po czym natychmiast podnieść ręce. Był potwornie spięty. Sytuację mogło uratować niespodziewane, całkiem zwyczajne pytanie.

- A gdzie się podziewa Alan Pangborn, szeryfie?

- Jest w New Hampshire - odparł Ridgewick i trochę opuścił lufę pistoletu (minutę albo dwie później schował go do kabury, chyba nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że

to robi). - Gdyby nie artretyzm, on i Polly byliby w całkiem niezłej formie. Panie Noonan, mam do pana mnóstwo pytań. Chyba nie dziwi to pana, prawda?

- Ani trochę.

- Pierwsze i najważniejsze: czy jest tu Kyra Devore?

-Tak.

- Gdzie?

- Proszę ze mną.

Zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami sypialni w północnym skrzydle. Ki spała głęboko, przykryta po szyję narzutą. W ręczce ścisnęła pluszowego pieska; z piątki sterczały tylko potwornie brudny ogon i niewiele czyściejszy nos. Długo staliśmy bez słowa, patrząc na dziecko śpiące smacznie w letni wieczór. Z lasu nie dobiegał już trzask łamanych drzew, ale wiatr wciąż nie ustawał, wygrywając w kominie bardzo stare melodie.

## Epilog

Na Gwiazdkę spadł śnieg - niezobowiązujące piętnaście centymetrów, dzięki którym kolędnicy na ulicach Sanford wyglądali jak przeniesieni żywcem z „It's a Wonderful Life". Kiedy zszedłem do salonu, po raz trzeci upewniwszy się, że z Ki wszystko w porządku, było już kwadrans po pierwszej dwudziestego szóstego grudnia i śnieg przestał padać. Przez postrzępioną powłokę chmur przeświecał tłusty, ale blady księżyc.

Znowu spędzałem święta u Franka. Już tylko my dwaj zostaliśmy na nogach. Dzieciaki spały kamiennym snem po męczącym dniu wypełnionym jedzeniem i oglądaniem prezentów, Frank kończył już trzecią szkocką, ja natomiast ledwo napocząłem pierwszego drinka. Myślę, że wypiłbym znacznie więcej, gdyby nie Ki. W dni, kiedy jest u mnie, rzad-

ko zdarza mi się wypić więcej niż szklankę piwa, teraz zaś miałem ją trzeci dzień z rzędu... ale co tam, kemo sabe, jakie to byłyby święta bez dziecka?

- I co, w porządku? - zapytał Frank, kiedy rozsiadłem się w fotelu i pociągnąłem niewielki łyk ze szklanki.

Uśmiechnąłem się. Dobrze wiedziałem, że nie ma na myśli Kii, tylko mnie. Frank na pewno nie był głupi.

- Żałuj, że nie widziałeś mnie w październiku, kiedy kurator pierwszy raz pozwolił mi zabrać ją na weekend. Zanim położyłem się spać, zaglądałem do niej chyba z dziesięć razy... a potem wstawałem, podkradałem się pod drzwi, zerkałem przez szparę, nasłuchiwałem, czy oddycha. Z piątku na sobotę nawet nie zmrużyłem oka, a z soboty na niedzielę przespałem może ze trzy godziny, więc i tak uważam, że robię postępy. Ale pamiętaj, Frank: jeśli piśniesz choć słowo o tym, jak przed burzą nalałem wody do wanny, na pewno nie pozwolą mi jej adoptować, a po to, żebym mógł ją zobaczyć podczas rozdania świadectw maturalnych, będę musiał wypełnić podanie w trzech egzemplarzach.

Początkowo zamierzałem nic mu nie mówić o wannie, ale kiedy już zacząłem się zwierzać, nie potrafiłem niczego ukryć. Musiałem komuś o tym opowiedzieć, jeśli w ogóle zamierzałem wrócić do normalnego życia. Co prawda przypuszczałem, że moim spowiednikiem będzie John Storrow, ale John nie chciał rozmawiać o tamtych wydarzeniach, chyba że było to konieczne w związku z prowadzonymi przez niego sprawami, które dotyczyły mnie oraz Kyry Elizabeth Devore.

- Nie bój się, nie puszczę pary z ust. A jak tam walka o adopcję? Posuwasz się naprzód?

- Bardzo powoli. Chyba zaczynam nienawidzić systemu prawnego stanu Maine, a już na pewno tego, co ma jakikolwiek związek z kuratelą sądową. Zadziwiająco, że z osobna ci

wszyscy urzędnicy są całkiem porządnymi ludźmi, ale kiedy zbiorą się razem...

- Nie do wytrzymania, co?

- Dickens chyba miał rację, pisząc, że w sądzie zawsze wygrywa tylko jedna strona: prawnicy. Co prawda John bez przerwy powtarza, żebym był cierpliwy, cieszył się tym, co mam, i że czynimy niewiarygodne postępy zważywszy na to, że jestem najmniej godną zaufania istotą na świecie, to znaczy białym niezonatym mężczyzną w średnim wieku, ale od śmierci Mattie Kyra już dwa razy była w domu dziecka, aja...

- Nie ma jakiegoś krewnego w najbliższej okolicy?

- Owszem, ciotkę Mattie, która jeszcze za życia Mattie nie chciała mieć z nią nic wspólnego, a teraz wykazuje jeszcze mniejsze zainteresowanie, szczególnie po tym, jak się okazało...

- ...że Ki nie będzie bogata.

- Właśnie.

- Więc ta Whitmore kłamała w sprawie testamentu Devore'a?

- Od początku do końca. Zostawił wszystko fundacji, która ma działać na rzecz upowszechniania umiejętności obsługiwanego komputerów. Z całym szacunkiem dla wszystkich księgowych na świecie, trudno sobie wyobrazić coś mniej ludzkiego i ciepłego.

- A co u Johna?

- Wraca do formy, ale nigdy nie odzyska pełnej władzy w prawej ręce. To prawdziwy cud, że nie wykrwawił się na śmierć.

Jak na kogoś, kto zbliżał się do końca trzeciej szkockiej, Frank nadzwyczaj zgrabnie skierował rozmowę na nieco inne tematy niż adopcja. Nie miałem nic przeciwko temu, po-

nieważ chciało mi się wyć za każdym razem, kiedy myślałem o długich dniach i jeszcze dłuższych nocach, które musiała spędzać tam, gdzie sądy stanu Maine przechowują dzieci jak nikomu niepotrzebne parasole. Ki tam nie żyła, tylko zaledwie wegetowała, blada i przygnębiona, niczym wypielegnowany króliczek w klatce. Ożywała dopiero wtedy, kiedy widziała mój samochód wjeżdżający przez bramę: cieszyła się, wymachiwała rękami i skakała jak Snoopy zaatakowany przez pchły. Nasz wspólny weekend w październiku był wprost cudowny (i to pomimo obsesji, która kazała mi sprawdzać co pół godziny, czy nie dzieje się nic złego), święta jeszcze lepsze. Pragnienie bycia ze mną, które wyrażała z mocą przy każdej okazji, bardzo nam pomagało, lecz mimo to tryby wciąż obracały się ślamazarnie.

Może na wiosnę, powiedział John. To był zupełnie inny John, blady i poważny. Po aroganckim, trzpiotowatym rozrabiacie, który marzył o tym, by dokopać „forsystemu Devore'owi", nie zostało nawet wspomnienie. Dwudziestego pierwszego lipca John dowiedział się czegoś o śmierci, a także o bezsensownym okrucieństwie świata. Człowieka, który na powitanie i pożegnanie musi podawać lewą rękę, nie interesuje już zabawa aż do rzygania. Zaczął się spotykać z jakąś dziewczyną z Filadelfii, córką przyjaciół matki. Nie miałem pojęcia, czy to coś poważnego, ponieważ „wuj John", jak mawia Kyra, nie spieszył się ze zwierzeniami, ale jeżeli człowiek w jego wieku z własnej i nieprzymuszonej woli widuje się z córką przyjaciół matki, to coś musi w tym być.

Może na wiosnę. Powtarzał mi to przez całą jesień i połowę zimy. Czy robię coś nie tak jak trzeba? - zapytałem go tuż po Święcie Dziękczynienia i kolejnym odroczeniu sprawy.

Nie, odparł. Osoby, które chcą samodzielnie adoptować dziecko, zawsze mają do przebycia długą drogę, a mężczyźni

jeszcze dłuższą. Resztę dopowiedział niezbyt eleganckim gestem, wsuwając mały palec lewej ręki między luźno ściśnięte palce prawej.

To przecież najzwyklejsza, ordynarna dyskryminacja ze względu na płeć!

Może i tak, ale często uzasadniona. Jeśli chcesz, możesz zwalić winę na tych wszystkich pieprzonych zбочeńców, którzy ściągają dzieciakom majtki, albo na biurokrację, albo nawet na bossa novę, taniec miłości. Posuwamy się powoli, ale cały czas naprzód. Masz czyste konto, masz Kyrę, a ona powtarza bez przerwy, że chce być z tobą, masz dość forsy, żeby ich przetrzymać, a co najważniejsze, masz mnie, kolego.

Miałem też coś jeszcze - to, co Ki wyszeptala mi do ucha, kiedy przystanąłem na schodach dla złapania oddechu. Nie powiedziałem o tym ani Johnowi, ani Frankowi.

Mattie mówi, że teraz jestem twoja. Mattie mówi, że teraz się mną zaopiekujesz.

Staralem się ze wszystkich sił - na tyle, na ile pozwalali mi ślamazarni aż do zarzygania urzędnicy - lecz musiałem uzbroić się w cierpliwość.

Frank podniósł szklankę i zachęcająco uniósł brwi, ale pokręciłem głową. Ki zamierzała lepić bałwana, chciałem więc być rano zdolny do wyjścia na dwór i zmierzenia się z roziskrzoną bielą, nie okupując tego wysiłku łupaniem w głowie.

- Powiedz mi, w ile tak naprawdę uwierzyłeś?

Dolał sobie, a następnie zagapił się w stół i zamyślił głęboko. Kiedy wreszcie podniósł głowę, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Tak samo uśmiechała się Jo. Mało nie pękło mi serce.

- A co, myślałeś, że jestem narąbanym Irlandczykiem,

któremu można wcisnąć każdy kit? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i dodał: - We wszystko, głupku.

Obaj parsknęliśmy śmiechem, ale nie za głośno, żeby nikogo nie obudzić.

- Dobra, dobra. A serio?

- We wszystko - powtórzył. - Skinął głową w kierunku schodów, żeby nie było żadnych wątpliwości, o kim mówi. - Jest zupełnie inna od dziewczynek w tym wieku. Przylepna i miłutka, ale w oczach ma coś takiego... Najpierw myślałem, że to dlatego, że straciła matkę, ale tu chodzi o coś więcej, prawda?

- Prawda - potwierdziłem.

- W tobie też to jest. Dotknęło was oboje.

Przed oczami stanął mi rozszalały stwór, którego Jo zdołała powstrzymać tak długo, aż wylałem całą zawartość butelki z ługiem. Nazwała go Obcym. Nie zdążyłem mu się porządnie przyjrzeć, i chyba dobrze. Chyba nawet bardzo dobrze.

- Mike, co się dzieje? - zapytał Frank z niepokojem. - Cały drżysz.

i- Wszystko w porządku - odparłem. - Naprawdę.

- Jak teraz jest w domu?

Wciąż mieszkalem w Sarze Laughs. Zwlekałem aż do listopada, po czym wreszcie wystawiłem dom w Derry na sprzedaż.

- Spokojnie.

- Całkiem spokojnie?

Skinąłem głową, ale to była nie do końca prawda. Już kilka razy zdarzyło mi się obudzić z przeświadczeniem takim samym jak to, o którym opowiadała Mattie: że ktoś jest ze mną w łóżku. Nikt groźny. Parokrotnie poczułem (albo przynajmniej tak mi się zdawało) zapach perfum Jo, niekiedy zaś,



w szczególnie ciche wieczory, dzwonek Buntera brzęknie ci-  
chutko, zupełnie jakby ktoś bardzo samotny chciał mi po-  
wiedzieć „hej”.

Frank zerknął na zegarek, po czym spojrział na mnie  
z niepewną miną.

- Mam jeszcze parę pytań, ale... Mogę?

- Pewnie, że możesz. Jeśli jakaś noc nadaje się do tego,  
żeby ją całą przegadać, to na pewno ta w Boże Narodzenie.

- Co powiedziałaś policji?

- Niewiele. Footman mówił wystarczająco dużo, aż za  
dużo, z punktu widzenia Norrisa Ridgewicka. Tłumaczył się,  
że on i Osgood (bo to Osgood siedział za kierownicą) zrobi-  
li to, co zrobili, ponieważ Devore ich szantażował, ale policja  
stanowa znalazła wśród papierów Devore'a kopię polecenia  
przelewu na konto w banku na Kajmanach. Posiadaczem  
konta jest niejaki Randolph Footman, a tak się dziwnie skła-  
da, że Randolph to drugie imię George'a Footmana. Siedzi  
w Shawshank.

-.AcozRogette?

- Whitmore to panięńskie nazwisko jej matki, ale nie ule-  
ga wątpliwości, że serce Rogette należało do tatusia. W 1996  
stwierdzono u niej białaczkę. U osób w jej wieku - nawiasem  
mówiąc, w chwili śmierci miała dopiero pięćdziesiąt siedem  
lat - na każde trzy przypadki dwa kończą się zgonem w ciągu  
roku, ale jej stosowano chemoterapię. Stąd ta peruka.

- Ale dlaczego chciała zabić Kyrę? Zupełnie tego nie ro-  
zumiem. Kiedy zniszczyłaś szczątki Sary, zerwałaś też wszyst-  
kie więzy, jakie jeszcze łączyły ją z naszym światem, więc klą-  
twa powinna... Czemu tak na mnie patrzysz?

- Zrozumiałbyś, gdybyś choć raz zobaczył Devore'a.  
Kiedy wyjeżdżał do słonecznej Kalifornii, podpalił na poże-  
gnanie całe TR. Kiedy peruka została mi w ręku, pomyśla-

łem, że to on, że jakoś zamienił się z nią miejscami. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że to jednak Rogette.

- I miałeś rację.

- Miałem... i nie miałem. Teraz wiem o duchach znacznie więcej niż wtedy. Być może najważniejsze są pierwsze wrażenie, pierwsza myśl i pierwsze słowa. To był on, Devore. Wrócił na sam koniec. Jestem tego pewien. Bo tak naprawdę nie chodziło o Sarę ani o niego, ani nawet o Kyrę. Chodziło o sanki Scootera Larribee.

Milczeliśmy obaj. Cisza była tak głęboka, że słyszałem powolny oddech domu. To słycać, tylko trzeba dobrze nastawić uszu. O tym też już wiem.

- Boże - wykrztusił wreszcie Frank.

- Nie wydaje mi się, żeby wrócił z Kalifornii po to, żeby ją zabić - powiedziałem.

- W takim razie po co? Poznać wnuczkę? Naprawić ogrodzenie?

- Wciąż nie rozumiesz, co to był za człowiek.

- Więc mi powiedz.

- To był potwór w ludzkiej skórze. Wrócił po to, żeby ją kupić, ale Mattie nawet nie chciała o tym słyszeć. Dopiero później, kiedy opętała go Sara, zaczął planować śmierć Kii. Sara nigdy nie miała posłuszniejszego wykonawcy swoich rozkazów.

- Ile dzieci w sumie zabiła?

- Nie wiem na pewno i chyba nawet nie chcę wiedzieć, ale na podstawie notatek Jo i wycinków, które zebrała, można przyjąć, że między rokiem 1901 a 1998 w okolicy wydarzyły się co najmniej jeszcze cztery „sterowane zabójstwa”. Za każdym razem ginęły dzieci, których imiona zaczynały się na K. Wszystkie ofiary były blisko spokrewnione z mordercami.

- Dobry Boże...

- Wątpię, żeby Bóg miał z tym coś wspólnego, ale jej na pewno udało się zemścić.

- Żal ci jej, prawda?

- Tak. Rozerwałbym ją na strzępy, gdyby tknęła Kię palcem, ale jasne, że mi jej żal. Została zgwałcona i zamordowana, jej dziecko utopiono w chwili, kiedy umierała. A tobie jej nie żal?

- Powiedzmy, że tak. Słuchaj, a kim był drugi chłopiec? Ten, który płakał. Może to-ten, co umarł na zakażenie krwi?

- Większość notatek Jo dotyczy właśnie jego. Od tej sprawy zaczęła. Royce Merrill dobrze znał całą historię. Płaczący chłopiec nazywał się Reg Tidwell junior. Pamiętaj, że we wrześniu 1901, kiedy Czerwonoczubi dawali ostatni koncert w okręgu Castle, niemal wszyscy mieszkańcy TR wiedzieli, że Sara i jej syn zostali zamordowani, a większość wiedziała też, kto to zrobił. Prawie przez cały sierpień Reg Tidwell nie dawał spokoju ówczesnemu szeryfowi, który nazywał się Nehemiah Bannerman. Najpierw chodziło o zorganizowanie poszukiwań, potem o odnalezienie ciał, wreszcie o ustalenie sprawców, ponieważ kiedy już dopuścił do siebie myśl, że nie żyją, ani przez chwilę nie wątpił, że zostali zamordowani.

Początkowo Bannerman nawet mu współczuł, zresztą jak wszyscy. Podczas całego pobytu w TR Czerwonoczubi byli traktowani bardzo dobrze, co strasznie wkurzało Jareda, więc chyba trudno mieć pretensje do Sona Tidwella o to, że popełnił poważny błąd.

-Jaki błąd?

Zaczął sobie wyobrażać, że Mars to raj, pomyślałem. TR rzeczywiście musiało im się wydawać rajem, przynajmniej do czasu, kiedy Sara i Kito poszli na spacer i już nie wrócili. Wy-

dawało im się, że znaleźli miejsce, gdzie można być czarnym, a mimo to żyć normalnie.

- Uznał, że skoro traktowali go jak człowieka, kiedy wszystko było w porządku, tak samo potraktują go wtedy, kiedy wydarzyło się coś złego. Tymczasem mieszkańcy TR zjednoczyli się przeciwko obcym. Co prawda nikt nie pochwalał tego, co zrobili Jared i jego chłopcy, ale skoro już się stało...

- Rodzinne sprawy załatwia się we własnym gronie - mruknął Frank i dokończył drinka.

- Właśnie. Kiedy Czerwonoczubi występowali na festynie w Castle Rock, tutejsza społeczność zaczęła się konsolidować. Oczywiście odtwarzam przebieg wydarzeń wyłącznie na podstawie notatek Jo, bo w oficjalnej historii miasteczka nie ma na ten temat ani słowa.

Gdzieś tak około Świąta Pracy zaczęły się prawdziwe prześladowania - tak Royce powiedział Jo. Z dnia na dzień przybierały na sile, ale Son Tidwell ani myślał się wynosić, chciał bowiem ustalić, co się stało z jego siostrą i jej synem. Aż wreszcie pewnego dnia ktoś zastawił sidła. W lesie, mniej więcej półtora kilometra na wschód od miejsca, które teraz nazywa się Łąką Tidwellów, była niewielka polanka z brzozowym krzyżem na środku. Jego zdjęcie wisiało na ścianie w pracowni Jo. Po tym, jak zamknęły się przed nimi drzwi tutejszych kościołów, czarni mieszkańcy TR właśnie tam gromadzili się na nabożeństwa. Chłopiec często przychodził, żeby się pomodlić albo tylko posiedzieć w skupieniu. Wiedziało o tym mnóstwo ludzi. Ktoś zastawił sidła na ścieżce, z której korzystał, po czym zamaskował je gałęziami i liśćmi.

- Jezu... -jęknął Frank.

- Wątpię, żeby to zrobił Jared Devore albo któryś z jego chłopców. Po tym, co się stało, nie chcieli mieć już nic wspól-

nego z rodziną i przyjaciółmi Sary. Wątpię, żeby to zrobił jakiś kolega tych chłopaków. Ktoś to jednak zrobił, ponieważ gromada czarnuchów, która załęgła się na brzegu jeziora, nie chciała się zadowolić prostymi odpowiedziami, tylko uparcie grzebała w bolącym zębie. Wątpię też, żeby sprawca chciał zabić chłopca. Może zamierzał go przestraszyć? A może okazało się, że do końca życia chodził o kulach?

Tak czy inaczej, chłopiec wpadł w potrzask i długo nie można było go znaleźć. Na pewno strasznie cierpiał, a później wdało się zakażenie krwi i umarł. Son poddał się. Miał jeszcze inne dzieci, o których musiał myśleć, nie wspominając o ludziach, którzy go otaczali. Spakowali manatki i odeszli - Jo ustaliła, że do Północnej Karoliny, gdzie do dziś żyją ich potomkowie. Później, w 1933, podczas wywołanego przez młodego Maksa Devore'a pożaru lasu, chaty doszczętnie spłonęły.

- Nie rozumiem, dlaczego nie odnaleziono ciał Sary i Kitto - powiedział Frank. - Smród, który ty czułeś, nie był realny, ale wtedy... Jeśli po Dróźnie rzeczywiście chodziło tak wielu ludzi...

- Devore i tamci wcale nie pochowali swoich ofiar tam, gdzie je znalazłem. Najpierw zaciągnęli zwłoki w głąb lasu i przykryli gałęziami, a potem wrócili w nocy. Na pewno nie czekali dłużej, bo do trupów dobrałyby się zwierzęta. Przenieśli zwłoki w inne miejsce, owinęli w płótno i zagrzebali. Jo nie była pewna, gdzie, ale ja podejrzewam, że w okolicy Bowie Ridge, gdzie przez całe lato pracowali przy wyrębie drzew. To bardzo odludne miejsce.

- W takim razie po co... dlaczego...

- Nie tylko Drapera Finneya prześladowało wspomnienie tego, co zrobili. Prześladowało w jak najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. No, może nie licząc Jareda Devo-

re'a. Przeżył jeszcze dziesięć lat w doskonałej formie, ale chłopców dręczyły koszmary, za dużo pili, zbyt często wdawali się w bójki, rzucali się z pięściami na każdego, kto wspominał przy nich o Czerwonoczubych...

- Równie dobrze mogliby powiesić sobie na szyjach tabliczki: To my zrobiliśmy - zauważył Frank.

- Zgadza się. Na pewno nie pomagało im to, że coraz więcej ludzi omijało ich z daleka. Aż wreszcie Finney zginął w gliniance w kamieniołomie, a raczej popełnił samobójstwo, pozostałym chłopcom zaś przyszedł do głowy pewien pomysł. To nawet nie był pomysł, tylko wewnętrzny nakaz, któremu nie mogli i nie chcieli się oprzeć: odkopać zwłoki, pochować je jeszcze raz w miejscu, gdzie wszystko się wydarzyło, i wreszcie będzie spokój.

- Co na to Jared?

- Jeśli wierzyć notatkom Jo, nie pisnęli mu ani słowem o swoich planach. Późną jesienią albo wczesną zimą 1902 zakopali worek kości tam, gdzie ja go później odkopałem.

- To ona chciała wrócić, prawda? Sara ich do tego zmusiła, żeby być blisko, żeby mogła łatwiej ich dręczyć?

- Nie tylko ich, ale całe miasteczko. Tak, Jo też doszła do tego wniosku. Najlepszy dowód, że po tym, jak to odkryła, nie chciała mieszkać w domu - zwłaszcza kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Jak musiała się przestraszyć, kiedy wpadłem na pomysł, żeby nadać dziecku imię Kia, oczywiście jeśli w ogóle będziemy mieć dziecko i jeżeli to będzie córka! Aleja wtedy nie miałem o niczym pojęcia.

- Sara trzymała cię w odwodzie na wypadek, gdyby Devore nie zdołał zabić Kii - bądź co bądź, nie był okazem zdrowia - natomiast Jo liczyła na to, że zdołasz ją ocalić, tak?

- Zgadza się.

- I miała rację.

- Sam na pewno nie dałbym sobie rady. Od tej nocy, kiedy przyśnił mi się występ Sary, Jo nie odstępowała mnie nawet na krok. Sara robiła wszystko, żeby ją zniechęcić, ale bezskutecznie.

Frank pokiwał głową i ukradkiem otarł łzę z oka.

- Tak, ona się łatwo nie zniechęcała... A co wiesz o tej swojej stryjecznej prababce, czy kim ona była dla ciebie?

Wiesz, tej, co wyszła za Austera?

- Bridget Noonan Auster, dla przyjaciół po prostu Bridget. Moja matka przysięga, że o niczym nie miała pojęcia i że Jo nigdy jej o to nie pytała, ale podejrzewam, że kłamie. Bridget z pewnością była czarną owcą w rodzinie; domyślam się tego słysząc ton, jakim moja matka wymawia jej imię. Nie mam pojęcia, gdzie ani w jaki sposób poznała Bentona Auster. Załóżmy, że przyjechał do Prout's Neck w odwiedziny do kolegów, poszedł z nimi na potańcówkę i tam zaczął się flirt. Taka wersja wydarzeń jest najbardziej prawdopodobna. To było w 1884; ona miała osiemnaście lat, on dwadzieścia trzy. Pobrali się w pośpiechu. Harry - ten, który utopił Kito Tidwella - urodził się pół roku później.

- A więc nawet nie miał siedemnastu lat, kiedy... O, mój Boże!

- Jego matka była wtedy bardzo religijną kobietą. Harry utopił Kito między innymi dlatego, że nie chciał, by kiedykolwiek się dowiedziała, w czym brał udział. Masz jeszcze jakieś pytania, Frank? Boję się, że za chwilę zasnę.

Tak długo zwlekał z odpowiedzią, że zacząłem podejrzewać, iż to on zasnął nad prawie pustą szklanką.

- Tylko dwa - powiedział wreszcie. - Można?

- Chyba za późno, żeby się wycofać. Wal.

- Chodzi o Kształt, o tego Obcego. Nie daje mi spokoju.

Milczałem. Mnie on też nie dawał spokoju.

- Myślisz, że może wrócić?

- On ciągle wraca, Frank. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to zbyt pompatycznie, ale prędzej czy później Obcy przyjdzie po każdego z nas. Wszyscy jesteśmy tylko workami kości, a on... on chce tego, co w worku.

Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, po czym jednym ruchem wlał w siebie resztę zawartości szklanki.

- Zdaje się, że miałeś jeszcze jedno pytanie?

- Tak. Czy zacząłeś znowu pisać?

Kilka minut później poszedłem na górę, zająrzałem do Ki, umyłem zęby, ponownie zająrzałem do Ki, po czym wreszcie położyłem się do łóżka. Za oknem wisiał blady księżyc.

i Czy zacząłeś znowu pisać?

Nie. Jeśli nie liczyć dość obszernej relacji z niedawnych wydarzeń, którą zamierzałem kiedyś, w przyszłości, pokazać Kyrze, nie napisałem ani słowa. Wiem, że Harold coraz bardziej się niepokoi, więc prędzej czy później będę musiał do niego zadzwonić i powiedzieć to, czego i tak się domyśla: maszyna, która tak długo działała bez zarzutu, odmówiła posłuszeństwa. Nie, nie zepsuła się - w tych wspomnieniach nie pominąłem żadnego wydarzenia, żadnej myśli - ale po prostu przestała działać, i tyle. W zbiorniku jest paliwo, świece zapłonowe są w porządku, akumulator naładowany, a mimo to landara ani drgnie. Przykryłem ją pokrowcem. Nieźle mi służyła, więc nie chcę, żeby teraz osiadał na niej kurz.

Zapewne ma to jakiś związek ze sposobem, w jaki umarła Mattie. Któregoś dnia uświadomiłem sobie, że w co najmniej dwóch powieściach moi bohaterowie giną w bardzo podobnych okolicznościach, a w literaturze popularnej aż roi się od takich scen. Wplątałeś się w dwuznaczną moralnie sytuację i teraz nie wiesz, jak z niej wybrnąć - na przykład je-



den z bohaterów odczuwa silny pociąg seksualny do bardzo, ale to bardzo młodej kobiety? Musisz szybko znaleźć rozwiązanie? Nic prostszego. „Kiedy akcja traci tempo, wprowadź na scenę gościa ze spluwą”, powiedział Raymond Chandler, albo jakoś tak podobnie.

Morderstwo to najgorszy rodzaj pornografii, morderstwo to „rób, na co masz ochotę” doprowadzone do absurdu. Uważam, że należy traktować serio nawet tych, którzy mordują tylko na papierze. Nabrałem owego przekonania latem tego roku, być może wtedy, kiedy Mattie konała mi w ramionach z roztrzaskaną czaszką, do ostatniej chwili wzywając córkę. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, że byłem w stanie opisać coś takiego w książce.

A może po prostu żałuję, że nie dano nam trochę więcej czasu.

Powiedziałem Kii, że nie należy zachowywać miłosnych listów, w myślach natomiast dodałem, że to dlatego, by nas nie dręczyły wspomnieniami. Mnie co prawda dręczą... ale przynajmniej ja sam nie chcę sobie zadawać udreki, więc zamykam tę księgę snów i czynię to z własnej nieprzymuszonej woli. Dla pewności mógłbym połączyć te sny ługiem, lecz tego nie zrobię.

Widziałem rzeczy, jakich nie spodziewałem się ujrzeć, i doświadczałem uczuć, jakich nie spodziewałem się zaznać - najważniejsze spośród nich jest bez wątpienia to, którym obdarzam dziecko śpiące teraz w sąsiednim pokoju. Ona jest moim maleństwem, ja się nią zaopiekowałem, i tylko to się liczy. Reszta nie ma znaczenia.

Thomas Hardy, któremu przypisuje się tezę, że nawet najdoskonalej zarysowana postać w powieści jest jedynie workiem kości, porzucił twórczość prozatorską będąc u szczytu pisarskiego geniuszu. Potem przez dwadzieścia lat uprawiał

wyłącznie poezję, a kiedy ktoś go zapytał, dlaczego nie pisuje już powieści, odparł, że najbardziej go zdumiewa, jak mógł pisywać je aż tak długo. Z perspektywy czasu wydaje mu się to ogromnie głupie, zupełnie bezsensowne. Doskonale go rozumiem. W czasie, jaki mi pozostał do chwili, kiedy zjawi się po mnie Obcy, pragnę zajmować się innymi rzeczami, znaczącymi trochę więcej niż te cienie. Mógłbym na przykład dzwonić łańcuchami za ścianą Nawiedzonego Domu, ale nie szczególnie mnie to pociąga. Straciłem zainteresowanie duchami, za to mam nadzieję, że Mattie myśli czasem o Bartlebym z opowiadania Melville'a.

Odłożyłem pióro skryby. Ostatnio „wolałbym nie”.